WYDAWNICTWA INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

Paweł Hulka-Laskowski

Śląsk za Olzą

z 274 ilustracjami i 2 mapami



KATOWICE 1938

SKŁAD GŁÓWNY: NASZA KSIĘGARNIA — WARSZAWA

(2)

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego

SERIA: PAMIĘTNIK INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

T. I. **STAN I POTRZEBY NAUKI POLSKIEJ O ŚLĄSKU.** — Praca zbiorowa pod redakcją Romana Lutmana. 1936. Stron XX + 525. Cena: brosz. zł 15,—, opr. płót. zł 18,— (wyczerpane).

Treść: Roman Lutman, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku; — Marian Książkiewicz, Stan i potrzeby geologii Śląska Cieszyńskiego; — Edward Passendorfer, Stan i potrzeby geologii Śląska Górnego; — Tadeusz Bocheński, Badania geologiczne węgla w polskim zagłębiu węglowym; — Aniela Kozłowska, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie botaniki; — Andrzej Czudek, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie zoologii; — Antoni Wrzosek, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie geografii; — Bolesław Olszewicz, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie kartografii; — Kazimierz Stołyhwo i Ludwik Sedlaczek-Komorowski, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie antropologii; — Mieczysław Gładysz, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie etnografii; — Kazimierz Nitsch, Stan i potrzeby językoznawstwa polsk. na Śląsku; — Wincenty Ogrodziński, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie piśmiennictwa śląskiego; — Józef Kostrzewski, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie prehistorii; — Karol Piotrowicz, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie historii; — Mieczysław Gębarowicz, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie historii sztuki; — Wacław Olszewicz, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie stosunków gospodarczych i społecznych; — Edward Kostka, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie stosunków prawnych; — Edward Kostka, Uwagi o stanie i potrzebie opracowań demograficznych na Śląsku; — Skorowidze; — Errata i uzupełnienia.

Tom II — **Materiały do dziejów Wielkich Katowic** (1299—1799), z 5 planami i 13 rycinami. Zebrał i opracował Ludwik Musioł. 1936. Stron 219. Cena brosz. zł 6,—, opr. zł 8,— (na wyczerpaniu).

Tom III — **Stanisław Wasylewski**, Na Śląsku Opolskim. Z 354 ilustracjami. 1937. Stron XV + 286. Cena brosz. zł 17,—, opr. zł 20,—.

Tom IV — **Józef Feldman**, Bismarck a Polska. 1938. Stron 451. Cena: brosz. zł 10,—, opr. zł 12,—.

Tom V — **Józef Gołąbek**, Literatura serbsko-łużycka. 1938. Stron 269. Cena: brosz. zł 6,—, opr. zł 8,—.

Tom VI — **Paweł Hulka-Laskowski**, Śląsk za Olzą. Z 274 ilustracjami i 2 mapami. 1938. Stron 494. Cena brosz. zł 12,—, opr. zł 15,—.

Tom VII — **Adam Bar**, Karol Miarka. Studium z dziejów Górnego Śląska. 1938.

SERIA: ŚLĄSK, ZIEMIA I LUDZIE

Tom I — **Marian Książkiewicz**, Zarys geologii Śląska. Z 16 rycinami. Katowice 1936. Stron 65. Cena zł 1,20.

Tom II — **Władysław Marchacz**, Krajobraz Śląska Polskiego (z uwzględnieniem przyległych krain). Z 2 mapkami, 2 planami syntetycznymi i 16 rycinami. 1936. Stron 111. Cena zł 1,50 (na wyczerpaniu).

Tom III — **Jan Moniak i Edward Stenz**, Zarys klimatologii Śląska. Z 6 rycinami. 1936. Stron 57. Cena zł 1,—.

Tom IV — **Andrzej Battaglia**, Górnictwo śląskie. Z 32 rycinami. 1936. Stron 77. Cena zł 1,20 (na wyczerpaniu).

Tom V — **Aniela Kozłowska**, Szata roślinna województwa śląskiego. Z 28 rycinami. Katowice 1936. Stron 53. Cena zł 1,20.

Tom VI — **Stefan Kaufman i Roman Maryniarczyk**, Roboty publiczne w województwie śląskim. Z 24 rycinami i 2 mapami. 1937. Str. 70. Cena zł 1,50.

ŚLĄSK ZA OLZĄ

WYDAWNICTWA INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

PAMIĘTNIK INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

VI



KATOWICE 1938

SKŁAD GŁÓWNY: NASZA KSIĘGARNIA — WARSZAWA

WYDAWNICTWA INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

Paweł Hulka-Laskowski

Śląsk za Olzą

z 274 ilustracjami i 2 mapami



KATOWICE 1938

SKŁAD GŁÓWNY: NASZA KSIĘGARNIA — WARSZAWA



DRUKARNIA DZIEDZICTWA W CIESZYNIE, UL. POKOJU 6

SŁOWO WSTĘPNE

Książka ta powstała z pobudek najlepszych. Chciałem się przyczynić do usunięcia tych nieporozumień, które oddalają od siebie dwa sąsiednie i bratnie narody. Przed dwoma mniej więcej laty minister spraw zagranicznych, Beck, mówiąc o stosunkach polsko-czeskich, powiedział:

„...o atmosferze istniejącej między naszymi dwoma krajami w pierwszym rzędzie decydować będzie stan faktyczny: traktowanie Polaków w Czechosłowacji. Żadne sztuczne procedury, ani żadne dyplomatyzowanie nic tu nie pomoże. Z drugiej jednak strony każdy objaw dobrej woli rządu praskiego w meritum sprawy zostanie przez nas należycie oceniony i przyczyni się w najprostszej drodze do wytworzenia lepszej atmosfery sąsiedzkiej.“

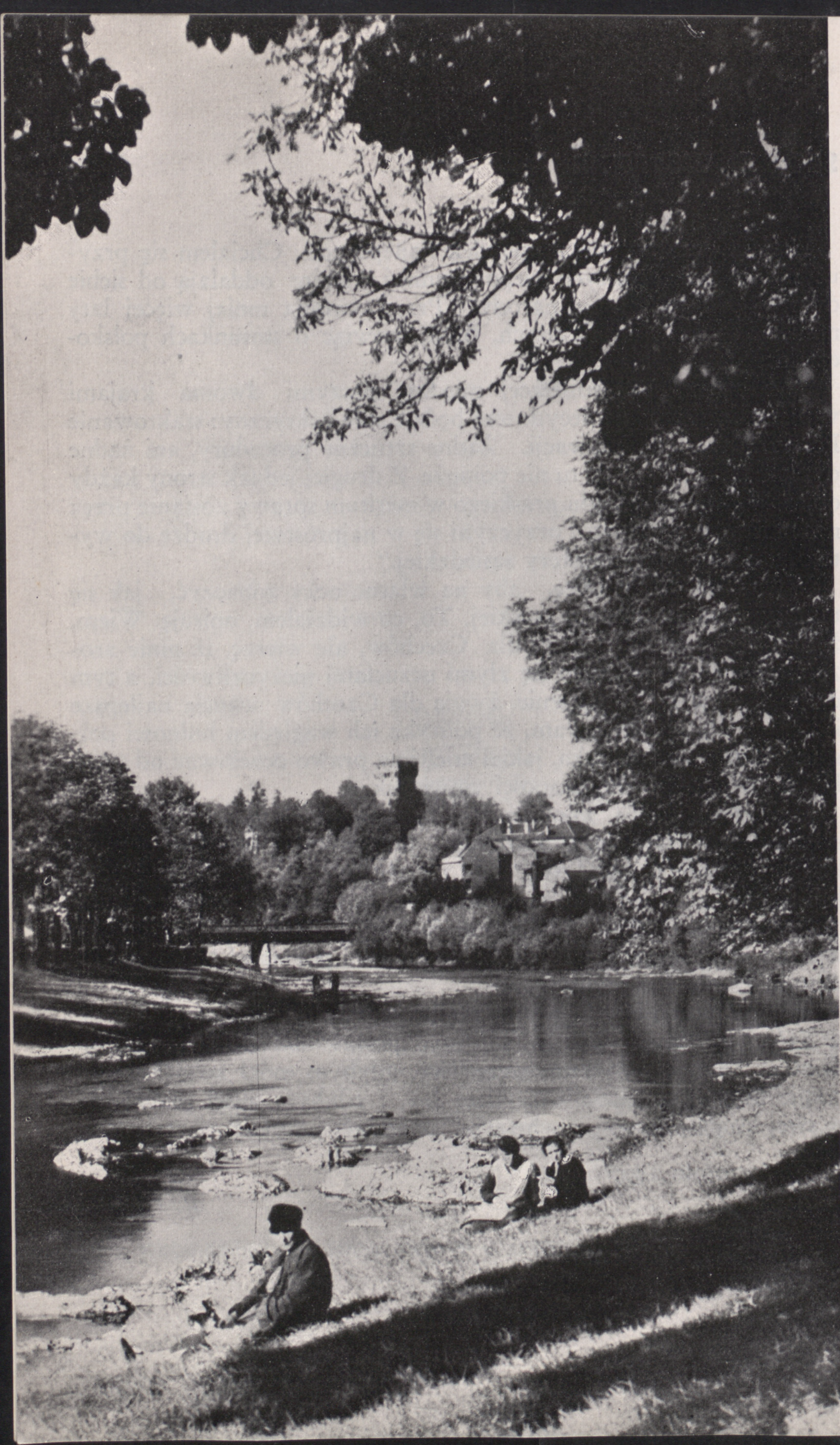
Wybrałem się za Olzę, aby na własne oczy zobaczyć, jak się tam żyje naszej ludności polskiej. To, co widziałem, opisuję. Wiem, że niejedno przykre będzie dla Czechów, ale wierzę, iż mnie zrozumieją. Nie kierowałem się złymi uczuciami nieżyczliwości, a tym mniej nienawiści. Przeciwnie, żywię dla Czechów uczucia najlepsze i dlatego właśnie ubolewam, że polityka ich względem ludności polskiej Zaolzia nie jest taka, jakiej mieliśmy prawo oczekiwać od zwolenników zasady wzajemności słowiańskiej.

Miarodajne słowa ministra Rzeczypospolitej o tym, że „każdy objaw dobrej woli rządu praskiego... przyczyni się do wytworzenia lepszej atmosfery sąsiedzkiej“, nie zostały cofnięte. Nie trzeba podkreślać, że im lepiej ludność polska czuć się będzie w tej części swej ojczyzny, która została wcielona do Republiki Czechosłowackiej, tym lepsze i życzliwsze uczucia będą się rodzić i pogłębiać w Polsce dla narodu czechosłowackiego.

Byłbym szczęśliwy, gdyby mi los pozwolił doczekać chwili, w której mógłbym odwołać zarzuty. postawione działaczom czeskim w Zaolziu. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zobaczyć pogodne uśmiechy, gdzie widziałem łzy, i gdybym mógł przekreślić w swej książce słowo „czechizacja“ i napisać: przyjaźń i braterstwo.

We wrześniu 1937

P. H.-L.



Cieszyn
Rzeka Olza
i widok na wieżę
zamku Piastów



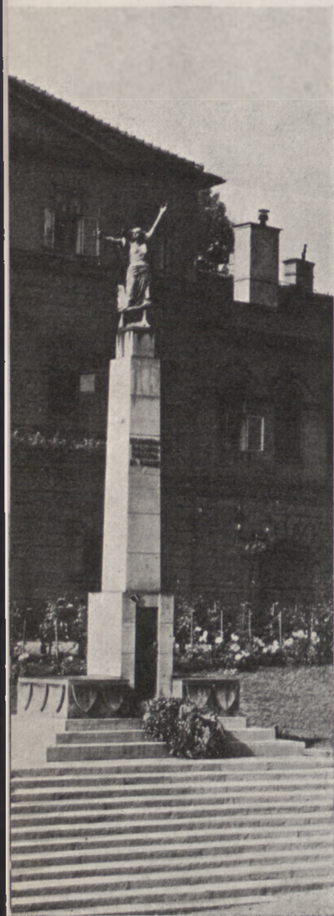
Most graniczny na Olzie od strony czeskiej

PRZED MOSTEM I ZA MOSTEM

Trudna rada, ale ku mostowi granicznemu na Olzie zbliżam się z nieoczekiwanym wzruszeniem, czy może nawet tremą. Nie wiem po prostu, jakie opadną mnie uczucia na nim i za nim. Mam na własne oczy zobaczyć to Zaolzie, o którym tyle się teraz pisze bolesnego, mam zobaczyć ludzi bliskich, oddzielonych od nas tym właśnie mostem, tak pilnie strzeżonym...

Ale przez ten most idzie się do Czechosłowacji, wkracza się w granice państwa tego narodu, który od stuleci nazywamy bratnim. Narodu, który od chwili przebudzenia się do nowego życia narodowego i politycznego w wieku XIX rzucał Słowiańszczyźnie

słowo o wzajemności słowiańskiej. Bratni naród, wzajemność słowiańska... Wspominam te głębokie wzruszenia, jakich doznawaliśmy, gdy w latach przedwojennych Czesi przyjeżdżali do Warszawy jako nasi goście i bracia, gdy jeszcze żyła pamięć Edwarda Jelinka i innych działaczy polsko-czeskich.



Cieszyn
Pomnik Legionistów

Wspominam, oczywiście, także krwawe walki, tak niedawno jeszcze staczane za tym mostem o niepodzielność Cieszyńskiego. Tuż za mną u stóp wzgórza zamkowego stoi wysoki biały obelisk, poświęcony pamięci legionistów, którzy polegli w walkach o ziemię cieszyńską. Na obelisku stoi symboliczna dziewica, jakby z wizji Słowackiego wyrwana, z mieczem w prawicy. Ten płomienny symbol jest zwrócony twarzą ku mostowi i za most. Co ujrzę za tym mostem? Jakich doznam tam uczuć?

Na moście ruch jest dość żywy, przede wszystkim między obu Cieszynami. Od podziału Cieszyńskiego i Cieszyna istnieją dwa miasta, gdzie dawniej było jedno: Cieszyn i Český Těšín. Mieszkańcy są ci sami przeważnie, jacy byli przed podziałem. Jedni z nich mieszkają w Cieszynie czeskim, ale pracują w Cieszynie polskim, inni odwrotnie. Dlatego panuje na tym moście ruch taki żywy.

Ładny jest ten most, a jeszcze ładniejsze przedmoście z jego górą zamkową, legendą i studnią bracką. Legenda jest piękna i wzruszająca, ale tylko... legenda. Trzej Piastowicze, Leszko, Bolko i Cieszko, mieli się spotkać po długim błądzeniu u źródła na tym wzgórzu i tak się z tego ucieszyli, że założyli miasto, które dla tej ich wielkiej uciechy musiało otrzymać nazwę Cieszyna. Legenda etymologiczna, jakich jest wiele.

Jakoś niełatwo przychodzi uwierzyć, że Piastowicze mogli się tak serdecznie kochać, że samego spotkania starczyło, aby na fun-



Cieszyn
Rynek

damencie ich miłości mogło powstać miasto. Było, niestety, inaczej; tej budującej miłości brakło. Historycy są dla Piastów bardzo surowi. *Józef Szujski* w pierwszym tomie swoich „Dziejów Polski" pisze:

„Dzielnice śląskie były sceną nieustannych wojen między braćmi. Zamienił był, jak wiadomo, Bolesław Rogatka Wrocław dziedziczny na Lignicę i Głogów, gdy Konrad, brat jego, nominat na biskupstwo passawskie, oręż nad pastorał przeniósłszy, część swoją od brata wyjednać postanowił. Pomagał mu w tym Henryk wrocławski, a obaj bracia postarali się o pomoc w Niemczech. Bolesław Łysy zostawił arcybiskupowi magdeburskiemu, Willibrandowi, za obietnicę pomocy włości ziemi lubuskiej, Henryk zaś obiecał Henrykowi, margrabiemu Miśni, Krosno z okolicą na bracie zdobyć się mające, pod warunkiem, aby przynajmniej raz w rok wpadł w dzierżawy Rogatki."

Te słowa nie świadczą o miłości, ale o nienawiści. Bracia przywołują na pomoc Niemców i rozdają im ziemie śląskie w zamian za najazdy na posiadłości braterskie. O Rogatce, czyli Bolesławie, najstarszym synu Henryka Pobożnego, powiada Szujski, że „chciwy, okrutny, zniemczony ten książę, jest najlepszym wyrazem złej strony swego wieku. Łakomstwo wiodło go do ustawnych wojen, zdzierstwa nie pozwoliły mu nigdzie długo popasać." Przy innej sposob-



ności dodaje: „Rozrzutność, drapiestwo, okrucieństwo i rozpusta cechowały życie Rogatki, który często w takiej bywał nędzy, że sam jeden pieszo lub konno tułał się po kraju, ścinając dla zabawy ludzi po drodze.“

Studnia trzech braci

Nieco sumaryczniej, ale niemniej surowo wypowiada się Michał Bobrzyński w „Dziejach Polski w zarysie“: „Śmierć Henryka Pobożnego na polach lignickich w 1241 roku była dla Polski przez to ogromną klęską, że pogrzebała gotowe prawie już dzieło zjednoczenia jej pod berłem linii śląskiej. Pozostali na Śląsku czterej małoletni synowie Kazimierza Opolskiego podzielili między siebie Śląsk i ziemię Opolską na drobne książstewka: lignickie, świdnickie, wrocławskie, głogowskie, opolskie i raciborskie, a żaden z nich nie był w stanie władzy monarszej nad całą Polską utrzymać. Wśród namiętnych walk, które między sobą toczyli, jeden z nich, najstarszy syn Henryka Pobożnego, Bolesław Łysy (ów „Rogatka“ Szujskiego), wydał najdalej na zachód położoną ziemię rdzennie polską lubuską w r. 1249 arcybiskupowi magdeburskiemu i margrabiemu brandenburskiemu. Padła łupem germanizacji.“

W taki oto sposób rzeczywistość historyczna kłóci się z piękną legendą o miłości braterskiej, budującej miasta. Niestety, panowała nienawiść, która nie budowała, lecz burzyła. Aleksander Świętochowski w „Historii chłopów polskich“ powiada, że z „dwudziestu historycznych Piastów tylko drugi i w pewnej mierze dwaj ostatni byli rzeczywistymi budowniczymi i obrońcami państwa; inni uważali się za właścicieli ogromnych dóbr, dzielnic Polski, którzy je sobie darowywali, odbierali, sprzedawali i zamieniali. Następcy Bolesława Chrobrego tak się wyrodzili, że dopiero w Łokietku i Kazimierzu Wielkim odzyskali nieco dzielności swego genialnego przodka. Dość przypomnieć testament Bolesława Krzywou-

Ks. Ignacy Świeży



stego i jego podział państwa między synów, który ich rzucił w długie niszczące zapasy, ażeby stwierdzić brak zmysłu politycznego u Piastów. Przez trzysta lat wojowali oni z sobą nieprzerwanie, najeżdżając się i pustosząc wzajemnie, wydzierając sobie grody i ziemie. W tych wojnach wewnętrznych ginął przede wszystkim dobrobyt i swoboda chłopa."

Ten zarzut, że Piastowie uważali swoje księstwa za dobra osobiste, jest niesłuszny, bo tak było wszędzie, że władcy uważali siebie za właścicieli swoich państw. Wszak jeszcze w połowie wieku zeszłego, gdy Austriacy zostali pobici pod Solferino przez sprzymierzone wojska francusko-włoskie, cesarz Franciszek Józef powiedział: „Przegrałem bitwę, płacę prowincją". Habsburski ten sposób myślenia jest równie prywatny, jak sposób myślenia Piastów. Zresztą nawet *Hipolit Taine* w swym kapitalnym dziele o początkach Francji współczesnej uważa, że Capetowie stworzyli Francję i mieli prawo rozporządzać się nią niby własnością swoją.

To wszystko przypomina się u mostu granicznego w Cieszynie, gdy spojrzenie błądzi po wzgórzu zamkowym, a legendę kontroluje wiedza. Miasto Cieszyn jest niewątpliwie stare, ale metryczkę ma dopiero z roku 1155. Istniało zapewne już od dawna, a może i pisano o nim dawniej, ale pisany dowód istnienia Cieszyna posiada historia dopiero z wieku dwunastego. Jeszcze gorzej jest z historią studni brackiej, bo chociaż trzej Piastowicze spotkać się u niej mieli w roku 810, dopiero w 624 lata później zostaje ona zapisana, a mianowicie w liście księżnej Ofki Eufemii, z książąt Mazowieckich, która po śmierci męża swego, Bolesława I, wespół z synem Wacławem panowała na zamku cieszyńskim. W tym liście księżnej Ofki i jej syna Wacława udziela się w roku 1434 niejakiemu Poganowi i jego żonie Dorocie prawa na założenie jatki na drodze, wiodącej od „studni brackiej" ku jatkom rzeźnickim.

I ta studnia, rzecz prosta, musiała była istnieć od bardzo dawna i wszyscy znali ją doskonale, skoro księżna Ofka przy jej pomocy określa miejsce jatki Pogana, ale pismo jest właśnie tym czynnikiem, który w całe nasze życie historyczne wnosi zbawienną jasność i ścisłość. Pogan otrzymał prawo otwarcia swej jatki na drodze wiodącej od studni brackiej w 24 lata po zwycięstwie Jagiełły nad krzyżakami pod Grunwaldem i w trzy lata po spaleniu Joanny



Czeski Cieszyn
Plac dworcowy
z gmachem
„Polonii"

d'Arc w mieście Rouen, a na dwa lata przed zakończeniem wojen husyckich. Właśnie w tym samym roku, gdy księżna Ofka udzielała rzeźnikowi Poganowi zezwolenia na otwarcie jatki, taboryci zostali pobici pod Czeskim Brodem, a zwycięstwo nad nimi otworzyło cesarzowi Zygmuntowi bramy Pragi. Gdy na pięć lat wcześniej, w r. 1429, panowie polscy na zjeździe w Łucku ofiarowali cesarzowi Zygmuntowi pomoc przeciw husytom na Śląsku, cesarz odpowiedział nieufnie: „Czyż Polacy mogą wystąpić przeciwko Polakom?" Ten cesarz wiedział o polskości Śląska.

To są myśli, wrażenia i wspomnienia z przedmościa. Na moście kończy się raptem historia ze swymi legendami i zapanowuje niepodzielnie chwila bieżąca. Trzeba pokazać paszport, otrzymać pieczątkę, a na drugim końcu mostu poddać się rewizji i zadeklarować sumę pieniędzy, wwożonych do Czechosłowacji. Rewizja walizek i teczek nie jest dokuczliwa, ale bądź co bądź uważna. Dopiero po załatwieniu tych licznych formalności można most opuścić. Jako młody chłopak dość długo mieszkałem w Czechach północnych i stamtąd razem z młodzieżą pograniczną chodziliśmy do Saksonii na ślizgawkę. O paszporty i przepustki nie pytał nikt. Z Saksonii przychodzili chłopcy na piwo do Czech i też ich nikt nie zaczepiał. Tak mieszkały obok siebie dwa bratnie narody germańskie: Niemcy i Austriacy.

Z tym melancholijnym wspomnieniem wkraczamy na przedłużenie naszej ulicy Zamkowej czyli Saską Kępę, która teraz nazywa się Saska Kupa. Jesteśmy na przedmieściu starego Cieszyna. Oczywiście, ten sam Cieszyn, ale styl tego dawnego przedmieścia zaolzańskiego jest już do gruntu inny. Historii tu jeszcze niewiele, a legendy ani na lekarstwo. Wielkie wystawy sklepowe reprezentują wielopostaciowy przemysł dzisiejszy. Olbrzymie szyby, jaskrawe barwy, duże litery reklam, a za szybami wszystko: konfekcja męska i damska, nieustępliwy Bata z obuwiem, delikatesy, radiofonia, elektrotechnika, salony fryzjerskie, restauracje, bary, knajpy, owocarnie. Napisy czeskie, czesko-polskie, czesko-niemiecko-polskie. I tutaj zaczyna się ta obrzydliwość, która rozpleniła się po całym Zaolziu, mianowicie pewna sumaryczność w napisach. Pisze się wielkimi literami: Restaura i dodaje się z prawej strony z boku mniejszymi już literami trzy różne zakończenia: ce, cja, tion. Restaurace, Restauracja, Restauration. Albo: Anna Gembol i dwa zakończenia: ová i owa. Gembolová i Gembolowa.

Jedziemy na dworzec czesko-cieszyński dorożką, wziętą z naszej strony. Wprawdzie wygodniej byłoby wziąć jedną z tych taksówek, które stoją na rynku w polskim Cieszynie i pojechać prosto do Morawskiej Ostrawy, Frydku, czy Orłowej, ale to niemożliwe, bo od właścicieli polskich taksówek żądają Czesi tak wysokich opłat drogowych, że można by je zaryzykować tylko wówczas, gdyby po tamtej stronie nie istniała taka potężna konkurencja taksówkowa, jaka rzeczywiście istnieje. Przechodnie w zmotoryzowanym czeskim Těšínie spoglądają z nietajonym zdumieniem na dorożkę, która przecie jest o tyle droższa od niskiej taksy samochodowej i o tyle niewygodniejsza! Ale jakże im tu tłumaczyć, że most na Olzie jest dla naszych samochodów niedostępny?!

Inne ulice czeskiego Cieszyna, przez które dojeżdżamy do dworca kolejowego, zabudowują się w tempie szybkim wielkimi domami w stylu

Wieża Piastowska



nowoczesnej rzeczowości. Linia prosta, kolor szary, żelazobeton chyba. I znowu: wielkie okna wystawowe, duże litery kolorowych reklam, duży ruch uliczny. Śród cywilów spotyka się sporo wojskowych, u wylotów ulic policjanci, dużo żandarmów, dobrze umundurowanych, w hełmach fasonu tropikalnego. Po jednemu, po dwóch. Czujni, uważający.

Plac przed dworcem jest ładny, ożywiony, gwarny. Długi szereg taksówek czeka na pasażerów. Tuż naprzeciwko dworca wznosi się wysoki okazały gmach „Polonii", o której w pewnej publikacji czeskiej doczytałem się, że kosztowała 8 milionów koron czechosłowackich. Ten wspaniały gmach polski przyczynia się wcale wydatnie do uświetnienia placu dworcowego, ale sam dworzec kolejowy przerzuca nas od razu w dawne czasy przedwojenne. Jest wobec tej żelbetowej nowoczesności taki jakiś niemodny, przedwojenny, jednym słowem austriacki, że po prostu „Gott erhalte!"

Wrażenie jest tym mocniejsze, że kolejarze mają czapki podobne do dawnych austriackich czapek, używanych w wojsku i poza wojskiem. Ci kolejarze są bardzo uprzejmi i chętnie udzielają informacji. W poczekalni trzeciej klasy, gdzie czekam na pociąg do Morawskiej Ostrawy, dość ludno, ale nie gwarno. Ślązaczki wracają z targu i siedząc obok swoich „nuszy" pożywiają się dyskretnie. Poubierane są w niezbyt długie spódnice z obowiązkową galonką czyli wstęgą, tworzącą szlak, w szerokie zapaski, a na głowie mają chustki, jedwabne albo wełniane, spod których wyglądają białe „rozumki" koronkowego czepka cieszyńskiego. Twarze ładne i miłe.

Mężczyzn jest w poczekalni znacznie mniej niż kobiet i żaden z nich nie ma już na sobie dawnej śląskiej kamizoli czy „brucleka". Mężczyźni zurbanizowali się tu zupełnie. Trzewiki od Bati, ubranie



Czeski Cieszyn
ul. Kolejowa

marynarkowe, palto i kapelusz. Na szyi zamiast dawnej chustki jedwabnej, kołnierzyk i krawat. Gazda czy robotnik w takim stroju obok żony ubranej po wałasku albo po lasku, wygląda jakoś ubogo i obco, czy nawet niepoważnie. Siedzi taki gazda między panią matką i żoną, trzyma w ręku „České Slovo" i sylabizuje pracowicie słowo za słowem, wymawiając tekst czeski tak, jakby czytał gazetę pisaną w polskiej gwarze śląskiej. Inni gazdowie mają także czeskie gazety w ręku. Najczęściej to właśnie „České Slovo", które Polski i Polaków zdecydowanie nie lubi.

Czyżby tu już było tylu Czechów, że pisma czeskie tak idą? Ale gdy ludzie ci składają czeskie pisma i zaczynają z sobą rozmawiać, to słychać najwyraźniej poczciwą gwarę polsko-śląską. Byłby jeden z drugim niezawodnie kupił pismo polskie, ale go tu nie ma. Prócz „Naszego Ślązaka", który wychodzi wprawdzie w języku polskim, ale z polskością nie ma i nie chce mieć nic wspólnego. Raczej wyraźnie zwraca się przeciw wszystkiemu co polskie. Jest to pismo typu „Pruskiego Przyjaciela Ludu", wydawanego w swoim czasie przez władze pruskie dla Mazurów pruskich. Lud co świadomszy nazywał go „pruskim ogłupiaczem ludu".

Ludzie wchodzą i wychodzą; gromadka polskiej młodzieży szkolnej siedzi przy stole, pisze pocztówki, rozmawia wesoło czystym polskim językiem. Dziewczęta tej grupy pochłonięte są czytaniem polskich powieści. W pewnej chwili na salę wchodzi młoda wysoka Ślązaczka, dostatnio jakoś ubrana i na podziw ładna. Od razu przypomniało mi się słowo ks. Stanisława Staszica, który przejeżdżał tędy przed stu i czterdziestu przeszło laty, udając się do Włoch, i także dostrzegł urodę Ślązaczek. Piękne kobiety, pełne umiaru w gestach i ruchach. W rysach twarzy i spojrzeniu stateczność i samowiedza, zaś u starszych dojrzała spokojna mądrość.

Nie odważyłbym się może powiedzieć tego o mężczyznach, których tu widzę. Dlaczego tak jest? W dawnych czasach mężczyzna porywał kobietę, a w najlepszym razie brał ją za wiano, wprowadzając do swej rodziny element obcy, zdrowy i biologicznie dobroczynny. Teraz już mężczyzna kobiety nie porywa, ani jej nie zdobywa za wiano. Zaś tutaj w krainie tak wybitnie przemysłowej jak Zaolzie, sprawa ma się jeszcze inaczej. W ciągu ostatniego stulecia przywędrowało tu bardzo dużo mężczyzn obcych, podczas gdy kon-



Dr Jan Michejda

serwatywna Ślązaczka siedziała na miejscu. Jest ona tu żywiołem osiadłym, gdy mężczyzna w poszukiwaniu kawałka chleba imigruje i emigruje.

Nawet gdyby tu istniała pewna regionalna ksenofobia, jak jest zresztą wszędzie, życie ze swymi wymaganiami jest od niej mocniejsze. Jak w wielu okolicach polskiego obszaru etnograficznego, tak i tutaj, kobieta zachowała czystość typu. Mężczyzna jest tu natomiast postacią wielotypową, zurbanizowaną i umiędzynarodowioną pod względem biologicznym. Sabinek śląskich nikt nie porywa. Porywają one same, i swoich i obcych, którzy przyszli na Śląsk za chlebem. I trzeba dodać, że kobiety śląskie mają wszelkie warunki, potrzebne do porywania. Są naprawdę porywające.

Jak przy podziale Cieszyńskiego całe zagłębie węglowe i cały przemysł hutniczy dostał się Czechosłowacji, tak przy podziale Cieszyna przemysł tego miasta, który rozwijał się przede wszystkim na przedmieściu zaolzańskim, znalazł się po stronie czeskiej. Nie pozostało to, rzecz prosta, bez wpływu na położenie gospodarcze obu połów miasta, rozciętego na dwoje.

Śląsk Zaolzański jest niewielki, ale trudny, ogromnie zróżnicowany. Inaczej jest na południu, w Jabłonkowskiem i Frydeckiem, inaczej w zagłębiu ostrawsko-karwińskim, inaczej w okolicach Trzyńca, inaczej wreszcie w Błędowicach. Słyszy się tu ciągle o strojach wałaskich i laskich, góralskich i jabłonkowskich, o tym, że tu mieszkają wałasi, owdzie lasi, tu górale, gdzie indziej znowu jabłonkowianie; w Cieszyńskiem jest tak, we Frydeckiem inaczej, w Bystrzycy życie ukształtowało się w taki sposób, a we Frysztacie w zgoła inny.

A teraz przybywa do tego jeszcze komplikacja narodowościowo-polityczna. Niektórzy publicyści czescy twierdzą, że w Cieszyńskiem nigdy Polaków nie było, lecz byli zawsze tylko jacyś Morawcy i Niemcy. Morawcy mieli ulec polonizacji i teraz trzeba ich od-



zeski Cieszyn
worzec
olejowy

polszczyć. Więc idzie akcja odpolszczająca, buduje się mnóstwo czeskich szkół i zakłada się liczne stowarzyszenia czeskie, mające na celu zawsze tylko odpolszczanie Morawców spolonizowanych.

Jak w Rzeczypospolitej, tak i w Cieszyńskiem reformacja znalazła w wieku szesnastym licznych zwolenników. Ewangelicy cieszyńscy korzystali wydatnie z polskiej literatury reformacyjnej i jeszcze dzisiaj po śląsko-polskich domach w Cieszyńskiem można znaleźć dawne biblie i postyle polskie, nie wyłączając Rejowskiej. Ale podczas gdy w Rzeczypospolitej restauracja katolicyzmu szła szybko naprzód i w gruncie rzeczy z protestantyzmu polskiego pozostały tylko ślady nieznaczne, w Cieszyńskiem wyznanie ewangelickie miało w ludzie zwolenników zdecydowanych i nieustępliwych. O człowieku upartym jeszcze dzisiaj mówią w Cieszyńskiem: „Twardy jak luter spod Cieszyna!"

Gdy mowa o ewangelikach cieszyńskich, muszę dodać, że jeszcze przed wyjazdem za Olzę, gdy studiowałem literaturę dotyczącą Śląska Cieszyńskiego, aby jak najlepiej rozumieć wszystko, co zobaczę za Olzą, zostałem uderzony pewną sprawą, która domagała się gruntownego zbadania. Mianowicie pisarz czeski, František Sláma w swojej obszernej pracy o Śląsku i znany współczesny historyk śląsko-czeski, Alois Adamus, we wszystkich swoich publikacjach, powtarzają przy każdej nadarzonej sposobności, że w Cie-



Ks. prałat Józef Londzin

szyńskiem co katolik to Czech, co ewangelik to Polak. Z tą generalizacją spotykamy się także u innych pisarzy czeskich.

W twierdzeniach tych jest spora sugestywność, która stopniuje się jeszcze, gdy w pracy Mieczysława Jarosza o Śląsku Cieszyńskim czytamy takie np. słowa: „Ze stosunku, jaki zachodzi między wyznaniami katolickim i ewangelickim a poczuwaniem się do narodowości polskiej, stwierdzić należy, iż ludność ewangelicka bardziej czuje po polsku i przeważnie do polskiej zalicza się narodowości... Księża czescy w ciągu długich lat nadawali językowi czeskiemu jakiś podkład religijny i dziś utarło się zdanie, iż co czeskie, to katolickie, co polskie to ewangelickie. Tak jest w Toszonowicach Górnych i Dolnych, Dobracicach, Wołowcu i Domasłowicach Dolnych i Górnych, Szebiszowicach Górnych i Dolnych, Błędowicach Średnich i Górnych, Datyniach, Suchej Dolnej, poniekąd w Średniej, Szonowie, Wencłowicach, Racimowie, Bartowicach itd.“

Adamus posuwa się nawet tak daleko w swoich twierdzeniach, iż np. w historycznej pracy swojej o Orłowej wywodzi, że to dwa wyznania wytworzyły tu dwie narodowości: katolicy czeską, ewangelicy polską. Jak jest w rzeczywistości? Toczyły się długotrwałe polemiki na temat prymatu jednego z wyznań w ruchu odrodzeńczym Cieszyńskiego. Polemiki te nikogo nie przekonały, a do życia wniosły dużo zbędnych zadrażnień.



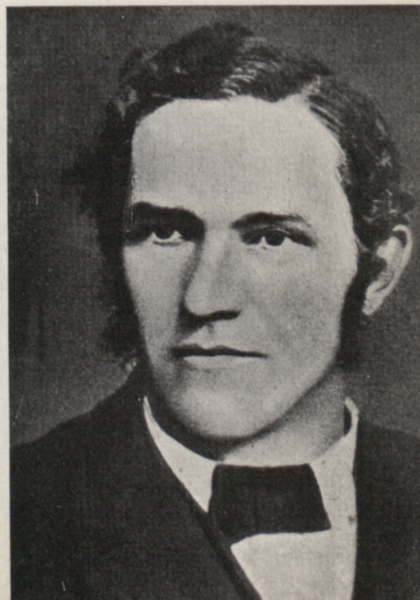
Cieszyn
Zamek

W pracy Władysława Zabawskiego o ruchu narodowym w Cieszyńskiem, pt. „Droga do ziemi obiecanej“, znajduję ciekawy ustęp, w którym Zabawski, doskonale zorientowany w dziejach Śląska Cieszyńskiego naszych czasów, rektyfikuje zdanie Jarosza: „Jeśli chodzi o ludność katolicką, nie jest dosłownie, jak podaje Jarosz, i odnosi się to raczej do dawniejszych czasów, bo później ta część ludności katolickiej, co ostała się przy polskości, już i nadal przy niej trwała“.

Wszczynanie sporów o prymat w pracy uświadamiającej jest już wysoce nieaktualne i szkodliwe, bo rozdwaja siły nasze potrzebne do walki obronnej. Mówienie pewnym językiem nie świadczy jeszcze o uświadomieniu narodowym. Dla mas ludowych, żyjących pewnymi zasadami i wyobrażeniami religijnymi, narodowość i religia stają się synonimami. Jeszcze dzisiaj spotykamy w ustach ludu określenia: wiara polska, niemiecka, ruska, zamiast: katolicka, ewangelicka, prawosławna. Ma to swoje konsekwencje. Dopóki w Orłowej np. siedzieli polscy benedyktyni tynieccy, Orłowa i jej okolice były polskie, gdy ostatni z tynieckich benedyktynów, opat Lambert Klon (1710—1739) razem z parafią orłowską podporządkował się broumowsko-brzewnowskim benedyktynom czeskim, a ci posyłali odtąd do Orłowej wyłącznie proboszczów czeskich, Orłowa zaczęła tracić swój charakter polski. Przykład Orłowej jest klasyczny i typowy.

Ale w kraiku tak małym jak Cieszyńskie, które w ciągu stuleci znajdowało się pod wpływem polityki i kultury czeskiej i w którym czeszczyzna była uprzywilejowana nawet wówczas, gdy z Czech i Moraw wyparła ją niemczyzna, działy się także rzeczy zgoła odmiennego charakteru, godne jak najżywszej uwagi. Nacjonalizm budzi się po świecie wprawdzie już w wieku XVI, ale do szerszych mas ludowych dociera dopiero w pierwszej połowie wieku XIX, zaś w Cieszyńskiem rozwija się polska świadomość narodowa dopiero w drugiej połowie zeszłego wieku. To jest schemat.

Jan Śliwka





Czeski Cieszyn
Czeska szkoła wydziałowa

Otóż z tego schematu wyłamują się chlubnie i zaszczytnie trzej śląscy księża katoliccy: Bajtek, Hackenberger i Knebel, którzy już w wieku XVIII wkładają w ręce ludu śląskiego „Jedzi ną prawdziwą drogę do nieba“, podkreślając w przedmowie, że jest to książka w przyrodzonym języku ludu śląskiego napisana i jego potrzebom przysposobiona. Trzeba ten czyn wszechstronnie ocenić i zrozumieć. Dalej: ks. Szersznik aczkolwiek Niemiec z przekonań, walczy już na początku XIX wieku o polską szkołę dla polskiego ludu, a jego śladem idzie ks. Opolski. O tych elementarnych a ważnych rzeczach można się przekonać przy jakim takim zapoznaniu się z bogatym materiałem bibliotecznym Muzeum Miejskiego w Cieszynie.

Co do generalizacji Adamusa, to zapewne działa tu jego sentyment czeski, dający pierwszeństwo „morawieckie“ większości katolickiej przed mniejszością ewangelicką. Przed podziałem Cieszyńskiego, na 240.000 Polaków przypadało około 96.000 ewangelików. Stąd i Slámie i Adamusowi przyjemniej było brać w posiadanie tę katolicką większość. Innego zdania był Stalmach, który zacząwszy pracę budzicielską jako ewangelik, przekazał „Gwiazdkę Cieszyńską“ katolikom, kierując się zapewne intencjami, aby uświadomionej polskości pozyskać jak największa koła ludu śląsko-polskiego. Gdy dzisiaj wymieniamy nazwiska Stalmachów, Cinciałów, Śliwków, Świeżych, Londzinów, Michejdów, Kubiszów, Sikorów i tylu innych zasłużonych działaczy śląskich, to dopiero w drugiej linii interesuje nas ich wyznanie. Wiemy już, jak wielkie są zasługi jed-



Cieszyn
Most graniczny w perspektywie Saskiej Kępy



Czeski Cieszyn. Polska szkoła ludowa i wydziałowa Macierzy Szk. im. A. Osuchowskiego

nych i drugich. Dzisiaj współpraca katolików i ewangelików Zaolzia nacechowana jest braterską serdecznością, wyłączającą spory o prymat w zasługach, gdy tyle jest jeszcze do wykonania. Jeśli powstać może jaka rywalizacja, to chyba jedynie na polu pracy dla dobra ludu śląskiego. W duchowym krajobrazie śląskim jest miejsce i dla Cinciały i dla ks. Świeżego, dla Śliwki i dla ks. Londzina, dla Michejdów i dla Załeskich. Kto zna olbrzymi dorobek pisarski takiego niestrudzonego działacza jak ks. Londzin, ten nie zdoła wyobrazić sobie jego nieobecności w dziele odrodzenia ludu cieszyńskiego; kogo radowały książki Cinciały i Kubisza, temu nie trzeba mówić, iż są oni cząstką tej całości, której na imię Cieszyńskie.

Żadnemu ewangelikowi nie przyjdzie na myśl kwestionowanie wielkich zasług takich działaczy śląskich, jak ks. Świeży i ks. Londzin, w przeszłości, i pomniejszanie zasług dzisiejszych działaczy katolickich. Z drugiej strony nikt nie będzie specjalnie przypominał, że Jan Śliwka, autor pierwszych podręczników szkolnych w języku polskim, przeznaczonych dla ludu śląskiego, to ewangelik. Przyjmujemy do wdzięcznej wiadomości, że ks. Franciszek Michejda, były pastor nawiejski i wybitny działacz narodowy, ma wielkie zasługi, podobnie jak dr Jan Michejda, były wieloletni poseł do wiedeńskiej Rady państwa.

Dzisiaj stosunki w Cieszyńskiem układają się harmonijnie. Żaden ewangelik zaolzański nie cofnie serdecznego poparcia posłowi swemu Leonowi Wolfowi, który jest jednocześnie wybitnym działaczem katolickim, a żaden katolik nie odmówi zaufania ks. Oskarowi Michejdzie, obecnemu seniorowi kościoła ew.-augsburskiego i pastorowi trzynieckiemu, albo ks. Józefowi Bergerowi, pastorowi czesko-cieszyńskiemu, bo wszyscy wiedzą, że ci ludzie są całym sercem oddani temu ludowi polskiemu, z którego wyszli.

Poseł dr Leon Wolf





Cieszyn
Część miasta:
Przykopa
pod zamkiem

Różnice wyznaniowe istnieją i — powiedzmy od razu — Ślązacy zaolzańscy cenią swoje wyznanie religijne równie wysoko jak swoją polską narodowość, lecz zespoleni są serdecznie w wysiłkach mających na celu dobro ludu polskiego. Dzisiaj, gdy miejsca dawnych proboszczów polskich coraz częściej obsadzane są przez proboszczów czeskich i gdy w polskich zborach ewangelickich tworzy się sztuczne mniejszości czeskie, wszystkie wysiłki członków obu wyznań idą w kierunku wspomagania się w ciężkiej walce obronnej

Czeski Cieszyn Widok ogólny

i każdy, kto chciałby siać niesnaski wyznaniowe między tymi braćmi, musiałby być uważany za szkodnika sprawy narodowej. Kto pokochał polski lud śląski i pragnie mu służyć, ten miłości swojej nie będzie uzależniał od wyznania tego ludu i od własnego stanowiska wyznaniowego. O tym chyba mówić nie należy.

Trzeba jednak poznać wszystko dokładnie, aby zrozumieć duszę ludu śląskiego i duszę jego kraju. Od czego zacząć? Zaolzie interesuje nas przede wszystkim jako kraj zamieszkały przez polską mniejszość w Czechosłowacji. Wiemy, ilu Polaków w Cieszyńskiem naliczyły władze austriackie podczas spisów ludności w latach 1900 i 1910. Wiemy też, ilu naliczyły ich władze czechosłowackie podczas spisów w latach 1921 i 1930, gdy przeszło połowę ludności polskiej po prostu przekreślono. Wypadnie więc poznać ludzi, których działacze czescy nazywają spolszczonymi Morawcami, a także tych, których władze czeskie zaliczają do nieistniejącej narodowości śląskiej i włączają do narodowości czeskiej.

Zadanie to niełatwe, ale wdzięczne. Będziemy wiedzieli dokładnie, jak się rzeczy mają. A jeśli prawdą jest, że *clara pacta claros faciunt amicos*, to wszechstronne poznanie sytuacji Zaolzia może się wydatnie przyczynić do usunięcia tych nieporozumień, jakie od tak dawna zakłócają dobre stosunki sąsiedzkie między obu narodami bratnimi: polskim i czeskim.

Przede wszystkim więc poznać Morawców. Trzeba ich zobaczyć na własne oczy i trzeba usłyszeć z ich własnych ust, co sądzą o swoim morawiectwie.

„SPOLSZCZENI MORAWCY"

Bez dokładnego poznania teorii spolszczonych Morawców, będącej hasłem i bodźcem forsownej czechizacji Zaolzia, nikt nie zrozumie tego, co się obecnie dzieje w tym niewielkim kraiku. Trzeba od razu powiedzieć, że teorii morawiectwa nie reprezentują poważni uczeni czescy; ci zawsze przyznawali i przyznają, że Cieszyńskie zamieszkiwał i zamieszkuje szczep polski, że polskość miała tam i ma dotychczas zasadniczą przewagę. Hasło morawiectwa jest ulubionym konikiem publicystów minorum gentium, którzy tym swobodniej harcują na tym swoim koniku, im mniej są obciążeni zdobyczami rzetelnej wiedzy i im mniej mają poczucia odpowiedzialności za swoje słowa.

Najwybitniejszym i najhałaśliwszym przedstawicielem teorii morawiectwa jest Joža Vochala, były hotelarz i gospodzki w Ligotce Kameralnej. Wydał dwie rzeczy: „Vývoj jazykové a národnostni otázky na Těšínsku" (Frydek 1921—1924) i „Slonzáci. Ślonzácká větev sjednoceného národa československého", znaną mi niestety, tylko z cytat znakomitej pracy ks. Londzina, „Polskość Śląska Cieszyńskiego". Z poważniejszych pisarzy i działaczy czeskich nikt się nigdy z Vochalą nie liczył, powinnibyśmy więc zignorować i my jego historiozofię fantastyczną. Ale niestety, zrobić tego nie możemy, bo cała polityka czeska w Zaolziu jest właśnie taka, jak gdyby Vochala był ostatnim słowem bezapelacyjnej wiedzy historycznej.

I znowu dla zorientowania czytelnika trzeba dodać, że to nie jest praska polityka oficjalna. W Zaolziu rządzi i panuje typ działacza starej daty, przedstawiciela tak zwanej „drobné práce". Są to



Stara chata w Jabłonkowskiem

„mole“ i *„hraničáři“*. Mole to działacze MOL (skrót dla Maticy Osvěty Lidové pro knižectvi Těšínské), hraničáři to coś w rodzaju dawnych działaczy pruskich w Poznańskiem spod znaku Ostmarki. Mole czescy w Zaolziu są hraničařami, hraničaře mogą być molami. I jedni i drudzy mają za sobą potężne poparcie Národni Rady, czyli nieoficjalnego rzeczywistego rządu, rozporządzają dużymi funduszami i decydują o tym, że w Zaolziu nie ma ani jednego sędziego narodowości polskiej, ani jednego notariusza polskiego, nie ma odpowiedniej ilości urzędników polskich np. w urzędach pocztowych, nie ma napisów polskich i nie ma polskich kin. Są natomiast niemieccy sędziowie i notariusze, są napisy niemieckie, są nawet nauczyciele niemieccy w publicznych szkołach polskich.

To jest dzieło i zasługa molów. Uboczna niejako. Najważniejszą ich zasługą jest budowanie szkół czeskich. Ten typ „drobnego pracownika“ czeskiego za czasów austriackich był bezsprzecznie

cenny dla społeczeństwa czeskiego. Pozyskiwał dla idei czeskiej ludzi obojętnych, organizował ich, tworzył mniejszości na terytorium, zamieszkałym przeważnie przez Niemców, zakładał czytelnie i biblioteki czeskie, a wreszcie otwierał szkoły dla młodzieży czeskiej.

Zasługa duża, gdy wziąć pod uwagę stopień zniemczenia Czech pod panowaniem austriackim i fakt, że w takim Opawskiem same czeskie wsi domagały się w pierwszej połowie zeszłego wieku wyłącznego nauczania niemieckiego z pominięciem języka czeskiego. Ale ten drobny pracownik czeski nie umiał przyjąć do wiadomości, że już posiada własne państwo, w którym nie trzeba walczyć z ministerstwami obcymi i z biurokracją niemiecką. Nie umiał on zdać sobie sprawy z faktu, że podczas gdy dawna działalność jego była wybitnie polemiczna, dzisiejsza domaga się od niego innych celów, innych haseł i innych metod. Dawniej budzenie ostrych antagonizmów narodowościowych świadczyło o stopniu uświadomienia narodowego mniejszości czeskiej i szkodziło znienawidzonej Austrii. To było zasługą. Dzisiaj budzenie ostrych antagonizmów narodowościowych szkodzi już nie Austrii i dlatego za pożyteczne uważane być nie może. Ani za skuteczne.

Ale typ drobnego pracownika czeskiego jako spadek po czasach austriackich przeszedł do rzeczywistości czeskiej, istnieje i dzia-

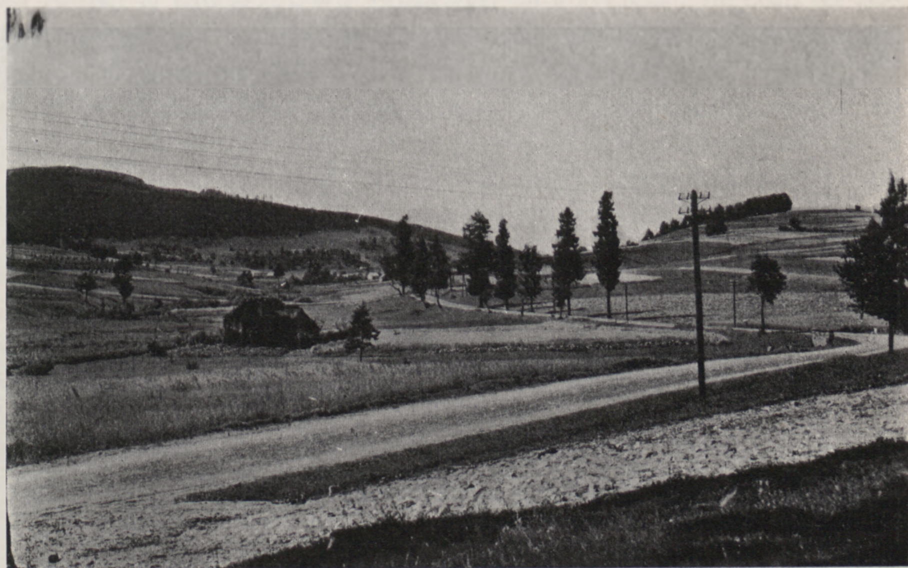


Jabłonków-Mosty Fragment szańców

ła. Bez mniejszości narodowych, bez budowania szkół, bez walczenia z narodowością inną mol traci rację bytu, więc stwarza sobie biologiczne środowisko, jakiego potrzeba mu do istnienia. Władza upaja, czasem przyprawia o zawrót głowy. W Zaolziu panuje i rządzi wyłącznie mol. Nie docenia zupełnie tego, co w kulturze czeskiej jest piękne i pociągające, co czechizuje tak samo, jak obcowanie z Goethem germanizuje, a obcowanie z Lionardem da Vinci romanizuje.

Woli on *action directe*. Podczas gdy dawniej był skromnym pomocnikiem własnego walczącego społeczeństwa, dzisiaj przytracza cały aparat państwowy do swojej drobnej pracy i ta praca przybiera postać słoniowacizny na ciele republiki. Nie przeszkadza mu to śpiewać „Hej Slované“ i mówić o wzajemności słowiańskiej, a już zupełnie pozbawiony jest świadomości, że wzajemność słowiańska może mu wystawić gruby rachunek za jego zdobycze pozorne, często fikcyjne. Lubi on mieć statystykę, jakiej potrzebuje do swoich celów, i potrafi robić tę statystykę. Dlatego też w samym zaraniu swej działalności domagał się od rządu praskiego „nadvlády“ żywiołu czeskiego w demokratycznym państwie, w którym przedstawiciele rządu mówią ciągle o zupełnym równouprawnieniu wszystkich obywateli. Domagał się „nadvlády“, czyli hegemonii, i zdobył ją dla siebie.

Przełęcz Jabłonkowska od południa





Dolina Tyry

Dla takich działaczy historiozofia Vochalów jest czymś nieoszacowanym. Jest ona drogowskazem i programem, jak panować, jak rządzić, jak „robić porządek“ i jak przywracać jedynozbawczy austriacki *status quo ante*. Zaś Vochala wywodzi: „Ślązacy w Cieszyńskiem są szczepem narodu czechosłowackiego, są to mieszkańcy



Nawsie k. Jabłonkowa Kościołek ewangelicki i fara

tubylczy, niegdyś czeskiej, czyli tak zwanej morawskiej narodowości, którzy przed laty 50 byli przemocą i wbrew swej woli polonizowani". A dalej: „Czeski charakter i swojszczyzna tej ziemi ścierane były zalewem obcych, głównie robotników polskich i urzędników niemieckich... we Frysztacie i w Bogumińskiem, a także pośrodku kraju około Cieszyna i Trzyńca. Ale nawet w górskich podbeskidzkich gminach lud nie miał potem już siły, aby bronić czeskiego charakteru swoich gmin wobec wpływu niemieckich urzędników komory cieszyńskiej i polskich księży i nauczycieli."

Ten głos jest typowy i przedstawicielski. Wszystko, co o Morawcach powiedzą jeszcze niezliczeni przygodni i amatorscy publicyści czescy, to będą już tylko wariacje na ten sam temat. Zdaniem Vochali w Cieszyńskiem było czeskie wszystko i zawsze: szkoły i kościoły, sądy i urzędy, zaś lud był wyłącznie morawski. „Jeszcze dziś — wywodzi on — przechowały się między ludem cieszyńskim stare księgi czeskie, które świadczą, że lud w Cieszyńskiem przyswoił sobie oświatę czeską." Dla Vochali nazwiska ludu śląskiego są rdzennie czeskie, a tradycja ma świadczyć, że w Cieszyńskiem osiadało także wielu emigrantów z krain czeskich.

Tak miało być w ciągu stuleci, aż oto przed laty 50 przyszedł ksiądz polski w towarzystwie polskiego nauczyciela i niejako na poczekaniu odrobiono wszystko, co przez Czechów zostało stworzone w przeciągu sześciu wieków ich panowania. Vochala jest ścisły: „Dzień 2 września 1848 — pisze on — można uważać za dzień powstania polskiego szkolnictwa w Cieszyńskiem. Oczywiście, szkoły nie zostały spolonizowane na poczekaniu, ale przez całe 15 lat Morawcy bronili swoich morawskich szkół, w wielu miejscowościach we Frysztackiem utrzymali je i w czasach najgorszych."

W warunkach normalnych nikt nie polemizuje z taką lichutką odmianą iłowajszczyzny, ale gdy cała polityka Zaolzia nie idzie po linii poważnych historyków czeskich i etnografów, jak Vincenc Prasek, Alois Adamus i Lubor Niederle, albo pisarzy jak František Sláma, lecz przeciwnie wszystko przystosowuje do fantastycznej historiografii, etnografii i socjologii takich właśnie Vochalów, powstaje konieczność zrektyfikowania tej pociesznej fantastyki.

Od czego zacząć? Czescy działacze Mol ułatwiają zadanie w sposób zgoła nieoczekiwany. W maju r. 1936 otwierano w Nawsiu pod Jabłonkowem jedną ze zbędnych szkół czeskich w Zaolziu i przy tej sposobności kierownik szkoły Pražák, przemawiając, wywodził: „Żyją jeszcze w Nawsiu i Jabłonkowie staruszkowie i starki, którzy przed sześćdziesięciu laty uczęszczali do czeskiej szkoły ludowej. Raptem w miejsce czeskich książek i kancjonałów kazano kupować polskie i uczyć się z polskich książek. Tak niemiecki rząd przeprowadzał śląski lud na niemiecką wiarę. Czecha i Ślązaka zawsze trudno było zgermanizować. Dlatego też postanowiono Ślązaków spolszczyć, a dopiero potem zgermanizować, ponieważ już wtedy miano to doświadczenie, że Polaka zawsze łatwo zniemczyć. Żyją w Jabłonkowie i w Nawsiu ludzie, którzy to polszczenie pamiętają: pierwszy początek germanizacji. Dziś wraca szkoła czeska, aby do niej dobrowolnie chodzili wnucy i prawnucy tych starych pomników czeszczyzny na Śląsku."

Nawiasem mówiąc, nieprawda. Dzieje narodu czeskiego podobne są politycznie do dziejów narodu polskiego: oba narody tracą kolejno niepodległość. Ale po upadku Czech, germanizacja jest szybka i gruntowna, stagnacja kulturalnego życia czeskiego zupełna. Po upadku Polski rodzi się wielka literatura polska, która przyczynia się wydatnie także do narodowego odrodzenia Czechów. W Prusach germanizowano nas przez półtora wieku i wydano na germanizację setki milionów bez skutku. Nie zdołano nas złamać nawet na Śląsku, gdzie po wiekach panowania czeskiego, względnie niemieckiego, a potem pruskiego, lud śląski jeszcze dzisiaj mówi pięknym narzeczem polskim.

To raz. Po drugie szkoła czeska, jak mówi Adamus, nie krzewiła bynajmniej kultury czeskiej, ale niemiecką. „Celem wszelkiego nauczania — powiada on — było przyswojenie młodzieży języka niemieckiego... We wszystkich szkołach przy pomocy języka czeskiego nauczano języka niemieckiego."

To są słowa historyka czeskiego i w dodatku Ślązaka, który przedmiot swój zna suwerennie. Jeśli kierownik szkoły czeskiej o takich elementarnych rzeczach nie wie, to źle; jeśli o nich wie i mówi co innego, jeszcze gorzej. W doskonałej pracy Adamusa, „Jazyková otázka ve školstvi na Těšínsku" (Morawska Ostrawa 1930), czyta-

Dolina Łomnej wiosną



my: „W Opawskiem właśnie czeskie wsie, których prośby o całkowicie niemieckie nauczanie odrzucał konsystorz ołomuniecki od roku 1804 do 1868, skorzystały z przejścia szkolnictwa pod zarząd krajowy i niemal wszystkie żądały całkowicie niemieckiego nauczania,

Szałas na Kozubowej



oświadczając, że dotychczasowe nauczanie utrakwistyczne im nie wystarcza." Czeskie wsie i to w Opawskiem!

Ale to tylko nawiasem. Przemówienie pana Prażaka daje do rąk metodę i sposób zbadania rzeczywistości za Olzą i podaje niejako adres „Morawców". Nic prostszego, jak pojechać do Nawsia-Jabłonkowa, odszukać wychowanków czeskiej szkoły i popatrzeć z bliska na tę dziwną narodowość, która się nazywa morawiecką, a której nigdy i nigdzie nie było. Bo wiadomo przecie, że Morawianie nazywają się Morawianami, a nie Morawcami.

Z Cieszyna do Nawsia jedzie się koleją dobre pół godziny. Droga piękna jak całe środkowe i południowe Cieszyńskie. Mija się Trzyniec, dymiący niezliczonymi kominami, widzi się szeroką dolinę Olzy z malowniczymi zboczami i szachownicami pól i łąk, białe domki i wille w ogrodach, zaciszne przystanki kolejowe, wieżyce kościołów. Po drodze można napatrzyć się wielu rzeczy i można jeszcze przeczytać wywód Vochali o Nawsiu i o jego pastorze, ks. Winklerze, który pochodził z Moraw, z Vsetína, i działał w Nawsiu pięćdziesiąt lat. „Jednym z najstarszych budzicieli morawskiego ludu w Cieszyńskiem — powiada Vochala — był czeski ewangelicki ksiądz, Jan Winkler, pastor w Nawsiu koło Jabłonkowa, gdzie działał od roku 1826 (dodajmy od siebie: do roku 1874). Urodzony w roku 1794, był najpierw pastorem ewangelickim we Vsetinie na morawskiej Wałaszczyźnie, skąd dostał się w Cieszyńskie, na Nawsie."

Dla czytelnika, nie wtajemniczonego w dzieje Śląska Cieszyńskiego, takie przedstawienie rzeczy ma w sobie dużo sugestywności. Z jakiej racji morawski pastor dostaje się raptem w Cieszyńskie do Nawsia? Przecie to Czech, więc chyba przybywa między Czechów? Vochali chodzi o budzenie takich właśnie wrażeń, chociaż sam wie najlepiej, że ks. Winkler nie był budzicielem ludu morawskiego, ale



Czorne
(Czadeckie)

Czorne (Czadeckie) potok Czernianka

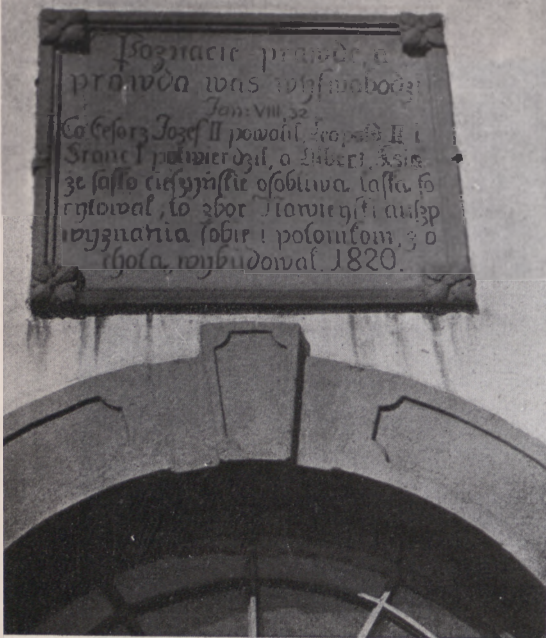


musiał się uczyć po polsku, aby w ogóle ostać się w Nawsiu. Inna rzecz, że mu się nauka polskiego nigdy nie udała, jak nie udała mu się nauka czeskiego, który się wtedy właśnie dopiero kształtował po dwustu latach stagnacji. Cytowany już Adamus pisze o ks. Winklerze, iż pisywał on do czeskiego czasopisma „Květy" taką mieszaniną języka czeskiego i polskiego, iż nie trudno było doszukać się w niej narzecza jabłonkowskiego.

W Nawsiu na dworczyku zacisznie, sielankowo. Nie ma tu portiera, który czyhałby na podróżnych, aby im odbierać bilety i wypuszczać ich z peronu stacyjnego. Jakiś stary lampiarz wychodzi z małej drewnianej szopy i niesie gdzieś lampę. Powietrze czerstwe, bo tu już jest znacznie wyżej, niż w Cieszynie, widoki górskie przepiękne. Pytam po polsku, czy daleko stąd na farę. Pokazuje mi wieżyczkę kościoła i uśmiecha się:

— Wszystkiego parę kroków.

Dziękuję i wychodzę przed stację w nadziei, że znajdę tam dorożkę, jak wszędzie u nas, ale dorożek ani śladu. Mam walizkę, więc nijako dźwigać ją duży może kawałek drogi. Ale dorożki nie ma i w ogóle nikogo nie ma. Cicho i pusto. Na białym domu naprzeciwko dworca polsko-czeski napis mówi, że tam jest piekarnia, a



Tablica na kościele ewangelickim w Nawsiu koło Jabłonkowa

czerwona tabliczka z napisem wyłącznie czeskim poucza, że tam jest także „četnická stanice“ — posterunek żandarmski.

Jedzie młody ładny chłopak na rowerze. Zaczepiam go pytaniem, czy tu nie ma gdzie dorożki. Chłopiec zeskakuje z roweru i odpowiada, że nie wie. Czy daleko się wybieram? Na farę. O, to parę kroków zaledwie. Mówi czystą polszczyzną, nie gwarą, z jaką spotykamy się tu często w rozmowie ze starszymi ludźmi. Ten „Morawiec“ chodził do polskiej szkoły i stąd jego ładny język polski. Mówi mi, że ks. Krzywoń jest chory, ale już mu lepiej. Czy zna ks. Krzywonia tak dobrze? No tak, konfirmował go przecie! Idziemy rozmawiając, chłopiec prowadzi swój rower, ja niosę walizkę. W pewnej chwili pokazuje mi mój przewodnik przejście pod wiaduktem i mówi, że to już tutaj, za szkołą. Dziękuję mu uprzejmie i dalej idę już sam. Zabłądzić nie mogę w żadnym razie.

Zaciszny dziedzińczyk z białym kościołkiem odwróconym tyłem do ulicy, jak się tego domagały dawne tolerancyjne przepisy dla kościołów niekatolickich. Staję przed nim i odczytuję napis na spiżowej tablicy znajdującej się tuż nad bramą kościelną:

„POZNACIE PRAWDĘ A PRAWDA WAS WYSWOBODZI.“ Jan VIII. 32. „CO CESARZ JÓZEF II POWOLIŁ, LEOPOLD II I FRANC. I POTWIERDZIŁ, A ALBERT KSIĄŻĘ SASKO-CIESZYŃSKIE OSOBLIWĄ ŁASKĄ FORYTOWAŁ, TO ZBÓR NAWIEYSKI AUSZP. WYZNANIA SOBIE I POTOMKOM Z OCHOTĄ WYBUDOWAŁ. 1820.“

Przede wszystkim data. To nie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu ci „Morawcy“ tutejsi zostali spolonizowani, ale znacznie chyba dawniej, skoro piszą taką klasyczną polszczyzną. Wzruszający jest ten archaizm „powolił“, z jakim spotykamy się w polszczyźnie złotego wieku, a jeszcze mocniej chwyta za serce „książę sasko-cieszyńskie“. Nie cieszyński książę, ale cieszyńskie. Tak pisali ludzie wychowani na Biblii Radziwiłłowskiej, tak też tłumaczy Wujek początek rozdziału III ewangelii Jana: „A był człowiek z Pharyzeuszów, książę żydowskie“. Tak samo jest u Leopolity i nawet w Biblii Gdańskiej lipskiego wydania jeszcze z roku 1840! Na tej spiżowej tablicy polszczyzna jest spiżowa. Tego nie mogli wypisać „Morawcy“, nawet spolszczeni na poczekaniu.

Ktoś tu mija się z prawdą. Gdyby przed laty 50, jak chce Vochala, albo przed laty 60, jak chce Pražák, w Nawsiu mieszkali byli Morawcy, to z jakiej racji byliby umieszczali na swoim kościele napis polski! Ale wnetże przypomina mi się wiersz Bezruča o tym, jak idąc błędowickim cmentarzem liczył polskie krzyże, które dlatego były polskie, bo „ksiądz polski tak chciał“. Trzeba się dowiedzieć, kto budował ten kościół. Idę tedy na farę, aby się dowiedzieć wszystkiego.

Ks. Krzywoń, pastor nawiejski, następca ks. Franciszka Michejdy, znanego działacza śląskiego, jest chory, ale przyjmuje mnie bardzo chętnie i uprzejmie, a pani pastorowa z ujmującą serdecznością zapytuje, czy nie jestem głodny. Gościnność w domach polskich na Śląsku jest naprawdę staropolska. Tutaj czuje się, że powiedzenie „gość w dom, Bóg w dom“ nie jest li tylko frazesem.

Aby nie męczyć chorego zbyt długo, przystępuję od razu do rzeczy i zadaję pytania, na które otrzymuję odpowiedzi bezpośrednie.

— Kto zbudował kościół w Nawsiu?

— Oczywiście, zbór nawiejski, ale budował go ks. Nikolaides, Słowak z pochodzenia.

— Ach więc jednak Słowak! Czy kazania wygłaszał po słowacku?

— Skądże znowu! Na co miał wygłaszać kazania po słowacku, skoro tu nigdy nie było Słowaków, lecz byli jedynie Polacy.



Szkoła polska w Karpętnej



Skalite Czadeckie



Fragment zabudowań gospodarskich w Oldrzychowicach

— Słyszałem, że i przed ks. Nikolaidesem był tu pastorem ks. Józef Paulini, podobnież Słowak z pochodzenia. Czy i on kazał po polsku?

— Oczywiście. Inaczej być nie mogło, bo dla ewangelików śląskich język polski był nie tylko językiem ojczystym, ale nabrał dla nich znaczenia języka liturgicznego. Byli do niego zawsze gorąco i serdecznie przywiązani.

— A dlaczego tylu było tu pastorów obcego pochodzenia, poczynając od patentu tolerancyjnego Józefa II? O ile wiem, był tu Józef Paulini, Słowak, od roku 1792...

— ...do 1804 — uzupełnia ks. Krzywoń. — Potem był Karol Józef Nikolaides, dawny wikary cieszyński, od roku 1804 do 1820. Po nim urzędował Józef Franciszek Schimko, Morawianin, od roku 1821 do 1826, i wreszcie Jan Winkler. Dopiero po nim nastał Polak, ks. Franciszek Michejda. Przeciwreformacja była na Śląsku wytrwała i nieubłagana. Gdy nastały lepsze dla ewangelików czasy, nie było tu polskich duchownych i dlatego powoływano ich ze Słowacji, gdzie ucisk nie był tak wielki, i z Moraw, gdzie istniały znaczne mniejszości ewangelickie. Ale wszyscy ci pastorowie musieli uczyć się po polsku, a brat nawiejskiego pastora ks. Pauliniego, Andrzej Paulini, pastor zboru bystrzyckiego, oczywiście także Słowak, już w roku 1817 wydał książkę polską pt. „Nauka ewangelii Chrystusowej“ dla parafii, których był superintendentem. Książki tej używali nauczyciele religii w ewangelickich szkołach polskich.

— Czy szanowny ksiądz słyszał, że publicyści czescy, jak np. Vochala, powołują się na ks. Winklera jako na działacza „morawskiego“ i jako na dowód czeskości Nawsia?

— Oczywiście, znam doskonale działalność ks. Winklera w zborze nawiejskim. Nie było w jego działalności nic osobliwego. Aczkolwiek pochodził z Moraw, był jednak pastorem polskim.

— Czy istnieją jakie dowody, że ks. Winkler posługiwał się w zborze językiem polskim i że w tym języku obcował ze zborownikami?

Zamiast odpowiedzi, ks. Krzywoń woła diakonisę, która go pielęgnowała w chorobie, i prosi, aby mu podała pewną teczkę. Zagląda do niej i po chwili podaje mi własnoręczne pismo ks. Winklera,



Ruiny szańców jabłonkowskich

wystosowane do zboru cieszyńskiego. Pismo to nosi datę 15 listopada 1849 roku. Czytam:

„Zbór Nawiejski między śląskimi najmniejszy, okresem swoim w nieżyznym obwodzie pod Beskidy rozpołożony, a więc w dobrach doczesnych najszczuplejszy, tego jest przekonania, że istniejąc w ościennych kończynach kościoła ewanj. w Śląsku ku Słowiakom i Gallicji obroconych, w tej teraz rozpoczętej wolnej dobie, dom Boży swój ewanjelicki niedaleko cesarskiej drogi wybudowany, ozdobniejszym i pozorniejszym powinien był przez wieżę i dzwony wykształcić...“ Itd.

— Masa czechizmów — mówię, — które wzbudzają miejscami wrażenie zabawne.

— Tak jest, ale czechizmy zdarzać się mogą tylko w nieczeskim języku. Byłoby gorzej, gdybyśmy w tym tekście mieli polonizmy — śmieje się mój uprzejmy gospodarz.

— Poza tym ks. Winkler, zwracając się do zboru cieszyńskiego, musiał pisać po polsku, bo tam język polski miał swoją nieprzerwaną tradycję i nawet wówczas. gdy mieszczaństwo się niemczyło, lud śląski trwał wiernie przy mowie polskiej.

W odpowiedzi na to moje zastrzeżenie ks. Krzywoń podaje mi inny dokument z datą 25 stycznia 1869 roku, własnoręcznie przez ks. Winklera napisany i podpisany. Jest to wyrównanie rachunków ze starszeństwem zboru w Nawsiu. Ks. Winkler miał pretensje do swego zboru o pewne niedopłaty, ale potem otrzymał wyższe wynagrodzenie i większe świadczenia, więc z zaległości dawniejszych postanowił zrezygnować. Wyrównanie to brzmi:

„Wyrównanie między księdzem Jan Winkler a ewanj. zborem Nawiejskim odnośnie na porachunki a zaległe jemu należące płaty,

a na jego zadowolenie, iże tymto wykazem on ksiądz Jan Winkler nic więcej nie żąda do wynagrodzenia onej zaległości, a poważując się niby wynagrodzonym w niniejszej dobie, prawem fararzstwa a płatem i nagrodą dogodziwiejszą za swoje urzędowe kościelne prace i usługi, aniżeli to drzewiej czyli poprzednim czasem się konało..." Następuje wykaz owych zaległości, po czym ks. Winkler kończy: „Lecz dziś dzień zrzekam się nagrody za te zaległe płaty, a nagrody za inne potrzeby z mojej kieszeni udzielane. Wyznam iże i ja powinienem zboru ewanj. Nawiejskiemu przynaszać, — a szlachetni niektórzy zborownicy i gospodynie podarunkami wynagradzali mi te nagorze poznaczone zaległości, niedodatki, długi. Tym pismem w niniejsze czasy, gdy moje fararzskie prawa mi nagradzają — ow niedobior — a ja już od lata 1868 dostawam 200 zł. ć. m. salarji, zrzekam, odrzekam się wszelkiej nagrody, tak jakobym rzeczywiście otrzymał, albowiem płat lepszy teraźniejszy mnie zadawalnia. Dług niby wypłacony zostaje. Nawsi d. 25 stycznia 1869. Jan Winkler, ew. fararz."

I tutaj polszczyzna upstrzona jest czechizmami, budzącymi w dzisiejszym czytelniku nieporozumienia komiczne. Taki np.

Chata pod Kozubową



„płat“ (z czeskiego plat — wynagrodzenie) jeszcze u Kochanowskiego ma znaczenie opłaty (Najdziesz, kto w płat język dawa, a radę na funt przedawa), ale dzisiaj słowo to oznacza kawał tkaniny, kawał mięsa, płachtę, łatę, gałgan, szmatę, łachman. Zdarzały się nieporozumienia jeszcze komiczniejsze i to także w zborach czeskich na Morawach i w Czechach, gdy ewangelicy czescy powoływali na pastorów Węgrów. Pewien pastor węgierski, ucząc się języka czeskiego, w mowie pogrzebowej zamiast wyrazu „zwłoki“ użył wyrazu „ścierwo“. Wyraz miał bogatą synonimikę w słowniku i pastor wziął słowo, które mu się najbardziej podobało. To są dowody, że nie zbory przystosowywały się do księży, ale księża do zborów.

Ci księża morawscy i słowaccy, którzy w ciężkich czasach pasterzowali ludowi polskiemu na Śląsku, czy to w Nawsiu, czy w Bystrzycy, czy w Ligotce Kameralnej, musieli uczyć się po polsku i są jednym z wielu dowodów polskości Śląska Cieszyńskiego. W swoich głośnych wierszach poeta czeski Bezruč przedstawia sytuację na Śląsku tak, jak gdyby poza kościołem i poza szkołą nigdy nie była istniała w Cieszyńskiem jakaś ludność polska. Tego samego zdania jest Vochala i wszyscy jemu podobni.

Natomiast poważny historyk czeski, Vincenc Prasek, w książce swojej „Dějiny knížectví Těšinského až do roku 1432“ (Opawa 1894) pisze między innymi: „Wyrażano mniemanie, że wtedy, gdy powstawały granice państwa czesko-polskiego, nie troszczono się nadmiernie o narodowość, że więc niezawodnie, osobliwie we Frydeckiem, lud czeski mieszka od dawna, czyli że jest tubylczy. Ale rzecz taką trzeba udowodnić przy pomocy jedynie możliwej, a więc przy pomocy nazw miejscowych i nazwisk ludzi. Przyjrzyjmyż się przede wszystkim cechom charakterystycznym mowy polskiej.



Robotnicy leśni (ok. Karpętnej)

Z cech tych nabierzemy przeświadczenia, że w Cieszyńskiem lud polski miał zdecydowaną przewagę, jaką ma i dzisiaj."

František Sláma, który był sędzią w Cieszynie w drugiej połowie zeszłego wieku, wyraził się po licznych swoich wędrówkach po Cieszyńskiem, że Frydeckie jest prawie zupełnie czeskie, że w Bogumińskiem Czesi mają większość, we Frysztacie i w Cieszynie natomiast Czesi są w mniejszości, a w Jabłonkowskiem i w reszcie Cieszyńskiego mieszkają prawie wyłącznie Polacy. Pisał tak w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku w znanej książce swojej „Vlastenecké putováni po Slezsku" (Patriotyczne wędrówki po Śląsku).

Adamus, historyk czeski, uważa, że całe Cieszyńskie było polskie i że czechizacji uległo tylko Frydeckie, które też domagało się bezustannie nauczania wyłącznie niemieckiego. „W dzisiejszym twierdzeniu, że Cieszyńskie zostało spolonizowane, jest taka sama logika jak w niemieckim twierdzeniu, że Czechy zostały zczechizowane. Wszelka władza wywodzi się z ludu, a w Cieszyńskiem nauczano po czesku dopóty, dopóki lud nie posiadł władzy. Jak tylko zdobył moc, usuwał to, co mu przez urzędy zostało narzucone. Czeszczyzna ustępowała w sposób naturalny i gdyby nie przemysł w okręgu ostrawskim i orłowskim, byłaby się cofnęła aż po Ostrawicę. Każdy sprawiedliwy Czech byłby w tym widział nie bezprawie, ale prawo naturalne." Tak mówi Adamus.

Mój uprzejmy gospodarz mówi mi jeszcze, że w Jabłonkowie bawił w połowie zeszłego wieku znakomity działacz słowacki, Ludevit Štúr, jeden z promotorów emancypacji języka słowackiego w literaturze spod wpływów czeskich. W roku 1849 wyjechał do Wiednia, ale w Jabłonkowie zostawił konie. W sprawie tych koni pisał Štúr do swojej gospodyni jabłonkowskiej, p. Anny Bernkopf, a chociaż gospodyni ta miała nazwisko niemieckie i może nawet była Niemką, pisał do niej nie po niemiecku, nie po czesku czy słowacku, ale po polsku. Ani przez myśl mu pewno nie przeszło, że kiedyś bę-

Praca polna w okolicy Boconowic



dzie mowa o jakichś „Morawcach“ w tych okolicach czysto polskich. Štúr pisał:

„Nasza dobra Gospodyni!

Czy widzą jak ja długo bawię we Wiedniu, jak nie myśliłem. Pieniądze, które u Nich na konie zostawiłem zapewnie że już wyszły a pewne, że i swoich już dawały. Niech się nic dla tego nie starają; wszystko przyjdzie do swego porządku. Teraz proszę pana Księdza Winklera, ażeby Jim te pieniądze, które już na moje konie wydały nawrócił, a jeżeliby to szanowny p. Winkler teraz zdziałać nie mógł, to proszę swoich rodaków teraz tam mieszkających, aby to uczynili a mnie zaraz pisali ileż tego było, bo ja pieniądze zaraz pocztą przyszlę albo po służącym poszlę albo może i sam przyjadę. Na każdy sposób wszystkie swoje pieniądze i co wydały i za stajnię porządnie dostaną a mojej wdzięczności za łaskawość niechże pewną będą. Tylko mój pachołek niech tam konie na każdy przypadek trzyma, niech tam będzie porządek i niech czeka, konie niech dobrze pielęgnuje i nikomu pod żadnym warunkiem nie wydaje, inaczej by z nim źle było. Niechże będą zdrowa i mają się jak najlepiej. Wiedeń 1849 dnia 4 maja. Jich dobry przyjaciel Lud. Štúr.“

I tu nie brak błędów, ale polszczyzna Štúra jest zdumiewająco swobodna jak na Słowaka, który przecie nie posługiwał się nią stale. Ten działacz słowacki, który w literaturze swego narodu ma piękną kartę, pisał do swojej gospodyni w Jabłonkowie po polsku nie dla jakiegoś kaprysu, ale dlatego, że na własne oczy widział Jabłonkowskie i na własne uszy słyszał, że tam wszyscy mówili po polsku.

W teczce mego uprzejmego gospodarza był może jeszcze niejeden taki ciekawy dowód polskości Cieszyńskiego w ogóle, a Jabłonkowa i jego okolicy w szczególności, ale nie chcę męczyć cierpiącego i obiecuję sobie przyjechać tu, gdy ks. Krzywoń będzie zdrów. Zaglądam jeszcze tylko do raptularzyka rachunkowego, prowadzonego przez ks. Nikolaidesa podczas budowania kościoła nawiejskiego. Są tam takie pozycje:

„Murarskiemu maystrowi się dało.. Tesarzowi z Piosku za trzy dni po 12 czeskich...“ Dodajmy od razu, że na czeskie albo dydki liczyli nawet podwarszawscy wieśniacy jeszcze niedawno. „Wachtarzowi od roboty przy kościele... Kamieniarzowi na futra do dźwierzi... Za dęby Grudczanom (mieszkańcom Gródka) do an-

krów... Za gorzołkem od przejszłego roku" itd. To pisał człowiek, który słyszał tu twardą nosówkę polską „ę" i zastąpił ją przez „em" — gorzołkem.

Nie, gdzicż tu szukać Morawców! Nie było ich i nie ma. Żegnam tedy uprzejmego gospodarza, dziękując mu za tak cenne informacje z dziejów Nawsia i wpisuję się do księgi gości, w której znajduję dużo nazwisk wybitnych działaczy nawet z Ameryki i Szwecji. Nie brak w niej, oczywiście, i nazwisk redaktorów warszawskich, którzy zaglądali na farę nawiejską, gdzie za ks. Franciszka Michejdy, poprzednika ks. Krzywonia, był gościem także Józef Piłsudski.

Sąsiedni Jabłonków to miasteczko miłe, a jego okolica przepiękna. Niestety trudno cieszyć się tym pięknem, gdy na każdym kroku przypomina się nam, że nasz lud polski, który siedział tutaj od wieków i miał swoje własne życie duchowe nawet za panowania austriackiego, został skazany na zagładę przez przedstawicieli wzajemności słowiańskiej. I tutaj jak w całym Zaolziu panują mole, działający automatycznie, czyli tak, jak się tego nauczyli za dawnych czasów: budują szkoły czeskie i przemocą napędzają do nich dzieci polskie.

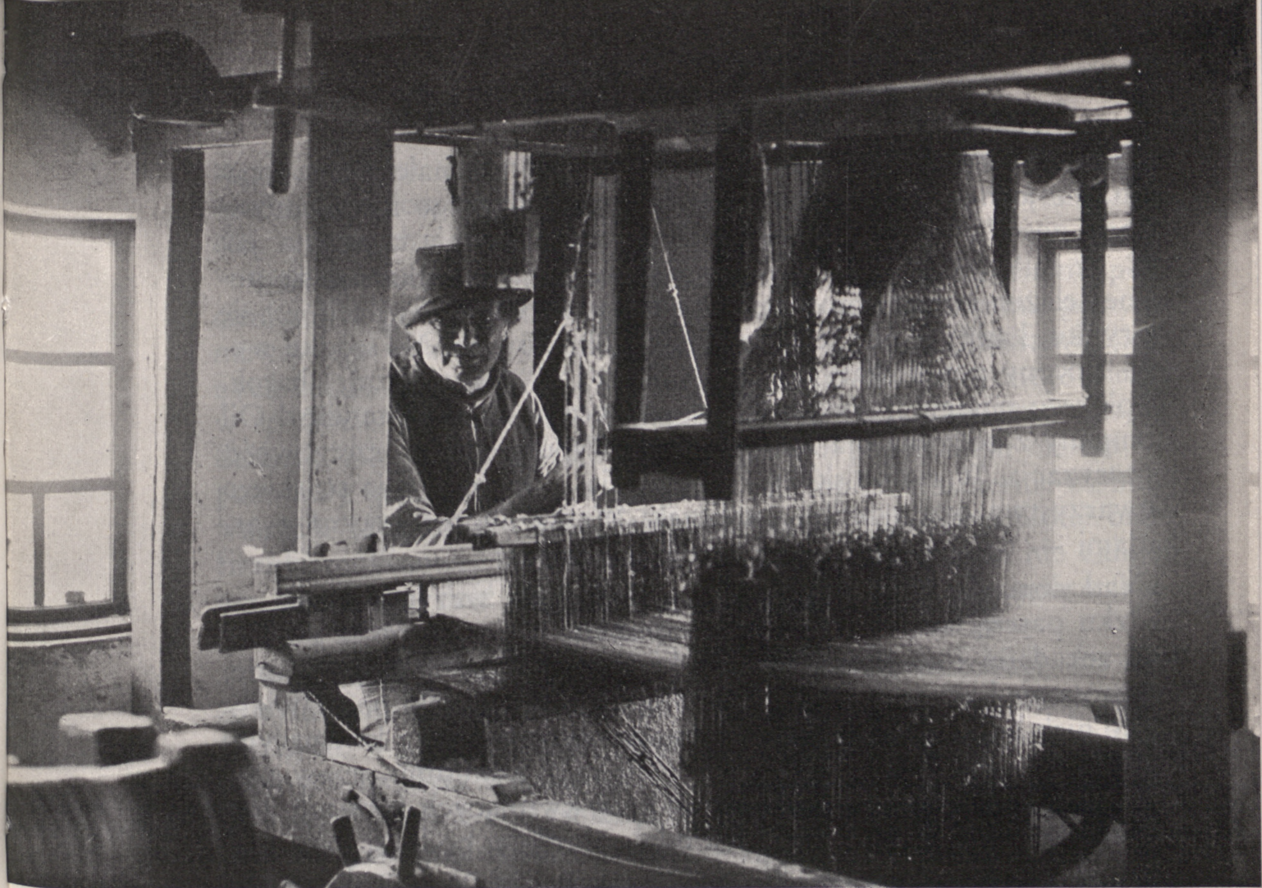
Ktoś ze starszego pokolenia może pomyśleć, że to nie takie znowu straszne, boć ostatecznie starsze pokolenie polskie chodziło do szkół rosyjskich i niemieckich i nic nam się nie stało. Tu jest inaczej. Dziecko polskie, gdy raz dostaje się do czeskiej szkoły, wpada od razu w tryby organizacji czeskich i znajduje się stale pod okiem wychowawców czeskich. Zostaje ono rodzicom polskim niejako odebrane. Jego wychowawcy szkolni nie troszczą się o to, że w domu słyszy ono co innego niż w szkole i że uczy się już w dzieciństwie albo milczeć, albo kłamać. O to się mole nie troszczą. Organizują przy pomocy znanych metod „mniejszości" czeskie i jadą szybko naprzód.

Przykład Nawsia-Jabłonkowa, gdzie przed wojną nie było Czechów wcale, jest bardzo wymowny. W roku szkolnym 1921-22 chodziło tu do szkoły powszechnej 333 dzieci polskich. Czeskich, oczywiście, nie było. Ale niebawem ukazują się i dzieci „czeskie", a ich liczba zwiększa się z dnia na dzień, aż wreszcie „mniejszość" czeska staje się większością. Oto parę liczb:

Rok szkolny	Dzieci czeskie	Dzieci polskie
1921/22	—	333
1922/23	72	285
1925/26	186	193
1927/28	231	200
1930/31	279	217
1933/34	324	240
1934/35	328	245

Tu jest tempo, jak widzimy. Czeski poeta Bezruč napisał wiersz „Plumlov", a w tym wierszu wyraził się, że „z cizich škol na Slezsku chachaři rostou a k..." (Z obcych szkół na Śląsku wyrastają włóczęgi i k...) Ale wtedy ten poeta bronił fikcji „Morawców". Dla rzeczywistości dzisiejszej brak mu zmysłu.

A w Zaolziu zorganizowali Czesi 150 szkół czeskich. Obcych dla narodowości polskiej. Co wychowają te obce szkoły czeskie z dzieci, napędzanych do nich przemocą?



Tkacz-chałupnik w Jabłonkowie

JABŁONKÓW-MOSTY

Z Nawsia do Jabłonkowa jest wszystkiego dwa kilometry. Droga ładna, po obu stronach góry ze zboczami, zdobywanymi pracowicie przez oracza. Pola na górach — to widok zawsze głęboko wzruszający. Ciężka praca i mały plon. W dolinie są pola bogaczy. W pocie czoła z wysiłkiem nadludzkim dźwiga biedny oracz nawóz na kamieniste zbocza górskie, ale przychodzi ulewa i zmywa ten nawóz, spłukując go na pola sąsiadów bogatych. Niedobre i niewdzięczne są te malownicze pola na górach!

Okolica uboga; miasto Jabłonków nie należy do bogatych, ale jest do pewnego stopnia egzotyczne, a jego imieniem nazwana została sławna przełęcz. Droga do tego miasta równa jak stół, aż miło jechać po niej samochodem. Z daleka ukazują się potężne żelazne poręcze mostu na Olzie i po niewielu chwilach jest się na rynku. Ładny i miły jest ten rynek jabłonkowski! Na środku wysoki złocony posąg Matki Boskiej. Pietyzm, romantyzm, barok. Obok tego posągu czerwony kosmopolityczny obelisk Standard Oil Company z benzyną dla samochodów. Współczesność, rzeczowość, motoryzacja. W rynku sklepy, restauracja, cukiernia, filia polskiego Towarzystwa oszczędności i zaliczek. Wąska uliczka boczna z arkadami — to egzotyka i jakieś średniowiecze.

Nad domami, okalającymi rynek, zielone szczyty gór po sąsiedzku patrzą, co się dzieje w miasteczku. Idziemy wąską uliczką pod arkadami i cieszymy się widokiem rzeczy nowych przy całej ich prostocie i zwyczajności. Uliczki są wyboiste, domki poustawiały się do nich bardzo rozmaicie, tu i owdzie jest ogródek z kwitnącymi kwiatami, a przy oknie za białymi firankami z muślinu przewiązanymi u dołu czerwoną wstążką, tuż przy kwitnących fuksjach, siedzi młoda dziewczyna i szyje. Na odgłos kroków podnosi spłoszone oczy, ale zaraz je spuszcza. Nie wypada gapić się na obcych, którzy przychodzą tu Bóg wie po co.

Ręka bezwiednie sięga po kapelusz, żeby się ukłonić panience, siedzącej za fuksjami i pozdrowić ją pozdrowieniem osobliwym. Ale jakim? Tak jakoś nie pasuje do tych miejsc nasze zwyczajne i mocno już zużyte: Dzień dobry! W Cieszyńskiem witają się ludzie aż czterema słowami: Daj Boże dobry dzień! Ale wiadomo, że tu co miasteczko to inny zwyczaj. Tylko rolnicy są tu tacy sami, jak wszędzie, czy to w Poznańskiem, czy w Krakowskiem, czy w Wileńszczyźnie. Gdy się ich widzi pracujących w polu przy żniwie, podnoszą oczy na przechodnia i czekają na dobre słowo: Szczęść Boże! Odpowiadają też skwapliwie tak samo, jak na Mazowszu czy w Kieleckiem: Bóg zapłać!

I tobie szczęść Boże, ciemnowłosa jabłonkowianko, siedząca przy oknie za białymi firankami! Nawet się nie domyślasz, jak inspiruje wędrowców obcych zaciszna twoja uliczka, ogródek naprzeciwko, trzy stopnie, oddzielające zaproże od ulicy, rozwarty

szeroko trójkąt szczytowej ściany twego domku rodzinnego i twoje spojrzenie spłoszonych oczu, podniesionych znienacka na obcych ludzi, o których nie wiesz, czego tu szukają.

Szukamy starych domów jabłonkowskich z egzotycznymi podcieniami, z ganeczkami wdzięcznymi czy może loggietami, pełnymi niewinnego wdzięku, bliskiego i dalekiego zarazem. Szukamy ślicznych łuków romańskich i okienek, pełnych dobroczynnego cienia w spiekocie letniego dnia. Szukamy wzruszeń i pragniemy niespodzianek. Ale już wiemy, że tych domków z podcieniami nie ma, że poznikały ganeczki piękne, wsparte na słupkach misternie żłobkowanych. Ujrzeliśmy ciebie, jabłonkowianko miła, czyściutkie białe firanki muślinowe, kwitnącą fuksję i twoje oczy. I już nie żałujemy, że szliśmy dość długo po kamienistych uliczkach, opuszczających się w dół ku rzece i że teraz wracać trzeba pod górę.

Gdybyśmy tu byli przyszli o kilkadziesiąt lat wcześniej, to może bylibyśmy zobaczyli jabłonkowskich Jacków w ich strojach egzotycznych: w „mentyczkach" granatowych, podbijanych futrem i zapinanych na duże srebrne guzy, w kołpakach futrzanych, w bogatych kordybanach z wysokimi lśniącymi cholewami i w obcisłych granatowych spodniach, misternie wyszywanych od pasa do kolan *modo hungarico*. Ale te stroje pochowane są w skrzyniach i bywają wydobywane tylko na uroczystości osobliwe. Wszyscy ubierają się teraz jednakowo, jak u nas w Skierniewicach, czy w Brześciu. Podczas wesel wystawnych widuje się tu jeszcze te ładne szaty ze srebrnymi guzami, białe sukienki kobiece z ładnymi stanikami i „draki" na głowach niewieścich z welonikami, spływającymi na kark, takimi właśnie, jakie noszą Neapolitanki.

Co zacz ci Jackowie, śród których nie ma bodaj ani jednego Jacka? Może chodzi tu o niedobitków sarmackiego ludu Jazygów, którzy według geografa Ptolemeusza mieszkali między Dunajem a źródłami Wisły i dzielnie stawiali czoło wojskom cesarza rzymskiego Domicjana. W roku 175 naszej ery ulegli wojsku Marka Aurelego, a w końcu zostali zdziesiątkowani przez Gotów. Za domysłem tym przemawia fakt, iż na Cierlicku znaleziono liczne monety rzymskie, bite w r. 176 na pamiątkę wojny markomańskiej. Istnieje uzasadnione przypuszczenie, że te monety dostały się na Śląsk razem z wojskami rzymskimi, które walcząc z Jazygami w drugiej wojnie



Kozubowa
Pasterz
z owcami

markomańskiej, dotarły aż do dzisiejszego Cierlicka Górnego. Ze srogiego wojactwa dawnych Jazygów pozostało w dzisiejszych Jackach niewiele. W „Pieśni o naszym Śląsku" jest parę strof, poświęconych specjalnie Jackom jabłonkowskim. Jeśli wierzyć tej pieśni charakter Jacków uległ zmianie radykalnej.

„W Jabłonkowie są Jackowie,
Rozumieją każdej mowie,
Handlują z Węgrami, z Turkiem,
Szli na szańce z Brandenburkiem.
Po różnych krajach handlują,
Gdzie pomyśli, tam wandrują,
Z wszystkiego pożytek mają,
Z fortela się nie wydają.
W Orawie we dnie i z rana
Uwidzi Jabłonkowiana,
Bo tam mają często sprawy,
Które nie są bez zabawy.
Jak się wszyscy pozbierają
Do domów, a w nich zostaną,
Wtenczas już znak isty bydzie,
Że sąd boski prędko przydzie."

Gdy chodzi o sąd boski, to w ludzie jabłonkowskim istnieje wiara, że dnia pewnego ze wszystkich stron świata ozwą się nagle

trąby anielskie, ziemia się straszliwie zatrzęsie, a wody Łomnej staną. Zaś góry, które teraz tak spokojnie spoglądają sponad strzech domów okalających rynek, zbliżą się ku samemu miastu, pochylą się nad nim i zasypią je na wieki. Taki będzie sąd ostateczny w Jabłonkowie. Starożytni Irańczycy wierzyli, że świat spłonie w wielkim pożarze i wiarę swoją przekazali innym narodom. Góral wierzy, że sąd nad światem uczynią góry i wody, które z tych gór spływają. Wody Łomnej zatrzymają się w biegu, a góry podejdą pod samo miasto, aby je zasypać.

Nie trzeba wszakże przypuszczać, że jabłonkowianie, myślący o takim ponurym końcu świata, są melancholikami. Przeciwnie, są to ludzie weseli, ruchliwi i obrotni. W Jabłonkowskiem opowiadają sobie, że gdy do nich przyjdzie Czech — „przide Čech, taki ho strejcem przиwitaji. Przidzie Polak, zowiom go panem. Przidzie Niemiec, tak go przиwitajom willkommen. Przidzie ale Słowak showaraju sa s nim po susedsku. Poradzom se jabłonkowianie z rozmaitymi narodami, nie potrzebujom nigdzie po tłomacza posyłać."

Nic w tym dziwnego, że są takimi poliglotami. Od wieków siedzieli w pobliżu przełęczy, która była jedyną drogą z północy na południe, z dolin Odry i Wisły w dolinę Dunaju. Rzecz prosta, że przełęcz Jabłonkowska służyła nie tylko kupcom i pielgrzymom, ale także wojskom. W czasach częstych najazdów i wojen tureckich powstała konieczność zabezpieczenia tej przełęczy i zbudowania szańców, których szczątki o znaczeniu wyłącznie już historycznym istnieją w pobliżu Mostów dotychczas. Historycy niemieccy twierdzą, że pierwszy szaniec zbudowano w roku 1541 o 9 kilometrów na południe od Mostów dla zabezpieczenia nie tylko Śląska, lecz i dalszych krajów przed Turkami. Rozbudowano te szańce i uzupełniono szeregiem redut w wieku XVII. W r. 1625 podczas wojny trzydziestoletniej zdobyły je wojska Mansfelda, uchodzącego przed

Ruiny szańców Jabłonkowskich



Wallensteinem do Węgier. W r. 1645 opanował je szwedzki generał Königsmark, w czasie pierwszej wojny śląskiej zajął je Fryderyk II, ale już w czasie wojny siedmioletniej szańce te, aczkolwiek świetnie zbudowane, zaczęły tracić na znaczeniu i ostatecznie stały się ruiną, zaciekawiającą dzisiaj jedynie turystów. Tych właśnie turystów dezorientują po trosze, bo znajdują się dość daleko od drogi. Gdy je budowano, droga leżała dalej na zachód. Dzisiaj widać jeszcze mury niegdysiejszych obwarowań i cembrowane rowy, kopane w kształcie wielopromiennej gwiazdy.

W końcu pierwszego roku wojny, gdy wojska austriackie cofały się przed nacierającymi Rosjanami, legioniści polscy przybyli na Śląsk i zakwaterowali się w Jabłonkowie, Nawsiu, Bystrzycy, Milikowie, Trzyńcu. Tutaj spotkali się z przyjęciem tak serdecznym, że byli nim wprost zaskoczeni. W Nawsiu redagowano wtedy „Wiadomości Polskie", drukowane u Mitręgi w Cieszynie. „Zatarły się wszelkie różnice prowincjonalne i wyznaniowe — pisały wtedy „Wiadomości Polskie" — z jednakową życzliwością spieszą katolicy z Jabłonkowa, jak ewangelicy z Nawsia i Bystrzycy. Wdzięcznym objawem owej wspólności ideowej były obchody listopadowej rocznicy, urządzane w całej okolicy z wspólnej inicjatywy i wspólną pracą miejscowej ludności i legionistów... We wspólnym śpiewie hymnów narodowych jednoczyli się chłop śląski, pastor ewangelicki, działacz socjalistyczny, żołnierz-legionista, wszyscy jednej matki dzieci, wszyscy tęskniący do jednego celu: do wolnej Ojczyzny."

W Nawsiu był wtedy pastorem znakomity działacz narodowy ks. Franciszek Michejda, a w księdze gości fary nawiejskiej znalazły się nazwiska Józefa Piłsudskiego, Kazimierza Świtalskiego, Stanisława Kota, Mariana Kukiela i innych. Na cmentarzu jabłonkow-

Pomnik legionistów polskich na cmentarzu w Jabłonkowie



skim jest bratnia mogiła pięciu legionistów I pułku Legionów Polskich, zmarłych w Jabłonkowie skutkiem ran i chorób. Pod pięknie stylizowanym Orłem pomnika, który widać z daleka, napis na cokole głosi: „PAMIĘCI LEGIONISTÓW POLSKICH BOJOWNIKÓW O NIEPODLEGŁOŚĆ OJCZYZNY — RODACY". Po czym idą nazwiska z datami śmierci tych, co tu znaleźli miejsce wiecznego spoczynku: Wagner Witold, Skóra Zygmunt, Zachara Wilhelm, Talarek Jan, Śniegoń Franciszek.

W Jabłonkowie obok ratusza jest ładny domek, zwany przez jabłonkowian „domkiem Piłsudskiego". Tutaj w roku 1915 mieszkał Józef Piłsudski, o czym mówi biała tablica marmurowa, umieszczona na froncie domku koło okna z prawej strony. O parę kroków dalej na skosie ściany wieży ratuszowej mieści się znacznie większa tablica z czarnego marmuru mówiąca o nadaniu prezydentowi Masarykowi honorowego obywatelstwa miasta Jabłonkowa.

W Jabłonkowie jest piękna szkoła wydziałowa, utrzymywana przez Macierz Szkolną. Na frontonie tego pięknego gmachu, zbudowanego w stylu, który można by nazwać macierzowym, czytam: Polska Szkoła Wydziałowa Macierzy Szkolnej im. H. Sienkiewicza. — Godna najwyższego podziwu jest ta Macierz Szkolna, że w warunkach tak niesłychanie nieprzyjaznych pracuje, nie upadając na duchu, i broni polskiego stanu posiadania, wydzieranego jej przez przeciwnika o tyle potężniejszego i nie przebierającego w środkach.

Sięgam do kieszeni, aby zapisać napis na szkole, ale w notatniku znajduję odpis pewnego memoriału z roku 1930, który zrozpaczeni działacze polscy chcieli przedłożyć niektórym wybitnym członkom społeczeństwa czeskiego z prośbą o pomoc w walce z fanatycznymi „molami". W notatniku swoim czytam: „Na obszarze etnograficznie polskich powiatów frysztackiego i czesko-cieszyńskiego założono w ostatnim dziesięcioleciu około 120 szkół czeskich.

Polska szkoła wydziałowa w Jabłonkowie





Górski cmentarz w Koszarzyskach

Do szkół tych różnymi sposobami, znanymi dostatecznie ze sprawozdań miejscowej prasy polskiej, wciągnięto tysiące dzieci rodziców, zależnych gospodarczo od swoich pracodawców czeskich tak prywatnych jak i państwowych (dobra, lasy państwowe, koleje żelazne). W roku 1930 Polacy posiadali tylko 4 szkoły wydziałowe publiczne: Karwina, Frysztat, Łazy, Trzyniec. Czesi na terenie tych powiatów, narodowościowo polskich, mają 20 publicznych szkół wydziałowych." Tak było sześć lat temu. Dzisiaj jest znacznie gorzej.

Czytam w swoim notatniku dalej: „W czysto polskim powiecie Jabłonkowskim, w którym statystyka austriacka wykazała 153 Czechów wobec 24.215 Polaków (w r. 1910), założono w ciągu pierwszego dziesięciolecia rządów czechosłowackich dwie czeskie szkoły wydziałowe, 28 szkół ludowych i 16 ochronek, do których uczęszczało 2.648 dzieci, to jest około 40% ogółu dziatwy szkolnej tego okręgu." Nie trzeba dodawać, że chodzi tu o dzieci polskie, którym konstytucja czeska zapewnia szkolnictwo narodowe, a więc tutaj polskie.

I znowu zaglądam do notatnika. W roku 1920-21 do szkół polskich w Zaolziu chodziło 22.708 dzieci. W roku 1931 tych pol-

skich dzieci w polskich szkołach było zaledwie 12.205, a w roku 1935-36 jest ich już tylko 9.616. Gdzie się podziały tamte dzieci polskie, które już do polskiej szkoły nie chodzą? Działacze Maticy nie przestają przynaglać rządu, aby budował coraz więcej szkół czeskich w Zaolziu. Szkołę zbudować nie trudno, gdy rząd daje miliony na tę akcję czechizacyjną, ale czym zapełnić tę szkołę w okręgach, gdzie nawet zdaniem patriotów czeskich nigdy Czechów nie było i nie ma ich dotychczas? Tu zaczyna działać aparat „demokratyczny": pochlebstwo i terror, obietnica i groźba. Przygodnie piszą nawet publicyści czescy, że żadne szkolnictwo w republice czeskiej nie jest tak straszliwie upośledzone jak polskie.

Jedziemy dalej. Za Jabłonkowem jest wielkie sanatorium dla gruźlików, zbudowane przez czeską Kasę Chorych. Kompleks białych budynków o mnóstwie okien. Rozległe werandy, duże, widne i przewiewne sale. A nad tym słońce, góry, powietrze uzdrawiające i widok niezrównany. Do Mostów jest oficjalnie jakie sześć kilometrów, ale pierwsze domy mostowskie zaczynają się niedaleko za Jabłonkowem. Przydrożne krzyże kamienne, gospody, chaty ubogie i majestat gór. Ogromna rozrzutność przyrody: wielkość i piękno wszędzie gdzie spojrzeć, ale chleba ma tu człowiek mało. Słusznie mówią w niedalekim Koniakowie, że tu początek wody i koniec chleba. Ileż tu jest tych strumyków, potoków, rzeczułek i rzek! Ale rola kamienista, zimna i nieczuła, miejscami moczary.

O tych Mostach, rozrzuconych wzdłuż drogi, opowiadają sobie, że dawniej bywały tu grube awantury, gdy młodzi zbierali się przy „muzyce" w gospodzie i gdy chłopakom poszło o dziewczynę. W awanturze brali czynny udział przyjaciele jednego i drugiego chłopaka i w bijatykach tych znajdowała ujście Bóg raczy wiedzieć jaka postać energii inaczej niezużytkowanej. Te walki heroiczne wyszły z mody, bo dzisiaj nawet wioski śląskie mają swoje kluby sportowe i w meczach piłki nożnej wyczerpuje się cały nadmiar tej siły, którą pokolenia minione inwestowały w rycerskich bojach o wybranki swego serca.

Na szałasie Helo-Helo



Przy drodze w zacisznym ogródku stoi tu sobie ładny biały budynek z napisem: „Szkoła Ludowa". W roku 1921 do tej polskiej szkoły chodziło około stu dzieci polskich. Dodajmy, że innych dzieci w ogóle tutaj nie było i nie ma. Dzisiaj do szkoły polskiej chodzi zaledwie 45 dzieci, a więc nawet nie połowa liczby z roku 1921. Reszta została przeciągnięta do szkoły czeskiej. Jest to dziwne i niepojęte, bo wszak naród czeski wydał wielkiego wychowawcę i pedagoga Komenský'ego, który mówił o znaczeniu języka ojczystego w wychowaniu młodzieży tak pięknie jak nikt przed nim. Wielki patriota czeski, František Sláma, pisał jeszcze w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku, że okręgi: jabłonkowski, skoczowski, strumieński i bielski zamieszkane są wyłącznie przez ludność polską. Przestrzegał on przed wszystkim, co mogłoby zakłócić dobre stosunki między obu narodami i wyraził przekonanie, że mieszkańcy Śląska sami rozstrzygną sprawy szkolne i z czasem sami ustalą ścisłe granice między obu językami. „A jeśli czeszczyzna — są jego słowa — panuje jeszcze w jakiej gminie, w której panować by nie powinna, zniknie powoli i stamtąd. Wszak polszczyzna zwycięsko torowała sobie drogę do szkół od Olzy aż po Stonawkę, a w ostatnich dziesięcioleciach została wprowadzona także do szkół w Rzece, Trzycieżu, Górnej Suchej, Stonawie, Dolnych Błędowicach, Szumbarku, Gnojniku itd."

Takie rozsądne głosy już się dzisiaj nie odzywają po tamtej stronie Olzy. Nie ma też człowieka, który powiedziałby śmiało budowcom szkół czeskich w etnograficznie polskiej części Zaolzia, że ta masa energii, która idzie na czechizację ludności polskiej, przepada na darmo. Co więcej, działacze Mola aktualizują w sposób osobliwy i zaogniają sprawę, którą mniemają likwidować. Guglielmo Ferrero powiedział przed laty, że spraw natury moralnej nie można leczyć środkami o charakterze geometrycznym. Nieszczęśliwi biedni



Szkoła polska w Piosku nad Olzą koło Jabłonkowa



Boconowice Szkoła ludowa

ludzie zależni od molów kłamią czasem, aby nie stracić kawałka chleba, ale ich kłamstwo nikomu pożytku nie przynosi i obciąża wyłącznie tych, którzy się go domagają.

Rozmyślania przerywa szofer: Przełęcz Jabłonkowska! Stajemy i wysiadamy. Więc to tutaj. Szachownica pól na zboczach gór, ciemne łąki, a za nimi jeszcze ciemniejszy las. Gdzieś daleko białe domki w słońcu, długi szereg drzew schodzący na tamtą stronę niewysokiego pagóra. Cisza i samotność jakiegoś niezwykłego formatu. Biała droga biegnie cichutko przez milczącą krainę. Jest tu tak jakoś jakby po tamtej stronie życia. Niedaleko drogi umarła chata drewniana próchnieje od wielu lat zapewne, w obliczu tych gór i nieba. Wzdłuż białej pustej drogi biegną słupy telegraficzne, a nieco dalej widać wysokie maszty żelazne z przewodnikami elektrycznymi.

Uczucie reaguje rytmem Larga Haendlowskiego. Taka jest melodia tej okolicy w tej jasnej chwili. Krajobraz ma duszę, a każdy kamień przydrożny jest częścią tej duszy. Patrzy się długo i daremnie w to niepojęte osobliwego krajobrazu. Co to właściwie jest? Czy zapisały się tu w jakiś tajemniczy sposób ślady karawan kupieckich, idących znad Morza Północnego i Bałtyckiego w stronę Lewanty? Czy w brzęczeniu drutów telegraficznych drga jeszcze echo chórów pielgrzymich, zwróconych tęsknotą daleko ku Ziemi świętej? Czy ziemia dudni jeszcze krokami żołnierzy Mansfelda, idącego na spotkanie Bethlena Gabora? Czy tędy szły legie rzymskie Marka Aurelego, gdy walczył z Kwadami i Markomanami? Jaka była wtedy droga? Jaka okolica? Czy i wonczas już były tu dzisiejsze pola

kamieniste, czy też lasy zamykały widok tego krajobrazu tak zjawiskowo pięknego?

Idziemy oglądać szańce jabłonkowskie, które miały bronić ziemi śląskiej i dalszych krajów przed grożącymi najazdami Turków. Niewiele pozostało z niegdysiejszych redut, ale jeszcze istnieją rowy głębokie i szerokie o cembrowanych ścianach wewnętrznych. Znad tych rowów widać jasne ostre kreski dróg z rozsianymi nad nimi białymi chatami, zbocza gór, dźwigające się po obu stronach, a w głębi krajobrazu kontur pasma górskiego zdaje się łączyć z obłokami. Pod wielkim drzewem stoi koło umarłego szańca biała okrągła kapliczka o strzesze, uwieńczonej wieżyczką. Kto zbudował tę kapliczkę i kiedy? Na jaką intencję? Opodal między drzewami wysoki krzyż, nakryty łukiem obłego daszku. Znowu nie wiadomo, kto i z jakiej racji go postawił. W milczącej krainie pełno zagadek i tajemnic ciężkich i nieznośnych. Jest zjawiskowo piękna, uduchowiona tym wszystkim, co się o niej wie i niepokojąca ogromem tych tajemnic, które na wieki pozostaną tajemnicami.

O parę kilometrów od przełęczy biały kamień przydrożny z napisem „Slovensko“ oznacza granicę między Śląskiem a Słowacją. Mówią niektórzy, że Słowacja zaczyna się już w Mostach, gdzie ubóstwo jest większe, niż w którejkolwiek innej gminie śląskiej. Ale odzywają się też inne głosy, że granice Cieszyńskiego przebiegają dalej na południe wzdłuż prawego brzegu Kisucy i lewego brzegu jej dopływu, Czernianki. Nazwy tamtych wsi nie są bynajmniej słowackie. Istotnie, o granice między Śląskiem a Węgrami toczyły się spory aż do połowy wieku XVIII. Węgrzy domagali się granicy grzbietu górskiego, bo w takim razie posiadłości ich sięgałyby w głąb Śląska aż po Girową i Połom. Ślązacy żądali naturalnych granic rzecznych. Sprawę załatwiono niby to tymczasowo i kompromisowo, ale już tak zostało i miasteczko Czaca ze wsiami Świerczynowiec,



Kapliczka przydrożna w Skalitem (Czadeckie)

Czorne i Skalite, położonymi wzdłuż Czernianki, oraz ze wsiami Turzówka, Staszków, Rakowa, leżącymi nad Kisucą, znajdują się dziś w granicach Słowacji.

To jest właśnie owo Czadeckie, którego delegacja polska na kongresie pokojowym domagała się dla Polski jako terytorium etnograficznie polskiego. Czesi natomiast żądali całego Cieszyńskiego, motywując swoje żądania względami natury geopolitycznej i gospodarczej. Z publicystyki powojennej dowiadujemy się, że Czesi nie oczekiwali, iż otrzymają tak wiele. W układzie między ministrem Beneszem a politykiem czeskim Kramarzem stanęło na tym, że Kramarz domagać się będzie bezwzględnie całego Cieszyńskiego, zaś minister Benesz reprezentować będzie czeską ustępliwość. Namiętność i maksymalizm Kramarza ułatwiały zadanie delegacji polskiej w roku 1919, ale ciężkie perypetie wojny z Sowietami zostały ostatecznie wyzyskane przeciwko nam i sprawa Czadeckiego nie zaktualizowała się nigdy w takiej mierze, w jakiej na to zasługiwała.

Pierwszą wsią przy drodze z Mostów do Czacy jest Świerczynowiec. Krajobraz jest tu już zgoła inny, niż po północnej stronie przełęczy. Podczas gdy doliny rzek śląskich są wąskie i często zmieniają się w ciasne ciemne wąwozy, rzeka Czernianka ma dolinę szeroką o zboczach łagodnych i rozległych. Wzdłuż Czernianki biegnie linia kolejowa przez wsie Czorne i Skalite do polskiego już Zwardonia i dalej do Żywca. Droga za mostem na Czerniance rozwidla się: na prawo do Czornego i Skalitego, na lewo do Czacy. Biegnie ona dość wysoko nad doliną i gdy się jedzie do Czornego, ma się z prawej strony zbocze górskie, porosłe młodym lasem świerkowym, z lewej szeroką i głęboką dolinę z linią kolejową wzdłuż rzeki.

Ciemne domki drewniane z „przidaszkami“ i „kozubkami“, jak na Śląsku, ale w stylu tych domków jest już jakiś nieuchwy-

Kapliczka koło szańców jabłonkowskich





Tartak parowy w Oldrzychowicach

tny rys odmienny. Jeśli na Śląsku ludność podgórskich wsi nie jest zamożna, a nawet uboga, tu jest jeszcze uboższa. To się dostrzega od pierwszego spojrzenia. Pola na górach świadczą zawsze o ciężkiej i niewdzięcznej pracy człowieka. Sczerniałe chaty są wszędzie ciche i zamilkłe. Kościołek biały, opodal drogi, jest biedny. Na krzyżu przed nim głębokie westchnienie do Boga w języku słowackim. Ludzie spotykani po drodze zrezygnowani i bodaj smutni. Kobiety często gęsto w ciżmach albo boso, mężczyźni tylko z rzadka w butach. Daleko w dolinie widać ludzi przy pracy. Obok chudych łanów żyta i owsa, zagony kartofli, a wzdłuż tych zagonów kupy kamieni, które trzeba bezustannie wyrzucać z tej kamienistej ziemi. Patrzy się na tę ciężką walkę człowieka z żywiołem i raptem przychodzi na myśl życzenie podobne do zaklęcia: Bodaj ci się na kamieniu rodziło, człowieku nieznajomy i bliski!

Jakoś weselej jest w Skalitem. Przy drodze widać trochę białych domów, szkoła, gospody, sklepy. Stajemy przy kościele. Jest większy od kościoła w Czornem, a naprzeciwko sklep i stacyjka kolejowa z nazwą wypisaną na szczytowej ścianie. Na bocznych torach wagony z drzewem, jak wszędzie w tych zalesionych okolicach, gdzie dużo jest tartaków. Wszędobylski Bata ma tu swój sklep.

Pola wchodzą dość wysoko na góry. Ludzie rozumieją nas tu doskonale i odpowiadają gwarą zbliżoną do żywieckiej, ale nie brak też takich, co „shovaraju sa po slovensku". Mężczyźni jasnoocy o słomianych wąsach i twardych, porytych twarzach, jakby w kamieniu kutych. Kobiety urodziwe, ale nieśmiałe jakieś, unikające rozmowy z obcymi.



Młody skaliczanin (Skalite)

Rozkosz wędrowania po tych okolicach jest w tym, że krajobraz daje masę niespodziewanych wrażeń i wzruszeń swym olbrzymim zróżnicowaniem. Przy drodze nie brak tu kapliczek takich samych, jakie widuje się po całym Śląsku. Koło pewnej chaty widzimy oryginalną improwizację kołyski z młodym w niej skaliczaninem. Fotografujemy go skwapliwie. Po chwili nadchodzi jego matka, uradowana, że dziecko nam się podobało, i pozwala się sfotografować razem z nim. Mówi, że ma dużo pracy, że są żniwa. Nie będziemy więc zabierali czasu. Żegnamy ją dobrym słowem, życzymy szczęścia jej i dziecku i ruszamy w dalszą drogę.



Niestniejące już domy z podcieniami w Jabłonkowie

Skalite (Czadeckie) Matka z dzieckiem





Kozubowa. Ranek na szałasie

JABŁONKOWSKIE

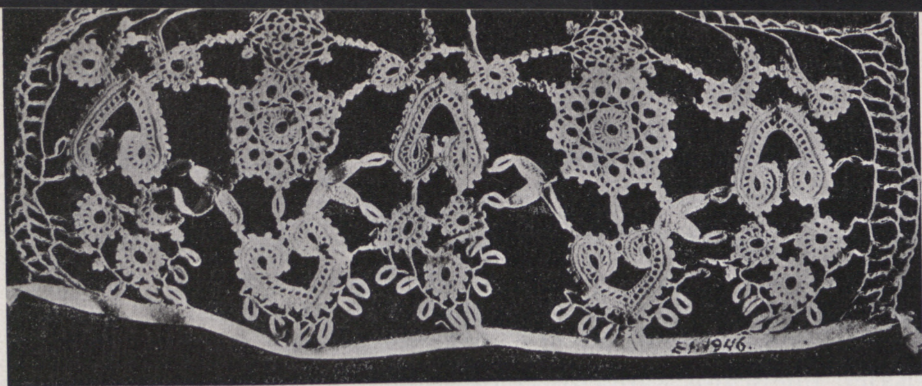
Wszystkie wsie północnej części Cieszyńskiego są mniej więcej zurbanizowane, osobliwie w okolicach przemysłowych. Natomiast wsie Jabłonkowskiego są typowymi wsiami rolniczymi, po troszc pasterskimi. Tuż za miastem horyzont się poszerza, za ostrymi konturami gór najbliższych ukazują się omglone szczyty dalsze; na

zboczach gór widać owce, śród chat stoją typowe wieżyczki dawnych szkół wiejskich, a czasem przy drodze ukaże się nagle i nieoczekiwanie aleja białych brzóz, jak na Pomorzu w okolicach Chojnic, gdzie się takie aleje brzozowe widuje bardzo często. Z gładkiego gościńca, prowadzącego na Słowację, zbaczamy w opłotki drogi wiejskiej, miejscami kamienistej i chropawej, ale ta droga biegnie śród miłych ogródków i domków, zbiega w dolinę i raduje oczy mnóstwem niespodzianek. Góry porozbiegały się na wszystkie strony, dolina stała się tu szeroka i przestronna.

Gdzie to my jesteśmy? Na ławeczce przed sklepikiem czy restauracyjką schludną, w której oknie widnieje duży karton z ogłoszeniem: L o d y — Z m r z l i n a, siedzą dwie młode kobiety i przyglądają się obcym wędrowcom. Przewija się tu tych obcych bardzo dużo, bo podczas sezonu wycieczkowego wszystko, co ma krzepkie nogi, wspina się na sąsiednie szczyty. Ciekaw jestem, czy te młode niewiasty mówią po czesku czy po polsku. Ciekawość już niejako nałogowa, ale usprawiedliwiona, gdy się chce wiedzieć dokładnie, co i jak.

Dziwnie tu jest w tych cudownie pięknych okolicach, gdzie człowiek człowiekowi tak nieludzko utrudnia istnienie. Gdy się wchodzi do sklepu, właściciel stara się zorientować, z kim ma do czynienia, zanim się odezwie. Oczywiście, na długie orientowanie klient nie pozwala, więc trzeba się spieszyć. Ale jak witać klienta? Odezwać się do Polaka po czesku — źle, przywitać Czecha po polsku — jeszcze gorzej! A przecie są jeszcze Niemcy.

Klient wchodzi do sklepu, gospodarz obrzuca go taksującym spojrzeniem i ryzykuje po austriacku „H a b d i e E h r'..." Albo gdy chodzi o kobietę: „K ü s s' d i e H a n d, g n ä' F r a u". Jeśli klient milczy, gospodarz przechodzi na język czeski. Ale jeśli usłyszy język polski, to od razu rozprostowuje się i promienieje. Ależ naturalnie, ma to i owo, chętnie służy. To samo powtarza się w restauracji. Gospodarz nie chce urazić gościa odezwaniem się w języku niewłaściwym. Nie jest to byle co, bo działacze czescy na Śląsku potrafią być wysoce niemili, gdy zostaną zagadnięci po polsku. W aptece, u fryzjera, w owocarni, panuje trójjęzyczność. Zdarza się nieraz, że w sklepie toczy się konwersacja we wszystkich trzech języ-



Koronki cieszyńskie. Muzeum Śląskie w Katowicach

kach, przy czym różnojęzyczni klienci spoglądają na siebie z chłodnawą rezerwą.

— Czy dobrze jedziemy do Karpętnej? — pytam uprzejmie.

— Niedobrze — odpowiadają z uśmiechem. — Do Karpętnej jedzie się akurat w stronę przeciwną. — Wstają i pokazują którędy trzeba jechać.

— Dziękuję. A ta miejscowość...?

— Łomna Dolna. Górna też niedaleko.

Wymieniamy uprzejme ukłony i uśmiechy. Te dziewczęta nauczyły się tak ładnie mówić w szkole polskiej. Znamy już skutki wychowania szkolnego, gdy chodzi o język polski. Ci, co chodzili do szkoły czeskiej albo niemieckiej, mówią gwarą, w której jest mnóstwo słów, nie bardzo zrozumiałych dla mieszkańca okolic Krakowa czy Warszawy. W pensjonacie ma się na przykład zacną i dobrą Zuzkę, która podaje nie podwieczorek, ale „swaczynę", gdy przeprasza, że izby dotąd nie sprzątnęła, to mówi, że zaraz ją „pokludzi", jak tylko skończy inną jakąś robotę; na panienkę nie mówi panienka, ale „frelka", gdy udziela informacji o drodze, którą należy iść, to doda, że tam a tam droga jest niedobra, „cesta szpatna", a gdy wreszcie dostaje napiwek, to dziękuje: „Pombóczek wielki zapłać!".

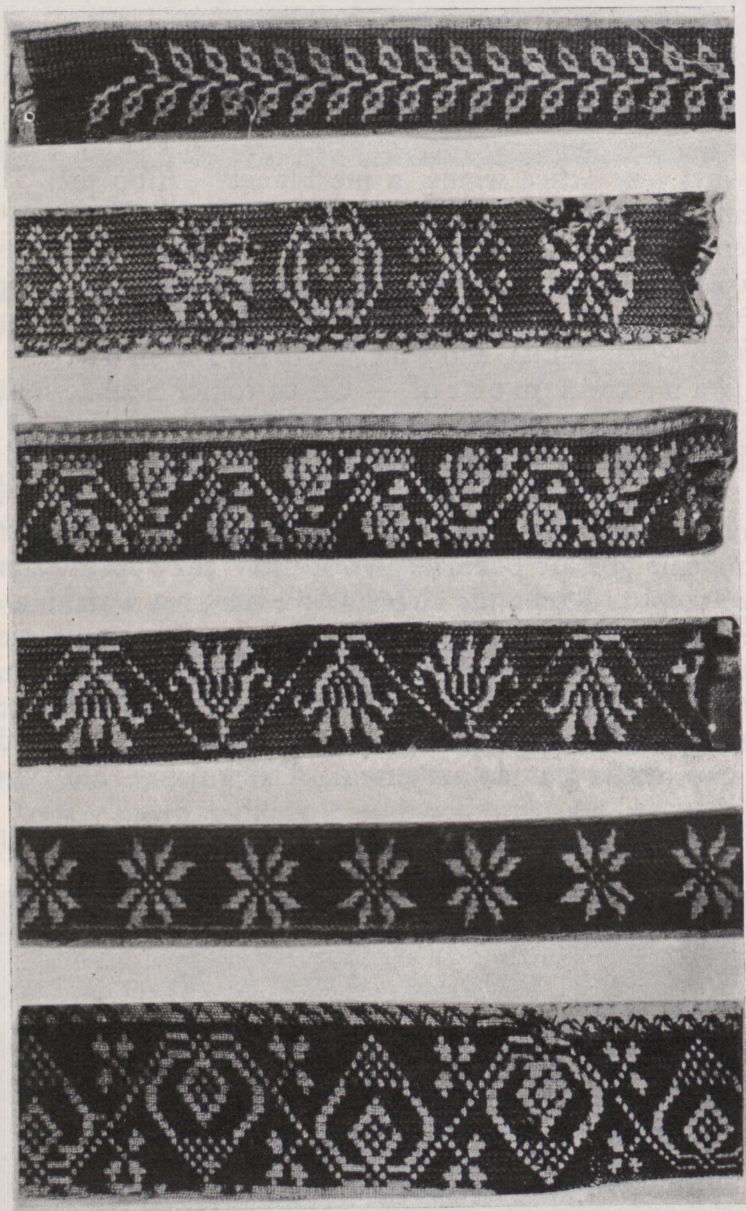
Otóż ta Zuzka wydaje się za mąż, a na jej miejsce przychodzi Zuzka inna, która mówi po polsku bardzo ładnie. Chwali się, że chodziła do szkoły polskiej w Gródku czy Bystrzycy. Ta już nie mówi czechizmami, wyniesionymi z czeskiej szkoły: nie „pokludza" izby, nie podaje „swaczyny", nie mówi „frelka" na panienkę i nie wtrąca do swoich rozmów „Pombóczka". Dziwimy się, że i jej po-

przedniczka była Zuzka i ona także Zuzka. Objaśnia nas, że na Śląsku co trzecia kobieta to Zuzka. Gdy na odpuście albo na jarmarku mąż szuka żony i zawoła: „Zuzka!“ — to się prawie wszystkie kobiety obejrzą. Zuzka w Zuzkę. Są oczywiście także inne, np. Hanny. O chłopaku, zalecającym się do dziewczyny bogatej i budzącym podejrzenie, że mu chodzi o posag, a nie o dziewczynę, mawiają, że „chce ścianę, a nie Hanę!“ Albo też: „Wolałby ścianę, niż Zuzanę!“

Jedziemy tedy w stronę wskazaną i niebawem zbliżamy się do rzeki dość szerokiej i wartkiej. Jest to Łomna, jeden z dopływów Olzy. Podjeżdżamy do mostu: zagrodzony. Czerwona chorągiewka na słupku i duży napis: P o z o r! O p r a v a m o s t u! B a c z n o ś ć! N a p r a w a m o s t u! — Co tu robić? Szukać innego mostu, szkoda czasu, zawracać niesposób! Szofer podbiega do brzegu, przez chwilę patrzy, a potem rezolutnie puszcza maszynę i z pochyłego brzegu wjeżdżamy w kryształowo czyste fale Łomnej. Rzeka nie głęboka, przynajmniej w tych dniach wielkiej spiekoty, gdy strumienie górskie poznìżały swój ostry zazwyczaj szum do cichutkiego szeptu. Rzeka nie głęboka, ale nurt ma wartki a dno kamieniste, jak wszystkie rzeki górskie. Po drugiej stronie mostu jest znacznie głębiej, a zarazem gwarniej. Tłum nagusów, mężczyzn i kobiet, używa kąpieli pod dość wysokim jazem. Miejsce to jest głębokie, jakiś naturalny zbiornik wody. Kąpielowicze machają rękoma i zapraszają do towarzystwa. Dziękujemy, ale tym razem

Stara podgórska chałupa śląska





Hafty krzyżykowe z kabotków góralek śląskich
Muzeum Śląskie w Katowicach

nie skorzystamy, bo jedziemy do Boconowic i w ogóle mamy wiele do zobaczenia, usłyszenia, poznania.

Kiedym się uczył Śląska przed wyjazdem za Olzę, zawsze wzruszały mnie nazwy miejscowości w Jabłonkowskiem i indziej, te Pioski różne, Bukowce, Łyżbice, Milikowy, Wędrynie, Tyry, Boconowice. Miły przyjaciel, Ślązak z dziada-pradziada, zatrzymał się przy nazwie Boconowic i powiedział mi: — „Wie pan, we Frydeckiem dzieci nie mówią na bociana po czesku „čáp", ale po polsku „boćoń", chociaż Frydeckie ma być już takie niby czeskie!" — Przy wyprawie do Boconowic i okolicy przypomniały mi się tamte słowa. Już wiem, że „boćoń" to gwarowa nazwa bociana, nie tylko śląska. Boconowice wywodzą się od takiego właśnie „boconia". Zbliżając się ku tej wsi, spostrzegam, że zanim rolnik osuszył te grunty, musiało tu być mokrawo i że śród mokradeł był tu niezawodnie istny raj dla „boconiów".

Rozglądam się dokoła. Chałupki niebogate, raczej wyraźnie ubogie, zagrody małe, ludzie co do jednego w polu. Spiekota straszna, praca wyjątkowo ciężka. Jedni koszą żytko niezbyt wysokie, inni ustawiają małe snopeczki w smukłe „panny", zaś dalej gdzieniegdzie owe „panny" tworzą już pękate „mandle". Z najszczerszą serdecznością wołamy tym ludziom „szczęść Boże!" — a w odpowiedzi słyszymy to samo, co usłyszelibyśmy w Poznańskiem czy Kieleckiem: „Bóg zapłać!"

Więc to są Boconowice. Przestronno tu jakoś, szerzej, znacznie szerzej, niż w okolicach Bystrzycy, w Nydku czy Wędryni. Ale też biedniej, czy co? Po ścierniskach leżą kupki kamieni. Grunt widać kamienisty i nie bardzo zapewne urodzajny. Zresztą wiadomość to podręcznikowa, że ziemia śląska jest dla rolnika skąpa, a klimat ostry i dżdżysty. Drogi też nie takie, jak te, które prowadzą z Cieszyna do Bystrzycy i Jabłonkowa. Niby niezłe, ale stanowczo niedobre, źle zwalcowane, troszkę nawet wyboiste, chropawe, nieżyczliwe dla nóg wędrowca i nawet dla kół wozu. Kamienie rozłażą się miejscami, a małe góralskie koniki spracują się porządnie, gdy trzeba zwozić zboże albo pachnące siano. Wozy czubate przechylają się często na bok i woźnica musi je podpierać, żeby się nie wywróciły. Tam, ku Morawskiej Ostrawie, Orłowej i Karwinie, ku Frysztatowi i Boguminowi drogi biegną gładkie i równe, przezna-



Ceramika jabłonkowska. Po bokach garnuszki z Beskidu. W środku talerz z XVIII wieku i dzbanuszki z Jabłonkowa. Muzeum Śląskie w Katowicach

czone dla ludzi, mających samochody. Tutaj są drogi ludzi ubogich, takie właśnie kamieniste, jak całe ich życie.

Idziemy opustoszałą wsią, bo wszyscy dorośli w polu, zaś w domu pozostały tylko dzieci pod opieką starych babuń. Stajemy przed niewielkim białym domkiem o strzesze pokrytej czarną papą. Cztery okna, pośrodku sionka. W ścianie szczytowej także cztery okna, jedno przy drugim i dwa na pięterku. Między dwoma kominami na środku strzechy smukła wieżyczka szkoły śląskiej. Tuż nad sionką pod okapem napis: „Szkoła ludowa". Jest wzruszająco miła i uboga ta szkółka wiejska, gdy ją w duchu porównywamy z demonstracyjnymi pałacami szkół czeskich, „mniejszościowych", budowanych tam, gdzie mniejszości czeskich nigdy nie było i nie ma ich dotychczas.

W Boconowicach naliczono w roku 1921 tylko 7 Czechów, w Koszarzyskach 11, w Tyrze 4 itd., ale w każdej takiej gminie już istnieje szkoła czeska. Gdyby to zależało od woli biednej ludności miejscowej, to szkoły takie stałyby pustkami, ale nacisk ze strony czeskiej jest duży, więc ludzie zależni od czeskich pracodawców posyłają dzieci swoje do tych szkół, aby nie stracić kawałka chleba. Ustawa czeska jest po prostu wzorowa, jeśli chodzi o teorię równouprawnienia mniejszości, ale też jest bezsilna, jak mało która ustawa. Działacze czescy, od starosty po ostatniego gajowego i woźnego działają wbrew niej i starają się tylko o to, aby jak najszybciej sczechizować Zaolzie.

Gdy wynaradawia biurokracja na podstawie ustaw wyjątkowych, jest źle, gdy te same rzeczy robi demokracja, jest stokroć gorzej. Tam, gdzie chodzi o demokratyczną równość, potrzebna jest nie ustawa, ale dobra wola. Tej dobrej woli nie ma, gdy strona mocniejsza pragnie wynarodowić stronę słabszą. Dla korzystania z wolności potrzebna jest siła i niezależność gospodarcza. Wiedział o tym kaznodzieja francuski o. Lacordaire, gdy wywodził, że w zatargu między mocnym a słabym wolność jest uciskiem słabego.

Od tych refleksyj na cudowny krajobraz pada cień głęboki, jak od ciemnych chmur. Ale chmur nie ma: niebo jest jasne, a słońce pali niemiłosiernie. Brzęczą kosy, po kamienistej wyboistej drodze leniwie turkoczą koła wozu, naładowanego sianem. Jeszcze nigdzie i nigdy nie pachniało mi siano tak ładnie i mocno, jak tutaj. Czyżby jakie kwiaty osobliwe syciły to siano boconowickie tak mocnym i ładnym zapachem?

Nie, już nie boconowickie, ale milikowskie. Ani się spostrzegliśmy, zapatrzeni w szeroką dolinę i w przemglone góry, jak znaleźliśmy się na trzycieży, czy może lepiej trzyścieży, to jest miejscu, gdzie zbiegają się trzy drogi. Jeśli zboczymy na prawo, to po przebyciu jakich dwóch kilometrów będziemy w Nawsiu, jeśli pojedziemy ku północo-zachodowi, to przejechawszy półtora kilometra będziemy w malutkim Milikowie. Oczywiście, jedziemy do Milikowa, w błogiej nadziei, że za nim i za bliskimi już Koszarzyskami dotrzemy do lasu, gdzie jest chłodno i tajemniczo.

Stół śląski, ławka i stołek z „uopiyrokiem"



Za nami zostały Kiczera z Kikulą, zza których dźwiga się Wielki Połom swoim mglistym szczytem, z lewej strony wznosi się Kozubowa ze Starym Gróniem i szałasami pasterskimi, przed nami w lewo Ostry, otoczony niższymi wierchami, zaś w prawo, jakoś daleko przy tej pogodzie upalnej, widnieje Wielki Stożek i Kyrkawica z Gróniczkiem, a gdzieś bardzo już daleko ku północy stoi Czantoria, której grzbiet rozczesała granica polsko-czeska.

Przejeżdżamy przez mostek na rzeczułce Czornej, o jakiś kilometr dalej jest rzeczułka Milików z dobrym na niej mostem, i niebawem jesteśmy w M i l i k o w i e. Zmieniają się nazwy wsi, ale wszędzie ziemia ta sama i ludzie ci sami co w Łomnej, Boconowicach czy Nawsiu. Spotyka się kilka krów, spętanych wspólnym łańcuchem i idących na łąkę, na przydrożach pasą się bielutkie śląskie kozy z dużymi wymionami. Na pobliskiej łączce baranek, ostrzyżony przy samej skórze, szczypie trawę. Co za szczęście, że jest upał! Byłoby mu zimno. Na łąkach mocno podskubane gęsi. Okrucieństwo? Zapewne, że towarzystwo ochrony zwierząt miałoby tu okazję do wystąpienia w obronie baranka, ostrzyżonego zbyt krótko i w obronie tych podskubanych gęsi. Ale Bóg świadkiem, towarzystwo ochrony człowieka miałoby tu więcej do powiedzenia, niż towarzystwo ochrony zwierząt.

Człowiekowi żyje się tu ciężko. Niedobory gleby i klimatu są olbrzymie, a wszystkie te niedobory wyrównać musi oracz, żniwiarz, robotnik leśny i rolny. W rozmowie ze znajomym Ślązakiem mówiłem, że mieszkańcy Śląska to urodzeni i uparci indywidualiści



M ł o d z i e ż
ś l ą s k a

i że dopiero za Dziedzicami widzi się znowu domy koszarowe, podczas gdy w całym niemal Cieszyńskiem dominuje biały śląski domek jako mieszkanie jednej rodziny. Powiedziałem też, że w ogródkach śląskich i na polach widuje się kapustę tak piękną, jak mało gdzie. Stara babunia w czystej spódnicy pochyla się nad ładnymi głowami tej kapusty, oczyszcza je i piele, aby im się dobrze rosło. Gdybym w przejeździe przez Śląsk zasnął w pociągu, a po przebudzeniu ujrzał na polu lichą kapustę, to wiedziałbym na pewno, że już jestem poza Śląskiem.



Dzban z zieloną polewą z Jabłonkowa
Muzeum Śląskie w Katowicach

Te słowa miały być wyrazem admiracji dla starej śląskiej babuni, pracowitej, troskliwej i zacnej. Dla jej wytrwałości, rezygnującej z zasłużonego wypoczynku. Bo na pewno jest ona już „wymownicą", czyli osobą, która wymówiła sobie pewne świadczenia ze strony dzieci, gdy razem z mężem oddawała im swoją skromną zagrodę. Ale pomimo to pracuje. Pragnąłem dać wyraz uznaniu dla tej pracowitości śląskiej, dla umiłowania porządku i ładu. Ale mój znajomy przyjął te słowa z delikatnym zastrzeżeniem, a raczej wcale ich nie przyjął w mojej stylizacji uczuciowej.

— Widzi pan — rzekł z ledwo dostrzegalnym uśmiechem — ta babunia odpoczywałaby na pewno, bo bywa już słaba i nieraz też jej się nie chce pleć i oczyszczać kapusty. Ale musi. Nie ma rady. Kapusta jest u nas istotnie bardzo ładna, ładniejsza, niż gdzie indziej, lecz to dlatego, że ta kapusta jest tu taka ważna. U nas, osobliwie w okolicach podgórskich, kapusta i ziemniaki to podstawa pożywienia. Kartofle wykopuje się tu starannie co do je-



Jabłonkowskie guzy srebrne Muzeum Śląskie w Katowicach

dnego, kapustę zbiera się niemal z pietyzmem, zaś gospodyni, która ma najładniejsze i najcięższe główki tej kapusty, jest nie tylko dumna, ale i szczęśliwa, że rodzina będzie miała pożywienie, które nie zawodzi. Może braknąć mięsa, może nie starczyć na chleb, ale dopóki w piwnicy są ziemniaki, a w beczkach kapusta...

— Czyżby było aż tak źle? — przerwałem mu z niedowierzaniem.

Podał mi „Dziennik Polski" ze spisem 100 polskich robotników, wydalonych z hut trzynieckich. Zajrzałem do pisma i przeczytałem „Spis robotników przeznaczonych na nieograniczony urlop", a pod tym nagłówkiem nazwiska: Niedoba, Klus, Bajtek, Raszka, Cieńciała, Turoń, Ondraszek... Sto nazwisk, a przy nich miejsca zamieszkania: Puńców Czeski, Ropica, Milików, Oldrzychowice, Bystrzyca, Końska, Wędrynia, Piosek, Wielopole...

Nieograniczony urlop! Wiemy, co to znaczy. To więc są ludzie, którzy tak starannie pielęgnują kapustę i ziemniaki, bo gdy huta wysyła ich na nieograniczony urlop, zostaje już tylko kapusta z ziemniakami. Wiadomość o masowych zwolnieniach robotników polskich z hut trzynieckich nie dała mi spokoju. Dotarłem do jednego z tych „urlopowanych". Przygotowałem się na to, że spotkam człowieka przygnębionego, ale spotkałem się raczej z pogodną rezygnacją. Trudna rada, tak, ale przecie jeszcze świat się nie kończy. Był zdania, że wszystkiemu winna ta niegodziwa polityka.

— Polityka?

— A tak. Przed wpisami do szkół zaczęli straszyć, że kto nie zapisze dzieciaka do czeskiej szkoły, ten straci robotę. Może tak, może nie, kto ich tam wie... Ale wyrzucili stu robotników, żeby przed wpisami ludzi nastraszyć.

— I nastraszyli?

— Sam pan widzi, jak tu jest. Stracić pracę, to tyle, co zejść na dziady... Ale nie dość na tym. Nasz poseł Junga poszedł do tego pana dyrektora, żeby się wstawić za robotnikami polskimi. Pan dyrektor obiecał, że już więcej zwolnień nie będzie. Poseł powtarza to swoim wyborcom. Wszyscy odetchnęli. Chwała Bogu i za to. I tak jeszcze dobrze, że się ma takiego posła, co się wstawi i pomoże. A tu masz: zwalniają drugą setkę robotników!

— Drugą setkę? Pomimo obietnicy?

— Tak już jest. I to ma znaczyć, że nasz poseł nie tylko że nam nic nie pomoże, ale jeszcze szkodzi. Że lepiej nie zwracać się do niego i wcale go nie wybierać. Takie poszło gadanie.

Przypomniały mi się wiersze Bezruča, tego Bezruča, który poezjami swymi potrafił taką rozpętać nienawiść przeciwko Polakom, jak nikt przed nim. To, co ten poeta powypisywał o polonizacji rzekomych Morawców, to ciężka blaga, bo Morawców żadnych nigdy i nigdzie nie było ani na Śląsku, ani poza Śląskiem, ale zdarzyło mu się napisać także słowo, które jest wyrazem głębokiej prawdy i wyraża pewną ustaloną na Śląsku rzeczywistość. W wierszu „Ondrasz" jest pytanie i odpowiedź: „A kto daje obce szkoły? Ten kto bogacz, kto ma huty... A w tych hutach obca mowa i dla niej się szkoły wznosi."

Tak jest istotnie. Chodzi tylko o kopalnie i huty, a człowiek jest mało znaczącym dodatkiem. W sumę zysków i strat wielkiego bilansu kopalń i hut wliczone są upokorzenia mężczyzn i łzy kobiet i dzieci. Niegdyś doskonale rozumiał to Bezruč, gdy pisał o górniku, który kopie pod Polską Ostrawą, w Rychwałdzie i Pietwałdzie, w Dąbrowie i w Orłowej, w Porębie i Łazach, w Gruszowie i w Michałkowicach, podczas gdy gdzieś pod Godulą żona jego z drobnymi dziećmi drży z chłodu i płacze z głodu. Tylko że wtedy chodziło o górnika „morawskiego". Dzisiaj chodzi już tylko o górnika i hutnika polskiego.



Pasterz na Kozubowej



Szkoła w Koszarzyskach W głębi dolina Olzy i Wielki Stożek

Ale już jesteśmy daleko za Milikowem, przejeżdżamy przez most na rzece Kopytnej i wjeżdżamy do Koszarzysk. „Kosar albo kosarz to zagroda z żerdek albo deszczek, gdzie się owce zapędza na nocleg albo do dojenia" — powiada Słownik gwar polskich Karłowicza. A więc Koszarzyska to miejscowość, gdzie takich kosarów było dużo. Przypominają się łagodne zbocza Kozubowej, widziane z doliny Łomnej, ciemniejące lasami, zielone od wielkich łąk, a niżej pod pastwiskami upstrzone szachownicami zbóż i ściernisk o różnych odcieniach. Tam stoją wysokie trójkąty kolib krytych szyndziołem, a pod wielkimi rozłożystymi drzewami bieleją stada owiec. Szałaśnictwo kwitło tu jednakże tylko dopóki góry były niczyje. Gdy komora arcyksiążęca zabrała się do systematycznego zalesiania gór i gdy nawet ubogim chałupnikom odbierała „pasionki", czyli rodzaj serwitutów, umożliwiających biednym ludziom trzymanie krówki, szałaśnictwo przestało być tym, czym było niegdyś i dzisiaj jest już zjawiskiem szczątkowym.

Powiało chłodem miłym od wspomnienia doliny Łomnej i od lasu, do którego wjeżdżamy. Ale przedtem ustalonym już nałogiem szukamy szkółki wiejskiej ze smukłą na niej wieżyczką. Podchodzimy ku niej łąką kwitnącą na łagodnym zboczu od strony łanu chudego żytka, stojącego tu cicho jakby w zamyśleniu nad niedolą człowieka. Niewysokie żytko, kłosy cienkie, ale za to co za przepych panoramy! Szkółka zbiegła z pagórka w wąwozik drogi wiejskiej między drzewa, a tuż za nią dźwiga się łagodnie drugie zbocze, na którym Pan Bóg zasiał las, a oracz sieje żyto, czyli po tutejszemu „reż" i sadzi kartofle pod tym żytem.

Szkółka jest ciemna w tonie, ale ma jasne ramy okienne i jasną w słońcu wieżyczkę. Za nią w dolinie szerokiej jaśnieją białe domki śląskie, Bystrzycę widać jak na dłoni. Gdy się położyć na zielonej łące, wygrzanej słońcem i patrzeć na ten niewypowiedzianie piękny świat śląski z dołu, to krzyż wieżyczki szkolnej wyrasta ponad linię wysokich gór, a na wysokości strzechy szkoły koszarzyskiej jaśnieją domki, w których mieszka troska o chleb powszedni, o dzieci, na które czyha obca bogata szkoła, o pracę, którą mogą odebrać... Ale mieszka w tych domkach także miłość, dobroć i poświęcenie. Ta wierna miłość zostanie, gdy wszystko inne minie.

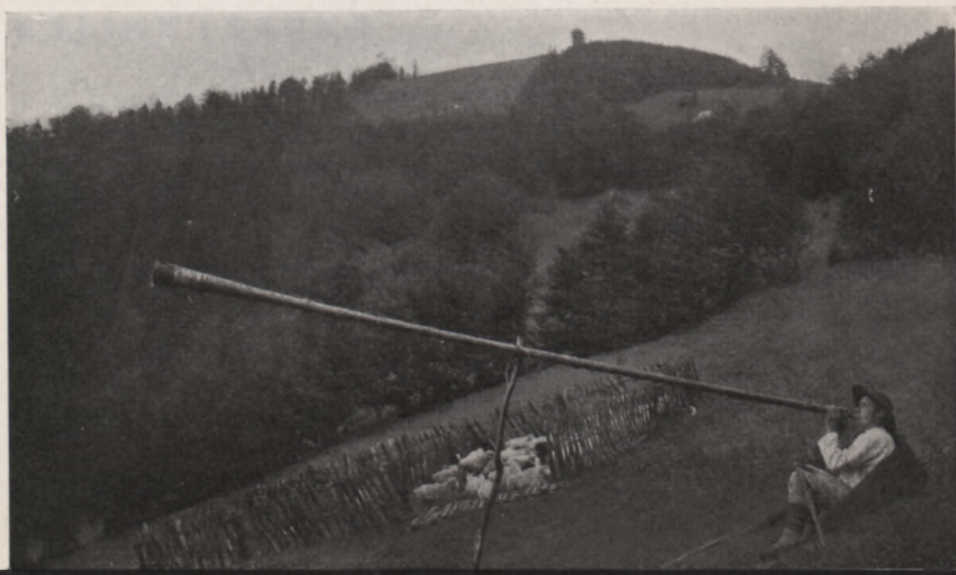
Za mną pracuje ciężko mały konik góralski, ciągnący wóz siana. Pomaga mu jego gospodarz popychając ciężki wóz. W pewnej chwili konik przystaje, żeby odzipnąć. Ciężko jest ciągnąć taki wielki wóz pod górę.

— Hej, Bocek, pódźcie przyciść! — woła gospodarz, zwracając się do przechodzącego sąsiada.

Siadam na murawie i uważam. „Pódźcie przyciść", to znaczy, że ten wóz trzeba popchnąć, przycisnąć. Taki jest skrót tego czasownika. Jakże brzmiałoby podobne wezwanie po morawsku czyli czesku? „P o j d't e s t r k a t!" Albo może: „P o j d't e t l a č i t!" To „przyciść" nie mogło tu przyjść z Polski współczesnej. Ono tu jest od wieków. To przecie tutaj siedzieli Białochorwaci, których mowa skrystalizowała się w Krakowskiem w literacką polszczyznę. I właśnie dlatego, że ten szczep polski w Cieszyńskiem był tak długo odcięty od własnego pnia macierzystego i że jego język nie przystosowywał się do współczesnego języka polskiego, jest on tak bardzo podobny do polszczyzny średniowiecznej.

Taki jest wywód uczonego czeskiego, Adamusa, który doszedłszy do wniosku, że Cieszyńskie było zawsze i jest dotychczas kra-

Kozubowa
Wieczorem na szałasie



jem wybitnie polskim co do zaludnienia, nie zawahał się powiedzieć o tym swoim rodakom czeskim. Stał się niepopularny. Polemizują z nim różni gospodzcy z Ligotki Kameralnej, ale gospodarz z Koszarzysk potwierdza te wywody swoim wezwaniem do sąsiada Bocka skierowanym: „Hej, Bocek, pódźcie przyciść!" Spolszczony Morawiec nawet po stuleciu nie zdobyłby się na taki skrót.

Morawiec wołałby inaczej, gdyby w ogóle istniał. Ale Morawiec to fikcja polityczna, której w życiu nic nie odpowiada. Można się tylko uśmiechnąć i iść dalej. Jednakże to nie tak łatwo. Trzeba jeszcze przyjąć do wiadomości, że przed wpisami nauczyciele polscy otrzymują od władz szkolnych okólnik, w którym surowo zakazuje się im propagowania szkoły polskiej. Ale nauczyciele czescy okólników takich nie otrzymują. Kierownicy szkół czeskich w asyście oddanych sobie ludzi chodzą i agitują, szafując obietnicami i groźbami. Ich agitacja nie pozostaje bez skutku. Młodzi nauczyciele polscy dowiadują się, że władze szkolne mają zamknąć tyle a tyle klas polskich i obawiają się, że spadną z etatu. Są smutni i bezradni.

Ale nie tylko oni. Jakże się nie smucić wobec faktu, że mieliśmy w Zaolziu jeszcze w roku 1921 około 23 tysięcy dzieci w szkołach polskich, gdy dzisiaj mamy ich tylko 9 tysięcy z czymś. Resztę zapędzono do szkół czeskich obietnicami przywilejów i groźbami, że wychowankowie szkół polskich nie otrzymają pracy i nie znajdą posad. Lud śląski jest niestety ubogi. Musi pracować, aby żyć i musi tę pracę brać z rąk ludzi, którzy do tej pracy przywiązują swoją szkołę niby jarzmo kaudyńskie, przez które dostać się można do kromki suchego chleba.



Olza w okolicy Końskiej powyżej „Baliny"

KALINY I SARNA

Z Koszarzysk do Karpętnej jedziemy lasem. Ze słonecznej spiekoty wjeżdżamy od razu w dobroczynny cień i w głębokie milczenie. Z lewej strony drogi dość stroma spadzistość, a w gęstym poszyciu panuje już nie tylko półmrok, ale ciemność. Po stronie prawej jest las, o którym można by powiedzieć, że dojrzał do wyrębu. Grube pnie świerków, stuletnich może, stoją jeden przy drugim jak

kolumna przy kolumnie w egipskiej świątyni w Luxorze. Wrażenie potęguje jeszcze ten niesamowity fakt, że w całym tym lesie nie ma ani śladu zieleni. Nic, tylko rdzawe igliwie i rdzawe grube pnie. Na tych pniach jedynie tu i owdzie widać jeszcze suchą gałązkę, której wiatr nie oderwał tylko dlatego, że tu w ogóle nie dociera. Ten las stoi jak skamieniały.

Spoglądamy w górę i szukamy zielonych czubów: nie widać ich. Mrok jest tu gęsty i nieprzebyty dla oka. Po lewej stronie drzewa są mieszane: iglaste i liściaste. Pod ciemną spadzistością słychać szmer głębokiego niewidzialnego strumienia. Od grubych rudych pni świerków nie można oderwać oczu, takie są dziwnie stłoczone i znieruchomiałe. W pierwszej chwili wydaje się, że to jest las umarły, może zniszczony przez mniszkę, że tak absolutnie żadnej nie widać zieleni. Ale nie, ten las jest żywy. Niewielkie poręby pozwalają miejscami przedrzeć się światłu i wtedy widać całą okazałość tych pni wysokich, które czekają w skamieniałym milczeniu na chwilę, gdy człowiek zacznie robić z nich słupy telegraficzne, nabuduje z nich chat, użyje ich za podpory w kopalniach, natrze z nich desek w licznych tutejszych tartakach.

W tej martwocie i ciszy droga zdaje się nie mieć końca. Liczba pni widzianych na niewielkiej przestrzeni staje się mnożnikiem przebytych metrów i usposabia uczucie do przesady. Zdaje się, że tego niesamowitego lasu jest ze sto kilometrów. Aż dziw, że się tak uchował! Leśnicy mówią, że z sadzonek kultury leśnej tylko niewielka część się przyjmuje i rozwija normalnie, aby następnie przemienić się w las, a tu na dużych przestrzeniach drzewo przy drzewie!

Po lewej stronie przejaśnia się trochę. Drzewa zostały tu zdziesiątkowane. Widać sporo odziemków po ściętych świerkach, ale gąszcz i tak jest duży. Wtem z prawej strony skamieniałego lasu pada blask niespodziewany jak nagłe machnięcie olbrzymiego mie-



Oldrzychowice
Szkoła polska

Oldrzychowice Szkoła czeska



cza, niematerialnego i niesłyszalnego. I znowu! Co to? Pożar nagły? Olbrzymia połać tego dziwnego lasu staje nagle w fioletowych płomieniach. Mrok otrzymuje kolorową jaskrawą perspektywę. Widać dalekie głębie lasu i niezliczone mnóstwo starych grubych pni.

Zdaje się, że za chwilę da się słyszeć trzask płonącego smolistego drzewa i że z lasu buchnie żar. Ale jest cicho. Więcej niż cicho: uroczyście. Jesteśmy zdezorientowani. Zdawało się, że słońce mamy po lewej ręce. Jest inaczej: w jakiś niepojęty sposób dostało się w ten gąszcz leśny i sprawuje tu swoje odwieczne misteria, ujęte w proste słowo ewangelisty, że światłość w ciemności świeci. Barwa tego potężnego światła, jego milczący spokój, głęboka cisza leśna i mrok reszty lasu — to widowisko godne tysięcy oczu, ale nikt nie patrzy na te wspaniałości prócz nas. Jesteśmy skrępowani i zaskoczeni, czy nawet zaniepokojeni, jak bylibyśmy zaniepokojeni widokiem tragedii greckiej, dawanej w olbrzymim teatrze trzem, czterem widzom.

Z zamyślenia budzi nas leniwy turkot kół wozowych. Ciężki wóz zaprzężony w wielkie morawskie konie, wiezie na rozstawionych osiach trzy pnie tych powalonych olbrzymów leśnych, spętane łańcuchem. U wylotu drogi przed nami widać jasne światło słonecz-

Prawdziwa Sedzina
Do Nieba
Z Pisma Swientego dokazana
Droga
To jest:
Nauka Katolicka
Obsienqujonc w sobie, co Pan JEzus
objawil, Apostolowie po wszytkim Swiecie naucza-
-li, a kazdy do Zbawlenia wierzyć powinien.
Z Dokazem
Ktorego Wieku mianowitsze Kacerstwa
powstaly, a potempione byly.
Jak tez z przydanim
Niektorych naboznych Modlitw/ a Przy-
prawy ku szczensliwey Smierci, z przy-
lonczenim
Roznych Piesni.
Wydana przez Ksiendzow pod Kom-
forn Cysarskom Ksionzenctwa Cieszynskigo we
Winnicy Pana JEzusowey pracujoncych.
Za osobliwym Powolenim Wierchnosci
Duchowney, y Swieckiey.
W Oppawie, durk. Jan W. Szyndler, 1761.

Stara polska książka do nabożeństwa z r. 1761

ne. To już będzie Karpętna. Jaskrawy fiolet feerii leśnej przygasa. Na szerokiej porębie leżą pnie świerków, odarte już z kory. Liczne sągi drzewa opałowego stoją jeden przy drugim.

Wyjeżdżamy z lasu i szofer idzie do domku gajowego, aby opłacić przepisowe dwie korony za skorzystanie z drogi leśnej. Bo lasy są państwowe i droga jest także państwowa. Popołudnie staje się głębokie, linia gór zyskuje na wyrazistości, panorama cudowna. Polska szkoła ludowa, zbudowana w roku 1874, czysta, biała skromna, z typową wieżyczką szkół śląskich, uwieńczoną krzyżem skombinowanym z piorunochronem. Opodal duży konkurencyjny gmach czeskiej szkoły „mniejszościowej", aby każdy mógł porównywać i wnioskować. To się widuje i w innych gminach. Na przykład w Nydku obok starej ubogiej szkoły gminnej, oczywiście polskiej, bo tam Czechów nigdy nie było, stoi dzisiaj pałac szkoły czeskiej.

Ruszamy dalej i znowu przez las. Wysokie ładne drzewa liściaste, szerokie drogi, bogate poszycie i zatrzęsienie kalin z pękami czerwonych korali. Powietrze boskie. Buki wyrosły tu grube i twarde jak z kamienia, a wszędzie te wspaniałe kaliny. Napatrzeć się nie można. W lesie pusto i cicho. Ludzie, którzy otrzymali zezwolenie na zbieranie jagód i grzybów, chodzą śród drzew cicho jak cienie, żeby nie płoszyć zwierzyny. Na środku drogi zatrzymuje nas niespodzianie leśniczy i kłóci się z szoferem, iż ośmiela się jechać drogą leśną. Szofer pokazuje pokwitowanie z opłaty przepisowych dwóch koron. Leśniczy jest nieubłagany. Nic go to nie obchodzi: nie wolno! Tłumaczymy mu, że ostatecznie wszystko jedno czy będziemy musieli zawrócić, czy też pojedziemy dalej. Po długim gadaniu macha wreszcie ręką i pozwala nam jechać dalej.

Szkoda, że go spotkaliśmy, bo czujemy się nagle intruzami w tym pięknym lesie, pełnym śpiewanych kalin. Kilku ludzi z koszykami idzie cicho, jak na palcach. Milczenie jest widać nakazane. Nagle z lewej strony drogi leśnej na dużej polance śliczna zwinna sarenka wpatruje się w nas ciemnymi wilgotnymi oczami. Zatrzymujemy auto i patrzymy na miłe stworzonko. Sarna stoi i strzyże uszami. Wcale nie jest płochliwa, z czego nie trudno się domyślić, że ochrona zwierzyny musi tu być bardzo ścisła. Może zwierzątko przywykło nawet do otrzymywania smakołyków od swoich opie-



Widok na szczyt Goduli (737 m) z Ligotki Kameralnej

kunów. Nie mamy pod ręką nic, żeby się o tym przekonać. Wreszcie sarenka tupie czarnym kopytkiem i jak strzała biegnie w las. Jedziemy pod wrażeniem miłego spotkania dalej, pełni franciszkańskiej życzliwości dla wszelkiego stworzenia leśnego.

Opuszczamy las i wjeżdżamy do Oldrzychowic. Jesteśmy jeszcze w Jabłonkowskiem, ale już na pograniczu. Jest tu zresztą tak samo jak w innych wsiach tego powiatu. Za czasów austriackich było tu zaledwie kilku Czechów imigrantów, po spisie czeskim z r. 1921 okazało się, że Polaków jest już tylko 68,2%. Nie znaczy to bynajmniej, że reszta ludności tej gminy to Czesi. Wiadomo, że według ostatniego spisu austriackiego z roku 1910 w Zaolziu było 140.000 Polaków. Spis czeski w roku 1921 naliczył Polaków tylko 69.360, czyli mniej niż połowę.

Znam treść memoriału „dotyczącego skargi mniejszości narodowej polskiej w Czechosłowacji z powodu pokrzywdzenia jej przy spisie ludności, przeprowadzonym w grudniu 1930". Memoriał ten podpisany jest „w Czeskim Cieszynie, d. 7 marca 1931 roku. Za mniejszość polską w Czechosłowacji: Emanuel Chobot i Dr Jan Buzek, posłowie do Narodowego Zgromadzenia Republiki Czechosłowackiej." Ten memoriał dotyczy krzywd, jakich dopuszczano się na ludności polskiej podczas spisu ludności 1930 r. O spisie z r. 1921 pisano dużo, bo wtedy przekreślono większą część mieszkańców narodowości polskiej w Zaolziu.

Otóż z memoriału tego wynika, że przy spisie wprowadzono w grę ogromnie wycieniowaną narodowość śląską, jakiej świat nie znał i nie zna dotychczas, a mianowicie zapisywano Ślązaków-Czechosłowaków, Ślązaków-Niemców, Ślązaków-Polaków, Ślązaków-Ślązaków i wreszcie Ślązaków bez dodatku. Nie dość na tym, bo prócz tego starano się usilnie, aby rubryki były należycie wypełnione owymi Ślązakami różnej obserwancji. Komisarzami spisowymi byli przeważnie albo wyłącznie Czesi spośród eksponowanych działaczy czeskich, i ci zapisywali co im się podobało. Mieszkańców, którzy podawali narodowość polską, starano się nakłonić do podania narodowości czeskiej, a przynajmniej jednej z odmian narodowości śląskiej.

Memoriał ten liczy 17 wielkich stronic materiału. Jest to krzyk przeciwko już nie jakimś wybrykom jednostek, ale przeciwko systematycznemu i premedytowanemu deptaniu ustaw czechosłowackich, zapewniających teoretycznie równość i wolność wszystkim obywatelom bez różnicy. Memoriał ten pozostał głosem wołającego na puszczy. Ale gdy zaglądamy do statystyk czeskich, aby dowiedzieć się, ilu też istnieje owych wycieniowanych Ślązaków, nie znajdujemy ich w żadnej rubryce. Narodowość śląska jest tu taką fikcją jak morawiecka. Poza tym starano się ludzi nastraszyć i nieraz grożono im utratą pracy za to, że przyznają się do narodowości polskiej. Memoriał mówi o tym niedwuznacznie i przytacza imiona i nazwiska licznych świadków.

Że przy takich metodach spisowych znalazło się w tych Oldrzychowicach aż 68,2% ludności polskiej, czyli 68 obywateli na 100, którzy mieli odwagę walczyć z komisarzami spisowymi, z żandarmami i z działaczami Macierzy Czeskiej, to istne bohaterstwo Aby to zrozumieć w pełni, trzeba przeczytać ten memoriał, lub choćby tylko taki drobny ustęp, który jest skargą p. Ernesta Wolfa, rolnika i wybitnego działacza polskich organizacji miejscowych w Zabłociu. Człowiek ten, liczący przeszło 50 lat, pisał w r. 1931:

„W kilka dni po spisie przyszedł do mnie żandarm pan Ondráš i pytał się mnie, do jakiej szkoły ja i moja żona chodziliśmy. Ja mu odpowiedziałem na to, żem chodził do szkoły czeskiej, ale jednak nas uczył nauczyciel polski, który po odejściu ze Zabłocia został kierownikiem polskiej szkoły ludowej w Łąkach i tam uczył

aż do swej śmierci... Później żandarm pytał, jakiej narodowości jesteśmy, ja mu na to, że polskiej; do jakiej szkoły chodziły dzieci, ja na to, że do polskiej i do niemieckiej. Za parę dni przychodzi drugi żandarm p. Eineigel (vrchni — starszy) i pyta się mojej żony, gdzie ja jestem. Żona odpowiada, żem gdzieś poszedł. Zaczął się żony tak samo wypytywać o szkołę, dzieci. a żona mu tak samo odpowiedziała jak ja. Na drugi dzień znowu przyszedł ten sam vrchni i znów o to samo się pyta, jak ten pierwszy. Ja mu odpowiedziałem tak samo, jak pierwszemu. Później mi mówił, że moja matka była Cze-



Wnętrze kościoła ewangelickiego w Ligotce Kameralnej

szka, że pochodziła z Klimkowic. Ja mu odpowiedziałem, że się tam tylko narodziła, a że jej ojcowie pochodzili z Rychwałdu, a że moja matka nie miała jeszcze spełna trzy lata, jak ją siostra jej matki wzięła do siebie, ponieważ jej matka umarła. Takie dziecko więc ani dobrze mówić nie umiało i gdyby ją byli dali cyganom, toby była mówiła po cygańsku. Że ja chcę iść do pana hetmana do Frysztatu opowiedzieć, że aż mnie tu więcej żandarmów nie posyłają, bom żadnego nie zabił, ani żadnego nie okradł. Zapisałem się Polakiem, a jestem może lepszym republikanem, niż ci wszyscy Czesi, co aż do podziału Śląska byli germanami, a teraz zaś są za-

żartymi Czechami. Jestem przecie za polskie stronnictwo wybrany do wydziału gminnego i tak zostać musi."

Gdzie indziej w ten sposób dochodzą żandarmi zbrodni. Ten drobny przykład jest jednym z wielu. Polak w Zaolziu nawet żandarmom tłumaczyć się musi ze swej polskości, przy czym żandarm sam banalny fakt uczęszczania do szkoły czeskiej chciałby wykorzystać jako kryterium przynależności narodowej, ale na pewno nie zgodziłby się uważać automatycznie za Polaka każdego, kto chodził do szkoły polskiej.

Cudowny jest ten kraj śląski, otoczony wieńcem wysokich gór, pożłobiony niezliczonymi strumieniami, potokami i rzekami, sfalowany wzgórzami, powyginany w doliny urocze, ale żyje się tu człowiekowi źle. Gleba tu ciężka i nieurodzajna, klimat ostry, chłodny i dżdżysty. Gdy mieszkańcy tej ziemi uporali się jako tako z tym wszystkim, co im życie utrudniało, gdy praca pokoleń całych zdołała wreszcie oczyścić kawałek ziemi z kamieni i pobudować zagrody, aby móc żyć nieco spokojniej, przyszli obcy władcy, którzy zagarnęli ziemię i kopalnie, czyniąc z tych bogactw jarzmo na szyję ludu pracującego. Odbierano człowiekowi pracy owoc jego wysiłku, a gdy po straszliwej wojnie przyszło wreszcie wyzwolenie, nastała konieczność bronienia własnego języka.

Chodzę po Oldrzychowicach przytłoczony tymi myślami i zdaje mi się, że to już bardzo dawno od chwili, gdy widziałem w lesie koszarzyskim bogactwo starodrzewu i przepych blasków słonecznych. Gdzieś daleko zostały czerwone kaliny i sarenka, patrząca na przejezdnych ciemnymi wilgotnymi oczami. W lesie było może dlatego tak dobrze, że nie widziało się tam tego człowieka, który na tej ziemi uważa siebie za źródło prawa i w sposób nieludzki zatruwa życie wszystkim od siebie zależnym. Człowiek człowiekowi wilkiem. Widziałem tu ludzi, płaczących w bezradności swej wobec przemocy, i zrozumiałem te niedobre uczucia, jakie muszą się rodzić w sercach, skazywanych na pomiatanie i upośledzenie.

Nadchodzi wieczór. Ukośne złociste promienie słońca pogodnie i cicho padają na masę drzewa, leżącego na dziedzińcu tartaku oldrzychowickiego. Kilku ludzi dźwiga tam ciężkie kłody, nakłada deski na wóz, nawołuje się wzajemnie. Tutaj zarabiają dzisiaj na



Ropica k. Cieszyna. „Bielidło". Muzeum prywatne

kawałek chleba, ale jutro? Każdy wojujący nacjonalista może tu robić z człowiekiem pracy, co mu się podoba. Każe zapisać się robotnikom swoim w rubryce Ślązaków-Ślązaków, Ślązaków-Czechów, czy jak tam jeszcze i nie ustąpi. I tak oto upływa tu życie na powtarzaniu tego wszystkiego, co już dawniej robili Niemcy w Czechach, a Węgrzy w Słowacji, gdy byli panami życia swoich poddanych. Mieli tylko tę wyższość moralną nad swoimi kopistami, że mówili wyraźnie i jasno, do czego zmierzają i nikomu nie mydlili oczu obłudnymi twierdzeniami, że jest demokracja, równość i braterstwo z dodatkiem wzajemności słowiańskiej. Dzisiaj mamy tu zupełnie to samo, tylko w wydaniu znacznie gorszym. I to się będzie powtarzało, dopóki ludzkość nie zmądrzeje i nie zrozumie, że wsie patiomkinowskie, budowane gdziekolwiek i przez kogokolwiek, są zawsze śmieszne.

Ze wzruszeniem patrzę na starą szkołę polską, zbudowaną bardzo dawno, i na nową z r. 1906, okazalszą. Ile pokoleń polskich przeszło przez te szkoły! Panowali Austriacy, ale szkoła była polska. Dopiero teraz, pod panowaniem bratnim, pisze się tej szkole polskiej zagładę i buduje się obok niej wielką kosztowną i zbędną szkołę czeską.

Przechodzę przez dziedziniec dużego gospodarstwa. Ładny czysty dom mieszkalny, duże, obszerne zabudowania gospodarcze. Wracają krowy z pastwiska, kiwając głowami rzeczowo i mądrze i podzwaniając dzwonkami o tonach bardzo niskich. Każdy dzwonek ma inny ton. Tylko młode jałówki i cielęta mają dzwoneczki jasne, podzwaniające wesoło. Krowy idą prosto do obory szeroko rozwartej i zajmują swoje przegrody. Chce im się pić, więc pyskiem otwierają przykrywki poideł i szukają wody. Pod naciskiem pyska krowiego otwiera się wodociąg i woda płynie tak długo, jak krowa pije. Gdy ma dość i cofa pysk, poidło zamyka się automatycznie, woda przestaje płynąć. Na czarnych tabliczkach nad przegrodami imiona krów i jakieś daty. Porządek wzorowy.

Gospodarza nie ma, pracuje w polu. Gospodyni, zakłopotana trochę obecnością obcych, ale uprzejma, mówi nam o krowach swoich, o drobiu rasowym, pokazuje to i owo. Chce mi się bardzo pić po długim wędrowaniu w słonecznej spiekocie. Dziewczyna niesie wiadro wody od pompy. Czy mogę prosić o szklankę wody? Gospodyni promienieje życzliwym uśmiechem i znika w domu. Zaraz da mi się napić. Po chwili wraca z butelką i sporymi kieliszkami. Nalewa. Jakże jej odmówić, choćby się było po stokroć abstynentem? Wącham złocisty napój. Wino. Może Sauternes? Pachnie ładnie i smakuje doskonale. Domyślam się, że jest to wino domowe, może z porzeczek. Pytam, co za wino, że takie doskonałe. Dowiaduję się, że jest to takie sobie wino domowe z „moiczków".

Co zacz te „moiczki"? Duże żółte kwiaty, którymi złocą się łąki w maju. Wreszcie okazuje się, że to mniszek. Ale jak z tych kwiatów robią takie dobre wino? Rwie się te kwiaty w takich a takich ilościach, dodaje się trochę liści mleczowych. Po zagotowaniu w odpowiedniej ilości wody zalewa się je melasą i pozostawia przez sześć tygodni fermentacji. Potem można już wino zlewać. Gdy postoi rok albo dwa jest wspaniałe. Jestem pełen podziwu dla inwencji gospodyń śląskich i szacunku dla złocistego niewinnego kwiatka, który tak trudno podejrzewać o jakikolwiek udział w alkoholizmie.

Dziękuję za gościnę i wino, aby ruszyć dalej. Chcę jeszcze zobaczyć wieś Rzekę nad potokiem tej samej nazwy, jej ciekawe kamieniołomy i modne letnisko, a dnia już niewiele. Między opłotkami

idzie sobie starowina o dziecinnej twarzy i naiwnych poczciwych oczach. Jest zapewne stary, chociaż dziwnie niepoważny. Na głowie ma znoszony kapelusz, na nogach podarte spodnie. Prowadzi krowy i uśmiecha się głupkowato. Pastuch?

Takich typów o wybitnych cechach zwyrodnienia i infantylizmu, czasem łącznie z niedorozwojem fizycznym, garbatych, pokrzywionych cudacznie, widuje się tu bardzo dużo. Pracują ci nieszczęśliwi, gdy znajdują jaką taką pracę, albo włóczą się z miejsca na miejsce. Skąd się ich tu bierze aż tyle? Mówią mi, że to są skutki alkoholizmu całych pokoleń. Czyżby Ślązacy byli takimi pijakami? Owszem, nie brakło śród nich pijaków, ale to cała historia. Można by powiedzieć, że nawet bronili się przed alkoholizmem, ale panowie śląscy, osobliwie komora cieszyńska, mieli dużo gorzelni i potrzebni im byli odbiorcy wódki. Tym spożywcą wódki musiał być biedny lud śląski, czy chciał, czy nie chciał. Na głowę przypadało tyle a tyle wódki do wypicia i zapłacenia i rady na to nie znajdowano. Powtarzało się tu z wódką to samo, co we Francji było z solą. Tam chłop musiał spożyć tyle a tyle soli rocznie i wymigać się od niej nie mógł.

Ostatecznie sól można było znieść jakoś, ale wódka, pita pod przymusem, to już sprawa gorsza. Te typy zwyrodniałe, których widuje się tu tak wiele, to właśnie ofiary prawa propinacyjnego. Ludzie, którzy ziemię swoją mierzyli kilometrami kwadratowymi albo dziesiątkami tysięcy hektarów, zmuszali innych ludzi, aby kupowali wódkę z ich gorzelń. Można było wylewać tę truciznę, ale wtedy wierzono, że wódka jest doskonałym pożywieniem, a nawet lekarstwem, więc ją sumiennie pito. Czasem próbowano wyzwolić się z tych pęt nakazanego alkoholizmu i korzystano z każdej nadarzonej sposobności, aby obalić prawo propinacyjne, ale nie zdało się to na nic. Gdy na początku zeszłego wieku wódka była tak podła, że ludzie chorowali po jej wypiciu, gminy niektóre zwracały się do samego cesarza. aby poddanych swoich uwolnił od przymusowego pijaństwa. Ale cesarz nie odważył się na ten krok rewolucyjny. Nakazał tylko, aby gorzelnie dawały w przyszłości wódkę lepszą. Czy właściciele gorzelń przystosowali się do nakazu cesarskiego, o tym kronikarz milczy.

Z Oldrzychowic do R z e k i jest jakie sześć-siedem kilometrów, raczej więcej, bo trzeba kluczyć drogami bocznymi bardzo byle ja-

kimi, jak w Boconowicach, Milikowie, Koszarzyskach. Słońce schyla się ku zachodowi, ale na polach dużo jeszcze robotników. Niektórzy dopiero teraz zaczynają pracować, bo cały dzień spędzają w pracy poza domem. Dolina Rzeki jest bardzo ładna. Z dala widać Godulę, osnutą legendami ludu śląskiego, po lewej stronie wznosi się wirszek Guciański, mający 737 metrów wysokości, a za nim Ropicznik takiej samej mniej więcej wysokości. Rzeka bierze swój początek na zboczu Ropicy i wartkim nurtem zmierza ku Olzie, z którą łączy się w Sibicy. Droga jest bardzo ładna w wąziutkiej zrazu dolinie Rzeki. Po prawej stronie jest malowniczy kamieniołom. Warstwy kamienia różnej grubości układają się niemal poziomo z lekkim pochyleniem w stronę prawą.

W dolinie Rzeki chłód jest czerstwy i miły po upalnym dniu. Raptem dolina poszerza się i jesteśmy u celu, w kotlince, którą otaczają zalesione zbocza gór: Ropicznika, Ropiczki, Ropicy, Jaworowego i wirszka Gucjańskiego. Dawniej była tu restauracja i mieszkańcy Cieszyna, Trzyńca, Jabłonkowa czy Bystrzycy chętnie spędzali w tej kotlince parę godzin, osobliwie w dni gorące. Teraz rozbudowano restaurację w pensjonat, wykopano obszerny basen, usypano plażę i nowa miejscowość letniskowa stała się od razu modną. Trzeba dodać, że na całym Zaolziu daremnie szukalibyśmy miejscowości, która choć z daleka przypominałaby Wisłę. Przed podziałem Cieszyńskiego do Wisły jeździli także letnicy zza Olzy, po podziale mieszkańcy Zaolzia korzystają z letnisk w Opawskiem i sąsiednich Morawach.

LIGOTKA KAMERALNA

Z Rzeki do Ligotki Kameralnej przez Śmiłowice będzie jakie sześć-siedem kilometrów. W pobliżu jest tu wioska Guty z przepięknym kościołkiem drewnianym z XVI wieku, dalej Niebory, a za nimi Trzyniec ze znanymi hutami. Nazwy sąsiednich miejscowości rewelacyjnie polskie: Gnojnik, Trzanowice, Żuków, Trzycież, Wielopole... Gdy się z Rzeki jedzie do Ligotki, to między pobliską Trzycieżą a Gnojnikiem widać niewielkie gaiki, a na zboczu gnojnickim ciemnieją kontury — czego? Pałacu? Zamku? Nie, to Masarykova Škola wydziałowa. Nie jedyna w Gnojniku. Kto do Gnojnika zajeżdża od strony Trzanowic, to tuż koło kościoła katolickiego widzi okazały jasny budynek czeskiej szkoły ludowej z dedykacją na prawej ścianie szczytowej: „B o h u, v l a s t i a n á r o d u" — Bogu, ojczyźnie i narodowi. Ogromnie dużo jest tych szkół w Zaolziu, a ich cel jest zawsze ten sam: wynarodowienie ludności polskiej. Na własne oczy widziałem, jak w Zaolziu działa szkoła czeska na umysły i serca dzieci polskich. W domu słyszą dzieci, jak rodzice rozmawiają o tym, że ojcu grozi wydalenie z pracy, jeśli dziecko zostanie w szkole polskiej, w której się już uczy i którą pokochało. Do szkoły czeskiej przejść musi. Rodzice uczą swoje dziecko milczeć, bo tu nie można mówić, co się myśli. Dziecko milczy więc, albo kłamie.

L i g o t k a K a m e r a l n a to stara wieś polska, która istniała już w wieku XV i jedna z najpiękniejszych wsi w Cieszyńskiem. Położona u stóp malowniczej i legendarnej Goduli jest znanym punktem zbornym dla turystów, wybierających się w góry. Klimat



Ligotka
Kościół ewangelicki na tle szczytu Goduli

ma dość ostry, a wieczory nawet w dni najgorętsze bywają w tych okolicach chłodne. Jest tu doskonała borowina, ale wobec bliskich uzdrowisk morawskich i opawskich ligockie kąpiele borowinowe nie mają przyszłości.

Osobliwego znaczenia nabrała Ligotka jako wieś polska z pogranicza językowego polsko-czeskiego. Niedaleko stąd ze zbocza Praszywej spływa Stonawka, jeden z dopływów Olzy. W górnym swym biegu Stonawka uważana była przez Czechów za linię graniczną oddzielającą strefę języka polskiego od narzecza czesko-śląskiego. Ale to już jest przeszłość. Teraz odzywają się głosy, że całe Cieszyńskie jest czeskie i że Czechom stała się krzywda przez podział tego kraiku.

Ligotczanie nie zaprowadzili u siebie dotąd światła elektrycznego, bo wydaje się im za drogie. Palą lampy naftowe, gdy zachodzi konieczna potrzeba, chodzą wcześnie spać i wcześnie wstają do pracy. Gdy się na tej miłej wsi mieszka, trzeba naśladować ich przykład i chodzić wcześnie spać. Po upalnym dniu noc jest chłodna. Cichy wiew wiatru niesie ledwo dosłyszalny szept Stonawki. Wyschła zacna rzeczka w spiekocie ostatnich dni i już nie szumi głośno jak zwykle, ale szepcze. Gdzieś daleko senny pies szczeknął raz i drugi i zamilkł. Z wieży kościelnej płyną drgające dźwięki zegara wydzwaniającego jedenastą.

Cisza jest głęboka jak przepaść. Chwilami Stonawka zaszumi głośniej, jakby przypominała jedną ze swoich licznych legend. W jej falach kąpie się wąż-złotogłowiec, mieszkający na wierzchołku

Goduli. Spełza na dół, wślizguje się w chłodne fale i oddaje się rozkoszom kąpieli, ale przedtem zdejmuje z głowy złotą koronę. Podpatrzył go przy tej kąpieli pasterz i skradł koronę węża-złotogłowca. Ucieka z nią, uradowany skarbem tak wielkim, ale radość jego jest przedwczesna. Król wężów spostrzegł rychło, co się stało.

I gwizdnął złotogłowiec tak przenikliwie, aż góry zadygotały. Echo tego gwizdnięcia odbiło się od Goduli, uderzyło w Jaworowy i Ostry, rozleciało się po sąsiednich wierchach i dotarło do najdalszych dolin. Wtedy ze wszystkich szczelin i nor powypełzały węże i żmije, chyże jaszczurki i śliskie padalce, aby gonić złoczyńcę. Pasterz biegnie coraz szybciej, ale za sobą słyszy wielki szum, jakby go ścigała rzeka wezbrana. W końcu nie staje mu tchu i sił, więc rzuca koronę i tym ratuje życie. Pościg ustaje, węże zabierają koronę swego króla, który wraca na szczyt Goduli. Nastaje cisza jak przedtem.

Przepowiadam sobie przed zaśnięciem jedną z licznych legend ludu śląskiego. W tych legendach ludzie ubodzy zawsze znajdują skarb, są blisko niego, zdobywają go, ale w pewnej chwili dzieje się coś nieoczekiwanego i skarb przepada.

Nazajutrz dzień jest znowu gorący, upalny. O ileż chłodniej było tu w czerwcu! Na łąkach stały wtedy wysokie kity kwitnącego szczawiu, jakie się widuje na pierwszej lepszej łące mazowieckiej. Poznawałem starych znajomych z naszych łąk: tasznik, kobyli rdest, przytulię, tysiącznik, mlecz, stokrotki, różne odmiany jaskrów, ale spotykałem też mnóstwo firletki roztrzepanej i fioletowego tojadu.

Teraz jest inaczej. Stonawka ukryła się w gąszczu wierzb i płynie tak cichutko, jakby jej wcale nie było. Podchodzę na palcach i stoję, wypatrując pstrągów. Jest ich tu niewiele, ale śmigają nad kamieniami dna jak błyskawice. Powiedziano mi, że niegdyś było w rzeczkach śląskich dużo ryb i jeszcze więcej raków, ale poznikały od czasu, gdy rolnicy używają tu nawozów sztucznych. Deszcze spłukują te nawozy do strumieni i rzek i zatruwają nimi wodę.

Idę ku wsi i przechodząc obok kościoła ewangelickiego zbaczam na cmentarz. Ten Vochala, który miał tutaj hotel i zbankrutował na nim, nie był widocznie ani razu na cmentarzu ligockim, skoro mógł wypisywać takie brednie o legendarnych Morawcach jako jedynych

mieszkańcach Śląska Cieszyńskiego. Gdyby był przeczytał trochę napisów na pomnikach tego cmentarza, nie mógłby był pisać tego, co pisał z takim patosem wielkiej patriotycznej gorliwości. Gdyby tu mieszkali Morawcy, to na nagrobkach byłyby nazwiska morawskie i napisy w języku czeskim. Tymczasem na całym cmentarzu jest jedyny napis czeski na grobie młodziutkiej żony lekarza czeskiego, pochowanej tu już po roku 1920. Jest owszem kilka nagrobków niemieckich, ale czeski — jeden.



Ligotka Kameralna. Cmentarz ewangelicki. Stary nagrobek

Chodzę od nagrobka do nagrobka i odczytuję nazwiska: Tomoszek, Szczepański, Chwistek. Jaracz, Śmiłowski, Rybka, Brzeżek, Ostróżka, Zientek, Zagóra itd. Docieram wreszcie do grobów najstarszych i czytam na jednym z nich: „Tu leży Stephan Nicolaydes pierwszi cazatel zboru ligoccigo. Służył 26 let. Zemrzęł 24 Aprila Rocu 1808 wypełnił żiwota swego 65 let.“ A tuż obok: „Bóg wszechmogący dnia 11 Sept. 1829 po doświadczonym żywocie cicho do siebie śmiercią powołał Johannę Krigerową urodzonom w Bielsku 16 Now. 1762. — Niech będzie ciche twe odpoczywanie błogosławiona twa pamiątka radosne nasze z tobą oglądanie.“

Przypominają się na tym cmentarzu słowa Jezusa: „Powiadam wam, jeśliby ci milczeli, wnet kamienie wołać będą“ (Łukasz 19, 40). Fotografuję te czcigodne kamienie na świadectwo przeciwko Vochalom. Jego zdaniem polonizacja Cieszyńskiego miała się dokonać wbrew woli ludu „morawskiego“ przed laty pięćdziesięciu. Jeden z tych kamieni ma lat 107, drugi 128. Te kamienie nie kłamią. I nikt nie pisze nagrobków swoich najmilszych w języku obcym. Nie ma więc o czym mówić. Tutaj byli zawsze i są dotychczas Polacy.

Ten prosty fakt dziejowy stwierdza się także przy wertowaniu metryk po farach śląskich. W pierwszej lepszej książce czeskiej o Cieszyńskiem jak np. Dra P e l c a „O Těšínsko“, albo w orłowskim „Památniku“. spotykamy takie nazwiska jak Policar, Fajfrlik, Šavrda. Dvořák, Čapek, Flodr, Supina, Brázdil, Holub, Kotrč itd. To są nazwiska czeskie, których czeskości nikt nigdy kwestionować nie będzie. Ale gdy śród takich nazwisk spotykamy inne: Kempny, Krupa, Wicherek, to znowuż nie ma najmniejszej wątpliwości, że to są nazwiska polskie. W metryce ligockiej znajduję takie nazwiska: Morcinek, Brozda, Kaszperek, Folwarczny, Ciompa, Rucki, Górny, Wiewiórka, Piwko, Śniegoń, Biedrawa, Jaracz, Chowaniok, Boszczyk, Skupień, Chlebek. Są to nazwiska i typowo polskie i typowo nieczeskie zarazem. Mówić tu o Morawcach, to znaczy drwić ze zdrowego rozsądku.

Metryka ligocka prowadzona była z nakazu władz po niemiecku i dopiero w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku ks. Jerzy Heczko, pastor tutejszy, zaczął prowadzić metrykę po polsku. Vochalowie zrobili z niego galicyjskiego polonizatora, żeby działalność jego zdyskredytować, ale wiadomo, że jest on Ślązakiem, pochodzącym z Łyżbic. Tu na farze ligockiej pracował od roku 1859 aż do swej śmierci w r. 1907 i tutaj też opracował polski kancjonał, który miał zastąpić całemu polskiemu ludowi wyznania ewangelickiego kancjonał czeski Jerzego Trzanowskiego, używany dawniej.

Lud śląski mówił w domu, na rynku, w pracy zawsze językiem polskim, ale w kościele musiał korzystać z kancjonału czeskiego, dopóki polskiego nie było. Ten wielosetletni nałóg wytworzył coś, co moglibyśmy nazwać czechizacją liturgiczną. Tak samo, jak domagał się od swoich pastorów kazań w języku polskim, tak śpiewał pieśni religijne z jedynego kancjonału, jaki miał do użytku. Trzeba dodać, że kancjonał ten zawierał pieśni o głębokich wartościach religijno-uczuciowych i dlatego również na Słowacji stał się śród ewangelików księgą najpopularniejszą. I właśnie ci Polacy, którzy w kościele śpiewali z czeskiego kancjonału, są owymi sławetnymi Morawcami, o których tyle jest hałasu w publicystyce czeskiej. Dodajmy jeszcze, że lud śląski, śpiewając z czeskiego kancjonału, słowa czeskie wymawiał po swojemu czyli po polsku.

Zwięźle, jasno i przekonywująco przedstawia dzieje Śląska Cieszyńskiego prof. A l o i s A d a m u s w gruntownej pracy swojej

„Jazyková otázka ve školstvi na Těšínsku“ (Mor. Ostrawa 1930) i w drugiej: „Po stopách Slezských Písni Petra Bezruče“ (Brno 1927). W tej drugiej pracy, komentując jeden z wierszy Bezruča, Adamus wywodzi nieco obszerniej:

„W roku 1335 zagarnęli Czesi Górne Przyodrze czyli Opolskie i Śląsk. Lud słowiański Górnego Śląska stracił w ten sposób polityczną i kulturalną łączność z narodem polskim... Na Śląsku mowa ludowa zatrzymała się w rozwoju. Razem z husytyzmem przenika między słowiańską szlachtę Górnego Śląska język czeski i prawo morawskie tak dalece, że język czeski stał się tam językiem urzędowym. Tymczasem literatura polska rozwijała się nie tylko ilościowo, lecz i jakościowo. W literaturze tej wzięło górę narzecze białochorwackie, które przechowało się w piśmiennictwie pod nazwą polszczyzny średniowiecznej, tak bliskiej dzisiejszym narzeczom śląskim. Razem z upadkiem państwowości czeskiej nastaje i upadek języka czeskiego, którego zasiąg od XVI stulecia zmniejsza się stale przede wszystkim na przestrzeni całego Górnego Śląska. Czesi używają w druku pisma szwabachowego, Polacy już od wieku XVII — łacińskiego. Dlatego literatura polska nie przenika na Śląsk, nie staje się dostępną dla ludu, który nie zna pisma łacińskiego. Język czeski ustępuje na Górnym Śląsku w wieku XVIII niemczyźnie. W połowie stulecia XVIII zaczyna się narodowe przebudzenie ludu polskiego

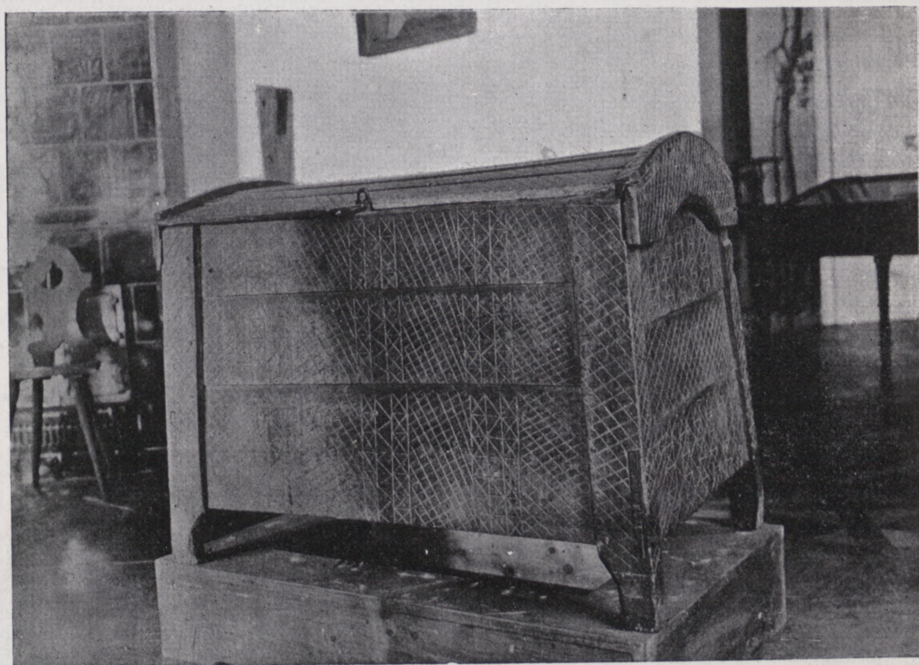

Ligotka Kameralna widziana ze zbocza Goduli

na Śląsku. Ukazują się wtedy pierwsze książki polskie drukowane szwabachem, ale w narzeczu śląskim, podczas gdy dotychczasowe piśmiennictwo na Śląsku było łacińskie, niemieckie i czeskie... W roku 1763 Śląsk przeszedł pod panowanie Prus. Przy koronie czeskiej pozostało z właściwego Śląska tylko Cieszyńskie i kawałek Nyskiego... Rząd austriacki powoływał na urzędy w Cieszyńskiem wielu Morawian. Razem z reformami szkolnymi zaprowadzona została powinność szkolna, rząd wprowadził do szkół powszechnych język czeski i niemiecki, nie zaś polski. W szkołach pozaprowadzano podręczniki czeskie. W roku 1782 cesarz Józef połączył Śląsk z Morawami i w ten sposób pośrednio zapewnił językowi czeskiemu wpływy w szkole, kościele i w urzędach... W Cieszyńskiem w owym czasie duchowieństwo zaczyna domagać się zaprowadzenia także języka polskiego, ale brneńskie władze gubernialne odpowiadają, że dla kilku dekanatów nie można zaprowadzać na Morawach polskiego języka w szkołach i urzędach. Aż do roku 1848 naucza się w szkołach Cieszyńskiego po czesku i po niemiecku... Po roku 1848 dopuszczony był język polski do szkół, ale brakło odpowiednich podręczników, a galicyjskie nie nadawały się dla szkół śląskich. Dopiero w roku 1854 wydane zostały pierwsze podręczniki polskie, drukowane pismem łacińskim czyli polskim."

Tak przedstawia w kapitalnym skrócie dzieje Śląska ten znakomity znawca spraw śląskich. Niemniej ciekawe są dalsze jego wywody, ogłoszone później. Czesi przy każdej sposobności lubią przypominać, że na Śląsku Cieszyńskim były szkoły czeskie i krzewiły kulturę czeską. Sláma posunął się nawet do twierdzenia, że to język czeski uratował lud słowacki i część ludu polskiego przed wynarodowieniem. Adamus podkreśla z całym pożądanym naciskiem, że na Śląsku „celem wszelkiego nauczania było przyswojenie młodzieży języka niemieckiego", czyli że „we wszystkich szkołach przy pomocy języka czeskiego nauczano języka niemieckiego". Dla dzieci polskich sytuacja była mocno powikłana, bo obcego niemieckiego języka uczono je przy pomocy innego obcego języka — czeskiego.

Zresztą wpływ szkoły czeskiej był minimalny, bo w r. 1770 wszystkich szkół parafialnych w Cieszyńskiem było zaledwie 32. W wigilię reform terezjańskich w całym Cieszyńskiem do szkół uczęszczało zaledwie 310 uczni, w czym dzieci wiejskich było 29. Czesi

lubią powoływać się na to, że księgi cechów rzemieślniczych prowadzone były w języku czeskim. Tak było istotnie, ale ta nakazana czeszczyzna owych ksiąg cechowych była tego rodzaju, że rozumiał ją dobrze tylko Polak. Znajdowały się w niej słowa jak: gromada (w znaczeniu zgromadzenie, podczas gdy słowo to w języku czeskim znaczy: kupa), posag — po czesku věno, ojcowizna i macierzyzna — spadek po ojcu i matce — przęsło, szlamować itd. Ci ludzie, którzy prowadzili owe książki rzemieślnicze, nauczyli się po



Skrzynia kuchenna z Ligotki Kameralnej Muzeum Miejskie w Cieszynie

czesku w szkole czeskiej, ale co była warta ta nauka, o tym mówi prosty fakt, że dla zrozumienia tekstów owych czeskich zapisków trzeba koniecznie znać język polski.

Ta szkoła czeska z czeskim językiem wykładowym i z programem wybitnie niemieckim była nakazana i narzucona ludowi śląskiemu. Nauczano w tych szkołach języka niemieckiego. „Właśnie w owym czasie — mówi Adamus — od roku 1778 do roku 1848 przyzwyczajono lud śląski spoglądać na język niemiecki jako na coś wyższego, lepszego i cenniejszego, niż język czeski, nie mówiąc już



Ołtarz
kościółka
drewnianego
w Gutach

o języku polskim, którego nigdy przedtem nie nauczano w Cieszyńskiem i którego nie wolno było nauczać i teraz."

Lud sam widział, że szkoły czeskie uczą właściwie szacunku dla niemczyzny i dlatego stała się rzecz osobliwa, że podczas gdy w Cieszyńskiem Czesi wykorzystywali przywileje, dane czeszczyźnie przez Wiedeń, w Opawskiem wsi czysto czeskie znudziły się tym pośrednim nauczaniem i jęły się domagać od władz nauczania wyłącznie niemieckiego, oświadczając, że dotychczasowe nauczanie utrakwistyczne im nie wystarcza. W Cieszyńskiem lud polski walczył wytrwale o prawo do swego języka ojczystego, natomiast gminy najbardziej zczechizowane czyli „morawieckie" we Frydeckiem domagały się także nauczania niemieckiego. Władze niemieckie wykorzystywały skwapliwie nieświadomość ludu śląskiego „a ta nieświadomość śród czeskiego ludu śląskiego — powiada Adamus — była daleko większa, niż śród cieszyńskiego ludu polskiego". I Adamus kończy swoje wywody prostymi słowy: „Jeśli dzisiaj twierdzą niektórzy, że Cieszyńskie zostało spolonizowane, to ich twierdzenie jest równie logiczne, jak twierdzenie Niemców czeskich, że Czechy zostały zczechizowane".

Pobożny lud śląski, znajdując się pod wpływem politycznym i kulturalnym narodu czeskiego, przeżywał razem z nim ferment religijny, który w ciągu całych stuleci aż do upadku państwowości czeskiej był niejako treścią dziejów czeskich. Ponieważ łączność ludu śląskiego z polskim narodem macierzystym była przerwana, przeto polski lud śląski musiał korzystać z tych książek, jakie były dostępne dla niego, to jest czeskich. Pewna część ludu śląskiego przylgnęła mocno i trwale do nauki Lutra. Ci ewangelicy śląscy wzięli wiele z literatury, jaka powstała w Polsce w wieku XVI. Brückner przypomina, że jeszcze w roku 1864 Ślązacy ewangeliccy przedrukowali postylę Reja, opuściwszy w niej zbyt ostre wycieczki przeciwrzymskie, a postyla Samuela Dambrowskiego jest jeszcze dzisiaj w stałym użyciu ludu ewangelickiego na Śląsku. Bibliofile zdumiewają się nieraz, jakie skarby piśmiennictwa polskiego znajdować można na Śląsku Cieszyńskim w domach prostych robotników.

Tak więc się złożyło, iż ewangelicyzm i polskość zrosły się w Cieszyńskiem nierozerwalnie, chociaż lud śląski czytając polskie kazania z ukochanej postyli Dambrowskiego, śpiewał jednocześnie

nabożne pieśni z czeskiego kancjonału Polaka Jury Trzanowskiego. Z drugiej znowu strony bezpośrednie sąsiedztwo arcykatolickich Moraw oddziaływało na śląsko-polski lud katolicki. Jeśli przyjmiemy do wiadomości, co pisze Adamus, że w szkołach katolickich Cieszyńskiego 2/3 nauczycieli pochodziło z Moraw, to stanie się jasnym, jak potężna była ta czechizacja liturgiczna i szkolna, o której wspominaliśmy.

Nie brakło światłych księży katolickich, gorąco i serdecznie przywiązanych do swego ludu i pragnących służyć temu ludowi, jak najlepiej w jego mowie ojczystej. Niestety, ci księża nie zawsze spotykali się z należytym zrozumieniem swych intencji, a następnie czechizatorzy skwapliwie wykorzystywali ciemnotę ludu, uważającego, że katolicyzm i morawiectwo to jedno i to samo. Lud śląski przywiązany szczerze do wiary katolickiej, na swoich współobywateli ewangelickich spoglądał okiem krytycznym i mniemał, że kancjonał polski nie jest taki prawowierny jak kancjonał czeski, do którego został przyzwyczajony. Gdy na Cierlicku światlejsi katolicy zaprowadzili kancjonał polski, prostaczkowie pisywali podania do władz kościelnych, prosząc je o ratowanie czystości nauki katolickiej. Różnym łapiduszom ta nieświadomość ludu śląskiego była bardzo na rękę i dlatego skwapliwie ją wykorzystywano, utwierdzając lud polski w morawiectwie. Pisze o tym obszernie pisarz śląski, Wiesław Wojnar, w pracy swojej „Prawda o Cierlicku".

Zresztą gdyby ktoś chciał dziwić się nadmiernie częściowej czechizacji liturgicznej ludu śląskiego, to niechby się naprzód dziwił, że lud śląski w Cieszyńskiem nie uległ czechizacji zupełnej w ciągu sześciowiekowego panowania czeskiego i niemieckiego i że do dnia dzisiejszego mówi pięknym polskim narzeczem. Dobrze też będzie przypomnieć sobie, że nie tylko w Cieszyńskiem, które tak długo było pod panowaniem czeskim, język czeski znajdował pewien grunt dla swoich wpływów. Przecie nawet Władysław Jagiełło lubił mówić po czesku. „Za jego przykładem — powiada Michał Wiszniewski w swej „Historji literatury polskiej" — i w Litwie używano języka czeskiego, a na dworze krakowskim wszyscy mówili po czesku, a nawet listy pisywali. Lecz dopiero w pierwszej połowie szesnastego wieku język czeski takiej u nas nabrał wziętości, iż, jak mówi Górnicki, „drugi chociaż nie będzie w Czechach, jeno iż

granicę szląską przejdzie, to już inaczej nie będzie chciał mówić jeno po czesku". Nawet u dworu chwalono takiego mówcę, który najwięcej czeszczyzny mieszał. Inni z przesady na miejsce słów wybornych polskich, czeskie stawiali „dobrze niż nasze podlejsze" — mówi Górnicki. W trzech Szarffenbergowskich bibliach Leopolity mamy wiele czeskich wyrazów, a nawet całe okresy, co wówczas tak mocno nie raziło. W ogólności język teologiczny polski na wzór czeskiego ukształcił się" (Tom VI, str. 378—379 oraz ciekawe glosy). Nawet królowie polscy pisywali listy po czesku, jak np. Zygmunt I. Dziwne wrażenie wywiera dzisiaj taki czeski list, zaczynający się od słów: „My Zygmunt I z Bożiej Milosti Král Polský, známo czinime..."

Reformator śląski, Jura Trzanowski, urodzony w Cieszynie z rodziców wywodzących się z Trzanowic, to Polak z pochodzenia i wychowania. Laika dezorientuje fakt, że ten Polak swój wspaniały kancjonał „Cithara Sanctorum" napisał po czesku i dlatego wszyscy gotowi uważać go za Czecha. Trzanowski Czechem nie był. Pastor słowacki, ks. Jan Mocko, w r. 1891 wydał życiorys Trzanowskiego „Život Juru Tranovského vehlasného cirkevného pevca slovenského k 300-ročnej pamiatke jeho narodenia", a w dziele tym powiada m. i.: „...z toho vidno, že Tranovský byl povodom Poliak. Predkovia jeho od nepamáti žili v polskej dedinke Trzanowiciach, od nejž vzali i rodinne meno..." (Z tego widać, że Trzanowski był Polakiem z pochodzenia. Przodkowie jego od niepamiętnych czasów mieszkali w polskiej wiosce Trzanowicach, od której wzięli też swoje nazwisko rodowe). W ewangelickim kalendarzu słowackim na rok 1936, wydawanym pod imieniem „Tranovský", Pavel Tomko w wierszu „Pamiatke Tranovského" pisze: „O pevče božských hymien, zlatých zpevov, ty Luther polský!"

Gdyby więc język czeski dla swojej bogatej jak na owe czasy literatury tak potężnie oddziaływał na umysły niezależne, czyliż nie trzeba się dziwić, że lud śląsko-polski pozostawiony samemu sobie i oderwany od narodowego pnia macierzystego, a wystawiony na najbardziej bezpośrednie oddziaływanie języka czeskiego, nie uległ czechizacji i zachował sobie rodzime polskie narzecze? Poddawał się jedynie pewnym sugestiom niekontrolowanego sentymentu dla

czeskiego kancjonału, utożsamiając go w naiwności swojej z nauką kościelną. W tej naiwności i nieświadomości utrzymywano go długo wszelkimi sposobami.

Jak we wszystkich gminach tak i w Ligotce Kameralnej jest pomnik poległych w latach wielkiej wojny. Odczytuję nazwiska wypisane na tablicy kamiennej: Białek, Boszczyk, Heczko, Kawuloków trzech, Kiszów dwóch, Matuszków dwóch, Kulfa, Perzyna, Pindór. Ondraszka, Sabela, Śniegoń, Tomanek. Od paru miesięcy szukam śladu Morawców po całym Zaolziu, a przecie jeśli tu byli i jeśli tu „gaśli", jak się malowniczo wyraża Bezruč, to powinny być tu po nich przynajmniej nazwiska czeskie: Dušek. Lebeda, Zazvonil, Vašek, Smetana, Chramosta, Krňavek, Šimunek...

Na co więc ten lament nad tymi, co rzekomo gaśli pod Łysą i koło Bogumina i w Beskidach, co gaśli w Szumbarku i w Lutyni, co gasną w Datyniach i w Dziećmorowicach, co w Porębie zgaśli i w Dąbrowie gasną? Milczący naród i wygasły szczep... Nie, tu nie było żadnego gaśnięcia, tu prastary szczep polski budził się do nowego życia i zrzucał z siebie obcy nalot. Oto wszystko. Czy można wyobrazić sobie poetę niemieckiego. który opłakiwałby gaśnięcie narodu niemieckiego, gdyby np. Serbowie łużyccy w Saksonii zbudzili się nagle do samodzielnego życia narodowego? Wykluczone!

Jeden z wierszy Bezruča ma w nagłówku Ligotkę Kameralną i to nie po czesku „Komorni Lhota", lecz po polsku: „Ligotka Kameralna". Jest to elegia, opłakująca klęskę narodową. Na czym polega ta klęska? „Czy widziałeś — pyta poeta — zastępy pobite, cofające się w pochodzie? Skroś nocny mrok widać ognie strażnicze. trwożliwe i tęskne ognie, niby dłonie fosforyzujące złożone w niemej prośbie, niby ogniki na mokradłach i górników światła w szybach. Boże, jakże dawno temu! To już prawdą być przestało: pod Godulą w noc zimową marzłem przy strażniczym ogniu. Spoglądałem tam. gdzie Cieszyn, czułem wtedy: ktoś z Beskidów, wielki mocny i zdradliwy, patrzy się na nasze ognie: Rychłoż zgasną? Rychłoż zgasną? — Gdzież strażnicze ognie nasze? Rozglądam się, tam na zachód. tam na zachód w Dobracicach połyskują w długich nocach jak ogniki na mokradłach... Żyjem jeszcze w Dobracicach?"

Elegijnej dynamiki tego wiersza wystarczyłoby na opłakanie zagłady całego narodu, ale poeta nie opłakuje nawet zagłady jednej

jakiejś wioski. Chodzi tu jedynie o cofanie się czeskiego języka urzędowego wszędzie tam. gdzie budzi się świadomość narodowa polska. Patriota czeski, Sláma, uważał, że jeśli język czeski jest jeszcze gdzieś, gdzie być nie powinien, to zniknie sam przez się i lud sam wytyczy granice między obu językami. Zaś prof. Adamus uważał, że gdyby nie przemysł górniczy i pomyślna dla Czechów koniunktura, to język czeski byłby musiał cofnąć się aż po Ostrawicę i żaden rozsądny Czech nie byłby tego uważał za niesprawiedliwość, ale przeciwnie, za zgoła naturalny skutek rozwoju świadomości w ludzie polskim na Śląsku.

A tu raptem: pobite wojska, odwrót, ognie strażnicze! Między patos elegii a jej treść wciska się element mimowolnego komizmu. Niewspółmierność jest zbyt wielka. Komentator Bezruča, prof. Adamus, powiada o tym wierszu: „W pobliżu Domasłowic są u podnóża góry Praszywy Dobracice, które w r. 1890 miały 950 mieszkańców i były zamieszkane przeważnie przez lud katolicki a zatem morawski, podczas gdy sąsiednia Ligotka Kameralna pod pamiętną górą Godulą, owieńczoną legendami ludu śląskiego, zamieszkana jest niemal wyłącznie przez ewangelików. Już w r. 1869 zaprowadzili oni w kościele język polski. Tutaj działał religijny pisarz, pastor Jura Heczko, pochodzący z Łyżbic, który z czeskiego kancjonału Jerzego Trzanowskiego i z innych ułożył kancjonał polski i w r. 1869 zaprowadził go w swoim zborze.“

Oto wszystko. Lud polski wyzbywał się języka czeskiego w kościele, zaczyna modlić się po polsku, czyli tak, jak mówi u siebie w domu, z sąsiadami i znajomymi. I oto tym właśnie uczuł się ktoś pobity, ktoś jest w odwrocie z tego powodu, pali ognie strażnicze i drży z zimna pod Godulą. Gdy się zna dobrze stosunki panujące w Ligotce Kameralnej, dawniejsze i dzisiejsze, to treść takiego wiersza działa rozweselająco. Elegia jest sztuczna, patosowi brak elementarnej współmierności.

Do rzędu obrońców czeskości Śląska Cieszyńskiego należy prof. Jan K a p r a s, który nie przestaje powtarzać, że Śląsk był częścią państwa czeskiego. Przy czytaniu jego prac chciałoby się powiedzieć mu uprzedzająco: Ależ tak! Był częścią państwa czeskiego i dzielił losy tego państwa. Był na Śląsku język urzędowy czeski, były cze-

skie szkoły, a wyroki sądowe ogłaszano w języku czeskim! Tak jest i temu nikt nie przeczy, ale ludność Cieszyńskiego nie była czeska i o to nam jedynie chodzi. Profesor Kapras niestrudzenie powtarza swoje: „W miastach trzymała się czeszczyzna bez zmiany (mianowicie po przejściu Cieszyńskiego w posiadanie arcyksiążąt lotaryńskich), w Skoczowie, Strumieniu, Frydku, Jabłonkowie i Boguminie.“ Można by z tego wnioskować, że całe Cieszyńskie mówiło po czesku. Ale raptem następuje zdanie: „Bielsko urzędowało po niemiecku“.

Chodzi więc o banalną rzecz języka urzędowego. W Poznańskiem językiem urzędowym był niemiecki, w zaborze rosyjskim — rosyjski, tak jak w Czechach był w swoim czasie językiem urzędowym niemiecki. Cóż stąd za wniosek? Jeśli gdzieś był język urzędowy niemiecki, to już ludność musi być koniecznie niemiecka? Prof. Adamus opowiada, że „drobna szlachta w Cieszyńskiem była oparciem dla języka czeskiego. Wykształcenie jej było nieosobliwe, ale uparcie trwała przy wierze ewangelickiej i trzymała się mocno języka czeskiego. Atoli razem z rozwojem wielkiego kapitału agrarnego po wojnie trzydziestoletniej traciła posiadłości, przechodziła na służbę możnych tego świata, aż zniknęła a razem z nią także przewaga języka czeskiego... w urzędowaniu ziemskim.“ Cała czeskość Śląska sprowadza się u każdego z autorów czeskich ostatecznie do urzędowania. Urzędowy język czeski oto wszystko.

O tych rzeczach należałoby mówić jak najmniej, takie są banalne. Co ma do rzeczy w życiu dzisiejszym, że niegdyś w Wrocławiu były czeskie herby i czeskie napisy? Co za wnioski można wysnuć z tego, że w Cieszynie panowała czeszczyzna urzędowa, jak panowała w Pradze niemczyzna albo w Warszawie język rosyjski? Ale za Olzą na podstawie takich banalnych przesłanek „odpolszcza“ się tak zwanych „Morawców“ i to radykalnie. Gdy „Morawiec“ Kempny, Gembol, Folwarczny albo Zientek nie przestaje mówić po polsku, a służy przypadkiem na kolei, to się go wysyła na daleką Słowację albo na Morawy. Bierz, człowieku, swoją chałupkę na plecy i wędruj gdzie pieprz rośnie!

Opowiadano mi o jednym z takich odpolszczanych „Morawców“, kolejarzu z Wędryni. Najprzód szykanowano go, że posyła

dziecko swoje do polskiej szkoły. Bojąc się, że straci kawałek chleba, zdecydował się wreszcie przenieść córeczkę ze szkoły polskiej do czeskiej. Wrażliwe dziecko rozchorowało się z tego powodu i umarło na zapalenie mózgu. Ojca tymczasem przeniesiono na Słowację. Żona została w Wędryni sama. Mąż miał przyjechać na jakieś święta do domu, ale nie przyjechał. Biedna kobieta zmęczona i znękana tym wszystkim zapadła na rozstrój nerwowy i powędrowała do domu obłąkanych. Na tle odpolszczania „Morawców" dzieje się tu takich ponurych rzeczy bardzo dużo.

WĘDRÓWKI LIGOCKIE

Z Ligotki Kameralnej jest ładny spacer wzdłuż Stonawki do Gnojnika. Droga polna podnosi się i opada, Stonawka szumi ukryta za wierzbami, z daleka widać dymiący Trzyniec. Zawsze tu pięknie i w jakiś osobliwy sposób niewypowiedzianie. W Gnojniku jest ładny pałac Beesa-Chrostina, w którym niedawno gościł prezydent Masaryk, i ładny domek zmarłego przed paru laty poety śląskiego, działacza i pamiętnikarza, Jana Kubisza. Z wierszy jego, wydanych w roku 1902 pod tytułem „Z niwy śląskiej", przemawia miłość ziemi ojczystej, głębokie poczucie odpowiedzialności wobec własnego narodu i świata i ta jakaś stateczność śląska, która budzi do siebie bezwzględne zaufanie, szacunek i najlepsze uczucia.

W przedmowie do tego zbiorku poetyckiego napisał Kazimierz Wróblewski między innymi: „Poezje Kubisza wydane zostały obecnie nie jako utwory artystyczne, nie jako dorobek literacki chwili — ogłasza się je jako dokumenty życia narodowego polskiego w Księstwie Cieszyńskim i w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, jako wyraz uczuć, przekonań, a i bólów tego pokolenia śląskiego, którego praca zapoczątkowała odrodzenie się prastarej dzielnicy piastowskiej". Słowa trafne. Kubisz był jednym z najgorliwszych budzicieli ludu śląskiego, a jako nauczyciel był wychowawcą młodych pokoleń i ich kierownikiem w najlepszym znaczeniu słowa. Jako poeta nie troszczył się nadmiernie o formę, bo treść była dla niego wszystkim. Jego pieśni są proste jak dusza ludu śląskiego, ale są jednocześnie takie właśnie, jakie jedynie przemówić mogły do uczucia tych, dla których były przeznaczone. Poeta nie pisał swoich utworów dla subtelnej krytyki artystycznej, ale dla ludzi, którzy zbudziwszy się do nowego życia narodowego, szukali wyrazu dla swoich uczuć

i znajdowali je w wierszach Kubisza. Niektóre z tych wierszy zostały podchwycone przez młodych i starszych i bywają śpiewane przy nadarzonej sposobności. Do najpopularniejszych należy wiersz „Nad Olzą", uważany za hymn śląski.



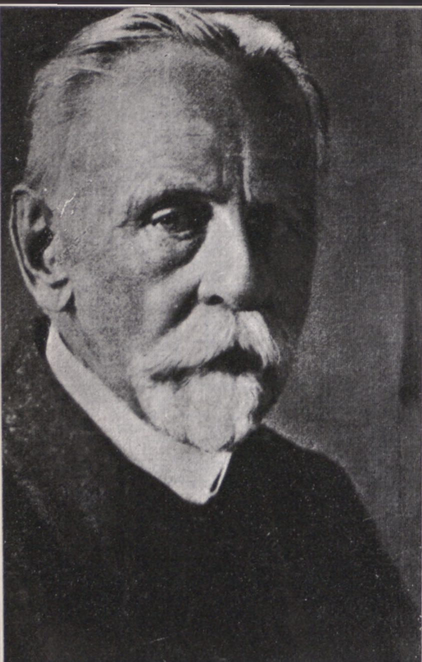
Gnojnik. Kościół katolicki

„Jordan w ziemi Chananejskiej
Święte ma znaczenie:
W jego wodach Izraela
Lud brał oczyszczenie.
Więc z modlitwą ukłęknąłem
W pokorze przed Panem,
Byś się stała, Olzo, takim
I dla nas Jordanem.
A tak kiedyś — gdy nad falą
Wiosną wiatr zawieje,
Wnuk usłyszy w fal twych szumie
Przodków swoich dzieje.
I usiądzie na twym brzegu
Dumać nad przeszłością —
I żyć będzie dla swej ziemi
Czynem i miłością."

W tych końcowych strofach wspomnianego utworu jest cały Kubisz, taki właśnie, jakim go poznajemy z jego pięknego i bardzo ciekawego „Pamiętnika starego nauczyciela", mającego w podtytule uzupełnienie: „Garść wspomnień z życia śląskiego w okresie budzącego się ruchu narodowego w b. Księstwie Cieszyńskim". Pamiętnik ten obejmuje kilkadziesiąt lat życia autora i tyleż lat życia narodowego całego Śląska Cieszyńskiego. Jest on istną kopalnią, o ile chodzi o poznanie obyczajów ludu śląskiego, jego mowy, dążeń i rozwoju w okresie od przebudzenia aż do r. 1925.

Autor nie mógł nigdy przeboleć, że jego kochany polski Śląsk został podzielony i że jego własna wieś rodzinna i wieś, w której pracował bardzo długo jako nauczyciel, dostały się Czechosłowacji. Ostatnie karty jego pamiętnika mają akcenty polemiczne i zwracają się ostro przeciwko politycznej fikcji szowinistów czeskich, jakoby Ślązacy byli spolszczonymi Morawcami.

„Mówią: lud śląski to popolszczeni Morawcy, więc ich odpolszczyć trzeba... To też szerzy się na polu narodowym demoralizacja



Jan Kubisz, śląski działacz, poeta i pamiętnikarz

wśród naszego ludu i jak dżuma czyni spustoszenia w jego szeregach. Napędza się dzieci do czeskich szkół, a rodzicom brak hartu ducha, by się temu oprzeć, tym więcej, że szkoła czeska ma niby ich dzieciom zapewnić w przyszłości chleb, posady, życie... Twierdzenie jakobyśmy byli popolszczonymi Morawcami nie jest chyba ignorancją, kiedy na czele Czechosłowacji stoi uczony światowej sławy, ale jest ono bez wątpienia przewrotnością, urągającą wszelkiej słuszności. Przecież historia wie, że ta ziemia śląska nie jest ziemią Przemyślidów, ale jest ziemią Piastów. Historia wie, że w XV wieku działał tu od Gnojnika aż po Ostrawicę niejaki Johannes Główka, „praedicator polonorum", że wtedy Gnojnik nazywał się Gnojnikiem, a nie Hnojnikiem, tak jak nasza Godula Godulą, a Barania Baranią. Historia wie, że tutejszy lud ewangelicki już od czasów reformacji ma swoją Biblię Gdańską, postyle Reja, Grzegorza, Dambrowskiego i tyle innych polskich książek nabożnych. Historia wie, że gdy jeszcze polski język nie był dość wyrobiony, a staroczeszczyzna dzięki Husowi stała się językiem piśmiennym, to ją w miejsce średniowiecznej łaciny wprowadzono na Śląsku pod wpływem Pragi do naszych urzędów, jak później pod wpływem Habsburgów wiedeńskich, bojących się jak ognia wszelkiego wpływu polskiego na polski lud śląski — wprowadzono czeszczyznę i do szkół. Że zaś lud mimo to pozostał polskim, dowodzą tego uczeni Ślązacy, zapisujący się na obcych uniwersytetach „polonus teschenensis". Gdzie są ci popolszczeni Morawianie, kto ich polszczył, kiedy rząd posługiwał się czeszczyzną w całym kraju, w urzędach i w szkołach? Cóż rzec, skoro nawet jeden ze współczesnych ojców narodu czeskiego, Kramarz, powtarza te śmiesznie bezmyślne, a dla nas ohydnie potworne bajki o popolszczonych Morawcach? Chyba na odwrót można po sprawiedliwości rzec: lud, co tu bytował, był polski, lecz go czeszczono, ale go nie zczeszczono, a ten lud pozostał

po dziś polskim!.. Panowie, co mówicie i twierdzicie. że myśmy popolszczonymi Morawcami, spytajcie się waszych wielkich etnologów i historyków, a potwierdzą prawdę słów naszych! Myśmy Polacy i pozostaniemy Polakami!"

Z tym protestem zeszedł ten szlachetny człowiek do grobu, nie przeczuwając, że naród czeski pozostanie głuchym na wszelkie wołania o prawo i sprawiedliwość i że działacze miejscowi robić będą na Śląsku, co im się podobać będzie. Myślał Kubisz, że posyłanie polskich dzieci do czeskich szkół, to brak hartu ducha u ludu śląskiego. Dzisiaj po latach dziesięciu od chwili ukończenia pamiętnika okazuje się, że to kwestia życia i śmierci ludzi, zdanych na łaskę i niełaskę czeskich pracodawców. Etnologów i historyków nikt tu pytać nie chce, a ich zdanie w niczym nie zmieniłoby polityki wynaradawiania ludu polskiego, ku czemu obłudna fikcja Morawców jest koniecznym usprawiedliwieniem i rozgrzeszeniem.

Każda nazwa miejscowości w sąsiedztwie Ligotki Kameralnej i każde nazwisko świadczą o polskości tego kraju i ludu. Wątpliwości co do tego może mieć tylko ktoś, komu one są potrzebne. Gdy po dokładnym zapoznaniu się ze stosunkami, panującymi w Zaolziu, czyta się następnie taki wiersz Bezruča „Lazy", o tym, że „moravská škola skonává, Poláci nam ji vzali" i że sytuację ratuje „chlop Křistek" — czyli chłop Krzystek, którego poeta nazywa „bitym Morawcem", robi się wyjątkowo przykro. Gdy po ciężkich walkach o swoje prawa, lud polski w odwiecznie polskich Łazach posiadł wreszcie w roku 1894 szkołę polską, inżynier morawski Sedlák i czeski inspektor górniczy Jelinek, wykorzystując swoje potężne wpływy, zaczęli używać dla czechizacji Łazów takich właśnie niedoświadczonych i naiwnych poczciwców, jak „bity Morawiec" i „chlop" Krzystek. Bezruč rymuje:

„A než se šiky unavi,
než neodrazi ránu

Wieża szkoły w Gutach widziana z dołu





Szkoła polska w Gutach

chlop Křistek školu postavi
moravskou, murovanu..."

To znaczy, że nim zastępy się pomęczą przy odbijaniu ciosów, chłop Krzystek zbuduje szkołę, morawską, murowaną. W komentarzu trzeba było jednak powiedzieć, co to jest „chlop" i co to znaczy „murowana". W takie wyrazy musiał czeski poeta zapożyczyć się u ludu śląskiego, aby scharakteryzować jego poniżenie i ciemnotę oraz triumf tych, którzy wykorzystywali tę ciemnotę dla swoich celów politycznych. Który Bezruč napisze panegiryk na cześć „chłopa Křistka", gdy ten się ocknie z czadu swego morawiectwa?

O jakie pięć kilometrów na wschód od Ligotki Kameralnej leży mała wioska G u t y, która istniała już na początku wieku XIV. Dużo jest na Śląsku pięknych kościołów drewnianych, ale kościół w Gutach należy do najpiękniejszych. Składa się on z trzech części: wieży, łodzi głównej i przybudówki zakrystyjnej za łodzią główną. U dołu na wysokości głowy dorosłego człowieka otacza cały kościół tak zwana „sobota", coś w rodzaju szerokiej, sowitej i wachlarzowato odstającej falbany u bogatej sukni. To podobieństwo „soboty" do falbany budzi wrażenie, że cały ten kościołek odziany jest szatą godną zaiste najwyższego podziwu.

Dominującym elementem tej szaty jest szyndzioł śląski, czyli gont. Szyndzioł darty z drzewa smolistego, ulega naturalnym wpływom słońca i deszczu i otrzymuje rychło swoistą, bardzo ładną, patynę. Każdy szyndzioł z osobna zmienia się pod wpływem warun-

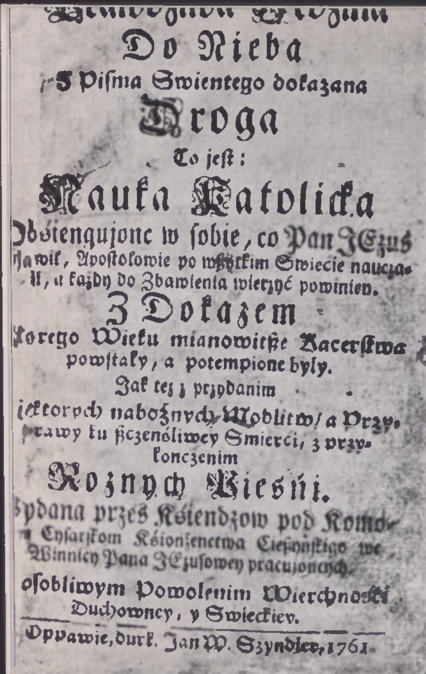
ków atmosferycznych niejako indywidualnie, skutkiem czego w budowli, odzianej szyndziołem, powstaje duże zróżnicowanie przy jednoczesnej jednolitości całokształtu. To jest wyjątkowo piękne.

Wieża kościołka guciańskiego rozszerza się ku dołowi pod kątem innym niż strzecha nawy głównej i zakrystii. „Sobota" u dołu ma także inny kąt odchylenia. W tym zróżnicowaniu linii jest duża harmonia zgoła niespodziewana w budowli tak skromnej i prymitywnej. Na wieży nie bardzo wysokiej siedzi kwadratowy domek ze strzechą z lekka tylko spadzistą i z cebulowatą kopułką, zakończoną wysokim krzyżem. Domek ten zbudowany z deszczułek pospajanych listwami, ma z każdej strony parę okienek niby oczu patrzących w dal. Deszczułki te, powycinane u dołu z czarującą prostotą, robią wrażenie pelerynki, zakończonej koronkami.

Całość jest niewypowiedzianie piękna. Urok tego kościołka podnosi zapewne fakt, że stoi on z dala od osiedli ludzkich, w gaiku, którego drzewa osłaniają go częściowo. Przy kościołku jest cmentarz wiejski z pomnikami z białego i czarnego marmuru i z grobami, zapadłymi już i pozapominanymi. Kwiaty na grobach, zwietrzałe stare kamienie nagrobków, głęboka cisza. W pobliżu kołyszą się leciutko żytnie łany. Życie i śmierć sąsiadują z sobą w słońcu i spokoju zaświatowym jakimś.

Gnojnik
Wnętrze kościoła katolickiego





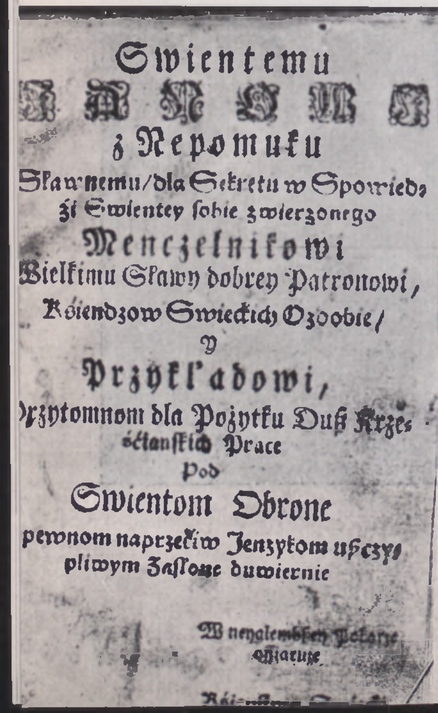
Do Nieba
Z Pisma Swientego dokazana
Droga
To jest:
Nauka Katolicka
Obsienquionc w sobie, co Pan JEzus
zjawił, Apostołowie po wszytkim Swiecie nauczali, a każdy do Zbawienia wierzyć powinien.
Z Dokazem
Ktorego Wieku mianowiciße Kacerstwa powstały, a potempione były.
Jak tez z przydanim
(ktorych nabożnych Modlitw/ a Przyprawy ku ßczenśliwey Smierci, z przykonczenim
Roznych Piesni.
Wydana przes Ksiendzow pod Komorą Cysarskom Ksionzenctwa Cieszinskigo we Winnicy Pana JEzusowey pracujoncych.
osobliwym Powolenim Wierchności Duchowney, y Swieckiey.
Opvawie, durk. Jan W. Szyndler, 1761.

Karta tytułowa starej polskiej książki do nabożeństwa

Na tym cmentarzyku guciańskim nie ma grozy śmierci, a nawet smutku cmentarnego. I rzecz dziwna, tutaj myśli się raczej o wiekuistym powrocie Nietzschego, niż o chrześcijańskiej nadziei zmartwychwstania. Żywo i tkliwie przemawia tu do serca i wyobraźni Śląsk tajemniczy i niepojęty. W zagłębieniu między nawą główną a zakrystią leżą stare wieńce i szarfy, z których deszcz pozmywał napisy. Ktoś tu gorzko płakał nad tymi wieńcami i szarfami. Ale to już dawno temu. Pół roku czy pół wieku, wszystko jedno. Tutaj czas nic nie znaczy. Jest słońce, są łzy, jest gorzki żal i jest radość życia, po której przychodzi śmierć. Wszystko mija i to mijanie jest wiecznym trwaniem.

Przed laty napisał ks. Józef Wittig, Ślązak z okolic Wrocławia, niemiecką książkę pod oryginalnym nagłówkiem: „Życie Jezusa w Palestynie, na Śląsku i indziej". Na Śląsku Jezus wciąż jeszcze żyje z tymi, co go potrzebują, modlą się do niego i wzywają jego pomocy w niedolach życia. Tutaj koło tego cudownego kościołka guciańskiego, w gaiku, który jest zarazem cmentarzem, przypomina się między wielu innymi rzeczami także tamta dziwna, ale prawdziwa książka Ślązaka o życiu Jezusa na Śląsku.

O jakie cztery kilometry z Gut na północ jest Trzycież, wioska jak wiele innych, tym jedynie ciekawa, że tutaj urodził się Paweł Twardy, kaznodzieja polski przy kościele św. Krzysztofa w Wrocławiu. Pamiętają go tu jako wydawcę jednej z biblii polskich. Do wydania tego napisał przedmowę, która jest



Swientemu
JANOWI
z Nepomuku
Sławnemu/ dla Sekretu w Spowiedzi Swientey sobie zwierzonego
Menczelnikowi
Wielkimu Sławy dobrey Patronowi,
Ksiendzow Swieckich Ozdobie/
y
Przykładowi,
Przytomnom dla Pozytku Duß Krześciańskich Prace
Pod
Swientom Obrone
pewnom naprzeciw Jenzykom uszczypliwym Zasłone duwiernie
W neyalembszey Pokorze
Ofiaruje

Dedykacja „Prawdziwej jedzinej Drogi"

ciekawa pod niejednym względem. Ks. Twardy urodził się w r. 1737 w tej wiosce cichej, przez którą dziś przechodzi linia kolejowa, łącząca Cieszyn z Frydkiem. Był niezawodnie bardzo pracowity, bo do trudnej pracy wydania biblii zabrał się, mając lat 31 zaledwie. Umarł we Wrocławiu roku 1808.

Twardego trzeba przypominać tym, co dowodzą, że Cieszyńskie było zawsze czeskie i że uległo polonizacji przed laty pięćdziesięciu. Okazuje się, że już w wieku osiemnastym Ślązacy wychowywani na oficjalnej czeszczyźnie, pisali wcale ładnie po polsku. Biblia z jego przedmową wyszła w Brzegu r. 1768 w drukarni Jana Ernesta Trampa. Ks. Twardy był człowiekiem niewątpliwie bardzo inteligentnym, pracowitym, pełnym inicjatywy. Miał duże zainteresowanie w zakresie swego przedmiotu.

W przedmowie tłumaczy się, dlaczego marudził aż cztery lata z wydaniem zapowiedzianej biblii. Pierwotny wydawca się wycofał, drugiego trudno było znaleźć. Brakło też dobrych wyraźnych czcionek, o które wypadło postarać się uprzednio. Miał trudności duże z robieniem korekty. Po tym wstępie tłumaczy, dlaczego zachował dawną ortografię polską, chociaż nowa przyjmuje się coraz bardziej.

„Tak też i ortografia nieodmiennie zachowała się, albowiem chociaż się między Polakami od ostatniej edycyi nieco odmieniła, iednakże z własney powagi nie chciałem się ważyć (iako mnie do tego niektórzy namawiali) nowey w Polszcze teraz u wielu zwyczayney ortografii zażywać i jakoby Biblię w nową obłoczyć suknię, czego z ważnych iak mi się zdaie przyczyn zbraniałem się. 1) Nowa ta ortografia u wielu Polaków w naszym Śląsku ieszcze nieznaioma, od których naywięcej zażywania spodziewamy się, chociaż przy teraźnieyszym Rzeczypospolitey postanowieniu nadzieia kwitnie w okolicznych mieyscach tedy i do zagranicznego kraiu w tym większey liczbie dla wiernych miłośników słowa Bożego dotąd starożytna ortografia zwykła była, którą gdybym odmienił, rozmaiteby bez wątpienia zamieszania sprawiło, a tak żadnego nie dogodziłbym woli, ponieważ sami Polacy względem zastosowania ortografii ieszcze się nie zgodzili...“



Boczny ołtarzyk kościołka drewnianego w Gutach

Poza tekstem biblijnym i uwagami wydawcy, jak z biblii korzystać trzeba, aby mieć pożytek, są w tym wydaniu dwie rzeczy: 1) „Passya albo Hystorya o Męce, Śmierci i Pogrzebie Pána nászego Jezusa Chrystusa ze wszystkich czterech Ewangielistów porządnie zebrána". 2) „Hystorya o żałosnym zburzeniu Miasta Jeruzalem, które się stało przez Wespazyana i Tytusa Panów Rzymskich, Roku po wniebowstąpieniu Pańskim Czterdziestego. Cuda i znaki groźne, które się pokazywały przed zburzeniem Jerozolimskim."

Język przedmowy i obu wymienionych uzupełnień biblii jest barokowy, taki właśnie, jakim pisano w wieku siedemnastym. Ale pomimo zbyt kunsztownego frazowania, zaciemniającego nieraz sens treści, język ten jest na ogół gładki. Aż dziw, że ludzie pozostawieni samym sobie i odcięci od środowiska macierzystego, zachowali sobie takie żywe wyczucie ducha języka ojczystego.

Przeczuwając że ks. Paweł Twardy jest postacią wybitną, charakterystyczną i godną przypomnienia, a nie mogąc dowiedzieć się o nim czegoś więcej w Trzycieżu, udałem się do znanego bibliofila-robotnika i silezjanisty z serdecznego zamiłowania, Jana Wantuły w Ustroniu. Ze zwykłą życzliwością podzielił się ze mną swoimi wiadomościami o Twardym, zebranymi po archiwach śląskich, i potwierdził moje przeczucie, że Twardy to naprawdę postać wysoce charakterystyczna. Oto, czego dowiedziałem się o nim od Wantuły.

Paweł Twardy urodził się 17 lutego 1737 jako syn małorolnego trzycieskiego chłopa pańszczyźnianego i jego żony Anny z Kupków. Rodzice jego odrabiali pańszczyznę i dla swego utalentowanego syna musieli wyjednać specjalne zezwolenie, aby mógł pójść do szkoły cieszyńskiej. Jako ewangelik korzystał z pomocy fundacji stypendyjnych, ustanowionych przez panów ewangelickich dla kształcącej się młodzieży.

Śród mnóstwa zeszytów, pozostałych po uczniach szkoły cieszyńskiej, przemienionej później w gimnazjum, znalazł Wantuła zeszyt, oznaczony nazwiskiem Paulus Twardy, a w nim pod datą 15 Aprilis Anno 1748 wypracowanie, którego początek brzmi: „Dziewka wstoń a sklep ogień, a postow kocieł. Jo widzę, że się ty nie wielo po tym pytasz ty byś wolała spać aż do iutra, iakby się rozwidniło kiedy bychmy cie nie obudzili. Iuż przyszły praczki? Teraz idą, io iuż muszę wstać i przydziwać się, boby oni dobrze nie robili itd."

Po ukończeniu szkoły, młody Twardy postanowił studiować teologię ewangelicką, ale władze austriackie niechętnie udzielały zezwoleń na takie studia w czasach przeciwreformacyjnych i dlatego wielu młodych Ślązaków studiowało na uniwersytetach zagranicznych bez zezwolenia swoich władz. Tylko że w takich wypadkach drogę powrotną miewali zamkniętą i musieli szukać chleba poza swoim krajem ojczystym. Tak też było z Twardym. Studiował zapewne w Niemczech i zamknął sobie drogę powrotną w Cieszyńskie.

Było to w czasach wojen śląskich, gdy po Śląsku kręcili się liczni emisariusze pruscy, obiecujący ludowi śląskiemu złote góry. Pru-


Kościół drewniany w Gutach

sacy istotnie, nie myśleli zrazu o germanizowaniu Śląska, a Fryderyk II uznał nawet za konieczne zaprowadzenie nauki języka polskiego w królewskiej szkole kadetów w Berlinie. Nauczycielem polskiego stał się tam młody Twardy, ale porzucił to miejsce po niespełna dwóch latach pracy, przyjmując ofiarowane mu stanowisko pastora przy kościele św. Krzysztofa we Wrocławiu. Do tego polsko-ewangelickiego zboru wrocławskiego należało sporo wsi polskich, położonych w pobliżu Oławy. Wantuła przypomina, że Bandtkie, który bawił we Wrocławiu w latach 1800—1811, stwierdził, iż w okolicy Wrocławia w 43 zborach ewangelickich było wtedy około 50.000 polskich ewangelików. Dzisiaj pozostały po tych tysiącach tylko nikłe ślady w postaci garstki ludzi, rozumiejącej jeszcze po polsku. Wszystko zniemczone.

W roku 1766, mając lat 29, wydał Twardy postylę Dambrowskiego, bardzo starannie przejrzaną i poprawioną przez siebie pod względem językowym przez zasadnicze polszczenie wszystkich cytat łacińskich. W dwa lata później wydał biblię, niemniej troskliwie zrewidowaną pod względem językowym. Prace to były olbrzymie i wymagały wielkiego entuzjazmu w służbie ludu polskiego na Śląsku. W r. 1777 wydał Twardy „Modlitwy dla nabożnego chrześcijanina", które, jak stwierdza Wantuła, jeszcze w roku 1890 przedrukowano w Cieszynie jako czwarte kolejne wydanie. W Warszawie ukazały się w roku 1769 „Różne uwagi fizyczne" jako tłumaczenie ks. Twardego z języka zapewne niemieckiego. W archiwach wrocławskich znajdują się rękopisy kazań Twardego.

Twardy pozostał tym, czym był, synem ludu polskiego, troszczącym się o jego dobro aż do ostatniej chwili. Rzecz charakterystyczna, że ten pastor polski, który w dzieciństwie i młodości dość nacierpiał się biedy, umierając, pozostawił znaczny fundusz 3820 talarów, od którego odsetki miały być wypłacane jako stypendia niezamożnym teologom, władającym językiem polskim a pochodzącym ze Śląska Cieszyńskiego. Druga jego fundacja miała na celu zabezpieczenie szkoły szycia dla dziewcząt w Szelimiu. Z fundacji Twardego korzystali jego potomkowie, a także młodzi teologowie cieszyńscy za pośrednictwem superintendentury. Wypłacał stypendia magistrat wrocławski. Po wojnie nikt już w Cieszyńskiem stypendium tego nie otrzymał.

Taka oto jest piękna sylweta ks. Pawła Twardego, syna chłopa polskiego z Trzycieża, którego dzięki uprzejmości ustrońskiego silezjanisty Jana Wantuły, przypomnieć mogę czci i miłości współczesnych.

Na siedem lat przed ukazaniem się biblii z przedmową ks. Twardego, trzej księża katoliccy, a mianowicie Jerzy Bajtek, proboszcz jabłonkowski, Jan Hackenberger, proboszcz wędryński i Franciszek Knebel, proboszcz goleszowski, wydali książkę, która jest jednym z niezliczonych dowodów polskości Śląska Cieszyńskiego. Jest to „Prawdziwa jedzina do nieba z Pisma Swientego dokazana droga, to jest nauka katolicka...“ Tytuł dzieła zwyczajem tamtych czasów jest długi, obejmuje całą stronicę i jest niejako streszczeniem całego dzieła. Wyszła ta książka „za osobliwym powoleniem wierchności duchownej y swieckiey. W Oppawie, durk. Jan W. Szyndler, 1761“.

Książka ta zasługuje na uwagę dlatego przede wszystkim, że została napisana przez śląskich księży katolickich w czasach, gdy czeszczyzna była na Śląsku językiem uprzywilejowanym i nawet narzucanym. Księża ci dalecy byli od jakichkolwiek myśli politycznych, lecz kierowali się jedynie serdecznym pragnieniem, aby temu

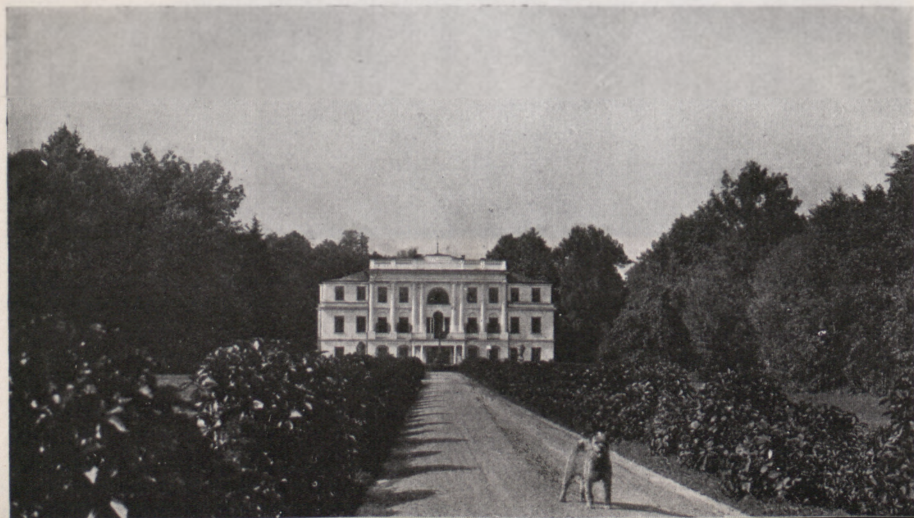
Czeska Szkoła wydziałowa w Gnojniku



ludowi, który był powierzony ich pieczy, służyć jak najlepiej, przemawiać do niego językiem najbardziej zrozumiałym i najbliższym, a więc ojczystym. W przedmowie do tej książki autorowie piszą między innymi:

„Łaskawy czytelniku, oto ći śie podaje Kśionszka nowo, ktora jakkolwiek stare Rzeczy w sobie zawiera, przece noworzeczona, że twojemu Jenzykowi, a mowie w Druku przysposobiona, po pierwsze na światło wychodźi, aby tym milsza, a każdemu przyjemniejsza była, czym snadnieysza bendzie do wyrozumienia..." Przedmowa mówi o treści książki i zwraca uwagę czytelnika, że znajdzie on w niej także „modlenia" różne. „Potym rozne Modlenia tak doma jak w Kościele używalne y Spiewy na cały Rok z Kancyonałów approbirowanych wyćiongnione (tobie dla wygody w jednym zwionzaniu podaje). Miendzy Spiewami na koniec Kancyonału Czeskiego masz y Pogrzebne Pieśni przydane, a na ostatku z Polskich Kantyczek niektore tu w Oyczyźnie znajomsze przyłonczone... Krótko mowionc: ta Kśionszka z tym umysłem tak wienkszym Dźiałem przyrodzonom tobie mowom na Światło wydana, aby ubostwu za wiele innych Kśiong wygodźiła, bo co wiele innych z osobna w sobie zawierajom, to ta jedna dla umnieyszenia Nakładow a ubogim na zupełnom wygode wszytko pragnie podać w Rence."

Autorowie liczą się z ostrą krytyką czy może nawet drwinami, że opuszczają język czeski, który na Śląsku miał bogatą literaturę kościelną i dlatego w przedmowie piszą: „Prawdać, że sie jeszcze nie narodził, ktoryby każdemu był wygodził, bo y na naywzacnieysze Kśiengi powstawajom Zoillowie a Pomowacze, trzebaś sami nic podobnego na światło nie wydawajom. Przetoż, aby ta Kśionszka tym smieliy na Swiatło śie pokazać mogła, obrała sobie wiel-



Pałac barona Bees - Chrostina w Gnojniku

kiego u Boga na przećiw uszczypliwym Jenzykom Patrona y Zastempce Jana Swientego z Nepomuku..."

Książka ta ma wzruszającą dedykację: „Swiętemu Janowi z Nepomuku, sławnemu dla Sekretu Spowiedźi Swientey sobie zwierzonego Menczelnikowi, wielkiemu Sławy dobrey Patronowi, Kśiendzow świeckich ozdobie y Przykładowi, przytomnom dla pożytku Dusz Krześciańskich Prace pod Swientom Obrone a pewnom naprzećiw Jenzykom uszczypliwym Zasłone duwiernie w naygłembszey Pokorze offiaruje Kśienstwo Swiecki".

„Księstwo świeckie" to znaczy duchowieństwo świeckie. Chociaż książka ta ma aprobatę władz kościelnych, to jednak pozostała książką niejako prywatną. Nie zalecano jej specjalnie do użytku kościelnego, ale tym serdeczniej przylgnął do niej polski lud śląski. Oczywiście, wydrukowano ją szwabachem, jak wszystkie książki, wychodzące w tamtych czasach na Śląsku, bo ludność przez szkoły czeskie przyzwyczajona była do szwabachu i pisma łacińskiego nie znała. Historyk czeski, Adamus, powiada o tej pracy trzech księży polskich: „Jak bardzo polubił lud cieszyński tę książkę do nabożeństwa, dowodzi fakt, że jeszcze dzisiaj w licznych rodzinach katolickich przechowuje się ją jako drogą pamiątkę".

O tej samej książce, którą uczony czeski ocenia tak życzliwie, demagog Vochala wyraża się, że została napisana kiepskim zniekształconym językiem czeskim. Inna książka polska, wydana w tamtych czasach, „Pieśń ku Mszy św. z Litaniami a Modlitwami... dla Xionżenstwa Tieszynskiego na zwyczayny Jenzyk przełożona", to zdaniem Vochali także zeszpecona czeszczyzna. Dla niego i jemu podobnych w Cieszyńskiem nigdy nie było Polaków, lecz jedynie Czesi, i dlatego wszystko, co zostało wydane w języku polskim, uważa on za zbarbaryzowaną czeszczyznę.

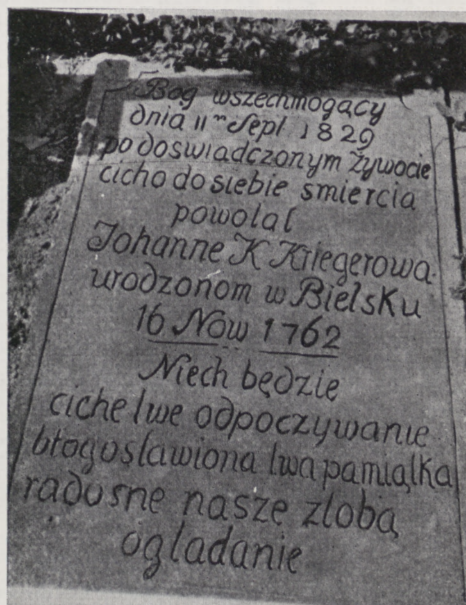
W przedmowie do „Prawdziwej jedzinej drogi" uderzają słowa, zwracające się do czytelnika: „twojemu językowi przysposobiona", „snadniejsza będzie do wyrozumienia", „przyrodzoną tobie mową na światło wydana". Zaś „Pieśń ku Mszy św." ma w nagłówku, że została na „zwyczajny język przełożona". Tego komentować nie trzeba. Gdy zwracano się do ludu śląskiego, to wiedziano, że jest to lud polski i że trzeba do niego mówić po polsku. Lud ewangelicki

trzymał się ksiąg polskich, wydanych w wieku XVI i XVII w Polsce. Przechowywał więc troskliwie polskie tłumaczenia biblij, postyle Reja, Dambrowskiego, Grzegorza, używając jedynie kancjonału czeskiego, ponieważ o polski było trudno. Zaradził temu pastor ligocki, ks. Jerzy Heczko, który opracowawszy kancjonał polski dla ludu ewangelickiego, zaprowadził go we własnym zborze w Ligotce Kameralnej w r. 1869. Wpływ tego kancjonału był większy, niż można by przypuszczać. Gdzie się on przyjął i gdzie resztki języka czeskiego poznikały z życia ludu śląskiego, zadomowiła się pełna świadomość przynależności do narodu polskiego. Prostaczkowie dla tego, że śpiewali w kościele po czesku, chcieli koniecznie być uważani za „Morawców". Działały tu, rzecz prosta, sugestie postronne.

Gdy się jest w Trzycieżu i szuka się śladów Pawła Twardego, wydawcy biblii, opatrzonej jego przedmową, to nie podobna przepomnieć Andrzeja Trzycieskiego, biografa Rejowego. Że jego nazwisko musi się wiązać z nazwą Trzycieża, tego specjalnie dowodzić nie trzeba. Popiołek w swej „Historii Śląska austriackiego" mówi, że Trzycież istniał już na początku wieku XIV. Nie wiem, czy istnieją gdzie indziej miejscowości tej samej nazwy, ale jeśli ich nie ma, to Trzycieskich trzeba wywodzić z tego Trzycieża, jaki znamy.

Mówiąc o studiach młodzieży śląskiej, ustala Popiołek, że młodzież śląska kształciła się zrazu na uniwersytecie praskim, gdzie zapisywała się do narodowości polskiej. „Po pierwszych zajściach husyckich — są słowa Popiołka — Ślązacy przenieśli się razem z innymi do Lipska, tworząc tam również narodowość polską i zajmując w nowej wszechnicy wybitne stanowisko. Ruch umysłowy jednak na większą skalę wszczął się dopiero w wieku XV, gdy młodzież śląska zaczęła licznie napływać na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie..." Popiołek przytacza miejscowości śląskie, z których wywodziła się młodzież, studiująca w Krakowie. A więc byli tam studenci z Górnego Śląska, z Opawy, z Cieszyńskiego. Dla nas specjalnie interesującym jest fakt, że nie brakło tam słuchaczy ze Stanisłowic, z Morawki, Dobrej, Trzyńca, Śmiłowic, Pudłowa, Trzycieża, Dziećmorowic, Karwiny, czyli z całego Zaolzia. Niemniej interesuje fakt, zapisany przez Popiołka, że wybitny Ślązak, Adam Schröter, filozof i poeta, zostawał w dobrych stosunkach z Andrzejem Trzycieskim i wojewodą Olbrachtem.

Nawet krótki pobyt w Cieszyńskiem wystarcza, aby nabrać głębokiego przekonania, że ta ziemia była i jest do gruntu polska. Ale, niestety, Śląsk jest jeszcze ciągle krajem nieznanym, aby użyć wyrażenia Szczuckiej, nie odkrytym dotychczas w całym swoim bogactwie, pomimo licznych już prac o nim uczonych i pisarzy polskich.



Ligotka Kameralna Cmentarz ewangelicki. Stary nagrobek



Śląska szafa malowana. Muzeum Śląskie w Katowicach

GEOGRAFIA BEZRUČA

Wędrowałem po Zaolziu ze zbiorkiem poezji Bezruča „Slezské Pisně". To on spopularyzował „Morawców" w świecie czeskim i nie tylko czeskim. Objechałem więc wszystkie miejscowości, w których rzekomo spotykał się on z Morawcami, aby zobaczyć ich na własne oczy, pogadać z nimi, poznać ich nazwiska. Przy tej sposobności stwierdziłem rzecz osobliwą, że chociaż Bezruč opiewa niby to cały Śląsk, to jednak linia jego zainteresowań nie wybiega w gruncie rzeczy poza linię dawnych pretensji czeskich, a więc poza Morawkę i Lucynę. Tylko na północy odchyla się geografia Bezruča nieco dalej na wschód i zamiast od Szumbarku skręcić na zachód i zatrzymać się koło Gruszowa, biegnie prosto na północ i obejmuje Niemiecką i Polską Lutynię razem z Boguminem.

Czytając Bezruča już przed wielu laty, nawet w myślach nie polemizowałem z nim, uważając za bardzo możliwe, że z sąsiednich Moraw imigrowało w Cieszyńskie wielu Morawian (nie Morawców, ale Morawian!) i że w środowisku polskim mogli ci imigranci ulec polonizacji. Rozumiałem poetę Bezruča, że mu żal każdej jednostki czeskiej. Czechów jest wszak niewiele na świecie, a chcą żyć i mają pełne prawo do życia. Postanowiłem tedy zobaczyć jego Morawców na własne oczy. Oczywiście, już przy czytaniu takich wierszy jak „Toszonowice" budziły się we mnie bardzo poważne zastrzeżenia, bo jego „Morawka" rozmawiała z nim po polsku, a on sam przytaczał jej słowa polskie w transkrypcji czeskiej.

Wiersz „Toszonowice" należy do najbardziej popularnych i często cytowanych. Opowiada on w nim, że idąc z Frydku do Cieszyna, spotkał ładne dziewczę z Toszonowic i wdał się z nim w rozmowę. Zapytał je, czy jest Polką, na to ona żachnęła się, że jest



Szkoła czeska w Błędowicach Dolnych

Morawką. Tylko nauczyciel polskiej szkoły daje im polskie książki, ale oni wszyscy, co są z Toszonowic „rządzą“ tylko po morawsku. Spotkawszy dziewczynę, mówi do niej po polsku: „S Panem Bogem, dziewuszka szwarna“. Rzecz prosta, że dziewczyna odpowiada tak samo: „S Panem Bogem, dzień dobry pane“. Poeta pyta dalej: „Zkun, kaj idziesz?“ Odpowiedź brzmi: „Do fabriky do Cieszyna z Toszonowic“.

„Do pierona, jaks je szwarna,
jakie oczy, jakie rączki ” —
„Po fałesznu pan mi rządzi.”
In po prawu. A czyjaś ty?
„Bystroniowa z Toszonowic.”

Drobne odchylenia od czystej gwary śląskiej trzeba zapisać na dobro poety i konieczności zachowania rytmu. Jak każdy widzi, rozmowa toczy się w języku polskim i poeta musi w odsyłaczach dawać tłumaczenie czeskie, aby czytelnik jego wiedział, o co tam chodzi. Zgoła naturalne jest pytanie Bezruča, czy dziewczyna, rozmawiająca z nim po polsku, jest Polką. W gruncie rzeczy, skoro sam rozmawiał z nią po polsku i otrzymywał od niej doskonałe odpowie-

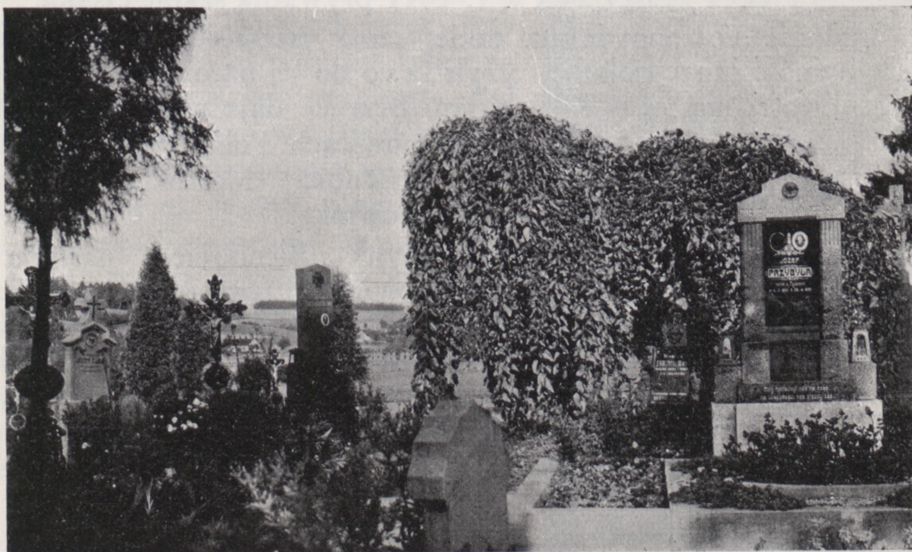
dzi polskie, nawet pytać o to nie potrzebował, ale tendencja wiersza wymaga zapytania i zaprzeczenia i stąd powstaje strofa następująca:

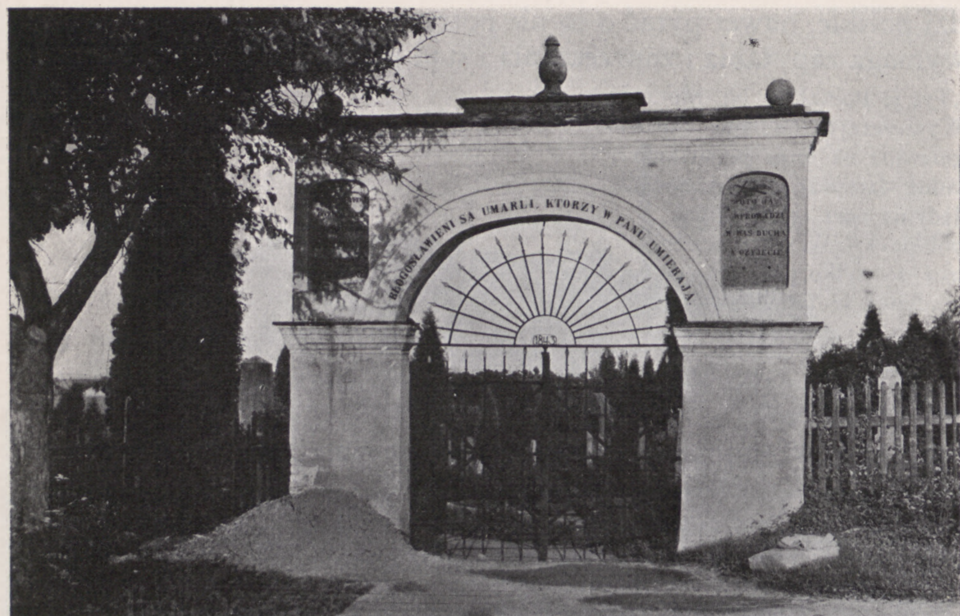
„Tys je Polka? — Ni, Morawka! —
Wyszczerzyło na mnie ząbki,
gniewnie na mnie popatrzyło
ładne dziewczę z Toszonowic.
Jedynie nasz rektor Polak
polskie książki nam rozdaje,
lecz my tylko po morawsku
rządzimy w Toszonowicach."

Byłem w tych Toszonowicach i rzeczywiście lud tamtejszy mówi tak, jak jest przytoczone w wierszu Bezruča, to jest po polsku z pewnymi naleciałościami czeskimi. Jest to lud pracowity, łagodny i miły, daleki od tego, aby wzorem ładnego dziewczęcia z wiersza czeskiego poety pokazywać zęby za samo pytanie o polską narodowość. Jest tam większość katolicka i komentator Bezruča, Adamus, powiada, że właśnie ta większość katolicka trzymała się języka czeskiego w kościele i stąd była „morawiecka", podczas gdy mniejszość ewangelicka była i jest dotąd polską bez zastrzeżeń.

Jak we wszystkich wsiach śląskich, tak i w Toszonowicach panował w szkole język czeski i dzieci uczyły się z czeskich „ślabikarzy". Ślabikarz to elementarz, od czeskiego słowa „slabikovat" — sylabizować. Polska szkoła założona została w Górnych Toszonowi-

Błędowice
Cmentarz
katolicki





Brama cmentarza ewangelickiego w Błędowicach Dolnych

cach r. 1908, a chodziły do niej także dzieci ewangelickie z Domasłowic i Dolnych Toszonowic — jak to stwierdza Adamus. Ludność „morawiecka" czyli niedoświadomieni Ślązacy polscy, miała się domagać szkoły z językiem morawskim. Ponieważ szkoła gminna na podstawie uchwał większości polskiej była polska, przeto Matice Osvěty Lidové założyła tu w r. 1911 prywatną szkołę czeską.

Ludność Toszonowic ma takie same nazwiska śląsko-polskie, jak ludność innych okolic, czyli że co do jej narodowości żadnych wątpliwości nie ma. Zresztą sam Bezruč daje wymowną próbkę „rządzenia po morawsku" w Toszonowicach. Polak zrozumie tę mowę morawską bez najmniejszych trudności. Morawianinowi czy Czechowi trzeba dodawać do niej słownik.

W innym wierszu, zatytułowanym „Blendovice", nastraja się Bezruč na ton bardzo elegijny i opowiada o tym, jak pewnego razu idąc przez cmentarz błędowicki, liczył polskie krzyże, które powyrastać tam miały z woli polskiego księdza. Nad świeżą mogiłą klęczało narzekające dziecko, które na poczekaniu zmienia się w symbol ludu śląskiego. Tego dziecka osierociałego ojcem staje się on, Bezruč. Symbolika trochę naciągana i sztuczna. Dziecko narzeka,

a Bezruč przerywa to narzekanie okrzykiem, nie wiadomo dlaczego, polskim.

Dziecko płacze: „Žal moje mama — tvuj slezský jsem lid, tesknota, bída mé potky!“ — Bezruč woła: „Dlo boga svientego! — začal jsem klit — což jsem se napil moc vodky?!“ — „Żal, moja mamo, jam śląski twój lud, tęsknota, nędza, me kumy. Dlo boga świętego! — zacząłem kląć, czyli-m za dużo pił wódki?“ I w tym wierszu jak w wielu innych używa Bezruč zwrotów polskich dla uplastycznienia „morawskiej“ mowy ludu śląskiego, przy czym mowę tę trzeba zawsze tłumaczyć na język czeski. „Dlo boga świętego“ brzmiałoby po morawsku: *Pro boha svatého!*

Wybrałem się więc do Błędowic, aby na własne oczy zobaczyć owe polskie krzyże. Dzisiaj Błędowice nazywają się już Bludovice, chociaż Bezruč ogromnie niekonsekwentnie obstaje przy polskiej nazwie i pisze: Blendovice. Droga z Ligotki Kameralnej prowadzi na Gnojnik, Trzanowice i Cierlicko. Trzanowice to wieś rodzinna Trzanowskich, z których wyszedł znakomity kaznodzieja ewangelicki, działacz reformacyjny, pisarz i poeta religijny. Pisał po czesku, jak bardzo wielu Polaków w owych czasach, bo język czeski rozpowszechniony był wtedy nie tylko na Śląsku, ale i poza jego granicami. Był zrazu kaznodzieją w Bielsku, skąd przeciwreformacja zmusiła go do wyemigrowania na Węgry. Jego kancjonał „Cithara Sanctorum“ ukazywał się w ciągu trzech wieków w niezliczonych wydaniach i był jeszcze przed wojną w użyciu w niektórych gminach śląskich. Trzanowski urodził się w Cieszynie w r. 1591, umarł w Św. Mikułaszu na Liptowie w r. 1637.

Kapliczka ku pamięci Żwirki i Wigury zbudowana w Cierlicku



Cierlicko pozostanie na zawsze w pamięci społeczeństwa polskiego jako miejsce tragicznej katastrofy Żwirki i Wigury. Tutaj 11 września 1932 roku nagła burza zrzuciła na ziemię samolot, którym dwaj znakomici przedstawiciele lotnictwa polskiego lecieli na mityng lotniczy do Pragi. Zbaczamy w prawo ku Kościelcowi i drogą leśną idziemy ku miejscu, które otrzymało tu nazwę „Startu do wieczności Żwirki i Wigury“. Wypada iść koło zabudowań gospodarczych, a nawet przez łączkę. Nie wiemy, czy wolno, ale jakaś miła gospodyni, pracująca w polu, prostuje się i woła: — Idźcie, idźcie, a nic się nie bójcie! — I ręką pokazuje nam, którędy iść trzeba. Po paru minutach wędrówki widzimy złamaną sosnę i nieco dalej drugą. Miejsce tragedii jest ogrodzone, a nad bramą u wejścia do kaplicy pamiątkowej, zbudowanej przez ludność polską w Czechosłowacji w r. 1935, widnieje napis: „Żwirki i Wigury start do wieczności“.



Cierlicko
Tablica w kapliczce poświęconej pamięci Żwirki i Wigury

Biała prosta kapliczka, utrzymana w szlachetnym stylu, stoi tuż obok strzaskanych drzew. Nad wejściem do niej skrzydła samolotu i śmigło, na strzesze kamienny krzyż. Przed kapliczką krzyż z brzozy, przekreślony śmigłem samolotu. Serce ściska się boleśnie. Wiemy, czujemy dokładnie, jak to było, gdy dwaj nieustraszeni bojownicy z żywiołem z wyżyn sławy padali w otchłań śmierci. W ostatnich sekundach życia każdy z nich myślał o swoich najdroższych, wiedząc, że droga do nich została odcięta ślepą wolą ciemnego żywiołu. Wszystko, co jeszcze chcieli uczynić, każde słowo, które byliby jeszcze chcieli powiedzieć, zostało przecięte ciosem niewidzialnego miecza, a potem straszliwy trzask i milczenie.

Na białej wewnętrznej ścianie kapliczki czarna tablica mówi:

ZWYCIĘSTWEM W CHALLENGE'U W SIERPNIU 1932
PORUCZNIK WOJSK POLSKICH
FRANCISZEK ŻWIRKO
I KONSTRUKTOR
INŻ. STANISŁAW WIGURA
WSŁAWILI SIEBIE I IMIĘ POLSKIE W CAŁYM ŚWIECIE.
W NIMBIE NAJWIĘKSZEJ SŁAWY
W DRODZE DO PRAGI DNIA 11 WRZEŚNIA 1932 R.
PODCZAS NAGLE POWSTAŁEJ BURZY ZRZUCENI
TU W LESIE ZGINĘLI ŚMIERCIĄ LOTNIKÓW
NA PAMIĄTKĘ TEJ KATASTROFY, KTÓRA WSTRZĄSNĘŁA SERCAMI WSZYSTKICH POLAKÓW NA ŚWIECIE.
ZBUDOWAŁA POLSKA LUDNOŚĆ W CZECHOSŁOWACJI
TĘ KAPLICĘ W R. 1935.

Ciche proste słowa, niewspółmiernie proste w porównaniu z tym, o czym mówią. Ale tak już jest: nie ma takich słów, które wyraziłyby należycie wielki żal i smutek. Ten żal potęguje się tu w słońcu przepięknej okolicy. W polu pracują ludzie pełni trosk powszednich, ale i radości życia, gdzieś na drodze bielejącej w dali, dzieci idą ze szkoły i pokrzykują wesoło, a tu jest takie oto miejsce odgrodzone od reszty świata żalem i smutkiem, miejsce, gdzie bolesny skurcz serca zawsze tłumić będzie radość życia i napełniać myśli smutkiem, dla którego nie ma wyrazu.

Ale „życie nieuleczalne jest" — powiada Staff. To Cierlicko, które na zawsze pozostanie startem do wieczności Żwirki i Wigury, ma jeszcze jeden aspekt dla naszego życia zbiorowego. Tutaj, w tym Cierlicku, gdzie od stuleci mieszkała i mieszka ludność polska, toczy się ostra walka o jej prawo do istnienia. Cierlicko jest dość daleko od linii dawniejszych pretensji czeskich. Ludność mówi tu ładnym narzeczem polskim, o czym wiedzą wszyscy językoznawcy czescy, ale polityka nie troszczy się o takie rzeczy. Gdy w r. 1933 umarł w Cierlicku Górnym polski proboszcz, ks. Oskar Zawisza, Czesi postarali się o to, aby na jego miejsce dostał się proboszcz czeski. Nie pomogły protesty i zabiegi ludności polskiej i dawna czechizacja ludu polskiego przez kościół ożywa w nowych warunkach. Nie skończyło się, oczywiście, na Cierlicku i parafie śląsko-polskie jedna po dru-

giej otrzymują proboszczów czeskich. Dzieje się to na skutek usilnych starań Maticy, która pod hasłem krzewienia oświaty ludowej dokonywa szybkiej i radykalnej czechizacji polskich części Zaolzia.

Sprawa parafii cierlickiej była głośna przed paru laty, a Wiesław Wojnar, znany pisarz śląski, poświęcił jej obszerną rozprawę „Prawda o Cierlicku", operując olbrzymim materiałem dowodowym, przemawiającym na rzecz ludu polskiego w Zaolziu. Równocześnie z jego pracą ukazała się praca czeska Evarista Pit'hy o językowym i narodowościowym sporze w parafii cierlickiej w latach 1862—1864. Przygodny publicysta czeski wyzyskuje spór sprzed lat 70, aby zręcznie zagadywać rzeczywistość dzisiejszą. Mówi on także o fikcyjnych Morawcach, którzy wtedy domagali się zachowania języka czeskiego w kościele.

Autor czeski przytacza podanie, napisane przez Józefa Tieleckiego i podpisane przez dwudziestu czterech parafian, których nazwiska prócz dwóch są polskie. Kopiec, Tielecky, Kozieł, Kołatek, Hudziec, Kobierski, Čerwenka, Pońća, Kubina, Szeliga, Siwek, Szeliga, Guziur, Badura, Šimsa, Guziur, Wałoszek, Duda, Szlachta, Przybyła, Kubiena, Szymanik, Polak, Chlebik. Dwa z tych nazwisk: Čerwenka i Šimsa są niewątpliwie czeskie, reszta — polskie. W podaniu znalazł się ustęp, świadczący o nieświadomości tego biednego



Cierlicko Dolne.
Miejsce tra
Żwirki i Wi

ludu polskiego i o skwapliwości czechizatorów, z jaką ta nieświadomość zawsze i wszędzie bywa przez nich wyzyskiwana, czy to w Cierlicku, czy w Łazach, czy w Ligotce Kameralnej.


Błędowice Dolne. Ołtarz w kościele ewangelickim

Poczciwi ci ludzie pisali: „Wzywamy wielebny i duchowny urząd aż do Stolicy apostolskiej i prosimy, abyśmy przy starej katolickiej religii stali i nie odpadli, aby tylko nasze stare i nowe pieśni morawskie śpiewano w kościele, a nie polskie, albowiem my ani słowem nie chcemy burzyć naszej starej wiary chrześcijańskiej katolickiej.“ Poczciwi ludzie wyobrazili sobie, że pieśni czeskie śpiewane w kościele są częścią wiary katolickiej i że pieśni polskie zagrażają tej ich wierze. W interesie czechizatorów nie było wyprowadzanie ich z błędu, ale raczej wykorzystywanie ich nieświadomości i naiwności, jak to się powtarzało na Śląsku wszędzie tam, gdzie przewagę mieli inżynierowie i dyrektorowie czescy i morawscy.

Niedaleko Cierlicka jest K o ś c i e l e c, a z nim i z jego kościołkiem, stojącym przy drodze, łączą się legendy ludu śląskiego o Katarzynie Sydonii, drugiej żonie księcia cieszyńskiego, Wacława Adama (1540—1579). Dla ciemnej cery i czarnych oczu oraz ciemnych szat księżna ta nazywana była Czarną Księżną, a legenda czyni z niej uosobienie dobroci i szlachetności. Umarła i pochowana została na Węgrzech, ale lud śląski nie troszczy się o takie fakty historyczne i twierdzi, że umarła na Śląsku, a pochowana została właśnie w Kościelcu.

Przed śmiercią powiedziała ta księżna dokładnie, jaki chce mieć pogrzeb. Cztery woły na prostym wozie miały wieźć jej zwłoki, a grób dla niej wykopać miano tam, gdzie się owe woły zatrzymają. Woli jej uczyniono zadość, a na jej mogile zbudowano zrazu pomnik, później kościołek, a dokoła kościołka powstała osada, którą nazwano Kościelcem. Szlachetna księżna nawet po śmierci nie chciała opuścić swego ludu, ale pokazywała się często na korytarzach zamkowych albo w kościele.



Błędowice „Prosta droga“ do Mor. Ostrawy

Pewnego razu miała ona bawić w zameczku łowieckim w Marklowicach i wtedy jej strzelcy przyprowadzili do niej wieśniaka oskarżonego o zastrzelenie odyńca. Kłusownictwo było w owych czasach karane jako wielka zbrodnia i kłusowników rzucano na pożarcie głodnym psom łowieckim. Żona schwytanego wieśniaka pobiegła do księżnej, aby ją prosić o litość dla męża. Księżna kazała sobie powiedzieć, jaka jest wartość zabitego odyńca i jakie szkody wyrządzał on na polach nieszczęsnego wieśniaka w ciągu całych lat, a potem nakazała, aby wieśniak zapłacił za zabite zwierzę trzy talary, zaś jemu aby wypłacono ze skarbca książęcego 10.000 talarów jako odszkodowanie za spustoszenia, które odyniec wyrządzał na jego polach tak długo.

Oczywiście, legenda. Skarbiec książąt cieszyńskich bywał tak dalece pusty, że książęta zapożyczali się nawet u mieszczan cieszyńskich, o czym wszakże twórcy legend nie wiedzieli, wyobrażając sobie, że ich książęta mieli złota w bród i mogli je rozrzucać przygodnie pełnymi garściami. Ubogi lud cieszyński nie troszczył się o rzeczywistość i w legendach swoich odszkodowywał się za biedę swoją znajdowaniem olbrzymich skarbów.

Tuż za Cierlickiem jest jedna z najładniejszych dróg w Zaolziu, a mianowicie droga wiodąca do Szumbarku i dalej do Moraw-

skiej Ostrawy. Od Górnego Cierlicka aż po Szumbark, czyli na przestrzeni jakich siedmiu kilometrów, jest ona prosta jak strzelił, ale wygina się w głąb malowniczo niby w jakim olbrzymim tobogganie. Nie można się dość napatrzeć na ten ogromnie zróżnicowany krajobraz śląski, który jest taki inny w okolicach Błędowic i taki niepodobny do Jabłonkowskiego czy Frysztackiego. Jest tu przestronno jakoś, ale jednocześnie grunt jest falisty i miejscami zasłania okolice pobliskie, aby o kilkaset metrów dalej pokazać okolice bardzo dalekie.

Jak wszystkie wsie śląskie, tak i Błędowice są rozrzucone na wielkiej przestrzeni i zróżnicowane niesłychanie. Mamy Błędowice Dolne, Średnie i Górne. Błędowice Dolne zamieszkuje narodowo uświadomiony lud polsko-ewangelicki, w Błędowicach Górnych jest większość katolicka. Po ukazaniu się patentu tolerancyjnego ewangelicy zbudowali sobie w Błędowicach Dolnych kościół. Katolicy zatrzymali dla siebie szkołę przy kościele, w której nauczano po czesku. Nie tylko w Dolnych, ale i w Górnych Błędowicach pozakładali ewangelicy szkoły, w których zrazu nauczano po czesku, jak tego wymagała ustawa. W roku 1874 zamknęli szkołę w Błędowicach Górnych i powiększyli znacznie szkołę w Błędowicach Dolnych, usuwając z niej jednocześnie język czeski i zaprowadzając polski. Już w r. 1869 równocześnie ze zborem w Ligotce Kameralnej zaprowadzili ewangelicy błędowiccy polskie kancjonały, podczas gdy katolicy w dalszym ciągu trzymali się czeskiego języka.

Nitra, Baca



Pochodzący z Domasłowic ks. Jerzy Kołek, proboszcz katolicki w Błędowicach starał się zaprowadzić w kościele śpiewy polskie, ale spotkał się z dużymi trudnościami, bo agitatorzy czescy zręcznie wyzyskiwali niedoświadomienie ludu i język polski w kościele przedstawiali jako zamach na czystość nauki katolickiej. Powtarzało się to samo, co w Cierlicku. Ostatecznie ks. Kołek osiągnął tyle przynajmniej, że w kościele odprawiały się na przemian nabożeństwa polskie i czeskie. Gdy w roku 1897 została zbudowana nowa szkoła, rada gminna postanowiła zaprowadzić w niej język polski jako wykładowy. Ale zaagitowani „Morawcy", czyli nieświadomi swej narodowości Polacy, oparli się temu i język czeski usunięty nie został.

Tym dziwniejsze jest narzekanie Bezruča na polskie krzyże na cmentarzu błędowickim. Poszedłem na ten cmentarz. Wszystkie niemal cmentarze śląskie położone są tak, iż z ich dróg i ścieżek roztacza się przepiękny widok na okolicę. Tu smutek śmierci, a tam, o parę kroków dalej rozkosz widzenia piękna tego świata, szczęście pełni życia z jego niedolami i walkami, z porażkami i zwycięstwami. Chodziłem śród mogił z uprzedzeniem zasugestionowanym mi przez Bezruča, że znajdę tu mnóstwo nazwisk czeskich z polskimi napisami, co by znaczyło, że pod tymi napisami spoczywają wiecznym snem spolszczeni Czesi i co usprawiedliwiałoby przynajmniej w pewnej mierze elegiacyzm Bezruča. Ale cóż widziałem? Groby z nazwiskami takimi samymi jak wszędzie: Folwarczny, Kozieł, Badura, Bystroń, Pawlica, Polok, Gnida, Cimała, Gałgonek, Łabudek, Rozbrój, Obracaj, Świder, Chwistek, Chmiel, Kubaczka...

Nitra, Ślązaczka



Moje niegdysiejsze zaufanie do Bezruča i jego smutku rozwiało się tu, jak mgła. Nie znalazłem tu żad-



Henryk Nitra, rzeźbiarz śląski

nych polskich krzyży, bo to jest niezręczna przenośnia poetycka, ale znalazłem śród każdych dziesięciu nazwisk przynajmniej 8—9 polskich. Rozczarowałem się do poezji piewcy „gasnących Morawców“ całkowicie. Czy żałowałem trudu, że wędrując po Śląsku, kierowałem się marszrutą jego pieśni? Stanowczo nie! Ten trud opłacił się sowicie. Dzisiaj wiem z całą pożądaną pewnością, że czeska legenda Morawców to mit w najlepszym razie. A w razie najgorszym brzydka świadoma blaga polityczna.

Wędrując po Zaolziu, spotykałem się po domach śląskich z rzeźbami w drzewie Henryka Nitry. Co zacz ten Nitra? Słowak? Czech? Polak? Powiadano mi, że kształcił się w Krakowie, że siedzi w Błędowicach i rzeźbi w drzewie ładne figurki, a nawet piękne popiersia. Śląsk ma ustaloną już tradycję ojczyzny rzeźbiarzy w drzewie. Poszedłem więc, aby odwiedzić tego oryginalnego artystę.

Mieszka w białym domku z ogródkiem, w typowym domku śląskim. Przed domem dwóch, trzech robotników obrabiało drzewo, pies łańcuchowy o wysoce komicznej psiej twarzy rzucał się z głośnym ujadaniem na gości i postanawiał nie wpuścić ich do swego pana. Nad dużym oknem frontowym szyld: Jindřich Nitra, sochař... Szyld informuje w języku czeskim, że tu jest pracownia ołtarzy i wozów pogrzebowych, czyli karawanów. No tak, z czegoś człowiek żyć musi. Sztuka stoi czasem między ołtarzem a wozem pogrzebowym, jak tutaj w Błędowicach.

Uprzejmy miły człowiek, przysadzisty, grubokościsty... Podaje nam

Nitra, Górnik



z serdecznym uśmiechem rękę i prosi do siebie. Pierwsze wrażenie nieokreślone: wchodzimy jakby do warsztatu stolarskiego. Pachnie drzewem, na podłodze dużo ostrużyn. Ale niebawem spostrzegamy, że jesteśmy gośćmi artysty. Na ścianie różne szkice, na wielkim stole postacie aniołów o skrzydłach pięknie stylizowanych. Ładna twarz Chrystusa czy któregoś ze świętych, różne drobne rzeźby, prawdopodobnie fragmenty pracy większej. Na stole przy oknie niewielkich rozmiarów deseczka lipowa, z której wyłaniają się owieczki, a nad nimi pasterz z fujarką u ust. Obok deseczki szereg różnych dłutek, większych i mniejszych. Przerwaliśmy mistrzowi pracę. Czy nie byłby łaskaw pokazać nam, jak się rzeźbi w drzewie? Z całą gotowością bierze w rękę jedno z dłutek i usuwa nim te cząstki drzewa, które przesłaniają obrazek pasterza z owieczkami.

Przypomniała mi się Zofia Nałkowska, która przy jakiejś sposobności powiedziała, że twórczość artystyczna to nie tyle układanie elementów potrzebnych, ile odrzucanie niepotrzebnych. W deszczułce, po której zręcznie jeździ dłutko Nitry, wyczuwamy obrazek. Jest w niej ukryty, trzeba go po prostu odsłonić, pousuwać niepotrzebne cząstki drzewa. I to jest właśnie talent. Aż dziw jak śmiało i swobodnie porusza się dłutko w ręku rzeźbiarza, jak nieomylnie odsłania runo owieczek i kapelusz pasterza!

Po chwili artysta zaprasza nas do drugiego pokoju i pokazuje nam swoie rzeźby i obrazy, a także duży kredens misternie przez niego zdobiony rzeźbami. Śród popiersi jedno w białym drzewie jest wyjątkowo ładne. Wprost wierzyć się nie chce, że z suchego drzewa można wydobyć tyle wyrazu, wyrzeźbić usta uśmiechnięte melancholijnie. Jeden z obrazów przedstawia krajobraz w paru syntetycznych liniach i barwach, a autoportret artysty przypomina żywo prace niezapomnianego Lenca, spotęgowane w charakterystycznych rysach warszawskiego malarza i, jeśli wolno tak się wyrazić, sprymitywizowane.

Z okien tego pokoju widać kawał świata śląskiego. Do Żermanic będzie stamtąd ze dwa kilometry, do Szebiszowic trzy-półczwarta. Tutaj w tych Szebiszowicach umarł w zupełnym osamotnieniu młody ksiądz, Franciszek Kunczycki, który w latach sześćdziesiątych zeszłego wieku był wikarym w Niemieckiej Lutyni. Swoje obowiązki traktował z wielką powagą i ze wszystkich sił sta-

rał się odwodzić lud od pijaństwa. Był wymowny i zdołał odwieść niejednego od fatalnego nałogu. Aby tym lepiej służyć ludowi polskiemu, uczył się, aczkolwiek Czech z pochodzenia, języka polskiego i stał się przedmiotem miłości polskiego ludu. I tutaj znalazł miejsce wiecznego spoczynku.

Nie podobał się czechizatorom i postarano się o jego przeniesienie do dalekiej Morawki, w góry. Kobiety obległy plebanię i oświadczyły, że ks. Kunczyckiego nie puszczą. Sprowadzono wojsko i „rebelantów" za tłumny opór władzy oddano pod sąd. Młody ksiądz tak bardzo przejął się tymi wypadkami, nie mającymi nic wspólnego z nauką chrześcijańskiej miłości i dobroci, że odwróciwszy się zupełnie od świata, któremu chciał służyć, umarł w bolesnym osamotnieniu. Patrzę z okna mieszkania Nitry na Szebiszowice i myślę o młodym wikarym, entuzjaście służenia ludowi zasadami miłości i dobroci, a nie zatruwania mu życia polityką, jak tutaj czyniło i czyni tylu księży dzisiejszych.

Żegnamy się z uprzejmym gospodarzem, dziękujemy mu za chwile, które nam poświęcił i ruszamy z powrotem do Ligotki Kameralnej, aby stamtąd jeszcze raz pojechać w Czadeckie, tylko z innej strony. Idziemy wolno, bez pośpiechu i rozglądamy się po tym świecie śląskim takim wyjątkowo ładnym i takim kochanym. Mijamy ogromną szkołę czeską, tak zwaną mniejszościową. Samiż pisarze czescy mówią, że w Dolnych Błędowicach mieszka ludność polska, wszechstronnie uświadomiona narodowo i że we wsi tej nie ma żadnych Czechów, ale to nie przeszkadza politykom budować szkołę, do której napędzać się będzie dzieci polskie. Szkoła wielka, jak pałac. Zmieści się w niej nie tylko „mniejszość". Jest ona obliczona na to, aby w jej murach znalazły się wszystkie dzieci błędowickie i aby stały się w nich „Morawcami", a jeszcze lepiej Czechami.

O parę kroków od szkoły jest cmentarz ewangelicki z bardzo starą bramą i z polskim napisem na jej łuku: „Błogosławieni są umarli, którzy w Panu umierają". Nieco niżej po środku nad żelaznymi wrotniami rok 1843. Stara brama, stary napis. Jeszcze jeden dowód polskości Śląska Zaolzańskiego. Morawcy nie pisaliby na łuku bramy swego cmentarza po polsku. Ten sam werset biblijny na cmentarzu orłowskim, gdzie Czesi mają większość w zarządzie miasta już od

dość dawna, wypisany jest po czesku na cokole krzyża, stojącego wewnątrz nowego cmentarza katolickiego.

I na tym ewangelickim cmentarzu nazwiska zawsze te same, czysto polskie, a zarazem typowo nie czeskie. Ale polityka nie krępuje się takimi wymownymi świadectwami. Matice wywiera nacisk na rząd, aby budował szkoły „mniejszościowe“, a rząd daje miliony na te szkoły, o których wiadomo, że jeśli będą zaludnione to tylko dziećmi polskimi, bo tu nie ma Czechów i nigdy ich tu nie było.

W chwili, gdy kończyłem pisanie tej książki, przysłano mi fotografię kamienia mogilnego znalezionego na cmentarzu katolickim w Błędowicach. Kamień był już zasypany ziemią, a napis miejscami nieczytelny. Z pietyzmem oczyszczono tego niemego świadka polskości Błędowic.

Napis na tym kamieniu brzmi: „Umiłowanemu małżonkowi Józefowi, Koschowi bywałego pana gornich Błędowic, który się we Februarze roku 1772 w ...szow (Goleszow?) narodził a 18 Septembra 1831 Gornich Błędowic umarł, na pamiątkę od jego smucącej się Małżonki ofiarowano anno 1831... Rozłączenie jest losem naszym, wieczność jest nadzieją naszą.“

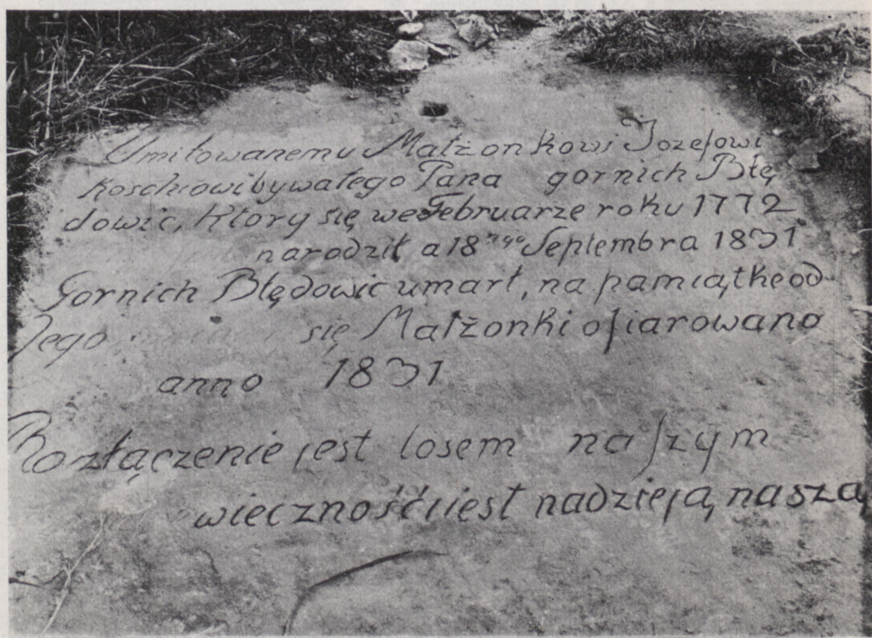
Jakże mi żal, że nie mogę pójść na farę w Błędowicach, aby odszukać nazwisko tego Józefa, który był „koczym“, to znaczy woźnicą, byłego pana Błędowic Górnych, a umarł dnia 18 września przed 105 laty. Mówi się zawsze, że Cieszyńskie spolonizowano przed laty kilkudziesięciu, 50—60 mniej więcej. Tutaj mamy jeden z niezliczonych dowodów, że w Cieszyńskiem lud zawsze mówił po polsku i że co najwyżej jego polszczyzna ulegała wpływom czeszczyzny.

Robi się smutno. Po co ludzie niektórzy piszą świadomie nieprawdę o stosunkach narodowościowych w Cieszyńskiem, kiedy dość pobyć tam kilka tygodni, aby na każdym kroku spotykać się z dowodami polskości tego kraju? Dlaczego Bezruč napisał swój elegijny wiersz o cmentarzu błędowickim, gdy dość wejść w jego bramę, aby od razu spotkać się z polskimi nazwiskami i polskimi napisami?

„*Blendovským hřbitovem jednou jsem šel, polské jsem počítal kříže*“... Tak śpiewa Bezruč. Poszedłem na ten cmentarz, aby się przekonać, jak tam jest naprawdę. Widziałem na własne oczy nazwiska polskie i polskie napisy. A teraz oto otrzymuję fotografię

starej płyty grobowej, zgoła przypadkowo odkrytej. Przed stu i pięciu laty, gdy lud śląski sam jeszcze nie wiedział o swojej polskości w sensie uświadomienia narodowego, i gdy jeszcze ani Polacy, ani Czesi, nie zajmowali się nim tak, jak później, po r. 1848, lud ten mówił po polsku, a na kamieniach mogilnych wypisywał żal swój za ukochanymi zmarłymi także po polsku.

Kto tu mówi prawdę? Kamień, czy poeta?



Błędowice Dolne
Płyta grobowa na katolickim cmentarzu błędowickim



Frydek
Jezus frasobliwy

DROGA STASZICA

Drogę z Czeskiego Cieszyna do Frydku można by nazwać drogą Stanisława Staszica. W roku 1790, dnia 6 kwietnia Staszic wyruszył w podróż do Włoch i jechał z Gorliczyna nad Sanem przez Kraków, Bielsko, Cieszyn, Frydek. Jako wychowawca synów Jędrzeja Zamojskiego i autor „Uwag nad życiem Jana Zamojskiego" i „Przestróg dla Polski" miał już wyrazisty profil społeczno-polityczny i pozycję w społeczeństwie. Liczył wtedy 35 lat życia i miał go drugie tyle przed sobą. Notatki, które robił po drodze, odpowiadają całkowicie sferze jego zainteresowań społecznych i politycznych.

W Bielsku notuje: „Miasto Biała ostatnie z zabranych krajów było starostwem. Dziś dobrze zamurowane, rzemieślnikami licznie obsiadłe. Nad brzegami rzeki Biały, która oddziela to miasto od Bielska, miasta ordynacji Sułkowskich. Także rzemieślnikiem obsiadłe, ale nie tak dobrze zabudowane jak Biała. Grunta dosyć liche." Gruntami interesuje się Staszic bezustannie i widać z jego uwag, że się na nich dobrze zna.

Krajobraz cieszyński jest o ile piękniejszy od krajobrazu jego rodzinnej Piły, ale Staszic nie przekazuje nam wyrazów swego zachwytu. „Tamstąd jadąc do Jędrzejówki, zawsze po lewej ręce leżą góry śniegiem okryte. O milę drogi przewoziliśmy się przez Wisłę z gór wychodzącą. Dnia 29 kwietnia przyjechaliśmy o godzinie 4 po południu do Cieszyna. Miasto wielkie, ale zupełnie tego roku było zgorzało. Ogień zajął się od żyda. Książę Albert, dziedzic miasta, dał znaczną mieszczanom na budowanie pomoc..." Staszica uderza śnieg na górach, chociaż to już kwiecień dobiega końca. Wiosna cieszyńska jest późna i chłodna. Ten książę Albert, którego Staszic nazywa dziedzicem miasta Cieszyna, to zięć Marii Teresy, ożeniony z Krystyną, jej córką.

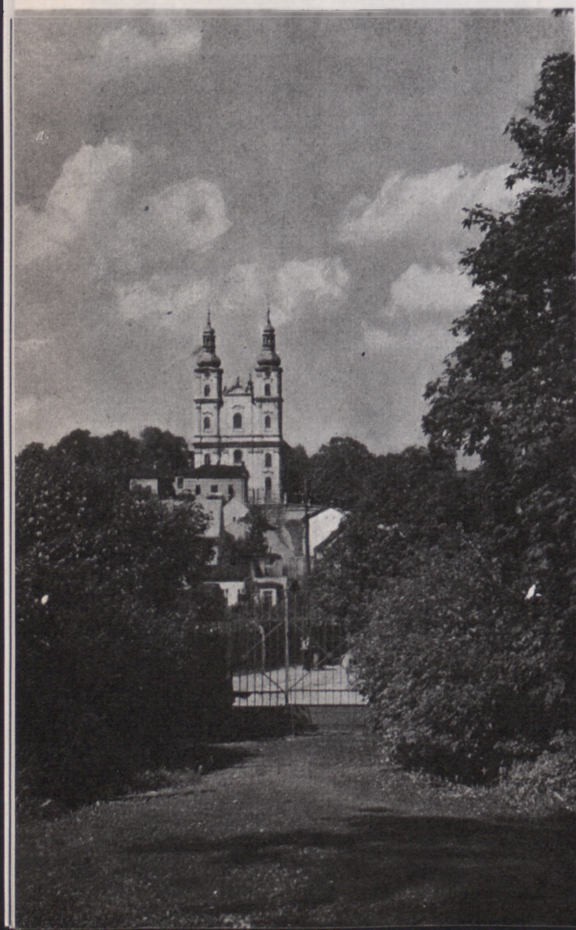
„Od Bielska — powiada Staszic dalej — zaczyna się kraj śląski. Z Cieszyna nocowaliśmy w Teszynowicach (oczywiście Toszonowicach), wsi należącej do niejakiej pani Ożarowskiej, wdowy, szlachcianki. Chłop po trzy i po pięć dni pańszczyzny robi. Karczmarz na rok płaci z tej karczmy (w której Staszic nocował?) zł. ryń. 500. Wieś rozrzucona..." Spostrzeżenie trafne: wsi śląskie jedna w drugą są porozrzucane na dużych przestrzeniach.

„Dnia 30 kwietnia — zapisuje Staszic — z Technicy (?) przejeżdżaliśmy przez Fredek (Frydek), miasteczko grafa Prażmy. Są to dwa miasteczka, jedno stare, drugie nowe, a ich środkiem płynie rzeka Fredeczka. Miasteczko bardzo rozległe, częścią murowane, częścią zabudowane. Graf ma swój zamek stary nad Fredeczką. Niziny bardzo żyzne i łąki użyteczne. O kilka staj od miasteczka leży miasto dziedziczne książąt Koloredo, także rozległe, częścią zamurowane, częścią zabudowane. Rzemieślników liczno. Tamstąd o ćwierć mili jedliśmy obiad w nowozakładającej się wiosce Lutrzynkowie. Tam książę Koloredo rozdaje między ludzi las jodłowy... Ziemia dosyć nierodna, mokrzadła, najwięcej ziemiaków sieją. Zapomogi żadnej nie daje. Chałupę sam sobie nowosiedlec budować musi i drzewo na nią kupować... Odmiany tego kraju ogólnie tem się różnią: wsie rozrzucone, małe, każdy rolnik na swoim gruncie mieszka. Po polach widać ich domy odosobnione... Miasta są nierównie od naszych piękniejsze, ludniejsze i rzemieślnikiem obsiadłe..."

Droga z Cieszyna do Frydku należy do najpiękniejszych, jakie wyobrazić sobie można. Z lewej strony widać góry różnie wycieniowane oddaleniem i oświetleniem: Godulę, Praszywą, Jaworowy, Łysą... Dzisiaj z Cieszyna do Frydku jedzie się samochodem na Żuków, Trzanowice, Toszonowice, Wojkowice, Dobrą. Albo koleją na Ropicę, Trzycież, Gnojnik, Dobracice, Dobrą. Staszic nie mówi nam nic o swoich wrażeniach i wzruszeniach i w dalszym ciągu robi uwagi bardzo rzeczowe.

„Kościołów bardzo mało, osobliwie po wsiach. Łąk mało, pastwisk gromadzkich żadnych nie ma, każdy na swoim gruncie tylko pasie. Sady obszerne i po miastach i po wsiach. Rzeczek gęsto, grunta glinkowate, drogi

Frydek. Kościół Matki Boskiej Frydeckiej





Fragment zamku we Frydku

brukowane, ale bardzo złe... Język z czeska polski. Szkółki po wsiach wszędzie. Lud lekki rosły. Płeć żeńska od mężczyzn przystojniejsza. Pługi od naszych mniejsze, konie roślejsze i wozy większe. 40 korcy owsa na jednej furze widziałem, którą pięć koni ciągnęło. Po lewej i po prawej stronie góry, z daleka widać równiny.“

Notatki Staszica są bardzo niesystematyczne. Ich autor cofa się np. wstecz, aby powiedzieć, że „droga z Bielska do Cieszyna nieskończona zła i górzysta. Drogi są bardzo użyteczne pewnie podczas wiosny i w każdej porze czasu dla furmanów, ale niewygodne dla wojażujących. Góry wszędzie śniegiem były okryte, chociaż jeszcze dalekie od gór najwyższych. Deszcze w nich muszą wielkie robić przerwy, gdyż widać po korytach rzek olbrzymie zawały kamieni. Kamień jest piaskowcem. Budynki włościan nierównie porządniejsze od naszych, także słomą lub szkudłami pokryte. Kominy wszędzie (Staszic widywał jeszcze chaty kurne bez kominów). Okna od naszych większe. Szkółki po wszystkich wsiach. Dzieci o $^1/_4$ mili i o $^1/_2$ mili idące do szkoły, chleb, ser, albo jaki owoc z sobą niosą, gdyż dopiero wieczór powracają do domu...“

Dnia następnego Staszic przejeżdża przez „Nejtyczyn“ (Nowy Jiczyn) i już nie robi notatek o Cieszyńskiem. Tą drogą Staszica jedziemy teraz do Frydku. Wsi są tak samo rozrzucone dzisiaj jak za czasów Staszica, ale drogi są wspaniałe, a dawne szkółki wiejskie ustępują istnym pałacom. Dawniej dziecko musiało biegać do szkoły bardzo nieraz daleko, teraz szkoła przychodzi do dziecka. Chce je uczyć, wychowywać, urabiać na własną modłę, przystosowywać dla spraw i celów leżących dość daleko od szkoły i jej zadań elementarnych.

Lud w Frydeckiem mówi istotnie z czeska po polsku, ale w Dobracicach, leżących w pobliżu W o j k o w i c, przez które przejeżdżamy, ludność niby to już czeska wymawia polskie ł, chociaż szkoły polskiej nigdy tam nie było. Koło Wojkowic łączą się z sobą dwie rzeczki: Praszywka i Holczyna, ale nie wiadomo dokładnie, która wpada do której, bo dalej nie płynie ani Praszywka, ani Holczyna, lecz Lucyna. Adamus powiada, że to nie sprawa potamograficzna, ale dialektologiczna. Rzeka ta w górnym swym biegu miała się nazywać po czesku Hlcyną, po polsku Holczyną, bo Polak nie umie wymawiać takiego skupienia zgłosek, jakie charakteryzuje język czeski. Ci, co nazywali rzekę Hlcyną, poznikali, ostali się ci, co ją nazywali Holczyną. Niezrozumiałe sprzeczności wytworzyły kompromis Lucyny, przy czym Czesi nazwali ją Lučiną (łączką).

Zbliżamy się ku dolnemu biegowi Morawki i przejeżdżamy przez wieś Dobrą, położoną wzdłuż drogi na przestrzeni jakich dwóch kilometrów. Jedziemy doliną, droga wspaniała, równa jak stół, dostatecznie szeroka. Z doliny widać doskonale F r y d e k, położony na wysokim brzegu Ostrawicy, a nad Frydkiem dominują smukłe wieże pięknego kościoła Matki Boskiej, który ściąga do Frydku pątników ze wszystkich stron. Spod Cieszyna, z Bogumina, z sąsiednich Moraw, z góralskich wsi beskidzkich, a nawet z Górnego Śląska i z dalekiej Słowaczyzny przybywają tu liczne rzesze pątników do Matki Boskiej Frydeckiej. Dla Morawian katolickich jest to Matka Boska hanacka. Frydek bywa nazywany śląskim Lourdes.

Piękny barokowy kościół frydecki zbudowany został w latach 1740—1751. Legenda tego kościoła głosi, że niegdyś, dawno temu, robotnicy kopiący piasek na wzgórzu, niespodziewanie uderzyli łopatami o twardy kamień. Po odkopaniu kamienia okazało się, że jest to posąg Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Robotnicy zanieśli posąg do kościoła parafialnego i tam go ustawili, ale nazajutrz posąg wrócił na swoje dawne miejsce. Robotnicy mniemając, że Matce Boskiej nie podoba się kościół parafialny, zanieśli posąg do kaplicy zamkowej, ale i stamtąd wrócił on na dawne miejsce. Wówczas hrabia Oppersdorf kazał na piaskowisku zbudować kolumnę i na niej ustawiono posąg. Ponieważ pozostał on na tej kolumnie, przeto zbudowano tu kaplicę, a następnie wielki kościół.

Drugą osobliwością miasta jest zamek, który w czasach ostatnich był kolejno własnością Oppersdorfów, Prażmów, Habsburgów. Zamek ma wysoką kopulastą wieżę, z której roztacza się wspaniały widok na dolinę Ostrawicy i na Beskidy. Rokrocznie w dzień świętego Jakuba z całej okolicy Frydku i z pobliskiego Mistku zbierały się tłumy, aby przypatrywać się dziś już zarzuconemu i niezrozumiałemu widowisku. Z okna wieży zamkowej wysuwano deskę, a na nią wpuszczano kozła. Gdy kozioł z tego wywyższenia rozglądał się po okolicy, nagłym szarpnięciem usuwano mu deskę spod nóg i biedne zwierzę spadało z wielkiej wysokości na brzeg Ostrawicy. Mięsem kozła zabitego w ten sposób obdzielano nędzarzy siedzących we frydeckim „szpitalu", czyli po dzisiejszemu: przytułku. Barbarzyński ten zwyczaj musiał mieć jakieś znaczenie, ale jakie, tego nikt już nie wie.

Frydek ma duży przemysł włókienniczy, specjalnie bawełniany, podobnie zresztą jak sąsiedni Mistek morawski. Koniunktura dla przemysłu była tu wspaniała, gdy w sąsiednich gminach górskich

Frydek
Zamek frydecki



gospodarowali niemieccy urzędnicy komory cieszyńskiej i doprowadzali biedny lud podgórski do rozpaczy swoim nieludzkim wyzyskiem. Kwitło tu niegdyś tkactwo domowe i na jego gruncie rozwinął się przemysł, który wyroby swoje wywoził daleko poza granice monarchii austriackiej. W przędzalniach i tkalniach frydeckich i misteckich pracowało po kilka tysięcy robotników i robotnic. Dziewczęta z górskich wsi, zagłodzonych przez komorę cieszyńską przybywały do Frydku tłumnie i pracowały za 25—30 krajcarów dziennie, marniejąc w najfatalniejszych warunkach społecznych. Ręka w rękę z rozwijającym się przemysłem szło tu demoralizujące pijaństwo. Ludność Cieszyńskiego była zresztą przyzwyczajona do picia wódki, bo ją do tego zmuszali właściciele komory, posiadający wielkie gorzelnie i potrzebujący spożywców.

„Propinacyjne“ metody utrzymały się także w przemyśle cieszyńskim. Przemysłowcy pośrednio, przez osoby podstawione, rozpajali swoich robotników, aby zdemoralizowanych pijaństwem tym mocniej trzymać w swoim ręku i tym bezwzględniej wyzyskiwać. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku i to w zagłębiu karwińskim, gdzie ludność robotnicza była już bardzo uświadomiona pod względem społecznym, kwitły tak zwane „konsumy werkowe“, czyli sklepy, utrzymywane przez administrację kopalń. Wypłaty w kopalniach odbywały się co parę tygodni i robotnicy musieli się zadłużać w tych konsumach wbrew najlepszej nawet woli, ale... kto nie kupował wódki w pewnych minimalnych ilościach, temu w takich sklepach nic nie sprzedawano.

Dzisiaj produkcja przemysłu frydeckiego jest kryzysowa, jak zresztą wszędzie. Sláma nazwał Frydek jedynym miastem czeskim na Śląsku, ale z tą czeszczyzną było tam nieświetnie. Jeśli nawet mieszkało we Frydku trochę Czechów, to nie oni rządzili miastem, lecz Niemcy i to Niemcy o nazwiskach słowiańskich, czeskich i polskich. Mieszkańcy Frydeckiego mówili z czeska po polsku, jak się wyraził Staszic, ale w miejscach publicznych słychać było wyłącznie język niemiecki. W okolicach kościoła pątniczego kwitło rzemiosło świeczkarskie i piernikarskie, bo pątnicy potrzebowali dużo świec, a zwyczaj kazał pątnikom przynosić z pielgrzymki pierniki dla dzieci.

I dzisiaj słyszy się we Frydku dużo niemczyzny z dodatkiem czeskiego, polskiego i narzeczy śląskich. Wieża Babel. Sláma jeszcze w osiemdziesiątych latach zeszłego wieku widział w Domasłowicach gospodę, która acz stała w pobliżu „národni školy“ miała szyld z napisem: „Hospoda pod damfšifem“. Miał to być dowcip zapewne, ale jest wysoce charakterystyczne, że w pobliskich Bartowicach, które Czesi uważają za bezwzględnie czeskie, istnieje dotychczas



Ostrawica z widokiem na Łysą Górę (1325 m)

gospoda „Na jaszczurce“. Nie „na ještierce“, ale właśnie „na jaszczurce“!

Do sławnego kościoła frydeckiego idzie się pod górkę ciasną uliczką, pełną drobnych kramików z dewocjonaliami i świecami. Jest w okolicy kościoła frydeckiego jakoś średniowiecznie, osobliwie gdy przybywa się tu z przemysłowego Mistku i gdy przedtem było się w Morawskiej Ostrawie i Witkowicach. Stoi tu hotelik pątniczy „na vápenkách“ (na kamieniach wapiennych), jest mnóstwo sklepików i nawet restauracyjek pod wezwaniem świętych Pańskich. Zaś na rogu uliczki, prowadzącej na wzgórze kościelne, jest kapliczka mizerna z pomalowaną rzeźbą drewnianą, przedstawiającą Jezusa fra-

sobliwego. Rzecz osobliwa, żadne najpoprawniejsze dzieło sztuki współczesnej, doskonałe pod względem techniki artystycznej, nie przykułoby naszej uwagi tak mocno, jak ten pracowicie wystrugany Jezus, pomalowany naiwnie i — na pierwsze spojrzenie — zabawnie. Ale nie, to nie jest zabawne! Ten nieznany rzeźbiarz wystrugał tu z drzewa duszę duszy swojej i dał jej barwy najładniejsze, jakie znaleźć zdołał. Jesteśmy tu ogromnie daleko od krytyki czystego rozumu, w ogóle od wszelkiej krytyki. Ten rzeźbiarz uwierzył, przejął się tematem wiary swojej i nie spoczął, dopóki swej wizji zafrasowanego Jezusa nie wystrugał w drzewie. Ta rzeźba wzrusza głęboko, jak Płaczka z grobu Filipa de Pot w Luwrze.

Tu, na tej ziemi śląskiej, gdzie człowiek cierpiał w milczeniu długie wieki, ten symbol umęczonego Boga jest i dzisiaj dziwnie aktualny. Dość zajrzeć do starych urbarzy śląskich, aby się przerazić, jak wielki panował tu wyzysk człowieka biednego przez ludzi bogatych i możnych. Tyle a tyle dni w tygodniu musieli ubodzy i słabi pracować dla bogatych i mocnych, tyle a tyle musieli odjąć głodnym ustom, aby odnieść do kuchni zamkowej czy pałacowej. Bogacze, rozkochani w łowach, nie pozwalali nędzarzowi, aby się bronił przed zwierzyną, która wyrządzała mu wielkie szkody na polach i w ogrodach. Biedak musiał pilnować nawet gniazd sokolich i płacił grubą grzywnę, gdy młode sokoły wyleciały z gniazda, zanim zdążył je wybrać sokolnik. Skargi na ten ucisk szły aż do Rzymu, ale czy były skuteczne?

Potem przyszły inne czasy z wojnami i najazdami, a cały ich ciężar zwalił się znowu na barki człowieka ubogiego. Przyszli bogacze i mocni i zaczęli urzeczywistniać słowo ewangelii, że kto ma, temu będzie dano, a kto nie ma, temu i to, co ma, będzie odjęte. Sześćset i czterdzieści kilometrów kwadratowych ziemi cieszyńskiej należało do arcyksięcia Fryderyka, który nie gardził jednak paru skromnymi hektarami, gdy mógł je wydrzeć nędzarzowi, aby zaokrąglić swoje i tak już okrągłe posiadłości. Zubożonych i zagłodzonych przez siebie nędzarzy przekazał przemysłowi, który za pracę płacił, ile się mu podobało, a część zarobku wypłacał w wódce. Odbierano tu ludowi wolność, ziemię, pracę. Dzisiaj odbiera się mu język ojczysty. Zaprawdę, w tych Jezusach frasobliwych, w bożych mękach przydrożnych, w niezliczonych kapliczkach lud śląski wy-



Czadeckie Świerczynowiec. Widok w stronę przełęczy Jabłonkowskiej

raził własną swoją niedolę i własny smutek. Ale słusznie powiedział Bezruč: „Hodina přijde, den, veliky den!“ W czechosłowackiej ustawie konstytucyjnej ominięto słowo naród, aby nie trzeba było mówić, który naród, i zastąpiono go wyrazem lud. „Lid je jediný zdroj veškeré státni moci v republice československé“. Lud jest jedynym źródłem wszelkiej mocy państwowej w republice czechosłowackiej. Brzmi to bardzo stanowczo, ale, niestety, lud śląsko-polski jest wyłączony z zasięgu tej pięknej zasady.

Wchodzimy do kościoła frydeckiego i przez chwilę czekać musimy, aż oczy przyzwyczają się do panującego w nim półmroku. Różnica olbrzymia, gdy się przybywa z jaskrawego blasku słonecznego. Kościół wielki, ale pusty w tej chwili i tą pustką dziwnie uroczysty. W ołtarzu głównym stoi niewielki posąg Maryi Panny Frydeckiej. Matka Boska trzyma na ramieniu Dzieciątko, w prawicy berło. Obie postacie w złocistych płaszczach i koronach. Przez witraże słońce wsiewa tu swój blask delikatnie stonowany, za drzwiami został gwar i zgiełk życia. Przymykam oczy i próbuję ujrzeć te niezliczone tłumy ludzi, którzy w ciągu stuleci szukali na tym miejscu wyrównania najtragiczniejszych niedoborów życia. Ubodzy, upośledzeni na wszelki sposób, chorzy, zrozpaczeni, nieszczęśliwi i biedni, z takich już, co dla nędzy swojej nawet wyrazu nie znajdują. Serca tych milionów ludzi biły przyśpieszonym tętnem przy przekraczaniu tego progu kościelnego. krew krążyła żywiej, do oczu cisnęły się

łzy, z piersi wydzierał się szloch, a potem przychodziło odprężenie jakieś, pokój, najwyższa postać szczęścia na tej ziemi.

Przed tysiącleciami błogosławiący Aron nie znał większego słowa nad życzenie ludowi swojemu pokoju. „Niech obróci Pan oblicze swoje ku tobie i da ci pokój!“ Po tysiącleciach jeden z największych ludzi naszego świata, Johann Wolfgang Goethe, w „nocnej pieśni wędrowca“ wysławiał pokój jako najwyższe szczęście, jako wysłańca niebios, który koi wszystkie bóle i cierpienia, a temu, co jest podwójnie biedny, podwójne niesie pokrzepienie: *„Ach, ich bin des Treibens müde! Was soll all der Schmerz und Lust? Süsser Friede, komm, ach komm, in meine Brust!“* Dość już krzątaniny! Na co zda się rozkosz i ból? Słodki pokoju, wstąp, ach wstąp do piersi mej! Friede — Friedeck — Frydek, dziwne są te skojarzenia myśli i uczuć ludzkich. Nigdy nie wiadomo, gdzie jaka myśl i jakie wspomnienie nas zaskoczy. Czy wędrowanie nie jest aby podróżą dokoła samego siebie? Czy szukając wzruszeń wędrowania nie szukamy samych siebie?

Do tych słów Goethego komponował muzykę drugi wielki ziemianin, głuchy Ludwig van Beethoven, który w potężnych akordach rzucił nakaz samemu sobie przede wszystkim: *„Hoffen soll der Mensch! Er frage nicht!“* Ufać ma człowiek! I niechaj nie pyta! Któż nakazuje sobie nadzieję i ufanie, jeśli nie ten, kto je traci? *„O Hoffnung! O Hoffnung! du stählst die Herzen!“* Nadziejo, nadziejo, ty hartujesz serca! Komponował to wielki Beethoven wiosną roku 1818 *„in doloribus“*, jak sam dopisał do kompozycji. A więc w udręce, w cierpieniach, w boleściach.

Gdzież jest człowiek szczęśliwy? Goethe pragnął pokoju, Beethoven nakazywał sobie ufanie, miliony ludzi, których niewidzialny ślad przylgnął do murów tego kościoła, wędrowało z daleka, aby odzyskać pokój i nadzieję. Szukano kiedyś koszuli człowieka szczęśliwego, aby nią uzdrowić chorego władcę. Nikt z tych, co mieli koszule, nie był szczęśliwy, a ten, co był szczęśliwy, nie miał koszuli. Bóg raczy wiedzieć, jakie myśli przyszłyby jeszcze do głowy, gdyby się tu siedziało długo i gdyby się tym myślom nie przeszkadzało przymuszaniem uwagi, aby zapamiętała wszystko, co trzeba ujrzeć, opisać.

Klamerki i spinki kobiecego stroju wałaskiego Muzeum Śląskie w Katowicach



Wychodzimy znowu na słońce, oddalamy się od kościoła, aby spojrzeć nań z oddalenia. Dwie smukłe wysokie wieże. W duchu widzę rusztowanie z czasów, gdy je budowano. Krzątali się ludzie, dźwigali kamienie i wapno, chodzili po chybotliwym rusztowaniu... Gdzie oni są? Minęli, jak mija wszystko na tym świecie. Za lat sto, czy dwieście jakiś turysta czy kolega-literat jeszcze nie narodzony,

przyjdzie tu tak samo z notatnikiem w ręku, ale przestanie notować, podda się myślom nieoczekiwanym i zdziwi się, że one przyszły dopiero tutaj na skrzydłach tkliwych uczuć i wzruszeń. I on pomyśli może o tych pątnikach, których było tu tak wiele z niedolami i rozpaczami, a porządek myślenia ludzkiego podsunie mu jakiego wielkiego, to znaczy wielu ludziom znanego, człowieka, który także szukał pokoju i nie znajdował. A może przypomni się mu tutaj cesarz rzymski, Septimius Severus, który umierając r. 211 w dalekiej Brytanii, zakończył życie smutną rekapitulacją: „Wszystkim byłem i wszystko jest niczym!" Czyli Goethe: *„Ach, ich bin des Treibens müde! Was soll all der Schmerz und Lust?"*

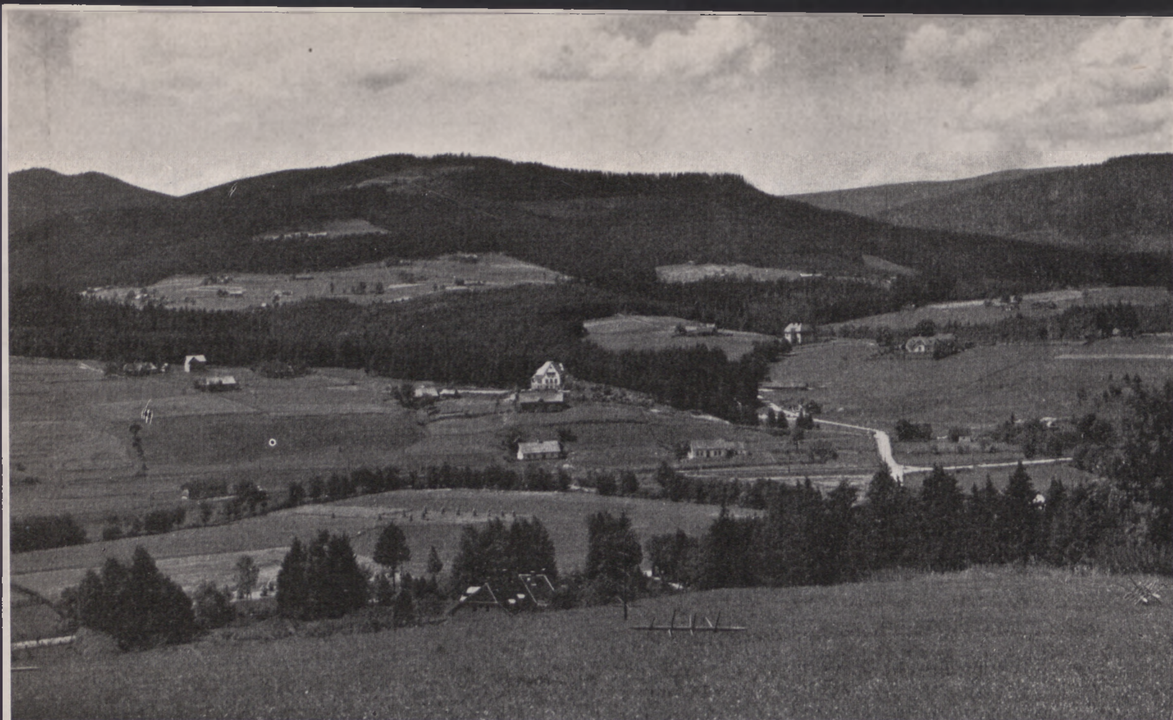
Tutaj kopali robotnicy piasek, i tu zrodziła się legenda. Rozwiał ją ks. Jan Švehelka, który w latach 1752—1762 był we Frydku wikarym i napisał uczone opus *„Origo thaumaturgae beatissimae Virginis Mariae in Vapenka Fridecae"*. Zdaniem jego posążek Matki Boskiej został wykuty przez pewnego mieszkańca Frydku. Kościół ten jest zamożny, a nawet bogaty. Napisy u wejścia po czesku i po niemiecku; polskich najmniej. No tak, tu jest większość czeska, ale przychodzą tu także pątnicy z okolic czysto polskich. Około kościoła pracuje jakiś starawy człowiek, kościsty, trochę krzywy od pracy. Okopuje drzewa, pochłonięty zupełnie swoją robotą. Tu się w ogóle dużo pracuje. Powiedziałbym nad stan. Ludzie dźwigają coś, chodzą szybko, nie mają czasu.

Schodząc z pagórka kościelnego spotykamy dwie kobiety; może to matka i córka. Są ubogo, ale dziwnie czysto ubrane. Krótkie sukienki, staniczki pozapinane pod samą szyję, na szyi chusteczki „tureckie": cienka wełna w kwiaty „drukowane". Na nogach pończochy, własnej widać roboty i trepki, które frydeczanki umieją nosić ogromnie zręcznie, postukując nimi po bruku. Idą pewno do sklepu po wiele rzeczy, bo młodsza niesie sporą torbę z czarnej ceraty. Nie spojrzą ani w lewo ani w prawo. Twarze ładne i miłe, czyste jakieś, budzące bezgraniczne zaufanie. Widuje się podobne kobiety na każdym kroku, także w okolicy Mistku. Wyjdzie taka kobieta z konwią drewnianą do pompy i wraca szybko do swego prania czy szorowania. Sukienka zawsze czysta, szeroka zapaska i pończochy starannie zacerowane na piętach, bo gdy się nosi trepki, byłoby widać najmniejszą nawet dziurkę. Jakieś szlachetne, dumne ubóstwo.

Powiedziałbym: ubogie damy. Przypomina mi się jakiś historyk cywilizacji, który pięknie pisał o bezimiennym wkładzie kobiety w zdobycze ludzkiej kultury. To one, z tą ceratową torbą, w trepkach, schludne i dostojne. Idą, postukują trepkami i nawet nie wiedzą o tym, jak wiele wkładają do skarbca ludzkiej kultury tym, że wychowują dzieci, synów, a nawet mężów, że bywają surowe dla siebie i dla innych i że czuwają nad życiem, aby miało linię prostą, wiadomy rytm i jasną perspektywę.

Frydlant widziany z Ostrawicy





Widok z doliny Ostrawicy ku zachodowi. Na tylnym

STARE HAMRY

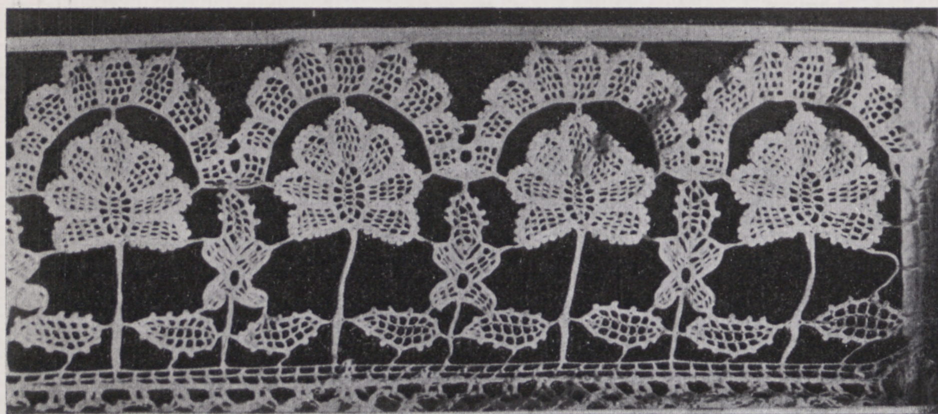
Przepytywałem się w Cieszynie, czy nie można by pojechać za przełęcz Jabłonkowską, a stamtąd drogami okrężnymi dostać się w pobliże źródeł Ostrawicy, aby następnie brzegiem jej zawędrować do Bogumina. Odpowiedziano mi, że trzeba by chyba wędrować piechotą z plecakiem na ramionach i z kijem w garści, bo dość rzucić okiem na mapę, aby się przekonać, że poza pionowymi liniami dolin dróg poziomych w poprzek Beskidów nie ma. Chyba że — dodawano po dłuższym namyśle — wychylićby się zdrowo na Słowację.



planie szczyty Trojaczka (983 m) i Smrk (1282 m)

O to mi właśnie chodzi: wychylę się zdrowo na Słowację i jeszcze raz przewędruję Czadeckie, tym razem od innej strony. Będzie to niejako uzupełnieniem wędrówek po Śląsku Cieszyńskim, bo części Słowacji, przylegające bezpośrednio do Cieszyńskiego, tworzyły niegdyś jego pogranicze południowe. Opuszczamy Frydek ze smukłymi wieżami jego kościoła i z Jezusem wielce zafrasowanym i zwracamy się teraz ku południowi.

W drodze do Frydku mieliśmy góry tylko z jednej strony, lewej, zaś po prawej ukazywały się najwyżej niewysokie wzgórza. Teraz góry zaczynają towarzyszyć nam po obu stronach. Jedziemy wzdłuż Ostrawicy, ale z dala od jej brzegu, zbliżając się do niego tylko od czasu do czasu. Widzimy, że skutkiem deszczów, jakie padały ostatnio, rzeka wezbrała i że jest naprawdę „dziwoka", jak mówi lud śląski. Docieramy do Starego Miasta, gdzie ochotnicza straż ogniowa w złocistych kaskach i granatowych mundurach używa sobie na swoich zmotoryzowanych sikawkach. Duma i uciecha pierwszej klasy. Tylko, przepraszam, nie strażacy już, ale „hasiči" — gasiciele. Trzeba wiedzieć, czym dla prostych ludzi jest owa przynależność do korporacji umundurowanej i ukaskowanej, aby zrozu-



Koronki cieszyńskie do czepca

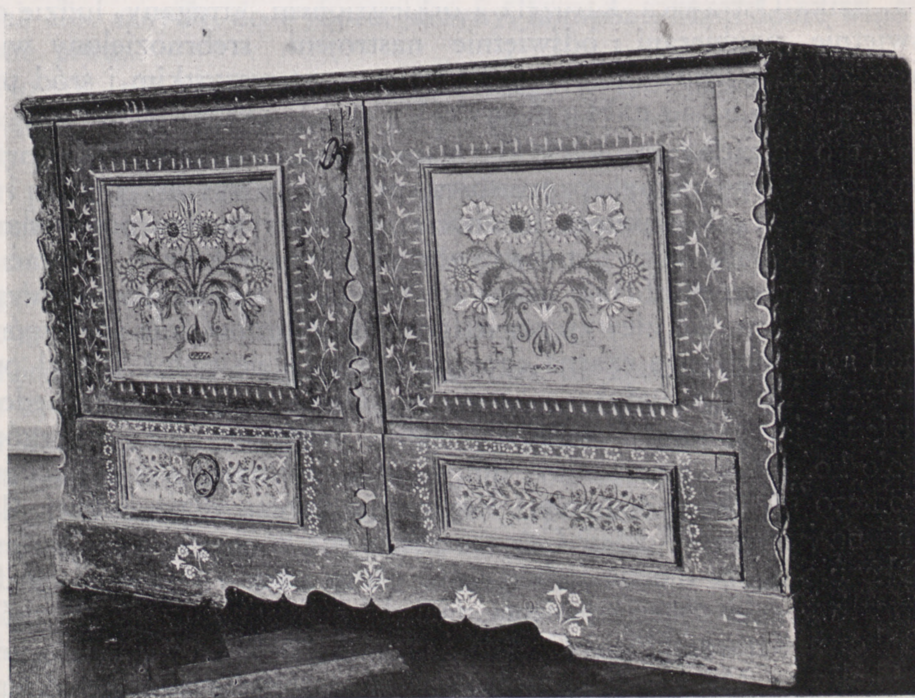
mieć, dlaczego w miejscowościach czysto polskich, gdzie straże ogniowe istnieją od dziesiątków lat, raptem powstają jedynie prawdziwe „hasičské sbory". Jeszcze jedna postać czechizacji.

Zbliżamy się ku Baszce i zza toru kolejowego widzimy Ostrawicę. Wezbrana, zmulona trochę, pieni się i pędzi ku Frydkowi, tam, skąd właśnie przybywamy. Jest tu jakoś już nie tylko odświętnie, ale uroczyście. Zdaje się, że zjeżdżamy w głąb doliny, która staje się coraz węższa. Ale to się tylko zdaje, bo w rzeczywistości podnosimy się powoli. Frydek ma 314 metrów wysokości, a Frydlant, ku któremu zmierzamy, leży już o setkę metrów wyżej, zaś Stare Hamry mają 500—600 metrów wysokości, czy nawet więcej. Złudzenie zjeżdżania na dno wąwozu powstaje stąd, że góry podnoszą się coraz bardziej, a dolina się zwęża. Z Baszki, gdzie ongi były huty żelazne, podobnie jak w Ustroniu, zanim je pogasił Hohenegger, aby cały przemysł hutniczy skupić w Trzyńcu, do Frydlantu nad Ostrawicą jest 6—7 kilometrów, ale wrażeń po drodze taka masa, że tych kilometrów zdaje się być pięć razy więcej. Wszędzie przy drodze mnóstwo strumieni nabrzmiałych, rozbulgotanych, spieszących Bóg wie dokąd.

Od gór, które podbiegają coraz bliżej, nie można oderwać oczu. Ostrawica jest coraz płytsza i bystrzejsza. Zbliżamy się do wioski Pržno, a za nią przejeżdżamy przez most na Ostrawicy i pędzimy ku Frydlantowi. Odświętnie, jasno, dobrze na świecie. Po gładkiej drodze auto płynie swobodnie i tylko czasem, gdy droga idzie pod

górę, motor zaterkocze trochę głośniej, i oto już Frydlant. Klasztor żeński w stylu już nieco egzotycznym; koło kościoła duży ruch śród straganów. Pokazują nam jakieś posiadłości arcybiskupie, udzielają objaśnień, ale jesteśmy słuchaczami opieszałymi, bo cały świat jest tu w oczach. Pokazują nam góry i mówią: Smrek, Mały Smrek, Łysa... Ale Bóg widzi, że te nauki idą w las. W ten śliczny wysoki górski las, tchnący świeżością i siłą. Trzeba się tu chyba urodzić i mieszkać długie lata, aby wiedzieć, który wierch jak się nazywa. Rezygnujemy z tej wiedzy tajemnej, bo dość nam łaski tych wzruszeń, których tu doznajemy.

Więc tu jest Frydlant, Łysa Góra i Smrek, i my, i nasze głębokie, niezapomniane wzruszenia. Gdzieś kiedyś siedział porucznik Glahn z powieści Hamsuna „Pan" i poniosło go mniej więcej tak samo, jak nas w tej chwili nad tym tu Frydlantem, a że był wielkim poetą, więc zawołał: „Dzięki, o dzięki, że to ja jestem tym, co tu siedzi!" Dobrze, że się te słowa przypomniały, bo to piękno domaga się jakiegokolwiek wyrazu. Ponazywane zostały góry i rzeki, i stru-



Skrzynia malowana z r. 1869 z Beskidu Śląskiego. Muzeum Śląskie w Katowicach

mienie, i miasteczka, i wsie, ale to nie wszystko. Między górami jest nienazwany jeszcze błękit, wieje tu bezimienny srebrny wiatr, kwitną łąki Bóg wie jakimi kwiatami, gdzieś pod samym niebem w sinawej mgiełce utaiły się ślady tysiącleci. Tyle tu jest tego, co przetrwa nas, całe narody i państwa! Czyjeż bomby zniszczą Łysą? Kto ma dość dynamitu, aby wysadzić Połom?

Z takimi wysokimi myślami wjeżdżamy w sam środek mnóstwa straganów, ustawionych niedaleko kościoła w Ostrawicy, miejscowości już morawskiej, gdzie właśnie jest odpust. Wysokie góry z wiecznością na grzbietach, cicha dolina z rzeką pędzącą naprzód, ludzie, mrowiący się śród straganów, a nad nimi wysoka karuzela o barwnej strzesze i barwnych koniach, łabędziach, chimerach, pozawieszanych na linach, które siła odśrodkowa odwiewa daleko, dostarczając pasażerom karuzeli wzruszeń mocnych, połączonych z miłymi zaburzeniami w krążeniu i ciśnieniu. Czegóż człowiek nie zrobi, aby zmodyfikować i spotęgować wrażenia życia i pozamieniać je we wzruszenia jak najmocniejsze?! Więc jeszcze raz: wiekuista Łysa, dzika Ostrawica, karuzela z orkiestrionem, stragany, ludzie odświętnie poubierani i odświętnie nastrojeni, srebrnozielony wiatr i szczęście wędrowania, a niedaleko za tym wszystkim i śród tego wszystkiego S t a r e H a m r y.

Auto zajeżdża na niewielki placyk starohamerski i staje przed gospodą. Wysiadamy, rozprostowujemy się i patrzymy po sobie i po tych górach tak pięknych, że chociaż je ponazywano i pookreślano, to jednak piękno ich jest niewypowiedziane i niepojęte. Poddać się trzeba temu pięknu i nie usiłować daremnie zrozumieć je i wypowiedzieć. Jest ono niewypowiedziane. Z białego kościoła na wzgórzu nad nami powiewa czarna chorągiew. Co to się stało? Umarł proboszcz. Ach tak, ludzka rzecz życie, ludzka rzecz śmierć. Siedemdziesiąt jest lat dni żywota naszego... Pójdziemy na to wzgórze koło kościoła i spojrzymy w dół, może doznamy nowej postaci znikomego szczęścia. A potem? Pójdziemy jeszcze gdzie indziej. Czy można jechać stąd dalej? Czy też jest tu już koniec świata i bariera? Okazuje się, że można jechać dalej. Mówi nam o tym jakiś bardzo życzliwy człowiek i wymienia miejscowości: Turzówka, Staszków, Rakowa, Czaca, potem Czorne i Skalite, albo zamiast Czornego i Skalitego, Mosty i Jabłonków itd. Świat jest naprawdę okrągły



Stare Hamry
Fragment doliny Ostrawicy

i kulisty! Więc dobrze: połazimy tu sobie po tych najcudniejszych Starych Hamrach. a potem pojedziemy do Czacy na obiad.

— Obiad mogą państwo zjeść u mnie — powiada właściciel gospody, przed którą się zatrzymaliśmy. — Będzie dobra zupa, schab albo sznycle, do wyboru, jarzyny, kompot.. Mam dobre wino różne piwa...

No cóż, nie zasmucajmy gospodzkiego w tym pięknym cichym zakątku świata! Kiedy obiad? Za pół godziny. Ślicznie, przyjdziemy tedy za pół godziny. Idziemy na wzgórze ku kościołowi. Pełno tu gór, pełno górskiego czerstwego powietrza, pełno doliny, nad którą latamy spojrzeniami jak ptaki. Kościół niedaleko, a koło niego cmentarz, pomniki różne, krzyże i jeden wysoki krzyż z obłym daszkiem ochronnym, taki wielki, jakby był dla wszystkich i za wszystkich, co tu własnego krzyża nie mają.

Kiedyś wchodziło się na ten cmentarz po zboczu pagórka. Teraz są schody wzdłuż wysokiego muru z piaskowca, imitującego ogrodzenia z kamieni, jakie widuje się dokoła winnic we Włoszech. Ten mur stylizowany jest na ruinę, a pod najwyższą jego częścią, jakby pod resztą rozpadającej się baszty, pomniczek Maryczki Magdonowej, dziewczęcia z pieśni Bezruča. Powiada Adamus, komentator tego poety, że chodzi tu nie o Magdonów, ale o rodzinę Bardoniów, jedną z przedstawicielek pięknych nazwisk śląskich: Magdoniów, Śniegoniów, Krzywoniów. Bezruč zmodyfikował nazwisko. Otóż w Bartowicach koło gospody, która jeszcze dzisiaj nazywa się

„Na jaszczurce“, zginął tragiczną śmiercią pod kołami wozu parobek arcyksiążęcy, Bardoń. W Starych Hamrach mieszkało jakieś ubożutkie dziewczę, Maryczka Magdoniowa, ofiara losu ubogiego ludu. Poeta zrobił z niej sierotę po zmarłym tragicznie górniku. Poszła do lasu zbierać chrust, aby ugotować strawy młodszemu rodzeństwu. Gajowy zapisał ją do kary, żandarm prowadził ją do Frydku do sądu. Maryczka wskoczyła do Ostrawicy i utopiła się. Ta fantazja poetycka jest rzeczywistością syntetyczną, jeśli tak wyrazić się można.

Pieśni Bezruča o akcentach społecznych i uniwersalnych są wzruszająco ładne. Ten pomnik Maryczki wzniesiony jej przez miejscowych Sokołów czeskich, jest czynem bezsprzecznie pięknym i wzorem godnym naśladowania. Jest to jakieś wzniosłe obcowanie świętych z creda chrześcijańskiego, czy coś w tym rodzaju. Hołd dla poety i wyraz miłości dla tych wszystkich ofiar przemocy i ucisku, które tu cierpiały i ginęły. Prosta młodziutka dziewczyna z ubogiej górskiej wsi, w krótkiej sukienczynie, w lichutkim kaftaniku, w chusteczce na głowie związanej na węzeł pod podbródkiem, boso, a w zapasce ma trochę chrustu uzbieranego w lesie arcyksięcia, który miał tego lasu przeszło 50 kilometrów kwadratowych. Pod bosymi stopami Maryczki, wzruszająco ładnie wyciosanej w jasnym piaskowcu, słowa wiersza Bezruča:

„Bez konce jsou lesy
Markyze Gera.
Otcové když jeho
pobiti v dolech,
smi si vzit sirotek
do klina drva?
Co poviš, Maryčko
Magdonova?”

„Bez końca są lasy markiza Gero. Gdy ojcowie sierotki poginęli w kopalniach, czy może ona wziąć sobie drewek w zapaskę? Co powiesz, Maryczko Magdonowa?“ Maryczka nie mówi nic, ale wzrusza głęboko. Doznaje się przed tym pomniczkiem najlepszych uczuć i dla niej, i dla Bezruča, i dla tych Sokołów czeskich, którzy wpadli na ładną myśl i ładnie ją urzeczywistnili. Stoję przed tym pomniczkiem i widzę w nim wyraz pięknej czeskości. Takie rzeczy bardzo skutecznie czechizują serce i myśli. I serce nie broni się przed tą cze-

chizacją, jak nie broni się przed germanizacją przez Goethego i Beethovena albo romanizacją przez Musseta i Victora Hugo. To jest piękne i godne miłości. To poniosę z sobą do domu i w chwilach wybranych będę o tym wspominał.



Rakowa. Gazda. Rys. Wincenty Bałys

Po stopniach idę na cmentarz i rozglądam się po mogiłach. Śpią tu wiecznym snem: Wróblowa, Gojna, Krasula, Bożoń, Kureczka, Duži (oczywiście: Duży), Zapałka, Weliczka, Chromiak... Nazwiska znowu takie, jakich śród nazwisk czeskich szukalibyśmy daremnie. Wróbel, Duży, Chromiak, Kureczka to wyrazy zrozumiałe dla każdego dziecka polskiego, ale zupełnie niezrozumiałe dla Czecha. Opuszczamy cmentarz i idziemy ku kościołowi, w którym odbywa się nabożeństwo. Przed kościołem pomnik mieszkańców Starych Hamrów, poległych w wojnie światowej. Nazwiska polskie i czeskie. W kościele kobiety ubrane już zgoła inaczej, niż w okolicach Cieszyna. Nie widać tu cieszyńskiego żywotka, nie widać też sukni z galonką i czepka z białym „rozumkiem" koronkowym. Skromniejszy jest ten strój tutejszy i twarze zdaje się mają jakiś inny wyraz. Tutaj wyczuwa się już duży wpływ Moraw, chociaż tutejszy polski lud ewangelicki wspomina ze czcią i miłością księdza Borutę, pastora polskiego, który działał tu jeszcze przed laty kilkunastu i kazał, oczywiście, po polsku, bo ewangelicki lud polski przywiązany jest do swojej mowy serdecznie.

Schodzimy ze stopni kościoła i rozglądamy się wokół. Jakże niewypowiedzianie ładnie jest w tych górach starohamerskich! Tylko jak sobie tu poradzić z tym przestworem, pokreślonym konturami gór, jak wyrazić zachwyt oczu, patrzących na jasne plamy białych domków w głębokiej dolinie! I na białą drogę, zgubioną w dali i na kilka smuklutkich świerków, które równymi liniami przedzielają krajobraz na działki niepojętych wzruszeń. Patrzymy w tę dolinę

w ciągu długich minut milczenia i widzimy szereg pokoleń, które tu pracowały i cierpiały chroniczny głód, wstydziły się swojej nędzy i były wobec niej bezradne. Kazano tym ludziom pracować na pańskim, kazano im płacić podatki i wypijać sporo wódki kupowanej za drogie pieniądze z jaśnie pańskich gorzelni. Tyle a tyle jaj musieli zanosić do kuchni pałacowej, tyle a tyle oddawać kóp szyndziołów, tyle a tyle przędzy i wreszcie tyle a tyle pstrągów. Jelenie wykopywały kartofle z ciężko uprawnych zagoników, zające zjadały kapustę, ale broń Boże tknąć pańskiego jelenia, złapać zająca! I tyle a tyle dni pracy na pańskim. Urbarze śląskie mówią o pracy „pieszej" i o pracy z zaprzęgiem.

Skąd ci ludzie brali siły i czas, aby uprawić kawałek roli własnej? Roli, położonej na zboczu góry! W dolinie na równinie była rola pańska i tylko na zboczach, gdzie ciężko było wejść i ciężko zejść, gdzie trzeba było oczyścić rolę z kamieni i zadźwigać na nią trochę nawozu, iżby w ogóle rodziła, tylko na tych zboczach były działki nędzarzy. Ale gdy tygodniami całymi pracowali, dźwigając nawóz na swoje nędzne pólka, jedna jedyna ulewa spłukiwała całą pracę, zmywała nawóz i znosiła go na tłuste pola możnych tego świata. Załamywali chałupnicy ręce, płakały pomęczone kobiety gorzkimi łzami, a potem zaczynała się praca od początku. To widzimy w duchu bardzo wyraźnie i od tego widoku wilgną nam oczy.

Zimą wiały tu ostre wiatry i padały śniegi, przez które niełatwo było przekopać się nieraz. W chacie było wtedy głodno i chłodno, osobliwie jeśli się „zimioki" czyli „kobzole" nie urodziły i niedość było kapusty. Za łaskę bożą poczytano sobie w takich razach, gdy przyszedł gajowy i wzywał na robotę do lasów arcyksiążęcych za byle jakie grosze. Niewielki był zarobek, ale chronił przecie od śmierci głodowej. Aby dotrwać do wiosny, kiedy będzie można wyprowadzić krówkę na pasionkę w lesie. Z jakim szacunkiem odnoszą się jeszcze dzisiaj śląscy nędzarze-chałupnicy do swoich bydlątek żywicieli!

Ale raptem arcyksiążę postanowił prowadzić racjonalną gospodarkę leśną i „pasionki" zaczęły mu przeszkadzać. Pokasował je tedy, chociaż biedacy zaklinali się na Boga żywego, że im owe pasionki były ofiarowane uroczyście przez królów i cesarzów, że korzystają z nich na mocy prawa boskiego i ludzkiego, i że są one jedyną mo-

żliwością wyżycia śród tych gór nieubłaganych. Zażądał dokumentów i dowodów, wiedząc aż nadto dobrze, że ich nikt nie ma i nie przedłoży. Istotnie, nikt nie miał takich dokumentów, pasionki ustały, nędza wzrosła. Pan Suderla, prawa ręka arcyksięcia, syn nauczyciela z Żidlochowic na Morawach, mógł odtąd robić na korzyść swego arcyksiążęcego pana, co mu się żywnie podobało. Kupował od nędzarzy ich działki i myślał, że posiadł w nich bierne i posłuszne narzędzie swej polityki.

Lecz biedacy, którym deszcze spłukiwały nawóz z poletek na zboczach górskich i których arcyksiążęca komora pozbawiała pasionek, uciekali do kopalń i fabryk, gdzie wyzyskiwano ich wprawdzie tak samo, ale gdzie było jednak lepiej, niż w niewoli u arcyksięcia. Robocizna w lasach jego cesarskiej wysokości podrożała, handel drzewem nie kalkulował się już tak dobrze, jak dawniej i trzeba było korzystać z pośrednictwa takich kupców, jakim był tutaj Izrael Hochfelder, który wycinał te lasy i wysyłał drzewo daleko, na Węgry i do Rumunii. Dorobił się wielkiego majątku, popłacił nawet jakieś niedobory pana Suderli, gdy ten nie mógł wyliczyć się z powierzonych mu pieniędzy i stał się starostą tych przepięknych Starych Hamrów. Ale potem przyszli tu politycy czescy, nauczyli lud głosować i władza w gminie przeszła w ręce tego ludu. Jednym ze skutków tej przemiany było to, że nauczyciel „niemiecki" Waschitzek przemienił się z dnia na dzień w czeskiego nauczyciela Vašička.

To wszystko się przypomina i przepływa przed oczami w obrazach ludzi licho odzianych, ale porządnych jakichś, czystych, rzetelnych. Są to ludzie wiecznie głodni i gdy się nadarzy sposobność do podjedzenia sobie na jakim weselu czy chrzcinach, to certują się wprawdzie, jak przystało, każą się prosić raz i drugi, ale wreszcie spożywają dary boże bez pośpiechu łakomego, lecz z sercem uradowanym i wdzięcznym. Tutaj dziad przekazywał wnukowi swój surdut sukienny, otrzymany od ojca, tu córki dziedziczyły po matkach ich suknie i chusty, koszule i pończochy, czepki i trzewiki. Tu w trówłach malowanych przechowywano z szacunkiem przyodziewek, na który trzeba było ach jak długo i ciężko pracować! Tu w starych kancjonałach i bibliach ludzie zacni wypisywali kroniki

swoich rodzin ręką drżącą i nieprzywykłą do pisania. Stare czcigodne Hamry, niewypowiedzianie piękne, ale zarazem jakież ubogie!

Schodzimy ze zbocza góry, mijamy kościół i cmentarz i widzimy szafirowe kwiatki, jakie widuje się tylko w górach, ale nie ma tu nikogo, kto by nam zdradził ich nazwę. Lecz poznajemy także starych znajomych z naszych podwarszawskich łąk: rzeżuchę o miłych delikatnych kwiatkach, kampanule, jaskry wszelkich odmian, kity rdzawego szczawiu, koniczynę, mietlicę, złociste mniszki, masę firletki rozszarpanej, przytulię, pietrasznik, krwawnik... To jest jakby spotkanie z miłymi znajomymi, czy nawet przyjaciółmi z lat dziecięcych, których się niespodzianie widzi w tej dolinie Ostrawicy.

Jesteśmy głodni, bo zabawiliśmy tu dłużej, niż owe pół godziny, które wyznaczył nam gospodzki. Przyśpieszamy kroku i niebawem jesteśmy w niewielkiej przewiewnej salce, a gospodarz wita nas uradowany i sadza za stołem czysto nakrytym. Sam nas obsługuje i znosi rzeczy obiecane. Jemy szybko, jak ludzie głodni i tacy, których czeka kawał drogi. Komu w drogę, temu czas. Komu w ładną drogę, temu pilno. Płacimy za obiad, dopijamy czarną kawę i pełni serdecznej ochoty sadowimy się w samochodzie. Jazda!

Starym nałogiem odczytuję nazwiska na domach, restauracjach, hotelikach tutejszych: Duda, Muszka, Krasula, Kaniak, Panocha, Duži... Gdzieś z boku po lewej stronie drogi blisko rzeki mały domek z ogródkiem, a w nim staruszkowie na ławeczkach. „O b e c n i c h u d o b i n e c“ — przytułek gminny. Ostrawica coraz bystrzejsza. U jej brzegów stoją w głębokim skupieniu ludzie z wędkami, zaczajeni na pstrągi. Młodzi z plecakami na ramionach i w butach z grubymi podeszwami idą w góry. Krajobraz nienapatrzony, ale nagle wjeżdżamy w ciemny las i długo jedziemy ciemną drogą leśną. Świerki i świerki. Wysokie, proste. Droga idzie pod górę. Czasem krawędź jej osuwa się nagle w ciemną głąb, a z boku ciągnie się biała ochronna poręcz. Czasem od drogi głównej odwidla się droga pomniejsza, za którą widać polanę, chatę o ścianach z szyndziołów, krowę i małe dziecko przy niej. I znowu pusta leśna droga, najeżona z obu stron wysokimi chłodnymi świerkami. Niewielkie tu i owdzie poręby. Przy drodze leżą długie białe pnie: przyszłe słupy telegraficzne, podpory w kopalniach, a może budulec na chatę, w której będą się ludzie rodzić i umierać, cieszyć się i płakać, odda-

wać się złudom słodkiej nadziei i grążyć się w rozpaczy. Czegóż to nie można zbudować z ładnych smukłych pni takich świerków!

Jedziemy i jedziemy, a lasowi końca nie widać. Czasem idzie człowiek samotny z tobołkiem na ramieniu o jasnych płowych włosach i wąsach koloru słomy. Czasem stara ciotka w chustce wełnianej i w trzewikach odświętnych, przejdzie szybko skrajem drogi. W głębokich niszach poręb stoją duże stosy szyndziołów czyli gontów. Ach tak, to się liczyło na kopy i poddani dawnych władców tej ziemi mieli dokładnie przepisane, ile kóp szyndziołów muszą oddać swoim panom. Teraz już się nikomu nie płaci kopami szyndziołów, ale po drodze widzimy dużo chat, które nie tylko strzechy, ale i ściany mają z tych właśnie szyndziołów. Ściany takie są bardzo ładne, bo gonty ze smolistego drzewa zmieniają się na słońcu i deszczu, a chaty z nich budowane nabierają ładnych odcieni niby rysunki robione tuszem.

Wreszcie las zaczyna się rwać, maszyna terkocze miejscami dość głośno na znak, że wspinamy się pod górę i niebawem samochód staje. Tutaj trzeba wysiąść i napatrzeć się do syta tego niewypowiedzianego piękna górskiego. Jesteśmy wysoko. Samotna gospoda z szyldem: „Útulna pod Konečnou". Patrzymy w lewo, gdzie leży przed nami olbrzymia dolina, poprzecinana wzgórzami i małymi dolinkami. Lasy i lasy, tylko tu i owdzie łysina poręby, łany zboża, łąki i zabudowania gospodarcze przy chatach, gubiących się śród tej nieobjętej zieleni milionów drzew. A za doliną wysokie szczyty, bliższe i dalsze, o konturach wyrazistych albo przymglonych. Parę kondygnacji tych gór, wizja wspaniałej wielkości.

Przypominają się kamieniołomy, widziane w różnych okolicach i wyobraźnia kreśli sobie widok wnętrzy tych gór, gdyby je nagle przeciął jaki gigantyczny miecz. Te fantastyczne myśli przychodzą do głowy dlatego, że tutaj są one niejako w powietrzu i tworzą stały temat legend, krążących śród ludu. W niektórych górach lud umieszcza wszystkie skarby swej fantazji i romantyki i wnętrza ich czyni sezamami pełnymi złota i drogocennych kamieni. Wszystkie te góry wydają się ludowi kopułami ogromnych jaskiń, w których dzieją się rzeczy niedocieczone, ale drogi do nich znaleźć niesposób. W głębi Czantorii śpią rycerze, którzy zbudzą się i staną do walki o prawo i sprawiedliwość, gdy miara złego się przepełni. Zaś Łysa

w fantazji ludu jest olbrzymim pęcherzem, pełnym wody. Gdy grzechy i zbrodnie tak rozmnożą się w świecie, że już innej rady nie będzie, Łysa pęknie i zaleje świat masą swoich wód karzących.

W niektórych górach Bóg sam poumieszczał skarby nieprzebrane, na innych potężni zbójnicy, którzy mieli złota pełne kadzie, pozakopywali swoje bogactwa i tam strzegą ich duchy nieżyczliwe. Na Węgrzech wieszano kiedyś śląskiego zbójnika, zdybanego tam przy rozboju. Kiedy stał pod szubienicą i kat zakładał mu stryczek na szyję, krzyknął głośno: — Hej, nie ma tu kogo z Jabłonkowa? — Wtedy ubogi komornik, Mach z Boconowic, odpowiedział: — Ja jestem z Jabłonkowa! — A zbójnik na to: — Idź na Kościołki i szukaj okrągłej pokrywy z kamienia. Pod nią ukryłem pieniądze. — Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale kat nie czekał i skręcił mu kark. Przez całe trzynaście lat szukał Mach z Boconowic skarbu pod okrągłą pokrywą kamienną po całych Kościołkach i tak mu te lata upłynęły na daremnym szukaniu, aż umarł.

Po całym Śląsku jest pełno poukrywanych skarbów, ale nie dość znaleźć drogę do nich, trzeba jeszcze wiedzieć, kiedy zabrać się do kopania i jak stawić czoło przeszkodom, które się wyłonią, jak obronić się przed grożącymi niebezpieczeństwami. Skarby są, ludzie ubodzy znajdują nieraz drogę do nich, ale duchy nieżyczliwe, strzegące tych skarbów, płatają im w decydującej chwili takiego figla, że skarb zapada się jeszcze głębiej, niż przedtem i czasem Bogu trzeba dziękować, że się przy takiej okazji życie uratowało.

Po tej dygresji uczuciowej, która zrodziła się z patrzenia na góry takie tu piękne, jedziemy dalej. Zjeżdżamy w dolinę i widzimy świat zgoła nowy, inny, niepodobny do tego, który zostaje za nami.



Krzyż przydrożny w okolicy Stonawy

165

— Gdzie nam się podziała Ostrawica? — odzywa się głos zaniepokojony.

Wszyscy spoglądają po sobie spłoszeni i zawstydzeni. Ładni turyści! Nie ma co! Zgubili Ostrawicę po drodze i nawet tego nie zauważyli. Istotnie, gdzie jest Ostrawica? To pytanie zrodziło się w związku z pojawieniem się po prawej stronie drogi innej jakiejś rzeki. Najpierw szelest za drzewami, potem szum, wreszcie ukazuje się dość szeroka rzeka z dnem miejscami obnażonym i usypanym drobnymi wyszlifowanymi kamieniami. Od Ostrawicy różni się ona bardzo grubo już choćby tym, że tamta płynęła przeciwko nam, ta zaś płynie z nami.

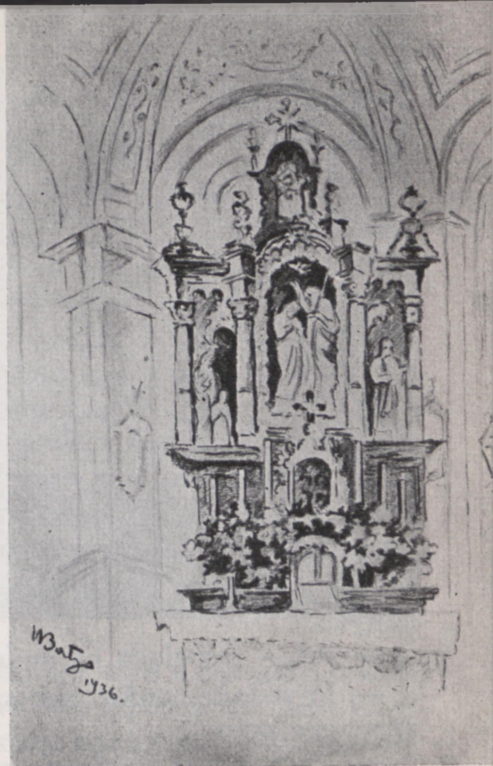
Co to za rzeka? Ba, gdyby miała imię wypisane na falach, tak jak to bywa na starych mapach geograficznych, które oznaczały dokładnie nawet miejsce przebywania lwów: *Hic sunt leones!* Trzeba będzie kogo zapytać o imię tej nieznanej rzeki. Na drodze, przejaśniającej się coraz bardziej, bo las rozbiega się na obie strony, widać ludzi idących z kościoła. Idą kumy w wełnianych chustkach, w krótkich odstających spódnicach i w trzewikach na wysokich obcasach. Niektóre z tych niewiast mają na nogach ładne buty, wypucowane na glanc. Poubierane są tradycjonalnie i regionalnie. Natomiast mężczyźni zurbanizowani są w swoich strojach po prostu beznadziejnie. Spodnie, marynarka, kapelusz, na szyi chustka albo i krawat, na nogach kamaszki akurat takie, jakie widuje się w Cieszynie, w Zurychu, w okolicach Mediolanu, w Warszawie.

Tylko czasem spotka się starego dziadka, z tych już chyba najuboższych, w marynarce przerobionej ze starej guńki. Spodnie obcisłe, u dołu zawiązane, na nogach kierpce. Dobrotliwa, pomarszczona twarz starego człowieka, wyblakłe oczy, siwe włosy, spadające na ramiona, i kapelusz bardzo już stary i jakby nie z tego świata. Wszyscy mijają nas obojętni, milczący, zurbanizowani, tylko on jeden sięga po kapelusz i pozdrawia:

— Pochválen Pan Ježiš Kristus...

— Až na veky, człowieku boży, przyjacielu osobisty Franciszka Bernardone z Asyżu!

Oglądamy się za nim jak za wcieleniem rezygnacji. Chudy spracowany człowiek! Nie najadał się nigdy do sytości, pracować musiał nad stan, czasem się może upił, jeśli taka była kalkulacja jego pracodawcy, i wtedy śpiewał wesołe piosenki. A potem znowu praca i chłód i głód, na nogach ciżmy z twardej skóry wieprzowej, na plecach guńka z szorstkiego samodziału, obcisłe portki. Przypomina się frydecki Chrystus frasobliwy. Tu jest jakoś biedniej, niż na Śląsku. Ludzie odziani wprawdzie odświętnie, ale zahukani jacyś, czy co? Ustępują nam z drogi z grzeczną skwapliwością, zamiast kazać sobie ustępować. Jesteśmy zażenowani, że jedziemy, podczas gdy oni jakieś długie kilometry z kościoła do domu idą piechty.



Wnętrze kościołka w Skalitem
Rys. Winc. Bałys

No tak, węgierskie panowanie było twarde i bezwzględne. Słowak się nie liczył. Gdy w Czernowej przed 30 laty chcieli Słowacy czegoś bardzo elementarnego, posłano przeciwko nim żandarmów, a ci jak dla zabawy strzelili w tłum jasnookich i płowowłosych ludzi, kładąc trupem trzynastu. Gdzieś tam chcieli sobie założyć czytelnię własną i zebrali na ten cel trochę pieniędzy, ale przyszedł przedstawiciel władzy węgierskiej, skonfiskował pieniądze i kazał aresztować „wichrzycieli". Nie, Słowak się nie liczył. „Tót nem ember" — Słowak to nie człowiek. „Buta tót" — głupi Słowak. To się słyszało na każdym kroku. Nawet na uniwersytetach niemieckich, gdy Madziar spotkał Słowaka, to trzymał się z dala od niego i nie traktował go jako kolegę. Żal było Słowaka, że cierpi i żal było Węgra, że zapłaci za to cierpienie, zadawane Słowakowi zgoła bez potrzeby.

W starszym pokoleniu słowackim pozostało coś z tamtych czasów, gdy ksiądz Hlinka próbował tchnąć ducha odwagi w swój straszliwie upośledzony naród. Wszystko, co na ziemi słowackiej przedstawiało jaką taką wartość, zagarniali Madziarzy, a Słowakom pozostawiano ciężką pracę, emigrację do Ameryki albo druciarską włóczęgę po świecie i... wódkę. Co było najtęższego w Słowakach, asymilowało się z Węgrami, o czym świadczą jeszcze dzisiaj nazwiska niedość zmadziaryzowane. Słowacy byli sami, okrutnie sami, i stąd ta melancholia w siwych oczach i w twardych rysach chudych twarzy. Może młode pokolenie słowackie wyrośnie z tego smutku i z tej melancholijnej rezygnacji.

— Panie, jak się nazywa ta rzeka? — pytam jednego ze spotkanych.

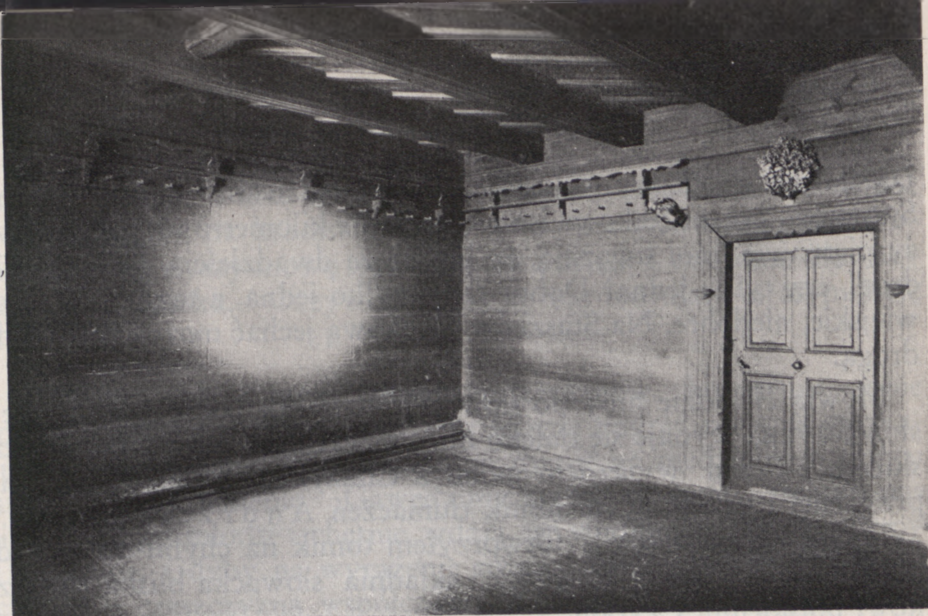
— A? — Spogląda na mnie zdziwionymi oczami.

— Povedajte, tatko, ako sa nazýva tato rieka — usiłuję stać się zrozumialszym.

— Tato rieka? — drapie się po głowie. Po raz pierwszy zapewne słyszy takie pytanie, bo tutaj ludzie mają dość innych trosk i nie interesują się nazwami rzek, tak samo zresztą, jak w okolicy Jabłonkowa lud nie wie nic o przełęczy sławnej.

— Predmerská rieka — odpowiada nagle, jakby sobie właśnie był przypomniał nazwę rzeki.

Dziękujemy i ruszamy dalej. Informacja zdumiewająco ścisła. Ależ tak: potok Predmer. Bo tak nazywała się dawniej i ta rzeka i Turzówka. Sądziliśmy, że to już Kisuca, a to dopiero jeden z jej dopływów. Rzeka jest ciągle blisko drogi i teraz dopiero przestała być obcą i tajemniczą, gdy otrzymała imię. Krajobraz jest tu inny. Wysoka krótka fala gór beskidzkich ustępuje fali niższej i bardzo długiej. Ma się wrażenie, że po burzy nastaje tu cisza i fale się rozpływają, przechodząc w równinę. Doliny szerokie, nieckowate, miłe jakieś, ale ubogie. Trudna rada, takie jest wrażenie uparte i nieustępliwe. Samej wody ileż tu jest w tych rzekach, strumieniach i potokach! „Początek wody i koniec chleba“ — mawiają w pobliskim Koniakowie. Taka jest niezawodnie reguła. I tutaj także rolnik wdrapuje się na zbocza gór, nawozi je, orze, obsiewa, ale już wiadomo, co robi z tym wszystkim jedna dobra ulewa. Zmywa ciężki trud rolnika razem z warstwą ziemi i obnażą kamienie, które nie chcą



Końska. Świetlica w domu Buzków zbudowanym w r. 1782

rodzić ani żyta, ani kartofli. To już tutaj jest owo Czadeckie, o którym nie wiadomo dokładnie, czy nazwę swoją bierze od rzeki Czadeczki czy od miasteczka Czacy. Wsie mają nazwy polskie: Turzówka, Oleśna, Podwysoka, Staszków, Rakowa, Świerczynowiec, Oszczadnica, Czorne, Skalite, a pośrodku miasteczko Czaca.

Daleko za nami zostały Stare Hamry, jeszcze dalej Frydlant i Frydek. Krajobraz zmienił się do niepoznania, inni tu są ludzie, chociaż wsi w Czadeckiem budowali Polacy ze Śląska Cieszyńskiego, a prócz tego, jak wywodzi także historyk czeski, Vincenc Prasek, granice Śląska wybiegały daleko na południe poza granice obecne, a mianowicie wzdłuż potoku Predmer i po linii Turzówki sięgały aż do potoku biorącego początek w Skalitem.

Dojeżdżamy wreszcie do Turzówki, gdzie po nabożeństwie niedzielnym panuje zawsze duży ruch. Stoją stragany z ciżmami, piernikami, serami owczymi, koralikami, zabawkami różnymi dla dzieci. Ludzie ubrani odświętnie kręcą się między straganami, oglądają rzeczy, wystawione na sprzedaż, targują się, odchodzą, wracają, witają znajomych, gawędzą, jak to już bywa w niedzielę, gdy tak miło jest być na świecie.

Zatrzymujemy samochód u wylotu uliczki, gdzie na rogu stoi synagoga, zbudowana w oryginalnym stylu, wysiadamy i idziemy dalej piechty. Jakże przyjemnie jest zmieszać się z tymi ludźmi, pogawędzić z nimi, przyjrzeć im się z bliska! Słowacy, czy Polacy? Zapewne jedni i drudzy. Zaczynamy rozmowę, pytając o byle co, o to

jak daleko do Czacy. Okazuje się, że niedaleko. Będzie najpierw Staszków, potem Rakowa i już Czaca. Ile kilometrów? Jedni mówią, że piętnaście, inni uważają, że będzie ze dwadzieścia. Czy są różne drogi, czy tylko jedna? Dobra droga tylko jedna, a tamte inne drogi, wiejskie, niedobre. Na Staszków i Rakową jechać można tylko jedną drogą.

Mówią ci ludzie niby po słowacku, ale tak jakoś dziwnie, że ta słowaczyzna wydaje się daleko bliższa językowi polskiemu, niż czeskiemu. Przed wyjazdem moim z Cieszyna odwiedził mnie miły przyjaciel i przyniósł mi tomik tłumaczeń Andrzeja Zarnova „Z polských básnikov". Otworzyłem tomik na chybił-trafił i zdumiałem się jak dalece fonetyka i składnia słowacka bliska jest językowi polskiemu. Czytam:

„Blahoslavena nechže je ta chvila
ked' večerný sa rodí hymnus duše.
Ked' z tichých poli,
od žitnisk, brehov riečných,
s úhorov, s križovatiek,
od nachýlených chát
i od tych zvetralých stodôl
chlapčenská pláče pieseň:
Hraj mi, moja pištialočka,
hrajže mi len hraj!
Zrobil som tia z vrboviny
kde ten potok striebrosiný,
kde ten šumný háj.
Pani pána tam zabila,
zelenie sa, hej mohyla,
zelenie sa, hej..."

Kto raz czytał Kasprowicza, ten odgadnie go łatwo w tym tłumaczeniu słowackim. Zaglądam tu i owdzie, zawsze to samo: ogromna łatwość rozumienia.

Tuwim, Miciński, Słowacki, Mickiewicz, Staff, Słonimski, mają nie tylko swoją treść w tym tłumaczeniu, ale i swój rytm. „Nado mnou hviezdy vydaly súd: večná je temnost' večný je blud..." Któż nie pozna od razu Micińskiego? Albo: „Taký sa mi osud pradie, také veru milovanie: privitanie, rozchádzanie, rozchádzanie, spominanie..." Trudno nie odgadnąć Tuwima, choćby po rytmie: przywitanie, pożegnanie, pożegnanie, wspominanie. Albo wreszcie: „Lecz zaklinám — nech živi nádej nestrácaju a svetlo osvety nech pred

národom blýská, a ked je treba, mrtvi radom popadaju sťa vrhané to skalie Bohom na hradiska...“ Aż dziw, jak łatwo rozumieć Słowaka, gdy się słyszy mowę słowacką raz i drugi. I tak samo Słowacy rozumieją Polaka. Oczywiście, że to bardzo ułatwia asymilację językową.

Idziemy dalej i przy jednym ze straganów kupujemy sobie dromle. Zobaczymy, czy potrafimy jeszcze zagrać na tym ewokacyjnym instrumencie. W odświętnym tłumie na niedzielnym słońcu czujemy się jak u siebie. Gawędzimy z tym i owym, dokoła nas zbierają się co młodsi i chętnie wdają się w rozmowę. Rozumiemy się bajecznie. Gdyby na wyrażenie różnic, istniejących między polszczyzną a czeszczyzną współczesną użyć liczby dziesięciu, to na wyrażenie tych samych różnic między językiem polskim a słowackim wystarczyłaby trójka. Zresztą może tak jest tylko tutaj na pograniczu, gdzie asymilują się powoli śląsko-polscy Czadeczanie. W głębi Słowacji jest może inaczej. Rzucam tę myśl i w odpowiedzi na nią miły towarzysz wędrówki recytuje Kuzmányego „Nitra, milá Nitra, ty vysoká, Nitra, kde že sou ty časy, kedy si ty kvitla?“


Czadeckie. Kościołek w Skalitem. Rys. Winc. Bałys

Rozumiemy doskonale wszystko i nie potrzebujemy komentarza nawet wówczas, gdy zamiast naszego „była“, albo czeskiego „byla“ słyszymy słowackie: „Ty si



Ks. Oskar Michejda, senior kościoła ewangelicko-augsburskiego. Prezes Tow. ewang. oświaty ludowej

bola" — tyś była. I rozumiemy Słowaka, gdy nam powiada, że gdy się jedzie koleją, „železnicou", to niedaleko, „ale ked' sa ide pešky, ide sa dlho". Czytamy napisy: „Predajnia obuvi" — sprzedawalnia obuwia. „Lekáreň", albo „apatieka" — apteka. „Kaviareň" — kawiarnia, „krajčír" — krawiec. „Mäsar a udenár" — masarz i wędliniarz.

Wyjąłem z kieszeni notatnik, aby zapisać sobie te zdobycze lingwistyczne. Nagle czuję na sobie czyjeś spojrzenie, ale to takie, jakie lud nasz nazywa drańskim. Oglądam się i widzę jakiegoś Sherlocka Holmesa z Turzówki. Niefachowa siła, to się rzucało w oczy, bo wywiadowca zawodowy jest zawsze inteligentniejszy od takiego amatora. Patrzył mi przez ramię, co też sobie zapisuję i wywnioskował, że wykrył Bóg wie co. Twarz była wybitnie niesłowacka, ale mocno czarnomorska. Nie wątpiłem, że sprowadzi mi na kark żandarmów i że będę musiał tłumaczyć się szczegółowo co i jak. Tak serdecznie chciało się pogłaskać tego spryciarza i powiedzieć mu z największą możliwą życzliwością, że jest ciężko i serdecznie głupi.

Mój detektyw-amator wszedł do sionki, obok której widniała czerwona tabliczka z napisem: „Četnická Stanice". Szedłem dalej z notatnikiem w ręku i notowałem. Mój detektyw za mną. Przystanąłem i popatrzyłem na niego z wybaczającym uśmiechem. Obejrzałem się, ciekaw, co zrobi żandarm. Żandarmi czescy, o ile stykałem się z nimi przy częstym przekraczaniu mostu granicznego w Cieszynie, bywali zawsze uprzejmi i nie tylko że nie robili trudności, ale przeciwnie, gdy spostrzegli raz i drugi, że w teczce i walizce miewam najczęściej stare druki polskie i czeskie, znajdowane po obu stronach Olzy, rezygnowali z rewizji szczegółowej. Miałem wrażenie, że są to ludzie na ogół inteligentni i starannie dobierani. Byłem więc ciekaw,

jak zachowa się żandarm w Turzówce. Stał przez chwilę na progu i spoglądał za mną. Był to człowiek młody jeszcze, ale brawo! — zorientował się doskonale, że amator detektyw to po prostu głupiec. Machnął ręką i powrócił do swej kancelaryjki, podczas gdy detektyw szalał.

Szliśmy długi kawał drogi piechty, przyglądając się szuhajom słowackim w granatowych spencerach i czerwonych krawatach, w płaskich czapeczkach i w butach z błyszczącymi gładkimi cholewami. Ładni chłopcy. Obok nich, ale nie z nimi, dziewczyny, po dwie, po trzy w bluzkach z bufiastymi rękawami i w krótkich odstających spódnicach. Wszystkie poobuwane w trzewiki na wysokich obcasach, takie, jakich w sklepie Bati nie ma. Tu i owdzie przed wrotami grupka wyrostków, a na wrotach wielkimi literami napisy: „Neboj sa! Tu sme a volime 3!“ Albo: „Nedáme sa predať! Volte č 3!“ Nie damy się sprzedać. A dalej: „Svedomie volá, ludie volia č 3!“ — sumienie woła, ludzie wybierają nr 3! Ale na innych wrotach napisy jeszcze większe wzywały do wybierania listy nr 7.

— Co znaczy trójka? — pytamy pierwszą lepszą grupkę wyrostków.

— Ne viemo! — odpowiadają chórem.

— A siódemka? — wskazujemy na cyfrę na wrotach.

— Andrej Hlinka!

Popularny ksiądz, nieustępliwy autonomista słowacki. Przed wojną, gdy Czesi bardzo serdecznie pomagali Słowakom w ich beznadziejnej, zdawało się, walce z potężnymi Madziarami, niejeden mniemał, że język słowacki jest raczej narzeczem języka czeskiego, niż językiem samodzielnym. Zdawało się, że asymilacja tych dwóch bliskich sobie szczepów słowiańskich to kwestia paru lat wspólnego pożycia. Dzisiaj widać, że między duszami tych dwóch szczepów



Stonawa. Bratnia mogiła 20 bojowników poległych w obronie niepodzielności Cieszyńskiego

słowiańskich istnieją pewne odchylenia, oczywiście, uwarunkowane rozwojem historycznym.

Czesi dość wcześnie stracili wodzów-żołnierzy i królów narodowych, a miejsce ich zajmować zaczęli wodzowie-nauczyciele, moraliści, kaznodzieje. Już w wieku XIII i XIV naród czeski staje się szczerze i mocno religijnym, nie znoszącym przeciwieństw między zasadą chrześcijańską a praktyką życiową. Tacy nauczyciele jak Milicz z Kromierzyża i Maciej z Janowa byli ascetami, głosicielami życia zrezygnowanego, przenikniętego duchem ewangelicznym. Po nich przyszedł Hus, a chociaż nie przynosił w gruncie rzeczy nic nowego, to jednak całe jego życie i jego śmierć bohaterska były wyrazem pragnienia, aby między zasadą chrześcijańską a życiem nie było przeciwieństw. Gdy nastała reformacja, znalazła w Czechach grunt przygotowany dla siebie, jak nigdzie bodaj. Ale pojmowana po czesku zasada wolności sumienia kolidowała z interesami monarchii austriackiej. Konflikt ten stał się dla Czechów wysoce tragicznym.

Czesi nie mieli literatury ściśle świeckiej w wieku XV i XVI, ale za to posiadali wspaniałą literaturę religijną i pisarzy, którzy na stulecia całe wyprzedzali myślicieli i działaczy w rodzaju Tołstoja. Wszystkie ich zainteresowania krążyły dokoła zagadnień religijnych i moralnych, i wreszcie nawet konflikt ostatni, który pozbawił ich niepodległości, był konfliktem polityczno-religijnym.

Odrodzenie czeskie na początku wieku XIX nie nawiązywało już do spraw i zagadnień religijnych. Można by powiedzieć, że dusza czeska przesyciła się tymi sprawami. Zresztą odrodzenie przychodziło z hasłami wieku oświecenia i rewolucji francuskiej, co także nie pozostało bez wpływu na postawę Czechów wobec świata. Poza tym w kulturze czeskiej był od samego początku pewien rys, powiedzmy, polemiczny. Polemistami i krytykami życia byli wielcy moraliści czescy od wspomnianego już Macieja z Janowa po Komenský'ego, Havlička i Masaryka. Kto zna cały ruch odrodzeńczy czeski, temu nie trzeba mówić, że na czele tego ruchu stali zawsze wielcy nauczyciele i wychowawcy. Między Husem a Havličkiem jest olbrzymia różnica w treści, ale jest też absolutne podobieństwo w postawie wobec poznanej prawdy. Z niej rodzi się liberalizm Havlička w jego ostrych epigramach, które przedostając się w szerokie masy ludu czeskiego, przekreślały w nich dawny romantyzm religijny i ascetyczny.

Słowak odczuwał świat inaczej. W wiekach średnich był żarliwym katolikiem, gdy przyszła reformacja część Słowaków całą swoją żarliwość katolicką przeniosła w nową postać wiary, ale bez tendencji krytycznych i liberalistycznych. Historia wyżłobiła tu różnice głębokie i nawet całkowita asymilacja językowa, gdyby była możliwa bez reszty, nie zdołałaby pousuwać tych różnic. Poważni działacze czescy wiedzą, że istnieją pewne różnice charakterologiczne nawet między Czechami a Morawianami i że te różnice są jeszcze większe, gdy chodzi o Czechów i Słowaków. To też nie ma języka czechosłowackiego, ale jak dotychczas mamy język czeski i język słowacki. Jednym przemawiają Hus i Havliček, drugim Hviezdoslav i Hlinka. Typy bardzo różne.



Czadeckie. Krzyż przydrożny w Bukowie. Rys. Fr. Suknarowski



Buków. Gazda. Rys. Fr. Suknarowski

Za Turzówką towarzyszy nam Kisuca, płynąca szeroką ładną doliną. Gdy na wiosnę podczas topnienia śniegów albo jesienią po długich deszczach woda w niej wzbiera, może to być rzeka całkiem

duża, ale teraz widać jej fantastycznie nierówne dno z usypiskami białych, dobrze wygładzonych kamieni. Miejscami jednak widać głębokie wiry, ciemne i zdradliwe. Idziemy skrajem drogi nad łąkami i przystajemy u kapliczek przydrożnych, w których przy święcie płoną świece i jarzą się bukiety kolorowych kwiatów z ogródków i łąk. A na łąkach kwiatów zatrzęsienie: całe morgi firletki rozszarpanej i margerytek o niespotykanej wielkości. Tu i owdzie przy drodze wysoki krzyż z Chrystusem z blachy malowanej.

Olbrzymie płaszczyzny okolicy wznoszą się łagodnie niby ocean w przypływie, a na zboczach tej fali lądowej nie objętych spojrzeniem, widać drogi, pola i drzewa, białe domki i słupy telegraficzne. Ktoś przepowiada deszcz, bo wszystko widać zbyt blisko i zbyt wyraźnie. Nic nas to nie obchodzi. Patrzymy z zachwytem na ten przepiękny w swym bogactwie i ubóstwie świat Czadeckiego, na mosty kolejowe, na przydrożne kapliczki, na wrota stodół, na których trójki socjalistyczne biją się z pobożnymi siódemkami. Człowiek wychowany na równinie napatrzeć się nie może na te wzniesienia ziemi, na tę olbrzymią równię pochyłą.

S t a s z k ó w! Znowu te same chaty wiejskie z wichrowatymi stodołami i oborami. Wrota bielone, ubogie domki z ogródkami. Przed ogródkami stoją dziewczęta w białych bluzkach z bufiastymi rękawami. Spoglądają ukradkiem za spacerującymi chłopcami. Przystajemy i gawędzimy z mieszkańcami Staszkowa. Mili, dobrzy, ale ubodzy ludzie, z tych, których jest królestwo niebieskie i którzy nawet nie próbują stać się bogatymi, czy choćby zamożnymi. Zasugestionowano ich, że bogactwo to sprawy innych ludzi, nie ich. Spoglą-



„P r z e c h o d n i u, powiedz Polsce, tu leżym, jej syny, prawom jej do ostatniej posłuszni godziny." Napis na krzyżu bratniej mogiły Polaków poległych 26 I 1919 i pochowanych na cmentarzu w S t o n a w i e

damy na szkoły tutejsze. Nie są takie wspaniałe i bogate jak „mniejszościowe" szkoły czeskie w Cieszyńskiem.

Wsiadamy do samochodu, aby po długim spacerze odpocząć trochę. Jeszcze parę kilometrów wzdłuż tej ładnej doliny i w dali ukazuje się białe miasteczko Czaca. Zaś tutaj, śród bukolicznych łąk, gdzie pasą się krowy i gdzie białe gęsi brodzą w płytkiej u brzegów wodzie Kisucy, panuje nastrój wyjątkowo miły. Ludzie, znający te strony, pokazują nam góry, wznoszące się z dala po lewej stronie drogi i mówią nam, która jest Mały Połom, a która Wielki Połom. Po tamtej stronie Wielkiego Połomu jest Jabłonkowskie z Boconowicami, Milikowem, Karpętną, Oldrzychowicami...



Cieszynianki.
Wiązanie chustki na pidło

Nad łąkami, po nasypie zielonym płynie sobie wagonik trzeciej klasy bez lokomotywy, bez armatury elektrycznej, oczywiście motorówka. Pasażerów niewiele. Na wagonie czytelny napis: „N e f a j- č i a r i". To znaczy tacy, co nie fajczą, alias nie palą tytoniu. Ktoś przypomina sobie anegdotkę czeską, dworującą życzliwie ze stryków słowackich, którzy nie zawsze orientują się dobrze w świecie maszyn i przepisów najróżniejszych. Jedzie sobie kumoter i właśnie „fajči". chociaż wagon jest dla niepalących. Konduktor tłumaczy mu, że to wagon dla „nefajčiarow". Kumoter na to, że on właśnie „nefajčiar". Jakto? Przecie fajči! „Ach, to len ked' jedem po železnici!" — woła zacny stryjaszek. Cóż znowu! Pali tylko czasami, gdy jedzie koleją!

R a k o w a jest wsią taką samą jak Staszków. Te same domki ubogie, takie same wrota stodół, bielone wapnem i popisane cyframi walki wyborczej. Dziewczęta chodzą po nawsiu, trzymając się pod ręce, chłopcy znowu sobie, w granatowych czamarkach, w pła-

skich czapkach, w butach o gładkich błyszczących cholewach. Nie tak dawno jeszcze tutaj były Węgry, a w archiwach niektórych gmin śląskich znajdują się zapiski przy nazwiskach mieszkańców, co pouciekali przed biedą, że uszli na Węgry. Takie samo uchodzenie niezadowolonych i nieszczęśliwych zapisuje Adamus w swej historii miasta Ostrawy. Byli w Morawskiej Ostrawie tacy, co domy swoje „razem z pretensjami swymi pospuszczali" i szli w świat, gdzie oczy poniosą.

Czaca, miasteczko białe, jak marzenie w niedzielne popołudnie. Mieszczanie powychodzili przed domy i gawędzą, młodzież spaceruje po ryneczku, a przed Domem miejskim stoi policjant i strzeże porządku, którego nic i nikt nie zakłóca. Idziemy na podwieczorek do restauracji. Kilkunastu urzędników i kupców siedzi przy piwie, niektórzy zabierają się do gry w bilard. W kącie, obstawieni kibicami, grają panowie w karty. Wychodzimy na miasto. Sklepy pozamykane, cicho, czyściutko, słoneczno i odświętnie. Przy drodze, którą idziemy na most na Kisucy, stoły przekupniów uginają się pod masą bananów, jabłek, pomarańcz. Owoce są tu nieprawdopodobnie tanie. Kupujemy ich pełne torby na drogę i idziemy na most. Rzeka



Olza pod Zoduchem w okolicy Końskiej

szeroka, ujęta w kamienne ściany, środkowy nurt głębszy, szarozielony i chłodny. Kisuca płynie od zachodu, w Czacy robi zwrot ku południowemu wschodowi, a potem pędzi już zdecydowanie ku Żylinie, gdzie wpada do Wagu. Koło mostu spacerują żołnierze i żandarmi, w domkach koło rzeki dziewczęta siedzą przy oknach, odpoczywają i gawędzą. Czas stanął nad tym miasteczkiem pełnym niedzielnej ciszy i słonecznego złota. Tylko Kisuca płynie pod swoim białym mostem i odwieczną drogą zmierza ku Morzu Czarnemu.

Nie chce się wyjeżdżać z tego miasteczka tak miłego. Idę jeszcze ku kościołowi czadeckiemu, wywierającemu wrażenie bardzo starego. W alejce wiodącej ku niemu wysoki krzyż, a na jego cokole trupia czaszka i wąż. Przyglądam się temu wężowi, ongi symbolowi mądrości prastarej sekty kainitów, i godłu boga Eskulapa. Tu reprezentuje on zdradliwość. Śmierć, którą wyobraża ta czaszka, to jego dzieło. Dawniej, u innych ludów był symbolem mądrości i lecznictwa. Mówię o tym wężu towarzyszom podróży. Nagle podchodzi do nas stara, ogromnie uradowana babunia, i mówi o tym „gadzie", ale narzeczem już zbliżonym do żywieckiego. Wywodzi, że wszystkie niedole dzisiejszego świata, to dzieło tego „gada", co zwiódł Ewę.

Niespodzianka bardzo miła, bo chociaż wiedziałem, że w okolicach Czacy, po wszystkich wsiach mieszkają potomkowie tych polskich Ślązaków, którzy budowali Turzówkę, Staszków, Rakową, Świerczynowiec, Podwysoką, Oszczadnicę, Czorne, Skalite, Oleśną, to jednak nie przypuszczałem, że w Czacy usłyszę gwarę żywiecką, mniejsza z tym, że pomieszaną z językiem słowackim. Czy mieszka w Czacy? Nie, nie mieszka, ma tu syna i przyszła odwiedzić wnuczęta, a teraz poszła sobie do kościoła. Jest z Zakopcza, no tam za kopcem, niedaleko.

— Z Zakopcza? Niedaleko? Jak się tam jedzie?

— Ba, jedzie! — śmieje się babunia. — Tam sa idzie, panowia mili, to je hnetki tuto, pół godziny cesty.

— Czy tam w Zakopczu wszyscy tak mówią jak babunia?

— Ej nie wszyscy. Enem ty starzi mówia jeszcze po naszmu.

— A młodzi?

— Ti už mówia wicej po słowensku ako saući we szkole... Ja zaraz widziała, że panowia sou z Polskij.

Tutaj wszyscy tak mówią: „Polská, z Polskiej, albo na Polskiej, jakby opuszczali słowo „strona". Gdy ktoś idzie do Jaworzynki, Istebnej albo Zwardonia, to idzie „na Polską", a gdy przybywa kto stamtąd, to przybywa „z Polskiej". W Cieszynie opowiadał mi pewien działacz społeczny, że u Czadeczan można znaleźć jeszcze dużo starych książek polskich do nabożeństwa, ale ponieważ język polski znikł już dawno ze szkół i z kościoła, pokolenie młodsze nie korzysta już z tamtych książek i gdy starzy powymierają, to razem z nimi poznikają świadkowie polskości Czadeckiego, tym pewniej, że na pograniczu akcja unifikacyjna jest usilna i planowa. Zresztą prawie nigdzie nie ma tu ludności wyłącznie polskiej i wszędzie są już napływowe mniejszości słowackie, a ponieważ obowiązuje tu język słowacki, panujący w szkole i kościele, ludność polska przystosowuje się do warunków. Żegnamy miłą rozmowną babunię, życzymy jej wszystkiego najlepszego i wracamy ku mostowi, gdzie czeka na nas auto.

Zgoła nieoczekiwanie dmuchnął raz i drugi chłodnawy wietrzyk w to ciepłe i jasne popołudnie czadeckie. Skąd się raptem wziął? Od przełęczy Jabłonkowskiej. Spoglądamy w tamtą stronę. Horyzont wciąż jest jasny, ale ma się wrażenie, że słońce przesłoniła delikatna mgiełka. I znowu staccato wietrzyka chłodnego od przełęczy. Spoglądamy po sobie. Komu w drogę, temu czas. Jeszcze jedno spojrzenie na ryneczek czadecki, cichy i zaśniony, z policjantem pośrodku, rozmawiającym ze znajomkiem jakimś, na czadeczan, którzy powychodzili przed domki swoje, na młodzież spacerującą po ryneczku. Spoglądamy na Kisucę szaro-zieloną i tak dziwnie nazwaną. Sekwana, Tamiza, Wisła, Ren, bardzo pięknie, ale kto widział Kisucę? I tak samo jest z Berlinem, Rzymem, Paryżem, Wiedniem. W Czacy byłeś? Nazwa miasteczka jest ewokacyjna i rewelacyjna. Kisuca i Czaca! Co za ładne nazwy!

Przepełnieni wrażeniami, jedziemy teraz bardzo ładną doliną Czernianki, dopływu Kisucy. Dolina szeroka i ładna, rzeka ostra jak nóż, wrzyna się w brzegi i płynie pod żelaznymi mostami kolei, idącej ku Skalitemu i Zwardoniowi. Koryto Czernianki szerokie, kapryśne, nieporządne. Dużo kamieni i ławic piaskowych. Z lewej i z prawej strony góry, przed nami góry, jakbyśmy wpadli w ślepą uliczkę, która skończy się nagle u ściany wysokiego wierchu. Ale uliczka wąwozu wije się zręcznie śród gór i końca jej nie widać.

Błękit nieba blaknie, na krajobraz pada melancholia. Wzdłuż drogi małe dziewczynki pasą krowy na rowach, łąki różowieją od firletki. Ludzie odświętnie poubierani wracają skądś do domów. W wiosce za Czacą odbywa się uroczystość szkolna na dziedzińcu szkoły. Napis na szkole słowacki: Štátna škola. Tłumy dzieci i dorosłych, serdeczna ochota. Od granicy śląskiej jesteśmy jeszcze dość daleko. Wciąż te łączki przydrożne, pełne kwiatów, i dziewczynki, pilnujące krów. Czasem pasie krowy taki biedak zwyrodniały o dobrodusznym idiotycznym wyrazie twarzy. Już wiemy, że jego dziadowie i ojcowie musieli zdrowo pić, aby właściciele feudalnych gorzelni mieli odpowiednie dochody. Ubogie domki przy drodze, czasem sklepik. Ci sami ludzie, których widzieliśmy w Turzówce, Staszkowie, Rakowej, tylko troszkę już zmęczeni niedzielą. Idą obok siebie, noga za nogą, nie rozmawiając. Ojciec niesie senne dziecko, matka drepce obok z tobołkiem niewielkim. Byli w gościach u krewnych, może u rodziców, zrobili parę kilometrów drogi, pomęczyli się, a ich radość poranna wyczerpała się zupełnie.

W pewnej chwili szofer pokazuje nam biały kamień graniczny i zapowiada lepszą drogę. Istotnie, niebawem droga staje się gładka jak stół. Szofer zwalnia i wskazuje na szańce jabłonkowskie. Wstajemy i przyglądamy się: w przedwieczornym oświetleniu ukośnych promieni słońca widać je nad podziw dobrze. Potem przełęcz i tunel kolei koszycko-bogumińskiej, przeszło pół kilometra długości. Na drodze pełno samochodów, motocyklów, rowerów. Ludzie wracają z wycieczek niedzielnych. Niebo coraz bardziej sine i chłodne. Dużo piechurów. Czy aby nie będzie deszczu? Pod Godulą nastaje od razu taki listopad, gdy pada deszcz! Do Ligotki jeszcze daleko.

Nareszcie Jabłonków ze swoim miłym rynkiem. Ludzie siedzą na ławeczkach przed domami, a góry znad strzech patrzą cierpliwie na miasteczko. Mignęła ciasna uliczka z arkadami, a nad wylotem ulicy, ku której zmierzamy, napis: Český Těšín. Przejeżdżamy pod tym napisem, wpadamy na most na Olzie i za chwilę jesteśmy już na drodze do Cieszyna. Czadeckie ze swoimi wrotami, kapliczkami przydrożnymi i łąkami, pełnymi firletki, zostało gdzieś bardzo daleko.

Ale raptem na szybie samochodu ukazują się grube krople deszczu. Zaczyna padać deszcz, a za Bystrzycą jest ulewa zakrojona

na dłuższe trwanie. Wracać do Ligotki w taką pogodę? Niesposób! Pojedziemy do Cieszyna, zjemy kolację w Polonii, spotkamy miłych znajomych z Orłowej, z Karwiny, z Dąbrowy, Frysztatu, z Jabłonkowa i Końskiej, a może i z Morawskiej Ostrawy. A więc jazda do Cieszyna!

Z daleka dymią trzynieckie kominy. Deszcz leje nieubłaganie. W Trzyńcu pusto na ulicach, tylko tu i owdzie pokaże się ktoś pod parasolem i znika w pierwszej lepszej sieni. Ulice błyszczą jak wylakierowane. Przejeżdżamy przez most, Olza szumi i pieni się, a za nią stoją w deszczu konstrukcje żelazne niewiadomego przeznaczenia. Niebawem i Trzyniec jest za nami. Koło Ropicy musimy czekać przez chwilę, bo akurat przechodzi pociąg. Dróżnik w ceratowym płaszczu podnosi zastawę. Jest cały mokry jak śląski „utopiec". Jedziemy wzdłuż lasku tuż nad samą granicą czesko-polską. Przez most docieramy do Sibicy i śród nieustającej ulewy dobijamy do celu.

Na placu przed dworcem cieszyńskim ruch mimo ulewy duży. Jedni przyjechali właśnie od strony Bogumina, drudzy muszą koniecznie wyjechać, aby jutro stanąć do pracy we Frysztacie, czy Orłowej. W Polonii gwarno i miło. Można cytować wiersze Heinego: *„Glücklich der Mann, der den Hafen erreicht hat..."*

Przysiadają się mili znajomi. Co słychać? Opowiadam, co już widziałem w południowej części Zaolzia i co pragnę jeszcze poznać. Czeka mnie wojaż po zagłębiu karwińskim i po tych północnych częściach Zaolzia, które stykają się już ze Śląskiem Górnym. Udzielają życzliwych rad, podają adresy działaczy zaolzańskich. Trzeba będzie zwiedzić Morawską Ostrawę, Polską Ostrawę, Karwinę, Orłową, Dąbrowę, Frysztat i to wszystko, co jest w tamtych okolicach. Już tam byłem dwa razy, ale z tym tak bardzo zróżnicowanym kraikiem trzeba się dobrze spoufalić, aby go pojąć i umieć o nim coś powiedzieć.

A więc jak tylko nastanie pogoda, ruszamy do Morawskiej Ostrawy i w Zagłębie Karwińskie, do Frysztatu i w Bogumińskie. Tymczasem muszę myśleć o tym Czadeckiem, które zwiedzałem kilkakrotnie. Przedstawiciele koalicji, którzy decydowali o granicach między państwem polskim i czechosłowackim, okazywali dziwnie mało zrozumienia dla spraw etnograficznych, chociaż twierdzili, że



Jarosław Waleczko. Redaktor „Dziennika Polskiego"

kierują się wyłącznie zasadą narodowości. Gdyby tak było istotnie, to Czadeckie byłoby musiało przypaść Polsce.

Nie chodzi tu bynajmniej o jakieś nieuzasadnione pretensje polskie. Polskość Czadeckiego uznawał w całej pełni już kilkadziesiąt lat temu A. V. Šembera, jeden z najznakomitszych badaczy języka czeskiego i literatury czeskiej. W czasach nowszych, uczony czeski, František Pastrnek, specjalista w zakresie znajomości narzeczy słowackich, wydzielił Czadeckie z zasięgu języka słowackiego, przydzielając je do języka polskiego. Obaj ci uczeni czescy uważali wsi Maków, Wysoką, Turzówkę, Oleśną, Podwysokie, Staszków, Rakową, Zakopcze, Świerczynowiec, Czorne, Skalite, Oszczadnicę i Horzelicę za polskie. Nawet część ludności miasteczka Czacy była polska, a cała ta okolica liczyła w r. 1920 około 43.000 ludności polskiej, wynaradawiającej się obecnie.



Wieża klasztoru benedyktyńskiego w Kocobędzu

Z CIESZYNA DO MORAWSKIEJ OSTRAWY

Portier zapowiada pociąg do Morawskiej Ostrawy i tłum podróżnych wyraja się na peron. Cieszyn jest stacją kolei koszycko-bogumińskiej i jak wszystkie stacje a nawet stacyjki Zaolzia, ma wiele torów dla ruchu przede wszystkim towarowego. Jak niektóre pasma górskie tworzą dział wód, tak Cieszyńskie można by nazwać działem dróg i kolei żelaznych. Kraik ten jest w ogóle przechodni i przewiewny. Tu jest przysionek sławnej Bramy Morawskiej i niemniej sławnej Przełęczy Jabłonkowskiej. Tu są źródła Wisły, Odry, Ostrawicy i Olzy, czyli rzek należących do zlewiska bałtyckiego, ale nieco dalej jest już Beczwa morawska i słowacka Kisuca, które zmierzają ku Morzu Czarnemu. Za Przełęczą Jabłonkowską zaczyna się już świat nieco inny. Wyczuwano to już podczas wojny trzydziestoletniej, kiedy to, osobliwie w Szwecji, mawiano, że istnieje społeczność kulturalna ludów, mieszkających między Upsalą a Przełęczą Jabłonkowską.

Dość spojrzeć na dobrą mapę Europy środkowo-wschodniej, aby się zdumieć widokiem mnóstwa kolei żelaznych zawęźlających się w tym zakątku Europy między Katowicami, Cieszynem i Boguminem. Tutaj zbiegają się drogi, prowadzące z Leningradu i Moskwy, z Gdyni i Gdańska, ze Szczecina i Berlina i stąd odwidlają się linie kolejowe na Lwów i Odessę, na Czerniowce i Konstancę, na Budapeszt i Bukareszt, albo też na Budapeszt, Białogród, Sofię i Konstantynopol z następnym odwidleniem na Saloniki; stąd jedzie się na Budapeszt do Zagrzebia albo na Wiedeń do Triestu.

Drogi danego kraju to nie przypadek, ale głęboka i ważna przyczynowość, zaś drogi wiodące przez dany kraj, to historia, a czasem

przeznaczenie. Cieszyńskie ma bardzo dużo wspaniałych dróg i liczne połączenia kolejowe, zaś północna część Śląska Zaolzańskiego, czyli karwiński rewir węglowy, ma tyle dróg i tyle kolei żelaznych, jak mało który kraik Europy na obszarze tak niewielkim. Trzeba tymi drogami długo chodzić i uważnie rozglądać się po okolicy, aby zrozumieć tę krainę i jej duszę. Zadanie niełatwe, ale jakże wdzięczne i pociągające!

Z jakąś powszednią rzeczowością zajeżdża pociąg, idący do Koszyc, staje na chwilę i jedzie dalej. Zaraz po nim przychodzi inny, miejscowy. Ruch jest ciągle duży. Wielkie litery głoszą, że tu jest Český Těšín. Napisy informacyjne są w różnych językach, śród których nie brak niemieckiego i esperanta, ale nie znalazłbyś tu słówka polskiego, chociaż historycy czescy, działacze i pisarze tyle razy wypowiadali się, że powiat cieszyński jest polski i posiada zaledwie znikomą mniejszość czeską. Patriota czeski, František Sláma, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku pisał, że w „okręgu" cieszyńskim obok 35 tysięcy Polaków jest 7 tysięcy Czechów. Nie podał, niestety, granic tego „okręgu", aby można było sprawdzić jego dane. W rzeczywistości w r. 1890 powiat cieszyński miał 64.865 Polaków i 4.975 Czechów. W roku 1910 Polaków było tam 77.147, Czechów — 6.204. Od tego czasu liczby te na pewno nie zmieniły się tak zasadniczo, aby napisy informacyjne w języku polskim były całkowicie zbędne.

Nadchodzi pociąg idący do Morawskiej Ostrawy. Trzy-cztery małe i bardzo proste wagoniki trzeciej klasy. Jedni wysiadają, drudzy wsiadają bez wielkiego rwetesu, bo pociąg ten stoi sobie w Cieszynie dobrych parę minut. Nie idzie prosto do Morawskiej Ostrawy, ale zatacza szeroki łuk na północ i biegnie wzdłuż Olzy, aby dopiero na wysokości Marklowic zawrócić zdecydowanie na zachód. Pierwsza stacyjka za Cieszynem to... Zpupná Lhota, w której to nazwie nie tak łatwo poznać dawną poczciwą Ligotkę Alodialną. „Zpupná" to przymiotnik o bogatej synonimice: zuchwała, swawolna, uparta, zarozumiała. Bóg raczy wiedzieć, co się stało poczciwej Ligotce, że tak zhardziała. Dopóki pociąg biegnie nad Olzą, przez okno widać za rzeką polską linię kolejową, która z Cieszyna idzie do Zebrzydowic.

Za Ligotką pociąg pracowicie idzie pod górę i mija ładny lasek świerkowy wzdłuż Podobory, Obory, Czarnego Lasu. W Podoborze



Drewniany kościół w Olbrachcicach

istnieje potężny wał starego obronnego grodziska, zwanego Starym Cieszynem albo Cieszyniskiem. Jest to ślad starej twierdzy, która już przed wiekami straciła wszelkie znaczenie, podobnie jak w czasach naszych straciły znaczenie sławne ongi szańce koło Jabłonkowa. Tutaj wyczuwa się już bliskie sąsiedztwo rewiru węglowego. Na wszystkim osiada tu cienka, ale dostrzegalna warstewka drobniutkiego pyłu węglowego. Wagonik jest prawie pełen pasażerów. Niemal na każdej stacyjce ktoś wysiada, ktoś się przysiada. Narzecze śląsko-polskie dominuje. Tylko z rzadka słyszy się język czeski.

W Olbrachcicach, które teraz nazywają się Albrechtice, przysiada się do nas starszy obywatel, krępy, spracowany, twardy. Przyglądam się mu i usiłuję odgadnąć: górnik, gazda, robotnik z huty? Polak, Czech, Niemiec? Jest w nim coś typowego, ale co? Aha, trzewiki! Grube podeszwy, grube wierzchy, jednym słowem buty do chodzenia, a nie od parady. I zabłocone beznadziejnie. Te zabłocone buty widuje się tu wszędzie: na ulicach, w tramwaju, na poczcie, w restauracji. Nieporządni ludzie, że butów nie czyszczą, czy co? Bardzo porządni i buty swoje nie tylko czyszczą, ale konserwują starannie tłuszczami. Pomimo to ich buty są stale albo zabłocone, albo zakurzone. Dlaczego? Jest tu tyle kolei żelaznych i tramwajów jak mało gdzie na świecie, ale bodaj nigdzie ludzie nie chodzą pieszo tyle, ile tutaj właśnie. I nigdzie niewielki obszar nie jest tak gęsto zabudowany, jak rewir karwiński na przykład, gdzie w koloniach robotniczych domy stoją rzędami jeden przy drugim, a jednak dowsząd jest



Ślązaczka w stroju wałaskim

tu bardzo daleko. Już Staszic zwrócił uwagę, że wsie w Cieszyńskiem są dziwnie „rozrzucone“ i to się od czasów Staszica nie zmieniło. Pisarka czeska, Tilschowa, w powieści swej „Hałdy“, pisze o zagłębiu ostrawskim: „Tak nieporządnie stoją tu te domki na równinie, którą przemysł pozbawił lasów“. Wrażenie to jest powszechne.

Linia kolejowa lawiruje tak, żeby połączyć jak najwięcej miejscowości, ale te miejscowości w niczym nie są podobne do naszych miasteczek z równiny, zabudowanych gęsto i oszczędnie, chociaż znowu nie za gęsto. A już zgoła niczym te wsie i miasteczka Cieszyńskiego nie przypominają poczciwych miasteczek niemieckich, których domki tuliły się trwożliwie pod opiekuńczymi skrzydłami zamków obronnych i musiały się zmieścić w granicach murów wysokich, okalających miasteczka i zamki potężne. Śród tych osiedli cieszyńskich, porozrzucanych beznadziejnie, nie brak wsi ciągnących się kilkanaście kilometrów, jak np. Stare Hamry nad Ostrawicą.

Tu się od stuleci żyje ciężko, ludzie są oszczędni z konieczności i z natury, więc nie wydają pieniędzy na dorożki, których zresztą w całym Cieszyńskiem poza kilku miejscowościami w ogóle nie ma. Ideałem Ślązaka, choćby najuboższego, jest własny domek i „kónsek“ pola. A taki domek, gdy wreszcie powstał, domaga się od swego właściciela krzepkich nóg. Zdarza się, że właściciel domku traci pracę w swojej miejscowości i otrzymuje ją o parę kilometrów dalej. W naszych warunkach robotnik przeprowadza się do nowej miejscowości i koniec. Dla właściciela domku przeprowadzka w ogóle nie wchodzi w rachubę. Więc się do pracy podjeżdża koleją albo tramwajem, a resztę nadrabia się nogami. Nawet późnym wieczorem na drogach cieszyńskich widuje się rzędy robotników, powracających z pracy. Niektórzy jadą na rowerach, o ile stan pogody i dróg na to pozwala. W takich Michałkowicach, Karwinie czy Orłowej trzeba podreptać dobrych parę kilometrów, gdy w niedzielę przyjaciel

chce odwiedzić przyjaciela. Jeśli akurat jest po deszczu, albo topnieje śnieg, to buty muszą się zabłocić, na to nie ma rady.

Nowy pasażer zdejmuje czapkę i ociera czoło. Cieplutko... Rozgląda się życzliwymi niebieskimi oczami po sąsiadach, z kim by tu pogadać. Uśmiecham się do niego zachęcająco i spoglądam na jego zabłocone buty jako na możliwy temat konwersacji. Idzie za mym spojrzeniem i śmieje się, rozkładając ręce.

— Daleko pan szedł? — ryzykuję pytanie.

— Ale nie! — odpowiada z wielką gotowością. — Ja tu mam swoje bardzo blisko. Dwadzieścia minut...

— Dwadzieścia minut to będzie przeszło kilometr.

— Dwa — śmieje się mój rozmówca.

— Na dwa kilometry trzeba z pół godziny czasu.

Kręci głową i macha ręką, że kto by tam szedł dwa kilometry przez pół godziny.

— Ma tu pan gospodarstwo?

— Nie, chałupka a półdrugiego hektara pola. Joch był hawiyrz w Karwinie — odpowiada, wpadając w gwarę, jak każdy Ślązak, gdy staje się nieco, powiedzmy, intymniejszy.

A więc górnik karwiński. Oczywiście, Polak, bo pokolenia karwińskie tego hawiyrza były prawie wyłącznie polskie. Pociąg zbliża się do Suchej Górnej, gdzie także jest kopalnia węgla. W wagonie gorąco, na południowej stronie horyzontu widać stogi Beskidu niby przez płynny zielono-błękitny kryształ. Przy drodze białe chatki śląskie ze strzechami z czarnej papy. Typowy przejaw indywidualizmu śląskiego, który nie godzi się na koszarowe domy robotnicze i buduje „rozrzucone“ wsie i miasteczka.

— Gorąco dzisiaj — mówię do swego hawiyrza.

Kończyce Wielkie. Kościół drewniany



— No tak — przyświadcza z zastrzeżeniem, — ale zimą dość się tu namarźniemy. Wiosna przychodzi późno, a jesień zaczyna się wcześnie. A tam — wskazał na południe ku górom — jeszcze w maju bywa zimno, ba i w czerwcu trafi się ostry mrózek.

— W czerwcu? — nie dowierzam, czy mój Ślązak dobrze nazywa miesiące.

— W czerwcu — przyświadcza z wielką powagą. — A co szkody taki mrózek narobi! Ale ludzie się śmieją a pytają, czy to jeszcze stara zima, czy też nowa już idzie. W górach o śnieg nie trudno. Czasem już we wrześniu spadnie. Te góry szpatnie stoją. Nie puszczają ciepłych wiatrów z południa i wschodu, a zatrzymują wszystkie chłody idące z północy i zachodu. Cóż robić?

Wyglądam oknem, żeby się przyjrzeć okolicy Suchej. Przed chwilą słońce świeciło jasno, nawet jaskrawo, teraz wisi w powietrzu lekka mgiełka i blask słońca od strony północnej jest taki, jak przy częściowym zaćmieniu. Mówię o tym sąsiadowi.

— Może będzie padać — wzrusza ramionami. — Ale może też idzie tylko taka ostrawska mgła.

— Ostrawska mgła?

— Tutaj w pobliżu Ostrawy nawet latem bywają takie gęste mgły, że o parę kroków nic nie widać. Taki klimat. A czasem nie ma mgły, tylko tego kopalnianego kurzu tyle się nazbiera, że powietrze jest takie, jakby się na świat patrzyło przez żółte szkło. W Skoczowie będzie teraz jasno i chłodno, a w Wiśle może padać deszcz. Tutaj jest już tak dziwnie. W Ostrawie deszcz, w Orłowej czarna mgła, w Karwinie mży, a w Cieszynie świeci słońce.

Nasz pociąg jest typowym bumlem. Przystaje co parę kilometrów, żeby ktoś mógł wsiąść czy wysiąść i nie spieszy się nadmiernie. Przez okno widać wszystkie trzy Suche: Górną, Średnią i Dolną, z domkami, poustawianymi tak i owak, i z charakterystyczną równiną śląską, która ma takie załomy w powierzchni, że człowiek przyzwyczajony do wygodnej i łatwej równiny męczy się tu chodzeniem porządnie. Wzdłuż kolei szerokie drogi, gładkie jak stół, a na nich wozy ciężarowe, auta, platformy. Wielkie morawskie konie ciągną te ciężkie platformy, naładowane skrzyniami, worami, żelastwem, noga za nogą, nie spiesząc się, ale i nie przystając ani na chwilę. Jest w ich ruchu jakiś rytm uporu, który zadomowił się na całym Śląsku

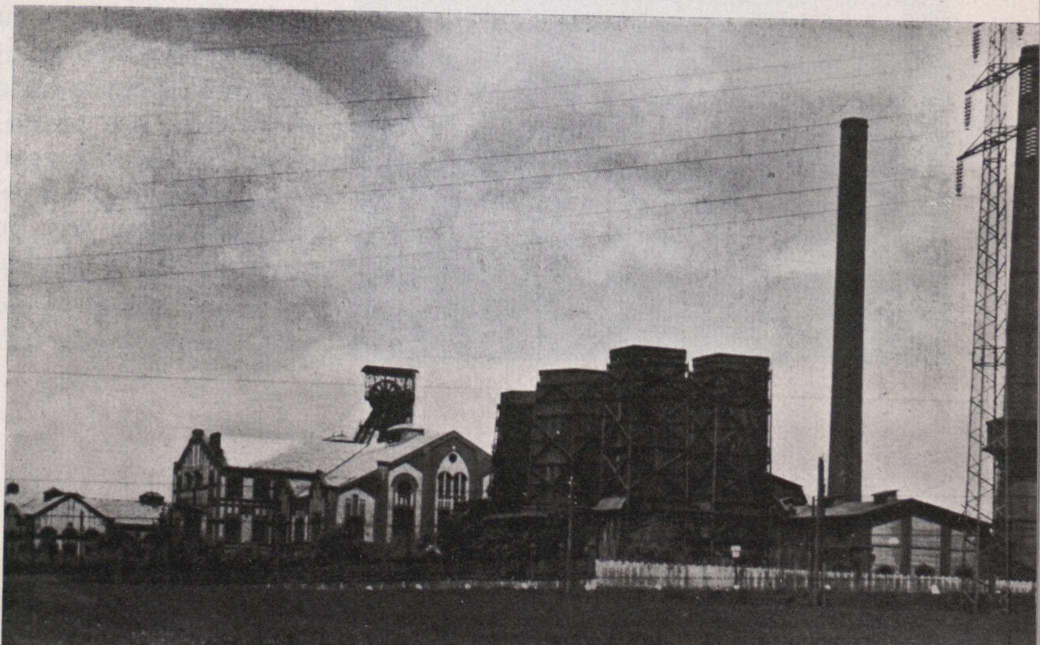
Mój sąsiad pokazuje mi te drogi i mówi, którą można zajechać z Suchej do Łazów i Orłowej na północy, a którą znowu do Szumbarku, do Błędowic i Cierlicka. Za Szumbarkiem przejeżdżamy przez rzekę. Przyglądam się jej uważnie, bo most nad nią dość długi.

— Lucyna — mówi hawiyrz, dodając, że w Polskiej Ostrawie jest ona całkiem dużą rzeką i tam wpada do Ostrawicy.

Idę spojrzeniem za wskazującym palcem górnika i spostrzegam, że horyzont traci na jasności i staje się coraz bardziej pastelowy. Na skraju nieba wisi wielka czarna chmura. Brak jej wyrazistego konturu, rozpływa się w bladym tle nieba i w jakiś niemiły sposób brudzi horyzont. Do Morawskiej Ostrawy już tylko jakie sześć kilometrów w linii powietrznej, ale koleją będzie chyba dwa razy tyle. Pociąg staje na chwilę w Szonowie. Wsiadają nowi pasażerowie w zabłoconych butach z grubymi podeszwami i grubymi twardymi wierzchami. Krajobraz coraz bardziej ponury, brudny. Pod mostami płyną strumienie o wodzie rdzawej i mętnej, po obu stronach toru widać wielkie szopy drewniane i konstrukcje żelazne o niewiadomym przeznaczeniu. Tu i owdzie sterczy umarły kurhan z ziemi twardej i ostrej, wyjałowionej do ostateczności ze wszystkiego, co jest żywotne i życiodajne.



Sucha. Pomnik poległych 1914—1918



Sucha Dolna. Kopalnia węgla



Polska Ostrawa Stary Zamek

Jakieś sui generis *kiökkenmöddingi* historyczne, czyli śmietniska, pozostawiane przez człowieka wszędzie, gdzie się on pojawia. Im większa kultura, tym wyższe śmietniska. Ale podczas gdy w przedhistorycznych *kiökkenmöddingach* uczeni znajdują ślady rozrzutności dawnego człowieka, te nowe śmietniska kultury technicznej mówią o ludzkiej chciwości i raczej ubóstwie. Na dawnych śmietniskach zakwitało bujne życie roślinne, dzisiejsze są martwe, wyjałowione, spasteuryzowane przez ogień i żrące kwasy, chyba na całe dziesięciolecia, zanim nowe nawarstwienia pyłu nie naznoszą tego, co jest żywe i płodne. Gdzie ta trupia jałowość hałd szlaki i żużli ustępuje miejsca nieśmiałemu nowemu życiu, ciemny żużel i szara szlaka powlekają się zieloną jadowitą śniedzią, wyraźnie grynszpanem.

— Kunčice! — woła konduktor.

— To Kończyce Wielkie — poucza mnie towarzysz podróży. — Tam dalej są jeszcze Kończyce Małe, czyli po czesku Kunčičky, a potem już Witkowice i Ostrawa.

Niebo jest już potężnie zakopcone, grunt niby równy, ale na prawdę falisty, czy raczej długofalisty. Białe domki śląskie są tu szare. Ciasno w wagonie, na przystankach i drogach. Podróżni zdejmują płaszcze z wieszaków i tobołki z półek. Mijamy Kończyce Małe i po paru minutach wjeżdżamy na dworzec witkowicki tuż za mostem na Ostrawicy, zakutej w żelazo mostu i w kamienne brzegi, poplamionej tłuszczami płynnych odpadków ostrawskiego przemysłu. Pohańbiona rzeka! Widok jej jest tu przygnębiający, gdy się pomyśli, jaka inna jest ona w okolicach Starych Hamrów, Frydlantu czy Frydku.

Powietrze rozdygotane pracą na powierzchni i pod ziemią, kosmopolityczny czad unosi się dokoła, promienie słońca mieszają się z dymem i kurzem. Ruch, gwałt, rozmach i zgiełk. Razem z Witkowicami Morawska Ostrawa ma dzisiaj 150.000 mieszkańców, podczas gdy w roku 1858 Witkowice miały mieszkańców 700, a Morawska Ostrawa około 1900. Jak wszystkie miasta śląskie i pograniczne morawskie, tak i Morawska Ostrawa ma swoją legendę, przywiązaną do herbu miasta. W herbie tym widać biegnącego konia bez uzdy. Legenda jest taka: w pobliżu Morawskiej Ostrawy był zamek warowny, Hukwałd. Razu pewnego, gdy zamek oblegał nieprzyjaciel, mieszkańcom warowni udało się wyprawić gońca do Ostrawy z wołaniem o pomoc. Ostrawianie pospieszyli Hukwałdowi z pomocą, ale tak się kwapili, że nie zdążyli zarzucić koniom uzd. W nagrodę ich dzielności dostał im się do herbu miasta koń bez uzdy. Inna legenda powiada, że koń bez uzdy był wybiegiem ostrawian, gdy sami byli oblegani. Aby oszukać nieprzyjaciela, wypędzili do obozu oblegających konia bez uzdy. Gdy ci rzucili się ku biegnącemu koniowi, ostrawianie wypadli z miasta inną bramą i pobili nieprzyjaciela.

Sucha Średnia. Kaplica przydrożna



Mówię o tych legendach swemu „hawiyrzowi“. Śmieje się serdecznie i mówi, że dawniej ludzie mieli widać dużo czasu, żeby

zmyślać takie bajki. Dzisiaj człowiek musi myśleć o czym innym, osobliwie tutaj, gdzie życie staje się coraz trudniejsze. Żegnamy się przyjaznym uściskiem dłoni. On zostaje w Witkowicach, ja zdążam do Ostrawy. I tutaj spotkało mnie to samo, co na wszystkich stacjach i stacyjkach Zaolzia powtarza się stale. Dźwigając walizkę, liczyłem na to, że przed dworcem stoją dorożki czy nawet taksówki. Nic podobnego! Tłum podróżnych po opuszczeniu pociągu wsiąkł szybko w okolicę, a ja zostałem na pustej uliczce witkowickiej przed wysokim ogrodowym murem, wytapetowanym olbrzymimi jaskrawymi plakatami, wychwalającymi najnowsze filmy, kawę, obuwie i najlepsze na świecie mydło. Inne zapraszały na jakieś wielkie zabawy z atrakcjami. Z jednego z tych plakatów patrzy na mnie wesoła młoda kobieta naturalnej wielkości i olbrzymimi literami wywodzi: „Ne dři se — Radion pere sám!" Nie morduj się, człeku, Radion pierze sam! Tak, ale walizki mi nie podwiezie.

Taksówek nie ma. Ani dorożek. Brak tu średnich rejestrów między cieniutką warstwą posiadaczy własnych samochodów a szerokimi masami pracującej piechoty, dalekiej jeszcze od zmotoryzowanego dostatku. Być może, iż dlatego właśnie obuwie odgrywa tu rolę tak wielką i że tutaj rozwinął się tak nieoczekiwanie przemysł obuwniczy. Tak czy owak, ludzie, chodzący piechotą, stanowią tu zdecydowaną olbrzymią większość.

Idę ze swoją walizką chyba z półtora kilometra, zanim wreszcie spotykam taksówkę. Korzystam z niej skwapliwie, aby dostać się do miasta. Morawska Ostrawa to miasto przemysłowców i robotników. Na tej podbudowie społecznej wyrasta zróżnicowana organizacja inteligencji pracującej, handlującej i spekulującej, z adwokatami na czele. Ma się wrażenie, że na wszystkich kamienicach ostrawskich są tabliczki z sakramentalną formułą JUDr albo po prostu Dr taki a taki. Co parę kroków to doktor obojga praw — juris utriusque doctor. Na tabliczkach doktorów medycyny bywa dodatek informujący o ich specjalności.

Poza tym jest tu dużo kupców, domów handlowych i komisowych, sklepy o ogromnych oknach wystawowych, za którymi widać nawet automobile, ale miasto jest czarne, pełne czadu i kopcia, przynajmniej w dzielnicy fabrycznej i kopalnianej. Tu się ludziom pracy żyje ciężko. Górnictwo było niegdyś robotą pańszczyźnianą,

Praca w kopalniach należała do najcięższych i dlatego jeszcze dzisiaj mówi się w Ostrawskiem, że „hawierze idu do roboty“ (robota — pańszczyzna), podczas gdy o hutnikach mówią, że „idu na szychtu“. Tu żyło się ciężko i w czasach dawniejszych, bo w wieku XVII bywało tak, że ludzie nie mogąc się zdobyć na uiszczanie najdrobniejszych opłat, woleli porzucać swoje chałupy i uciekać gdzie pieprz rośnie.

Ten fakt ucieczki od własnego mienia interesuje nas dla wielu powodów. Historyk Śląska austriackiego, Franciszek Popiołek, mówił mi, że w księgach wielu gmin śląskich są przy nazwiskach mieszkańców notatki, iż ten a ten „uszedł na Węgry“. Zdaniem Popiołka ci właśnie uchodźcy na Węgry budowali polskie wsie w Czadeckiem: Staszków, Rakową, Czorne, Skalite, Świerczynowiec. Zresztą granica śląsko-węgierska była dość długo płynna i Czadeckie jeszcze w wieku osiemnastym tworzyło przedmiot sporu, zanim ostatecznie zostało przyznane Węgrom. Druga rzecz: historyk czeski, Alois Adamus, przytacza ustęp ze sprawozdania biskupiego administratora z 31 VII 1671 roku, dotyczący osadników ostrawskich, a w tym ustępie jest mowa o tym, że nie z uporu, ale z nędzy, niektórzy nie mogą płacić wymaganych podatków. Tu jest też mowa



Sucha Średnia. Zameczek. Obecnie mieszkania robotnicze



Kapliczka w Zagłębiu węglowym

o tym, jako niektórzy właściciele chałup swoich razem „z pretensjami swymi się pospuszczali“. Ten zwrot nie jest ani czeski ani morawski, ale bardzo żywo przypomina język polski.

W Morawskiej Ostrawie, rzecz osobliwa, urzędowali w wieku XVI i XVII księża polscy, można by więc mniemać, że wpływ języka polskiego sięgał aż za Ostrawicę, jak to zresztą stwierdza uczony czeski, Lubor Niederle. Adamus zapisuje specjalnie, że w latach 1587—1588 urzędował w Ostrawie ks. Stanisław Uniejowita, Polak. Tak samo proboszczami polskimi byli tu w latach: 1596—1600 Jan Grzebłowski; 1600—1604 Andrzej Wojciechowski z Gliwic; 1604—1614 Jan Tułach, podobnież z Gliwic; 1657—1659 Ignacy Wolski, jezuita; 1686—1714 Leopold Michalin z Sosnowic na Górnym Śląsku. Na księdzu Wolskim kończą się księża polscy w Morawskiej Ostrawie.

To są rzeczy, które sobie pozapisywałem, wybierając się w te strony. Zaciekawiło mnie również, że śród nazwisk gospodarzy, mieszkających w okolicach Ostrawy, nie brakło czysto polskich, jak Piecuch Bartek, Pustułka Wacław, Sikora Jakub, Raszka Jan, Gałka Jerzy itp. Lubor Niederle ma niewątpliwie rację, gdy twierdzi,

ze „prawdziwy język czeski zaczyna się dopiero na zachód od Ostrawicy, aczkolwiek i tu z wpływami polskimi". Gdy później w stronach tych zaczął się niebywały rozwój przemysłu i handlu, imigrowało tu dużo robotników polskich z Galicji, ale żywioł ten, nieuświadomiony narodowo i społecznie, łatwo poddawał się wynaradawiającym wpływom czeskim i niemieckim.

Imigrant galicyjski nie niemczył się całkowicie, ani czechizował, lecz stawał się „ostrawiakiem" i mówił mieszaniną języka polskiego, czeskiego i niemieckiego. To mi się przypomina, gdy chodzę ulicami morawsko-ostrawskimi, których styl jest także wybitnie ostrawski, to znaczy nijaki. Najsympatyczniejsze są tu jeszcze domy proste, bezpretensjonalne, czy nawet ubogie, zamieszkane przez robotników i oficjalistów kopalnianych i hutniczych. Inaczej ma się rzecz z domami zamożnego mieszczaństwa niemieckiego, które nie tak dawno jeszcze nadawało ton całej Ostrawie. Tu już mamy mnóstwo przybudówek i wykuszów ze spiczastymi wieżyczkami, gzymsów wiedeńskich i ozdóbek jakiegoś „Burgstilu", pozbawionego smaku i sensu. Typowym żałosnym okazem ostrawiectwa jest Dom niemiecki, a — niestety! — także Dom polski, w którym kłócą się beznadziejnie elementy stylów najróżniejszych. O ileż milszy jest



Olza w okolicy Końskiej powyżej „B a l i n y"

prostolinijny styl szkół i domów Macierzy Polskiej na Śląsku, zarazem wytworny i prosty. Ten styl Macierzy dziwnie dobrze orientuje i ma w sobie rysy szlachetnej stałości. Na szkołach Macierzy mogłoby nie być żadnych napisów, a jednak gdy się widziało dwie — trzy szkoły przez nią zbudowane, następne poznaje się z daleka.

Uwarstwienie społeczne było tu przed laty kilkudziesięciu dość proste: u dołu gruby pokład polskiego ludu roboczego z Galicji, nad nią cieńsza warstwa czeskich oficjalistów, urzędników, inżynierów kopalnianych i hutniczych, u góry zaś kapitał niemiecki, skoligacony z kapitałem międzynarodowym. Historia wylęgła się tu w głębi ziemi. I to nie tylko historia tego miasta, ale także współhistoria świata dzisiejszego. Ostrawa, osobliwie zaś Witkowice, to nie tylko sprawy skarbu państwa, ale także arsenał, jeden z największych tej części Europy. Tu podczas wojny światowej była bardzo ważna część frontu bojowego i roboczego.

Tu pod szarym popielatym niebem rodzą się myśli zgoła inne, niż np. u źródeł Ostrawicy, tej Ostrawicy, która przepływa tutaj pod żelaznym mostem, wiodącym do Polskiej Ostrawy. Jej fale śród brzegów dziwnie posępnych są brudne, oleiste, ciężkie. Miasto jest rozrzucone na wielkiej przestrzeni i łączy się nie tylko z Witkowica-



Sucha Dolna
Dom ludowy

mi, ale także z Przywozem. Przede wszystkim łączy się ono nawet imieniem z Ostrawą Polską, dzisiaj Śląską. Ostrawa Polska położona jest wyżej od Morawskiej i widok z tej wyniosłości na cały okrąg przemysłowy i na daleki Beskid jest wyjątkowo piękny, oczywiście, przy ładnej pogodzie.

Spoglądam ku południowi, w stronę Beskidu, ale oczy spotykają się z szarymi gęstymi mgłami, nawisłymi nisko i wyczuwalnie mokrymi. Wieje chłodny wietrzyk i rzekłbyś, że stamtąd, ze wschodu, skąd zawsze płynęła światłość — *ex oriente lux* — przywiewa mrok bliskiego wieczora. Trzeba zawrócić. I znowu zaczynają się ulice miasta, które Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób krzyżują się ze sztolniami szybów w głębokich podziemiach, gdzie w tej chwili ludzie obnażeni do pasa kopią węgiel. Chce się podnieść rękę i nakazać ciszę rozdzwonionym tramwajom, samochodom, pobekującym na różne sposoby, wozom ciężarowym... Cicho! Stać! A potem przyłożyć ucho do chłodnej ziemi i łowić odgłosy pracy podziemnej, ciężkiej, ciemnej i dusznej.

Zgoła nieoczekiwanie przypomniała mi się modlitwa Achajów z 17 pieśni Iliady. „Ojcze Zeusie, nie gub nas w ciemnościach! Ale jeśli już zginąć mamy, daj ujrzeć światłość...!“ Pomyślało się we mnie o tych katastrofach kopalnianych, w których ludzie zasypani głęboko pod ziemią konali całymi dniami w mrokach, odpowiada-



Nitra: Góra

jąc coraz słabszym pukaniem na pukanie ratowników. W końcu pukanie milkło. Tak było w Karwinie, tak w Łazach i indziej. — Ojcze Zeusie... głuchy ojcze Zeusie...!

Jest już ciemnawo. Pada drobniutki deszczyk, dobrze rozpylony, asfalt ulic błyszczy coraz żywiej, a w nim jak w lustrach odbijają się blaski lamp elektrycznych i jaskrawe kolory olbrzymich neonów. Ruch na ulicach duży. Handel wali bezbronnego przechodnia prosto między oczy męczącą jaskrawizną swoich reklam napastliwych. Perspektywa ulicy pali się wszystkimi kolorami piekła i szczeka zachryple klaksonami samochodów. Tramwaje wdzierają się z łoskotem w oświetloną noc miejską i dzwonią, jak opętane. Teraz byłoby dobrze pochodzić sobie zaciszną uliczką starego Cieszyna, gdzie z pewnością deszczu nie ma i gdzie w blaskach pełni księżycowej pogodnie polśniewają ciemne strzechy sennych domów.

Orłowa. Matka Boska. Rzeźba ludowa. Muzeum Orłowskie



„ŚLĄSKA OSTRAWA"

Morawska Ostrawa ma także dzielnice bardzo ładne, zabudowane domami o swoistej fizjonomii stylowej. Na takich ulicach osobliwie w jasne dni słoneczne zapomina się łatwo o sąsiedztwie wielkiego i ciężkiego przemysłu. Dla tych wytworniejszych dzielnic nazwano Morawską Ostrawę morawskim Wiedniem. Ale dość wychylić się za taką ładną dzielnicę, aby od razu znaleźć się w ognisku przemysłu śród fabryk, wylotów szybów kopalnianych i olbrzymich konstrukcji żelaznych, które zwłaszcza w Witkowicach zajmują całe kompleksy ulic.

Kto w jasny dzień z Polskiej Ostrawy, dajmy na to z sąsiedztwa gmachu sądu okręgowego, spoglądał na Morawską Ostrawę, Witkowice i zagłębie karwińskie, temu na myśl musiały przychodzić obrazy piekła Dantejskiego, stylizowanego na współczesność przemysłową. Ponad strzechy domów i domków mieszkalnych, stłoczonych na wielkiej przestrzeni, strzelają ku niebu niezliczone kominy, wieże szybowe, wielkie piece, dziwacznie poplątane konstrukcje żelazne i Bóg wie co tam jeszcze. Nad wszystkim dominuje wysoki kwadratowy obelisk ratuszowej wieży morawsko-ostrawskiej.

Całe to mrowisko dygocze, huczy, syczy, gwiżdże i bucha kłębami białej pary pod kopułą czarnych dymów, wiszących stale nad obiema Ostrawami, nad Przywozem i Witkowicami. Zaś w nocy to gigantyczne rojowisko pracy ludzkiej, rozrzucone na niemal 600 km kw., płonie tysiącami ogni, bucha czerwonymi płomieniami, syczy kłębami pary, gubi się w czarnych otchłaniach nocy i rani oczy oślepiającymi blaskami. Takie jest całe to zagłębie węglowe, takimi też są jego okolice.



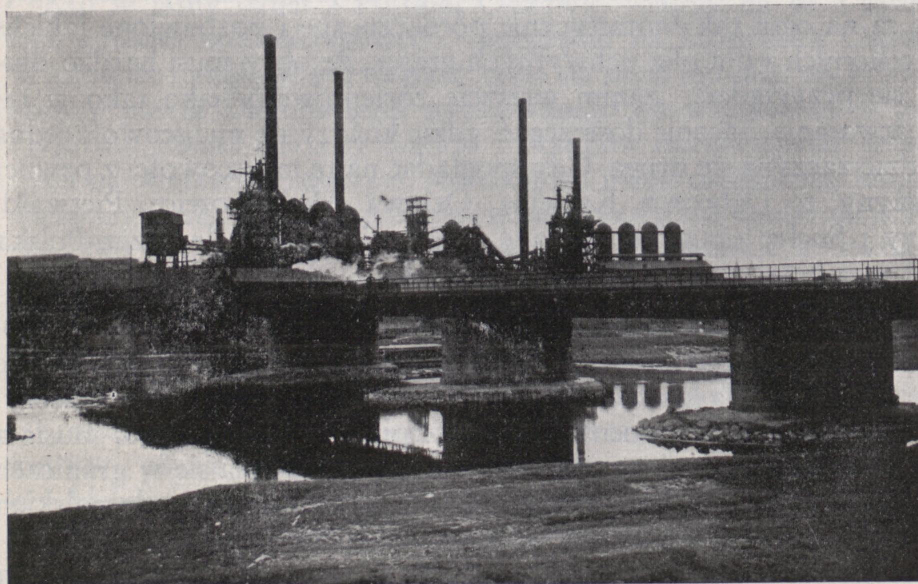
Morawska Ostrawa. Widok ogólny

Właściwie o okolicach w całym zagłębiu ostrawsko-karwińskim mówić trudno. Zurbanizowane wsi i przemysłowe miasteczka zagłębia są na ogół tak fantastycznie porozrzucane i pozbawione jakichś określonych i dla oka uchwytnych granic, że obcy musi bardzo długo się przyglądać, zanim wreszcie zorientowany jako tako w tej gmatwaninie, zacznie dostrzegać, gdzie kończy się miejscowość jedna i gdzie zaczyna się druga. Gdy spoglądać na te miejscowości z pewnej wyżyny, to Dąbrowa, Karwina, Orłowa, Michałkowice, Pietwałd, Łazy i Sucha zdają się tworzyć jedno wielkie osiedle przez Polską Ostrawę połączone z Ostrawą Morawską.

Polska Ostrawa od roku 1919 nazywa się Śląską Ostrawą. Może właśnie dlatego zmienili Czesi prastarą nazwę tego osiedla, że nazwa ta nie była konwencjonalną, lecz wyrażała istotny stan rzeczy. Wymieniona w dokumentach po raz pierwszy w r. 1266, musiała oczywiście istnieć już znacznie dawniej. Znajdowała się w granicach Polski, była zamieszkana przez ludność polską i należała do polskich benedyktynów tynieckich spod Krakowa. O znaczeniu i losach Polskiej Ostrawy zadecydowało odkrycie w tamtych okolicach węgla

kamiennego. Lud śląski, pasjami lubiący legendy i podania, otoczył legendami także odkrycie węgla kamiennego czyli sprawę zgoła nieromantyczną. Jest w tych legendach jakiś triumfujący motyw zwycięskiej walki człowieka z mocami przyrody. A raczej walki człowieka ubogiego z nędzą, która nie odstępuje go ani na krok.

Odkrycie węgla w tamtych stronach przypada na lata osiemdziesiąte wieku osiemnastego, kiedy w dzisiejszym rewirze węglowym było jeszcze dużo pastwisk i lasów. Lud opowiada sobie, że w okolicach Polskiej Ostrawy pasterze pasali bydło. Wiosna przychodzi tu późno i bywa chłodna, więc pasterze musieli zbierać suche drzewo i palić ognie, aby się ogrzać. W tych czasach w Polskiej Ostrawie mieszkał kowal nazwiskiem Keltyczka, który miał i dużo dzieci i dużo pracy, ale mało pieniędzy. Czasami bywało tak krucho, że brakło paru groszy na kupno węgla drzewnego dla pieca kowalskiego. Pewnego wczesnego ranka zacny ten kowal wyszedł w okolice dzisiejszego szybu Trójcy i zamkniętego szybu Emmy, na miejsce, które jeszcze dzisiaj nazywa się Burnią, żeby poszukać trochę węgla drzewnego, pozostałego po ogniskach pastuszych. Gdy po dniach kilku wyzbierał już wszystek węgiel drzewny, znalazł kilka czarnych opalonych kamieni; zabrał je do domu i pokusił się palić



Morawska Ostrawa. Huta Zofii



Morawska Ostrawa. Widok ogólny

nimi w piecu. Próba wypadła pomyślnie i odtąd Keltyczka stale zbierał czarne kamienie, które dla odróżnienia od węgla drzewnego nazywał węglem kamiennym. Tajemnicy swojej strzegł zazdrośnie, ale jej nie zdołał ustrzec, gdy sprawą zainteresował się miejscowy „rechtor", czyli nauczyciel, który łatwo domyślił się, o co tu chodzi.

Inne podanie głosi, że w dolinie zwanej Burnią Keltyczka miał kawałek pola, a na nim drzewo owocowe, które już dawno rodzić przestało. Keltyczka ściął drzewo, a gdy wykopywał jego korzenie, znalazł pod nimi dużo czarnych kamieni. Robotnicy, pracujący w pobliżu, rozpalając ogień, użyli tych kamieni do obłożenia ogniska. Jakież było ich zdumienie, gdy spostrzegli, że kamienie spłonęły! We wsi mówiono o cudzie. Istotnie stał się cud: na Śląsku odkryto olbrzymie złoża węgla kamiennego, który odtąd ogrzewał nie tylko izbę ubogiego kowala.

Keltyczka po odkryciu węgla postarał się o prawo dobywania go. Szło mu oczywiście niesporo, więc w r. 1778 sprzedał swój grunt razem z prawem kopalnianym hrabiemu Wilczkowi, właścicielowi dóbr polsko-ostrawskich i w ten sposób hr. Franciszek Józef Wilczek stał się na Śląsku Cieszyńskim promotorem górnictwa, które miało początki skromniutkie i ciężkie, zanim produkcję węgla ostrawsko-

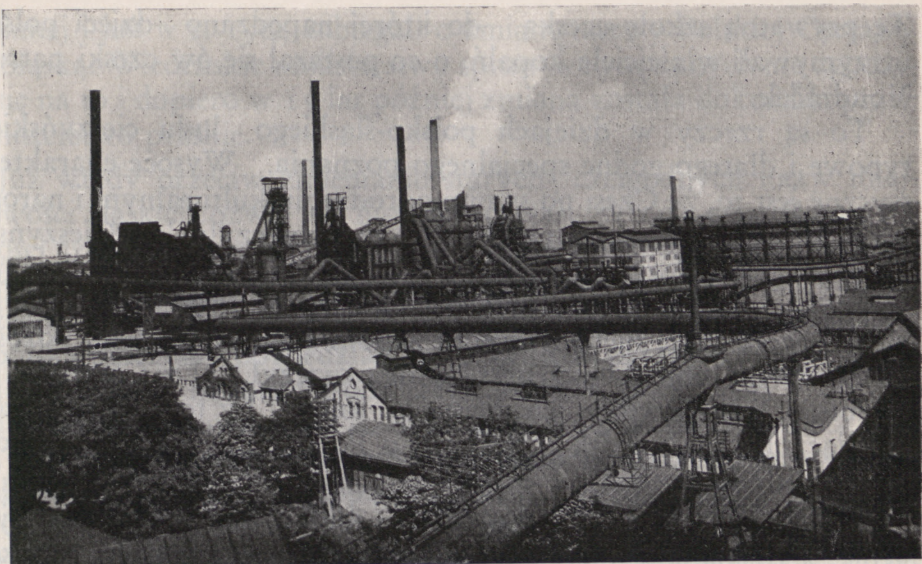
karwińskiego zaczęto obliczać na miliony ton i zanim imigracja robotników i górników, zjeżdżających się tu ze wszystkich stron, dosięgła dziesiątków tysięcy.

Dalszy rozwój wypadków był już dość prosty. Z Galicji przybywali tu ubodzy robotnicy, zaś z Czech szli do Polskiej Ostrawy inżynierowie i urzędnicy, którzy przywileje swoich stanowisk społecznych i przewagę wyrobienia umysłowego oddali chętnie na usługi sprawy czeskiej. Polska Ostrawa stała się czeską. Gdy dzięki usilnej pracy budzicieli polskich lud śląski usamodzielniał się kulturalnie i narodowo, budując szkoły polskie i domagając się nabożeństw polskich w kościele, inżynierowie czescy wspierali tak zwanych „Morawców", czyli te części ludu śląsko-polskiego, które, mówiąc językiem polskim w domu, jednocześnie nałogowo trzymały się języka czeskiego w kościele. Przy pomocy takich właśnie „Morawców" inżynierowie czescy utrwalali swoje panowanie na Śląsku Cieszyńskim.

Fakty te stwierdzają nawet bezstronni historycy czescy. Działy się zaiste rzeczy paradoksalne: podczas gdy na własnym terytorium etnograficznym Czesi ustępowali krok za krokiem przed mocniejszymi od siebie Niemcami, na ziemi śląsko-polskiej utrwalali swoje wpływy gospodarcze i polityczne. Stwierdza to między innymi patriota czeski, František Sláma, w swojej często cytowanej książce „Vlastenecké putováni po Slezsku", wydanej w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku.

„Obecnym właścicielem dóbr polsko-ostrawskich — pisze on — jest hr. Jan Nepomucen Wilczek, c. k. radca tajny i członek dziedziczny Izby panów... O dyrektorze kopalń tutejszych, Wacławie Stieberze, narodowcu czeskim, nie powinniśmy zapominać. Tutaj na granicy morawsko-śląskiej, gdzie drogi język nasz w wielkim jest niebezpieczeństwie, Stieber jest wiernym jego obrońcą. Gdyby naród nasz miał takich mężów wszędzie, gdzie graniczy z żywiołem obcym, łatwo toczyłby bój... Stieber jest nasz, Polska Ostrawa jest nasza — kiedyż stanie się naszą także Ostrawa Morawska?.. Polska Ostrawa jest nasza, Morawska mało jest naszą dotychczas..."

Co robili tacy aktywni patrioci czescy na Śląsku, jak wspomniany Stieber, o tym mówi historyk czeski, Alois Adamus, Ślązak z pochodzenia, znający stosunki w Cieszyńskiem jak mało kto. Opisując walkę ludu śląsko-polskiego w Łazach o szkołę polską i pra-



Wielkie piece hut witkowickich

wo języka polskiego w kościele, powiada on, że inżynier Sedlák, Morawianin (nie Morawiec, ale Morawianin) i inspektor górniczy Jelinek, Czech, potajemnie przeciwdziałali dążeniom ludu polskiego, który dość już miał urzędowej czeszczyzny w szkole i w kościele. Usiłowania Sedláka i Jelinka były skuteczne. W Łazach, gdzie posiadali niewątpliwe wpływy, powstała konkurencyjna szkoła czeska, napełniana oczywiście dziećmi polskimi. Tak samo działo się w innych gminach polskich. W sąsiedniej Dąbrowie mieszkał w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku dyrektor kopalń Edward Hořovský, który według słów Slámy „vzdálen vlasti", czyli z dala od ojczyzny, żył dla swego narodu. Ten zwrot „vzdálen vlasti" użyty o Śląsku, świadczy, że i Sláma nie uważał Śląska Cieszyńskiego za ojczyznę czeską, chociaż nie powiedziałby tego na pewno o Morawach.

W Dąbrowie, gdzie ongi z trudem i kosztem wielkich ofiar budowano polskie szkoły, zostały one zamknięte wnet po rozdzieleniu Cieszyńskiego między Polskę a Czechosłowację. Wspólnikiem Guttmanna, który kopalnie dąbrowsko-orłowskie dzierżawił od wiedeńskiego Rothschilda, był ofiarny patriota czeski, Ignác Vondráček. Pisząc o nim, Sláma dodaje: „Dzieci górników korzystają z bezpłatnej nauki w szkole prywatnej z czeskim językiem wykładowym".

Tę prywatną szkołę czeską, do której napędzano dzieci polskie, utrzymywali właściciele kopalń, o co postarał się ów czeski patriota Vondráček.

To są rzeczy w dziejach polsko-śląskiego ludu cieszyńskiego typowe i dlatego godne specjalnego poznania. Wysoce charakterystyczne jest to, że Czesi po swoim odrodzeniu kulturalnym i narodowym w początkach wieku minionego nie troszczyli się o Cieszyńskie i jego mieszkańców. Sláma pisze o tym: „Ślązacy, którzy w dawnych lepszych czasach zdobywali tak wiele zasług we wspólnych sprawach polsko-czeskich, ci biedacy zostali zapomniani, opuszczeni, pozostawieni samym sobie. O nich nikt się nie troszczył, ani w Czechach, ani w Polsce. Pozostawiono ich własnemu losowi. I z tego Śląska, który był łącznikiem między Czechami a Polakami, miałby się obecnie stać przedmiot sporu?"

Sláma nie ma racji. Lud polski na Śląsku sam zatroszczył się o siebie, a działalność budzicielska Stalmachów, Cinciałów, Śliwków i Heczków jest wyrazem przebudzenia się jego świadomości narodowej. Ale wtedy właśnie, gdy budzicielska działalność polska zataczała coraz szersze kręgi i gdy Ślązacy korzystali już z wydatnej pomocy Polaków innych dzielnic pojawiła się w Cieszyńskiem konkurencja czeska w postaci tej Maticy Osvěty Lidové, która dzisiaj sprawuje rzeczywiste rządy na Śląsku Cieszyńskim za Olzą ku udręce ludu polskiego, na wszelki sposób zmuszanego do zapełniania swymi dziećmi tych 120 szkół czeskich, które od rozdzielenia Cieszyńskiego powołano tu do życia przy jednoczesnym systematycznym upośledzaniu szkół polskich.

Polska Macierz powstała w Cieszynie w r. 1885, czyli w 37. roku wydawania polskiego pisma „Gwiazdki Cieszyńskiej". A teraz parę dat dotyczących pracy czeskiej na Śląsku Cieszyńskim. Przy wydatnym poparciu ze strony żywiołu polskiego, Czesi zakładają w roku 1883 stowarzyszenie czeskie „Snaha" (Dążenie), zaś od roku 1895 zaczynają wydawać w Cieszynie „Noviny Těšinske", które jednak w Cieszyńskiem nie miały czytelników. W r. 1897 powstaje Matice Osvěty Lidové z siedzibą w Cieszynie, ale ponieważ w środowisku polskim nie ma co robić, przeto w r. 1908 zostaje przeniesiona do Polskiej Ostrawy, z której zrobiono w Zaolziu basztę czeskości. Oczywiście, już dawno mieli tu Czesi większość w radzie

gminnej i już w r. 1904 zabiegali o zmianę nazwy Polskiej Ostrawy na Śląską. Wiedeńskie ministerstwo spraw wewnętrznych nie zgodziło się na to i dopiero w 15 lat później zmiana została dokonana przez ministerstwo praskie.

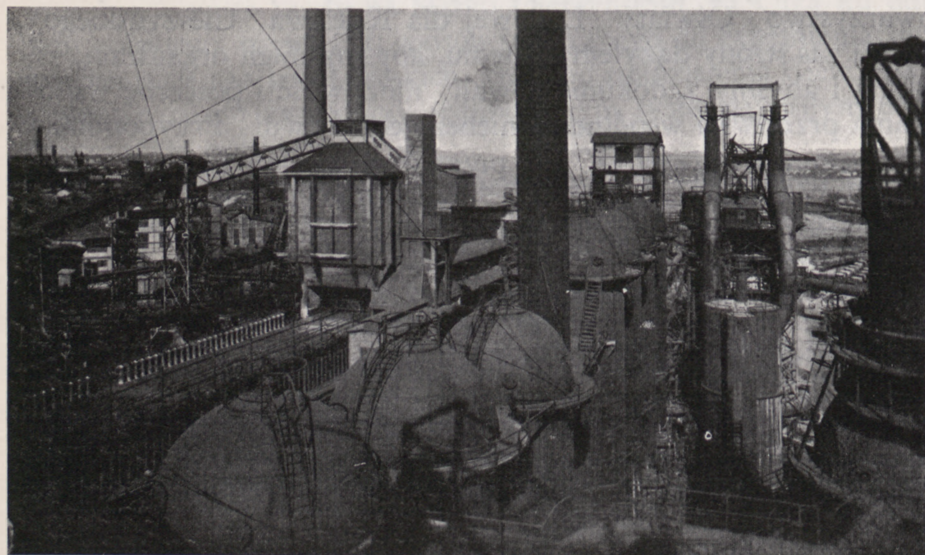
Już wtedy przeciw zmienianiu starych czcigodnych nazw miejscowości śląskich ozwał się historyk czeski, Vincenc Prasek i poseł czeski, Věnceslav Hrubý. Energicznie i bardzo niekonsekwentnie wobec swego znanego stanowiska zareagował później przeciwko tej zmianie poeta Bezruč w wierszu „Polská Ostrava". Z polska po czesku powiedział, że „przybłęda pyszałek narodu język psuje" (přibylec nadutý národa jazyk psuje — przy czym w odsyłaczu trzeba było powiedzieć, co to znaczy psuje, bo po czesku jest: kazi). Ten protest poety zaskoczył wszystkich, bo to on m. in. stworzył podłoże dla dzisiejszej czechizacji Zaolzia, twierdzeniem, że sto tysięcy Czechów na Śląsku spolszczono i sto tysięcy zniemczono.

Czesi nie tworzyli na Śląsku Cieszyńskim nic oryginalnego, ale naśladowali działalność polską i stwarzali tej działalności konkurencję. Współzałożyciel Maticy, Hrubý, pisze w księdze pamiątkowej, wydanej z okazji dwudziestolecia „Maticy Osvěty Lidové pro knižectvi Těšínské: „Nie chcę zresztą ukrywać, że w pewnej mierze od strony poglądu na sprawę wzorem było mi cieszyńskie „Towarzystwo Oświaty Ludowej dla Księstwa Cieszyńskiego", z drugiej zaś strony dążyłem ku temu, abyśmy mieli organizację równoległą i abyśmy zadokumentowali możliwość i potrzebę współdziałania przeciwko wspólnemu niebezpieczeństwu! Przypominam, że prezesem „Towarzystwa" był przez długi czas dr Fischer, który przejął i aż do śmierci zatrzymał prezesostwo „Snahy". W ogóle rodacy czescy przed założeniem „Snahy" znajdowali gościnę w stowarzyszeniach polskich, osobliwie w cieszyńskiej „Czytelni Ludowej".

Przytaczając ten głos posła czeskiego i współzałożyciela Maticy Osvěty Lidové, dr Ferdynand Pelc w książce swej „O Těšínsko" pisze, że Praga, politycy i działacze czescy nie troszczyli się nigdy o Cieszyńskie. Mieli szereg instytucji obronnych przeciwko Niemcom w Czechach i na Morawach, ale o Cieszyńskiem, jako równie zagrożonym przez germanizm, wiedzieć nie chcieli. Sytuacja zmieniła się od chwili, gdy powstała Matice, wzorowana na instytucji

polskiej. Dr Pelc powiada, iż zwyciężyło wtedy przeświadczenie, że Polak zagraża Czechowi, tak samo jak Niemiec i że znaczenie Bezruča jest w tym właśnie, iż on pierwszy w krainie śląskiej wskazał na Polaka jako na wroga podobnego Niemcowi.

Matice miała być instytucją obronną, lecz rychło stała się podstawą walki zaczepnej. Nie było to takie tragiczne, dopóki szanse w tej walce były poniekąd równe, chociaż Czesi mieli zawsze przewagę jako społeczeństwo zamożniejsze i ustosunkowane w kierowniczych instancjach przemysłowych Śląska Cieszyńskiego. W Maticy działał tak zwany „drobny pracownik", który umiał wykorzystywać gospodarczą przewagę Czechów. Sytuacja zmieniła się zasadniczo, gdy ten „drobny pracownik" mógł do swej roboty zaprząc cały aparat administracji czeskiej i gdy z bojownika przekształcił się w samowładcę.



Morawska Ostrawa. Huty witkowickie, wysokie piece i koksownia



Nagrobek żony ks. Pauliniego z r. 1799

Przed wyjazdem do zagłębia karwińskiego, czyli w północne okolice Zaolzia, zawracam do Bystrzycy i jej okolic, tworzących część północno-wschodnią Jabłonkowskiego. Bystrzyca należy do najpiękniejszych miejscowości Cieszyńskiego. Położona w zacisznej dolinie nad Olzą, otoczona wieńcem gór, jest jednym z tych miejsc, o których słowy Ewangelii powiedzieć można: „Tu jest dobrze być".

Do dokładnego zapoznania się z Bystrzycą i jej okolicami zmusza mnie także twierdzenie Vochali, że i Bystrzyca była czeską, dopóki nie spolszczył jej pastor ks. Andrzej Paulini. „W Bystrzycy we zborze był pastorem stary Andrzej Paulini, Słowak, ale gdy po śmierci jego w r. 1805, zbór przejął syn jego, tego samego imienia, wynarodowiony w szkołach na obczyźnie, wydał dla szkół w Cieszyńskiem podług polskiego podręcznika, który właściwie tylko przepisał „Naukę ewangelii Chrystusowej" r. 1818 w Brnie po raz pierwszy, w r. 1833 również w Brnie po raz drugi i w r. 1844 w Cieszynie po raz trzeci. Z powodu braku innych podręczników do nauki religii używano tej książki, aczkolwiek wprowadzenie jej spotkało się z ostrym sprzeciwem mieszkańców..."

Vochala nie przestaje wywodzić, że całe Cieszyńskie pełne było czeskich ksiąg i podręczników i raptem mówi, że zabrakło tych podręczników i tylko w braku ich zaczęto używać książki ks. Andrzeja Pauliniego, która spotkać się miała z ostrym sprzeciwem mieszkańców, ale pomimo tego sprzeciwu wychodziła po kolei w paru wydaniach. Niemniej dziwna jest jego uwaga o tym, że syn Andrzeja Pauliniego wynarodowił się w obcych szkołach na obczyźnie. Nie pisze, że się spolszczył, ale tylko, że się wynarodowił. Wiadomo przecie, iż Austria dbała o to, aby teologowie ewangeliccy kształcili się w Wiedniu, gdzie nie można było spolszczyć się.

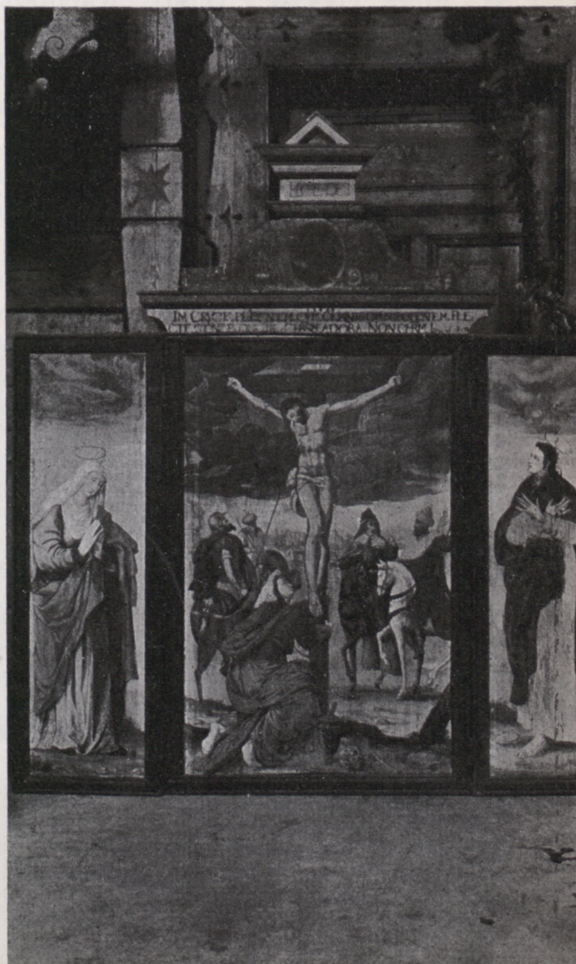
Jak było w rzeczywistości? Dlaczego Bystrzyca musiała powołać Słowaka na stanowisko pastora? Dla tych samych powodów, które zmuszały do tego inne zbory polsko-ewangelickie, a mianowicie fakt, że przeciwreformacja była ostra i że duchowni ewangeliccy musieli byli emigrować z terytoriów, będących pod panowaniem Habsburgów. Do Bystrzycy przybył pastor Andrzej Paulini w roku 1782, a raczej został uroczyście przywieziony, bo bystrzyczanie wysłali po niego delegację i powóz zaprzężony w cztery konie, aż do

Czacy. Pomimo trudności, jakie sprawiał ks. Pauliniemu język polski i nowe warunki pracy, pozostał on na stanowisku w Bystrzycy aż do swojej śmierci w r. 1805, czyli przez całe 23 lata. Po nim miejsce jego zajął syn jego, również Andrzej, i pasterzował w Bystrzycy do roku 1829. On jest właśnie autorem polskiego podręcznika nauki religii.

Dlaczego podręcznik ten nie został napisany po czesku czy po niemiecku? Oto po prostu dlatego, że musiał być napisany w języku zrozumiałym dla ludności polskiej. W tym też języku odprawiano nabożeństwa w kościele bystrzyckim. Śród papierów archiwum fary bystrzyckiej znalazłem karteczkę z tekstem polskim i z czeskim nagłówkiem. Jest to modlitwa za chorych. Ponieważ pastor Andrzej Paulini młodszy znał już język polski bardzo dobrze i nie potrzebował układać sobie specjalnie tekstów polskich, należy przypuścić, że modlitwa za chorych została napisana przez jego ojca, który miał jeszcze duże trudności z językiem polskim. Tekst tej kartki jest taki:

„*Za nemocné.* Ach Panie! Nie opuszczajże w krzyżu i w utrapieniu ich chwalców twoich! Umacniaj ich w cierpliwości i w nadziei! Ulechczay boleści w utrapieniu ieich. — O Panie, tyś lekarz naylepszy, a masz sposobu tysiące go do spomożenia i do wyswobozenia, a tak iusz pomagay i ratuy ich podług mądrości i miłości twoiey.“ Błędy tekstu i czechizmy świadczą, że autorowi naprawdę nie łatwo było służyć swoim zborownikom w języku polskim. Jeśli pomimo to musiał uczyć się polskiego, to na pewno nie dla jakiegoś kaprysu kogokolwiek,

Ołtarz w kościele katolickim w Bystrzycy





Bystrzyca nad Olzą

ale z konieczności. Gdyby w Bystrzycy byli mieszkali Czesi, albo choćby tylko legendarni Morawcy, Słowak byłby się z nimi bardzo łatwo porozumiał w swoim języku ojczystym, a oni byliby także woleli słuchać kazań w języku bardziej dla nich zrozumiałym, niż w obcym dla nich języku polskim. Tak byłoby, gdyby w Bystrzycy mieszkali Czesi, czy Morawcy, ale ponieważ mieszkali tam Polacy, więc pastor słowacki musiał nauczyć się dla nich języka polskiego. Czy to nie wymowne?

Na ewangelickim cmentarzu bystrzyckim znajdują się jeszcze dziś dwie czcigodne płyty kamienne z napisami polskimi. Jedna z nich jest nagrobkiem na mogile żony Andrzeja Pauliniego, zmarłej 6 lutego 1799 roku. Czytamy na niej: „Uyrzę was a będzie się radowało serce wasze. Jan XVI, 22. Tak brzmi z grobu do swoich miłych Amalia Christina Paulini potym jak się z nimi rozłączyła dnia VI Febr. 1799“. Ta płyta ma 137 lat. Dlaczego tekst jej jest polski? Przecież pod nią spoczęła Słowaczka, żona pastora narodowości słowackiej! Oto dlatego, że pastor chciał być lojalny wobec swoich zborowników i chciał, aby napis na grobie jego żony był dla nich zrozumiały.

Nikt na nikogo nie mógł wywierać nacisku. Gdyby ks. Paulini był chciał, to mógł był umieścić na grobie swej żony napis słowacki,

albo czeski, jak to zrobiła wdowa po ks. Andrzeju Lehockim, pastorze zboru wiślańskiego. Na cmentarzu katolickim w Wiśle, który był dawniej cmentarzem ewangelickim, jeszcze dzisiaj można oglądać płytę grobową na mogile tego pastora, który przybył do Wisły z Liptowa i umarł tam po sześcioletniej swej działalności w r. 1794. Długi wierszowany napis czeski jest jeszcze zupełnie czytelny.

Druga płyta, licząca lat 129, ma tekst taki: „I Koryntów 13, v. 8. Miłość nigdy nie ustawa. Dnia 19 Febr. 1805 tu pogrzebiono Andrzyy Paulini pierwszy Kaznodzieia Zboru Bystrzickiego na ostatek dnia 12 Apr. 1807 tu prziłączono Christina rodzona Gotthardt, onego Małżonka i dwunastych Dziatek Matka. Do Rzym. XII v. 12. W nadziei się weselcie." Te kamienie może każdy oglądać na ewangelickim cmentarzu bystrzyckim i nie wiem, czy znalazłby się ktoś, kto domagałby się komentarzy do tych wymownych i jasnych tekstów.

W Bystrzycy, przy drodze, wiodącej od Nydku, stoi bardzo ładny kościołek katolicki, zbudowany z drzewa. Podobno wznieśli go w wieku XVI ewangelicy, bo aż do połowy wieku XVII znajdował się w ich posiadaniu. W czasach przeciwreformacji przeszedł on w ręce katolików i służył im długie lata, ale od połowy wieku zeszłego wymagał coraz częstszej naprawy i wreszcie w r. 1898 musiał zostać rozebrany, bo groził zawaleniem się. Na dawnych fundamentach zbudowano kościołek obecny, także drewniany. Otoczony żelaznymi sztachetami kościołek ten razem z okalającym go cmentarzem jest jednym z tych licznych zacisz śląskich, gdzie śmierć i życie przenikają się wzajemnie niby dwie różne postacie tej samej sprawy.

Kamieniołom we wsi Rzeka



Ze starych rękopisów fary w Bystrzycy z czasów ks. Pauliniego (1782 — 1805)

O kilkadziesiąt kroków dalej ku wschodowi stoi murowany kościół ewangelicki. I na tym kościele jest tablica z napisem polskim: „Najświętszemu poświęcone. Bóg chce, aby wszyscy ludzie byli zbawieni i ku znajomości prawdy przyszli. I Tym. 2, 4. — Od ces. Józ. II dozwolono, od Franc. I potwierdzono i łaską Alberta ks. sas.-ciesz. a ochotą okolnego ewangelictwa aug. wyz. wybudowano. 1811." Nigdy dawniej Czechów tu nie było, chociaż jak wszędzie w Cieszyńskiem za panowania czeskiego, tak i tu obowiązywał czeski język urzędowy.

Niedaleko od obu kościołów stoi w zacisznym ogródku typowy biały domek śląski, własność pana Jana Goryla, w którym w roku 1915 mieszkał Józef Piłsudski. Gdy oglądałem kościołek drewniany i odczytywałem napisy na mogiłach, jakiś młodzieniec domyślił się, że jestem obcy i pośpieszył mi powiedzieć o tym domku naprzeciwko, że w nim mieszkał Józef Piłsudski.

Z Bystrzycy do Nydku jest jakie 4—5 kilometrów. Wioska to cicha, nie różniąca się od innych wiosek niczym, prócz może tego, że stara szkoła ludowa, oczywiście polska, mieści się w bardzo skromnym i prostym budynku, podczas gdy w jej pobliżu wznosi się wspaniały duży budynek szkoły czeskiej „mniejszościowej". Według świadectwa pisarzy czeskich Czechów nie było tu nigdy, ale gdy się przejeżdża obok tej wielkiej szkoły czeskiej, na jej dziedzińcu panuje gwar bawiącej się tam dziatwy. Że są to dzieci polskie, skazane na czechizację, nie trzeba nikomu specjalnie dowodzić. Niektórzy działacze czescy nie tają się wcale z tym, że ostatecznym celem ich

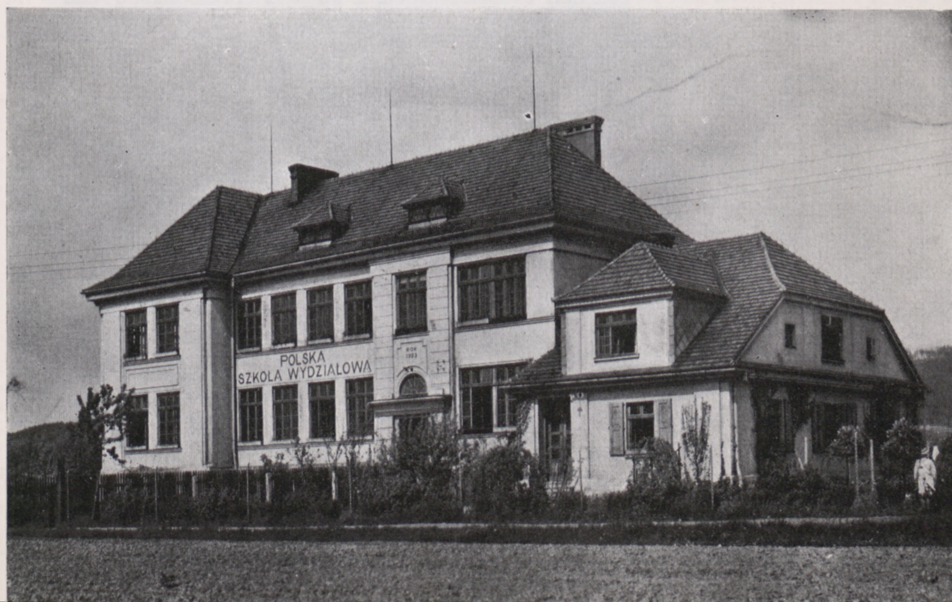
zabiegów jest jak najszybsze sczechizowanie śląskiego pogranicza. Do granicy polsko-czeskiej jest stąd zaledwie trzy kilometry.

Nieco dalej na północo-zachód jest wioska Wędrynia, a za nią granica polsko-czeska rozdziela wieś Leszną. Leszna Górna jest po stronie polskiej. Leszna Dolna po stronie czeskiej. Ta ostatnia nazywa się teraz nie Leszną, ale Lištną. Jest tu duży piec do wypalania wapna, nazwany przez lud tutejszy „Piekłem".

W pewnym odosobnieniu, z dala od ludzi, na Głuchowej, jest szkółka wiejska, położona na wysokości jakich 700 metrów. Okolica przypomina bardzo żywo Kubalonkę. Widok z tych miejsc na całą rozległą okolicę jest niezrównany. Tędy przepływa jeden z dopływów Olzy, Głuchowa, rzeka, mająca czarujące wodospady.

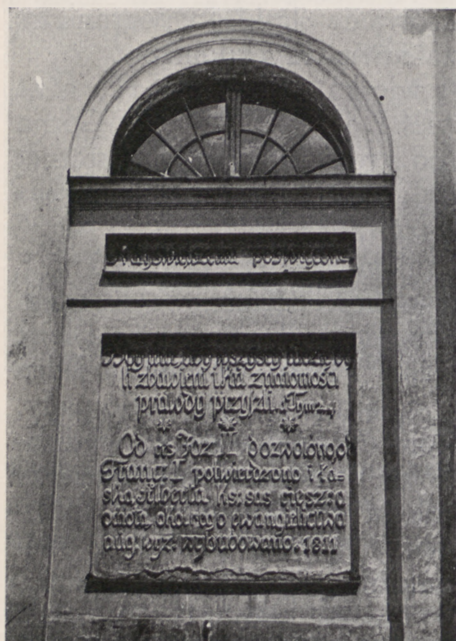
W samej Bystrzycy jest ładna Ochronka i Polska szkoła wydziałowa Macierzy Szkolnej. Jak wszędzie tak i tu działalność Macierzy Szkolnej jest nieoszacowana, ale ta akcja samopomocowa społeczeństwa w dziedzinie krzewienia oświaty polskiej przestanie niedługo wystarczać, bo ludność polska zależna gospodarczo od pracodawców czeskich, nie może, niestety, wybierać szkoły, która odpowiadałaby jej serdecznym potrzebom, lecz musi przystosowywać się do tej szkoły, z którą łączy się możność zarobkowania.

Za czasów panowania austriackiego o narodowości szkoły decydował lud sam przy wyborach. Kto miał większość, ten mógł decydować o języku wykładowym w szkole. Dzisiaj, gdy działaczom czeskim nie podoba się zbyt uporczywa większość polska, usuwają oni często władze powstałe na podstawie wyborów i rządy w gminie oddają w ręce komisarzy rządowych. Tutaj na samym pograniczu polsko-czeskim, gdzie akcja „molów" jest najenergiczniejsza i najbardziej uporczywa, żywiej niż gdziekolwiek indziej przypominają



Polska szkoła wydziałowa w Bystrzycy

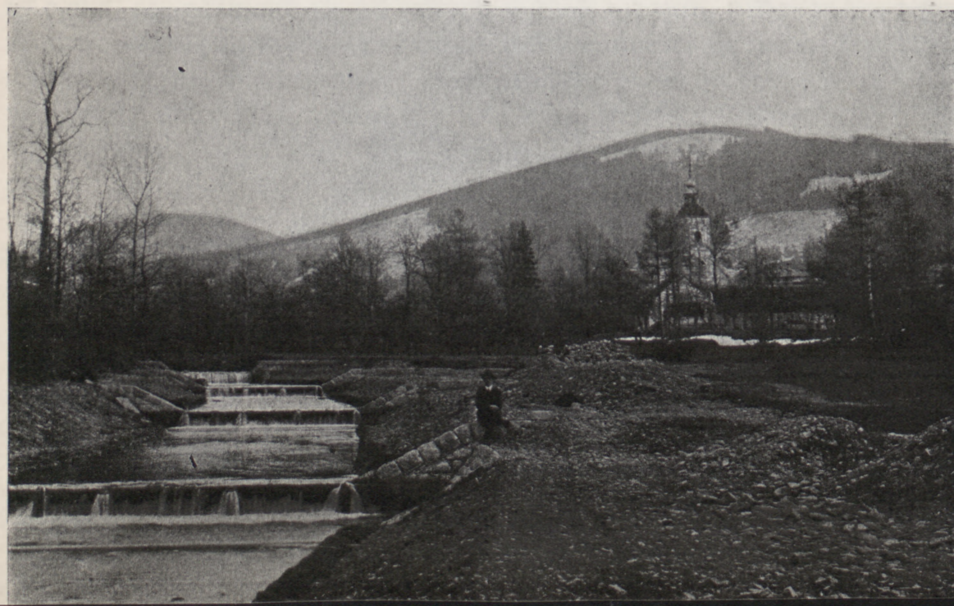
się słowa Adamusa, historyka czeskiego, o tym, że granica językowa polsko-czeska przebiega wzdłuż wsi: Morawka, Raszkowice, Ligoty, Bukowica, Racimów, Kończyce Wielkie i Małe, Siedliszcze, Rzepiszcze, Rakowiec, Polska Ostrawa, Gruszów... Na wschód od tej linii lud mówi jednakim narzeczem śląsko-polskim. Temu narzeczu śląsko-polskiemu i ludowi, mówiącemu nim, wypowiedziano obecnie wojnę nieubłaganą.



Napis na kościele ewangelickim w Bystrzycy

Gdy się z Bystrzycy jedzie do Cieszyna, to droga prowadzi przez Trzyniec. Ile razy przejeżdżałem przez tę rozległą osadę przemysłową, zawsze przypominały mi się nieodmiennie końcowe wiersze siódmej elegii rzymskiej Goethego: „*Dulde mich, Jupiter, hier, und Hermes führe mich später, Cestius' Mal vorbei leise zum Orkus hinab*". Folguj, Jowiszu, mi tutaj, a Hermes niechaj mnie później obok pomnika Cestiusa cicho do Orku zawiedzie.

Skąd tu Goethe w tym Trzyńcu i to zawsze, gdy mijałem wysoką piramidę szlaki żelaznej i olbrzymi kocioł zbiornika gazu? Ach,



Bystrzyca nad Olzą

tak: ten pomnik Cestiusa w kształcie piramidy, stojący obok Porta San Paolo w Rzymie! Tamta piramida z czasów Augusta, ma 37 metrów wysokości, piramida trzyniecka jest o 2000 lat młodsza, ale chyba znacznie od tamtej wyższa. Żelazna konstrukcja niby szkielet ogromnej gąsienicy wspina się ponad wierzchołek tej piramidy, a w niej płynie wagonik ku górze i zsypuje suchą szlakę żelaza. Deszcz spoił ten pył żelazny i dzisiaj ta ogromna piramida to już nie usypisko, ale masa twardsza od skały. Ta piramida, stojąca w sąsiedztwie gigantycznego kotła gazometru, wywiera wrażenie zgoła osobliwe i — rzecz nieoczekiwana! — raduje oko niby wielkie dzieło sztuki. Jest w tych tworach techniki przemysłowej jakieś Walt Whitmanowskie piękno o potężnym rozmachu.

Trzyniec ma zaledwie parę tysięcy mieszkańców, ale jest olbrzymim labiryntem dziwacznych budowli i konstrukcji żelaznych, ponad które wyrasta las kominów fabrycznych. Nieco dalej, gdzie kończą się huty trzynieckie i fabryki chemiczne, zaczyna się świat zgoła inny, dzielnica białych domków i ładnych will, mających za tło dalekie góry, mierzchnące na horyzoncie. Krajobraz przemysłowy ma swoje piękno. Romantyzm lubił poszarpane skały, ruiny, chatki słomą kryte, półmrok i upiory. Dzisiejsza rzeczowość lubi linię prostą, śmiałą konstrukcję, celowość, blask i ścisłe wiadomości.

Gdy się na Trzyniec patrzy na przykład od strony Stanisłowic i gdy za nim widzi się wysoki horyzont malowniczych gór, a ludzie

Piła wodna w Bystrzycy nad Olzą




Kościół ewang. w Bystrzycy n. O.

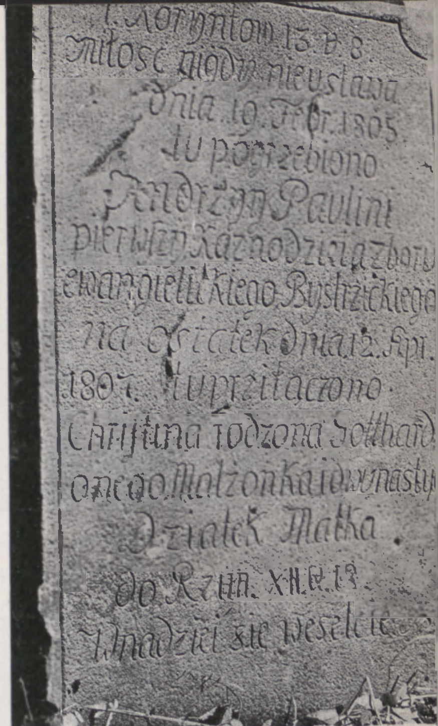
świadomi rzeczy, pouczają obcego, że za Beskidem, widzianym stamtąd, ukazują się szczyty słowackiej Fatry, ma się wrażenie, że ta osada przemysłowa znalazła się tu przez nieporozumienie i że jej miejsce powinno być daleko stąd, gdzieś w okolicy Polskiej Ostrawy, czy Karwiny albo wreszcie Frysztatu.

A jednak nie! Trzyniec nie jest przypadkiem i improwizacją, ale sprawą przemyślaną, planowaną i wszechstronnie premedytowaną. Można by nawet powiedzieć, że Trzyniec to dzieła zebrane, a ich zbieraczem był dyrektor górniczy komory cieszyńskiej, Ludwik Hohenegger. Hutnictwo istnieje w Cieszyńskiem już od dość dawna. W Ustroniu zaczął się przemysł żelazny rozwijać już w ostatniej ćwierci wieku XVIII. W Baszce nad Ostrawicą powstała huta żelazna w r. 1806, Karolowa huta koło Frydku została zbudowana w r. 1833, a huty trzynieckie rozpoczęły swoją działalność w roku 1838. Im później powstawała taka huta, tym była doskonalsza. Komora cieszyńska dbała o to, aby produkcja była jak najtańsza i największa.

L u d w i k H o h e n e g g e r zbadał gruntownie całe Cieszyńskie pod względem układu geologicznego i odkrył w niektórych miejscach pokłady rudy żelaznej, które mogły były zastąpić rudę, sprowadzaną dotychczas z Węgier. Za jego staraniem rozszerzono huty trzynieckie i zaczęto wyrabiać w nich żelazne, a później także blaszane naczynia emaliowane. Zastosowanie nowych zdobyczy technicznych w hutnictwie rozwinęło tę gałąź przemysłu nadzwyczajnie, a w Trzyńcu zaczęto wyrabiać nawet szyny i trawersy największych rozmiarów. Wszystkie te huty miały około r. 1844 jakichś 300 robotników, ale już pod koniec zeszłego wieku liczba ich podniosła się do 5000. Zaczęła się produkcja racjonalna, oparta na podstawach naukowych. Pogaszono wreszcie huty w Baszce i w Ustroniu i całe hutnictwo skupiono w Trzyńcu.

Dla polskiej ludności wsi okolicznych, nie tylko bliskich, ale i dalszych, Trzyniec ma olbrzymie znaczenie, bo daje pracę tym

licznym chałupnikom, czy „domkarzom“, jak się ich tu nazywa, którzy prócz własnego skromnego domku i kawałka ziemi od pół hektara do 2 hektarów w gruncie rzeczy nic nie posiadają i muszą zarabiać na kawałek chleba gdzie się da. Z najdalszych wiosek Jabłonkowskiego, z północnych części powiatu cieszyńskiego i frysztackiego, zewsząd zjeżdżają się tu ludzie do pracy. Zarząd hutami trzynieckimi znajduje się obecnie w ręku Czechów, a już Bezruč wiedział i powiedział, że „kto ma huty, ten ma i szkoły“.



Nagrobek ks. Andrzeja Pauliniego i jego żony

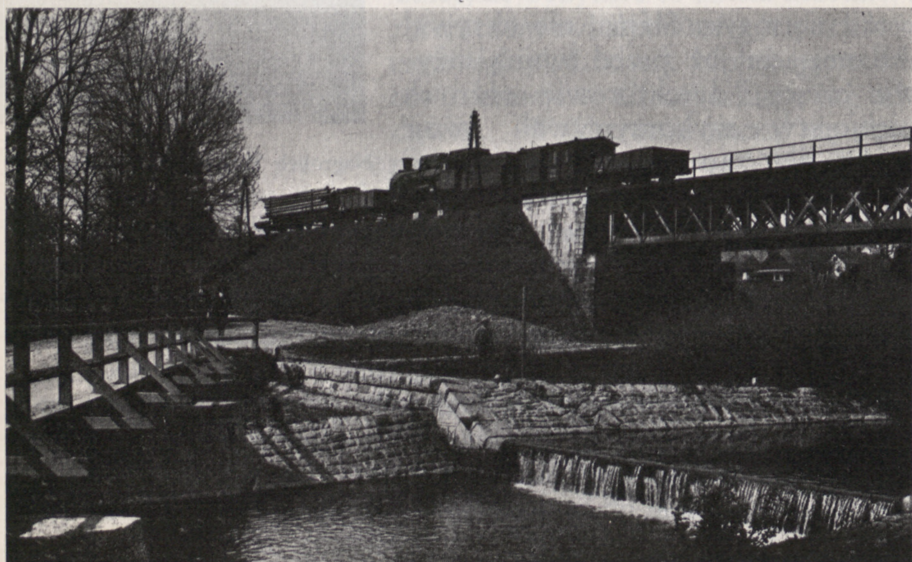
Nie taił się z tym Sláma, nie ukrywał tego Adamus, że już przed wojną inżynierowie czescy i dyrektorowie różnych przedsiębiorstw wykorzystywali swoje stanowiska dla zapewnienia supremacji żywiołowi czeskiemu. Dzisiaj ta sprawa spotęgowała się ogromnie. Lud cieszyński był ludem rolniczym. Przemysł wywłaszczył go niejako z jego ziemi, którą orał i obsiewał ten lud z dziada-pradziada. Zrazu wielki kapitał agrarny sproletaryzował szlachtę cieszyńską tak dalece, że ostali się tylko wielcy magnaci, jak Sułkowscy, Larischowie, Bees-Chrostinowie, Wilczkowie. Potem przyszła kolej na masy ludu rolniczego w tej części Cieszyńskiego, gdzie przemysł znalazł warunki szybkiego rozwoju. I dzisiaj lud cieszyński zależny jest zupełnie od tych jednostek, które mogą pracę dawać

Polska Ochronka Macierzy Szkolnej w Bystrzycy





Bystrzyca
Kościół katolicki



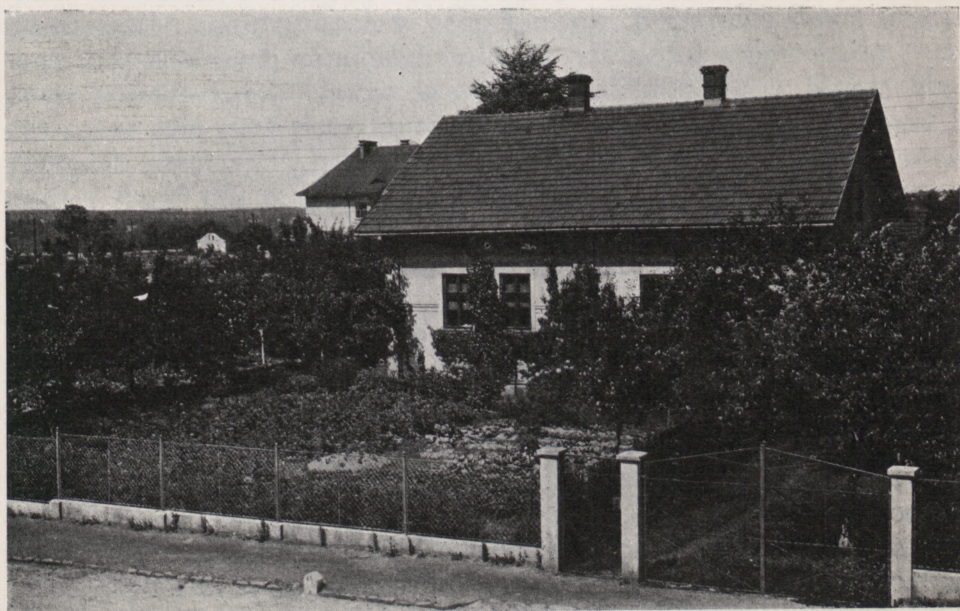
Bystrzyca
Głuchowa. Dopływ Olzy.



Wodospad rzeki
Głuchowej

i mogą ją odbierać. Jeśli w Poznańskiem lud polski skutecznie opierał się germanizacji, to dlatego, że miał ziemię i w oparciu o nią mógł stawiać czoło potężnej administracji pruskiej. Gdy hakata zrozumiała, na czym polega siła ludu polskiego, zaczęło się wywłaszczanie go z ziemi.

W Zaolziu lud okręgu przemysłowego już jest wywłaszczony i dlatego sytuacja jego w walce o swą narodowość jest nierównie tragiczniejsza od sytuacji, w jakiej przed wojną znajdował się lud polski w Prusach. Nawet rolnicy, siedzący na kilkudziesięciu hektarach ziemi, nie są tak zabezpieczeni, jak mógłby kto mniemać. Młodzież, pochodząca z rodzin rolniczych, nie ma dostępu do urzędów i stanowisk, na jakie liczyćby mogła z racji odbytych studiów; niektóre szkoły, jak np. górnicze, nie przyjmują studentów narodowości polskiej. Stąd polskiemu stanowi rolniczemu grozi rozdrobnienie własności i proletaryzacja z końcowym efektem wynarodowienia.



Domek p. Jana Goryla w Bystrzycy, w którym w r. 1915 po wypadku samochodowym mieszkał Józef Piłsudski



Trzyniec. Widok ogólny hut żelaznych

W ZAGŁĘBIU KARWIŃSKIM

Byłem już parę razy w Karwinie, Orłowej, Dąbrowie, Łazach, Frysztacie, Boguminie, w obu Lutyniach, Polskiej i Niemieckiej, w Pietwałdzie i Hermanicach, w Olbrachcicach i Stonawie, ale gdy przeglądałem potem notatki, porobione na miejscu, spostrzegłem poniewczasie, że jeszcze należało dowiedzieć się o tym, popatrzeć na tamto.

Gdy już widziałem liczne kopalnie i poznałem wielu górników, przychodziło pytanie, jak też przedstawia się kryzys i bezrobocie

w zagłębiu karwińskim. Trzeba było znowu szukać ludzi, którzy umieją odpowiedzieć na takie pytania, przeglądać statystyki dawniejsze i współczesne, aby wreszcie wiedzieć o czymś, co można zapisać w niewielu zdaniach.

Otóż według danych urzędowych w powiecie czesko-cieszyńskim na początku roku 1930 było tylko 26 bezrobotnych, ale już na 1 stycznia 1934 było ich 4.250. W powiecie frydeckim w tym samym czasie liczba bezrobotnych z 203 podniosła się do 10.722, a w powiecie frysztackim z 84 do 10.571. Ogółem 25.543 bezrobotnych na rok 1934. Czy ta liczba zmniejszyła się obecnie nie wiem, ale jest to liczba zatrważająco duża, gdy się zważy, że nawet w roku najlepszej koniunktury, to jest w r. 1929, w kopalniach rewiru karwińskiego pracowało tylko 38.466 robotników, przy czym pamiętać trzeba, że górnictwo jest tu najważniejszą gałęzią przemysłu i że w innych dziedzinach przemysłu pracuje znacznie mniej robotników.

Taki stan rzeczy musiałby być dla ludności robotniczej rewiru karwińskiego po prostu katastrofalny, gdyby nie specjalna struktura gospodarcza i społeczna tego niewielkiego kraiku. W rewirze karwińskim, mającym 573 km kw., mieszka przeciętnie od 500 do 1000 ludzi na kilometrze kwadratowym, czyli że są to okolice, należące do najgęściej zaludnionych w całej Europie. Robotnicy śląscy dzięki swej przysłowiowej zapobiegliwości są nie tylko robotnikami, lecz także posiadaczami, choćby w mierze najskromniejszej. Każdy Ślązak przez całe życie dąży ku temu, aby posiadać jakie takie „swoje". Kawałek ziemi od 1/2 hektara do 2 hektarów, a na nim biały typowy domek śląski dla rodziny, oto ideał każdego robotnika śląskiego. W razie nieszczęścia ma się dach nad głową, w chlewiku „babucia" czyli wieprzka, w obórce kozę, w spichlerzyku coś niecoś z własnego pólka.

Ideał skromniutki, ale i on nie zawsze daje się zrealizować, osobliwie tam, gdzie robotnik mieszka w kolonii i o budowie własnego domku marzyć nawet nie może. W warunkach kryzysowych bywa w takiej kolonii robotniczej dużo nędzy. Bezrobotni biedacy chodzą wtedy gromadnie na hałdy i zbierają węgiel, jaki śród odpadków kopalnianych znaleźć można, chwytają się skwapliwie każdej nadarzonej pracy przygodnej i czekają na lepsze czasy.

Opowiadał mi o tym w Wiśle miły przyjaciel, orłowianin, wychowanek gimnazjum realnego w Orłowej. Ojciec jego był imigran-

tem z Małopolski, ale ożenił się ze Ślązaczką z Karwiny, wnuczką górnika, który był jedną z 240 ofiar wielkiej katastrofy kopalnianej w r. 1894. Wychował się w Orłowej, ukończył szkołę średnią, przeszedł tam odrę pierwszej miłości i stamtąd wyruszył w świat, aby znaleźć bardzo odpowiedzialne stanowisko w Katowicach. Zapalał się, gdy mówił, że czasy dzieciństwa pamięta się mocno, że wspomina się je z uczuciami, niepodobnymi do niczego innego.

— Ojciec mój — wywodził — pracował w kopalni „Zofia“ w Porębie. Kopalnia ta należała do Guttmannów. Był dozorcą lampiarni. Przed zjazdem do szybu górnicy otrzymywali lampy, zabezpieczające pracowników przed możliwością wybuchu gazów kopalnianych. Ponieważ lampiarnia była na powierzchni, więc ojciec pracował dziesięć godzin dziennie. Górnicy pracowali już wtedy po osiem godzin.

— Jak dawno temu? — pytałem.

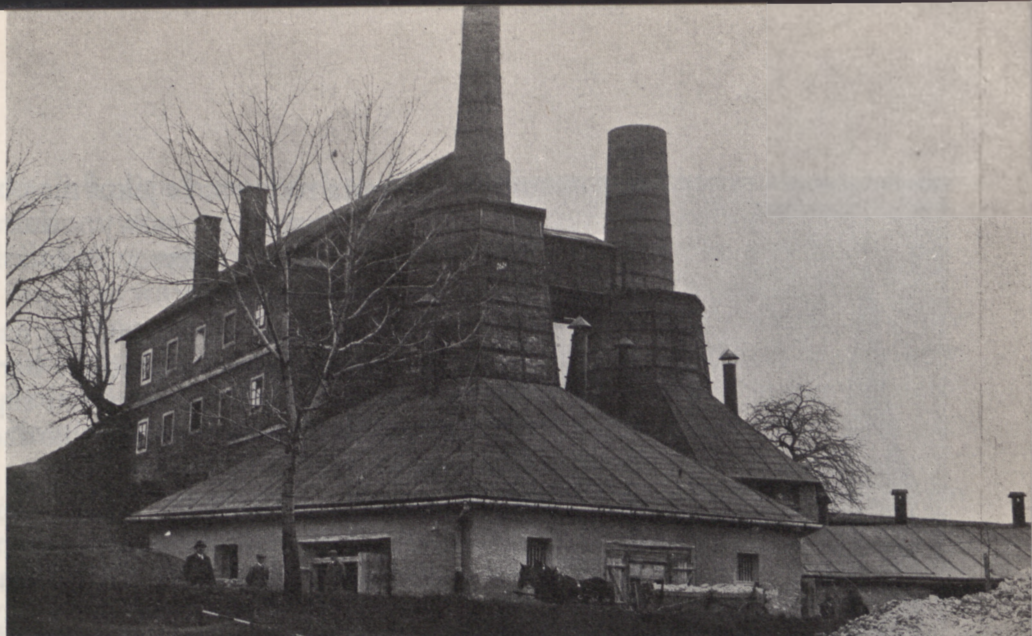
— Zaraz... Ostatnie dwa-trzy lata zeszłego wieku i pierwsze lat kilkanaście wieku bieżącego z wojną włącznie... Po wojnie opuściliśmy Orłową i nie wiem, jak tam jest teraz. Wtedy zanosiłem ojcu obiady na kopalnię i bywałem tam co dzień. Dyrektorem kopalni — wtedy mówiło się: zawiadowcą — był Polak. Interesował się żywo imigrantami polskimi z zagłębia dąbrowskiego, których w Orłowej było dużo. Sąsiadowaliśmy z jednym z takich imigrantów z Królestwa. Z wielkim zaciekawieniem słuchaliśmy wszyscy jego opowiadania, jak „szwarcował się“ przez granicę w zamkniętym wagonie z deskami, opłaciwszy się przedtem specjalistom od przeprowadzania ludzi przez granicę.

— Czy tacy imigranci zarabiali na Śląsku dużo?

— Nie umiałbym powiedzieć. Oni sami uważali niezawodnie, że zarabiają dużo. Ten, o którym opowiadam, dużo przepijał, a jego żona, nie wiedząc, jak zaradzić pijaństwu męża, poszła do dyrektora



Polska
Lutynia
Chata nr 40



Dolna Leszna
Piece do wypalania wapna

z prośbą, aby mu zmniejszył zarobki, iżby nie mógł tyle przepijać. Żonę jego niepokoiło także towarzystwo, w jakim mąż przepijał pieniądze.

— Czy ci imigranci byli naprawdę tacy ciemni i nieuświadomieni narodowo i społecznie, jak się często słyszy?

— Bo ja wiem? Nam, rodowitym Ślązakom, ludzie ci imponowali pod niejednym względem. My mieliśmy swój tryb życia i swoje zwyczaje bardzo prościutkie, a nasze matki i siostry ubierały się po naszemu, czyli dla nas zwyczajnie, podczas gdy żony tamtych robotników z Królestwa ubierały się po miejsku i miały maniery, które nam się bardzo podobały. Najbardziej imponowało nam to, że mówiły czystą polszczyzną.

— Panu to chyba nie imponowało, skoro chodził pan do polskiej szkoły i mówił także poprawnie po polsku.

— Ba — śmiał się mój śląski przyjaciel — to nie takie proste! W szkole mówiło się, rzecz prosta, poprawnie po polsku, ale tylko w klasie, gdy zaś opuszczało się mury szkolne, to od razu zapanowywała gwara. Będzie niedługo ze dwadzieścia lat od chwili, gdy opuściłem strony rodzinne, ale dość spotkać rodaka z Cieszyńskiego, aby w serdeczniejszej z sobą rozmowie wpaść od razu w gwarę: „pójdym", „chodzym", „tuż toć", „ale kaj" itp. Tam zaś, w Orłowej, trzymaliśmy się wszyscy swojej śląskiej gwary przez nieświadome uczucie wierności, czy coś takiego. Taka tam jest potężna


Kościoł katolicki w Trzyńcu

wspólnota rodowa, że jakoś nie podobna zdradzić tej mowy, którą mówili rodzice i wszyscy najbliżsi. Czy pan to rozumie?

— Owszem, rozumiem. To nawet jest bardzo zrozumiałe i bardzo miłe. Ten konserwatyzm śląski ma swoje dobre strony, bardzo dobre.

— Nie chciałbym, aby pan mniemał, że tym konserwatyzmem gwarowym różniliśmy się od naszych czeskich sąsiadów. I Polacy i Czesi w tamtych stronach mówili w gruncie rzeczy tym samym narzeczem. Sprawa przynależności narodowej była sprawą przekonań. Rodowity Ślązak uważał się za Polaka albo za Czecha i koniec. Mało kto zastanawiał się głębiej nad istotą tych spraw. Trudności — prawdziwe trudności — powstawały dopiero wówczas, gdy rodzice mieli oddawać dziecko do szkoły. Do której posyłać? Do czeskiej, niemieckiej, polskiej? I dlaczego? Rodzice dbali, żeby się dziecko nauczyło jak najwięcej, żeby mu na świecie było lepiej, niż było im. Byli więc i tacy, co mniemali, że to nic nie może zaszkodzić, gdy dziecko nauczy się dobrze po niemiecku, albo po czesku.

— A nacisku z czyjej strony nie było?

— O, bywał, i to mocny! Ojca namawiano dość długo, aby mnie koniecznie zapisał do szkoły czeskiej. Obiecywano mu nawet lepszą pracę i wyższe zarobki. Matka, impulsywniejsza, reagowała na te namowy żywo, ojciec milczał i ważył w głowie jakieś ciężkie myśli. Milczał, milczał, aż z tego jego milczenia znalazłem się w szkole polskiej. Była to szkoła wybitnie proletariacka z większością dzieci ewangelickich. Nauczycielami w tej szkole byli Cieszyniacy, ewangelicy. Na jakie dwa tygodnie przed zakończeniem wa-

kacji letnich nauczyciel chodził po domach polskich i tłumaczył rodzicom, dlaczego powinni oddawać dzieci do szkoły polskiej.

— Czy szkoły czeskie były może okazalsze, że pan szkołę polską nazywa proletariacką?

— Zapewne. Czeskie szkoły były aż dwie, podczas gdy my mieliśmy tylko jedną. Do szkół czeskich chodziły dzieci urzędników i oficjalistów kopalnianych. Pan wie, takie rzeczy imponują dzieciom rodziców ubogich ogromnie.

— Czy polscy górnicy orłowscy byli bardzo ubodzy?

— Gdy spoglądam wstecz na tamte czasy, to powiedziałbym raczej, że przeciwnie, mieli się względnie dobrze i to wszyscy w ogóle robotnicy, należący do kopalni. To, co nazywamy opieką społeczną, działało wtedy wcale nieźle.

— Jakie były mieszkania robotnicze?

— Mieszkaliśmy w kolonii robotniczej w domu parterowym, podzielonym na cztery części dla czterech rodzin, a każde mieszkanie w tym domu miało własne wejście, ogródek i przybudówki gospodarcze. Życie rodzinne skupiało się w dużej kuchni, prócz której mieliśmy mniejszą od niej izdebkę, komórkę, dużą piwnicę i strych. Płaciło się za to mieszkanie pięć koron miesięcznie, które strącano z zarobku przy wypłacie. Pamiętam, iż rodzice chwalili sobie mieszkanie, że jest suche, bo kolonia została zbudowana na dobrym miejscu. Pamiętam też, że jeśli rodzina była nieco liczniejsza i składała się np. z siedmiu osób, to obowiązkowo musiała przeprowadzać się do mieszkania większego, gdzie prócz kuchni były dwie izdebki. Kopalnia wysyłała częste lotne komisje sanitarne dla badania stanu higieny mieszkań robotniczych, co zmuszało żony robotników do czuwania nad czystością mieszkań. Ślązaczki były do porządku wdrożone od dzieciństwa, inaczej bywało z imigrantkami z Galicji...

— Widzi pan, ja tu wszędzie widuję białe domki rodzinne i wydawało mi się, że Ślązacy mieszkają zawsze we własnych domkach.

Trzyniec
Widok ogólny





Kościoł ewangelicki w Trzyńcu

To, co pan mówi o koloniach, nie jest dla mnie zupełnie nowe, ale zastanawia, że Ślązacy tak łatwo odstępują od ideału posiadania własnego domku.

— Nie odstępują od tego ideału, a już nigdy łatwo, ale nie zawsze daje się on zrealizować. Na gruncie kopalni nabywanie ziemi na własność jest wykluczone. Można było najwyżej wydzierżawić jeden lub dwa hektary od zarządu kopalni, ale na dzierżawionej ziemi nikt budować nie będzie. To też każdy myślał o tym, aby zaoszczędzić tyle, iżby można było kupić kawałek ziemi poza kopalnią i tam się pobudować. Trzy lata temu wykładałem na kursie nauczycielskim w Augustowie i po mowie poznałem tam kolegę Cieszyniaka. Żył typowym cieszyńskim marzeniem: „wybuduje se chałupe, do tego kónsek pola i ogród i bydzie se żył spokojnie...“ Ślązak zaczyna w ogóle żyć spokojnie dopiero od chwili, gdy siedzi na swoim. W kopalni budowanie własnych domków było i dlatego jeszcze nieaktualne, że dla starych wysłużonych „hawiyrzy“, jak tam nazywają górników, jeszcze dzisiaj istnieje kolonijka osobna, nazwana po niemiecku „Altheim“... Nie, to nie był przytułek dla starców...

— A opieka lekarska? Słyszałem, że w tamtych czasach wypadki nieszczęśliwe były na porządku dziennym?

— Nieszczęśliwe wypadki są w kopalniach zjawiskiem niejako stałym. U nas, czy gdzie indziej. Jeszcze parę lat temu w ciągu roku bywało w rewirze karwińskim do 1800 wypadków, w czym

przeciętnie 180 ciężkich a 7 śmiertelnych. Poza tym pamiętam, jak starzy hawiyrze opowiadali o ciężkich katastrofach w związku z wybuchem gazów, np. w roku 1885, kiedy to zginęło 105 górników i o katastrofie jeszcze większej w r. 1894, kiedy zginęło 240 ludzi. W warunkach podobnych konieczność organizowania troskliwej opieki lekarskiej jest oczywista. Jaka była instytucja tej opieki, nie wiem, ale pamiętam, że był tam u nas lekarz, dr Tichý, Czech, o którym wszyscy odzywali się z dużym uznaniem. Gdy ojciec mój rozchorował się na ciężkie zapalenie płuc, ten doktor opiekował się nim z wielkim poświęceniem, a gdy kryzys minął, żartował sobie z matki, która odchodziła od zmysłów podczas choroby ojca: — *Ne těšte se, nebudete vdovou!*

Kościoł ewangelicki w Trzyńcu



— A jak było z żywnością w rewirze? Czy i wtedy ceny były takie wysokie, jak obecnie?

— Jakie były ceny żywności, nie wiem, ale przypuszczam, że między tymi cenami a zarobkami nie było zbyt wielkiej rozbieżności. Jadaliśmy zdaje się lepiej, niż w tym samym czasie robotnicza ludność Królestwa, a już bezwzględnie lepiej od ludności wiejskiej w Królestwie i w Galicji. Jedzenie było wprawdzie proste, ale dostatnie i zdrowe. Żony górników były — powiedziałbym —



Szkółka wiejska na Głuchowej, na wysokości około 700 m

kucharkami, pozbawionymi wyobraźni kombinującej. Rano kawa z chlebem, posmarowanym smalcem, na obiad rosół z ryżem albo z makaronem, mięso z kapustą i zimiokami. Wieczerza bywała, jak się zdarzyło, gorsza, lepsza. Jedliśmy więc na wieczerzę wodziónkę, czyli ziemniaczankę, kluski mączne, krupy jęczmienne, jaglane, albo pogankę (kaszę tatarczaną). Mięso, o ile sobie przypominam, jadał górnik bodaj codziennie. Życie płynęło na ogół spokojnie.

— Mówił pan o ogródku przy domu robotniczym...

— Górnicy, osobliwie Ślązacy, bardzo lubili takie ogródki przy domu, bo mieli jeszcze we krwi rolnictwo swoich ojców. Kto tylko mógł, dzierżawił od dyrekcji kawałek ziemi i każdą wolną chwilę spędzał na tym swoim poletku. Moi rodzice dzierżawili dwa hektary ziemi. Była to ziemia ciężka gliniasta (tak zwana celina, materiał dla garncarzy), ale dość urodzajna. Kochaliśmy tę ziemię wszyscy i wszyscy też pracowaliśmy przy jej uprawie. Chowaliśmy, oczywiście, kozę i „babucia“ (wieprza), którego biło się na zimę dla słoniny. Takie „zabijaczki“ były uroczystością nie tylko rodzinną, bo i sąsiedztwo obdzielało się przy takiej sposobności jakim smakołykiem. Ziemia dawała zimioki, reż, czyli żyto, kapustę, kwaki albo karpiele dla babucia i kóńczynę dla kozy.

— Kwaki albo karpiele...

— Widzi pan, wciąż używam takich słów, gdy mówię o tamtych czasach. Kwaki albo karpiele to brukiew.

— Mówił pan, że robotnicy czescy żyli z polskimi w zgodzie. Czy tak było zawsze?

— Zatargów sąsiedzkich czy partyjnych nie znam. Było tam duże poczucie przynależności klasowej i bodaj wszyscy robotnicy byli wtedy socjalistami. Miałem może lat osiem, gdy nauczyciel tłumaczył nam, co to jest posłaniec, a co poseł, wywodząc, że poseł to Reger albo Cingr, pierwszy Polak, drugi Czech, obaj zaś posłowali z naszego okręgu jako przedstawiciele socjalnej demokracji. To tłumaczenie znaczenia tych słów było dla nas konieczne, bo po czesku „posel" znaczy posłaniec, a „poslanec" — poseł. Ojciec był także socjalistą. Pamiętam, że chodziłem z nim w dniu pierwszego maja na „tabor ludu", czyli wiec, odbywający się na rynku orłowskim. Z trybuny przemawiali na przemian Cingr i Reger, członkowie parlamentu austriackiego. Bawiło mnie, że ludzie dorośli podnosili ręce do góry i wznosili głośne okrzyki.

— A dawne zwyczaje? Na przykład stroje ludowe?

— Matka moja, pochodząca z Karwiny, ubierała się „po lasku", jak zresztą wszystkie górniczki z tamtych stron „laskich". Miała suknię, t. zw. spodnicę, szeroką, fałdzistą, sięgającą aż po

Poręba
Stara
gorzelnia





Poręba. Szkoła polska otwarta 6 XI 1874, zamknięta przez władze czsł. w roku 1920

kostki, jaklę, czyli stanik o rękawach sięgających dłoni, szatkę, czyli chustkę wełnianą na głowę, zawiązywaną pod brodą, a także chackę. Chacka była rodzajem okrycia i przypominała gunkę góralską albo pled z frędzlami. Wszystkie żony robotników ubierały się po lasku, z wyjątkiem żon imigrantów. Robotnicy, nawet i śląscy, żadnego specjalnego stroju nie mieli i ubierali się z miejska, jak wszędzie dzisiaj. Strój dawny, regionalny, był zbyt drogi dla tych ludzi. Zresztą i strój kobiecy zanika obecnie.

— Czy śród robotników polskich nie było jakich stowarzyszeń samopomocowych? Np. stowarzyszeń spółdzielczych?

— Jakże mogło być inaczej! Były wtedy wszędzie „konsumy" robotnicze, nie brakło go i w Orłowej. Członkostwo w takim „konsumie" było sprawą honoru robotniczego. Ojciec wpłacił udział członkowski w sklepie konsumowym i w tym sklepie spółdzielczym kupowaliśmy wszystko, czego nam było potrzeba. Był w Orłowej także konsum czeski, a przy jednym i drugim były sale na „schudze", zebrania. Na takich „schudzach" omawiali robotnicy swoje sprawy kopalniane i partyjne.

— A podczas wyborów? Czy nie bywało goręcej, niż zwykle?

— Chyba nie, chociaż dużo irytacji powodowali „galicyjoki" żywioł narodowo i społecznie ogromnie nieuświadomiony. Sztygarzy czescy jako agitatorzy bardzo łatwo pozyskiwali ich dla list czeskich przy pomocy piwa i gulaszu. Po wyborach taki „galicyjok" pyta sztygara: — Panie sztajger, a któro strónka (strana — po czesku partia) wygrała? Nasa, cy polsko? — Pan „sztajger", niezadowolony z wyborów, zbeształ „hromskiego Poloka" całkiem brzydko.

Powtórzyć tego nie można, bo odpowiedź czeskiego sztygara była wybitnie niecenzuralna.

— A w czasach powojennych, tak zwanych plebiscytowych?

— Wtedy solidarność socjalistyczna rozlazła się i zepsuła. Czesi poszli w jedną stronę, my w drugą. Rzecz osobliwa, że agitatorzy czescy przemawiali za Czechosłowacją w polskiej gwarze śląskiej. Tarcia narodowościowe dzieliły wtedy nawet członków tej samej rodziny. Pamiętam rozmowę mojej matki z bliskim jej krewnym, Czechem, który podczas plebiscytu wywodził: — Radzym ci, dziolucho, przestań politykować. Ślónsk bydzie czeski, a pamiyntej se, Maruszo, że potym nie bydziesz tu miała co robić.

— A Macierz Szkolna?

— Co tu dużo gadać! Jest to instytucja wprost błogosławiona. Żadne sprawozdanie roczne, czy nawet jubileuszowe, nie zdoła powiedzieć, ile ta instytucja zdziałała dobrego i wciąż jeszcze działa. Jej dzieło noszą ludzie w sobie przez całe życie i to dzieło Macierzy niby posiew rozwija się w ich sercach i umysłach i dojrzewa w nich z latami. Ojciec mój płacił regularnie koronę na Macierz i 50 halerzy na Towarzystwo Pomocy Naukowych. Teraz dopiero widzę, ile dała mi ta prosta szkoła polska, stojąca ongi koło „luterszczoka",



Stodoła dworska w Porębie



Dwór w Porębie

czyli kościoła ewangelickiego. Pamiętam czasy powstania gimnazjum polskiego w Orłowej, po którym przyszło gimnazjum czeskie. W r. 1914 zostałem przyjęty do gimnazjum polskiego. W sierpniu tego samego roku widziałem, jak dyrektor gimnazjum żegnał na dworcu legionistów, wyjeżdżających do Krakowa. Piękne wspomnienie.

— Pan powiedział „luterszczok" o kościele ewangelickim. Czy w tej nazwie jest wyraz pogardy dla ewangelików?

— Chyba nie. Tak samo nazywa się na Śląsku np. pewien gatunek jabłek „paniyńszczok". Z ewangelikami żyliśmy w zgodzie niemal serdecznej, bo inaczej nawet być nie mogło. Ewangelicy śląscy byli i są niezłomnymi patriotami polskimi. Zresztą śród górników, zorganizowanych w partii socjalistycznej, religia odgrywała rolę podrzędną. Usposobienie było krytyczne i antyklerykalne, chociaż wystąpień wyzywających nie pamiętam. Tylko przy jedzeniu, gdy się akurat zgadało o ucisku kapitalistycznym, to górnicy chętnie powtarzali słowo, że łyżkę zupy, którą niosą do ust, muszą dzielić z księdzem, podporą kapitalizmu. Rodzice nasi nie chodzili do kościoła i nie troszczyli się o praktyki religijne. W szkole dzieci górników różniły się zasadniczo od dzieci, pochodzących ze wsi, i ksiądz katecheta miał z nami kłopotu niemało. W postawie antyklerykalnej a nawet antyreligijnej prym dzierżyli Czesi. Pamiętam nawet piosenki, którymi chłopcy czescy wydrwiwali księży.

— Czy nie bywa pan w swojej rodzinnej Orłowej?

— Nie! — brzmi odpowiedź twarda i krótka. — Byłem tam przed pięciu laty, ale chodziłem jak po cmentarzu. Było mi smutno. Spotkałem starą owocarkę, której byłem wiernym klientem, gdy

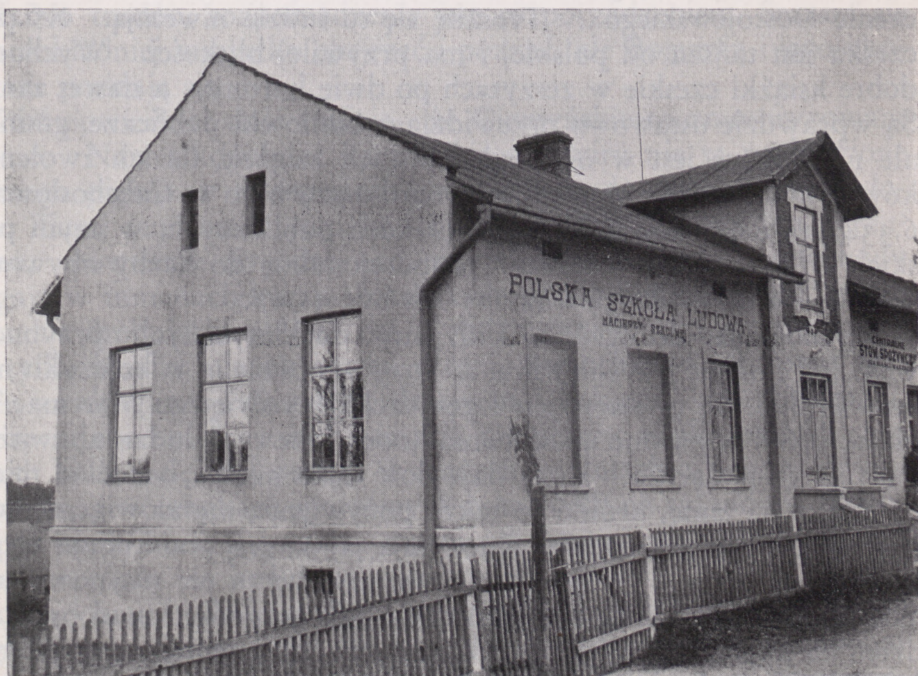
miała budkę w pobliżu kolonii. Zagadałem do niej „po naszymu", ale odpowiedziała mi po czesku. Przypomniałem jej dawne dobre czasy. W oczach błysnął jej zielony ognik złej zawiści. Nie taiła jej wcale, mówiąc, że ja jestem w Polsce panem, gdy jej syn, który przecie także chodził do gimnazjum, jest tutaj bezrobotnym górnikiem. Sprawiedliwości na świecie nie ma!

Przez chwilę milczymy, myśląc o tych zmianach, jakie w świecie pozachodziły. Po chwili przyjaciel mój odzywa się jeszcze:

— Spotkałem też swoją pierwszą miłość. Marzena jej było. Chodziła do czeskiej szkoły i miała ładne oczy. Niewiasta „zhrubnyła", wyszła za mąż za Czecha i mówiła do mnie po czesku, chociaż i do niej próbowałem zagadać „po naszymu". Kochałem ją niegdyś i byłem dla niej jakby to powiedzieć... rycerski. Jej matka przeklinała Czechów za to, że „gnębią wiarę". I to już chyba wszystko. Wyjechałem do Bogumina, a stamtąd do Wiednia.

Zapisałem tę rozmowę jako cenny bezpośredni dokument życia śląskiego, a teraz siedzę oto w tej Orłowej i sprawdzam słyszane.

Dziećmorowice



Przy ulicy wysadzonej drzewami rzędy domków, pozwracane ku niej frontem albo ścianami szczytowymi. W ogródkach roślina na roślinie, ale czysto tu, porządnie, gospodarno. Pod oknami ławeczki. Do mieszkania wchodzi się rodzajem przysionka. Kuchnia istotnie obszerna, ale za to pokój mieszkalny stosunkowo mały. Łóżka, duża szafa na ubranie, kredens, stół, parę krzeseł, kanapka, po której widać, że służy jako łóżko jednemu z członków rodziny... Ciasnawo. Na łóżkach dużo poduszek czysto powleczonych. Jest oczywiście radio, nie brak gramofonu.

Ludzie ogromnie mili i uczynni. Chcą gościa koniecznie nakarmić i napoić, rozpytują o wiele rzeczy, uważnie słuchają odpowiedzi. Tak, już nie ma tych wiar i nadziei, co były przed wojną. Co to miało być! A teraz jest tylko stały strach, żeby nie stracić pracy. Tylko że człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, nawet do tego ciągłego niepokoju o kawałek chleba. To też gdy przychodzi zwolnienie, nie spada na człowieka jak grom z jasnego nieba.

Na niewielkiej półeczce widzę trochę książek. Patrzę na nie: Prus, Makuszyński, Jirasek, Tilschowa, Żeromski, czeskie tłumaczenie Dostojewskiego... Troszkę się tu ludzie niwelują. Książka czeska jest tańsza od polskiej i ma przywilej bliskości. Wychodzą dobre książki czeskie w zeszytach po dwie korony, a nawet taniej. Są wprawdzie ustawowo przewidziane biblioteki publiczne, gminne, ale nie zawsze jest w nich tyle polskich książek, ile ich zwolenników. Mówiono mi, że z końcem roku 1929 było w Czechosłowacji 6,334.319 książek w takich bibliotekach publicznych, w czym polskich tylko 19.255, chociaż proporcjonalnie do liczby obywateli polskiej narodowości powinnoby ich być 31.670.

Wychodzimy do ogródka i idziemy do klasycznych przybudówek: jest „babuć“ w chlewiku, są kozy w obórce, a w kojczyku nad nimi króliki. Są tu kury, jest i gęś, czekająca świętego Marcina. To nie są jakieś prywatne upodobania hodowlane tych ludzi, ale ważna pozycja gospodarcza. Koza daje dość dużo mleka, babuć to mięso i tłuszcze na zimę, króliki to także pożywienie, nie mówiąc o skórkach, które nie przepadają. Kury dają jajka, gęsi podskubuje się po trosze i za życia. Tu się nic nie marnuje, bo tu nic marnować nie można, jeśli ludzie chcą żyć jako tako. Tu gospodyni musi być cały dzień na nogach, a jej dzień roboczy jest co najmniej 14-godzinny. Nie wiadomo, kto ciężej pracuje: czy jej mąż w podziemiach, czy

ona na powierzchni. Musi ona nakarmić rodzinę, oprać ją i obszyć, pamiętać o wieprzu, kozach, królikach, kurach i gęsi. A przy tym wszystkim, niejako już ubocznie, rodzi nowe pokolenie, czasem bardzo liczne, karmi je i niańczy. Bóg raczy wiedzieć, skąd się w takiej kobiecie bierze tyle sił! Jest spracowana, twarda jakaś, ale pogodna i uśmiechnięta, tylko że już z nałogu niejako nie przestaje pracować i gospodarzyć nawet przy gościu. Woła na dzieci, co które ma zrobić, zagląda do kuchni, czy tam co nie kipi, powraca, aby pokazać gościowi jeszcze to i owo. A przy tym wszystkim bierze na siebie część zmartwień męża i nie mówiąc o tym nikomu, gryzie się myślami, że i on może pewnego dnia stracić pracę, jak traci ją tylu jego towarzyszy. Mocna kobieta. Mocni ludzie ci kochani Ślązacy.

Żegnam ich serdecznym słowem i postanawiam pojechać jeszcze raz w okolice Bogumina, zawsze dla mnie jakieś nieuchwytne, niesyntetyczne i zdecydowanie niefotogeniczne. Żandarmi czuwają, żeby tu nikt, broń Boże, nie sfotografował czego. Zrazu zdawało się, że to nadmiar gorliwości osobistej, ale potem wyszło rozporządzenie urzędowe, że w pasie granicznym nie wolno nic fotografować. No trudno, rozporządzenie jest rozporządzeniem. Staram się tym dokładniej wszystko obejrzeć i poznać, ale Bogumin i jego okolice nie poddają się.

Ktoś powiedział dość trafnie, że Cieszyńskie to zmotoryzowane piękno. Nawet kopalnie karwińskiego rewiru nie są pozbawione pewnego piękna w falistościach gruntu, w budowlach, w ich układzie. Tutaj ten romantyzm kończy się raptem. Ziemia jest wysuszona, powietrze dygocze nad nią jak nad Saharą, samochody śmigają w tumanach kurzu. A ten kurz okolic bogumińskich, to nie kurz, ale drobniutki pyłek, coś w rodzaju mielonego grafitu, który nie tylko brudzi, ale po prostu czerni. Samochody ciężarowe jadą jeden za drugim z żelastwem, drzewem, koksem, worami mąki. Kurzy się spod nich i z nich samych, a szoferzy w płóciennych spodniach koloru ciężkiej pracy, w szarych koszulach z podwijanymi rękawami i w czapkach sportowych zsuniętych na tył głowy, powożą pół leżąc, zrezygnowani, czarni od kurzu, po prostu wieczni w swoim nigdy nie kończącym się trudzie.

A krajobraz? Żaden. Raptem w polu inspekta rozległe, ogród niegrodzony i potem długo nic. Ładna willa z ogródkiem, zaś opodal wysoki szary płot z mnóstwem kolorowych afiszów typu kinowego,

a za nim beczki ze smarami. Czuć z daleka naftę i oleje różne. Dwa trzy domki niepodobne do siebie i bez dalszego ciągu, łączka za nimi, zarośnięta łopuchem, a u końca drogi gospoda w jednopiętrowym narożniku, panująca nad trzema ulicami. Szofer zeskakuje z ciężarowego samochodu i wpada do tej gospody na kufelek piwa: raz, dwa, trzy! Czasem gospodzki sam mu piwo wynosi, żeby nie tracić czasu. Samochód odjeżdża, a za nim cicho sunie zielony wóz tramwaju międzymiastowego. To nie jest krajobraz, to jest chaos.

Ale nieco dalej już jest perspektywa ulicy miejskiej. Domy zaczynają się szeregować, są sklepy, stoją na straży czerwone obeliski Standard Oil z benzyną, lecz ta ulica podobna jest do tunelu. Stoi nad nią ciemny kurz, w którym gubi się wszystko: drzewa przydrożne, domy, ludzie skazani na chodzenie takimi ulicami. Tu i owdzie kopci kominek żelazny niewielkiej fabryki, zaś opodal jakiś milczący skład zamknięty jest na cztery spusty. Dopiero dalej zaczyna się miasto trochę już znośniejsze i bardziej ludzkie.

Bogumin to wielomian. Jest Bogumin-miasto, Bogumin-dworzec i wreszcie Nowy Bogumin; pooddzielane od siebie kilometrami pustkowi. Gdy się z Orłowej jedzie prosto na zachód przez Rychwałd, Hermanice, Wierzbicę, to się dociera już nie do Ostrawicy, jak od Starych Hamrów po Gruszów, ale do Odry. Jeździłem i chodziłem tymi drogami często. Według statystyki urzędowej tu już nie ma Polaków, albo jeśli są to reprezentują bardzo nikły odsetek. Myślałem, że tu już wszyscy mówią tylko po czesku, ale ludność jest tu zupełnie taka sama jak w Trzanowicach, Karwinie, czy Bystrzycy i mówi tym samym śląsko-polskim narzeczem. Jeden z dużych hermanickich stawów np. nie nazywa się po czesku „rybnik", ale „Nový stav", chociaż wyraz „stav" oznacza w czeszczyźnie i stan, i grupę społeczną, i krosna tkackie.

Gdy się tu chodzi ze statystyką czeską w ręku, można by mniemać, że ludność polska zniknęła z tych okolic, ale tak nie jest. W Rychwałdzie np. ma być tylko 7,6% Polaków, ale z kimkolwiek wdać się w rozmowę, każdy mówi narzeczem śląsko-polskim. I co najważniejsza, spotyka się tu cudowne niespodzianki językowe, które radują serce swoją świeżością. Nawet w okolicach Bogumina, tak bardzo już skosmopolityzowanego, można jeszcze usłyszeć starą

piosnkę polską, której narzecze nie pozostawia najmniejszych wątpliwości.

Jak jo pójdym na Francuza,
bydzie płakać moja Zuza;
bydzie płakać i narzykać
jak mnie bydum już oblykać
do kabotka zielónego,
do brucliczka czyrwiónego.
A jo kłobuk na ucho:
Z Panym Bogym, dzieucho.

Ale to jest poza statystyką urzędową i poza troskami ludu, który w tych kryzysowych czasach i okolicach pochłonięty jest całkowicie walką o kawałek chleba. Gdy poprawi się jego sytuacja materialna, wrócą zainteresowania, które na razie są dla tego ludu niedostępne. Jest on od nich odgrodzony mnóstwem spraw powszednich. Najprzód proste biologiczne życie. Wszystko inne później. Na razie liczy ludzi kryzys i on też robi statystykę.

Trzyniec
Widok ogólny





Karwina. Kolonia górnicza

Z CIESZYNA DO FRYSZTATU

Z Cieszyna do Frysztatu można pojechać na Łąki i Darków, drogą najprostszą i najkrótszą, albo też, gdy się po drodze więcej chce zobaczyć, drogą okrężną na Stanisłowice, Kościelec, Cierlicko, Górną Suchą, Karwinę i Sowiniec. Gdy się jedzie tą drugą drogą, to wnetże koło Mostów, tuż za Cieszynem, szofer odwraca się od kierownicy, robi szeroki gest ręką i rzuca jakby od niechcenia: — To jest hrabiego Larischa. — Zaś nieco dalej zatrzymuje samochód i każe patrzeć wstecz, na Trzyniec. Widok jest naprawdę bajeczny. W malowniczej dolinie w jasnym słońcu stoi mnóstwo dymiących

kominów, widać masę budynków fabrycznych, konstrukcji żelaznych, białych domów i domków i Bóg wie, co tam jeszcze. Najbardziej współczesna rzeczowość, jaką wyobrazić sobie można. Ale gdy się spojrzy nieco dalej, poza Trzyniec, widać różnie wycieniowane góry Beskidu, tak piękne, aż się robi tęskno. Tam jest znowu najczystszy romantyzm. I szofer wskazuje ręką na daleki horyzont, aby dodać, że szczyty, które widać na samym krańcu świata, to już słowacka Fatra.

Jedziemy dalej. Droga opada tu w dół i podnosi się szybko w górę. Maszyna zjeżdża z góry gładko niby łódź z grzbietu wielkiej fali i wspina się chyżo na grzbiet fali nowej. Cudownie! Przydroża niezrównane i nienapatrzone. Góry, pagórki, dolinki i doliny rozłożyste i szerokie, osiedla ludzkie, drzewa przydrożne i żelazne maszty, podające sobie z ręki do ręki kable elektryczne. Stanisłowice, Kościelec ze swoją legendą o Czarnej Księżnej, Cierlicko z białą kapliczką strzegącą bolesnej pamięci Żwirki i Wigury, rzeka Stonawka, z lewej strony Błędowice, przed nami Żywocice i Średnia Sucha... Nienapatrzony Śląsk!

I znowu, po długiej jeździe i po wielu kilometrach milczenia i kontemplacji, szofer wskazuje biały pałac w Solcy: — Hrabiego Larischa!... — A potem już co chwila: to szyb kopalniany, to wille, to wielki park, duże budowle administracyjne — wszystko hrabiego Larischa. Pamięć reaguje na to wspomnieniem opowiastki z czytanki rosyjskiej dawnych lat szkolnych. Pojechał jakiś cudzoziemiec do Holandii i w pięknym mieście ujrzał bogaty pałac. Pyta spotkanego Holendra po swojemu, czyj to pałac, a Holender na to, że nie rozumie pytania: „*Kan nit fersztan!*“ Cudzoziemiec dziękuje i idzie dalej. Ach, więc właścicielem bogatego pałacu jest Kanitfersztan. Gdy przybył nad morze i ujrzał mnóstwo wielkich statków, znowu pyta, czyje to statki i znowu zapytywani jeden po drugim mówią mu: „Kanitfersztan“. Bogaty człowiek ten Kanitfersztan. Ale wędrując po mieście widzi w pewnej ulicy orszak pogrzebowy: bogaty karawan i trumna ginąca w kwiatach. Czyj to pogrzeb? „Kanitfersztan“. I zasmucił się cudzoziemiec. Taki bogacz ten Kanitfersztan, mógł przecie żyć i używać, a umarło się mu tak zwyczajnie. To mi się przypomniało i do tego wspomnienia szofer dorzucił jakby potwierdzenie, przejeżdżając obok wielkiego parku. Wskazał na zakątek



Raj. Zamek Larischa

olbrzymiego ogrodu i rzucił: — Mauzoleum Larischów. Tu pochowano niedawno młodego 22-letniego syna Larischa. Pałace Larischa, parki Larischa, kopalnie, fabryki, domy i wille Larischa, ale i grób także Larischa. Grób jako ostatni wspólny mianownik bogatych i ubogich. Kanitfersztan!

Karwina to także sui generis „kan nit fersztan". Nie wiadomo, gdzie się zaczyna i gdzie się kończy. Przywykliśmy do miasteczek z rynkiem na środku i z uliczkami rozbiegającymi się na wszystkie strony. Tu jest inaczej: tu trochę Karwiny, owdzie trochę, a pośrodku pustawo, tu zabudowania szybowe z wysokimi hałdami, przypominającymi srogie szańce, tu znowu ulica, która naśladuje wielkie miasto wystawami sklepowymi, a wieczorem bije w oczy jaskrawizną neonów. Tu kościół, tam szkoła, tu jakiś placyk pusty, owdzie wielki cmentarz i, zdawałoby się, że już koniec tej Karwiny, ale za cmentarzem jakby nigdy nic: jeszcze wciąż Karwina z wielką szkołą i z dużym pomnikiem Masaryka na dziedzińcu.

„Patrz, co potem te karwy na Egipt przywiodły!" — powiada imć pan Rej z Nagłowic w swej postyli, komentując sen faraonowy o krowach tłustych i chudych, które w dawnej polszczyźnie nazywały się nie krowami, ale karwami. Karwina to przymiotnik dzier-

żawczy, taki sam, jak przymiotniki: matczyna, siostrzyna, młynarczyna. To znaczy, że Karwina była wsią krowią, do krów należącą, jak znowu sąsiednia Orłowa była wsią, należącą do orła. Inaczej mówiąc: Karwina była siedzibą krów i pasterzy, zanim stała się siedzibą przemysłu i górników. Aż dziw, że pasterz nazywał się kiedyś „karwatem“, a mięso wołowe nazywano mięsem karwim!

W Karwinie bywałem często, ale spoufalić się z jej topografią niesposób. Jest trudna, choć nie brak tu niespodzianek bardzo miłych. Gdy się na przykład przybywa od strony Łazów, które z daleka czuć gazem świetlnym ich olbrzymich koksowni, to przy wjeździe do Karwiny po prawej stronie na zboczu czarnych hałd żużlowych, gościa witają bielutkie pnie brzóz, zgoła tu nieoczekiwane. Hałdy miewają kontury bardzo malownicze, gdy się na nie patrzy z pewnego oddalenia, ale widziane z bliska przerażają swoim trupim wyglądem. Z tych żużli czarnych i szklistych nic się zrodzić nie może, dopóki czas cierpliwy nie rozłoży ich na pierwiastki, nie przesyci azotem powietrza, nie napoi wodą i nie przemiesza dokładnie z pyłem glinki urodzajnej. A na to trzeba wiele lat. Pozostawione czasowi i samym sobie, hałdy długo leżą umarłe, spasteuryzowane przez ogień i wyjałowione z wszelkich możliwości życiotwórczych.

Ale natura jest uparta i nieustępliwa: niepostrzeżenie, nieuchwytnie dla oczu, przemienia śmierć tych usypisk kopalnianych w nowe postacie życia, i wreszcie na hałdach ukazuje się delikatna, nieśmiała śniedź zieleni. Jakieś mchy czy trawki zdołały wczepić się korzonkami w żyźniejsze szczelinki tych żużlisk; i to jest początek. Trawka umiera wreszcie, ale użyźnia grunt pod nowy posiew życia i ostatecznie hałdy znikają pod soczystą zieloną trawą.

Gdy jednak na czarnym, szklistym, kaleczącym żużlisku ukazują się pnie delikatnych brzózek, jasne i nieskalane, wędrowiec przystaje i chciałby wierzyć, że te drzewka same się tu zasiały i same dają sobie radę w warunkach tak nieprzyjaznych. Byłyby zaiste godne podziwu i miłości, a człowiek przeciętny tak bardzo lubi podziwiać i kochać! Wbrew prawdzie mniej romantycznej, gotów razem z Maeterlinckiem snuć legendy o mądrości roślin i inteligencji kwiatów. Lecz ludzie świadomi rzeczy opowiadają, że w hałdzie trzeba wykopać obszerny dołek, wypełnić go gliną i dopiero potem można sadzić brzozę, licząc na jej wielkie umiłowanie życia i skro-



Kolonia górnicza w Karwinie

mne na ogół wymagania. Brzózka nie zawodzi tych oczekiwań i stąd to niespodziewane wzruszenie białych pni brzozowych na czarnych trupich hałdach.

Hałd w Karwinie pełno, a ich sylwety bywają nieraz fantastyczne. Jedziemy wzdłuż domów z czerwonej cegły i widzimy, że ta cegła została wypalona z gliny wybornej, jest twarda jak kamień, a domy z niej zbudowane długo opierać się będą tak zwanemu zębowi czasu. Mamy w Karwinie licznych już znajomych z dawnych czasów. Bywaliśmy tu i zimą, i wiosną, i w dni spiekoty letniej. Idziemy tedy prosto do znajomych górników, aby u nich posiedzieć i pogawędzić o tym i owym.

Kolonia górnicza w Karwinie przypomina po trosze Żyrardów. Uliczki jej powysadzane kasztanami, biegną śród ogródków, a w tych ogródkach stoją domy z czerwonej cegły, akurat jak w Żyrardowie. Ta jedynie zachodzi między nimi różnica, że w Karwinie domy robotnicze są wyłącznie parterowe i podzielone na cztery części, z których każda ma osobne wejście z własnym dziedzińczykiem i ogródkiem. Mieszkanie górnika składa się z obszernej kuchni i pokoju. Do kuchni wchodzi się ze dworu po stopniach przez mały przysionek. Na dziedzińczyku są obórki i chlewik. W każdym gospodarstwie górniczym chowają kozy, wieprza, króliki i gęsi.

Po drodze do znajomych spotykamy sporo bawiących się dzieci. Jest ich dużo, jak na kryzys współczesny. Stary bywalec tutejszy mówi nam, że to jeszcze nic, że dawniej bywało tu znacznie ludniej. Pokazuje nam jeden z domów i powiada, że w chwili wybuchu wojny w domu tym było 48 zdrowych i krzepkich dzieci górniczych, czyli że na rodzinę przypadało po kilkanaście pociech. Zaś przed laty trzydziestu była w Karwinie rodzina, która liczyła 21 dzieci. Dzieci żyły i były zdrowe. I dzisiaj nie brak w Karwinie małżeństw, mających po sześcioro, a nawet dziewięcioro dzieci.

Górnicy karwińscy, których miałem przyjemność poznać, to ludzie mili, uprzejmi, inteligentni. Nie utrudniają zbliżenia się do nich, ale przeciwnie, ułatwiają je na wszelki sposób. Orientują się doskonale, z czym się do nich przychodzi i mówią o swym życiu w sposób prosty, otwarcie i szczerze. Czy mają wysokie zarobki? Może tak, może nie. Zarobek sam przez się nic nie znaczy, trzeba go zawsze porównywać z cenami tego wszystkiego, na co się pracuje

Bywało tu w zagłębiu tak, że praca była droga, a życie tanie, dzisiaj jest przeciwnie: praca ogromnie potaniała, życie zaś jest na ogół dość drogie. Ale mogłoby być jeszcze gorzej.

Siedzimy na ławce w ogródku i gwarzymy. Co mogło spowodować takie gwałtowne potanienie pracy przy jednoczesnym podrożeniu potrzeb życia powszedniego? Bo mogłoby się zdawać, że jeśli praca jest tania, to i wytwór tej pracy nie powinien być drogi. Tymczasem jest właśnie przeciwnie. Czytali tu Forda i mówią, że kto wie, czy nie ma on racji, gdy twierdzi, że dla podniesienia zbytu wyrobów przemysłu należy podnosić zarobki robotników. Sprawa krążenia, taka sama jak w żywym organizmie. Gdy krążenie jest zbyt szybkie, źle, gdy jest zbyt wolne — niedobrze. Teraz jest ono chyba zbyt wolne, ale co jest przyczyną tego wolnego tempa, Bóg raczy wiedzieć.

A jak się tu żyje ludności polskiej w nowych warunkach? Okazuje się, że pod każdym względem gorzej, niż przed wojną. Inżynierowie i dyrektorzy czescy starali się o to, żeby się tu przysłużyć swemu narodowi, więc na wszelki sposób pociągali ludzi w swoją stronę, czy to przy wyborach, czy przy zapisach do szkół powszechnych. Mówi się, że pieniądz przyciąga pieniądz. Ale pieniądz przyciąga nie tylko pieniądz: lgnie do niego życie ludzkie z pracą swoją, wysiłkiem, talentem, wiedzą. Człowiek chce żyć i musi zarobić na życie. A inny człowiek, który rozdaje pracę, stawia różne warunki...

Jakież tu stawiają warunki? E, tak wyraźnie się tych warunków nie stawia, ale one istnieją i obowiązują. Od ich przyjęcia lub odrzucenia zależy dla człowieka pracy wszystko. Na przykład górnicza kasa bracka w Morawskiej Ostrawie wydała 26 stycznia 1936 roku takie wezwanie do swoich członków: „Bracka kasa w Morawskiej Ostrawie w czasie niedalekim wydawać będzie wszystkim członkom swoim brackie legitymacje w różnych tekstach. W tym celu wzywamy wszystkich robotników, prócz robotników narodowości czeskiej, aby się zgłosili w kancelarii zakładowej najpóźniej do 30 stycznia br., i wyrazili życzenie, w jakim tekście chcą otrzymać swoje legitymacje."

Zgłaszać się mają tylko robotnicy narodowości nieczeskiej, a raczej zgłaszać się nie muszą robotnicy narodowości czeskiej. Ci, co



Karwina. Mieszkanie górnika

się zgłaszają, zostają wynotowani jako kandydaci najbliższych redukcyj, bo tu panuje zasada: „*Máme práci jen pro své lidi*". Ci, co się nie zgłaszają, aby uniknąć przykrych następstw, zostają automatycznie wliczeni do narodowości czeskiej, otrzymują legitymację czeską i przy sposobności bywają pytani, dlaczego to nie posyłają dzieci swoich do czeskiej szkoły i dlaczego nie przyłączają się do czeskich organizacji patriotycznych? Kto nie chce stracić pracy jako jedynej tutaj możliwości istnienia, musi się przystosować do panującego systemu, choćby go to bolało nie wiem jak. Takich sztuczek zdarza się tu dużo.

Domy robotnicze w Karwinie uderzają przede wszystkim pewną standaryzacją swoich urządzeń. Nie trudno domyślić się, że te mieszkania, osobliwie mieszkania młodszego pokolenia, urządzała specjalna firma na dogodnych dla górników warunkach. Kuchnia i pokój mieszkalny w jednym mieszkaniu są takie same jak w dru-



Karwina. Polska szkoła ludowa

gim. Te same łóżka, szafy, krzesła, a nawet radiowy aparat odbiorczy, czy fonograf, podobny jeden do drugiego. Powiększone fotografie właścicieli mieszkania w ramach przystosowanych do całości to także standard i schemat rzeczy, które bierze się na spłaty miesięczne. Tu już nie ma ani śladu tych pięknych „trówel" i „olmaryj", jakie widuje się jeszcze po starych domach wiejskich w Jabłonkowskiem czy Frydeckiem. Poznikały też stąd ostatnie ślady stroju ludowego, a zurbanizowany człowiek tego kraiku jest klasycznym dowodem po Spenglerowsku pojętej bezdomności człowieka miejskiego.

Wnętrza górniczych mieszkań karwińskich są beznadziejnie jednakie. Poznikały z nich ostatnie ślady tradycji w sprzętach czy strojach. Tu już w ogóle nie ma sprzętów, ale są meble, i wszystko w tych mieszkaniach: łóżka, krzesła, szafy, obrazy, linoleum, a nawet szklany dzwon z paciorkami fantazyjnymi u lampy elektrycznej, to powszechność i powszedniość. To samo widzi się w Karwinie, w Łazach, w Orłowej, w Suchej. Nieraz ma się wrażenie, że ślady komiwojażerów, którzv tego wszystkiego dostarczyli, można by jeszcze odszukać w pobliżu domu. Komiwojażer urządził kuchnię, dostarczył mebli do pokoju i czuwa nad tym, aby nikt inny

nie dostarczał „jego“ rodzinie fonografów, radia, wózka dziecięcego i tego wszystkiego, co nabywa się po kolei na spłaty miesięczne.

Mimowoli myśli się tu dużo o pewnym pisarzu czeskim, Janie Herbenie, który kupiwszy sobie kawałek ziemi na wsi, korzystał z każdej nadarzonej sposobności, aby uciec z Pragi i posiedzieć „na swoim“. Mówił on, że dostrzega wyraźną zmianę w swej psychice, odkąd przestał być jednym z niezliczonych Janów bez ziemi i odkąd mógł siadywać w ogrodzie swoim, aby zaczerpnąć nowych sił do walki w mieście i z miastem. Dusza jego przestała być bezdomną i kosmopolityczną, gdy związała się z kawałkiem ziemi, który od centrum globu ziemskiego aż po obłoki był uznaną jego własnością osobistą. W jednym z felietonów napisał Herben dosłownie: „Ja, Jan Herben, siedzę tutaj pod jabłonią, na swoim“.

W tej kolonii górniczej przypominają się bezustannie i „Lešetinský kovář“ Svatopluka Čecha, który za żadne skarby świata nie chciał ustąpić ze swego kawałka ziemi, i młynarz niemiecki, który bezwzględnemu królowi pruskiemu, Fryderykowi II groził sądami berlińskimi, jeśli król nastawać będzie na jego prawo do rozporządzania swoją ziemią, a wreszcie i nasz twardy Drzymała, który niby Anteusz trzymał się ziemi, rozumiejąc, że bez niej stanie się bezsilnym nędzarzem.

Każdy przeciętny górnik śląski miał kiedyś bezpośrednie prawo do kawałka ziemi i tym swoim prawem był mocny. Na tym kawałku ziemi stała chata jego dziadów i pradziadów, a w niej były sprzęty, jakie odpowiadały ich potrzebie i upodobaniom. W świetlicy stała „trówła“ malowana w ładne kolorowe kwiaty, a w niej leżały troskliwie poukładane stroje odświętne tych ludzi. Suknia babki z żywotkiem bogatym, jedwabny fartuch, czepek ko-

Karwina. Pomnik ofiar katastrofy z 14 VI 1894

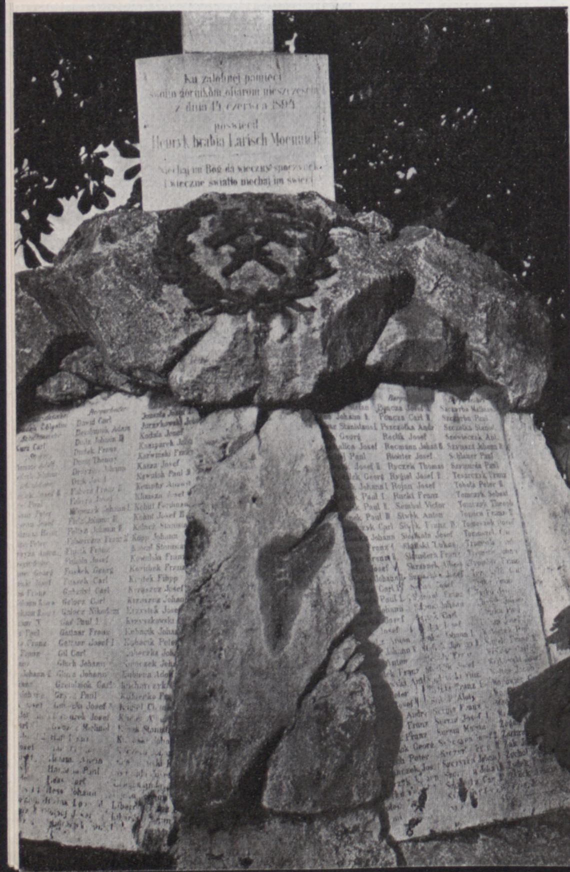


ronkowy i jedwabna szatka. Obok jej stroju leżał dziadków surdut sukienny, czy może bruclek ze srebrnymi guzikami, odziedziczony po ojcu. W wewnętrznym „przytrówliku“ chowano uciułane grosze i spoglądano na nie niby na zaszczytną odznakę za wierną pracę dni, miesięcy i lat. Tamci ludzie wiedzieli: ta trówła stoi w naszej chacie, a ta chata stoi na naszym, a to „nasze“ sami orzemy i obsiewamy, ciesząc się pradawnym obyczajem, gdy ziemia urodzi, albo smucąc się, gdy grady posiekły plony albo gdy spaliło je słońce.

Zaś wnuk tamtych ludzi mieszka w kolonii robotniczej, która nie jest jego, pracuje w kopalni, która do niego nie należy, a gdy zmęczony pracą całodzienną odpoczywa, to leży na łóżku, którego nie wybrał sobie według własnego upodobania. Co za ironia tkwi tutaj w słowie: „człowiek osiadły“! Mieszkanie, czyli miejsce najwyższych ludzkich radości i najboleśniejszych smutków, miejsce, które było świadkiem jego szczęścia, uciech niewinnych jego dzieci, trosk i zabiegów jego żony, to wszystko, co tu było najbardziej jego własnym i najistotniej swoim, przejdzie w posiadanie ludzi obcych, którzy nic o życiu tego mieszkania nie wiedzą i wiedzieć nie będą.

Przechodni domek, niczyj, cudzy, i tą cudzością smutny. Tutaj, w tych okolicach górniczych powstało wzruszające i pełne symboliki opowiadanie o Fontanie, duchu kopalnianym, który stroskanego górnika, siedzącego w szybie „wzion za rynke i prawi mu: pódź symnom... Chłop sie wzion i poszeł... Chodzili po jakichsikej dziurach i dołach, oglondali piekne wyngli, rudy złota i strzybła. Wszystko sie tam świyciło, jakby w zaklyntym zomku... Nasz chłop ni móg sie tymu wszystkimu nadziwać i byłby może porzad stoł i dziwoł sie na ty dziwy, dyby nie był na niego zawołoł tyn, kiery go prowadzoł: — No, a teraz

Karwina.
Pomnik ofiar katastrofy z 14 VI 1894 r.



pódźmy naspadek. — Wracali tom samom cestom, kierom priszli. Jak byli na miejscu skond wyszli, tu sie stracił Fontana, bo to on był, co tego naszego chłopa tak posmykoł...“

Górnik wrócił na powierzchnię ziemi i szukał swego domu i swoich ukochanych, ale ich nie znalazł. Nie spotkał też nikogo spośród znajomych. Nawet farorz i ten był już inny. Gdy mu górnik opowiedział, jak się nazywa i co mu się przygodziło, farorz zaczął szukać w swoich księgach i wtedy się pokazało, że ów górnik przesiedział pod ziemią sto lat, chociaż zdawało mu się, że to tylko chwila. Nie zastał już swoich najdroższych, nie odnalazł chaty rodzinnej, nie spotkał ani jednego przyjaciela. W tej opowieści zawarte jest doświadczenie nie jednostki, ale całego plemienia. Sto lat siedział górnik pod ziemią, pracując ciężko, a tymczasem na powierzchni ziemi inni, obcy ludzie, pozagarniali wszystko: dom, ziemię, rodzinę, przyjaciół, a nawet mowę ojczystą.



Karwina. Kaplica górnicza dla upamiętnienia katastrofy 14 VI 1894 r.

Był w Czechach poeta skromny, o którym w Polsce nikt zapewne nie słyszał, nazwiskiem Š o l i n-L e d e c k ý. Z utworów jego znam zaledwie parę słów: „*Chaloupky naše, bud'te požehnány!*“ (Chatki nasze, bądźcie błogosławione!) Błogosławić miłością i przywiązaniem można tylko chatki, o których wiadomo, że są nasze. I tylko w swym własnym, dziedziczonym po ojcach i przekazywanym dzieciom, stworzyć można coś trwałego i pięknego, w co warto włożyć duszę. Dlatego też każdy Ślązak marzy o tym, aby posiąść „kónsek pola“ i zbudować na nim własny domek, w którym można



Karwina Szyb Hoheneggera i stary dwór

przetrwać samego siebie w dzieciach i wnukach. Człowiek, mieszkający w domku przechodnim, w cudzych meblach, we wszystkim obcym i dalekim, jest tragicznie bezpotomny. Tutaj na Śląsku rozumie się tak dobrze słowo Norwida o stylu i symbolice krzywizny stodół polskich! W nich jest zaczątek życia, w nich razem ze zbożem siewnym drzemie przyszłość, której nie ma w domach cudzych, ani w wysokich kamienicach wielkich miast, ani w najdroższych i najwspanialszych hotelach stolic świata. Wszelka kolonia górnicza to wielki daremny wysiłek, zbiorowa nieustanna troska, praca na pańskim i smutek.

Z Karwiną, po której teraz chodzę, łączy mnie odległe wzburzenie, trwoga i żal. Byłem młodym chłopcem, gdy jakoś w sobotę po wypłacie 16 czerwca 1894 roku rozeszła się po Żyrardowie wieść o wybuchu podziemnych gazów w kopalni karwińskiej i o dwustu kilkudziesięciu górnikach odciętych od świata pożarem podziemnym. Gazety pisały wtedy dużo o tej strasznej katastrofie, o daremnych próbach uratowania zagrożonych górników i o tym, że dla ratowania szybu trzeba było część kopalni razem z pozostałymi w niej zmarłymi, czy konającymi górnikami, zamurować. Robotnicy kupowali gazety i wieczorami po pracy zbierali się gromadkami i kazali je sobie odczytywać dzieciom, chodzącym do szkoły. Wspominam to wielkie przygnębienie słuchających i czytających, gdy wreszcie gazety doniosły, że już pukania nie słychać, że widocznie już żaden z zasypanych nie żyje. Stało się to na dwadzieścia lat przed wybuchem wojny światowej, gdy jeszcze nikt nie przeczuwał, że aeroplany zabijać będą kobiety i dzieci i że armie walczyć będą przy

pomocy gazów trujących i miotaczy płomieni. Śmierć 240 górników wstrząsnęła sercami potężniej, niż później wstrząsnąć nimi mogła śmierć setek tysięcy młodzieńców, poszarpanych, pozatruwanych gazami, oślepłych... Nikt z nas wtedy nie wiedział dokładnie, gdzie jest ten Śląsk ze swoją Karwiną nieszczęsną. Żal potęgowało to, że górnicy, którzy tam stracili życie w wielkiej katastrofie, byli braćmi naszymi.

Gdy zdarzyło mi się być w Karwinie, pierwsze kroki skierowałem na cmentarz, aby zobaczyć wielką mogiłę tych poległych, w których pogrzebie uczestniczyła serdecznie cała Polska. Powiedziano mi, że trzeba iść w prawo od głównego wejścia, ale zabłądziłem i zaszedłem na zbiorowy grób kilkudziesięciu górników, którzy zginęli w podziemiach przy wybuchu gazów 16 marca 1895 roku. Wysoki czarny krzyż żelazny i na cokole napis po niemiecku i po polsku, głoszący w biurokratycznie nędznym tłumaczeniu niemieckiego tekstu, że „tu spoczywają przy wykonywaniu swego powołania dnia 16 III 1895 zmarli arcyksiążęcy górnicy". A pod tym napisem nazwiska: Prachowski, Swaczyna, Cieślar, Dostal, Janik, Kempny, Krzystek, Lakota, Sikora, Strzołka, Zawadzki, Zajączek, Chraptek, Adamek, Capek, Gongol, Niemiec, Szuścik, Szostek,



Karwina
Pomnik ofiar katastrofy z 12 IV 1924 roku

Schlossarek, Siekierka, Woracz, Zopora, Betti, Biegun, Jędryszak, Kościelny, Misterka, Motyka, Schaffarczyk, Spernol, Wierba. Prawie wyłącznie nazwiska polskie, a śród nich niektóre powtarzają się parę razy.

Skąpy arcyksiążę kazał w jednej ze swoich hut odlać tani żelazny krzyż i pod tym krzyżem spoczywa wiecznym snem 52 górników. Kopalnia arcyksięcia Fryderyka, którego całe Cieszyńskie wspomina jako „wieszatiela", już dawno przeszła w posiadanie Towarzystwa górniczo-hutniczego w Pradze. Zmieniają się właściciele kopalń i hut, tylko robotnik jest zawsze ten sam, czy nazywa się Jędryszak, czy Szostek, czy wreszcie Sikora. I zawsze ta sama jest jego dola.

Znacznie większa jest mogiła ofiar olbrzymiej katastrofy kopalnianej, która 14 czerwca 1894 pochłonęła życie 240 górników. Biały wysoki krzyż z marmuru jest pomnikiem wszystkich zabitych wtedy przy wybuchu gazów kopalnianych, ale spoczywa tu na cmentarzu tylko 112 górników, których zwłoki wydobyć zdołano. Resztę poległych zamurowano w płonącym szybie niby w olbrzymim krematorium, a miejsce ich wiecznego spoczynku oznaczono podziemną kapliczką, zbudowaną w pobliżu miejsca katastrofy. Bo-



Karwina
Hałda szybu
Henryka



Karwina
Szkoła klasztorna

gaty i skąpy Habsburg kazał na żelaznym krzyżu powypisywać imiona ofiar z niemiecka, tak jak je zapisywano w „lonbuchach" czyli księgach obrachunkowych.

Jakoś szlachetniej i piękniej wygląda wielki marmurowy krzyż na bratniej mogile 240 górników poległych w kopalni Larischa-Moennicha. Napis jest tu jednojęzyczny, polski. Ponieważ zaś większa część zwłok górników pozostała w płonącym szybie, przeto nie napisano, że „tu spoczywają" ci a ci, lecz ułożono napis inny:

„Ku żałobnej pamięci swoim górnikom,
ofiarom nieszczęścia z dnia 14/6 1894
poświęcił Henryk hrabia Larisch-Moennich.
Niechaj im Bóg da wieczny odpoczynek
i wieczne światło niechaj im świeci!"

Dziwnie brzmi to westchnienie, aby Bóg dał umarłym górnikom wieczny odpoczynek, gdy na ziemi mieli go tak mało, i aby świeciło im wieczne światło, gdy tutaj życie spędzali w mrokach podziemnych. Nazwiska w tragicznej większości, niemal wyłączności, polskie. Nie podobna wymieniać wszystkich, ale podam przynajmniej kilkanaście: Gicorek, Opioł, Paździora, Zielina, Bartnicki, Bardoń, Bąk, Adamiec, Brzuska, Buława, Gabzdyl, Durek, Duda, Drzazga, Grendziok, Michejda, Misterek, Węgrzyn, Szyrzyna...



Sucha Górna.
Pomnik ofiar wojny 1914—1918

Dokoła bujne życie roślinne. Drzewa, krzewy, wysoka jasna i wesoła trawa, kity szczawiu, kampanule, jaskry, wyka, złociste kwiecie mniszka, różowa koniczyna, mietlica i dużo kwiatów, których nazwy są mi nieznane. Widok na wszystkie strony melancholijnie piękny z tej perspektywy wiecznego spoczynku bohaterów pracy. Z prawej strony zielona kotlina, prawdopodobnie po wyschniętym stawie, z lewej wysokie równe hałdy, niby czarny szaniec śmierci, strzegący tych miejsc usianych mogiłami. Obok czarnej hałdy zieleni się i faluje zboże, jarzy się w popołudniowym słońcu łąka. Zaś z tyłu, po drodze, która wiedzie ku głównemu wejściu na ten wielki cmentarz karwiński, śmigają samochody, biegają dzieci, suną wozy, przelewa się tłum ludzi, tych właśnie, którzy za tyle a tyle lat spoczną tutaj, aby zrobić miejsce nowym górnikom, nowym urzędnikom i szoferom.

Długo siedzę na ławeczce tego wielkiego ogrodu umarłych i poddaję się uczuciom, które daremnie szukają wyrazu. Jak na wszystkich cmentarzach, tak i tutaj zaciera się linia między życiem a śmiercią i śmierć traci tu zgrozę tego wszystkiego, co ją poprzedza. Tu już jest cicho i wieczne odpocznienie. Krewni umarłych przychodzą z kwiatami i z żalem, i z niemą miłością, a potem wracają do domu, do życia, do walki o kawałek chleba, do tysiąca zgryzot i, trudna rada, do radości istnienia.

Wychodzimy razem z nimi za bramę cmentarza i ruszamy do F r y s z t a t u. Z labiryntu dróg i dróżek, kolei żelaznych i domów, szybów kopalnianych i hałd wydostajemy się wreszcie na wolniejszy przestwór w okolicy Sowińca, wielkiej kolonii robotniczej.

Chwila jest podwieczorna i w dolinie Olzy wieje jakiś błękitno-zielony wiatr, szerokoramienny i śmigły. Przejeżdżamy przez jeden z wielu mostów na Olzie i niebawem widzimy dziwnie ładną w swej oryginalności wieżę kościoła frysztackiego. Jeszcze jakiś opętany kilometr i jesteśmy na obszernym rynku frysztackim. Stop, wysiadamy, aby pochodzić po tym rynku, nacieszyć się nowymi wzruszeniami i wrażeniami.

Bywaliśmy tu w gwarne dni targowe i w uroczyste przedpołudnia niedzielne, gdy na rynku panował ruch i gwar. Teraz jest cicho i przedwieczorna melancholia spływa na miasto długimi cieniami. Stary pałac Larischa przypomina układem skrzydeł — oczywiście, *mutatis mutandis!* — pałac Saski w Warszawie. Wysoka wieża ratuszowa stoi osamotniona jakaś śród chaosu stylów kapryśnych i miejscami dziwacznych. Błękitno-zielony wiatr zmienia się stopniowo w niebieski i chłodny. W rokokowej fontannie frysztackiej, podobnej do olbrzymiego tortu, cicho pluszcze woda. Przed sklepy wychodzą ich właściciele, aby odetchnąć przedwieczornym rzeźkim powietrzem. Gdzieś w bocznej uliczce zadzwonił tramwaj i nie kwapiąc się, wjeżdża na zacichający rynek.

Podchodzimy ku kościołowi, który za każdym razem zdumiewa swym dziwnym ustawieniem się tyłem do rynku i całego miasta. I to jeszcze w ukos ku północo-zachodowi. Tu jest wszystko dziwnie ładne i ujmujące. Dwie nawy jedna przy drugiej, a nad nimi wieża ze smukłą ostrą strzechą i niespodzianym załamaniem linii. Święty Patryk w barokowej szacie i na barokowym cokole stoi w cieniu wieczornym z pastorałem w ręku i z prawicą podniesioną do błogosławieństwa. Między dwiema tylnymi przyporami absydy krzyż z umęczonym Chrystusem. Na podbudowie krzyża polski napis: „Ojcze w ręce twe polecam ducha mojego". W środek, między obie nawy wbiega smukła galeryjka, łącząca zamek z kościołem, a spoza łuku galeryjki widać otwartą kapliczkę grobu Chrystusa.

I ten święty Patryk i ta galeryjka, i obie przypory muru kościelnego z krzyżem pośrodku, i cienie wieczorne, wszystko to mówi o czymś ogromnie zrozumiałym i prostym dla oczu, dla serca, ale trudno to wyrazić w słowach i opowiedzieć komuś, kto tego sam nie widział. Ten zakątek Frysztatu jest raczej inspiracją niż treścią określoną. Tu jest melodia i harmonia dla muzyka, tu kryją się gdzieś

przepiękne strofy czekające na poetę, i obrazy, które uradowałyby serce malarza. Tutaj trzeba wracać i długo patrzeć na wszystko, aby pojąć, czy choćby tylko odgadnąć ludzi, którzy tu żyli, cierpieli, pracowali i budowali te pałace, kościoły, wieże ratuszowe i proste domki, których już nie ma.

Stara kronika powiada, że posąg biskupa Patryka zbudował Mylord Mikołaj Taaffe hrabia Karlingenfort, Irlandczyk, który opuściwszy ojczyznę, gdzie Anglicy uciskali katolików, kupił w roku 1749 Frysztat i ufundował posąg wielkiego świętego swej dalekiej ojczyzny. Co zaś do krzyża kamiennego z polskim napisem, to taż sama kronika powiada, iż stał tam niegdyś krzyż drewniany, ale drzewo było już zmurszałe, więc w roku 1872 pani Maria Weberowa wespół z ks. Karolem Hudźcem zbudowali ten nowy krzyż kamienny. U dołu są istotnie inicjały: M. W. i K. H. I data: 14 września 1872 roku.

Tutaj wszystko ma swoje znaczenie i na każdy krzyż przydrożny należy zwrócić uwagę. Koło Wierzbicy między czterema topołami siostra radnego Kwasnicy ufundowała krzyż. Bezruč patrząc na ten krzyż jął symbolicznie rezonować w wierszu „Vrbice":

„Na głowę wetknęli mi cierniową koronę pod Boguminem,
rękę przybili mi w Ostrawie, w Cieszynie serce mi przebili,
w Lipinach napój dali mi z octu,
na Łysej nogi przybili mi gwoździmi..."

Miał to być symbol umęczonych Morawców. Wzruszał mnie, dopóki wierzyłem w istnienie Morawców. Gdy się przekonałem, że Morawcy to najzwyczajniejsza fikcja, symbolika tego ukrzyżowania wzruszać mnie przestała. Ujrzałem ukrzyżowanie inne, które jeszcze nie zostało dostrzeżone w całej swej wielkości i nie mogło być jeszcze opowiedziane.

Dość. Robi się chłodno i zapada zmierzch. Do domu! Teraz miło będzie usiąść do pracy nad uporządkowaniem tego wszystkiego, co się widziało i tego, czego się doznawało. Wsiadamy do samochodu i drogą gładką jak stół pędzimy na Darków i wzdłuż stawów łączańskich zmierzamy ku Cieszynowi. Z daleka widać amfiteatralnie rozbudowany Cieszyn polski, a nad jego strzechami wysoką wieżę kościoła ewangelickiego, zaś nad wzgórzami za Olzą jaśnieje na niebie księżyc.

Frysztat. Kościół parafialny



FRYSZTAT i OKOLICA

Po Zaolziu wędrowałem z pewnymi intencjami, a mianowicie, aby się przekonać naocznie, jak ten kraik przedstawia się pod względem etnograficznym przede wszystkim. Może dlatego zapamiętałem tak dobrze targowy piątek 29 maja, gdy na całym rynku frysztackim stał stragan przy straganie i gdy wszędzie rozbrzmiewał wyłącznie język polski. Tylko jeden sprzedawca jarzyn zachwalał swoje ogrodowizny w języku czeskim.

Ponieważ czytałem nieraz, że probostwa parafii polskich obsadzane bywają coraz częściej przez proboszczów czeskich, postanowiłem zwiedzić Frysztat której niedzieli, aby się przekonać, jak tu jest w kościele. Sądząc z tego, że nawet przez Czechów Frysztat uznawany był zawsze za miasto polskie, jakim jest istotnie dotychczas, można było mniemać, że w kościele frysztackim odbywają się nabożeństwa wyłącznie w języku polskim.

Byłem we Frysztacie w niedzielę 19 lipca i już przy wejściu na rynek ujrzałem procesję z krzyżem i chorągwiami, zmierzającą przez frysztacki rynek we wschodnim kierunku. Powiedziano mi, że dzisiaj młody polski ksiądz odprawiać będzie pierwszą mszę i że procesja, którą widziałem, idzie do mieszkania prymicjanta, aby go uroczyście sprowadzić do kościoła. W tym samym czasie w kościele odbywało się nabożeństwo „morawieckie", chociaż do roku 1920 nigdy tu nabożeństw czeskich nie było, bo ludność jest tu wyłącznie polska, co uznawali zawsze nawet działacze czescy. Czeszczyzna „liturgiczna" byłaby już dawno znikła z kościołów Cieszyńskiego, ale była wszędzie sztucznie podtrzymywana, a po podziale Cieszyńskiego wprowadzono ją nawet do kościołów polskich jako punkt wyjścia przy krzewieniu czeszczyzny. We frysztackim kościele odbywają się więc nabożeństwa w języku polskim, czeskim i niemieckim.

Przy sposobności dowiedziałem się, że w Zaolziu w r. 1918 na 26 parafii 18 obsadzonych było przez proboszczów polskich, 6 przez czeskich i 2 przez niemieckich. W roku 1933 proboszczów polskich



Darków
Sanatorium

pozostało już tylko 11, gdy liczba proboszczów czeskich z 6 wzrosła do 14. Niemcy z dwóch swoich probostw stracili jedno. Nabożeństwa i kazania w r. 1918 odbywały się w 17 parafiach wyłącznie po polsku, polsko-czeskie nabożeństwa w tym samym czasie odbywały się w 5 kościołach, a polsko-niemieckie w 4. W r. 1933 nie ma już ani jednego kościoła z wyłącznymi nabożeństwami polskimi, lecz wszędzie odbywają się albo polsko-czeskie (16), albo polsko-czesko-niemieckie (4), albo wyłącznie czeskie (6). Błędowice, Cierlicko, Bogumin-Miasto, Cieszyn Czeski, Dąbrowa, Karwina, Niemiecka Lutynia, Rychwałd to miejscowości, w których od czasów odrodzenia narodowego pasterzowali proboszczowie polscy, a które obecnie poobsadzano proboszczami czeskimi. W rękach polskich pozostały probostwa we Frysztacie, Końskiej, Łąkach, Łomnej Górnej, Mostach koło Jabłonkowa, Ropicy, Stonawie, Suchej Górnej, w Trzycieżu, Gnojniku, Trzyńcu i Wędryni.

Do Frysztatu jechałem tym razem na Łąki i Darków. Niedziela była wyjątkowo upalna, ale droga jest piękna jak bodaj wszystkie drogi cieszyńskie. Biegnie ona zrazu wzdłuż Olzy nad samą granicą polsko-czechosłowacką i wzdłuż toru kolejowego, który oddala się od drogi dopiero za lasem oborskim. Gdy po stronie naszej podczas obchodu dziesięciolecia prezydentury prof. Ignacego Mościckiego wywieszano flagi, to miejscami powiewały one o kilkadziesiąt kroków od drogi biegnącej z Cieszyna do Ligotki Alodialnej. Ale granica jest wszędzie bacznie strzeżona i nawet krewni, mieszkający po obu jej stronach, mogą się odwiedzać tylko z przepustkami w ręku,

Bardzo ładnie wyglądają stawy łączańskie, osobliwie w nocy, gdy przegląda się w nich księżyc. Niedaleko za Łąkami bieleje D a r k ó w ze swoimi głośnymi źródłami jodo-bromowymi. Z prawej strony mostu darkowskiego na Olzie widać stare łazienki, ogromnie już niemodne, a nieco dalej duże sanatorium w stylu najwspółcześniejszej rzeczowości. Koło sanatorium widać staruszków, pokręconych reumatyzmem, dzieci skrofuliczne i ludzi młodszych, leczących tu skutki chorób natury zakaźnej. Kąpiele darkowskie mają ustaloną sławę.

Niedaleko za Darkowem po lewej stronie drogi zaczyna się wysoki płot, otaczający rozległy park Larischa-Moennicha, którego posiadłości sięgają pono aż do naszych Zebrzydowic. Przy wjeździe do Frysztatu krzyż kamienny, a opodal święty Florian serdecznie prymitywnie wykoncypowany, stoi na kamiennej podstawie i leje na nią wodę z kamiennej stągwi. Woda jest także kamienna. Rzecz osobliwa, że te proste posągi cieszyńskie przykuwają uwagę i zmuszają do kontemplacji. Święty Florian to stary znajomy. W podobnym ujęciu ludowym widuje się go nawet w dalekim Tyrolu, gdzie lud otacza go wielkim kultem. Ten kult jest bardzo zrozumiały,



Zamek w Solcy L a r i s c h a-M o e n n i c h a

gdy uprzytomnimy sobie skutki tych strasznych klęsk, jakie jeszcze niedawno stale nawiedzały miasta i miasteczka. Na widok posągu św. Floriana trudno nie przypomnieć sobie, że nawet taki Londyn bywał dawniej niemal stale nawiedzany przez pożary i że jeszcze w r. 1666 olbrzymi parodniowy pożar zniszczył w tym mieście przeszło 13 tysięcy domów.

Dzisiaj kult św. Floriana znajduje tu swoją stronę aktywną w postaci Związku polskich straży pożarnych. Oczywiście, straże pożarne powstawały w różnych miejscowościach Zaolzia już od dawna, bo i tutaj pożary bywały częstym straszliwym gościem, ale Związek polskich straży powstał dopiero w r. 1921. Siedzibą Związku jest oczywiście Czeski Cieszyn. Dzieli się ten Związek na cztery okręgi inspekcyjne: trzyniecki, jabłonkowski, cieszyński i frysztacki. Skupia on w sobie 72 straże ochotnicze z 3002 członkami czynnymi. Dorobek Związku jest duży i godny szacunku. Polskie ochotnicze straże pożarne posiadają 59 strażnic, 22 motorowe sikawki, 4 sikawki samochodowe, 57 sikawek ręcznych czterokołowych, 9 sikawek ręcznych dwukołowych. W strażnicach i urządzeniach tkwi majątek $3^1/_2$ milionów koron czechosłowackich; dług Związku wynosi mniej więcej trzecią część aktywów.

Frysztat ma dość duży przemysł jak na miasto liczące zaledwie około 8 tysięcy mieszkańców. Istnieje tu fabryka mebli giętych z rur metalowych i fabryka wagonów, ale sporo tego przemysłu przeniesiono do Morawskiej Ostrawy i Witkowic, tak że miasto jest w kryzysie, jak tyle innych miast całego świata. Frysztatowi byłaby się przydała kolej żelazna, ale gdy przed laty kilkudziesięciu budowano kolej północną, frysztaczanie zrobili wszystko, co było w ich mocy, aby linia kolejowa nie przechodziła, broń Boże, zbyt blisko ich stodół, które mogłyby się zająć od iskry lokomotywy.

W mieście tym pracował przez lat czternaście (1867—1881) jeden z czołowych budzicieli ludu śląskiego, A n d r z e j C i n c i a ł a, jako notariusz. On właśnie w pamiętniku swoim pisze o nieprzezwyciężonym uporze ojców Frysztatu, którzy nie chcieli dopuścić do siebie kolei żelaznej. Z pamiętnika jego wynika, że w mieście tym jeszcze względnie niedawno panowały stosunki iście bukoliczne. Gdy Cinciała wprowadził się do Frysztatu, niewiele miał do roboty jako notariusz, bo jego poprzednik odzwyczaił ludzi od korzystania

ze swej kancelarii. „Jego najulubieńszym zatrudnieniem było zbierać chrząszcze, grzyby i rośliny. Był on wielkim miłownikiem natury, znał się wyśmienicie na przyrodzie, a jego zbiory, mianowicie chrząszczy, były znakomite...“ Miał Cinciała dni urzędowe w sąsiednim Boguminie, dokąd musiał jeździć co tydzień. Wyjazdy te były dla niego połączone z niejednym kłopotem. Sam on pisze o nich w swoim pamiętniku:



Jarmark we Frysztacie

„Wtedy nie było jeszcze mostu przez Olzę pod Kąkolną, trzeba było przez wodę przejeżdżać, a przejazd ten przez wodę lub przez lód był dla mnie kwestią wielkiej wagi. Krytą bryczką nie można było przez Olzę przejechać, musiałem tedy jeździć na otwartym wózku, na ociepce słomy, derką przykrytej, bo taka tylko okazja dawała niejakie bezpieczeństwo przed wywróceniem się do wody. Niekiedy rano rzeka była mała i spokojna, ale z powrotem, gdy w górach deszcze spadły, groziło niebezpieczeństwo, a gdy człowiek wjeżdżał w wodę, to się żegnał i robił testament, jak gdyby nie miał na drugą stronę przejechać. Często trzeba było jechać i wracać przez Karwinę, która droga i gorsza i dłuższa była. Czasem trzeba



Frysztat. Rynek z wieżą dawnego ratusza

było wracać i przez Cieszyn i strawić dwa dni czasu i płacić podwójnie furmana. Jeździłem regularnie, aby ludzi na ten dzień przyzwyczaić, a gdy w tym dniu słota się trafiła, to bardzo wiele wycierpiałem. Jazda trwała więcej jak dwie godziny i trzeba było z powrotem spieszyć, aby nie zaćmieć, bo przejazd przez wodę w ciemności był straszny..."

W szkołach frysztackich za czasów Cinciały nauczano po niemiecku, chociaż chodziły do nich wyłącznie dzieci polskie. Gdy w roku 1880 władze przeprowadzały spis ludności, starano się naliczyć jak najwięcej Niemców. Starosta frysztacki, Klinger, wzdychał wtedy: „Mamy spis ludności, ale skąd-że my tu Niemców nabierzemy!" Poradzili sobie dobrzy ludzie i każdego, kto umiał powiedzieć „*Guten Morgen!*" zapisywali jako Niemca.

Zresztą w owych czasach Niemcy panowali nie tylko we Frysztacie, ale we wszystkich miastach Cieszyńskiego i wszędzie odwiecznym swoim zwyczajem germanizowali ludność przede wszystkim przy pomocy szkoły. Jak dalece utrwaliła się władza niemiectwa po miastach Cieszyńskiego, o tym świadczy fakt, że do roku 1895 w żadnym z miast tego kraiku nie było ani jednej polskiej szkoły, choćby ludowej. Gdy ludność polska zaczęła domagać się szkół polskich, Niemcy nie wahali się nazywać tych naturalnych dążeń wybrykami, zrodzonymi na gruncie nietolerancji. Rzucali wtedy banalne zdania, że jeszcze nikomu nie zaszkodziła znajomość języka niemieckiego. Oczywiście, znajomość języka arabskiego także nikomu zaszkodzić nie może.

Doskonały obraz panowania Niemców nad Polakami daje miasto Cieszyn na przełomie stuleci XIX i XX. Według spisu z roku 1900 mieszkało w Cieszynie 19.150 ludzi, w czym Niemców miało być dwa razy więcej, niż Polaków. Liczby takie osiągano przy pomocy terminu „język towarzyski". Termin ten był pomysłem iście machiawelskim, bo spisywany nie potrzebował wyrzekać się swojej narodowości, podając jedynie język towarzyski.

W r. 1890 liczono w Cieszynie 11.688 Niemców, 5.313 Polaków i 1.044 Czechów. Oczywiście, na podstawie takich liczb opierano politykę miejską i szkolną. Rada miejska była niemiecka, chociaż składała się z takich „Niemców", jak: Bukowski, Bernacik, Pasek, Cieślar, Fiksek, Kalina, Szoltys, Wojnar, Fasal, Gabryś, Kamec,

Pustelnik, Klucki, Galant... Niektórzy z wymienionych zniemczyli się już całkowicie, inni byli na drodze do zniemczenia.

Jak szybko postępowała germanizacja, a zarazem jaka była powierzchowna na razie, świadczy fakt, że jeszcze w roku 1848 według świadectw niemieckich Cieszyn był miastem czysto polskim. Czterdzieści lat wystarczyło na „zniemczenie" tego miasta. Posiadając władzę w swym ręku, Niemcy rozporządzali pieniędzmi miejskimi według swego uznania i jeszcze na początku bieżącego stulecia, czyli na 10 lat przed wybuchem wojny światowej śród 14 szkół cieszyńskich (ludowych, wydziałowych, średnich i zawodowych), istniało tylko jedno prywatne gimnazjum polskie, powstałe w r. 1896 i jedyna polska szkoła trzyklasowa, również prywatna. Ta przewaga niemczyzny zaznaczała się także w całokształcie życia kulturalnego miasta i okolicy. Do roku 1899 powstało i rozwijało się w Cieszynie przeszło 70 stowarzyszeń, w czym tylko 13 polskich, 1 czeskie i 1 węgierskie, a niemieckich aż 55!

Niemieckość Cieszyna była, oczywiście, fikcją. Wymowny jest fakt, że w r. 1848, to jest jak tylko powstała możliwość po temu, zaczęło w Cieszynie wychodzić pismo polskie, mianowicie „Tygodnik Cieszyński", przemianowany później w „Gwiazdkę Cieszyńską", która jako półtygodnik wychodzi dotychczas. Bogaci Niemcy zdobyli się w Cieszynie na tygodnik „Schlesischer Anzeiger" dopiero w r. 1860, a później na dziennik „Silesia". Jeszcze w roku 1908 Niemcy domagali się manifestacyjnie wyłącznej władzy w mieście i nad miastem, ale gdy Austria się rozpadła i gdy niemiectwo straciło oparcie w Wiedniu, z większości „niemieckiej" został w Cieszynie tylko nikły ślad w postaci skromnej mniejszości. Odpadli Niemcy statystyczni, rodowitych pozostało niewielu. To, co było w Cieszynie, jest typowe. We wszystkich miastach Cieszyńskiego Niemcy potrafili utwierdzić swoje panowanie i związać je z panowaniem Wiednia. Gdy upadł Wiedeń, upadły i „większości" niemieckie po miastach śląskich.

Rzecz osobliwa, że trzeźwy na ogół Frysztat, miasto przemysłowe, ma legendę bardzo romantyczną. Jest to typowa śląska legenda o dzwonie zapadłym, z motywem wierności dla pewnego miejsca. Frysztat dzieli się na Stare i Nowe Miasto, chociaż obie części oddalone są od siebie o jakie dwa kilometry. Według legendy w starym



Frysztat. Pomnik poległych 1914—1918

Frysztacie wisiał w wieży kościelnej dzwon o tak potężnym i pięknym dźwięku, że gdziekolwiek dźwięk ten docierał, wszędzie wzruszał serca ludzkie. Miasto nawiedził jeden z klęskowych pożarów śląskich i kościół spłonął razem z wieżą, a dzwon spadł i zapadł się w ziemi tak, że nikt odszukać go nie zdołał. Na dawnym pogorzelisku pasterze pasali świnie. Jedna z tych świń ryjąc ziemię, odsłoniła błyszczący przedmiot, w którym łatwo poznano ucho zapadłego dzwonu.

Po pożarze mieszkańcy Starego Miasta przenieśli się nieco dalej na wschód i tam pobudowali Nowe Miasto. Po odnalezieniu dzwonu, zawiesili go w wieży nowego kościoła, ale gdy słodkie jego dźwięki doleciały do Cieszyna, księżna cieszyńska zapragnęła posiąść ten dzwon. Frysztaczanie, acz niechętnie, sprzedali go swej księżnej za duże pieniądze, ale dzwon wrócił w nocy na stare miejsce. Zabrano go znowu do Cieszyna i dzwon znowu odpłynął szlakiem powietrznym do Frysztatu. Powtarzało się to parę razy. Księżna widząc, że dzwonu utrzymać nie zdoła, pozostawiła go frysztaczanom i nawet nie zażądała zwrotu pieniędzy, jakie za dzwon zapłaciła.

Ten motyw wierności dla pewnego miejsca powtarza się także w legendzie o posągu Matki Boskiej Frydeckiej. Najulubieńszą legendą ludu śląskiego jest legenda o skarbie zakopanym. Znajdowanie takiego skarbu i docieranie do niego stanowi treść niezliczonych opowiadań ludowych. Złe, nieżyczliwe duchy strzegą takiego skarbu

i gdy człowiek po przezwyciężeniu niezliczonych trudności jest już blisko niego, staje się raptem coś straszliwego, pełnego zgrozy i niebezpieczeństwa. Czasem śmiałek życiem przypłaca próbę zdobycia skarbu.

Mają swoje legendy i kościoły, osobliwie kościołki na górach, a nawet kapliczki przydrożne. Na przykład na górze Praszywej jest kościołek drewniany, zbudowany w roku 1640 przez hrabiego Oppersdorfa na wysokości 700 metrów, czyli o jakie 150 metrów od szczytu tej góry. Legenda głosi, że podczas łowów na górskim pustkowiu, hrabia, fundator kościołka, został napadnięty przez olbrzymiego jelenia, który rogami przyparł go do drzewa. Natarcie jelenia było takie mocne, że zwierzę nie zdołało wyrwać rogów wbitych w drzewo i hrabia przez trzy dni czekał daremnie na wybawienie. Wtedy zrobił ślub, że jeśli zostanie odnaleziony i uratowany, to zbuduje na tym miejscu kościół świętemu Antoniemu. Pomoc przyszła, hrabia zbudował kościół i obecnie w najbliższą niedzielę po świętym Antonim tłumy pątników corocznie wędrują na Praszywą.

Gdy mowa o budowaniu kościołów na górach, to przypomina się inny kościół, który jednak zbudowany nie został. Mianowicie hrabia Prażma chciał zbudować kościołek na Łysej. Nie byłoby w tym nic osobliwego, ale nie wiedzieć dlaczego, fundator chciał, aby materiał budowlany zanosiły z Raszkowic na Łysą „zawitki". W narzeczu śląskim słowo „zawitka" jeszcze dzisiaj oznacza dziewczynę z przychówkiem. Panna nosi włosy splecione w dwa warkocze i spuszczone swobodnie na plecy. Dziewczyna z dzieckiem nie ma prawa nosić włosów spuszczonych na plecy i musi je zawijać jak mężatka, a że mężatką nie jest, przeto dano jej imię zawitki. Takie więc zawitki miały nosić materiał budowlany z Raszkowic na Łysą. Musiało tych zawitek być dużo, gdy można było przy ich pomocy budować aż kościoły na Łysej. Ale kościół hrabiego Prażmy zbudowany nie został. Dlaczego? Opowiadający mówi, że miał tam zdechnąć koń i kościołek rozebrali. Tłumaczę mu, że zdechnięcie konia to nie żaden powód do burzenia kościołka z takim trudem zbudowanego. Macha ręką. „Kto ich bydzie wiedzioł! Dyć to nima prowda w tych starych godkach!"

Frysztat jest miastem interesującym pod niejednym względem. W mieście tym stał ongi zamek książąt cieszyńskich, po którym dzi-

siaj nie ma tu już ani śladu. W zamku tym mieszkał Bolesław II, a wdowa po nim Anna, córka Iwana moskiewskiego, przebywała tu aż do roku 1490. Jej syn Kazimierz bardzo lubił Frysztat i często tu mieszkiwał, a na dokumentach podpisywał się niekiedy jako Każko, książę frysztacki. Gdy w roku 1552 pożar zniszczył Cieszyn, przeniósł się do Frysztatu książę Wacław Adam ze swoim dworem. W roku 1563 zamieszkał we Frysztacie książę Fryderyk Kazimierz, syn Wacława, który wsławił się robieniem wielkich długów. Jak niegdyś Aleksander, syn Filipa Macedońskiego, płakał, że jego tatuś wszystko pozdobywa i nic mu do zdobywania nie zostawi, tak Fryderyk Kazimierz miał pretensje do ojca swego, iż ten pozapożycza się tak, że jemu nic do pożyczenia nie pozostanie. Gdy osiadł we Frysztacie, zaczął prowadzić życie iście królewskie, a chociaż panował zaledwie lat kilkanaście, „w ciągu tego czasu zdołał przewyższyć ojca w sztuce robienia długów“ — powiada Popiołek, i wywodzi dalej: „Z listów wymienionych między nim i ojcem a księciem brzeskim, można wywnioskować, na co poszły pieniądze i dochody książęce. Wacław trzymał sobie muzykę złożoną z żydów włoskich, sprowadzał papugi i utrzymywał dla rozrywki karlicę, urządzał wyścigi i w ogóle łożył wiele na zabawy i przyjemności. To samo robił syn jego, a środki nie dopisywały.“

Dziwni bywali ci Piastowie! Wydali spośród siebie wielkoludów, na których potomność spogląda z głęboką czcią i podziwem, ale nie brakło śród nich i takich Rogatków, o których Szujski pisze z odrazą: „Rozrzutność, drapiestwo, okrucieństwo i rozpusta cechowały życie Rogatki, który często w takiej bywał nędzy, że sam jeden pieszo lub konno tułał się po kraju, ścinając dla zabawy ludzi po drodze“. To się *mutatis mutandis* powtarzało z Piastami i później. Opowiadania Popiołka o tych rzeczach nie są pozbawione ry-



Frysztat
Dożynki

sów charakteryzujących nie tylko ludzi, ale i czasy, toteż uważnie odczytujemy wiadomości podawane nam przez tego historyka o Piastach.

„Aby zaspokoić wymagania rycerskie, trzeba było pożyczać od kuzyna to konia możliwego z pachołkiem, to pancerza porządnego do turnieju, to powozu do podróży. Brak było najpotrzebniejszych rzeczy, nie było czym zapłacić służby, rzemieślników, a pieniądze sieroce, którymi zarządzał książę, przepadały. Gdy książę Wacław chciał wysłać posłańca na Morawy, to prosił miasto Cieszyn o pożyczenie mu 12 talarów, ponieważ nawet tą kwotą nie rozporządzał. Nic dziwnego zatem, że Sobek z Błogocic nie chciał odstąpić księciu Adamowi Wacławowi beczułki wina, wiedząc, że za nią pieniędzy nie dostanie nigdy. Przez to naraził się na gorzkie wyrzuty księcia, który ganił jego „skąpstwo i bezpożyteczną zapobiegliwość, jego żyłkę żydowską, chciwość i zapominanie na ubóstwo i nieszczęście bliźniego", wyrzucał mu „lekkomyślne narażenia się na gniew boski i niełaskę swej zwierzchności". Po zestawieniu różnych rysów w charakterze Piastów cieszyńskich, dochodzi Popiołek do wniosku ostatecznego, że „byli to ludzie na ogół dobrzy, przystępni, ale zarazem lekkomyślni i kiepscy gospodarze ziemi, która była ich własnością".

O tym wszystkim myśli się we Frysztacie, a jeszcze żywiej w Raju, położonym o dwa kilometry na południe od Frysztatu tuż nad granicą polską w pobliżu Kaczyc Dolnych. Ten R a j jest naprawdę rajem. Położony na prawym brzegu Olzy w czarującej dolinie, nie ma na sobie patyny ciężkiej historii, ale wygląda tak jakby się ukrył przed dziejami w miłym ustroniu zacisznej bezdziejowości. Tutaj nie ma i bodaj nigdy nie było tych kłopotów, z jakimi miewali do czynienia książęta cieszyńscy. Bielutki czysty zamek przegląda się w stawie jak marzenie, a po powierzchni tego stawu leniwie pływają znudzone łabędzie.

Cudowne zacisze! Z prawej strony ciągnie się długi niski budynek administracyjny, obrośnięty pnączami i drzemiący w słońcu. Na dziedzińcu nie ma żywego ducha, aby można było zapytać, kiedy zamek został zbudowany, kto tu mieszkiwał i kto mieszka obecnie. Wiadomo tylko, że zamek był własnością Bees-Chrostina i że prze-

szedł na własność Larischa. Którego Bees-Chrostina? I którego Larischa? Sto lat temu, czy dwieście, mówiono tak samo Bees-Chrostin albo Larisch, jak mówią dzisiaj. Imię chrzestne albo numer to komplikacja. Bees-Chrostin i Larisch z perspektywy tego dziedzińca zamkowego, szeroko rozwartego na cały świat, to postacie nieśmiertelne. Wola mocy przechodzi tu z ojca na syna i posyła tysiące górników pod ziemię, aby wynosili bogactwa potrzebne dla tych zamków w Raju, w Solcy, w Gnojniku, Frydku i dla ich mieszkańców. Czeski pisarz Č a p e k powiedział, że wielki majątek jest wiecznie głodny i chce żreć, a karmić go można tylko pracą i nędzą tysięcy.

Patrzę w pootwierane okna białego zamku, w nadziei, że ujrzę w nich wybrankę losu czyli znudzone szczęście. Ale okna są puste, w domu nie ma zapewne nikogo. Jest przecie jeszcze wspaniała Solca i Karwina i tyle innych przybytków szczęścia, tyle innych rajów! Nie wiem, czemu pomyślało mi się nagle o barakach na Annopolu, gdzie siedzą bezdomni, eksmitowani przez życie, uciążliwi cudzoziemcy istnienia. Współczuć im, czy gniewać się na nich, albo w ogóle dać im pokój? Czytałem kiedyś list Pawła do Rzymian i utknąłem na wersecie takim: „Izali nie ma mocy garncarz nad gliną, żeby z tejże bryły uczynił jedno naczynie ku chwale, a drugie ku zelżywości?" Wspominam i podnoszę oczy ku niebu, z którego spływa żar na Frysztat, na ten zameczek biały, na mnie i na moje myśli, w które się uwikłałem. Garncarz ma moc nad gliną, tak, ale niektóre z naczyń zrobionych ku zelżywości, tak strasznie cierpią, tak często i gorzko płaczą, a wreszcie topią się w takich oto stawach, aby zniknąć cierpieniu, mękom i, niestety, także słońcu, które jest takie jasne.

Z Frysztatu dolatuje dźwięk dzwonu. Cicho! Może to właśnie dzwon z pięknej legendy, co milcząc płynął skroś nocny mrok z Cieszyna do swojego ukochanego Frysztatu. Uciekał od księżnej, która kochała jego słodki dźwięk, i chciał koniecznie być w tej swojej wieży, którą kochał sam. Księżna zrzekła się wreszcie pięknego dzwonu, ale kazała frysztaczanom zamurować okna wieży wychodzące na stronę cieszyńską. Nie chciała słyszeć słodkich dźwięków dzwonu, który nie mógł stać się jej własnością. Powietrze lipcowej gorącej niedzieli drga dziwnie słodko, faluje rinforzando pianissimami głębokimi i pełnymi tajemnic. Serce dostraja się do tego

dźwięku dzwonu i drga jak on, jak ta legenda sprzed wieków, piękna, nieprawdziwa, miła.

Ale cóż my wiemy o stosunkach, istniejących między ilością drgań a miarą czasu! Dlaczego znalazłszy się w kręgach i różycach falującego i rozedrganego powietrza, jesteśmy i smutni, i uroczyści, i rozradowani zarazem? I powolni czemuś, zrezygnowani, pogodzeni z czymś czy z kimś? Czy dlatego, że serce dostroiło się do rytmu dzwonu, do jego łagodnych falowań i drgań, że uzgodniły się rytmy krwi z rytmami muzyki przestworzy? Powiadają, że wielki był ten człowiek nieznany, który pierwszy wykorzystał koło do lokomocji. Zgoda. Ale większym był zapewne ten, kto zrozumiał, jak wielkim kaznodzieją jest dzwon i jak potężną jest wymowa jego serca tutaj na Śląsku, na Morawach, w Polsce i wszędzie.

Kronikarz powiada, że zamek rajski otoczony jest pleciwem legend ludowych, ale nie mówi, jakie to legendy pooplatały ten biały zamek. Nie znamy szczegółów, ale wiemy, że wszystkie legendy, związane z białymi zamkami, zaczynają się tak, jak to jest we wstępie do Tristana i Izoldy: — Panowie miłościwi, czy chcecie usłyszeć powieść o miłości i śmierci? — Śmierć i miłość! Dwa bieguny istnienia, tak pięknie połączone sztuką poety Lechonia w stwierdzeniu prostym, że „śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci".

Jedziemy dalej!



Orłowa
Św. Florian.
Rzeźba ludowa.
Muzeum Macierzy Szkolnej

DO ORŁOWEJ

Z Frysztatu do Orłowej drogą najbliższą będzie najwyżej 8—9 kilometrów. Wybieram znacznie dłuższą, okrężną, chcę zobaczyć jak najwięcej i jadę na Kąkolną, Dziećmorowice, Niemiecką Lutynię do Wierzniowic, aby potem zawrócić i przez Polską Lutynię dotrzeć do Orłowej. Do Kąkolnej jest najwyżej sześć kilometrów. Jedzie się dość szeroką doliną Olzy, nie ma tu już gór, są najwyżej pagórki, z prawej strony ładna równina z łanami zboża, tu i owdzie lasek albo gaik, łączki, na których pasą się krowy, na przydrożach i rowach kozy pod opieką dzieci, albo poprzywiązywane do drzew i kołów. Spotyka się samochody, na rowerze jedzie listowy z grubą torbą, a za nim Ślązaczka z plecakiem pełnym rzeczy nakupionych zapewne we Frysztacie. Z lewej strony drogi, opodal, doskonale widzialne Stare Miasto ze swoją legendą o dzwonie zapadłym, a nad tym wszystkim głuche rewelacyjne dudnienie w jasnym upalnym powietrzu, dolatujące tu z niedalekiej Karwiny.

Po stronie karwińskiej jest pagórkowato, kominiasto, dymno i ciasno. Na wysokich kopcach ciemnieją lasy, a z nich wynurzają się liczne iglice kominów. Gdy się odwrócić bardziej na lewo, widać na kopcach szkielety wieżyc szybowych, hałdy, pociągnięte już zielenią, a dalej w omgleniu oddalenia 25—30 kilometrów sine fale gór. Dawno niewidziana równinka podwarszawska przypomina się żywo w falującym zbożu i w soczystej zieleni łąk. Chwyta za serce, budzi dobre wspomnienia, nasuwa miłe myśli. Przy drodze stawy, których jest tu wszędzie dużo; jakiś potok pędzi żwawo ku Olzie, robotnicy drogowi naprawiają drogę sprawnie i szybko. Połowę drogi zostawili dla ruchu kołowego i pieszego, drugą połowę walcują, posypują żwirem i piaskiem, polewają wodą. Halt! Baczność! Czerwona chorągiewka ostrzega, że należy jechać wolno.

To już lepiej wysiądziemy od razu i pójdziemy dalej piechty. Niedaleko już K ą k o l n a z mostem na Olzie, popatrzymy na rzekę. Dziwna jest ta Olza! Zgoła inna koło Bystrzycy czy Końskiej, nie podobna w niczym do tej, którą widzimy tutaj. Po jednej stronie mostu koryto jej ma olbrzymie nagie ławice drobnych kamieni i żwiru, a woda płynie boczkiem niezbyt szeroko, chociaż nurt jest

głęboki, ale za to po drugiej stronie woda rozlała się szeroko, a w niej stado krów zanurzonych po pyski szuka ochłody przed spiekotą i ratunku przed muchami. Te muchy tną tego lata do żywego i jadowicie jakoś. W Bystrzycy umarł młody robotnik od ukąszenia „ślepca", jak tu nazywają bąki, w Ligotce ktoś rozchorował się ciężko od takiego ukąszenia, a w gazetach też sporo wiadomości o pladze much tego roku.

Idziemy przez most i rozglądamy się po tej równej ładnej dolince. Na polach pracują ludzie gorliwie, z uporem, jak na całym Śląsku, nie odrywając oczu od pracy. Zaczynają się domki z ogródkami i zabudowaniami gospodarczymi. Droga stała się raptem wąska i mniej wygodna, niż w Kąkolnej jeszcze. Przypomina trochę wiejskie drogi w Jabłonkowskiem, w Łomnej, w Boconowicach, w Koszarzyskach. Zdaje się, że już niedaleko powinny być te D z i e ć m o r o w i c e, do których zmierzamy. Podchodzimy do schludnego płotku przy drodze, za którym stoi spory domek murowany. Widać za nim stodołę i oborę, a między obiema szopa bez ściany frontowej. Stoją tam wozy i taczki, leżą brony i pługi z mnóstwem innych rzeczy gospodarskich. Ładna żwawa gospodyni, opasana gumowym fartuchem idzie w trepach o drewnianych podeszwach ze szkopkiem w ręku i woła na niewidzialną Zuzkę, żeby się pośpieszyła. Może mieć trzydzieści pięć lat, śród jej włosów widać srebrne nitki, ale wygląda daleko młodziej. Spogląda na nas okiem pytającym i przez chwilę czeka.

— Daleko jeszcze do Dziećmorowic, pani gaździno? — pytam.

Podrywa głowę, w oczach ma pełno ładnego zdziwienia, podchodzi bliżej i śmieje się bardzo życzliwie. Przygląda się nam przez chwilę, jakby mówiła: kpisz, czy o drogę pytasz? Ale widzi, że nie kpimy i odpowiada rozradowana jakaś, jakby nam zwiastowała wesołą nowinę i niespodziankę setną:

— Dyć już są dawno w Dziećmorowicach!

— To już są Dziećmorowice?

— No! Przyjechali tu do kogo?

— Nie, ale nam powiedziano, że do Niemieckiej Lutyni jedzie się przez Dziećmorowice.

— Toż toć. Niemiecka Lutynia je kónsek dalej.

— Pięknie dziękujemy i zostajcie z Bogiem, gaździnko!

— Jadą z Bogym! — Oddala się szybko, postukując trepami.

Kónsek dalej! Znamy to już z doświadczenia. Tu się kilometr nie liczy. Same Dziećmorowice mają chyba ze trzy kilometry długości, ale idzie się przez tę wieś ogromnie miło. Śląskie wsie mają swój własny styl i zaciekawiają wszystkim, co się napotyka po drodze. Tu kościołek, owdzie gospoda, tam znowu szkoła... Zagrody schludne, miłe, zaciszne, bo praca idzie tu żwawo, bez hałasu i krzyku.

W Dziećmorowicach była szkoła polska o czterech klasach, w której uczyło się 176 dzieci polskich. W roku 1919-20, czyli zaraz po podziale Cieszyńskiego, została ona przez władze czeskie zamknięta jako jedna z 18 zlikwidowanych wtedy szkół polskich. Teraz, od roku 1931 jest tam szkoła Macierzy Szkolnej, ale chodzi do niej zaledwie 30 dzieci, podczas gdy przed zamknięciem do szkoły polskiej chodziło dzieci sześć razy więcej. Nie wiem, na jakiej zasadzie



Orłowa. Gimnazjum polskie Macierzy Szkolnej (obecnie upaństwowione)

pozamykano te szkoły, bo gdziekolwiek wstąpić, do kogo się odezwać, zawsze słyszy się język polski, zgoła poprawny, gdy chodzi o młodzież, albo narzecze śląskie, gdy się rozmawia ze starszymi. Zresztą samiż Czesi uznawali te strony za całkowicie polskie i nigdy nie mieli do nich najmniejszych pretensji. Jest tu także biblioteczka polska powiatowej komisji oświatowej, mająca na razie 48 książek i 24 czytelników.

Równocześnie ze szkołą dziećmorowicką zamknięto wtedy 12 publicznych szkół polskich ludowych, jednę wydziałową i jednę górniczą w Dąbrowie. Poza tym zamknięto cztery szkoły prywatne, a mianowicie w Dąbrowie, w obu Lutyniach, w Michałkowicach, Pietwałdzie, Porębie, Rychwałdzie, Wierzniowicach, Zabłociu. W niektórych gminach chodziło do tych pozamykanych szkół przeszło 400 dzieci. Ogółem w 10 gminach zamknięto wtedy przeszło 60 klas, do których uczęszczało około 3000 dzieci. W Dąbrowie zamknięto poza tym szkołę wydziałową, w której kształciło się 266 dzieci, i jedyną polską szkołę górniczą. Najciekawsze jest to, że nie cofnięto się nawet przed zamykaniem polskich szkół prywatnych w Karwinie, Kończycach Małych, Hermanicach i Radwanicach. W 18 klasach tych szkół prywatnych kształciło się ogółem 884 dzieci. W obu powiatach: czesko-cieszyńskim i frysztackim, uznawanych przez Czechów za czysto polskie, założono w ciągu ostatnich lat dwunastu aż 16 czeskich szkół wydziałowych, 75 szkół ludowych i trzy gimnazja: w Boguminie, Cz. Cieszynie i — ostatnio — w Jabłonkowie.

Dochodzimy do końca tej długiej wsi i wsiadamy do samochodu, aby pojechać do N i e m i e c k i e j L u t y n i. Ta wieś jest wysoce interesująca, bo jej szkole „przy kościele“ poświęcił bardzo ładną pracę historyczną prof. A l o i s A d a m u s, pt. „Dějiny školy u kostela v Německé Lutyni“. Praca ta to niejako klasyczny schemat obrazu walk o szkołę między żywiołem polskim a morawiectwem. Godna jest więc dobrego poznania. O szkole lutyńskiej po raz pierwszy słyszymy w r. 1688. Było to w czasach, gdy nikt nie był obowiązany posyłać dzieci do szkoły. W roku tym w całym Cieszyńskiem istniały tylko 33 szkoły o 37 klasach. W szkołach tych nauczało 39 nauczycieli. Do wiejskich szkół kościelnych chodziło wtedy w całym Cieszyńskiem 23 uczni. np. do szkoły polsko-ostrawskiej 5, do szonowskiej 1, do cierlickiej 6, do szkoły w Kończycach Wielkich



Orłowa. Matka Boska Frydecka. Rzeźba ludowa. Muzeum Macierzy Szkolnej

koło Frysztatu 2. Orłowa w owych czasach miała wprawdzie „rektora“, ale brakło jej pomieszczenia dla szkoły.

„W szkołach nauczano wtedy po morawsku — wywodzi prof. Adamus. — Język morawski był od roku 1592 urzędowym w księstwie Cieszyńskim. Polskiego nie uczono w szkołach, ani też nie używano go w urzędach. Z rzadka tylko zdarza się znaleźć kartkę z tamtych czasów, napisaną po polsku. Nie czytywano też książek polskich, a to dlatego, że na Śląsku pisano i drukowano książki pismem morawskim czyli czeskim, jak nazywano w Cieszyńskiem pismo szwabachowe, podczas gdy w Polsce już od XVII stulecia pisano i drukowano książki pismem łacińskim. Na Śląsku lud nie znał pisma łacińskiego... O ile umiał czytać, czytał książki morawskie, a nieznajomość pisma łacińskiego chroniła go przed wpływami bogatej literatury polskiej, szybko się rozwijającej.“

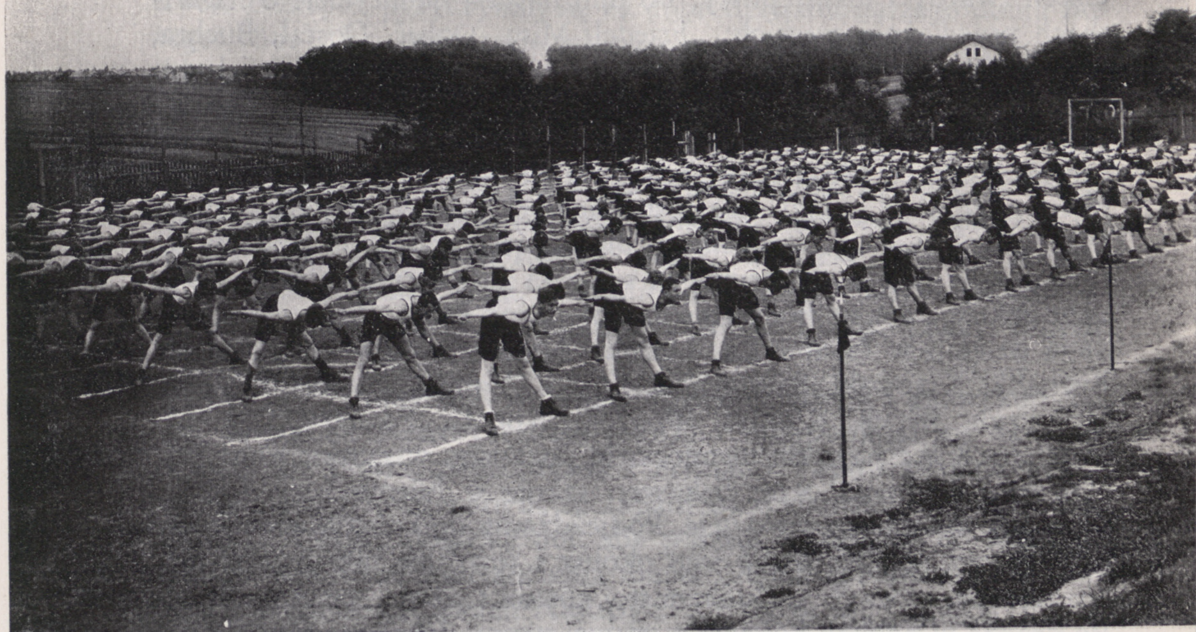
Terezjańskie reformy szkolne (1778) zmieniają sytuację szkoły, wprowadzając obowiązkowe nauczanie, ale językiem wykładowym pozostaje nadal język czeski, czyli jak pisarze czescy wyrażają się eufemistycznie, „morawski“. Obowiązkowe nauczanie pozostało dość długo sprawą czysto teoretyczną, bo jeszcze w roku 1785 ze 156 dzieci należących do szkoły niemiecko-lutyńskiej (gminy: Polska Lutynia, Skrzeczoń, Wierzniowice, Nowa Wieś, Dziećmorowice i Kąkolna), z nauki korzystało dzieci zaledwie czworo!

Zasadnicza zmiana w szkolnictwie mogła była nastać już w r. 1848, ale lud był wtedy bardzo nieuświadomiony i spór o szkołę lutyńską czyli jej język wykładowy, trwał jeszcze kilkadziesiąt lat aż do roku 1886, a nawet i potem. „Spór lutyński — powiada Adamus — ma głębsze znaczenie dla całego Cieszyńskiego. Do tego czasu

urzędy świeckie i duchowne nie wiedziały, do jakiej narodowości należy lud w Cieszyńskiem. Dopiero podczas tego sporu rzecz została ostatecznie wyjaśniona. Urzędy państwowe i generalny wikariat były zdania, że lud cieszyński mówi narzeczem morawskim, przeciwko czemu zaprotestował ks. Franciszek Pawełek, proboszcz niemiecko-lutyński (ur. w r. 1801, urzędował w Niem. Lutyni od r. 1836 do r. 1863), zwracając się do konsystorza wrocławskiego z odwołaniem. Konsystorz do całego długotrwałego sporu wniósł argumenty naukowe, przemawiające na korzyść ks. Pawełka, przeciwko generalnemu wikariatowi i krajowym władzom śląskim, nakazując zniesienie rozporządzenia władz, według którego w Lutyni miano kazać w kościele i nauczać w szkole w języku morawskim."

I to nie rozstrzygnęło długotrwałego sporu Ks. Pawełek jako szczery przyjaciel ludu śląsko-polskiego zaprowadził kancjonał polski, ale znalazło się sporo zwolenników morawiectwa, którzy przeciwstawili się usiłowaniom tego mądrego człowieka. Lud śląski znajdował się zbyt długo pod wyłącznym wpływem nauczycieli czeskich, aby z dnia na dzień mógł był zrozumieć intencje takich przyjaciół swoich, jakim był ks. Pawełek. Jego przeciwnicy wyzyskiwali nieświadomość ludu i utrwalali morawiectwo dość skutecznie. W tym samym mniej więcej czasie, gdy w Cierlicku nieświadomi swej narodowości „Morawcy" oskarżali ks. Ligockiego, iż wprowadza kancjonał polski, w Niemieckiej Lutyni nieświadomy lud śląski czynił to samo, przeciwstawiając się ks. Pawełkowi. I jak w Cierlicku podanie przeciwko ks. Ligockiemu podpisali „Morawcy" o nazwiskach czysto polskich, tak i w Niemieckiej Lutyni pod podaniem tych, co protestowali przeciwko kancjonałowi polskiemu, znalazły się podpisy ludzi o takich nazwiskach, jak: Niebrój, Kijonka, Babisz, Stanioszek, Antończyk, Barteczek, Juranek, Mżyk, Reinhold, Staniczek, Ligocki, Wita, Kulfirz. Jedynym nazwiskiem czeskim jest tu chyba tylko Mżyk. Można z wielkim prawdopodobieństwem przypuścić, że ta sama ręka, która kierowała akcją morawiecką w Niemieckiej Lutyni, robiła swoje i w Cierlicku.

Tutaj w Niemieckiej Lutyni stała się też rzecz znamienna, że nawet młody wikary ks. Kunczycki, Czech z pochodzenia, uczył się po polsku, aby ludowi polskiemu swej parafii służyć jak najlepiej. Pokochali go szczerze wszyscy, osobliwie zaś kobiety za to,



Orłowa. Wolne ćwiczenia polskiej młodzieży gimnazjalnej

że wymową swoją i pracą skutecznie zwalczał pijaństwo, bardzo wtedy rozpowszechnione nie tylko w Lutyni. Gdy przeniesiono go, nie wiedzieć dlaczego do dalekiej Morawki w górach, kobiety lutyńskie postanowiły nie puścić kochanego swego przyjaciela i obległy farę. Wezwano wojsko, winnych oddano pod sąd za bunt i ukarano surowo. Ks. Kunczycki umarł ze zgryzoty w Szebiszowicach koło Błędowic i tam też został pochowany.

Śród nauczycieli, którzy pracowali w szkole niemiecko-lutyńskiej „przy kościele" od roku 1668 do r. 1852, spotykamy nazwiska: Łonczych, Seget, Goryl, Kopka, Czapla, Kozielski, Jaworek, Polak, Kowarz, Retzmann, Němec. Są to, jak widzimy, nazwiska polskie, z wyjątkiem Kowarza, Retzmanna i Němca. W r. 1852 nastaje w Niemieckiej Lutyni nauczyciel Jan Šedý, który pozostaje na swoim stanowisku aż do roku 1872 czyli przez lat 20. Był to

człowiek prosty, jak w ogóle nauczyciele w tamtych czasach, których przygotowanie pedagogiczne było bardzo skromne, ale był to Czech twardy i nieustępliwy. Po nim nastają nauczyciele o nazwiskach przeważnie czeskich: Friedel, Mira, Dobeš, Dostal, Buchta, Horák, Hrabec. Nauczyciele o nazwiskach polskich są nieliczni w tym drugim okresie.

Podobnie jak Šedý, zdecydowanym Czechem był także Josef Horák (1872—1886). Dopiero po nim do Niemieckiej Lutyni przybywa nauczyciel polski, August Wicherek jako kierownik szkoły (1886—1903), a po jego śmierci miejsce jego zajmuje Józef Broda (1903—1919). Na nim urywa się sukcesja nauczycieli polskich i w r. 1920 szkoła staje się ponownie czeską. Śród księży, którzy od roku 1676 działali w Niemieckiej Lutyni, Adamus wymienia nazwiska: Buchalik, Krzowski, Saintgenois, Fojtik, Vatter, Haimb, Brzuska, Palarczyk, Jirzyk, Kupilas, Wodecki, Kornke, Pawełek, Żmijka, Dziekan. Kilka nazwisk niemieckich, poza tym wszystkie polskie.

Tyle z Adamusa o tej ciekawej szkole w Niemieckiej Lutyni, która ma takie burzliwe dzieje. Podjeżdżamy do kościoła niemieckolutyńskiego, aby zobaczyć jego okolicę i tę szkołę tak interesującą. Idziemy na kopczyk, na którym stoi kościół i szkoła „przy kościele". Po drodze w pobliżu kościoła z prawej strony drogi stoi typowy pomnik ofiar wielkiej wojny stąd pochodzących. Napis czeski głosi: „Věnoval podpůrný spolek vojenských vysloužilců v Německé Lutyni za přispění občanů z Něm. Lutyně, Polské Lutyně a Veřňovic". (Zbudowało stowarzyszenie wspierające weteranów wojennych w Niem. Lutyni, przy pomocy obywateli Niem. Lutyni, Polskiej Lutyni i Wierzniowic.) Polskiego napisu nie ma, ale niemal wszystkie nazwiska, których jest kilkadziesiąt, są polskie.

Tuż u bramy cmentarnej z prawej strony stoi duży kamienny krzyż z napisem na cokole: „Założyciel tego krzyża Mateusz Wolf



Orłowa Pałac Mattencloitów. Obecnie Szpital Górniczy

prosi ciebie o pobożny Ojcze nasz. 1889". Z lewej strony bramy posąg biskupa w mitrze biskupiej. Napis także polski: „Święty Patrycy, Biskupie, przyczyniaj się za dobrodziejami naszego domu Bożego! 1890". Na cmentarzu, jak na wszystkich cmentarzach cieszyńskich, czyściutko, groby utrzymane z wielkim pietyzmem, prawie na wszystkich mogiłach ładne kamienne pomniki, krzyże, marmury białe i czarne, fotografie zmarłych. Nazwiska w olbrzymiej większości polskie. Zdarza się jednak nazwisko polskie z napisem czeskim albo nazwisko czeskie z napisem polskim. Nazwiska śląskie są ładne: Kania, Kolarczyk, Rosik, Sekuła, Wodecki, Wolny, Szeliga, Wrożyna, Skupnik, Wija, Pismol, Głombiczek, Skrzyszowski, Jaworek, Ligocki, Sitek, Ziembiński, Zientek, Buroń, Lekki, Musioł, Niestroj...

Niestroj? Zaraz! Był w Wiedniu sławny komik i autor komedii, Jan Nepomuk Nestroy (1802—1862). Przypomniał mi się w tej chwili, bo pisarz czeski, Ignát Herrmann, opowiadał mi kiedyś w Pradze o tym Nestroyu, że zapadł na melancholię i udał się do lekarza. Lekarz poradził mu, aby poszedł koniecznie do teatru na występ Nestroya, a melancholia minie. A na to Nestroy: „Bywam na wszystkich wieczorach Nestroya, ale mi to nie pomaga. Ja sam jestem Nestroy." Czy ten sławny komik wiedeński nie wywodzi się z tych śląskich Niestrojów, z których jeden spoczywa w mogile tego niemiecko-lutyńskiego cmentarza? Bo przecie rdzennych Niemców o takim nazwisku nie ma na świecie.

Pragnę jeszcze zajrzeć do tego kościoła, zbudowanego przed niemal 200 laty, ale jest zamknięty. Z lewej strony drzwi kościelnych na białej ścianie widnieje wezwanie, wypisane dużymi literami czarną farbą: „Vystupte z cirkve!" (Wystąpcie z kościoła!) Napis jest grafologicznie ciekawy. Ręka zdecydowanie dobrze spoufalona z piórem, w kresce podkreślającej napis duża fantazja, niemal kawalerska. To napisał człowiek inteligentny. Zresztą we wszystkich napisach na płotach, malowanych podczas ostatniej walki przedwyborczej, jest pewien rozmach pędzla. I rozmach mistycyzmu rewolucyjnego. *„Ať žije světová revoluce!"* (Niech żyje rewolucja światowa!) *„Nevolte fašisty! Volte komunisty!"* (Nie wybierajcie faszystów! Wybierajcie komunistów!) Umieszczanie tych napisów wymaga nieraz wielkich zachodów, trudów, ofiar, na jakie zdobywa się

tylko wielka płomienna wiara. Gdy po paru tygodniach przyjechałem do Niemieckiej Lutyni ponownie, aby w niedzielę 19 lipca być na nabożeństwie w kościele, stwierdziłem, że nabożeństwa są tu zutrakwizowane językowo i że akcent spoczywa na języku czeskim jako polityczno-liturgicznym. Napisu, wzywającego do opuszczania kościoła, oczywiście już nie było. Pozostała po nim tylko ciemna plama.

Z Niemieckiej Lutyni do Wierzniowic jest najwyżej 2 kilometry. Tam przebiega granica, oddzielająca Śląsk Cieszyński od Górnego. W drodze do Wierzniowic droga przecina tor kolejowy łączący Bogumin z Zebrzydowicami. Przejazd około Nieradu jest akurat zamknięty i samochód zatrzymuje się śród idylicznej zieleni. Dość wyciągnąć rękę, aby narwać kwiatów łąkowych. To połączenie łanów zboża, kwitnących łąk i błyszczących szyn kolei żelaznej budzi myśli i uczucia całkiem osobliwe i przypomina dytyrambiczne strofy Walta Whitmana. Kolej żelazna na Śląsku Cieszyńskim podchodzi ku domkom mieszkalnym na odległość powiedziałbym dużego spoufalenia. Tak jest w Trzycieżu, w Bystrzycy, w Nawsiu. Pociąg biegnie tuż koło domków, a przystanki kolejowe podobne bywają do białych domków śląskich.

W oczekiwaniu aż przejazd zostanie otwarty, wysiadamy i idziemy ku laskowi po lewej stronie drogi. Nazywa się ten lasek Borek i jest widownią jednej z opowieści śląskich o kopaczach skarbów. Otóż w tym Borku, niedaleko Skrzeczonia, jest zakopany skarb, który zapada się coraz głębiej po każdej nieudałej próbie różnych śmiałków, pragnących go wykopać. Mieszkańcy Bogumina, Dziećmorowic i Zabłocia jeszcze dzisiaj opowiadają sobie o trzech siedlakach skrzeczońskich, Stani, Kani i Bendzie, którzy postanowili wykopać ten skarb. Wybrali się do Borku w Wielki Piątek, a Benda pouczył swoich towarzyszy, że choćby się działo nie wiem co, nie wolno się odezwać. Benda odnalazł miejsce, gdzie skarb został ukryty, i wnet zabrano się do kopania, ale w pewnej chwili ukazał im się czarny powóz zaprzężony w cztery konie. Było zdumiewające, że każdy z tych koni miał tylko trzy nogi. Pan siedzący w powozie zapytał uprzejmie, czy daleko do Bogumina. Zacni skrzeczoniacy wiedzieli, co zacz ten pan, i nie odpowiedzieli mu. Po chwili ukazał się chłopek, popychający taczki, które miały tylko


Orłowa
Zjazd harcerzy

pół koła. Właściciel taczek co chwila musiał nastawiać koło na połowę okrągłą. Gdy zbliżył się do kopaczy, zapytał ich grzecznie, kiedy dogoni owego pana, co tędy jechał w cztery konie. To głupie pytanie tak bardzo rozsierdziło Bendę, że zawołał: — Z taką taczką nie dogonisz go do samej śmierci! — Ledwo wymówił te słowa, skarb zapadł się głęboko, a jednocześnie zerwała się taka wichura, że porwawszy poszukiwaczy skarbu, porozrzucała ich na wszystkie strony. Benda opadł aż w Lutyni, Kania w Skrzeczoniu, a Stania w Boguminie. Takich opowieści o skarbach krąży w Cieszyńskiem wielkie mnóstwo.

Zawracamy ku przejazdowi, który już dawno jest otwarty i jedziemy do Wierzniowic, wioski niewielkiej z kościołem nad Olzą. Kilkoro dzieci bawi się w pobliżu kościoła i nawołuje się wzajemnie po polsku. W roku 1910 nie było tu Czechów wcale, dzisiaj liczą ich tu 54%. Są to Czesi konwencjonalni o nazwiskach czysto polskich. Rodowitych Czechów nigdy tu nie było i nie ma ich dotychczas. Jeszcze nie tak dawno historyk czeski, Vincenc Prasek, powiedział, że Polacy mają na Śląsku Cieszyńskim przewagę zdecydowaną. Dzisiaj odwraca się stosunek i nawet z Karwiny, która jeszcze w r. 1910 miała 90% ludności polskiej, zrobiono gminę czeską z polską mniejszością, a pisma czeskie piszą triumfalne artykuły,



Orłowa
Kolonia robotnicza

że nareszcie Karwina posiada burmistrza czeskiego, podczas gdy dotychczas miała polskich.

Jedziemy z Wierzniowic znowu przez Lutynię Niemiecką, a następnie Polską. Mówią nam, że dni Lutyni Polskiej są policzone i że niebawem będzie się ona nazywała Lutynią Śląską. W r. 1910 liczono w Lutyni Niemieckiej jakie 5% Czechów. Po spisie urzędowym z r. 1930 statystyka urzędowa przekreśla stosunek dotychczasowy i głosi, że w Lutyni Niemieckiej jest zaledwie 15% Polaków, a w Polskiej 22%. Wysiadamy w Polskiej Lutyni i idziemy pieszo w stronę Poręby. Jest porządnie gorąco i chce się pić. Po drodze widać mnóstwo chat kropka w kropkę takich, jakie widuje się po wsiach Górnego Śląska, a nawet w Krakowskiem. W jaki sposób z ludzi tutejszych zrobiono Czechów, pozostanie tajemnicą nawet dla nich samych. Wchodzę do jednej z chat krytych słomą, jakich widuje się w tej części Śląska Cieszyńskiego już niewiele, i proszę o szklankę wody. Gospodyni bierze dzbanuszek i wychodzi przed dom, aby napompować świeżej wody. Mówi z nami po polsku tak samo, jak mówią w Dziećmorowicach, w Lutyni Niemieckiej, w Wierzniowicach. Pytam, czy we wsi mieszka dużo Czechów. Wzrusza ramionami. Nie wie. O Czechach nie słyszała. A Morawcy? Tak, Morawcy są. Co to za jedni? Mówię, że chciałbym zobaczyć Morawca. Po czym można go poznać? Czy Morawcy mówią inaczej niż wszyscy? Śmieje się. Skądże! Wszyscy tu mówią jednakowo. A w szkole? Ba, w szkole, to co innego! Tam się mówi po czesku. A Morawcy nie mówią po czesku? Nie, Morawcy nie mówią po cze-

sku. Gdzie mógłbym ich zobaczyć? Tego nie wie. Jedni są Morawcy, a drudzy nie, ale gdzie ich szukać, tych Morawców, tego już nie wie. Sądzę, że tego nikt nie wie. Dziękuję za wodę, żegnam uprzejmą gospodynię i idę dalej. I tu droga jest wąska, typowo wiejska, bo najprzód była wieś, a dopiero potem przyszła droga współczesna. Poszerza się ta droga dopiero w pobliżu Poręby, którą nazwano Porubą. Gdybyż od razu byli nazwali tę miejscowość po czesku Mytiną, nie byłoby tej nazwy, która przypomina porubstwo. I tutaj ze 100% ludności polskiej pozostało raptem 7% Polaków.

Bezruč nie pisze po czesku, Poruba, ale Poremba, a jego komentator, Adamus, mówi o tej miejscowości: „W sąsiedztwie Pietwałdu jest Poręba, której dzieci chodziły zrazu do szkoły w Orłowej. W r. 1876 została w tej gminie wybudowana szkoła z czeskim językiem wykładowym. Kierownikiem szkoły stał się Franciszek Halfar. W gminie już wtedy było polskie stowarzyszenie czytelnicze, t. zw. Czytelnia, której członkowie domagali się założenia szkoły polskiej. Stało się tak w r. 1896. Przez wybór Franciszka Halfara na posła polskiego do sejmu krajowego zdobyli Polacy całkowitą przewagę w gminie i opanowali ją.“ Świadectwo to jest wymowne. Zanim jeszcze zwrócili Czesi uwagę na tę gminę, istniała

Orłowa Schody do kościoła



tam już polska czytelnia, a uświadomieni obywatele polscy domagali się założenia polskiej szkoły. Dzisiaj statystyka czeska naliczyła tam zaledwie 7% Polaków.

Poręba należy także do śląskich miejscowości „rozrzuconych“, ale gdy się odwrócić od wysokich gór Beskidu i zapatrzyć się w najbliższą okolicę, widzi się tu dużo wzruszającego. Równina sfalowana tu mniej, tu więcej, a miejscami zdaje się, że jesteśmy gdzieś w okolicy Warszawy i patrzymy na jeden z dworów wiejskich. Duże białe budowle jaśnieją w słońcu, dokoła łany zbóż i łąki, na pagórkach kępy drzew, czasem krótka alejka na wzgórzu przypomina w zmierzchu wieczornym rząd mnichów, wędrujących Bóg wie dokąd.

Spoglądam przed siebie i z daleka widzę kolumny świątyni greckiej w Paestum. Cóż to u Boga Ojca?! Złudzenie olbrzymie: grecki trójkąt ściany szczytowej z białymi kolumnami pod nim, długi rząd kolumn bocznych. Wiem, oczywiście, że to nie żadna świątynia pogańska, ale idę w tamtą stronę: ten porządek architektoniczny, ta wizja dorycka na tle krajobrazu przemysłowego ma w sobie coś fascynującego. I już mi jest wszystko jedno, że nie jestem w Lukanii starożytnej i że nie patrzę na świątynię Posejdona, zbudowaną przed tylu wiekami, ale że jestem w Porębie i patrzę na wielką dworską stodołę. Jest w zgoła osobliwy sposób piękna. Zaciszny dwór porębski, eksterytorialny jakiś na tle kominów i szybów kopalnianych, czy może zjawisko szczątkowe, tego, co tu było niegdyś i zostało wyparte przez przemysł górniczy? Stara gorzelnia o dziwnej architekturze drzemie na uboczu, wygasła, zimna, melancholijnie nieaktualna. Rozpajała kiedyś biednych ludzi, teraz upaja oko turysty.

Jedziemy dalej, do Orłowej, która z miasteczka awansowała w roku 1922 na miasto i liczy około 12 tysięcy mieszkańców. Orłowa to typowa miejscowość zaolzańska. Istnienie swoje w XIII wieku zaczyna piękną legendą jako miejscowość polska, obecnie jest niejako czeską stolicą zagłębia karwińskiego z mniejszością polską, której statystyka urzędowa przyznaje niespełna 14%.

Legenda Orłowej jest taka. Książę Mieszek, pan na Raciborzu i Cieszynie (1163—1211), wybrał się pewnego razu z żoną Ludmiłą



Orłowa
Mogiła 56 Czechów poległych w walkach o Cieszyńskie

i licznym orszakiem na łowy w lasy cieszyńskie, gdzie było dużo zwierzyny i ptactwa wszelakiego. Podczas łowów książęcy małżonkowie ujrzeli niespodzianie wielkiego orła, siedzącego na drzewie ze zdobyczą w szponach. Nagle orzeł upuścił swój łup, czym tak przestraszył księżnę Ludmiłę, że na miejscu, gdzie obecnie stoi kościół orłowski, urodziła syna, późniejszego księcia Kazimierza. Na pamiątkę urodzenia syna i ukazania się orła, książę polecił zbudować w tym miejscu kaplicę. Po wyrąbaniu lasu dokoła kaplicy powstała tam wieś, którą nazwano Orłową czyli własnością orła.

Ta legenda orłowska istniała najprzód w języku łacińskim, przy czym łup orła, jego ofiara, nazwana była *hostia*. Przy tłumaczeniu tej legendy na języki żywe, przetłumaczono słowo *hostia* w jego sensie liturgicznym i w nowej wersji tej legendy małżonkom książęcym ukazuje się orzeł nie z łupem, ale z hostią w dziobie. Ta wersja przedostała się na obraz głównego ołtarza kościoła w Orłowej. Umęczony Chrystus stoi na tle barokowym, mając po prawicy Matkę Boską Bolesną, a po lewicy Jana Chrzciciela. Nad tymi trzema postaciami orzeł z rozpostartymi skrzydłami trzyma w dziobie hostię, a w szponach mitrę biskupią i pastorał. Ten orzeł dostał się także na tarczę herbu miasta.

Po śmierci Mieszka, Kazimierz, urodzony w Orłowej, stał się księciem panującym (1211—1230) i on to sprowadził benedyktynów z Tyńca pod Krakowem, budując dla nich w Orłowej klasztor i dość duży kościół. Klasztor obdarował wielkimi dobrami, dając mu przede wszystkim Orłową i dwadzieścia innych wsi. Po śmierci Kazimierza, wdowa jego Viola rządziła przez osiem lat (1230—1238) w zastępstwie młodych synów, Mieszka i Władysława. Po śmierci Mieszka, Władysław stał się panem całej Opolszczyzny, a widząc, że w kościele orłowskim dzieją się cudy, ściągające pątników ze wszystkich stron, miał przenieść benedyktyński klasztor do Orłowej, aby mnichów było więcej i aby mogli troszczyć się o potrzeby ludu, karczować lasy, osuszać mokradła i zakładać osiedla ludzkie. Adamus, historyk Orłowej, powiada, że „zdaje się być prawdziwą wiadomość, pochodząca z czasów dość późnych, bo z r. 1688, w której jest mowa o tym, że głównym zadaniem mnichów orłowskich było duszpasterstwo".

Podczas reformacji książę Wacław przyłączył się zrazu do ruchu reformacyjnego, aby niedługo odwrócić się od niego i powrócić do katolicyzmu. Ale przyłączywszy się do reformacji, zagarnął klasztor orłowski, głównie zaś wszystkie dobra, należące do niego,

Miotlarze śląscy



i te dobra już zatrzymał nawet po restytucji klasztoru. Rzecz osobliwa, że chociaż Śląsk od połowy XIV stulecia znajdował się pod panowaniem królów czeskich, to jednak w Orłowej nic się nie zmieniło i benedyktyni tynieccy stale wyznaczali opata dla klasztoru orłowskiego. Gdy opat Jan Burzyński (1560—1561), pochodzący z klasztoru tynieckiego, zaczął ostro występować przeciwko księciu Wacławowi za jego apostazję, książę skorzystał skwapliwie ze sposobności, aby się go pozbyć, nazwał go cudzoziemcem i kazał przedłożyć sobie dokumenty, na mocy których tynieccy benedyktyni mieliby prawo wyznaczania opatów dla Orłowej. Burzyński powrócił do Tyńca, nie wiadomo, czy wygnany, czy też dobrowolnie. Podczas rozruchów miano porozpędzać benedyktynów, a niektórych nawet pomordować.

Po wygnaniu orłowskich benedyktynów Wacław stał się panem ich mienia w Orłowej, w Porębie, w Łazach, w Polskiej Lutyni, w Rychwałdzie, a po części i w Dziećmorowicach, przyłączając wszystkie te posiadłości do państwa frysztackiego, które później otrzymał Fryderyk Kazimierz. Przez kilkadziesiąt lat ciągnęły się spory o zagarnięte mienie klasztorne i opaci tynieccy, Stanisław Sułkowski (1607—1618) i Stanisław Łubieński (1618—1627), późniejszy biskup płocki i podkanclerzy koronny, starali się wznowić sprawę mienia benedyktynów orłowskich, ale usiłowania ich były daremne.

Adamus podaje nazwiska opatów orłowskich od roku 1260 mniej więcej. Zrazu są to tylko imiona braci, ale poczynając od wieku XVI mamy już imiona i nazwiska. W roku 1511 zaczyna rządzić klasztorem orłowskim Jędrzej Gniady z Zabierzowa, po nim idą: Wincenty Baranowski z Baranowa, Michał Pielsz, Jędrzej Burzyński, Benignus Chyliński i brat Stanisław (bez nazwiska), na którym lista urywa się w r. 1625. W r. 1631 wznawia się życie w klasztorze orłowskim i odtąd aż do roku 1722 mamy znowu opatów o nazwiskach wyłącznie polskich: Atanazjusz Stanisłowski, Jakub Piotrowicz, Stanisław Golisieński, Celestyn Łopacki, Marcin Wilczyński, Ildefons Trzecki, Maurycy Rubinkowski, Bogumił Mycielski, Melitus Chodorowicz, Gaudenty Lipnicki i Lambert Klon.



Orłowa. Tablica pamiątkowa w gimnazjum polskim

Zdarzeniem przełomowym już nie tylko dla klasztoru, ale dla całej Orłowej i jej rozległej okolicy był fakt przejścia klasztoru orłowskiego pod zarząd czeskich benedyktynów broumowsko - brzewnowskich. Bezpośrednio zdarzenie to nie miało żadnych skutków osobliwych i zaznaczyło się dopiero w wieku minionym, gdy uświadomienie narodowe zaczęli krzewić księża-budziciele. „Orłowscy proboszczowie — powiada Adamus — posyłani do Orłowej z Czech, wpoili w lud miłość dla języka morawskiego, oni to podtrzymywali ten język w kościele i w szkole nawet w czasach, kiedy o Śląsku nie wiedziało się nic poza tym, że należał on do korony czeskiej za Karola IV, gdy nikt nie troszczył się o lud na Śląsku, osobliwie o lud w Cieszyńskiem. We wsiach, należących do parafii orłowskiej, szkoły morawskie przemienione zostały na polskie, ale religii uczyły się dzieci z podręczników czeskich. Orłowa stała niby skała śród morza, o którą rozbijały się burzliwe fale... Orłowa zwołała resztki bojowników do walki, rozżarzyła gasnącą iskierkę miłości dla języka morawskiego, aż miłość ta zapłonęła i przemieniła się w niezłomny opór przeciw wszystkim wrogom

naszej mowy morawskiej. Orłowa była filarem tego oporu. Oczywiście, było to jedynie następstwem czynu o. Lamberta Klona, który klasztor orłowski połączył z zakonem benedyktynów czeskich, skąd potem przybywali ci, co krzewili miłość mowy morawskiej."

Przytaczam umyślnie słowa czeskiego historyka, bo mówiąc o miłości dla języka „morawskiego", nie tai, że w Orłowej mieszkali od wieków Polacy i śród poddanych klasztoru orłowskiego wymienia on około setki nazwisk polskich, jak: Kożusznik, Gwóźdź, Wytrzens, Kępny, Surma, Zielonka, Mołdrzyk, Durczok, Sobol, Bystroń, Górecki, Bardoń, Kania, Żuk... Są to poddani klasztoru, którzy pod koniec wieku XVIII siedzieli na poszczególnych zagrodach w Orłowej. Adamus mówi tylko o krzewieniu miłości dla języka morawskiego, natomiast Władysław Zabawski w swej książce o Śląsku Cieszyńskim, „Droga do ziemi obiecanej", pisze: „Gniazdem czechizacji była też parafia katolicka w Orłowej, która należała niegdyś pod zarząd benedyktynów w Tyńcu pod Krakowem, a po reformacji (nie po reformacji, lecz po roku 1722) przydzielona została czeskim benedyktynom w Broumowie. Stamtąd nasyłano księży czeskich do Orłowej. Zaciekłość czechizacyjna tych księży była taka, że w r. 1882 nie chcieli w szkole orłowskiej udzielać religii z powodu nauczyciela Polaka. W Porębie w ciągu 7 miesięcy ksiądz był zaledwie 10 razy na nauce religii w szkole dlatego, że gmina jednogłośnie oświadczyła się za nauczaniem po polsku w szkole." Skutki tego stanu rzeczy ocenia Zabawski stratą 40 tysięcy dusz już podczas spisu w r. 1910.

Adamus nie ukrywa bynajmniej narodowości ludu, zamieszkującego Orłową i okolicę, i uważa go za polski. Ciekawą swoją książkę o Orłowej kończy kilku danymi statystycznymi, z których wynika, że przynależność narodowa ludności Orłowej była czymś niestałym i chwiejnym. Według spisów ludności w Orłowej było:

1880	Czechów	424,	Polaków	2.287,	Niemców	153
1890	„	2.199	„	934	„	157
1900	„	2.233	„	3.919	„	343
1910	„	4.709	„	2.805	„	603
1921	„	7.109	„	1.255	„	242

Historyk czeski dodaje: „Liczby te wskazują, jak szybko zmieniała się przynależność narodowa w Orłowej. Raz mieli większość

Czesi, innym razem Polacy. Wszystko zależało od komisarza spisowego. Jeśli był dobrze usposobiony dla Czechów, naliczył większość czeską, jeśli nie — polską. Ludowi przynależność narodowa była zupełnie obojętną. Jak lud osiadły mówi w Orlowej, niech powie załączona pieśń:

Kiero rada robi,
kiero rada żnie,
to jest herzki dziwcze,
to niechcie dlo mnie.
Kiero nie chce robić,
kiero nie chce żunc,
takum dać do drocza,
dać ji skórem zjunć.

Ten drobny przykład wystarcza dla określenia narzecza ludowego i językowej oraz narodowej przynależności ludu." Dodajmy od siebie, że „kiery" — który, to stare zapożyczenie z czeskiego, zapisane nawet przez wielki słownik warszawski; spotykamy go po całym Śląsku. Słowo „dracz" jest stare i znaczy: zdzierca, zdzieracz, grabieżca, łupieżca, oprawca, rakarz. W Biblii Szaroszpatackiej czytamy: „I zarzucił Pan wszelkie plemię izrahelskie i dał w rękę je draczom". Piosenka przytoczona więc przez Adamusa jako legitymacja narodowościowa jest czysto polska.

Sytuacja ludności polskiej w Orłowej i jej okolicy nie jest świetna, ale byłaby ona niewątpliwie stokroć gorsza, gdyby nie praca inteligencji polskiej Zaolzia. Praca tej inteligencji polskiej jest tak wszechstronna, owocna i wytrwała, a jej zasługi tak wielkie, że należy jej się specjalna z naszej strony uwaga.

O r ł o w a
Ceramika śląska.
Muzeum Macierzy Szkolnej



W GOŚCIACH U ROLNIKA ŚLĄSKIEGO

Jechać? Nie jechać? Chciałem koniecznie zobaczyć z bliska większe śląskie gospodarstwo rolne, wiejski dom mieszkalny, całe obejście gospodarskie. Widywałem już takie gospodarstwa, ale powierzchownie, ot tak, jak je pokazują człowiekowi obcemu, a przynajmniej niedość znajomemu. To niewiele, bo w takich razach widzi się tylko to i owo, i nie wszystko się rozumie. Mówię o tym swojemu śląskiemu przyjacielowi, a ten ma od razu radę gotową.

— Niech pan koniecznie jedzie do Dąbrowy i zapuka do doktora Buzka. Jest to były nasz poseł do parlamentu praskiego i serdeczny przyjaciel młodzieży. Powie panu dużo o swoich harcerzach i ich organizacji, której jest duszą, a potem zawiezie pana do Koń-



Orłowa
Za miastem

skiej, do swoich krewnych, państwa Karolostwa Buzków, gdzie można zobaczyć wzorowe gospodarstwo śląskie. Końska to miejsce urodzenia Jana Kubisza, więc i z tej racji warto tam pojechać. To jest dobra rada, niech pan koniecznie z niej skorzysta. Ale najprzód trzeba umówić się z doktorem Buzkiem, bo jako lekarz nie zawsze bywa wolny.

Doktor Buzek z serdeczną gotowością wyznacza mi pewien piątek, niezapomniany piątek 5 czerwca. Oddaje mi całe popołudnie. Ale z rana tego dnia nad Cieszynem wiszą ciężkie chmury z zapasem deszczu na jakie dwa tygodnie najmniej. Deszcz pada bezustannie, chwilami leje. Koło godziny jedenastej chmury podarły się tu i owdzie i słońce chlusta zza nich rozrzutnymi gorącymi blaskami. Chwała Bogu, pogoda! Niedługa jednak. Po chwili deszcz pada znowu, po nim się wypogadza, ale chmury nie znikają. Jechać, czy nie jechać? Doktor będzie czekał, to pewne. Jadę!

Zbliża się południe. Na dworcu czesko-cieszyńskim ścisk: jedni przyjechali, drudzy wyjeżdżają. Ale to całe tłumy. Słońce znikło, zaczyna znowu padać, zrywa się niespodzianie wichura i rzuca na cały świat płachtami wody. Przepuszczam jeden pociąg, żeby pogoda miała czas poprawić się trochę. Ale wiatr hula, deszcz leje

szerokimi strugami, ludzie przybywają na dworzec, przemoczeni od deszczu i zdyszani od szybkiej przed nim ucieczki. Raptem deszcz przestaje padać, jakby uciął, chmury przedarły się akurat pod słońcem i na Cieszyn leją się potoki światła. Na dalekich pagórkach jasno i wesoło, robi się ciepło, nawet parno. Nawija się znajomy szofer. Pytam go, czy będzie pogoda. Odpowiada, że jeszcze nigdy pasażerom swoim nie przepowiadał niepogody. Dla mnie nie zrobi wyjątku z tej roztropnej zasady. Trzeba zawsze wierzyć w pogodę. Jedziemy!

Za Ligotką Alodialną parno, nad Frysztatem stalowe chmury, przecinane chwilami cienkimi, padalcowatymi błyskawicami. Jedziemy w burzę jak w dym. Nie udało się, to trudno! Zawrócić chyba? Ale szofer pokazuje dalekie wierzchołki pagórków wyzłoconych słońcem i pędzi dalej. Po ulewie potoki powzbierały na poczekaniu i z szumem i bulgotem szybko pędzą ku Olzie. Daleka burza błyska coraz rzadziej, a w promieniach słońca deszczyk pada tak ładnie, jakby się z nieba sypały diamenty. Gorąco. W Darkowie deszcz już nie pada, tylko asfalt połyskuje rewelacyjnie, wymyty deszczem i oświecony słońcem. We Frysztacie sucho i przewiewnie. Jeszcze kilkanaście minut i wjeżdżamy między czerwone domki dąbrowskiej kolonii robotniczej. Rozglądamy się, gdzie tu może mieszkać doktor Buzek. Idzie kobiecina w chusteczce na głowie, w trepkach, w kaftaniku barchanowym, w zwyczajnej spódnicy, jakie się nosi „na każdo", czyli w dni powszednie. Pytamy o mieszkanie Doktora.

— A dyć to już tutaj — wskazuje ręką z wielką ochotą. — Tamten czerwiony dom!

Dziękujemy i zwracamy się w kierunku wskazanym, ale czerwionych domów jest tu dużo, więc przez nieświadomość mijamy właściwy i jedziemy dalej. Kobieta stoi za nami i patrzy. Przewi-



Dąbrowa - Orłowa. Szyb „Zofia"



Orłowa
Rynek

dywała słusznie, że zabłądzimy śród tych licznych domów czerwonych i gdy oglądamy się ku niej, kiwa ręką, że trzeba zawrócić, że to bliżej. Ogromnie dobrzy i życzliwi ludzie, ci kochani Ślązacy!

Jesteśmy u celu, ale przybywamy z dużym spóźnieniem i nie wiemy, czy jeszcze zastaniemy doktora Buzka w domu. Mamy szczęście: jest i kończy właśnie przyjmowanie chorych. Doktorostwo czekali z obiadem i od razu prowadzą nas do stołu: gościnność śląska jest wzruszająca. Gawędzimy o harcerzach, o młodzieży, o życiu kulturalnym mniejszości polskiej. Jako działacz społeczny i prezes Harcerstwa, doktor Buzek otrzymał od swoich młodych przyjaciół mnóstwo fotografii grupowych. Oglądamy je po obiedzie. Doktor jest człowiekiem dziwnie spokojnym, zrównoważonym, typowym optymistą, który uzasadnienie swego optymizmu nosi w sobie, w swej wierze, w pracy, w ofiarności. Tacy ludzie zawsze po carlylowsku pracują, nigdy nie rozpaczają. I zwyciężają.

Spoglądamy na okno. Pogoda staje się tematem rozmowy wysoce ciekawej, bo tutaj przy mnóstwie opadów i kapryśności aury, jest to temat prawie zawsze aktualny. Chodzi nam o to, czy będzie pogoda, czy nie zaskoczy nas deszcz. Chciałbym pojechać do Łazów, zobaczyć zakłady Centralnego Stowarzyszenia Spożywczego i wiele innych rzeczy, zanim pojedziemy do Końskiej, jak to jest w programie tego popołudnia. Chmur już nie widać, a niedawną ulewę przypominają już tylko krople na liściach drzew i kałużki wody na drodze.

Jedziemy do Łazów na Orłową. Jest już jasno na świecie, powietrze cudownie przezroczyste, a wiatr stał się miękki i wieje tak

jakoś mile, jakby chciał radować serce ludzkie. W pewnym miejscu, na drodze z Orłowej do Łazów, ukazuje się krajobraz tak piękny, że brak słów na oddanie jego piękna. Niebo jest już zupełnie czyste, jasnobłękitne, tuż pod nami widać Łazy, a w dali za nimi błękitnieje i sinieje Beskid, niby wspaniałe tło dla tych przemysłowych okolic, z ich kominami, wieżami szybowymi i wielką koksownią.

Łazy! Ach, to tutaj 20 maja 1919 roku straszliwa katastrofa kopalniana uśmierciła okrutnie 92 górników. Część ich spoczęła na nowym cmentarzu katolickim w Orłowej, część znalazła miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu ewangelickim, naprzeciwko kościoła ewangelickiego. Jesteśmy właśnie na drodze w pobliżu kościoła ewangelickiego, w miejscu tak wyjątkowo pięknym. Tuż przy drodze biegną szyny tramwaju międzymiastowego, z lewej strony stoi kościół, z prawej szumią drzewa na cmentarzu. Idziemy na ten cmentarz, aby zobaczyć bratnią mogiłę górników. Jakaś olbrzymia melancholia gości na tym cmentarzu, z którego roztacza się widok tak nieludzko piękny w obliczu niemej śmierci i jej mroków.

Znowu te czyściutkie ścieżki, ładne pomniki, kamienie gładzone ze słowami bezradnej miłości żywych, milczenie umarłych,

Orłowa
Dożynki





Dr Jan Buzek, lekarz w Dąbrowie i wybitny działacz śląski

kwiaty na ich grobach. I nazwiska: Cimała, Liszka, Parchański, Santarius, Zientek, Pawlica, Grusza, Kaplarczyk, Wawreczka, Ondraczyk, Macura, Cichy, Matuszek, Wałowy, Smolka, Kraina, Jasiok, Rozbrój, Delong, Kożusznik, Sagitarius...

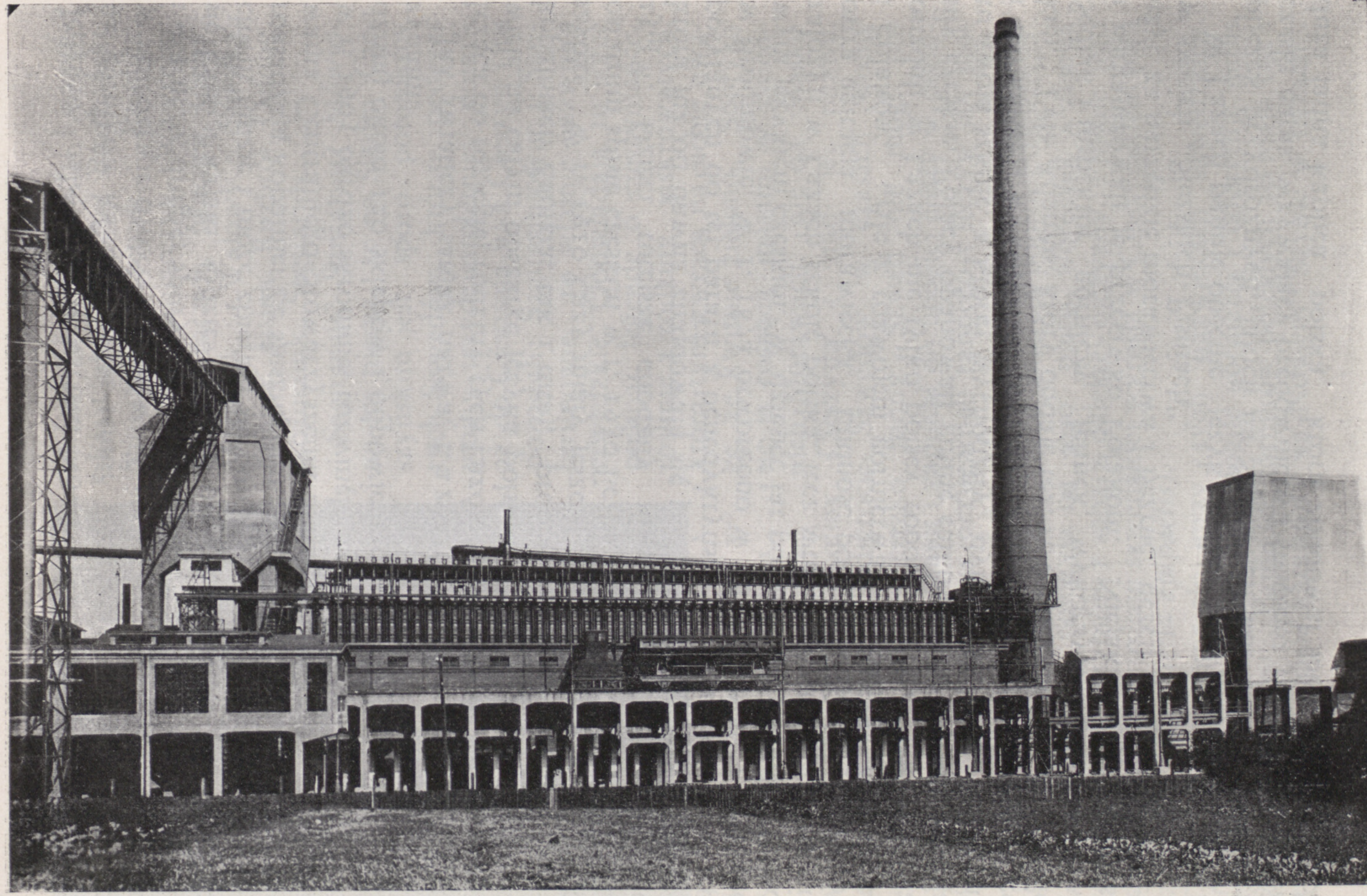
Sagitarius? Santarius? Mówiono mi nieraz, że na Śląsku Cieszyńskim jest sporo potomków tych Szwedów, którzy podczas wojny trzydziestoletniej dotarli aż do Cieszyna i za Cieszyn i tu pozostali. Sagitariusowie i Santariusowie, to właśnie nazwiska szwedzkie. Opowiadają tu sobie piękną legendę o cieszyniance, roślinie z rodziny jaskrowatych, która tym zwraca na siebie uwagę, że kwitnie zielono. Spotyka się ją rosnącą masami w sąsiednich Morawach, ale na Śląsku rośnie ona jedynie w okolicy Cieszyna i stąd jej nazwa. Legenda głosi, że przy odwrocie Szwedów w czasach wojny trzydziestoletniej, młody ciężko ranny Szwed nie mógł podążyć za swoimi towarzyszami i zapukał do ubogiej chaty w pobliżu Cieszyna. Dobrzy ludzie przygarnęli rannego i leczyli jak mogli. Opiekowała się nim ich córka. Młodzi pokochali się wzajemnie, ale biedny Szwed musiał umrzeć. Przed śmiercią poprosił ukochaną, aby po jego śmierci położyła na jego piersi woreczek z ziemią szwedzką, którą przyniósł z sobą z dalekiej ojczyzny. Prośbie jego stało się zadość i z tej ziemi szwedzkiej wyrosła w Cieszyńskiem owa cieszynianka *(Hacquetia epipactis)*.

To mi się przypomniało przy tych nazwiskach szwedzkich. Podchodzę ku wielkiej bratniej mogile górniczej i odczytuję napis na żelaznym obelisku: „Pamiątce górników poległych 20 maja 1919 na polu pracy w czasie katastrofy na Nowym Szybie w Łazach".

Jedziemy dalej. Gdzie jest ten Nowy Szyb, w którym zginęło aż 92 górników kilkanaście lat temu? Pokazują mi jego wieżę. Stoi w sąsiedztwie dwóch kominów. Z jednej strony zabudowania białe i czarne, z drugiej spory staw, po którym w jasnym słońcu ślizgają się łódki i kajaki. Gdzieś głęboko pod tym stawem pracują w tej chwili ludzie i może zbierają się tam znowu te straszne gazy, które rozsadzają kopalnie. Ze słuszną dumą pokazują tu gościowi zabudowania Centralnego Stowarzyszenia Spożywczego, które zacząwszy w r. 1905 bardzo skromnie, rozwinęło się tak wspaniale, iż posiada dzisiaj około 120 sklepów i odpowiednio wielką centralę z magazynami.

Jak świadczy samaż nazwa, Łazy to miejscowość polska, należąca do rozległej rodziny tych Łazów i Łazisk, których mamy tak wiele na całym obszarze języka polskiego. Ale jak po wszystkich kopalniach Zaolzia, tak i tutaj, proces czechizacyjny był bardzo szybki. W r. 1910 Łazy miały jeszcze 48,7% ludności polskiej, po ostatnim spisie czeskim w r. 1930 liczba ludności polskiej spadła do 23,3%. Dzieci tutejsze chodziły niegdyś do szkoły w Orłowej, która już od dawna znajdowała się pod wpływem czeskich księży, posyłanych do tej parafii z benedyktyńskiego klasztoru czeskiego w Broumowie. W r. 1874 otworzono w Łazach szkołę z wykładowym językiem czeskim. W dziesięć lat później uświadomieni Polacy założyli w Łazach szkołę polską, lecz wtedy powstała przeciw niej ostra agitacja morawiecka. Ludność podzieliła się na Morawców i Polaków. „Ale z rozwojem górnictwa — powiada Adamus — osiadali w Łazach nie tylko polscy robotnicy, lecz i kierownicze siły czeskie. Polacy opanowali gminę całkowicie w r. 1894. Mając tu swoją szkołę, z której wychodziły dyrektywy pracy społecznej i narodowej, wywoływali protesty miejscowej ludności morawieckiej.“ Tyle Adamus, który dodaje też, że ostatecznie czeski inżynier Sedlak i inspektor górniczy Jelinek wykorzystali morawiectwo i zorganizowali je przeciwko Polakom. Niejaki Krzystek dał się użyć za narzędzie morawiectwa i Bezruč uczcił go za to wierszem w swoich „Slezskich Pisniach“.

W Łazach panuje obecnie język czeski. Nawet na jednej z kapliczek przydrożnych, jakich na Śląsku jest tak wiele, widziałem czeski napis, wzywający orędownictwa świętego Jana. Jest tu także duża ładna kaplica polska, którą zbudował sobie lud katolicki



Koksownia w Łazach

Łazów i okolicy. Istnienie tej kaplicy ma swoistą wymowę. Oto ludność polska Orłowej, nie mogąc już od r. 1919 doprosić się nabożeństw polskich dla siebie w kościele parafialnym, zmuszona była urządzić sobie tę kaplicę w Łazach. Jest to tym dziwniejsze, że nawet statystyka czeska podaje znaczny odsetek Polaków w okolicach Orłowej i przy odrobinie dobrej woli można było zadowolić potrzeby polskiej ludności katolickiej, zezwalając jej na polskie nabożeństwa, o które przez tyle lat proszono. Zresztą w sprawach religii można było ominąć momenty polityczne i statystyczne. Z drugiej jednak strony rozumiemy opór Czechów. Cała okolica Orłowej jest polska i słowo polskie w kościele byłoby podobne do iskry.

Opuszczamy Łazy, zapatrzeni w cudowną wizję Beskidu na dalekim horyzoncie i jedziemy do Karwiny, aby pozdrowić Dra Wacława Olszaka, wybitnego działacza i b. prezesa Macierzy Szkolnej. Wtedy był on jeszcze burmistrzem Karwiny. W okolicy koksowni łaziańskiej rozchodzi się ostry zapach gazu świetlnego, ale pogoda staje się coraz błękitniejsza, powietrze jest po prostu kryształowo przezroczyste. Wieje wiatr elastyczny i kolorowy. Po rannej ulewie ani śladu, popołudniowa parność rozwiała się zupełnie i teraz jest na świecie niewypowiedzianie ładnie. Mijamy czarne hałdy z białymi na nich brzózkami i pukamy do państwa Olszaków. Niestety, nie zastajemy doktora. ale bardzo uprzejmie przyjmuje nas jego małżonka. Gawędzimy o tym i owym, na stole stoi rzeźba w drzewie Henryka Nitry, przedstawiająca Ślązaczkę idącą do kościoła. Mówimy o Nitrze i Błędowicach, w których mieszka. Ponieważ pan burmistrz nie wraca, żegnamy się i ruszamy dalej.

Przejeżdżamy na drogę frysztacką i w cudownie jasnym powietrzu, jakie widuje się tylko z rzadka, gładko jak po stole jedziemy przez Frysztat, Darków, Łąki, Ligotkę Alodialną, Cieszyn, Sibicę i Żuków do Końskiej. Znam tę drogę doskonale, bo przejeżdżałem nią już wiele razy. Na tej drodze w pobliżu Żukowa zostaliśmy pewnego pięknego poranku zatrzymani przez żandarmów. Stali po obu stronach drogi, a jeden z nich, czerwoną błyszczącą tarczą z napisem: „Stát! Stop!" — zatrzymywał samochody. Oczywiście, szofer zatrzymał auto natychmiast. Z lewej strony drogi stało duże auto ciężarowe, jakaś taksówka i dwa motocykle. Cóż to się stało?

Żandarmi podeszli do nas i szofer pokazywał im po kolei wszystkie żądane papiery. A więc: legitymację szoferską, świadec-



Łazy. Kapliczka przydrożna

two lekarskie, że w terminie właściwym był badany przez lekarza, czy ma dobry wzrok i słuch i dobre czucie w rękach i nogach. Potem przyszła kolej na pokwitowanie urzędu skarbowego, że opłacił wszystkie podatki, a wreszcie dowód, że pasażerowie są należycie ubezpieczeni od wypadku. Po obejrzeniu wszystkich papierów, szofer musiał otworzyć skrytkę samochodu z materiałem opatrunkowym i pokazać, że ma buteleczkę jodyny i przepisane ilości waty, bandaży, przylepca. Po pięciu minutach pozwolono nam jechać dalej.

Szofer opowiedział nam potem, że okresowo musi poddawać się badaniu lekarskiemu bardzo drobiazgowemu. Lekarz bada nie tylko wzrok i słuch, ale i refleksy nóg i rąk oraz sprawdza szybkość orientacji szofera przy pomocy bardzo skomplikowanych metod. Dowiedzieliśmy się wtedy, że każdy właściciel taksówki musi ubezpieczać swoich nieznanych pasażerów na 10.000 koron od nieszczęśliwego wypadku i że w samochodzie musi być zawsze jodyna, wata, bandaże, leukoplast. Rewizje takie odbywają się zgoła niespodziewanie w różnych miejscach i różnymi czasy. Za uchybienia szoferzy karani są surowo. Ta dbałość władz o bezpieczeństwo pasażerów taksówek bardzo mi się podobała. Szofer dodał jeszcze, że wszyscy właściciele samochodów przestrzegają tych przepisów skrupulatnie, bo za powtarzające się uchybienia grozi obok kar pieniężnych także odebranie prawa jazdy.

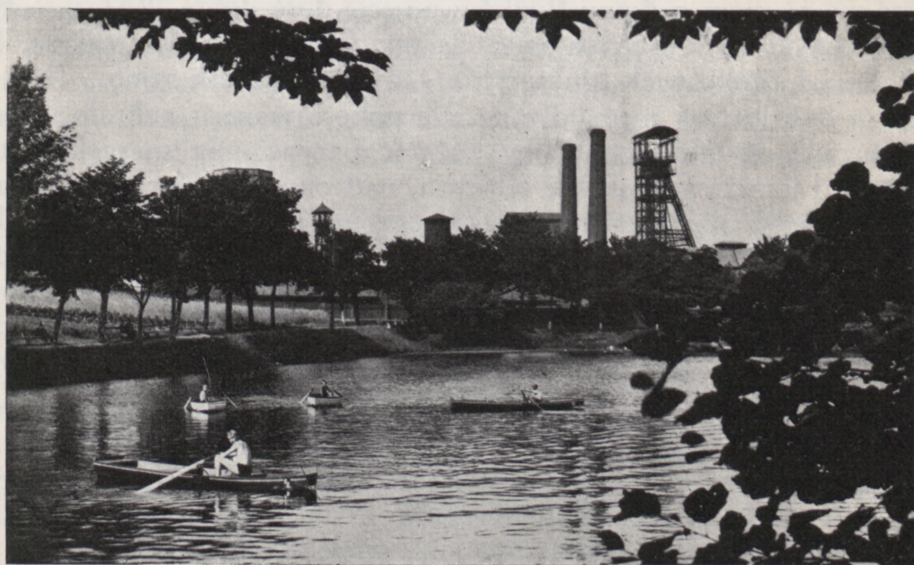
Nie dojeżdżając do Trzyńca, zbaczamy z szerokiego gościńca na drogę wiejską, którą można by nazwać podjazdową. Jedziemy nad samą Olzą, która w tych miejscach jest głęboka i ciemna, taka właśnie, jaką opisał Kubisz w swoim pamiętniku. Z brzegu wystają gęste krzaki, a w nich zdaje się czaić tajemnica. Tutaj rzeczywiście mogłyby się gnieździć utopce śląskie. Niewygodnie byłoby im koło Kąkolnej, czy w pobliżu Wierzniowic, gdzie dno kamieniste ukazuje

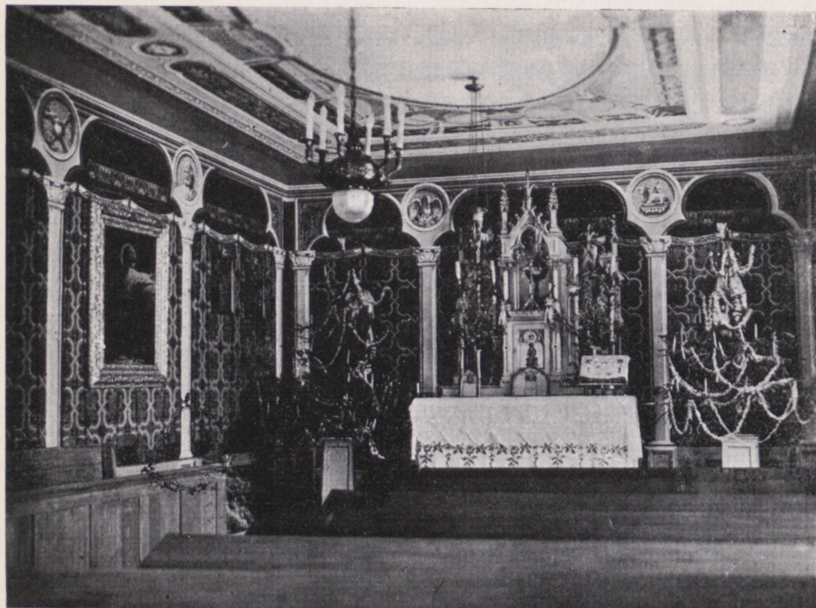
się bardzo często i brzegi są gołe, ale tutaj, gdzie dużo jest zarośli i gdzie nie widać kamienistego dna, musi być raj dla utopców. Po niewielu minutach jazdy jesteśmy w Końskiej. Tutaj urodził się i wychował Jan Kubisz i te właśnie strony zajmują w jego wspomnieniach dziecięcych tyle kart pamiętnikowych.

Doktorostwo Buzkowie wiozą nas do państwa Karolostwa Buzków, których dom znany jest w całym Zaolziu z wielkiej gościnności. Samochód wjeżdża na szeroki czysty dziedziniec, otoczony ze wszystkich stron zabudowaniami gospodarczymi, obszernymi i utrzymanymi w stanie wzorowym. Najciekawszy jednak jest dom mieszkalny, którego część, historyczna już dzisiaj, powstała w r. 1782 i jest godna podziwu.

Pan Karol Buzek, rodzony brat zmarłego w r. 1936 senatora, Józefa Buzka, wychodzi na nasze spotkanie i prowadzi nas do domu. Przestronna sień z dużym piecem do pieczenia chleba, czyste białe ściany, sklepiony strop. Ta sień jest połączeniem między drewnianym domem starym, liczącym sobie dzisiaj 154 lata wieku, a nowym domem murowanym, dobudowanym do tamtego. Wchodzimy do obszernej świetlicy z roku 1782. Jestem zdumiony i oczarowany tym, co tu widzę. Świetlica domu Buzków jest znana nie tylko na

Łazy. Nowy szyb i staw





Łazy. Wnętrze kaplicy katolickiej

Śląsku, ale daleko poza jego granicami. Jan Kubisz w pięknym swoim „Pamiętniku“ podaje wizerunek tej wspaniałej „świetlicy“ i jej pięknego stropu. Podziwiałem te wizerunki nieraz i zdawało mi się, że mam o domu Buzków pojęcie dość dobre. Rzeczywistość zaskoczyła mnie bardzo mile. Ściany świetlicy są drewniane, bez śladu jakiegokolwiek tynku, strop, czyli *powoł* tak samo. Drzewo ścian i sufitu jest niemalowane, ale pokostowane, i nabrało takiego zabarwienia, jakie można by nazwać patyną. Są tu piękne stare drzwi i jeszcze piękniejsze odrzwia, nad oknami galeryjka pomalowana farbą olejną. Całość jakaś ogromnie solidna, porządna, budząca serdeczne zaufanie do mieszkańców tego domu. Jeśli na jedno pokolenie liczyć lat trzydzieści, jak to się zwykle czyni, to w domu tym mieszkało pięć pokoleń Buzków. Czcigodny dom! Do jego ścian przylgnęło coś z dziejów tych pięciu pokoleń i pamiętnik tego domu byłby niewątpliwie bardzo ciekawą częścią dziejów Śląska Cieszyńskiego.

Sprzęty tej świetlicy są proste, rzeczowe, ale pełne wdzięku. Nie wiem już, kto zapowiedział jako jeden z najbliższych wynalazków aparat fotograficzny, którym będzie można fotografować hi-

storię. Gdzieś na skałach i ścianach starych pałaców istnieją podobno fotogramy dawnych władców i ich poddanych. Światło promieni słonecznych przytwierdziło je do tych ścian i skał, ale jeszcze nie umiemy dojrzeć ich, dopóki nie znajdziemy sposobu eliminowania promieni jednych, utrwalania innych. O tym przyszłym wynalazku myślę tutaj w tym domu czcigodnym, w którym mieszkało pięć pokoleń jednego rodu śląskiego. Tutaj mieszkali przede wszystkim dziedziczni rolnicy, ale stąd wychodzili także znakomici działacze społeczni, lekarze, uczeni. Tutaj doskonaliło się gospodarstwo wiejskie i z dawnego pierwotnego rolnictwa przemieniało się stopniowo w rolnictwo, oparte na wiedzy specjalnej i doświadczeniu naukowym. Jakże dobrze byłoby wyjąć taki aparat fotograficzny i fotografować tych gospodarzy, którzy tu mieszkali, pracowali, czasem cierpieli, znowu pracowali i wreszcie schodzili z widowni świata, aby miejsce swoje ustąpić dziedzicom. Dla człowieka z miejskiego domu przechodniego te myśli i uczucia mają czar osobliwy. W takim domu widzi się z całą pożądaną jasnością, co to jest człowiek mający grunt pod nogami.

Najpiękniejszy w tej świetlicy jest strop. Deski jego są żłobkowane misternie, w środkowej belce jest ładna różyca wyciosana siekierą cieśli, który był i rzemieślnikiem i artystą, a deski między belkami układane są w ukos i tworzą bardzo ładny zygzak. Dodajmy jeszcze, że i deski połączone są żłobkowanymi listewkami, pełnymi nieoczekiwanego wdzięku. Uprzejmy gospodarz otwiera drzwi pokoju sąsiedniego i prowadzi nas do niego. Łóżko, które można by nazwać polowym, nad nim fuzja i torba myśliwska, obok

Polska publiczna szkoła wydziałowa w Łazach



stół i krzesło. Miejsce pracy i spoczynku człowieka, który czasem musi przysiedzieć fałdów nad rachunkami i obliczeniami, ale także chodzi na łowy. Na ścianie wisi tu stara fotografia jednego z Buzków w towarzystwie kilku działaczy śląskich, założycieli nieocenionego śląskiego Towarzystwa Rolniczego.

Przychodzi pani Buzkowa i całe liczne towarzystwo zaprasza na podwieczorek. Na stole pojawia się wspaniała kawa, jakiej nie dostanie nikt w najlepszej kawiarni, domowy chleb, wyborny ser i niezrównana szynka śląska. W porze żniw powysyłano na pole wszystką służbę i pani gospodyni musi krzątać się dokoła gości sama, ale czyni to z taką serdeczną ochotą, że od razu przestajemy się krępować. Gawędzimy o gospodarstwie, o cenach zboża, o kryzysie światowym. Po podwieczorku na stole ukazuje się księga gości, z której widzimy, że w domu tym bywali częstymi gośćmi ludzie wybitni, przybywający niekiedy aż z Ameryki. Jedną z kart zaczyna „ciotka Buzkula", która podpisała się tak właśnie, jak się na Śląsku mówi. Nie Buzkowa, ale Buzkula. Nie Staszkowa, ale Staszkula.

Nadchodzi wieczór i przez okno pokoju stołowego widzimy powracające z pastwiska dorodne bydło. Idą poważne krowy, po-



Centralne Stowarzyszenie Spożywcze w Łazach

brzękując dzwonkami o niskich tonach i cielęta z wesołym usposobieniem i jasnymi dzwoneczkami. Jedna z krów zwraca na siebie uwagę wielkością wymienia. Czy może chora? Nie, to taka rasa. Daje do pięciu tysięcy litrów mleka rocznie. Idziemy do obory, aby zobaczyć krowy z bliska. Czysto, jasno, porządek idealny. Poidła automatyczne. Krowa sama otwiera sobie miskę, do której płynie woda, dopóki krowa pije; gdy przestaje pić i cofa gębę, miska się zamyka, woda przestaje płynąć. Gdy się ma, jak tutaj, piętnaście krów, takie poidła oszczędzają bardzo wiele pracy. Zresztą krowy są tu jakoś dobrze wychowane, bo każda trafia do swej przegrody, nad którą jest czarna tablica z imieniem krowy i różnymi uwagami. Imiona mają krowy na Śląsku bardzo ładne. W Końskiej u państwa Buzków zapisałem sobie parę tych imion: Kalina, Malina, Wiochna, Basia, Tyrola, Elza, Blanka...

Ponieważ p. Karol Buzek jest już niejako dziedzicznym i wybitnym działaczem Towarzystwa rolniczego, które w ciągu 67-letniego istnienia wykonało ogromnie dużo dla podniesienia kultury rolniczej na Śląsku Cieszyńskim, przeto zainteresowałem się także organem Towarzystwa, „Poradnikiem gospodarczym", a z niego dowiedziałem się, jak rolnicy zaolzańscy wydatnie korzystają ze zdobyczy naukowych w dziedzinie rolnictwa i hodowli bydła. Tu się notuje skrupulatnie udoje dzienne w ciągu całego roku i zapisuje się, ile tłuszczu zawiera mleko, ile w nim jest białka. Bydło bywa od czasu do czasu ważone i rolnik-hodowca śledzi z zainteresowaniem, jaki jest stosunek ilości mleka do wagi krowy, a następnie jaka jest wartość danego mleka co do zawartości w nim tłuszczu i białka. Rzecz prosta, że te badania mają na względzie cele praktyczne.

Ponieważ rolnik bywa często także hodowcą koni, więc w „Poradniku" znalazłem dużo ciekawego także o koniach. W ogóle pismo to jest bardzo wszechstronne, bo obejmuje obok właściwego rolnictwa także hodowlę zwierząt domowych i drobiu, pszczelarstwo, sprawy gospodyń itd. Oczywiście nie omija ono zagadnień ściśle gospodarczych, połączonych z operacjami pieniężnymi. Jest to więc pismo na wskroś praktyczne i można o nim powiedzieć, że jest idealnym łącznikiem między redakcją a czytelnikami. Każda rada i wskazówka redakcji zostaje wyzyskana praktycznie, a doświad-



Łazy
Nowy szyb

czenia czytelników stają się z kolei własnością redakcji. Współpraca redakcji i czytelników harmonijna.

Nadchodzi wieczór. Żegnamy uprzejmych gospodarzy i opuszczamy ich gościnny dom. Pogoda jest ciągle jasna, ale wieje ostry wiatr. Słońce pochyliło się ku zachodowi, Olza szumi śród zarośli. jest ciemnozielona i zła. Dziwny dzień! Z rana lał deszcz, w południe było duszno i gorąco, po południu powietrze stało się kryształowe i zdawało się grać wszystkimi kolorami, a teraz wieje chłodny wiatr. To się zdarza w tych stronach bardzo często.

Rozstajemy się z naszymi uprzejmymi przewodnikami w Cieszynie. Spędziliśmy z sobą kilka godzin zaledwie, ale przy pożegnaniu jest nam tak, jakbyśmy się znali od wielu lat. To się powtarza stale na całym Śląsku po obu stronach Olzy. Nie podobna wymienić wszystkich domów, których się było gościem i z których wynosiło się zawsze nieoszacowane dowody życzliwej, uprzejmej przyjaźni.



Szkoła ludowa Macierzy Szkolnej w Dąbrowie

INTELIGENCJA ŚLĄSKA

Dzieje Śląska to zrazu dzieje władców śląskich, swoich i obcych, ich ambicji, podbojów, dążeń, przygód, czasem kaprysów. Pod rządami polskich Piastów ziemia śląska zaczęła się kruszyć dość wcześnie. Piastowicze wojowali z sobą, przywołując Niemców

na pomoc i płacąc im za tę pomoc ziemiami dziedzicznymi. Pokruszony Śląsk stał się w wieku XIV łatwym łupem Czechów i dzielił zmienne koleje królestwa czeskiego. To, co na Piastach zdobyli Przemyślidzi, stało się z kolei dziedzictwem Habsburgów. Jednym z kilkunastu księstw śląskich było Cieszyńskie. Związane z ziemiami korony czeskiej, było widownią reformacji czeskiej i niemieckiej, ucierpiało niemało podczas wojny trzydziestoletniej, przechodząc z rąk generałów cesarskich w ręce generałów szwedzkich, a wreszcie było częściowo widownią wojen śląskich (1740—1763), zakończonych pokojem w Hubertusburgu.

Fryderyk II, król pruski, rozpoczynając te wojny, miał lat 28 i był do nich świetnie przygotowany, Maria Teresa, cesarzowa austriacka, była od niego o cztery lata młodsza i brakło jej zarówno doświadczenia, jak i ludzi potrzebnych do pokonania przeciwnika, nie przebierającego w środkach. Gdy Fryderyk znalazł się z wojskiem swoim na Śląsku, Maria Teresa wysłała do niego doświadczonego dyplomatę i generała, Botta d'Adorno. Fryderyk przyjął go bardzo uprzejmie, zapewnił, że wszystko skończy się jak najpomyślniej dla cesarzowej i był w ogóle bardzo miły. Ale Botta pisał do cesarzowej: „Mam, niestety, aż nadto przyczyn, aby być pewnym, że niezachwianym zamiarem króla jest zagarnięcie przemocą Bóg wie ilu księstw naszego kraju śląskiego, aby je następnie zhołdować".

„Bóg wie ilu księstw naszego kraju śląskiego..." Było ich z dziewiętnaście i niemal wszystkie zagarnął Fryderyk, zostawiając przy Austrii Opawskie, Cieszyńskie i kawałek Karniowskiego. Józef II, następca Marii Teresy, miał narzekać, że zabrano mu ogród i zostawiono płot jedynie. Istotnie z 45.566 km kw. ziemi śląskiej przy Austrii pozostało zaledwie 5.147 km kw. Reszta stała się częścią królestwa pruskiego i odtąd istniały Śląski dwa: austriacki i pruski. W ramach Śląska austriackiego całość historyczną tworzyło księstwo Cieszyńskie.

Nie skończyło się, niestety, na podziałach Śląska na księstwa i na przynależność austriacką i pruską. W roku 1920 Cieszyńskie zostało podzielone w ten sposób, że z 2.282 km kw. obszaru tego kraiku 1269 km kw. razem z bogatymi złożami węgla i niezliczonymi zakładami przemysłowymi oddano Czechosłowacji, reszta,

czyli 1.013 km kw. pozostała przy Polsce. Ze 437 tysięcy mieszkańców Cieszyńskiego 297.000 przeszło pod panowanie czechosłowackie. W liczbie tej znalazło się około 140 tysięcy Polaków.

Przed wojną światową w Cieszyńskiem rządzili i panowali Niemcy. Byli paradoksalną mniejszością rządzącą. W roku 1910 Cieszyńskie miało 233.850 Polaków, 115.597 Czechów i 76.923 Niemców. Niemcy mieli wtedy większość w szeregu miast cieszyńskich i powoli, ale niepowstrzymanie posuwali się naprzód, aby opanować także gminy wiejskie. Zwyczajem swoim panowanie nad Śląskiem uzasadniali historycznie pierwszeństwem germańskim. Zdaniem ich, wygłoszonym najprzód przez nauczyciela niemieckiego Imsiega i podchwyconym nawet przez poważnych uczonych niemieckich, na Śląsku mieszkali ongi Silingowie wandalscy, o których wspomina geografia Ptolemeusza. Aż dziw, że zdanie to przyjęło się także w kołach czeskich uczonych. Nie kwestionowali tej tezy ani Szafarzyk, ani Palacky, nie mówiąc o innych. Przyjęli to twierdzenie na ogół także uczeni polscy z wyjątkiem Jerzego Samuela Bandtkego, który nazwę Śląska wywodzi od rzeczki Ślęzy, wpadającej do Odry za Wrocławiem.

W kapitalnym dziele zbiorowym, wydanym przez Polską Akademię Umiejętności (Historia Śląska od najdawniejszych czasów do roku 1400. Tom I. Kraków 1933) prof. Wł. Semkowicz, posługując się bogatym aparatem krytycznym, ustala ponad wszelką wątpliwość, że nazwę swoją bierze Śląsk od rzeki Ślęży (po niemiecku Lohe) oraz pobliskiej góry Ślęży, nazwanej później Sobótką (po niem. Zobtenberg). Wszystkie więc lingwistyczne podpory niemieckości Śląska upadają wobec faktu, że Śląsk nosi nazwę polską, określającą moczarowatą okolicę Ślęży. Jeszcze dziś ośmiotomowy słownik języka polskiego Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego (Warszawa 1900—1927) notuje stare słowa polskie: „Ślęganina“ — pora deszczowa, słota, chlapanina, wilgoć, — oraz „ślęgnąć“, moknąć, nasiąkać wilgocią.

Godny zanotowania jest fakt, że niemiecka encyklopedia Brockhausa wydanie z r. 1903, nie idzie za Imsiegem i znakomitym lingwistą niemieckim, Müllenhoffem, ale w artykule „Schlesien“ wywodzi: „W starożytności zamieszkiwali Śląsk Lugowie i Kwadowie. Gdy ruszyli dalej na zachód, siedziby ich zajęli idący

za nimi Słowianie i tylko w górach pozostali jeszcze Niemcy. Nazwę Silensi, z którą po raz pierwszy spotykamy się w wieku XI, otrzymał kraj od góry Ślęż *(nach dem Berge Zlenz)* obecnie Zobtenberg i od przepływającej obok niej rzeczki Ślęży *(Flüßchen Zlenza)* obecnie Lohe."

Sytuację Niemców w Cieszyńskiem najlepiej charakteryzuje ich absolutna przewaga w Cieszynie. Na 21.523 mieszkańców tego miasta przed wojną, Polaków było 6.832, Czechów 1.437, Niemców 13.254. Znacznie gorzej przedstawiały się te stosunki w Bielsku, gdzie na ogólną liczbę 17.848 mieszkańców Polaków naliczono tylko 2.568, Czechów 136, Niemców 15.144. W Boguminie, w Szonychlu, Gruszowie i w wielu innych gminach wiejskich Niemcy mieli większość, a tym samym posiadali władzę całkowitą, którą ani myśleli dzielić się z polską ludnością tubylczą.

Jak korzystali ze swojej władzy? Typowym przykładem rządów niemieckich jest Cieszyn i niemiecka polityka szkolna w tym mieście. W roku 1895 Polacy cieszyńscy postanowili założyć w Cieszynie polskie gimnazjum prywatne, które było koniecznie potrzebne. „Gdy rozeszła się wieść — pisze historyk Śląska Popiołek — że Macierz Szkolna dąży do założenia gimnazjum polskiego w Cieszynie, Niemcy wszczęli alarm. Wydział gminny cieszyński próbował z początku zażegnać to niebezpieczeństwo przez wprowadzenie w szkołach ludowych i wydziałowych — także niemieckich wyłącznie! — obowiązkowej nauki języka polskiego oraz staranie o wprowadzenie tej nauki także w szkołach średnich cieszyńskich. Odpowiedni wniosek został postawiony na posiedzeniu wy-



Taniec ludowy „Kozok"

działu z 16 III 1895. Uzasadniono go ze stanowiska niemieckiego (dr Bukowski) tym, że „należy dbać o to, aby dzieci niemieckie nie musiały gdzie indziej szukać chleba z powodu nieznajomości drugiego (polskiego) języka krajowego, że to umożliwi Polakom śląskim kształcenie swych dzieci w zakładach niemieckich". Nawet wtedy jeszcze Niemcy sprzeciwili się zdecydowanie ustępstwom na rzecz języka polskiego w szkole (Zaranie Śląskie, zeszyt 3—4, r. 1931).

W szkołach niemieckich — a innych nie było ani w Cieszynie, ani w żadnym innym mieście śląskim, gdzie Niemcy mieli większość — uczyli się tylko Niemcy, bo władze tych szkół zapisywały jako Niemców nawet młodzieńców z rodzin rdzennie polskich. Panował przymus co do korzystania ze szkoły niemieckiej i podawania się za Niemców. „Wiadomą rzeczą było — powiada Popiołek — że żaden funkcjonariusz komory cieszyńskiej nie mógł dać swego syna do polskiego gimnazjum bez narażenia się na przykre następstwa, tak jak również żaden absolwent polskiego gimnazjum nie mógł tam uzyskać posady. Tak samo nie mieli prawie do wyboru urzędnicy samorządowi, zwłaszcza po miastach, w których rządzili wyłącznie Niemcy. Inteligencja po miastach jako też kupcy i rzemieślnicy, zależni od klienteli i odbiorców, posyłali z reguły dzieci do szkół niemieckich. W r. 1911-12 np. było w gimnazjum polskim na 245 uczniów tylko 43 (17%) synów urzędników, nauczycieli, lekarzy, resztę stanowili synowie rolników, przemysłowców i robotników, najwięcej rolników, bo ci są najmniej zależni. W tym samym czasie było w gimnazjum niemieckim synów urzędników, adwokatów, lekarzy i nauczycieli 120 (40%) uczniów. Z miasta Cieszyna było w tymże roku w gimnazjum polskim wszystkiego 2,8% uczniów, w niemieckim 20%."

Obok nielicznych stosunkowo Niemców rdzennych figurują w spisach gimnazjum niemieckiego z tamtych czasów tacy „Niemcy": Burzyk, Kozieł, Ożana, Adamus, Liszka, Kokotek, Śliwka, Pszczółka, Waleczek, Cwięczek, Matuszek, Tomanek, Mrowiec, Sabela, Raszka, Cymorek, Holeksa, Zielina, Janczyk, Zubek, Wieluch, Wojtek, Suchanek, Rucki, Zmijka, Borski, Jaworski, Raszyk, Cudzy, Kubiczek (Popiołek, „Księga o Śląsku"). Te nazwiska „Niemców" cieszyńskich są zawsze jednakie. Przygodny kronikarz



Olza w okolicy Końskiej

niemiecki Cieszyna z drugiej połowy zeszłego wieku, Franz Waschek, wymienia śród cieszyńskich władz miejskich i zarządu miejskiej kasy oszczędności takich Niemców: Klucki, Mądry, Skryba, Zając, Zlik, Bernacik, Graca, Jonkisz, Pawełek, Pustelnik, Raszka. Skrobanek, Turek, Bukowski, Szołtys itp. Trzeba dodać, że ci ludzie, którzy powychodzili z domów rodziców polskich i byli „Niemcami" niejako debiutującymi, potrafili brać się bardzo energicznie do germanizowania ludności Cieszyna. Przypomina się stare przysłowie, że „poturczeniec jest gorszy od Turka".

W tamtych czasach, poczynając od roku 1848, Polacy i Czesi w Cieszyńskiem idą dość długo po bratersku ręka w rękę, wspomagając się wzajemnie w walce z groźnym przeciwnikiem, jakim był Niemiec. Jak dalece współpraca ta była konieczna i jak wielkie było niebezpieczeństwo niemieckie w Cieszyńskiem, o tym świadczy fakt, że jeszcze w roku 1908 czyli na sześć lat przed wybuchem wojny światowej, Niemcy uważali się za wyłącznych panów Cieszyna. Z ulotek niemieckich, jakie przechowały się do naszych czasów, wynika, że wszystkie przejawy odradzającego się życia polskiego Niemcy traktowali jako skutek agitacji przeciwniemieckiej i denuncjowali cały ruch polski jako niebezpieczeństwo zagrażające nie tylko niemiectwu, ale w ogóle ładowi i porządkowi w państwie.



Franciszek Popiołek, historyk i dyrektor Muzeum Miejskiego w Cieszynie

W tych ulotkach denuncjowano działaczy polskich, jak np. ks. Londzina, podkreślając, że jest on c. k. nauczycielem religii i pomawiano ich o przestępstwa, których jedyną podstawą była bujna wyobraźnia przywódców niemieckich. Na wszelki sposób usiłowano zdusić kulturalne życie polskie, kolportując plotki o przygotowywanych jakoby przez Polaków z Galicji krwawych rozruchach. Przy takich sposobnościach Niemcy przedstawiali rzeczy tak, jak gdyby „ludność miejscowa" nie miała z polskością nic wspólnego, a cały ruch narodowy był dziełem imigrantów galicyjskich.

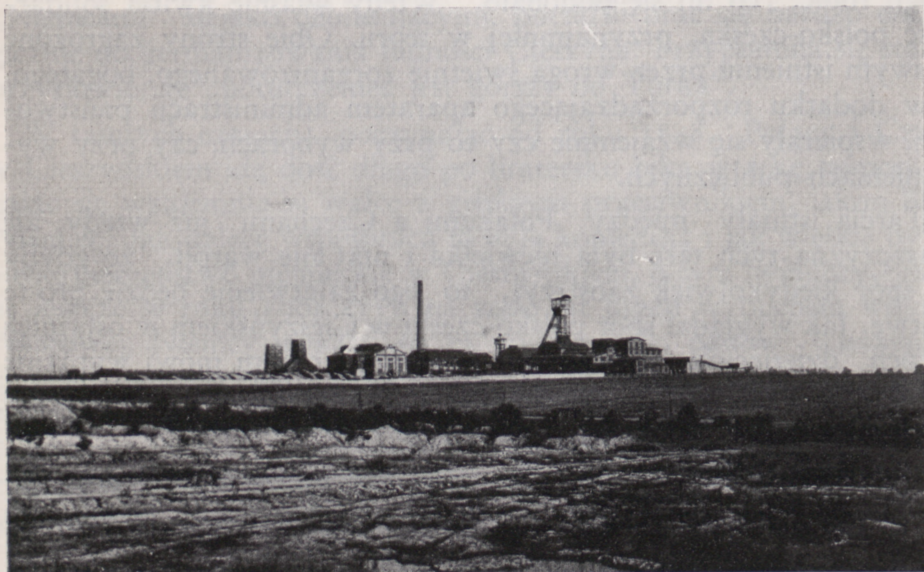
Taka była sytuacja nie tylko w Cieszynie, ale i po innych miastach Księstwa jeszcze na początku stulecia bieżącego. Wystarczała drobna większość niemiecka, i to sztucznie stworzona, aby Niemcy mogli robić, co im się podobało. Wtedy właśnie kwitła solidarność polsko-czeska, przynajmniej w teorii. Obie strony zagrożone w swym istnieniu przez wroga świetnie zorganizowanego, bogatego, a w dodatku rozporządzającego aparatem administracji państwowej, wspierały się wzajemnie czy to przy wyborach, czy przy wystąpieniach publicznych.

Tarcia istniały między Polakami a Czechami już wtedy, ale płaszczyzna tych tarć była niewielka i nikt nie wątpił, że gdyby się spór kiedykolwiek zaostrzył, to jego załatwienie będzie proste i łatwe. Jak wyglądał spór polsko-czeski w Cieszyńskiem w ostatnich dwóch dziesięcioleciach zeszłego wieku, o tym mówi wyraźnie „Opavský Týdennik" z maja 1884 r. Tygodnik ten pisał bardzo pojednawczo:

„Jak wiadomo, chodzi o kilkanaście wsi powiatów frysztackiego i bogumińskiego. Gminy te tworzą, jak i polscy filologowie

przyznają, przejście z czeszczyzny do polszczyzny i nie można powiedzieć, czy ich mowa jest sczeszczoną polszczyzną, czy spolszczoną czeszczyzną, gdyż między narzeczami słowiańskimi nie ma nigdzie przejścia nagłego. Wśród takich stosunków każdy bezstronny przyzna, że dla ludu wszystko jedno, czy ma w szkole i kościele jeden język czy drugi, ponieważ oba są mu jednakowo przystępne. Jest więc rzeczą serca, zażyłości, praktycznej potrzeby i zwyczaju, do którego języka piśmiennego ta lub owa gmina się przyzna. Że te gminy oświadczyły się za czeszczyzną, stało się to bez przyczynienia się Czechów za dawnych czasów. Gdyby Czesi ten status quo utrzymać chcieli, byłoby to zupełnie naturalne i nikt nie mógłby w tym upatrywać nieprzyjaźni dla Polaków. Czesi jednak wyżej cenią solidarność polsko-czeską i dlatego zasadniczo nie są przeciwni zaprowadzeniu języka polskiego w takich gminach, jeżeli one same w uznanej potrzebie i z własnego popędu na to się zdecydują. Czesi tylko przeciw temu się oświadczają, aby w tym celu prowadzono agitację z zewnątrz" (Zabawski, Droga do ziemi obiecanej).

W tych samych latach patriota i działacz narodowy czeski, František Sláma, pisał, że „mieszkańcy Cieszyńskiego sami wywalczą sobie szkoły i sami ustanowią z czasem językową linię graniczną. Nie trzeba więc, aby się mąciły dobre stosunki między



Sucha
Widok szybu

bratnimi narodami, a jeśli jeszcze i dzisiaj panuje czeszczyzna w której z gmin, gdzie by panować nie powinna, to z czasem zniknie tam sama. Wszak polszczyzna utorowała sobie zwycięską drogę od Olzy aż za rzekę Stonawkę..." Po latach pięćdziesięciu, jakie upłynęły od chwili napisania tych słów, historyk czeski, A d a m u s, kończy swą rozprawę o sprawie językowej w szkolnictwie Cieszyńskiego mniej więcej tymi samymi słowy: „Czeszczyzna cofała się drogą naturalną i gdyby nie przemysł w Ostrawie i w Orłowskiem, byłaby się cofnęła aż ku brzegom Ostrawicy. Każdy uczciwy Czech byłby w tym widział nie bezprawie, lecz prawo naturalne."

Nie można wątpić, że autorowie tych słów wypowiadali się szczerze, że mówili to, co myśleli i czuli. Prasa polska odpowiadała Czechom równie spokojnie i z wielkim do ich prawości zaufaniem. Ale pod koniec zeszłego wieku walka czesko-polska w Cieszyńskiem była już faktem. Działacz czeski, Ferdinand Pelc, autor książki „O Těšínsko", sławi Bezruča jako tego, który pierwszy wskazuje w Cieszyńskiem Polaka jako nieprzyjaciela równego Niemcowi. Ten sam Pelc stwierdza, że jeszcze na początku tego stulecia ze 400.000 mieszkańców Cieszyńskiego, za Czechów uważała się nawet nie czwarta część ludności. I wtedy właśnie zaczęła się bardzo energiczna akcja czeska w kierunku zdobycia Cieszyńskiego dla narodu czeskiego.

Lecz i wtedy jeszcze, po ukazaniu się „Slezských Pisni" Bezruča, „Przegląd Polityczny" (w r. 1901) pisał:

„W przesadę wpadają ci, którzy walkę z Czechami stawiają na równi z walką z Niemcami, ba, twierdzą, że Czesi są dla nas niebezpieczniejsi od Niemców. Niemiec jest dla nas tym, czym Niemcy nazywają Francuzów: der Erbfeind. Niemcy dzierżą w ręku swym władzę, urzędy, szkoły, a przez niemczenie inteligencji naszej odbierają ludowi naszemu najżywotniejsze soki. Niemcy — większa własność i kolonie niemieckie koło Bielska — posiadają więcej, niż trzecią część ziemi naszej i utrzymują na niej cały sztab urzędników, zaprzysiężonych wrogów naszych. Stosunek nasz do Czechów jest zupełnie inny. W sporze naszym z Czechami nie rozchodzi się o nasz byt, lecz o nasze granice. Czesi się o nie z nami spierają, ale równocześnie nasze prawa narodowe w sądzie, urzędzie i do własnych szkół uznają. Czesi wspólnie z nami o swoje i nasze sprawy narodowe walczą. Czesi są naszymi pobratymcami, którzy mają wspólne z nami interesy w kraju, w monarchii, tudzież jako wraz z nami najdalej na zachód wysunięty naród słowiański i wraz z nami przedmurze słowiańszczyzny przeciw niemieckiemu zalewowi. Te wszystkie okoliczności muszą z natury rzeczy i z konieczności wpływać na spory polsko-czeskie. One muszą te spory regulować i łagodzić. My musimy nasze spory i walki z Czechami prowadzić tak, żeby

się nie zatracała wspólność naszych interesów w kraju, żebyśmy mimo nich zawsze stanęli i stanąć mogli do wspólnych szeregów przeciw Niemcom, żebyśmy zawsze gotowi byli do słusznego i sprawiedliwego pojednania i porozumienia.”

Taka jest linia rozwojowa: Piastowie, Czesi, Habsburgowie i wreszcie supremacja „demokracji“ niemieckiej, a w jej atmosferze dyskutują z sobą dwa narody słowiańskie: polski i czeski. Ton dyskusji jest braterski, lojalny; istnieje skłonność do porozumienia i współpracy, a nawet gotowość do ustępstw gdyby zachodziła potrzeba po temu. Wysoce znamiennym jest zakończenie artykułu w „Przeglądzie Politycznym“. Czytamy tam: „Jeżeli Czesi — stronnictwo Masaryka — w dzienniku „Čas“ (w tym właśnie. w którym Bezruč drukował swoje „Slezské Pisně“) wydają hasło: „Na Śląsku z Niemcami przeciw Polakom — bój przeciw Polakom za każdą cenę — to my jesteśmy przekonani, że hasła tego naród czeski nie przyswoi sobie, a gdyby sobie przyswoił, to my Czechom pozostawiamy odpowiedzialność za taką samobójczą politykę. My sobie tego hasła nie przyswoimy! Historia zachodniej słowiańszczyzny jest aż nadto wymownym świadectwem, że taka nieszczęsna polityka była grobem całych słowiańskich narodów“ (Zabawski, Droga do ziemi obiecanej).

Orłowa. Grono nauczycielskie gimnazjum polskiego z dyrektorem Piotrem Feliksem



Już na parę lat przed odezwaniem się tego głosu polskiego „Narodni Listy" (1894) pisały: „O Cieszyn, główne miasto dolnego Śląska, według naszego zapatrywania, nie będziemy kiedyś walczyli z Niemcami, ale z braćmi Polakami". Te słowa stały się niejako programem, który realizuje się dotychczas, zaostrzając stosunki polsko-czeskie i przekreślając wszystkie postulaty dawnego słowianofilstwa.

Dopiero po tych przesłankach historyczno-etnograficznych zrozumiemy w pełni, czym była i jest inteligencja polska w Zaolziu dla całej mniejszości polskiej w Czechosłowacji. Pokolenie ks. Świeżego, Michejdów, ks. Londzina i Jana Kubisza dostrzegało przeciwnika także w Czechu. Obaj ostatni działacze śląscy, którzy oglądali zwycięstwo sprawy polskiej w walce z Niemcem, pod koniec życia musieli patrzeć na fakt dla nich bolesny, że plemienne pobratymstwo polsko-czeskie nie zdołało zapobiec krwawym walkom o lud polsko-śląski w Cieszyńskiem i o ziemię tego ludu.

Ileż sił trzeba było na tę walkę, która zawsze była nierówna! Najprzód na walkę z Niemcami, później z Czechami. Całkiem lojalnie przyznają Czesi, że Śląskiem Cieszyńskim nie interesowali się wcale, dopóki nie przebudził się lud śląski do samodzielnego życia narodowego. Ale potem zaczynają zakładać jedną za drugą takie same instytucje, jakie tworzyli Polacy i odtąd do walki wprowadzają coraz więcej sił i coraz większe środki. Różnice, jakie istniały w dziejach obu narodów, ujawniły się także na terenie Cieszyńskiego, gdy inteligencja polska spotkała się z czeską. Dla Polaków wiek XIX był wiekiem dwóch przegranych powstań z ich fatalnymi skutkami i rzezią galicyjską. Konfiskaty, deportacje masowe, gwałtowna rusyfikacja i gwałtowna germanizacja zmierzały do kulturalnego i gospodarczego zniweczenia żywiołu polskiego. Dla Czechów wiek XIX był wiekiem radosnego przebudzenia do nowego życia. Stagnacja kulturalna między w. XVII a XIX nie przeszkadzała narodowi czeskiemu czynić dużych postępów na polu gospodarczym i dlatego w walce o Cieszyńskie spotkali się z sobą przedstawiciele ubogiego romantyzmu z przedstawicielami zamożnego realizmu. Sami pisarze czescy nieraz wypowiadali się o tym, że w Cieszyńskiem decydującą rolę odegrali inżynierowie i dyrektorzy czescy. Dość spojrzeć na mapę etnograficzną Zaolzia, aby prze-

konać się o tym, że wszędzie, gdzie były kopalnie i huty, tam zadomowili się Czesi, gdzie zaś była ludność rolnicza, tam utrzymał się w warunkach najgorszych język polski.

Najwymowniejsza pod tym względem jest sytuacja Polskiej — obecnie Śląskiej — Ostrawy. W r. 1910 liczyła ona 22.690 mieszkańców, w czym Czechów 16.927, Polaków zaś tylko 4.467. Tak samo mniej więcej było w Pietwałdzie, gdzie Czechów było w r. 1910 przeszło pięć tysięcy (5.303), Polaków zaś 1.355. W Orłowej w tym samym roku było na 8.207 mieszkańców 4.799 Czechów i 2.805 Polaków, chociaż jeszcze w r. 1900 Polacy mieli tam większość (3919 przeciw 2233 Czechom). Karwina wysunięta najdalej na wschód, trzymała się najdłużej. Encyklopedie niemieckie pisały o niej jako o miejscowości wyłącznie polskiej. W roku 1910 miała ona 16.386 mieszkańców, w czym 13.546 Polaków, 1.980 Niemców i tylko 860 Czechów. Pod koniec roku 1936 pisma czeskie donosiły swoim czytelnikom, że istnieje tam już większość czeska i że Karwina posiadła pierwszego w swoich dziejach burmistrza czeskiego.

Rolniczy Jabłonków był i jest do dzisiaj czysto polski. W roku 1910 było tam Polaków 3.221, Niemców 538, Czechów 57. W całym Jabłonkowskiem na 30.743 mieszkańców Polaków było 29.165, Niemców 912, Czechów 171. Okrąg frysztacki miał w r. 1910 nieco ponad 82 tysiące mieszkańców, w czym 57.344 Polaków, 17.748 Czechów, 5.351 Niemców. W Bogumińskiem było w tym czasie 18.118 Polaków, 10.355 Czechów, 9.808 Niemców, a w powiecie cieszyńskim obok 47.982 Polaków, Niemców było 16.133, a Czechów 6.033. Tylko we Frydeckiem mieli Czesi zdecydowaną większość, bo na 108.836 ludności Czechów było 84.091, Polaków zaś tylko 13.093, a Niemców 11.344. Po rozdzieleniu Cieszyńskiego znalazła się w Czechosłowacji mniejszość polska, licząca 140.000, ale już po pierwszym spisie czeskim, w r. 1921, z liczby tej pozostało zaledwie 69 tysięcy.

Za lat dziesiątek upłynie sto lat, gdy w Cieszynie powstało pierwsze pismo polskie, „Tygodnik Cieszyński", przemianowany następnie na „Gwiazdkę Cieszyńską", wychodzącą dotychczas. Przy obliczaniu zysków i strat tego stulecia dziejów Cieszyńskiego historyk wypisze na honorowym miejscu nazwiska Stalmacha, Cinciały,

ks. Świeżego, Michejdów, ks. Londzina, Jana Kubisza, jako budzicieli i wychowawców ludu śląskiego. Zasługi tych działaczy są wielkie zaiste, ale słusznie przypomniał ks. Londzin ten prosty fakt, że do budzicieli polskiego ludu śląskiego należy doliczyć także wielu Polaków spoza Śląska Cieszyńskiego. Ciekawe jest, że Stalmach np. powziął myśl wydawania pisma polskiego, obcując w Bratysławie ze znakomitym działaczem słowackim, Ludevitem Štúrem, wydawcą „Slovenskich Novin".

Niemała jest w odrodzeniu Cieszyńskiego zasługa ks. Mateusza Opolskiego, Górnoślązaka (ur. 1780 w Wodzisławiu), który był kolejno proboszczem we Frysztacie i Bielsku. W Bielsku zakładał szkoły polskie i opiekował się nimi, a jako późniejszy wikariusz generalny domagał się praw dla języka polskiego w szkołach cieszyńskich. Ks. Londzin wymienia także drugiego Górnoślązaka, ks. Wawrzyńca Piontka (ur. 1769 w Polskiej Cerkwi w Kozielskiem), który, walcząc o prawa języka polskiego w szkole, domagał się wyrugowania szkolnych podręczników czeskich, niezrozumiałych dla dzieci polskich w Cieszyńskiem.

Ta praca ks. Londzina (Księga o Śląsku) jest tylko urywkiem, ale bardzo przekonywującym, bo jeszcze dzisiaj spotykamy się na Śląsku Cieszyńskim z działaczami ogromnie zasłużonymi, a pochodzącymi spoza Śląska. Do takich Ślązaków z wyboru i ukochania ziemi śląskiej należy Franciszek Popiołek, historyk Śląska Cieszyńskiego i niestrudzony badacz jego przeszłości, a zarazem dyrektor Muzeum miejskiego w Cieszynie. Drugim takim Ślązakiem z wyboru jest Piotr Feliks, dyrektor gimnazjum w Orłowej, wybitny działacz, prezes Macierzy Szkolnej. Obaj ci działacze, nie jedyni zresztą, chociaż przedstawicielscy, pochodzą z Małopolski i obaj wrośli pracą swoją i sercem w życie ludu śląsko-polskiego.

Czym jest polska inteligencja zaolzańska dla ludu polskiego, widziałem na własne oczy. Lekarz, adwokat, rolnik, nauczyciel, ksiądz katolicki czy ewangelicki, to nie tylko przedstawiciele pewnego stanu, ale bliscy przyjaciele ludu, obcujący z nim serdecznie, znający jego bolączki i potrzeby. Gdy się w jakiej miejscowości zaolzańskiej pytałem spotykanych o adres tego lub owego z działaczy polskich, to z samejże serdecznej skwapliwości, z jaką śpieszono mi pokazać jego mieszkanie, wnosiłem o serdeczności stosunków, łączących tych ludzi. Do lekarza np. przychodzą nie tylko chorzy,

ale i zdrowi, gdy potrzebna im jest dobra rada przy umieszczaniu syna w szkole, przy zmianie zajęcia. Jeszcze wdzięczniejsze zadanie mają nauczyciele i księża obu wyznań. Kapitał zaufania, jakim rozporządzają ci działacze, jest wartością ogromnie cenną i dobrze wykorzystywaną. Robotnicy zagłębia czy „domkarze" okolic rolniczych znają swoich przyjaciół z ich działalności w różnych stowarzyszeniach, spółdzielniach, chórach, towarzystwach gospodarczych i kulturalnych. Często trzeba się dziwić, skąd ci ludzie biorą czas i siły na sprostanie masie zobowiązań swoich poza pracą zawodową.

Jeśli organizacje kulturalne mają wszędzie zadania piękne i ważne, to w Zaolziu są one wprost nieoszacowane i niezastąpione. Taka Macierz Szkolna jednoczy około 8 tysięcy ludzi świadomych swej odpowiedzialności moralnej wobec przyszłości. Nie dość wszakże wybudować szkołę i dać młodzieży nauczyciela. Częstokroć ta młodzież potrzebuje wydatnej opieki moralnej i materialnej i tę część pracy bierze na siebie „Rodzina Opiekuńcza", która znowu ma członków 4.031. W roku 1934 ta Rodzina Opiekuńcza dożywiała dzieci, leczyła chore m. i. w Darkowie, wysyłała je na letniska i kolonie letnie, czuwała nad sierocińcem w Orłowej, utrzymywała poradnię dla matek, organizowała pomoc dla bezrobotnych itd., wydając na to wszystko, oraz na „gwiazdkę" dla dzieci około 300 tysięcy koron. Dodajmy, że w r. 1934 Krajowa Rodzina Opiekuńcza miała obrót 1,928.310 koron. Oczywiście, te pieniądze trzeba zebrać, administrować umiejętnie, czuwając, aby ani grosz nie przepadł daremnie.

Śród placówek o wysokim znaczeniu wychowawczym należy wymienić harcerstwo, którego duszą jest dr Jan Buzek, lekarz w Dąbrowie i serdeczny oddany przyjaciel młodzieży. Liczy ono około 3000 zorganizowanej młodzieży i tworzy ogniwo w łańcuchu organizacji sportowych, gimnastycznych i turystycznych. Związek Polskich Klubów Sportowych ma 2.197 członków, Tow. turystyczno-sportowe „Beskid Śląski" — 1.100, Tow. gimnastyczno-oświatowe „Siła" — 1.356, „Sokół" — 800. Poza tym młodzież organizuje się w związkach i stowarzyszeniach wyznaniowych, obejmujących także pokolenie starsze.

Wybitnie piękne i doniosłe zadanie spełnia w życiu ludności polskiej Zaolzia Związek chórów polskich. Chóry te dbają o wy-

soki poziom artystyczny swego repertuaru i szczycą się wysokimi osiągnięciami, jak o tym świadczą choćby popisy ich w Filharmonii warszawskiej w r. 1936. Pielęgnowanie śpiewu chóralnego jest tu symbolem i wyrazem harmonijnego jednoczenia się pod sztandarem pięknego człowieczeństwa na polskim odcinku. Do organizacji tej należy także chór Związku akademików ze Śląska „Jedność", który w roku 1936 obchodził dziesięciolecie swego istnienia.

Jak znaczny jest awans umysłowy i kulturalny ludności Cieszyńskiego, o tym świadczy fakt, że „Jedność" liczy 243 członków. Dodajmy do tego jeszcze Towarzystwo rolnicze, które dba o podniesienie kultury i wiedzy zawodowej swoich 2.569 członków, Straż pożarną, o której była mowa przy innej sposobności, Związki górników, hutników i metalowców (3.300 członków), a będziemy mieli obraz — nie wyczerpujący bynajmniej! — tej pracy, jaką z dnia na dzień i z roku na rok spełnia inteligencja polska Zaolzia śród ludności polskiej, chociaż inteligencji tej jest na ogół niewiele, bo ludzie z wyższym wykształceniem nie znajdują tu pracy dla siebie, wypierani wszędzie przez Czechów.

Doniosłość tej pracy ocenimy jeszcze wszechstronniej, gdy pamiętać będziemy o kolejności przemian, jakie zachodziły na tej ziemi. Polscy Piastowie ustępują królom czeskim, ci zaś zostają wyparci przez władców niemieckich i falę długotrwałej germanizacji i czechizacji. Potem przychodzi przebudzenie ludu polskiego, ale wtedy zaczyna się germanizacja przez kapitalistyczną demokrację niemiecką, a gdy wreszcie lud polski zwycięża, powstaje konieczność walki o prawo do życia z czeskim żywiołem mieszczańskim, zamożnym i doskonale zorganizowanym. Kto wie, czy ten ostatni etap walki nie jest najtrudniejszy.

Ogrom pracy wykonywanej przez działaczy polskich wzbudza podziw i wywołuje wrażenie, iż polska inteligencja zaolzańska jest bardzo liczna, podczas gdy w gruncie rzeczy tylko drobna garstka jej znajduje kawałek chleba dla siebie i możność rozwoju na ojczystej swej ziemi. Idzie ona daleko, jak ów nauczyciel ewangelicki. Jerzy Lanc, który z zacisza Cieszyńskiego poszedł aż na dalekie Mazury Pruskie, a chociaż wiedział, że zostanie zabity przez bojówkarzy niemieckich, wytrwał do ostatka, osierocając żonę i dzie-

ci. Serdecznie wspomniał go Wańkowicz w swej pięknej książce „Na tropach Smętka".

Gdy mowa o zasługach polskiej inteligencji zaolzańskiej, nie podobna przemilczeć jej cennego dorobku w postaci prasy. Zrodziła się ona w roku 1848 jako wyraz i dowód polskości Cieszyńskiego, kiedy to prócz jedynego, polskiego, „Tygodnika Cieszyńskiego" na całym Śląsku Cieszyńskim nie było ani jednego pisma czy to czeskiego czy niemieckiego. Rozwijała się ta prasa równolegle z rozwojem życia polskiej ludności śląskiej a od podziału Cieszyńskiego spełnia zadanie wyjątkowo trudne, lecz zarazem wdzięczne i ważne. Z jednej strony prasa ta jest wyrazem spraw ogólnonarodowych i miarą wszechstronnego uświadomienia polskiej ludności Zaolzia, poczuwającej się do nierozerwalnej jedności z całym narodem polskim, z drugiej strony jest ona doskonałym obrazem zróżnicowania tej ludności pod względem polityczno-społecznym, wyznaniowym, kulturalnym i gospodarczym. Przy głębokim zrozumieniu konieczności jak najściślejszego zespolenia wszystkich części ludności polskiej zróżnicowanie kulturalno-gospodarcze jest tu duże, co świadczy o wielkiej ruchliwości, energii i woli życia tego odłamu społeczeństwa polskiego.

Mamy tu więc pisma poświęcone sprawom: gospodarczym (miesięcznik „Poradnik Gospodarczy", organ Towarzystwa Rolniczego); zawodowym (tygodnik „Gazeta Górnicza", miesięcznik „Związkowiec", tygodnik „Metalowiec"); spółdzielczym (miesięcznik „Przegląd Spółdzielczy", „Poradnik Spółdzielczy" jako dodatek „Poradnika Gospodarczego"); oświatowym (miesięczniki: „Oświata", „Ogniwo", „Nasze Pisemko"); oświatowo-wyznaniowym (katolicki tygodnik „W obronie prawdy", ewangelicki tygodnik „Ewangelik" — organ Tow. Ewangelickiej Oświaty Ludowej, „Przyjaciel Dziatek" — pisemko dla dziatwy ewangelickiej); sportowo-turystycznym („Przewodnik turystyczno-sportowy"); pożarniczym (kwartalnik „Przewodnik Strażacki" — organ Związku Polskich Straży Pożarnych w Czechosłowacji).

Prócz tego mamy tu jeszcze szereg tygodników polityczno-społecznych: „Robotnik Śląski", organ Polskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, „Nasz Lud", organ Śląskiej Partii Ludowej i komunistyczny „Głos Robotniczy i Ludowy", a wreszcie jedyne w Zaolziu polskie pismo codzienne. „Dziennik Polski", bezpartyjny, służący całemu

ogółowi polskiej ludności Zaolzia. Jest on wprost predestynowany na to, aby być łącznikiem między Zaolziem a ogółem polskim: informuje wprost drobiazgowo o tym, co się dzieje za Olzą, a jednocześnie daje dużo wiadomości o naszym życiu ogólnonarodowym.

Pismo to mogłoby wszakże spełniać swe ważne zadanie łącznika tylko wówczas, gdyby znajdowało tylu prenumeratorów na terytorium Rzeczypospolitej, ilu ich ongi miewała Stalmachowska „Gwiazdka Cieszyńska" poza granicami Śląska Cieszyńskiego. Ogół nasz dowiadywałby się, jak Ślązacy zaolzańscy żyją i pracują, oni mieliby dowód, że o nich nie zapominamy, a pismo zyskiwałoby środki potrzebne do pogłębiania i poszerzania swej ważnej pracy informacyjno-oświatowej. Jest to i pożądane i nietrudne do zrealizowania.

Jeszcze względnie niedawno prasa polska Zaolzia prócz dziennika miała przeszło trzydzieści mniejszych lub większych tygodników, miesięczników, kwartalników, ale liczne pisma polskie zostały pozawieszane przez władze czechosłowackie (np. „Nasz Kraj", organ śląskich katolików; „Gazeta Kresowa", „Prawo Ludu", organ polskiego stronnictwa ludowego; „Naprzód". organ PPS). Między innymi przestał też wychodzić „Przewodnik oświatowy", organ śląskiej Macierzy Szkolnej.

Polska szkoła w Gródku koło Bystrzycy



Od razu nasuwa się myśl, że bardzo wiele mogłaby tam wykonać prasa ogólnopolska, czy choćby bliższa terytorialnie górnośląska i małopolska, ale prasa polska ma bardzo utrudniony dostęp do granic Czechosłowacji, a gdyby nawet nie to, jest ona względnie droga jak na stosunki gospodarcze oparte na bardzo niskim kursie korony czechosłowackiej.

Z doświadczeń dotychczasowych wolno wnioskować, że jednym z najpierwszych przejawów poprawy stosunków gospodarczych i politycznych polskiej ludności Zaolzia będzie natychmiastowe ożywienie się prasy polskiej, walczącej dziś z takimi trudnościami.



Markłowice. Kościół drewniany

ETNOGRAFIA I POLITYKA

W liczbie 435.000 mieszkańców Cieszyńskiego w chwili jego podziału, Niemców było około 70.000. W liczbie tej dużo było takich, co nazwiska mieli czysto polskie, a po niemiecku nie umieli prawie wcale. Ta najmniejsza grupa narodowościowa panowała nad całym Cieszyńskiem, osobliwie nad miastami. Było to panowanie sugestii niemieckiej, której poddawać się musiały masy narodowo niedoświadomione, osobliwie zaś zależne gospodarczo od pracodawców niemieckich.

Chociaż Niemcy przybyli w Cieszyńskie jako koloniści i byli zrazu bardzo nieliczni, umieli wykorzystać swą przynależność do narodowości panującej w monarchii i na tym fakcie zdołali oprzeć

swoje panowanie. Pragnąc powiększyć swą liczbę, zabrali się zwyczajem niemieckim do germanizowania ludności polskiej, wykorzystując w tej akcji swoje rozległe wpływy polityczne, przewagę materialną i liczne organizacje gospodarcze i kulturalne.

Germanizacji służyły także urzędy i szkoły, miejscami nawet kościół, przede wszystkim zaś komora cieszyńska, która ludność mieszkającą na jej rozległych ziemiach traktowała po prostu jako dodatek do swoich posiadłości. Germanizatorzy niemczyli programowo wszystko, co się zniemczyć dało i z całą bezwzględnością przeciwstawiali się wszelkim poczynaniom żywiołu polskiego, gdzie tylko przeciwstawić się mogli.


Czeski Cieszyn. Kościoł ewangelicki

Akcji germanizacyjnej opierała się ludność polska coraz skuteczniej już od ostatnich trzech dziesięcioleci zeszłego wieku, zakładając własne organizacje i instytucje narodowo-kulturalne i gromadząc coraz wydatniejsze środki, potrzebne do walki o istnienie narodowe. Ale germanizacja skończyła się właściwie dopiero razem z wojną światową, rozpadnięciem się monarchii austriackiej i odrodzeniem Rzeczypospolitej.

Przyszłość ludności polskiej w Cieszvńskiem byłaby się tym samvm znalazła poza wszelkimi zagadnieniami i

sporami, gdyby nie podział Cieszyńskiego między Polskę i Czechosłowację. Z ogólnej liczby 240.000 Polaków około 140.000 dostało się wtedy pod panowanie czeskie. Zrodziły się nowe zagadnienia i nowe postacie sporów w związku z energiczną czechizacją Zaolzia. Ta akcja czeska, nie mająca w przeszłości przesłanek odpowiednio mocnych, zaskoczyła nas zgoła niespodzianie. Dodajmy lojalnie, iż fakt, że zostaliśmy zaskoczeni, musimy przypisać samym sobie, temu, że pewnych możliwości nie braliśmy wcale pod uwagę.

Okoliczności łagodzące tkwią w tym, że tych możliwości nie brali pod uwagę nawet Czesi. W ich postawie wobec Cieszyńskiego nastąpiła nieoczekiwana zmiana. Gdy w październiku r. 1917 „Národni Listy“ organ wybitnego polityka czeskiego Kramarza kreślił program polityczny czeski, nie pominięto także sprawy cieszyńskiej. Przy podziale Śląska Cieszyńskiego decydować miał język ojczysty. Czechom miały się dostać drobne części Cieszyńskiego nad Ostrawicą, reszta zaś, zamieszkana przez ludność polską, miała pozostać przy Polsce. Krakowski „Głos Narodu“ z 3 listopada 1917 z podziękowaniem pokwitował tę uprzejmość Kramarza, stającego na gruncie zasady samostanowienia narodów. Kramarz już przy wybuchu wojny światowej zajmował się sprawami słowiańskimi i wtedy całe Cieszyńskie pozostawiał Polakom.

Inaczej postępowała emigracja czeska. Już w r. 1915 Masaryk przedłożył angielskiemu ministrowi spraw zagranicznych, Greyowi, memoriał, w którym wypowiadał się, że w skład państwa czeskiego mają wejść Czechy, Morawy i Śląsk, w czym całe Cieszyńskie. Na jesieni roku 1917 Masaryk wyraził się do przedstawiciela narodowo-demokratycznej „Gazety Polskiej“, bawiącego z uchodźcami polskimi w Moskwie: „Jeśli postaramy się o zapewnienie ludowi śląskiemu prawa samostanowienia o sobie, to nie będę miał nic przeciw przyłączeniu Śląska do Polski. Polacy chcą Śląska, my żądamy Raciborza. Są to żądania, których nie powinniśmy sobie wzajemnie kwestionować.“

W publikacji swej „Nová Evropa“, która w języku angielskim i francuskim ukazała się w październiku 1918 roku, czyli że musiała być napisana znacznie wcześniej, Masaryk poruszając stosunki polsko-czeskie, powiedział: „Polacy są na Śląsku czeskim (około 230.000); przy dobrej woli, a taka dobra wola jest konieczna



Rychwałd
Szkoła polska
zamknięta przez
władze
czeskie

wobec wspólnego wroga, da się znaleźć zadowalające rozgraniczenie; polska mniejszość na Śląsku zostałaby zredukowana i przez to, gdyby czeski Raciborz (na Śląsku pruskim) został oddany naszemu Śląskowi.“ Stylizacja tego ustępu jest niedość jasna. Czy ma to znaczyć, że Czesi zrzekliby się pewnych części Cieszyńskiego, gdyby otrzymali Raciborz?

W pamiętniku swoim „Světová revoluce“, Masaryk pisze: „Z Polakami, osobliwie z Dmowskim, rozmawialiśmy często i szczegółowo o wzajemnym stosunku narodów naszych po wojnie. Dmowski sam był za stosunkiem bardzo bliskim, częstokroć mówił wprost o federacji. Zastanawialiśmy się nad Śląskiem. W kołach polskich już wtedy domagano się przyłączenia Śląska polskiego, a także Dmowski mówił o tej sprawie, ale bynajmniej nie agresywnie. Proponowałem, żebyśmy się naprzód porozumieli co do tekstu jakiejś ugody czesko-polskiej, którą zademonstrowalibyśmy koaliantom, osobliwie Amerykanom, swoją przyjaźń, a zarazem przeciwstawilibyśmy się radykałom obu stron. Proponowałem Dmowskiemu, aby odezwę taką sam sformułował; sam zastrzegałem sobie wymagania gospodarcze, kolej przez Cieszyn i dostateczne ilości węgla. Zwracałem uwagę, że właśnie Polacy nie powinni wysuwać przeciwko nam programu czysto narodowego (językowego), gdy sami tak wielki nacisk kładą na programie historycznym. W tej niewspółmierności i niekonsekwencji widziałem pewne dla Polaków niebezpieczeństwo. Dla nas obu było jasnym, że przedmiot sporu jest sto-



Rychwałd Szkoła polska zamknięta w r. 1920 przez władze czeskie

sunkowo nieznaczny i że musi być załatwiony bez aktów nieprzyjaznych."

W pamiętniku Dmowskiego „Polityka polska i odbudowanie państwa" czytamy o Cieszyńskiem: „Benesz w obszernym przemówieniu motywował stanowisko czeskie. Opierał się on nie tyle na prawach czeskich do Cieszyna, ile starał się wykazać, że Czechosłowacja bez tej ziemi istnieć nie może. Kolej z Bogumina do Czacy, jak twierdził, jest właściwie jedyną komunikacją między Czechami a Słowacją, przemysł zaś czeski, stanowiący podstawę bytu gospodarczego kraju, cierpi na brak węgla i bez węgla cieszyńskiego żyć nie może. Po nim zabrał głos Kramarz, który mówił dość namiętnie, kładł mocny nacisk na prawa czeskie, wreszcie wskazywał na podniecenie ludności czeskiej na miejscu, która nie zniesie krzywdy... — Gdy po nim przewodniczący mnie udzielił głosu, zacząłem od powołania się na moją przyjaźń dla Czechów, której dowiodłem podczas wojny, pracując dla ich sprawy, jak dla swojej. Pochodziła ona z głębokiego przekonania, że położenie obu narodów, niebezpieczeństwa, które im grożą, nakazują im solidarność i zgodne pożycie. Zgodne to pożycie wszakże będzie możliwe tylko wtedy, gdy nie będzie Czechów pod panowaniem polskim, a Polaków pod czeskim. Dlatego koniecznością jest przeprowadzić granicę polityczną możliwie najściślej po linii granicy narodowej. Sami proponujemy przyłączenie do Czech tego kawałka księstwa Cieszyńskiego, na którym większość ludności jest czeska; reszta wszakże

musi należeć do Polski. My chcemy, żeby państwo czechosłowackie miało wszelkie warunki pomyślnego rozwoju i nie zamykamy oczu na jego potrzeby; ale delegacja czeska przesadza, gdy mówi o konieczności posiadania Cieszyna przez Czechy. Kolej przez Jabłonków nie jest dla nich jedyną komunikacją ze Słowaczyzną, a połączenie w tym kącie Moraw z dalszym ciągiem tej kolei na terytorium słowackim będzie wymagało bardzo niewielkiego dystansu nowej linii. My wiemy, że przemysłowi czeskiemu brak węgla, ale cieszyńskie kopalnie tego braku nie zaspokoją. Czechy zawsze sprowadzały węgiel z Górnego Śląska pruskiego i będą musiały brać go nadal od Polski, a im lepsze będą między nami stosunki, tym większe będziemy im robili w tym względzie ułatwienia. Natomiast kopalnie cieszyńskie dają węgiel koksowy, którego Czechy mają dość u siebie, a którego Polska nie posiada. Węgiel cieszyński jest tedy o wiele potrzebniejszy Polsce, niż Czechom.“

Potem odparł Dmowski pretensje historyczne Czechów do Cieszyńskiego i zatrzymał się na sprawie nastroju ludności czeskiej. „Przecież ta ludność — zwróciłem się do delegatów czeskich — po wojnie okazywała żywą chęć zgody i sprawiedliwego rozgraniczenia. Przecież Polacy i Czesi na miejscu zawarli między sobą układ, rozgraniczający sfery czeską i polską po linii bardzo bliskiej tego, czego my dziś żądamy. Jeżeli usposobienie ludności czeskiej się zmieniło, to kto temu winien? Wy, panowie delegaci. Wyście im pisali, że cały Cieszyn będzie czeski, że alianci są za wami, że Polacy nic nie dostaną...“

Rzecz osobliwa, że o Cieszyńskie nie układali się bezpośrednio z sobą przedstawiciele narodów zainteresowanych, ale przedkładali swoje dezyderaty przedstawicielom koalicji. I ci przedstawiciele decydowali, wahając się tak samo, jak ongi wahali się Czesi przy formułowaniu swoich pretensji. Istniały tak zwane „linie“ rozgraniczeń, ogromnie niestałe, chwiejne, mgliste. Z tej ich niestałości przeszło coś w psychikę obu sąsiadów i ta niestałość straszy, zakłóca spokój.

Pierwsza linia demarkacyjna, rozgraniczająca terytorium czeskie od polskiego, biegła wzdłuż granicy Frydeckiego, omijała Cierlicko i Karwinę i kończyła się koło Gruszowa, pozostawiając Bogumin z okolicą przy Polsce. W umowie, zawartej między Radą Na-

rodową Księstwa Cieszyńskiego a Krajowym Národnim Výborem dla Śląska, powiedziano wyraźnie, że Frydeckie przechodzi pod zarząd Národniego Výboru, zaś powiaty bielski i cieszyński pod zarząd Rady Narodowej. W powiecie frysztackim gminy z zarządem czeskim miały pozostać pod zarządem Czechów. Zarządzenia te były prowizoryczne.

„Dozór nad koleją koszycko-bogumińską — głosił art. 5 tej umowy — wykonuje Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego za pośrednictwem Rady nadzorczej, do której dla obrony interesów narodu czeskiego ma prawo „Národni Výbor pro Slezsko" wysłać swoich reprezentantów i fachowców. Rada Narodowa obsadzi załogą wojskową dworce kolejowe w Cieszynie, Trzyńcu, Mostach i Boguminie... Dworzec kolejowy w Boguminie, tak osobowy, jak towarowy i przetokowy, podpada pod władzę Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego aż do ostatniej zwrotnicy w kierunku Gruszowa... Inne koleje będą zasadniczo podlegały tej władzy, na której terytorium się znajdują".

Broniąc się przed atakami ze strony opozycji, czeski minister spraw zagranicznych, Benesz, wywodził później, że to pierwsze

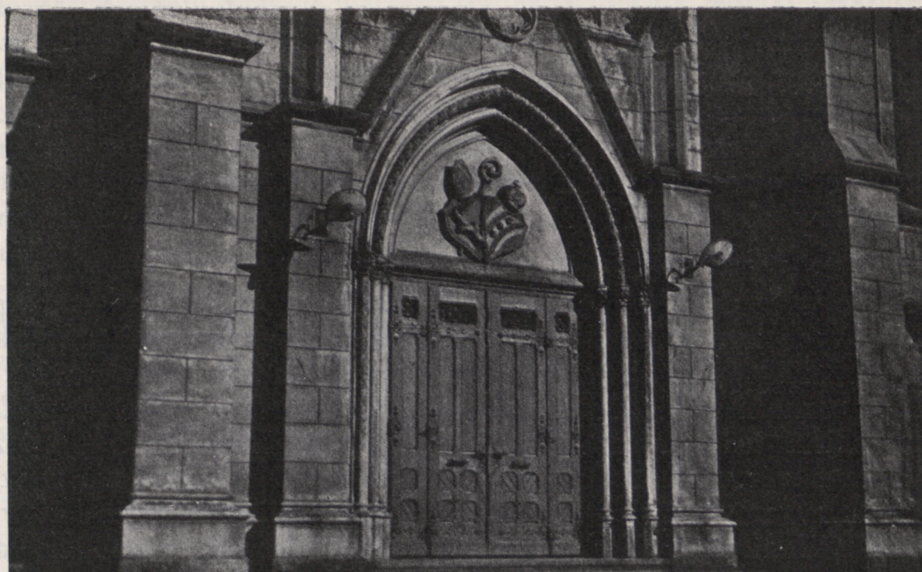
Rychwałd
Czeska szkoła ludowa




Cieszynianka

rozgraniczenie miało wpływ na kształtowanie się sprawy cieszyńskiej w opinii koaliantów. Powiedział też, że najazd czeski, czyli w jego nomenklaturze „okupacja“, była przeprowadzona niewłaściwie i że bardzo Czechom zaszkodziło to, iż do akcji użyli oficerów koalicyjnych, a raczej ich mundurów. Akcja wojskowa czeska rozpoczęła się 23 stycznia znacznymi siłami. Po bohaterskiej obronie garstki obrońców polskich, górników karwińskich i robotników trzynieckich, generał Latinik z garstką swoich żołnierzy wycofał się na linię Wisły, a 3 lutego 1919 roku doszło do rozejmu. Tego samego dnia w Paryżu została podpisana polsko-czeska ugoda. Na mocy tej ugody północna część kolei koszycko-bogumińskiej aż po Cieszyn z wyłączeniem miasta, pozostała w ręku wojska czeskiego, zaś od Cieszyna, łącznie z miastem, do granicy słowackiej, przeszła w ręce wojska polskiego.

Dnia 12 lutego 1919 r. przybyła do Cieszyna pierwsza Komisja Międzynarodowa. Pod jej egidą i na podstawie ugody paryskiej z d. 3 lutego doszło 25 lutego do zawarcia umowy wojskowej, czyli rozgraniczenia Cieszyńskiego. Ustalono granice, których wojska polskie nie będą mogły przekroczyć w kierunku zachodnim, a wojska czeskie w kierunku wschodnim. Linia ta według Dra W ł o d z i m i e r z a D ą b r o w s k i e g o (Kwestia Cieszyńska. Zbiór dokumentów) przebiegała jak następuje: rzeka Olza, Czerwień, Nowa Wieś, Skrzeczoń, na Gorankowie, Polska Lutynia, Steingut-fabryka, Kąkolna, droga Kąkolna-Frysztat aż do rozgałęzienia na $2^1/_2$ km na północny zachód od Frysztatu, Nowy Dwór, Kąpiele jodowe w Darkowie, rzeka Olza aż do 500 metrów od granicy północnej miasta Cieszyna, granica zachodnia miasta Cieszyna, Sibica, Końska, Trzyniec, linia ciągnąca się na 500 metrów na zachód od kolei


Orłowa
Wejście do kościoła katolickiego

żelaznej Jabłonków, Łomna aż do granicy. Miejscowości na zachód od tej linii zajmowały łącznie z Boguminem wojska czeskie.

Podczas gdy przewodniczący Komisji Międzysojuszniczej szedł Czechom na rękę, w lipcu r. 1919 powstała jeszcze jedna linia, rozgraniczająca Cieszyńskie: nazwano ją linią Tissiego. Zostawiała ona Bogumin z okolicą i Karwinę, cały Cieszyn i Trzyniec po stronie polskiej. Czechom zaś oddawała prawy brzeg Olzy, poczynając mniej więcej od Łyżbic poprzez Wędrynię i Nydek aż za Istebną ku południu. O takim podziale Czesi słyszeć nie chcieli i zgodzili się na plebiscyt, który dotychczas odrzucali zasadniczo. Podczas targów o ordynację plebiscytową, o warunki przeprowadzenia plebiscytu itd. dochodziło nieraz do wielkiego roznamiętnienia, a przeciwieństwa wybuchały tu i owdzie zaburzeniami i krwawymi walkami. Francja, wydatnie popierająca Czechosłowację, miała w łonie koalicji głos decydujący, a koalicja, wykorzystując ciężkie położenie Polski w r. 1920, podzieliła Cieszyńskie tak, że Czechosłowacja dostała terytorium z bogatym zagłębiem karwińskim i 140.000 ludności polskiej.

W r. 1925 Polska i Czechosłowacja zawarły umowę, której cała część trzecia poświęcona jest ochronie mniejszości narodowych.

Umowa ta jest jasna w treści i prosta w sformułowaniach. Artykuł 13 tej umowy powiada np., że dla określenia narodowości lub języka ojczystego miarodajne jest oświadczenie interesowanej osoby. „Jakikolwiek sposób przyniewalającego wynaradawiania jest niedozwolony. W szczególności oświadczają obie umawiające się strony. że uważają za sprzeczne z prawami wszelkie wywieranie nacisku na rodziców, aby posyłali dzieci do szkół z innym językiem nauczania, niż ich język ojczysty.“

Kto widział na własne oczy rodziców polskich z płaczem posyłających swe dzieci do szkoły czeskiej, aby tylko nie stracić kawałka chleba i aby ustrzec dzieci swoje przed skutkami groźby, że dla absolwentów szkół polskich nie będzie pracy i chleba w Cieszyńskiem, ten z żalem stwierdza, że piękna umowa z r. 1925, zawarta między obu bratnimi narodami, nigdy w życie nie weszła. Przeszkadzają temu ci, co w nadmiarze gorliwości przemianowali Polską Ostrawę na Śląską i gotują się do dalszych przemianowań, aby pozacierać ślady odwiecznej polskości Cieszyńskiego nawet w nazwach miast i wsi. I podczas gdy w r. 1921 statystyka czeska naliczyła w Zaolziu zaledwie 70.000 Polaków, Niemiec Witt wywodzi w swej książce, że liczba 110.000 byłaby bliższa prawdy.



Sucha. Polska szkoła wydziałowa

Z perypetiami ciężkiej walki o byt łączy się na Śląsku Cieszyńskim zjawisko godne poznania, a mianowicie ślązakostwo. Część Ślązaków, mówiących najpoprawniejszym językiem polskim, uparła się uważać za swą ojczyznę Austrię, a za ideał mądrości politycznej ścisłe zespolenie z polityką i kulturą niemiecką. Jak powstał ten dziwaczny ruch? Dość trudno to powiedzieć, bo na razie istnieje kilka poglądów na powstanie i rozwój ślązactwa czy ślązakostwa.

Grupka ślązakowska jest nikła, więc nie może odgrywać większej roli politycznej, ale przy wyborach do rad miejskich i wiejskich rad gminnych wystawia własnych kandydatów, którzy czasem przechodzą. Kożdoń, przywódca tej grupki, jest burmistrzem Czeskiego Cieszyna, gdzie jego partia rozporządza kilkunastu mandatami i wespół z Niemcami rządzi miastem. Tak samo rządzą ślązakowcy w Sibicy, wielkiej gminie podmiejskiej, sąsiadującej z Cieszynem.

Tą Sibicą interesowało się społeczeństwo polskie już zimą roku 1911, a to z powodu zgoła osobliwego. Sibiczanie sprzedali polską szkołę publiczną niemieckiemu Schulvereinowi za 25.000 koron. Pożyczka była bezprocentowa i bezzwrotna, ale pod warunkiem, że w szkole sibickiej językiem wykładowym będzie niemiecki, a nauczycielami tylko Niemcy. Gdyby gmina zapragnęła kiedykolwiek

Sucha
Szkoła czeska



wznowić szkołę polską, wówczas miała zwrócić owe 25.000 koron. Takie były warunki. Społeczeństwo polskie przyjęło ten monstrualny układ do wiadomości z uczuciem zgrozy. Zdaje się, że wtedy nie bardzo dokładnie wiedzieliśmy, o co tam chodzi.

Dzisiaj, gdy znamy nastawienie i działalność ślązakowców i ich sympatie niemieckie, tamto zdarzenie nabiera znaczenia specjalnego. Pisarz niemiecki, Kurt Witt, autor książki „Die Teschener Frage", charakteryzuje ślązakowców dość oryginalnie: „Filoniemiecki ślązakowiec nie wyzbywa się swego języka ojczystego, ale skwapliwie bierze udział w uroczystościach niemieckich, dzieci swoje posyła chętnie do szkoły niemieckiej, sam uczy się języka niemieckiego i lubi go używać, a podczas wyborów głos swój oddaje na kandydata własnego albo niemieckiego, i gdzie zachodzi potrzeba po temu idzie ręka w rękę z Niemcami".

Znawcy stosunków zaolzańskich, i w ogóle cieszyńskich, twierdzą, że Witt przecenia rozmiary i znaczenie ruchu ślązakowskiego, kierując się raczej sentymentem niemieckim, niż wiadomościami ścisłymi. Tak samo jest i z jego charakterystyką ślązakowców. Przesadza ich filoniemiectwo, nie docenia ich „ślązakostwa". Dzisiaj są oni nieaktualni po prostu i raczej przeżytkiem stosunków przedwojennych. Witt uważa, że nie są oni ani Polakami, ani Czechami, lecz odrębną grupą etniczną, silnie przeniknięta duchem niemczyzny.

Ale ta etniczna postać pośrednia jest, zdaniem jego, także postacią przemijającą. Ślązakowcy mają być tak dalece filoniemcami, że przyswoiwszy sobie język niemiecki i związawszy się np. przez ożenek z Niemcami, chętnie przenoszą się w narodowe środowisko niemieckie, w czym działacze niemieccy dopatrują się niebezpieczeństwa dla tego ruchu, bo gdy taki działacz ślązakowski ustępuje, aby bez reszty wsiąknąć w niemiectwo, miejsce jego zajmuje często działacz przeciwnego kierunku: uświadomiony Polak albo Czech. Nie trzeba dodawać, że Niemcy podtrzymywali ten ruch na wszelki sposób i że to oni powołali go do życia.

Jakie były dążenia ślązakowców, zwanych także kożdoniowcami? Dnia 26 maja 1918 roku odbywał się wiec „Śląskiego związku ludowego", na wiecu tym przemawiał jego przywódca, Józef Kożdoń, nauczyciel skoczowski, a w jego mowie znalazły się m. i. ostre słowa protestu przeciwko przyłączeniu Cieszyńskiego do Polski, a raczej, jak się wtedy mówiło: do Galicji.

„Jak Ślązak myśli o tym przyłączeniu do Galicji — mówił Kożdoń — na to daje wyraźną odpowiedź i dzisiejszy wiec ludowy. Tysiące i tysiące mężów wszystkich stanów i zawodów, wszystkich części kraju, Polacy i Niemcy z biur i sal szkolnych, z warsztatów i fabryk, od pługa i kowadła, z gór i nizin. mimo wielu trudności pośpieszyli, aby tu na wielkim i pamiętnym wiecu ludowym zgodnie i dobitnie, publicznie i uroczyście oświadczyć:

„Chcemy być, czym ojcowie byli: zjednoczonym ludem braci. Zjednoczeni w miłości do drogiego kraju rodzinnego, zjednoczeni w miłości do ojczyzny Austrii i domu Habsbursko-Lotaryńskiego. Tak my Ślązacy wołamy głośno i wyraźnie, żeby nasz głos słyszano i w Wiedniu. Mamy ojczyznę, nie potrzebujemy nowej ojczyzny! Niebo kraju rodzinnego i łaskawy los niechaj nas od nowej tej ojczyzny ustrzegą...

„Niech już tam oświadczy się młoda Polska za republiką albo za monarchią, niech sejm elekcyjny powoła na tron nowego państwa ród królewski według przekonania i upodobania swego, to są sprawy już nie nasze, ale obce. Niech Polską rządzi która bądź rodzina panująca, wobec nas i wobec Austrii pozostanie państwo Polskie państwem obcym...“

Jakiegoś programu politycznego czy społecznego, a tym mniej narodowego, partia ta nie miała nigdy. Była wybitnie „kaisertreu“ i z góry przyjmowała wdzięcznie wszystko, co jej cesarz dać raczy, albo dać nie raczy. Zrazu ślązakowcy zwracali się nie tylko przeciw Polakom, ale i przeciw Czechom. Brakło im zupełnie zmysłu orientacyjnego i nawet przywódca ich nie potrafił przewidzieć obrotu, jaki weźmie wojna światowa. We wspomnianej mowie Kożdonia znalazły się takie słowa np., poświęcone Masarykowi: „O Masaryku, o tym może uczciwym fanatyku mylnej idei, powiada hr. Czernin, były minister spraw zagranicznych i cesarskiego domu: — Ten nędzny i niegodny Masaryk! — a dalej o przyczynach przedłużających wojnę, powiada Czernin: — Masaryk jest nie tylko za granicą — Masarykowie są także wewnątrz kraju, między nami.“ Tymi słowami chciał Kożdoń niezawodnie powiedzieć, że i śród działaczy polskich nie brak Masaryków.

Między ślązakowcami a Czechami nie było nigdy takich przeciwieństw, jakie powstały między nimi a nami. Czesi byli na ogół

politykami ostrożniejszymi i umieli to i owo pozostawić przyszłości, podczas gdy z naszej strony wyraźne stawianie sprawy i twarda czasami szczerość nie zawsze sprzyjały sprawie polskiej. Czesi przyrzekli ślązakowcom wszystko, czego ci sobie życzyli, i szybko a skutecznie zdyskontowali dla siebie sympatie śląskiego związku ludowego.

Ślązakowcy mówią czystym językiem polskim, jak tego dowodzą choćby przytoczone ustępy z mowy Kożdonia, ale polszczyznę swoją rozmyślnie pstrzą zabawnymi dialektyzmami i nie chcą słyszeć o gramatyce polskiej, traktując ją jako wymysł wszechpolski. W ich mowie kobiety zachowują nazwiska w brzmieniu męskim: Hanka Kulig, Marysia Malik, Zuzanna Śniegoń. Odmiany takie, jak Liberdzianka, Malikówna, Kuligowa, Śniegoniowa, to „szpecenie ich mowy śląskiej". Jest to oczywiście raczej nadąsany upór, niż wyraz logiki i rozsądku.

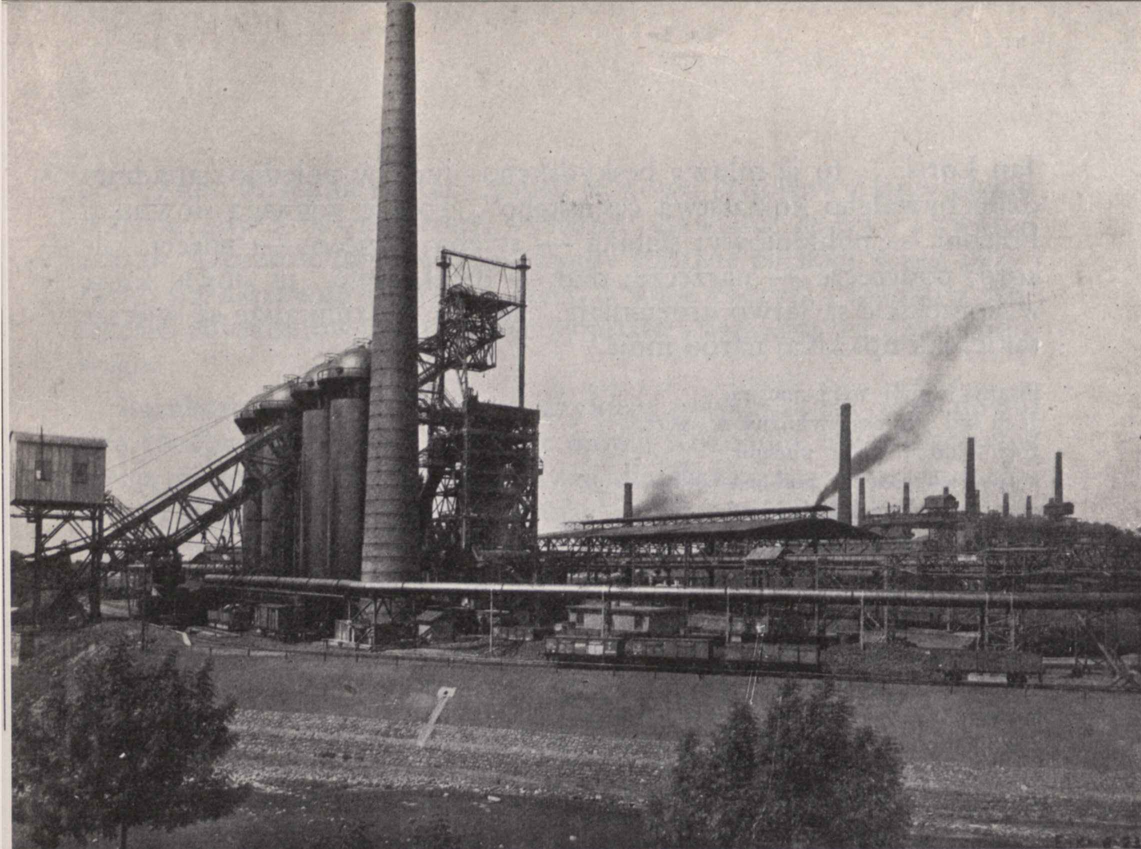
Podczas gdy narzecza śląskie znikają w sposób naturalny, Óndra Łysohorsky, pochodzący z Frydeckiego, autor zbiorków poezji „Spiewajuco piaść" i „Hłos hrudy" (Śpiewająca pięść i Głos ziemi — grudy), wskrzesza język „laski" i twierdzi, że językiem tym mówi dziś około dwóch milionów ludzi i to nie tylko na Śląsku. Jego poezje „laskie" znajdują czytelników i życzliwych krytyków zarówno śród Czechów jak i śród Niemców. Nestor krytyków czeskich, F. X. Šalda napisał do pierwszego zbiorku Łysohorskiego bardzo życzliwą przedmowę, podnoszącą talent laskiego poety.

Łysohorski jako „bard wymierającego narodu", idzie śladami Bezruča, ale podczas gdy u poety czeskiego akcenty społeczne głuszy wybujały i wojujący nacjonalizm, Łysohorski jest zdecydowanym internacjonalistą i komunistą. Co Łysohorski nazywa językiem laskim? W słowniczku dodanym do jego pierwszego zbiorku czytamy: „Laśsky jazyk, w śirokych rysach, je młuwa ludu w sewerowychodni Morawie, w starym rakuskim Slónsku a w Hućińsku (Hulczyńskiem). Od zapadniho jazyka ćeskeho a połedniho jazyka słowenskeho, śe rozeznowo hławńe akcéntém na przedostatni słabice, od wychodniho jazyka polskeho hławńe ńedostatkém nosowych samohłasek. Jazyk laśsky śe skłodo z wicero podrzeczy, kiere dohrómady tworzo własny jazykowy organizmus. Autor „Spiwajuce piaśće" uźiwo podrzeczo hornoostrawskeho, jak ho nazwoł filolog

Jan Loriś..., to je młuwy beskydskeho ludu w połedńo-zapadnim dźiłu bywałeho kniźatstwa ćeśinskeho". To nie wymaga słownika. Połedni — południowy; słabika — sylaba; wicero — więcej, kilkoro; podrzecze — narzecze; dźił — dział, część, to słowa, które w kontekście są łatwo zrozumiałe. Jeszcze zrozumialsze są wiersze takie, jak np. „Kaj naród mój?"

Pisany je mój werś nocami.
Joch był jak pes wyhnany w swiet.
Joch błudził wećer ulicami
a społ jak chachar pod mostami,
mój źiwot ńémjeł źoden kwiet.
Jo zatracény syn Ostrawy
pro korzeń mista ńemjeł sém.
Kus Polska tam, tu kus Morawy,
tu burżuj Ćech, tam Polok drawy.
Kaj naród mój? Kaj laśsko zém?
Joch naród hledoł źiwot cełý
a przyszełch zaś w baskydsky mrak.
Z knih polskych cudze wełny hrzmieły,
aj w Praze źiłech osamieły.
A wčil? Do Moskwy idźe zrak.
Kaj je mój naród? Jo ho niemóm...
To nieni naród, jak roz był.
Ustupił misto cudzym menóm
jak smeći je zmećeny k śćenóm
a enem laśsky smutek zbył... Itd.

Chachar — włóczęga; drawy — dziki; hledać — szukać; wełny — fale; wćil — teraz; nieni — nie jest; méno — imię; enem — jeno, oto kilka mniej zrozumiałych słów. Poza tym wszystko jest tu jasne. Czy Łysohorskiemu uda się wskrzesić język „laski", wątpimy. Poezje jego mogą interesować garść ludzi, lubiących wiersze, ale do tego ludu, którego poeta chce być bardem, na pewno nie trafią. Inne dziś panują troski na świecie.



Trzyniec. Wysokie piece

ODRODZENIE NARODOWE I ŚLĄSKA MACIERZ SZKOLNA

Podczas wędrówek po Zaolziu nie podobna przejechać kilku kilometrów, żeby nie natknąć się na jedną z licznych placówek Macierzy Szkolnej. Tu będzie to szkoła wydziałowa, których Macierz Szkolna utrzymuje aż sześć, indziej znowu jedna z kilkunastu szkół powszechnych albo jedno z kilkudziesięciu przedszkoli. Poza tym szkolnictwo Macierzy obejmuje uzupełniające szkoły przemysłowe,

żeńskie szkoły zawodowe, kursy kroju i szycia, a tam, gdzie zachodzi potrzeba po temu, istnieją nawet bursy dla uczącej się młodzieży. Nie dość na tym, że Macierz w miarę potrzeby i możności organizuje kursy specjalne, kieruje rozległą akcją kulturalno-oświatową, zakłada biblioteki i czytelnie, wysyła wychowanków swoich szkół na letniska, dożywia dzieci ubogich i bezrobotnych rodziców, ale ma w programie wychowawczym wycieczki w góry, urządza festyny szkolne, przedstawienia i poranki oraz wystawy prac szkolnych, czuwa nad harcerstwem itd. Jest Macierzą w najpiękniejszym znaczeniu słowa.

Na tak rozległą akcję potrzebne są nie tylko odpowiednio wielkie fundusze, ale jeszcze więcej potrzeba dobrej bezinteresownej woli pracowitych obywateli dla zorganizowania tej rozległej pracy, której ostatnim ogniwem jest praca nauczycielska w klasie szkolnej. Ktoś musi zająć się zbieraniem składek, administrowaniem funduszów kół Macierzy, urządzaniem lokali dla szkół i przedszkoli, czuwaniem nad nimi, a wreszcie układaniem programów nauczania i troską o wychowanie tej młodzieży, która uczy się w szkołach Macierzy.

Przed wojną, gdy nikt nawet nie przeczuwał możliwości takiego permanentnego kryzysu, jaki dziś ogarnia cały świat, gdy o środki materialne było o tyle łatwiej niż dzisiaj, praca Macierzy była prostsza i łatwiejsza. Obejmowała ona cały Śląsk Cieszyński i była bardzo wydatnie wspomagana z zewnątrz. Po podziale Śląska Cieszyńskiego została rozcięta na dwoje także Macierz Szkolna i domagała się szybkiej, gruntownej reorganizacji, jeśli miała ostać się wobec niezliczonych trudności. Reorganizacja została przeprowadzona w sposób idealny i wzorowy. Gdy przestały płynąć dla Macierzy duże ofiary i gdy zarząd jej musiał liczyć się z każdym groszem, powołano do życia koła miejscowe we wszystkich niemal miejscowościach Zaolzia, z zadaniem propagowania dążeń Macierzy i zbierania dla niej środków pieniężnych.

Gdy dzisiaj porównywamy rozległą i wzorową pod każdym względem akcję Macierzy z jej nikłymi początkami, musimy podziwiać zarówno dawnych jej założycieli, jak i dzisiejszych kierowników. W „Jubileuszowym sprawozdaniu Macierzy Szkolnej na Śląsku Cieszyńskim", obejmującym lata 1885—1935, czytamy między innymi:



Piotr Feliks, Dyrektor Gimnazjum w Orłowej, Prezes Macierzy Szkolnej

„Dnia 9 listopada 1885 roku zgromadzili się w mieszkaniu redaktora „Gwiazdki Cieszyńskiej", Pawła Stalmacha: ks. Ignacy Świeży, poseł do Rady państwa, Dr Józef Fiszer, Andrzej Kotula, notariusz, Dr Jan Michejda, Dr Joachim Kleinberg, Andrzej Bardoń, ks. Jan Sikora, ks. Antoni Fuzoń, Franciszek Halfar z Poręby, Jan Sztwiertnia z Kisielowa i Alfred Brzeski. Ci, wybrawszy sobie przewodniczącym ks. Świeżego, omówili statut nowego Towarzystwa, które będzie nosiło nazwę Macierz Szkolna Księstwa Cieszyńskiego, i rozpoczęli zbieranie składek na założenie gimnazjum polskiego w Cieszynie. Skromne to bardzo były początki. Zaczęło się od kwoty 5 zł (guldenów), które obecni zebrali między sobą na posiedzeniu z d. 19 listopada. Ale ludzie ci, szczególnie dusza Towarzystwa, Stalmach, zabrali się do pracy z zapałem i poświęceniem..."

Nie można pisać o Macierzy Szkolnej na Śląsku Cieszyńskim bez należytego zrozumienia, czym dla odrodzenia narodowego w tej prastarej dzielnicy piastowskiej był P a w e ł S t a l m a c h i inni budziciele ludu śląskiego. On sam powiada o sobie w swoim pamiętniku: „Miejscem urodzenia mego były Bażanowice pod Cieszynem, gdzie ojciec mój był sprawcą na arcyksiążęcym dworku pod numerem 13, a dzień mego urodzenia jest 13 sierpnia 1824...



Dom Macierzy w Gródku koło Bystrzycy

W szóstym roku mego życia zaczął ojciec uczyć mnie czytania w wolnych chwilach lub wieczorami, a matka przez dzień powtarzała ze mną zadanie. Do tego służył czeski „ślabikarz" z kogutkiem na ostatniej stronicy, który za dobre spamiętanie zadania dziennego zniósł przez noc krajcar dla ucznia. Po ślabikarzu czeskim nastąpił polski Nowy Testament zamiast książki do czytania... Przy tym ojciec nauczył mnie pisania na tabliczce liter szwabskich, bo też tak był nauczony. Prawie powszechnym było wówczas zwyczajem, nauczyć dzieci w domu przynajmniej abecadła, aby potem nauczyciel w szkole nie miał z nimi tyle trudu... Uczono zaś tak: pokazano dziecku kilka liter, a ono musiało powtarzać: a a a, be be be, ce ce ce itd., aż znaki i nazwy spamiętało. Potem dalej zgłoskowano w czeskim ślabikarzu: o te-ot, če e-če, otče, je-e-en-źe-jenź, je-es-y-jsy itd.; w czym zachodziła trudność dla dziecka nie tylko złożenia zgłosek, ale też zrozumienia wyrazów..."

Ta pedagogika w Cieszyńskiem, gdzie dziecko polskie musiało się uczyć na podręcznikach czeskich języka niemieckiego, było istną torturą dla dzieci i dlatego z osobliwą uwagą odczytujemy referat światłego jezuity ks. Szersznika z d. 8 stycznia r. 1808 o stanie szkół w Cieszyńskiem. Ks. Szersznik wywodził: „Ważną przeszkodą nauki są podręczniki w czeskim języku. Śląsko-polskie narzecze z wyjątkiem dystryktu frydeckiego jest we wszystkich innych dystryktach językiem ludności i dlatego czeskie książki są dla dzieci przeważnie niezrozumiałe i nauczyciel zmuszony jest wszystko od słowa do sło-

wa na język polski tłumaczyć, co nauce odbiera wiele godzin." Ks. Szersznik domagał się więc polskich podręczników dla dziatwy szkolnej w Cieszyńskiem.

Gubernium morawsko-śląskie nie śpieszyło się z załatwieniem tej sprawy i dopiero w marcu 1809 roku odpowiedziało: „Dla sześciu dystryktów, w których rozpowszechnione jest narzecze śląsko-polskie jako język ludowy, nie opłaca się drukować osobnych książek w tym narzeczu, bo dla dzieci obojętne jest z początku, w jakim języku uczą się czytać i rozumieć treść podręczników, wydanych w języku czeskim. Także nauczycielom nie może to sprawić przy nauczaniu zbyt wielkich trudności, bo śląsko-polskie narzecze ma wiele wspólnego z językiem czeskim i dlatego dzieci łatwo i szybko mogą przyswoić go sobie, a prócz tego trzeba zaznaczyć, że dzieci przez obcowanie z sobą dojdą do zrozumienia narzecza czeskiego." Jak widać z tego, gubernium nie miało nic przeciwko czechizowaniu polskiej ludności przez szkołę.

Że w nauczaniu młodzieży w tamtych szkołach panował nieodmienny schemat, o tym pisze także inny znakomity działacz śląsko-polski i pamiętnikarz, dr Andrzej Cinciała. Uczył się w domu i w szkole zupełnie tak samo jak Stalmach. Opowiadając o swojej nauce w szkole, mówi m. i.: „Na drugi dzień pytał mnie nauczyciel o litery ze ślabikarza, a gdy mu je wszystkie dobrze wymieniłem — bo już w domu u matki z niemałym mozołem, a często ze łzami się ich nauczyłem, przesadził mnie nauczyciel do innej, wyższej ławki. Zrobiłem więc w krótkim czasie postęp, bo przeniesiony zostałem z pomiędzy poznawaczy — co się uczą litery poznawać — do składaczy — co litery dodawają, zgłoskują. Tu już to nieco dłużej potrwało, nimem się dorobił 3 stopnia, tj. czytających. Ślabikarz był cały czeski, a to utrudniało bardzo naukę czytania, bo w nim przy-



Widok na Łysą Górę i Trawny z drogi górskiej pod Konieczną (na linii Stare Hamry-Turzówka)



Bogumin
Szkoła ludowa
Macierzy
Szkolnej

chodziły wyrazy, których nie rozumiałem... Ci co skończyli śla bikarz, dostawali do czytania i uczenia się na pamięć „naukę" Pauliniego, a do czytania później Nowy Testament. Obydwie książki były drukowane szwabachem, chociaż polskie; książek z polskim czyli łacińskim drukiem nie było we szkole."

Ubożutka była ta szkoła dawna w Cieszyńskiem, a ludzie, którzy brali się za nauczanie dzieci, skazywali niejako samych siebie na wiekuiste biedowanie, jak to wynika ze sprawozdania ks. Opolskiego, przedstawiciela Wikariatu Generalnego, za rok 1816. „Nauczyciele pracują, usiłują wypełnić swoje obowiązki, a przy tym cierpią głód i nagość i nawet przeciw zimnu nie są zabezpieczeni. Większość owych ludzi ma na roczne utrzymanie 100 do 120 florenów. Płaca dzienna nie wynosi nawet 20 krajcarów. Czterech sążni drzewa potrzeba mu na ugotowanie sobie w porze letniej ziemniaków i kapusty i na bardzo skromne opalenie mieszkania w zimie, bo w zimie może sobie ugotować trochę strawy w piecu szkolnym. Cztery zaś sążnie drzewa kosztują u nas bez dowozu 48 florenów. Odzieży nie można poniżej 32 fl. obliczać, bo tylko buty, jakie noszą najprostsi chłopi, kosztują 12 fl. Pozostaje 40 fl., z których ma się wyżywić; nauczyciel ma więc dziennie na swoje utrzymanie 7 krajcarów. W tej części diecezji nie można liczyć na pomoc dla nauczyciela ze strony stanu chłopskiego, bo rolnik sam jest ubogi i zanadto zajęty troskami o własne utrzymanie, tak że oprócz serdecznego życzenia lepszej doli nie może dla nauczyciela złożyć żadnej innej ofiary.

O dobrej woli chłopa w okręgu cieszyńskim nie można wcale wątpić, jako też o jego przekonaniu, że nauczyciel godzien jest pomocy, ale brak poczciwcowi środków na polepszenie jego doli. Mimo to nauczyciele wypełniają według możności swoje obowiązki, ale uważać się muszą za bardzo nędzne stworzenia ze względu na szczupłość pensji, która w naszych czasach, gdy potrzeby życia są w porównaniu z r. 1800 o 2/3, a nawet 3/4 wyższe, zanadto nisko jest unormowaną... Smutny to objaw, jeżeli stan nauczycielski tak bardzo zasłużony około państwa i indywidualnego dobra wszystkich mieszkańców państwa, pocieszać się musi nadzieją lepszych czasów. Nic dziwnego, że nauczyciele pełnią obowiązki sprawców, ekonomów i strażników granicznych." Przytacza te głosy ks. Londzin w swojej cennej pracy o szkolnictwie ludowym w księstwie Cieszyńskim na początku XIX wieku.

W niewielkiej rozmiarami, ale źródłowej pracy „Z przeszłości ewangelickiej szkoły w Wiśle", potwierdza wszystkie te rzeczy, dotyczące szkoły cieszyńskiej także ks. Andrzej Wantuła, pastor wiślański, ustalając, że w r. 1813 i w latach następnych płaca roczna nauczyciela wahała się od 60 do 120 florenów. „Gdyby nauczyciele nie byli posiadali innych źródeł dochodów — są słowa ks. Wantuły — byliby rzecz prosta skazani na śmierć głodową. Szczęściem dochodziły do tej płacy inne dochody. Nauczyciel bywał śpiewakiem pogrzebowym czyli „czytokiem", pełnił urząd organisty i jako taki otrzymywał od zboru mieszkanie, a prócz tego od zborowników, zwłaszcza tych, których dzieci uczył, stały, ściśle określony „deputat". Gospodarze musieli mu składać pewną ilość bochenków chleba, zboża, ziemniaków... Niekiedy też otrzymywali nauczyciele od gospodarzy parę zagonów, które mogli sobie uprawiać. Na Nowy Rok chodził nauczyciel po kolędzie, a na Wielkanoc po „śmierguście". Przy tej sposobności zbierał do „pytliczka" masło, jajka i inne dary, jakie kochanemu „rechtorowi" składali dobrzy ludzie. Gdy czasem parę dni głodował, co się łatwo mogło przydać, to czekał cierpliwie, aż wypadnie jaki „lepszy" pogrzeb, na którym ważniejszą bodaj rolę odgrywać lubił od samego księdza. Jeśli pogrzeb był dalej, to nauki w szkole mogło nie być, lub była skrócona. Jako „czytok" przychodził na pogrzeb nierzadko przed południem, siadał wtedy z dziećmi, które z nim przyszły, za stołem

i rozpoczynał obrzęd pogrzebowy. Najpierw „na sucho“ zaśpiewał jedną pieśń z kancjonału Trzanowskiego. Dokonawszy tej najtrudniejszej części, spłukiwał gardło postawioną na stole w „plecionce“ wódką — dzieci towarzyszące mu otrzymywały także po kieliszku — i pokrzepiał ciało chlebem, serem i masłem, czym go raczono...“

Historyk czeski, Adamus, w podobnej pracy swojej o szkole katolickiej „przy kościele“ w Lutyni Niemieckiej pisze, że do szkoły w latach 1785—1789 należały dzieci nie tylko z Niemieckiej i Polskiej Lutyni, lecz także ze Skrzeczonia, Wierzniowic, Nowej Wsi, Dziećmorowic, Kąkolnej. Ale ze 156 dzieci w wieku szkolnym chodziło do szkoły zaledwie czworo. Ks. Józef Palarczyk tłumaczył ten stan rzeczy tym, że rodzice potrzebują dzieci w domu do paszenia bydła, że szkoła jest zbyt daleko, a drogi do niej złe. Nauczyciel żył głównie z tego, co otrzymywał jako funkcjonariusz kościelny, a dochód ten w owym czasie nie przekraczał 53 florenów. Od gospodarzy otrzymywał on 120 bochenków chleba i 5 florenów 46 krajcarów jako równoważnik dalszych 173 bochenków chleba. Na Nowy Rok zbierał dla siebie żywność w ustalonych rozmiarach, zboże, bób i groch, na Wielkanoc dostawał 12 kóp jaj, a w kiermasz 132 kołacze. Wszystkie te naturalia nie przekraczały wartości 20 florenów. Nie należy wszakże oceniać pracy nauczycieli według ich żałosnego uposażenia. Praca ta była nieraz bardzo cenna i przyczyniała się do podniesienia kultury ludu śląskiego. Ks. Wantuła wspomina specjalnie drugiego nauczyciela wiślańskiego, Pawła Szarca (1793—1845). „Był to zacny i pracowity człowiek. Takie świadectwo wystawia mu uczony Ludwik Zejszner, który w r. 1849 zwiedzał Wisłę i opisał ją w wydawnictwie „Biblioteka Warszawska“ w roku 1850. Pisząc o wiślanach, powiada, że we wszystkich dolinach umieją czytać, a wielka liczba pisze wyraźnie. Po czym tak mówi: „Przyczynił się do tego głównie niedawno zmarły nauczyciel, pochodzący z tej wioski, który zrobił zadaniem życia wykształcić swych współwyznawców, i dokonawszy tego zmarł, ogólnie uwielbiany i żałowany. Zaiste, był to człowiek godzien szacunku każdego myślącego człowieka.“

„O Pawle Szarcu, drugim nauczycielu w ewangelickiej szkole w Wiśle, powiedzieć jeszcze i to można, że był on tłumaczem z niemieckiego na polskie kazań ks. Michała Kupferschmida, który, gdy



Dr Ernest Farnik, autor „Istych roków“

przyszedł do Wisły, nie znał języka polskiego. Pisał on swoje kazania po niemiecku, a nauczyciel Paweł Szarzec tłumaczył je na polskie. Potem w polskiej szacie odczytywał kazania swoje ks. M. Kupferschmid z ambony.“

Szkoła śląska była bardzo konserwatywna, a raczej musiała taką być z nakazu władz, bo Jan Kubisz, działacz, pamiętnikarz i poeta śląski, który przyszedł na świat w 24 lata później niż Stalmach i Cinciała, uczył się w swojej rodzinnej wsi, Końskiej, mniej więcej tak samo, jak oni. Ale był już pewien postęp, bo Kubisz nie uczył się z czeskiego „ślabikarza“, lecz z polskiego elementarza. Do szkoły wstąpił mając lat sześć, w roku 1854. On sam nie wie, skąd pochodził ów polski elementarz, ale przypuszcza, że z Prus.

„Nauka odbywała się w ten sposób — pisze Kubisz — że najprzód pokazywano litery, alfabet. Uczeń pozostawiony był samemu sobie... Później składał głoski w zgłoski, potem w słowa. Składanie zgłosek w słowa bez poprzedzającego pojedynczego wymawiania głosek i zgłosek nazywało się czytaniem „po prostu“. Była to praca mozolna. Pamiętam, ile się namozoliłem nad przeczytaniem słowa „wszczął“... Wielką rolę odgrywała w szkole nauka niemieckiego. Uczono się najprzód wokabuł, a potem rozmówek zwanych „geszprechami“. Za tym szła nauka gramatyki według podręcznika, który był dosyć rozsądnie ułożony... Jedno atoli było w całej tej nauce języka niemieckiego stanowczo złe, niepedagogiczne i barba-



Bogumin.
Pomnik poległych 1914—1918

rzyńskie, a mianowicie *signa*. Była to tabliczka z rączką, na kształt „kijonki“, powleczona białym papierem, na którym były napisane nazwiska tych starszych uczniów, którym w szkole nie wolno było mówić po polsku między sobą ani z nauczycielem, ale tylko po niemiecku. Ponieważ atoli po niemiecku rozmawiać nie umieli, więc nie mówili między sobą wcale, albo mówili za pośrednictwem uczniów młodszych, z którymi wolno im było mówić po polsku. Rozmowa taka odbywała się w ten sposób: — Ty, powiedz Pawłowi K. to a to. — A ten znowu zwracał się do młodszego ucznia i odpowiadał: — Powiedz mu to a to. — Jeżeli się zaś który ze starszych uczniów pomylił i powiedział choćby jedno słowo wprost po polsku, to wtedy sąsiedzi krzyknęli: — *Hat polnisch gesprochen.* — Za to dostał na signie kreskę, a za każdą taką kreskę na signie w sobotę jedno uderzenie rózgą w dłoń. Bolesna i okrutna, i upokarzająca była ta operacja. Ale największe upokorzenie przeznaczone było dla tego, kto miał najwięcej kresek na signie. Ten musiał zanieść signę do domu, przewieszoną na sznurku przez plecy i tam ją świeżym białym powlec papierem. Towarzyszyli mu w tej drodze koledzy, śmiejąc się i szydząc: — *Hat polnisch gesprochen!*

Kto widział wzorowe szkoły Macierzy na Śląsku Zaolzańskim i poznał serdeczny bezpośredni stosunek nauczycieli tych szkół do swoich wychowanków, ten zdaje sobie sprawę, jakiego ogromu pracy trzech czterech pokoleń było potrzeba, aby stworzyć to, co dziś istnieje i aby utrzymać ten stan posiadania w warunkach wyjątkowo ciężkich. Czym było powstanie Macierzy Szkolnej dla ludu śląskiego i jakim zdarzeniem stało się otwarcie pierwszego gimnazjum polskiego w Cieszynie, oceni każdy, kto zna źródłowe prace historyka śląskiego, Popiołka, o szkolnictwie w Cieszyńskiem.

„Do r. 1895 — powiada Popiołek prosto i rzeczowo — nie było w żadnym mieście Śląska Cieszyńskiego szkoły polskiej, ani ludowej, ani średniej, ani publicznej, ani prywatnej. Uczniowie polscy, którzy uczęszczali do niemieckich szkół średnich w Bielsku czy Cieszynie, wynaradawiali się, z wyjątkiem poszczególnych nielicznych jednostek i przepadali dla polskości. W r. 1895 było w gimnazjum niemieckim w Cieszynie 116, w szkole realnej 124 uczniów polskich."

Że się młodzież śląsko-polska w szkołach niemieckich wynaradawiała, tego najlepszym dowodem jest pamiętnik Andrzeja Cinciały, jednego z czołowych budzicieli Śląska. W dodatku do tego pamiętnika pisze on: „Było nas pięciu Ślązaków. Wszyscy kamizolkarze, wszyscy synowie chłopscy, wszyscy ewangelicy, gimnazjaliści cieszyńscy, w jednym wieku i w jednej klasie, wszyscy *kostgängerzy*, wszyscy Niemcy, chociaż rodzice nasi ani słówka po niemiecku nie umieli." Autor objaśnia dalej, że „kamizolkarzami nazywano gimnazjastów, którzy zamiast surdutów nosili kamizole lub szpencery, tj. kurtki sięgające tylko do pasa, tak jak je chłopi na Śląsku noszą, w ogóle, którzy się zupełnie tak ubierali, jak chłopi wieśniacy u nas. *Kostgängerami* zaś nazywano tych uczni gimnazjalnych, którzy się sami stołowali, a byli to prawie wyłącznie Ślązacy."

Że ci młodzi ludzie, wychowani przez szkołę niemiecką, zbudzili się do samodzielnego życia narodowego, że potrafili względy kariery osobistej podporządkować wysokiemu idealizmowi narodowemu i że wreszcie, zabrawszy się do budzenia innych, nie dali się zrazić w swych dążeniach nawet największym trudnościom, to godne podziwu najwyższego. A trudności były zaiste niesłychane.

„Widząc, jak się wszystko niemczy — wywodzi Andrzej Cinciała — jak nikt z młodzieży naszej, a mianowicie synowie włościańscy, nie poczuwają się do narodu, jak stawiają język i kulturę niemiecką wysoko, a swojskością gardzą, że zapominają pisać, a nawet mówić po polsku — umieniłem sobie założyć stowarzyszenie między młodzieżą gimnazjalną, które by miało na celu pielęgnowanie ojczystej mowy i wzbudzenie ducha narodowego między młodzieżą. Nie była to rzecz łatwa, bo wiedziałem, że z jednej strony natrafię na obojętność między młodzieżą, a z drugiej strony na złą wolę, a przynajmniej na różne trudności ze strony profesorów..."

O tym samym opowiada w swoim pamiętniku Stalmach. Gdy jego nauka w gimnazjum dobiegała końca i gdy trzeba było pomyśleć o wyborze zawodu, doszedł do wniosku, że on jako młodzieniec niezamożny może z powodzeniem studiować tylko teologię, aby stać się następnie pastorem. „Zabrałem się więc do niezbędnej dla teologa konieczności, do czytania biblii polskiej; ale chociaż dawniej z ojcem ją może kilka razy przeczytałem, spostrzegłem, że mi teraz czytanie i rozumienie idzie trudniej. To sprawiła niemiecka szkoła. To zaś pojąłem już, że wobec polskiego ludu trzeba umieć władać polskim językiem. Było to w roku 1842. Gdy więc po wakacjach zebrali się koledzy, zacząłem z nimi rozmawiać, czym który chce być i przedstawiłem im, że trzeba koniecznie uczyć się języka polskiego. Zrobiliśmy więc stowarzyszenie polskie i składając tygodniowo po czeskim, zakupiliśmy rychło gramatykę Suchorowskiego, opatrzoną w znaczny wybór wypisów z różnych autorów i słownik kieszonkowy, a pastor Kłapsia nawet darował nam zawadzające w jego bibliotece „Satyry“ Naruszewicza i „Marię“ Malczewskiego...“

Za przykładem uczni polskich, poszli i czescy uczniowie gimnazjum cieszyńskiego. Niestety, młodzi Polacy nie znajdowali u profesorów swoich takiej zachęty i pomocy, jakiej byliby potrzebowali. Charakterystyczne jest to, co Stalmach w związku z nauką polskiego powiada o pastorze Janie Winklerze z Nawsia, który aczkolwiek pochodził z Moraw, był jednak ludowi nawiejskiemu pastorem polskim. „Jedyny, który nas trochę zachęcał, był pastor Jan Winkler z Nawsia, który przyjeżdżając do Cieszyna, by nas uczyć śpiewu chóralnego, pochwalał nasze chęci do mowy narodowej.“

Takie były początki. Brakło jednak książek polskich, a młodzi budziciele nie mieli pieniędzy na ich kupowanie. Ba, nie mieli nawet pieniędzy na podróż do Krakowa, gdzie można było te potrzebne książki zdobyć. Najprzód wszakże obaj młodzi budziciele, Stalmach i Cinciała, odbyli podróż po Śląsku rodzinnym. Stalmach był już wtedy studentem teologii we Wiedniu, zaś Cinciała przygotowywał się do studiów prawniczych.

„We spółkę ze Stalmachem — powiada Cinciała — zrobiliśmy podróż po Śląsku, celem poznania tegoż bliżej i robienia propagandy dla budzącej się u nas narodowości polskiej. Podróż ta niewiele nam przyniosła korzyści, a sprawie narodowej żadnych. Odwiedzą-

liśmy prawie wyłącznie naszą inteligencję, a kiedyśmy w ciągu rozmowy potrącali sprawę narodową, każdy się dziwił naszej rzeczy i był zdania, że należy się trzymać języka niemieckiego, który daje człowiekowi naukę i światło..."

Nie zniechęcili się młodzi, a ponieważ Cinciała pracował już dawniej w Krakowie u księgarza Friedleina, postanowili ruszyć do Krakowa, aby tam zdobyć trochę książek. „Dnia 14 sierpnia 1847 wyszliśmy tedy z Cieszyna, napiwszy się wódki i nabrawszy gruszek do kieszeni. Pieniędzy mieliśmy wprawdzie bardzo mało na tę podróż, która się naturalnie piechotą odbywała, ale byliśmy bardzo weseli i dobrej myśli." W czterdzieści lat później Cinciała, przemawiając na zebraniu jubileuszowym Czytelni Ludowej, wspominał o tamtych czasach i powiedział o tych „dwóch Ślązakach, którzy wybrali się po książki do Krakowa bez paszportu, bez pieniędzy i bez czyichkolwiek poleceń. Dotarli wreszcie do Krakowa i zebrali tamże sporą ilość książek polskich, które od różnych osób darowane zostały. Z tych zebranych książek ułożono dwa stosy, związano je sznurem, włożono na grzbiety i tak obładowani wracali ciż młodzieńcy z Krakowa na Śląsk. Książki były ciężkie, sznur wcinał się głęboko w ramię, słońce przypiekało, a ciągła uzasadniona bojaźń towarzyszyła podróżnym, że książki polskie, jako towar dla Śląska zakazany, w drodze skonfiskowane zostaną..."

Takie były początki ruchu narodowego na Śląsku. Pierwszy ten transport książek polskich przydźwigano z Krakowa do Cieszyna 23 sierpnia 1847 roku. Było to w wigilię roku 1848, wiosny narodów, a zarazem był to rok straszliwego głodu na Śląsku Cieszyńskim, którego ofiarą padło parę tysięcy ludzi. W Cieszynie istniała już wtedy Czytelnia Ludowa. W Pradze odbywał się w r. 1848 historyczny zjazd słowiański, a młody Stalmach wybrał się nań jako przedstawiciel Cieszyńskiego. Zjazd podzielił się na trzy sekcje: czesko-słowacką, polsko-rusińską i południowo-słowiańską. „Prezesem pierwszej — pisze Stalmach — był Paweł Szafarzyk, drugiej Karol Libelt z Poznania, trzeciej Paweł Stamatowić z Nowego Sadu w Serbii. Starostą czyli prezesem całego zjazdu obrano Franciszka Palackiego, a podstarostami księcia Jerzego Lubomirskiego i Stanka Wraza. Ponieważ Ślązaków przydzielono do sekcji czeskiej, udałem się do księcia Lubomirskiego, oświadczając, że my

Ślązacy jako Polacy chcemy i możemy tylko do polskiej sekcji należeć. Poradził mi, abym napisał stosowne oświadczenie, do którego przyłączył się także Andrzej Kotula i w tej chwili przyszło przyzwolenie ze strony Czechów... Powyższe oświadczenie moje było wówczas pierwszą głośną manifestacją przynależności Śląska do narodu polskiego. Czesi zgadzali się wtedy nawet na przyłączenie Księstwa Cieszyńskiego do Galicji z powodu wspólnej narodowości."

Rok 1848 przyniósł ludowi polskiemu na Śląsku prawo decydowania o swoim losie i prawo zakładania szkół z wykładowym językiem polskim, ale tylko po wsiach, bo miasta śląskie były już zniemczone i miały wszędzie większość niemiecką. Lecz i po wsiach szkoły polskie nie przyjmowały się tak szybko, jakby można było przypuszczać. Ustawa szkolna, obowiązująca na Śląsku Cieszyńskim przed rokiem 1848, przepisywała język czeski w szkole, ale język ten był tylko pośrednikiem przy nauczaniu języka niemieckiego. W atmosferze panowania niemczyzny niektóre wsie czeskie w Opawskiem i Frydeckiem domagały się zniesienia języka czeskiego i zaprowadzenia wyłącznego nauczania niemieckiego. Niemcy wykorzystali to nikłe uświadomienie narodowe i skłócili lud śląski, aby tym

Fronton Ratusza w Jabłonkowie



łatwiej panować nad nim i podporządkować go swoim własnym celom.

Co do ludu polskiego, to aczkolwiek mówił on narzeczem polskim, brakło mu uświadomienia narodowego w szerokich masach. Przywykł był do szkoły czeskiej i czeskich ślabikarzy, osobliwie zaś do kancjonałów czeskich, z których korzystał w domu i kościele w braku odpowiednich kancjonałów polskich. Uświadomienie szło powoli, krok za krokiem. Potężną dźwignią rozwoju tego uświadomienia miała się stać Macierz Szkolna i otwarcie gimnazjum polskiego w Cieszynie. Ale wtedy stało się, że Czesi zapragnęli mieć także *Maticę Osvěty Lidové pro Knižectvi Těšínské,* która też wzorowana na instytucji polskiej, powstała w Cieszynie w r. 1898, czyli w trzynaście lat po założeniu Macierzy. Ponieważ w Cieszynie instytucja czeska niewiele miała do zyskania, w r. 1908 przeniesiono ją do Polskiej Ostrawy.

Podczas gdy dotąd Polacy musieli walczyć o swoje istnienie duchowe z bogatym i świetnie zorganizowanym niemiectwem, teraz rodziła się konieczność walki o zachowanie narodowego stanu posiadania także z Czechami. Walkę tę toczono na szkoły, przy czym Czesi, osobliwie w zagłębiu węglowym, mieli dużą nad Polakami przewagę, bo na szalę swych interesów narodowych rzucali ważkie wpływy dyrektorowie i inżynierowie czescy, pracujący w górnictwie.

Uświadomienie było zrazu nikłe. Ludzie, mówiący tym samym narzeczem śląsko-polskim, przyłączali się do narodowości polskiej albo czeskiej, zależnie od chwilowej koniunktury. Podczas spisów ludności dana gmina raz miewała większość polską, raz znowu czeską. Gdzie większość czeska nie dopuszczała języka polskiego do szkoły publicznej, tam Macierz Szkolna zakładała szkołę polską dla tych, którzy z niej korzystać pragnęli, gdzie zaś większość polska zaprowadzała w szkole nauczanie w języku polskim, tam Matice Czeska zakładała szkoły swoje. W walce tej Polacy mieli przewagę w podbudowie narodowej, Czesi w swej organizacji i w zamożności. Szanse tej walki były przez czas dość długi do pewnego stopnia równe i, jak to stwierdzają samiż pisarze czescy, język polski posuwał się zwycięsko ku zachodowi, w miarę jak w ludzie budziła się świadomość przynależności do narodu polskiego.

Po rozdzieleniu Śląska sytuacja zmieniła się zasadniczo na niekorzyść żywiołu polskiego. Wnetże po podziale 17 publicznych szkół polskich zostało zamkniętych przez władze czeskie, a na szalę życia kulturalnego zaczęły coraz mocniej padać potężne wpływy gospodarcze. Podczas gdy w r. 1921 do szkół polskich uczęszczało dwadzieścia kilka tysięcy dzieci, w roku 1936 dzieci tych jest już w szkołach polskich tylko 9 tysięcy. Pisma czeskie notują z zadowoleniem cofanie się żywiołu polskiego i ustalają już z góry daty, gdy polskość zniknie w Zaolziu zupełnie.

W tych warunkach Macierz ma do spełnienia zadanie wyjątkowo trudne, chociaż ogromnie wdzięczne zarazem. Ale jak w początkach jej istnienia i rozkwitu przychodzili jej z wydatną pomocą rodacy spoza Cieszyńskiego, tak i dzisiaj pomoc ta staje się dla Macierzy konieczną, jeśli instytucja ta ma sprostać swoim olbrzymim zadaniom.

W historii Macierzy Szkolnej na Śląsku Cieszyńskim mieści się kawał dziejów Cieszyńskiego. Jej prezesem w pierwszych latach był Paweł Stalmach (1886—1890). Po jego śmierci przewodniczył Macierzy ks. Ignacy Świeży (1890—1899). Ks. Tomasz Dudek był jej prezesem przez dwa lata następne (1900—1901); przez dalsze dwa lata prezesował Macierzy ks. Józef Londzin, a po nim objął przewodnictwo zasłużony działacz śląski i Ślązak z wyboru, Hilary Filasiewicz, zachowując je przez lat szesnaście aż do r. 1920.

W tym roku kończy się okres działalności Macierzy w całym Cieszyńskiem i zaczyna się okres działalności Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji. Pierwszym jej prezesem w okresie pierwszego dziesięciolecia był dr Wacław Olszak, b. burmistrz Karwiny i działacz wielkich zasług. Od roku 1931 prezesem Macierzy jest Piotr Feliks, dyrektor polskiego gimnazjum w Orłowej, wybitny pedagog i niestrudzony działacz na niwie społecznej i oświatowej.

Oczywiście, prezesowie Macierzy nie sprostaliby swemu wielkiemu zadaniu, gdyby nie posiadali każdorazowo ofiarnych współpracowników w postaci wiceprezesów, skarbników i sekretarzy. Przez wszystkie lata od rozdzielenia Cieszyńskiego skarbnikiem Macierzy był dr Jan Buzek, lekarz dąbrowski i prezes Harcerstwa polskiego w Zaolziu, całym sercem oddany młodzieży. Wiceprezesami byli w tym czasie: Jan Górniak, dr Jerzy Bałon i Jan Ofiok,

a jako sekretarze pracowali ofiarnie: Jan Branny, ks. Franciszek Moroń i ks. Rudolf Płoszek.

Trzeba widzieć szkoły i ochrony Macierzy w Zaolziu, jej domy, kursy specjalne, bursy, szkoły gospodarstwa domowego, trzeba poznać całą olbrzymią akcię oświatową tej zasłużonej instytucji, aby zrozumieć, jak wiele ofiarnej pracy i miłości wkładają w nią ci obywatele, którym ogół powierza zaszczytną odpowiedzialność za istnienie i rozwój tej Macierzy, bez której nie podobna wyobrazić sobie historii Cieszyńskiego i bez której, rzec można, tej historii nie byłoby wcale w takiej postaci, w jakiej ją znamy.



Ratusz w Jabłonkowie i domek, w którym mieszkał w roku 1915 Marsz. Józef Piłsudski



Drużyna weselna Jacków Jabłonkowskich

ŻYCIE GOSPODARCZE ZAOLZIA

Cały Śląsk Cieszyński, osobliwie jego części północne, zależny jest od stanu przemysłu. Dzisiaj dominuje przemysł górniczy i hutniczy, ale ten wielki przemysł, połączony jak najściślej ze wzrastającą eksploatacją kopalń, został wyprzedzony o całe stulecia przez najróżniejsze rzemiosła, które rozwijając się organicznie, przybierały postać produkcji przemysłowej. Jeszcze dzisiaj istnieją linie łączne między płóciennikami jabłonkowskimi, którzy są równocześnie rolnikami, a wspaniałym przemysłem bielskim i frydeckim, przera-



Żywotek cieszyński. Muzeum Śląskie w Katowicach

biającym wełnę i bawełnę. Przed powstaniem wielkich fabryk wyrobów metalowych istnieli tu kowale, ślusarze, podkowiarze, pilnikarze, nożownicy, blacharze, kotlarze... Puszkarze cieszyńscy cieszyli się od dawna zasłużoną sławą, a pewien typ strzelby długo nazywał się cieszynką.

Zanim przemysł, zracjonalizowany technicznie, wniósł do wyrobów rzemiosła ludowego i rzemiosła artystycznego masowość i standardyzację musiał on posiadać przesłanki nie tylko w materiale włókienniczym, drzewnym, kopalnianym, ale przede wszystkim w rzeszach rzemieślników doskonale przygotowanych i zróżnicowanych. To też na niewielkim obszarze Cieszyńskiego reprezentowane były z honorem wszystkie rodzaje rzemiosł od kowalstwa i kołodziejstwa aż po zegarmistrzostwo i puszkarstwo, i od prostego garncarstwa aż po artystyczne szlifierstwo szkła. Ten naturalny pęd ku rozwijaniu rzemiosła w przemysł nie ograniczył się do rękodzielnictwa, ale ogarnął nawet rolnictwo i leśnictwo.

Uprzemysłowianiu rolnictwa i leśnictwa sprzyjały nie warunki klimatyczne i nie gleba, ale fakt, że w Cieszyńskiem obok masy drobnych gospodarstw małorolnych istniały olbrzymie dobra. Taka na przykład komora cieszyńska, której ostatnim właścicielem był Fryderyk Habsburg, niesławnej pamięci wódz naczelny wojsk austriackich podczas wojny światowej, liczyła 643 kilometry kwadratowe najlepszej ziemi. Drugim wielkim posiadaczem był hr. Larisch-Moennich, pan na 116 kilometrach kwadratowych

ziemi z setkami milionów ton węgla. Na kilka lat przed wojną obok takich latyfundystów jak Fryderyk Habsburg i hr. Larisch-Moennich było około 60 tysięcy posiadaczy ziemi, mających od $^1/_2$ do 5 hektarów ziemi. Tylko 6.600 było takich, którzy mieli ziemi od 5—10 hektarów, 5.350 posiadało od 10—20 hektarów, 3.600 od 20—50, a tylko 244 miało od 50—100 hektarów.

Uprzemysłowianie rolnictwa zaczęło się przede wszystkim w komorze cieszyńskiej niejako z konieczności. Gleba nie jest tu najlepsza. Jako produkt wietrzenia łupku cieszyńskiego, tego łupku, którego olbrzymie warstwice widzimy np. w stromych ścianach wąwozu Białej Wisły, jest ona ciężka i nieprzepuszczalna. Lato dżdżyste staje się dla rolnika klęską. Według długotrwałych obserwacji Cieszyńskie ma 162 dni opadowych w roku. Lepsze warunki dla rolnictwa istnieją w dolinach rzek, gdzie podkład żwirowy gruntu czyni go przepuszczalnym.

I klimat nie sprzyja tu rolnictwu. Kraik ten otwarty jest dla wiatrów północnych i zachodnich, podczas gdy Beskidy zamykają drogę ciepłym wiatrom południowym i południowo-wschodnim. Zima jest długa, mroźna i śnieżna; przymrozki, fatalne dla ogrodów, zasiewów, a nawet dla lasów zdarzają się w okolicach podgórskich jeszcze w maju i czerwcu, podczas gdy w górach śniegi padają nieraz już we wrześniu. Rolnik musi więc dużo pracować, a wydajność roli nie zawsze stoi na wysokości włożonej pracy.

Dla latyfundysty, który obok tysięcy hektarów ziemi ornej posiadał tysiące hektarów lasu i pastwisk, h o d o w l a b y d ł a i m l e c z a r s t w o na wielką skalę były sprawą oczywistą. Komora miewała krów mlecznych po przeszło dwa tysiące, ale także i w jej oborach, jak w całym Cieszyńskiem, panowała gruźlica, z którą do roku 1904 staczano nieustępliwą walkę. Z hodowlą bydła mlecznego kojarzyło się w sposób osobliwy gorzelnictwo. W Cieszyńskiem udawały się dobrze kartofle, które przerabiano w gorzelniach kameralnych na spirytus. Wywar gorzelniany służył jako doskonałe pożywienie dla bydła w ciągu długiej zimy śląskiej.

Podczas manewrów w r. 1896 zaczęto w Kostkowicach, posiadłości komory, wyrabiać masło deserowe dla stołu cesarskiego. Masło kostkowickie zostało wtedy uznane za wyborowe i od tego czasu gospodarstwo kameralne specjalizowało się w maślarstwie. Postęp był szybki. Podczas gdy w roku 1898 przerobiono 2.221.912 litrów

mleka, w roku 1910 przerobiono już 6,082,870 litrów mleka na masło deserowe i wyroby uboczne. Samego masła deserowego rozsprzedano w tym roku 221.119 kilogramów, przy czym Wiedeń brał z arcyksiążęcej komory 66.356 kg, Budapeszt 40.853 kg, inne miasta węgierskie 14.315 kg. Nawet alpejskie miejscowości lecznicze brały z Cieszyńskiego do 14.000 kg masła rocznie, podobnie jak czeskie miejscowości lecznicze, Karolowe Wary, Marienbad i Franzensbad, 17.000 kg. Mniejsze ilości masła cieszyńskiego szły nawet do Turcji, Rumunii i Egiptu. Wreszcie zamówień przychodziło tyle, że komora nie mogła wszystkich przyjmować.

Adamus, historyk Orłowej, opowiada, że już na początku wieku XVI zakonnicy orłowscy zakładali stawy dla hodowli ryb i że stawy te zwracają uwagę swymi nazwami polskimi: „Podgórny", „Mniszek", „Stary młyński", prócz którego istniał zapewne także „Nowy młyński". Obok stawów sztucznych istnieją w Cieszyńskiem wielkie i liczne stawy naturalne. Wykorzystała je i komora arcyksiążęca dla racjonalnej hodowli ryb i w r. 1910 miała 1.212 hektarów zarybionych stawów, przy czym hektar dawał przeciętnie 170 kg ryb, sprzedawanych od 135 do 200 koron za centnar (karpi) i od 200 do 240 koron za liny. I dzisiaj, nawet w najmniejszych miejscowościach Cieszyńskiego po obu stronach Olzy daleko łatwiej o ryby, niż w innych okolicach o podobnych warunkach topograficznych. Miejscami stawy cieszyńskie ciągną się na przestrzeni kilometrów, ale są pozarastane tatarakami i tworzą moczary.

Komora miała liczne gorzelnie i rafinerie spirytusu, browary i fabryki wódek i likierów. Kameralny browar cieszyński wyprodukował w roku 1846 piwa 12.000 hektolitrów, zaś w roku 1910 niemal dziesięć razy więcej, bo aż 116.000 hektolitrów. Fabryka likierów w Błogocicach koło Cieszyna wyprodukowała w r. 1814 — 33 hektolitry likierów, zaś w roku 1910 aż 4.369 hektolitrów, obok 9.010 hektolitrów spirytusu i wódek różnych. Likiery te szły aż do Grecji i Ameryki. Trzeba dodać, że nie była to jedyna fabryka tego rodzaju w Cieszyńskiem i nie jedyny browar. W roku 1859 było na Śląsku austriackim 85 browarów, ale liczba ta spadła do trzydziestu, bo pomniejsze zanikały stopniowo, nie mogąc wytrzymać konkurencji z większymi. W r. 1904 najwięcej piwa produkował browar karwiński hr. Larisch-Mönnicha, a mianowicie przeszło 100.000 hektolitrów, na-



Stonawa. Dom Robotniczy

stępnie browar cieszyński (przeszło 90.000 hl). Trochę tego piwa wywożono, ale jeszcze więcej wwożono z innych stron. W r. 1904 spożycie piwa wynosiło 60 litrów na głowę ludności. W ten sposób jęczmień i kartofle stawały się produktem wybitnie przemysłowym, osobliwie w wielkich majątkach.

Mniejsze powodzenie miały w Cieszyńskiem cukrownie. Dla cukrowni w Chybiu np. trudno było na miejscu o dostateczną ilość odpowiednio tanich buraków i dlatego cukrownia ta została przemieniona w rafinerię. W r. 1910 produkcja Chybia wynosiła 70.000 centnarów rafinady, otrzymywanej z surowca sprowadzanego z cukrowni morawskich. Pomimo tych trudności cukier Chybia i Kończyc Wielkich szedł do Włoch, na Lewantę, do Serbii i Rumunii. Z rolnictwem związane były także fabryki oleju, w których przerabiano rzepak na olej i makuchy. Np. kameralna olejarnia w Mostach koło Cieszyna przerobiła w roku 1910 — 131 wa-



Karwina. Biedni bezrobotni przy zbieraniu węgla na hałdach

gonów rzepaku, z czego otrzymała około 4.500 centnarów oleju i 7.938 centnarów makuchów.

Na specjalną uwagę zasługuje l e ś n i c t w o w Cieszyńskiem, gdzie na 2.283 km kw. obszaru przypadało kilkaset kilometrów lasów, osobliwie w górach. Przykładem gospodarki leśnej i przemysłu drzewnego w wielkich rozmiarach była znowu arcyksiążęca komora, która rozporządzała w roku 1910 zalesionym obszarem 52.896 ha, w czym pastwisk i serwitutów było 2.640 ha. W fachowym sprawozdaniu kameralnym powiedziano, że grunt leśny jest w Cieszyńskiem kamienisty i płytki, nie nadający się do krzewienia szlachetniejszych gatunków drzewa, podobnie zresztą jak i ostry klimat nie sprzyja leśnictwu bardziej zróżnicowanemu. Wielkie na ogół opady śniegowe niszczą nie tylko młode drzewa, ale i starszy drzewostan. Góry zalesione są przeważnie świerkami, jodłami i bukami.

Racjonalną gospodarkę leśną zaprowadzono dopiero przed stu laty mniej więcej. Rozwojowi leśnictwa sprzyjał rozwijający się wtedy w szybkim tempie przemysł górniczy i hutniczy, potrzebujący dużo drzewa. Spożycie drzewa wzrastało także w miarę rozbudowy dróg i kolei żelaznych w Cieszyńskiem. Przemysł drzewny miał wtedy duże obroty. Obok budulca, którego bardzo wiele zużywały kopalnie na stemplowanie sztolni, sprzedawano bardzo dużo drzewa opałowego. W roku 1910 drzewostan lasów kameralnych w Cieszyńskiem obliczano na około 11 milionów metrów sześciennych, w czym 1,700.000 metrów drzewa twardego i przeszło 9,000.000 drzewa miękkiego.

Drzewo opałowe sprzedawano przeważnie na miejscu. Jeszcze dzisiaj małe kaflowe piecyki cieszyńskie tu i owdzie opalane bywają drzewem. Do roku 1912 włącznie w Trzyńcu zużywano rocznie 16.000 metrów sześciennych buczyny przy destylacji kwasu octowego. Prócz tego destylowano z drzewa dużo alkoholu metylowego. Nawet młody drzewostan nie marnował się w razie uszkodzenia go np. przez opady śniegowe, ale szedł do Węgier w postaci podpórek, potrzebnych w winnicach. W Cieszynie istniał już dawno przemysł drzewny i tu wyrabiano m. i. łupki bukowe dla szczotkarzy, szewców itp. Budulec i drzewo stolarskie wędrowały daleko poza granice Cieszyńskiego, do Niemiec i Holandii, zaś meble z drzewa giętego, wyrabiane w różnych miejscowościach Cieszyńskiego, roz-

chodziły się po całej Europie, docierając do krajów pozaeuropejskich, osobliwie Azji (Indii i Chin), do Afryki z jej wyspami i Australii. Tak samo racimowska celuloza znajdowała zbyt w wielu krajach Europy.

Rzecz prosta, że przy takim wzmaganiu się przemysłu drzewnego trzeba było budować drogi leśne, stwarzać dogodną komunikację, bez której żaden współzawodniczący przemysł ostać się nie może. W arcyksiążęcej komorze zaczęto drogi leśne budować już w r. 1870 i do r. 1910 zbudowano ich 125 kilometrów. Ciekawe, że te drogi bite i makadamizowane budowano kosztem od 4 do 12 koron austriackich za metr długości drogi. Niebawem wszakże zarząd komory zaczyna się skarżyć, że ten przemysł górniczy, który zapewnił wspaniały rozwój przemysłowi drzewnemu, odciąga mu siły robocze: robotnik jest coraz droższy i coraz trudniej o niego. Liczne tartaki, które powołała do życia dobra koniunktura przemysłowa, odczuwają niebawem konkurencję węgla i drzewo opałowe przestaje być produktem poszukiwanym.

Chyba nigdzie na świecie rzemiosło nie przemieniło się tak organicznie w przemysł, jak tutaj. Miejsce dawnych sukienników i płócienników zajmują zakłady przemysłowe, których produkcja rośnie z roku na rok, znajdując dla siebie coraz rozleglejsze rynki zbytu. Do Bielska szły wielkie transporty wełny amerykańskiej i australijskiej, a stamtąd rozchodziły się sukna, sukienka, chustki kolorowe, tkaniny „tureckie", wyroby dziewarskie, trykoty itp. po państwach bałkańskich, po całej Lewancie, Persji, Indiach, Egipcie, Tunisie. Z Cieszyna szły księgi handlowe w daleki świat na południe i wschód, a bibułki bielskie trafiały nawet do najbardziej uprzemysłowionego kraju — Anglii. Wyroby hutnicze, koks i różne przetwory chemiczne szły do Rosji, na Bałkany, do Niemiec. Cieszyńskie prócz wełny przerabiało len (Cieszyn i Jabłonków), a stołowizna jabłonkowskich tkaczy miała ustaloną od dawna sławę; bawełnę, konopie i jutę przerabiał Frydek.

Każde z rękodzieł ludzkich zadomowione było w Cieszyńskiem już od bardzo dawna i każde z nich przemieniało się stopniowo, w sposób naturalny, w odpowiedni przemysł. Nic więc dziwnego, że olbrzymi przemysł węglowy, który na malutkie Cieszyńskie zwrócił i zwraca stale oczy całego świata, ma u swoich za-

czątków ubogiego kowala, Jana Keltyczkę, który około roku 1770 otrzymuje prawo kopania węgla kamiennego, ale nie posiadając odpowiedniego kapitału, wyzbywa się tego prawa na rzecz hr. Wilczka, w r. 1778 czy 1779. W tym samym mniej więcej czasie zaczyna kopać węgiel hr. Jan Larisch, ale praca idzie niesporo, bo przemysłowi brak jeszcze przesłanek technicznych dla wielkiego rozmachu. Węgiel dobywano z ziemi z głębokich dołów przy pomocy kubłów na linie kołowrotu. Pomimo tych zniechęcających trudności, przemysł górniczy rozwijał się coraz potężniej w różnych miejscowościach Cieszyńskiego i Opawskiego. Zrazu wydobyto tego węgla niewiele. Czterolecie pracy górniczej w Polskiej Ostrawie (1790—1794) dało zaledwie 40.000 centnarów metrycznych.

Ale w wieku XIX nastaje potężny rozmach. W r. 1819 wydobyto w Orłowej i Karwinie 117.658 centnarów, w 1814 w całym Cieszyńskiem 1,113.590 centnarów, w r. 1850 — 2,545.000 q, w r. 1856 — 4,688.128 q, a w r. 1892 36,935.416 q wartości 13 milionów guldenów. Sama Karwina i Pietwałd dały w r. 1892 — 4,687.036 q, a w r. 1895 — 5,500.000 q. Niebawem produkcja węgla podnosi się tak dalece, że centnar przestaje być miarą statystyczną i miejsce jego zajmuje dziesięćkrotnie większa tona, czyli 1000 kilogramów. W r. 1914 rewir węglowy ostrawsko-karwiński daje 9,359.787 ton węgla i 2,124.569 ton koksu. Produkcja wzrasta bez-

Rychwałd Czeska szkoła wydziałowa




Dr Wacław Olszak, b. burmistrz Karwiny

ustannie aż do r. 1929, kiedy osiąga 12,500.000 ton węgla i 3,118.000 ton koksu. Jeśli pomnożymy tony. wydobyte w roku 1929 w zagłębiu ostrawsko - karwińskim przez kcz 108, czyli przeciętną wartość tony węgla, to otrzymamy sumę kilkunastu miliardów koron czsł. Od roku 1929 zaczyna się kryzysowy spadek produkcji węgla, któremu towarzyszy nieuniknione bezrobocie. W r. 1934 produkcja węgla spadła do 7,504.900 ton i 1,291.000 ton koksu.

Równocześnie z olbrzymim przemysłem węglowym rozwija się w Cieszyńskiem hutnictwo z produkcją bardzo zróżnicowaną i dużym eksportem. Budowano huty w różnych miejscowościach, w Ustroniu i Baszce, ale ostatecznie skupiono całe hutnictwo w Trzyńcu, gdzie już wcześnie pomyślano nie tylko o potrzebach wielkiego przemysłu, ale także o rozległym i nigdy nienasyconym rynku gospodarstwa domowego, osobliwie zaś kuchni, potrzebującej stale naczyń różnorodnych.

Rzecz prosta, że zakątek ziemi, gdzie dokonywały się przemiany tak doniosłe, a zarazem tak szybkie, musiał zwrócić na siebie

uwagę wielkiego kapitału. W r. 1844 baron Mattencloit nabywa Orłowę i Łazy, ale i on nie posiada dość pieniędzy na racjonalne eksploatowanie kopalń. Salomon Rothschild, z wiedeńskich Rothschildów, pożycza mu na korzystnych warunkach 75.000 guldenów, ale Rothschildowie spostrzegają dość rychło, że zagłębie jest niewyczerpanym źródłem bogactwa i kupują Dąbrowę, a zarazem od barona Mattencloita odkupują części Orlowej i Łazów. Za obie te części zapłacił Rothschild $^{1}/_{2}$ miliona koron, a wreszcie, w roku 1902 nabył nawet zamek orłowski za 160.000 koron. Resztę majątku Mattencloita w Orłowej i Łazach wraz z posiadłościami jego w Średniej i Dolnej Suchej kupili Guttmannowie za 1,257.000 koron.

Ten potężny rozmach zagłębia ostrawsko-karwińskiego idzie ręka w rękę z konieczną rozbudową dróg i kolei żelaznych. Razem z kapitałem światowym zbiegły się w Cieszyńskiem największe linie kolejowe Europy wschodnio-środkowej i południowej. Te wielkie linie międzynarodowe, przebiegające przez Cieszyńskie, mają odpowiednie rozwidlenia wewnątrz kraju. Linia wiedeńsko-krakowska, idąca przez Bogumin, powstała w r. 1850; w r. 1867 zbudowano linię koszycko-bogumińską, a w r. 1870-71 oddano potrzebom komunikacji kolej, biegnącą wzdłuż Ostrawicy, od Ostrawy do Frydlantu, rozbudowaną później w kierunku południowym i południowo-zachodnim. Wreszcie w r. 1882 powstała linia, łącząca cieszyńskie Bielsko z morawskim Kojetinem. Dzisiaj między obiema liniami kolejowymi, przebiegającymi wzdłuż Olzy i wzdłuż Ostrawicy, istnieją przecznice, łączące Cieszyn Czeski z Morawską Ostrawą i z Frydkiem. Między linią cieszyńsko-bogumińską (częścią trasy Bogumin-Koszyce) a linią cieszyńsko-ostrawską istnieje wiele linii krótszych, łączących wszystkie miejscowości zagłębia karwińskiego. Do tej iście pajęczej sieci kolejowej włączono także Frysztat, którego bojaźliwi ojcowie miasta nie chcieli, aby linia kolejowa krakowsko-wiedeńska przechodziła zbyt blisko ich stodół, bo mogłaby je podpalić iskra, strzelająca z lokomotywy. Prócz linii kolejowych ma Cieszyńskie wspaniałe drogi bite po obu stronach Olzy, że wspomniemy tu choćby o drodze, wiodącej z Wisły do Istebnej przez Kubalonkę albo o drogach z Cieszyna Czeskiego do Morawskiej Ostrawy, Frysztatu, Jabłonkowa i dalej na Mosty przez przełęcz Jabłonkowską w Czadeckie i na Zwardoń w naszym już Żywieckiem.

Cały rozmach gospodarczy Cieszyńskiego trzeba oczywiście zmodyfikować odpowiednio do współczesnej autarkizacji państw i narodów, biorąc także pod uwagę permanentny kryzys gospodarczy całego świata i co najważniejsza, fakt podzielenia Cieszyńskiego między dwa państwa: Polskę i Czechosłowację. Zaolzańska część Cieszyńskiego należy do innego systematu gospodarczego i kulturalnego: tam właśnie, za Olzą, otwiera się szeroko ku Zachodowi rozwarta Brama Morawska, a sławna przełęcz Jabłonkowska prowadzi w słowackie góry i na równinę Pannońską. Tam też nad miernym rolnictwem i jeszcze mierniejszą hodowlą bydła, wszechstronnie dominuje przemysł górniczy i hutniczy, objęty dzisiaj falą światowego kryzysu, który najbardziej daje się we znaki rzeszom robotniczym.

Zresztą kryzysy bywały już dawniej zjawiskiem niejako stałym i miały nawet określony rytm. Już dawniej więc robotnik myślał o samopomocy gospodarczej, a jedną z postaci tej samopomocy były spółdzielnie spożywcze, mające na celu wyłączenie pośrednika między wytwórcą a spożywcą. Wprawdzie nikt nigdy nie kwestionował pożyteczności spółdzielni robotniczych, ale mimo to spółdzielnie miały wszędzie do pokonania dwóch przeciwników swej idei: aktywność zorganizowanego kupiectwa i bierność mas ludowych.

Podczas wędrówek po Zaolziu wszędzie widuje się sklepy Centralnego Stowarzyszenia Spożywczego dla Śląska w Łazach. Są to rozdzielnie wytwórni i składów tego Stowarzyszenia. Mieszczą się one na ogół we własnych domkach, gdzie obok sklepu jest mieszkanie dla sklepowego. Na każdym sklepie jest numer bieżący. Kiedy w Ligotce Kameralnej, nie mającej oświetlenia elektrycznego, kupowałem świece, to wszedłem do sklepu Stowarzyszenia łaziańskiego z numerem 118 na szyldzie. Spółdzielnia zapoczątkowana i kierowana przez robotników, a mająca sto i kilkanaście filii, zasługuje na żywą uwagę.

Ze sprawozdania jubileuszowego dowiedziałem się, że Stowarzyszenie Spożywcze powstało w Łazach w roku 1905, a jego założycielami byli łaziańscy robotnicy. Trzydzieści lat istnienia i wspaniały rozwój! Jakże się to stało, że Stowarzyszenie to mogło utrzymać się przy życiu, a nawet rozwinąć się tak nieoczekiwanie, gdy tyle in-

nych stowarzyszeń podobnych upadało jedno po drugim, w Królestwie, w Małopolsce, na Śląsku?

Otóż robotnicy łaziańscy potrafili wykorzystać smutne doświadczenia swoich poprzedników, umieli być mądrzy po szkodzie. Szli naprzód powoli, nie spiesząc się, od razu usuwali z drogi każdą przeszkodę, która mogła nabrać większego znaczenia dla ich instytucji samopomocowej i potrafili być nieubłagani, gdy zachodziła potrzeba po temu. Wiadomo, że stowarzyszenia spożywcze upadały zazwyczaj skutkiem swej „życzliwości" dla niezamożnych czy nawet ubogich spożywców, udzielając im takiego kredytu, że jego ciężar przytłaczał wreszcie instytucję i miażdżył ją. Jedną z zasad, którą w interesie spożywców stosować tu zaczęto, było: nie udzielać żadnego kredytu i to nikomu. Zrazu sklepowi udzielali go na własną odpowiedzialność, ale wreszcie i ta postać kredytu została zakazana. To podniosło ogromnie zasoby gotówki w Stowarzyszeniu i umożliwiło mu sprzedawanie najróżniejszych towarów po cenach naprawdę konkurencyjnych.

Łaziańskie Stowarzyszenie, stanąwszy mocno na własnych nogach, skupywało spożywcze stowarzyszenia pomniejsze, które skutkiem różnych trudności i braku doświadczenia ich założycieli, bliskie były upadku. Następnie do Stowarzyszenia tego przyłączały się inne pomniejsze spółdzielnie już z dobrej i nieprzymuszonej woli, dla własnego dobra. Budowano magazyny i domy na sklepy, rozwijano wszechstronnie działalność i dzisiaj Stowarzyszenie ma własną wielką masarnię w Łazach, młyn w Cieszynie, piekarnię i liczne magazyny towarów najróżniejszych, które spożywcom, członkom i obcym, udostępnia w 118 własnych sklepach.

Przed laty 20, gdy Stowarzyszenie łaziańskie spoglądało z zadowoleniem na swoją dziesięcioletnią działalność, poseł Reger w broszurze, wydanej z tej okazji, napisał między innymi parę zdań o znaczeniu ogólniejszym, które warto dzisiaj przypomnieć, bo charakteryzują one warunki życia robotnika śląskiego przed laty kilkudziesięciu.

„Zarobki odpowiadały dawnym warunkom — są słowa posła Regera: — wynosiły one od 20 do 60 reńskich za całomiesięczną pracę. Wypłaty odbywały się jednakowoż bardzo nieregularnie, raz na 4 lub 5 tygodni, zależnie od humoru kierownika kopalni i zale-

żnie od tego, czy odbiórkę dokonanej roboty wykonano i czy ją już zliczono. Najgorszym jednak było to, że nigdzie i prawie nigdy wypłata nie była uiszczana w całości gotówką. Na każdym bowiem szybie istniał sklep spożywczy, prowadzony przez zarząd kopalni, zwany „konsumem werkowym". Wobec niewystarczających do życia zarobków i nieregularnych wypłat, wszyscy robotnicy byli stale zadłużeni w owych konsumach werkowych, których najgłówniejszym i najważniejszym artykułem sprzedaży była wódka. Kto nie chciał brać wódki, ten nie dostał też na kredyt ani chleba, ani słoniny, ani soli, ten mógł umrzeć z głodu i nikt się nad nim nie ulitował..."

Ten stan rzeczy był właśnie powodem, dla którego robotnicy zakładali własne stowarzyszenia spożywcze. Zdobywanie doświadczenia kosztowało ich bardzo drogo, ale ostatecznie umiano z tego doświadczenia skorzystać i ofiary nie poszły na marne. W r. 1905 Stowarzyszenie miało dwa sklepy, dzisiaj ma ich około 120; członków miało 300, dzisiaj liczy ich 14.595; obrót roczny przed laty trzydziestu wynosił 92.159 koron austr., dzisiaj dochodzi on do 30 milionów koron czsł. Dodajmy jeszcze, że przed nastaniem obecnego kryzysu, czyli w r. 1929 obrót jego dochodził do 43 milionów koron czsł. Wartość realności Stowarzyszenia w r. 1905 nie przekraczała 10 tysięcy koron austr., gdy dzisiaj wynosi ona około 7 milionów koron czsł. Zaczęto pracować przy pomocy udziałów członkowskich w wysokości około 5 tysięcy koron austr., dzisiaj te udziały wynoszą około 3 milionów koron czsł. Fundusz rezerwowy wynosił w r. 1905 zaledwie 362 korony austr., dzisiaj wyraża się on w sumie 1,302.015 koron czsł. Od r. 1919 istnieje przy Stowarzyszeniu fundusz pogrzebowy, który obecnie dochodzi do 200 tysięcy koron czsł. Gospodarka była tu zawsze zręczna, sumienna, ostrożna i dobrze kontrolowana i dlatego w r. 1921 nadwyżka bilansowa doszła do wysokiej sumy 306.793 koron czsł.

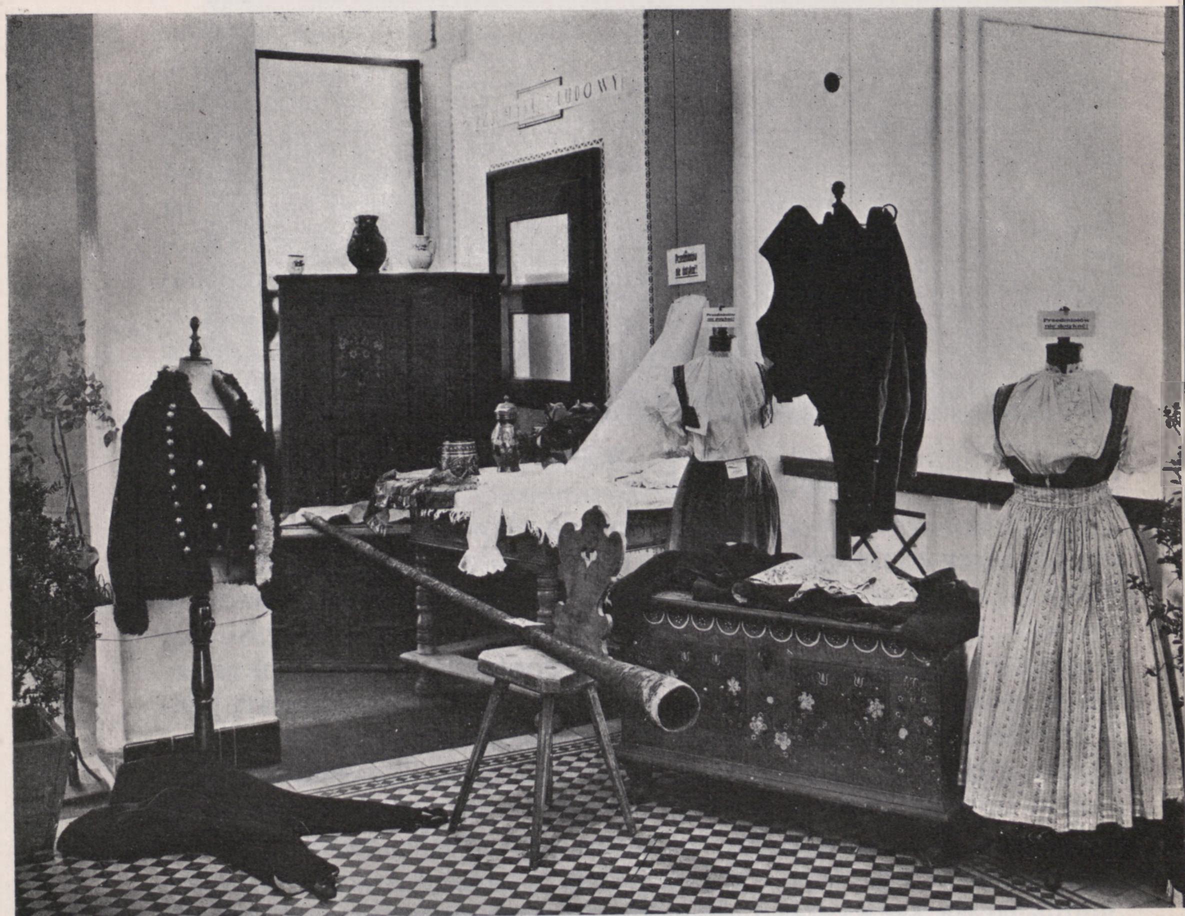
Istnieje w Zaolziu Związek Spółdzielni Polskich, do którego według sprawozdania z r. 1933 należało: 67 spółdzielczych kas systemu Raiffeisena, 3 kasy zaliczkowe z nieograniczoną poręką, 2 kasy zaliczkowe z ograniczoną poręką, 2 spółki rolniczo-handlowe, 7 spółdzielni spożywczych, 6 spółdzielni elektryfikacyjnych, 2 spółdzielnie mleczarsko-jajczarskie, 9 spółdzielni i stowarzyszeń

innych. Spółdzielcze kasy oszczędności i zaliczek znajdują się w 66 miejscowościach Zaolzia od Boconowic aż po Żywocice i operują dziesiątkami milionów koron. Takimi samymi sumami operują kasy zaliczkowe, do których należą: Bank kredytowy w Jabłonkowie, Bank rolniczy i robotniczy we Frysztacie, Towarzystwo oszczędności i zaliczek w Cz. Cieszynie (z 8 filiami: w Nowym Bogumínie, Dąbrowie, Frysztacie, Jabłonkowie, Orłowej, Suchej Dolnej, Trzyńcu, Błędowicach Dolnych), Przemysłowa Kasa kredytowa w Błędowicach Dolnych i Kasa zaliczkowa w Morawskiej Ostrawie. Spółka rolniczo-handlowa „Ziemia" bilansowała w r. 1934 sumę około 2 milionów koron czsł. Obok wymienionych istnieją i rozwijają się pomyślnie: Polski Dom katolicki we Frysztacie, Towarzystwo Domu narodowego w Cz. Cieszynie i inne.

Najwspanialej rozwinęło się Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek w Cz. Cieszynie, które w r. 1935 wydało 62 sprawozdanie ze swej owocnej i wysoce pożytecznej pracy. I tu widzimy typowo śląską wytrwałość i upór w stopniowym ostrożnym posuwaniu się naprzód. W roku założenia, czyli 1874, Towarzystwo miało 257 członków; po 60 latach istnienia miało ich około 5.000. W roku założenia bilansowało 59.387 koron austr., w roku 1934 czyli w 60 roku istnienia: 40,740.696 koron czsł., zaś w r. 1931 bilans zbliżał się do 57 milionów koron czsł. Jedna z publikacji czeskich, omawiająca życie gospodarcze żywiołu polskiego w Zaolziu, powiada: „Największym towarzystwem, należącym do Związku spółdzielni polskich w Cz. Cieszynie, jest Towarzystwo oszczędności i zaliczek, które wybudowało własnym kosztem reprezentacyjny gmach w Cz. Cieszynie. Jest to olbrzymia budowla „Polonia", która kosztowała 8 milionów koron czsł." Istotnie „Polonia" jest gmachem wspaniałym i godnie reprezentującym gospodarczą dojrzałość i dzielność Polaków zaolzańskich. Na czele tej pożytecznej instytucji stoją obecnie trzej znani obywatele: Jan Ofiok, Paweł Mamica i Jan Górniak.

Na specjalną uwagę poza wymienionymi zasługuje także Towarzystwo rolnicze, mające w Zaolziu 58 oddziałów miejscowych i tworzące sekcję Śląskiej Rady Rolniczej. Zadaniem tego rozgałęzionego Towarzystwa nie jest tylko obrona interesów materialnych jego członków, lecz także pogłębianie ich wiedzy fachowej.

Rolnictwo w Czechosłowacji stoi na wysokim poziomie kulturalnym i gospodarczym i dlatego rolnicy muszą dążyć bezustannie naprzód, aby nie dać się zdystansować we współzawodnictwie dnia dzisiejszego. W Czechosłowacji istnieje państwowy monopol zbożowy dla ochrony rolnictwa. Zaciekawia nas, że ten monopol państwowy płacił w roku 1935 za kwintal pszenicy około 160 koron, za żyto około 123 koron, za jęczmień od 108 do 124 koron i za owies około 113 koron. To znaczy, że pszenica kosztowała w Czechosłowacji 32 złote kwintal, żyto około 25 złotych, jęczmień od 22 do 25 złotych, a owies 22—23 złote.



Fragment wystawy kulturalno-oświatowej z r. 1927 w Cz. Cieszynie. Stroje i sprzęty śląskie

STRÓJ LUDOWY, CHATA I SPRZĘTY

Strój ludowy od samego początku był czymś odświętnym i wyjątkowym, dalekim od dnia powszedniego. Był właśnie strojem i różnił się od zwykłego ubioru dnia powszedniego, a zarazem był przejawem pewnej zamożności i wraz z zamożnością zanikał. Wybitnie odświętne cechy miał i ma strój wałaski — właściwie już tylko kobiecy — i strój jabłonkowski z akcentem na męskiej połowie tego stroju.

To, co się nazywało strojem l a s k i m, nie zwracało na siebie uwagi żadnymi cechami osobliwymi. Na starych fotografiach rodzin laskich widujemy statecznych ojców w sukiennych czarnych surdutach, w takich samych spodniach, spuszczonych na kamaszki albo wpuszczonych do cholew butów. Na szyi chusteczka jedwabna pod składanym kołnierzem od koszuli, zawiązana jako długi krawat, na głowie kapelusz miękki o dość szerokich polach, oto wszystko. Kobiety ubierały się w suknie szerokie i fałdziste, z materiału bodaj niebardzo drogiego, i w białe bluzki o rękawach bufiastych. Na głowie *szatka* zawiązana pod brodą w misterny węzeł, przez rękę przerzucona *chacka*, czyli rodzaj guńki miękkiej z frendzlami, czy też *łoktusza* o nieco jaskrawszych barwach, przypominająca chustki wełniane, jakie noszą nasze wieśniaczki i robotnice na dzień powszedni, to strój kobiety laskiej.

Na miano stroju w całym znaczeniu słowa zasługuje wałaski strój kobiecy i jabłonkowski strój męski. Ale i tu istnieją wybitne różnice. Podczas gdy strój w a ł a s k i wywiera wrażenie dziwnie swojskie, ujmujące i pełne jakiegoś statku, strój jabłonkowski bije w oczy egzotyzmem i — rzekłbyś — popisowością. Jabłonkowianin w swoim stroju zdaje się być odziany w pychę, natomiast Cieszynianka w swoim stroju odświętnym ma w sobie coś obrzędowego, jak gdyby strojem swoim składała hołd nie tylko świątecznemu dniowi odpocznienia, ale całemu życiu, pełnemu pracy, powinności i tajemnic. Istotną częścią tego stroju jest suknia ciemnej barwy z obowiązkową *galonką,* czyli szlakiem z błękitnej wstęgi u spodu. Suknia bywa zazwyczaj z dobrego trwałego materiału, dostatnia, można by rzec: bogata. Łączy się ona z misternym *żywotkiem* i wisi na jego *ramiączkach.*

Ten żywotek cieszyński, czyli jak byśmy powiedzieli z cudzoziemska po krakowsku, gorsecik, godzien jest zaiste pięknego i bogatego dzieła, jakie poświęciła mu Agnieszka Dobrowolska. Czterdzieści i dwie plansze tego dzieła odtwarzające żywotki cieszyńskie, a poprzedzone zwięzłą rozprawą o hafcie ludowym i zasięgu żywotka, zasługują na podziw każdego miłośnika sztuki ludowej. Aksamity różnokolorowe żywotków ze swoim zdumiewającym realizmem roślinnych motywów haftarskich, wytworne galony, złote lub srebrne, przypominają stroje pań francuskich z czasów rokoka.



Koronki cieszyńskie. Muzeum Śląskie w Katowicach

Posiadanie możliwie pięknego żywotka ze wszystkim, co do niego należy, jest dla Cieszynianki punktem honoru. Ponieważ jej strój jest dość drogi, przeto powstaje on nieraz etapami. A więc dziewczyna kupuje za posiadane akurat pieniądze kawałek aksamitu i oddaje go hafciarce, aby jej zrobiła *oplecka*, czyli części tylne żywotka, najważniejsze i najładniejsze. Gdy później może już dorabiać „przedniczki", zdarza się, iż nie ma takiego samego aksamitu i trzeba zadowolić się podobnym lub nawet innym co do gatunku i barwy. Stąd spotykana nieraz wielobarwność żywotków, która mogła być wprawdzie dowolna, ale najczęściej bywała zapewne mimowolna.

Po zdobyciu oplecek i przedniczek, przychodzi kolej na wybór galonów i w ten sposób całość powstaje niekiedy dość długo. W żywotku cieszyńskim mieszczą się nie tylko elementy estetyczne, ale i psychologia kobiety cieszyńskiej. Taki żywotek to zawsze symbol wielkiej pracowitości, oszczędności i zapobiegliwości Cieszynianki, a przede wszystkim jej upodobań i wierności dla tradycji. To też gdy Cieszynianka stroi się w swój piękny żywotek, suknię, zapaskę i w owe łańcuszki srebrne, a nawet złote, które tworzą część tego stroju, to wygląda tak, jakby się wystroiła w najosobistszą dzielność. Jej strój jest widomym i nieomylnym znakiem obyczajności i poszanowania tego, co jej w spadku przekazały matka i babki.

Do wałaskiego stroju należy fałdzista „szumna" suknia, a przede wszystkim szeroki fartuch, z ładnego wzorzystego atłasu.

albo jeszcze lepiej, jedwabiu. Kolorowy i pięknie haftowany żywotek ma doskonałe tło w białym *kabotku*, czyli w bluzce o bufiastych rękawach, spiętych nad łokciami. Kabotek zapina się ładną broszką pod samą szyją. Zamożne Ślązaczki noszą do tego stroju szerokie srebrne paski z łańcuszków, poprzetykane niekiedy rozetkami z ogniw złotych. Dodajmy do tego łańcuszek od zegarka, srebrny lub złoty zegarek, noszony za przedniczką żywotka, a wreszcie zawieszkę na piersi zestrojoną srebrem lub złotem ze stylem paska, a otrzymamy całość naprawdę piękną. Sznurki od jedwabnego fartucha kończą się szerokimi wstęgami zawiązanymi z przodu w dużą kokardę i zwisającymi aż poza kolana. Dziewczęta chodzą w tym stroju z włosami, splecionymi w dwa warkocze i spuszczonymi na plecy. Nazywa się to nosić włosy ze *splatką*, czyli wąską wstążką wplecioną w warkocz. Niekiedy ta wąska wstążka wiąże do włosów szeroką wstęgę, ułożoną w ładną kokardę.

Taki strój sprawia sobie dziewczyna śląska sama i nie trzeba dodawać, że ponieważ jest on dość kosztowny, przeto nie może być zarzucony przez właścicielkę, gdy ta wychodzi za mąż, chociaż tradycja wymaga innego stroju dla dziewcząt, a innego dla mężatek. Ślązaczki zamężne, czyniąc zadość temu tradycyjnemu wymaganiu, nie chodzą z głową odkrytą, jak dziewczęta, ale noszą białe czepki, a na nich zależnie od pory roku tak zwane *szatki*, czyli chustki jedwabne lub wełniane, związane misternie pod brodą. Spod chustki musi obowiązkowo wystawać koronkowy naczółek czepka, zwany *rozumkiem*. Ślązaczka ceni ten strój i oszczędzając go, przechowuje troskliwie z roku na rok, aby go wreszcie przekazać córce Czynnik estetyczny łączy się tu z czynnikiem gospodarczym i stwarza nie tylko historię żywotka cieszyńskiego, lecz i jego psychologię i ekonomię. Nawet gdy strój ten nie jest uzupełniany wspomnianymi paskami i nawieszkami srebrnymi czy złotymi, jest on kosztowny, bo jeśli sprawia go sobie dziewczyna uboga, to wkłada weń dużą część swego mienia. Dlatego przechodzi on z rąk do rąk, z pokolenia w pokolenie, utrzymując się dotychczas od Olbrachcic, Cierlicka, Trzanowic, Gnojnika, Ligotki, Rzeki i Boconowic po tamtej stronie Olzy aż po Istebną, Wisłę, Brenną, Jaworze, Stare Bielsko, wzdłuż Wisły od Zabrzegu po Zabłocie, a stamtąd przez Kończyce aż do okolic Pogwizdowa.



Polska Lutynia
Kapliczka
przydrożna

Agnieszka Dobrowolska w pracy swej starała się ustalić także historię żywotka cieszyńskiego i stwierdza, że jego haft jest wytworem ducha Zachodu. Z miejskich ksiąg cieszyńskich wypisuje autorka rzeczy dla miłośników kultury ludowej wzruszające. Oto m. in. pod datą 2 X 1597 znajduje się w tych księgach opis puścizny po Fabianie Reissie, z której sieroty po nim otrzymały między innymi jedną koszulkę, jeden kabotek, dwa czepce wyszywane. Pod datą 15 X 1601 czytamy: „Wdowa po Charwacie, mieszczaninie cieszyńskim, bierze za męża Pawła Chylka, który obowiązuje się starać o sieroty i dać im gdy dorosną — *sukni uterssinowu, druhu śamlatowu, trzeti barchanowu, trzi opliczki, jeden aksamitowy. druhy tabinowy, trzeti tupeltikitowy, pas strzebrny, kteryśby za 15 R (reńskich) stal, kożich śamlotowy hralikowy futrem podssity*" itd. Na innych stronicach tych samych ksiąg znajdują się przy takich samych sposobnościach zapisywane: żywotki, opliczki, strzybne pasy. Zapiski te, przekazane nam w ówczesnym urzędowym języku czeskim, są ciekawe pod niejednym względem. Przede wszystkim wyraża się w nich pewien ład i porządek, dbałość o zabezpieczenie sierot, aby ojczym nie mógł ich pokrzywdzić. Druga rzecz: spotyka-



Strój jabłonkowski

my w nich nazwiska przeważnie polskie: Charwat, Chylka, Chorzak, Mazanowski, Pęczek, Chałupka, Władyga, Olszowski.

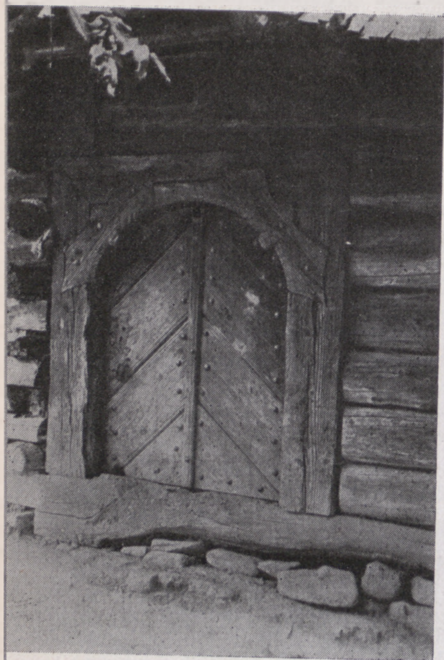
Wobec tego stroju wałaskiego tak bogatego pod każdym względem, strój laski jest, a raczej był, dopóki istniał, bardzo ubogi i pozbawiony jakichś rysów charakterystycznych. Do zaniku tego stroju przyczyniło się zapewne w mierze niemałej i to, że region jego jest rewirem węglowym, gdzie przemysł ze swoją techniką zniwelował całe życie laskie w sensie nie tylko już urbanistycznym, ale kosmopolitycznym. Jeśli o cieszyńskim stroju kobiecym można powiedzieć, że nie traci on na aktualności, ale przeciwnie, aktualizuje się przy ożywającym regionalizmie, o stroju laskim należy mówić jako o zjawisku mijającym. Rewir przemysłowy, urbanistyczny i kosmopolityczny nie sprzyja rozwojowi jakiegokolwiek regionalizmu.

Podobnie ma się rzecz ze strojem jabłonkowskim: jest on przestarzały i egzotyczny, przynajmniej w swojej połowie męskiej. To nie strój, ale raczej uniform wojskowy, ściślej, kawaleryjski. Krótka kurtka w kolorze ciemnego granatu, podbita futrem i ozdobiona srebrnymi guzami i pętlicami ze srebrnych sznurków, z przygodnym płaszczykiem tego samego koloru i tymi samymi ozdobami z guzików i pętlic, to raczej przebranie, niż strój. Do tego spodnie w takim samym kolorze, obcisłe, zapuszczane w cholewy lśniących butów, i kołpak futrzany na głowie, czynią z Jabłonkowian

w takim stroju postacie podobne do strzelców z otoczenia króla Jana Sobieskiego na jednym z bardzo popularnych obrazów Brandta. Kurtki te nazywają się tu *mentyczkami*, a buty o lśniących wysokich cholewach *kordybanami*. Jabłonkowianin tak bardzo lubił srebrne guzy, że nawet laskę, uzupełniającą jego strój, zaopatrywał w srebrną gałkę. Natomiast strój Jabłonkowianek jest wobec przepychu stroju męskiego bardzo prosty; utrzymany w tonie białym, nie odznacza się niczym osobliwym w międzynarodowym schemacie kobiecych ubiorów. Gorsecik Jabłonkowianek nie może się równać z żywotkiem cieszyńskim, a nakrycie głowy czyli *drak*, swoim welonikiem spadającym na plecy, przypomina nieco strój Włoszek z okolic Neapolu. Egzotyzm i przestarzałość tego stroju uwydatnia się anachronicznie, gdy np. w większej grupie weselnej obok weselników w kostiumach tak marsowych, widzimy raptem solidnych panów w nienagannych żakietach i cylindrach.

Strój ludowy zanika w Cieszyńskiem tak samo, jak we wszystkich innych krajach przemysłowych. Miał on podstawę w ścisłym zespoleniu człowieka z pewnym kawałkiem ziemi. Tu ubierano się tak, owdzie inaczej. Ale rozwój przemysłu przyniósł ze sobą istną wędrówkę ludów. W Cieszyńskie wtargnęła fala imigrantów z Małopolski, Moraw i Czech w innych strojach, z innymi obyczajami. Cieszyniak musiał także niekiedy wędrować daleko za kawałkiem chleba i w środowisku obcym strój jego tracił nie tylko rację, ale i prawo bytu. Jeszcze niedawno kronikarze niemieccy podkreślali piękno stroju wałaskiego kobiet i mężczyzn. Były to czasy kamizol z dobrego sukna, które dziedziczyły się nieraz w paru pokoleniach, i czasy butów ze lśniącymi cholewami i jedwabnymi chwościkami u górnej części cholewy wyciętej z przodu w serduszko. To już jest przeszłość bezpowrotna.

Istnieje jeszcze strój, a raczej ubiór g ó r a l s k i, podyktowany nie tylko względami natury estetycznej, ale przede wszystkim wymaganiami ciężkiego życia w górach. Odcięty od miasta bezdrożami górskimi, musiał góral być „autarkicznym" pod bardzo wielu względami. Górale sami przędli wełnę swoich owiec, sami tkali potrzebne tkaniny i sami je też ozdabiali. Wtedy strój góralski był nie kaprysem, ale koniecznością. Z chwilą gdy nabudowano dróg i gdy miasto podeszło do górskich osiedli na niewielką odległość, możemy mówić o góralskim stroju, jakim niegdyś był, nie zaś, jakim jest.



Drzwi chałupy śląskiej

Niemieccy kronikarze cieszyńscy opowiadają, że zanim nabudowano kolei żelaznych, przez Cieszyn do Wiednia pędzono wielkie stada bydła na ubój i napędzacze tego bydła, pochodzący z górskich okolic Galicji, ubrani bywali tylko w koszule i „nogawice" z samodziału. Te dwa elementy ubioru góralskiego mają wielowiekową tradycję. Oczywiście, ubiór ten musiał się rozwijać i z czysto praktycznego przemieniał się stopniowo w ozdobny. Koszula do kolan, wyrabiana z grubego płótna domowego, otrzymała później ładny kołnierz (lemiec) składany i podwiązywany kolorową wstążką. Miała ona szerokie rękawy z hafciarskimi ozdobami.

Spodnie góralskie, czyli *nogawice* szyto z tkaniny wełnianej. U dołu spodnie te wybiegały w *kopyce* (kopytka), podobnież z wełny owczej w domu robione. Do nóg przymocowywano te kopyce *nadkonczami*, sznurkami z wełny. Na koszulę wdziewał góral *bruclek*, czyli kamizolę możliwie ze srebrnymi guzikami. Prócz tego zimą i latem odziewał się w gunię wełnianą koloru brunatnego, obszywaną u dołu czerwonymi tasiemkami. Stopień zamożności gazdy uwidoczniano przy pomocy tych właśnie tasiemek: im więcej ich było, tym zamożniejszy był właściciel guni. *Gunia* to rodzaj płaszcza o bardzo szerokich rękawach, ale te rękawy były wyłącznie od parady, bo zarzucano ją na ramiona, a do rękawów nigdy rąk nie wsuwano. Głowę nakrywał góral kapeluszem o dość szerokiej strzesze, czyli *szyrakiem* albo *strełakiem,* a na nogach miał *kyrpce* (zwane też kierpcami) własnego wyrobu ze skóry świńskiej. Przywiązywał je do nóg rzemykami. Kierpce widuje się w okolicach górskich Cieszyńskiego jeszcze dzisiaj, a noszą je młodzi i starzy, nawet ci, co już dawno rozstali się z resztą ubioru góralskiego.

Strój góralki był jeszcze wyłączniej podyktowany względami praktycznymi i dlatego dotrwał do dzisiaj i ma widoki na przyszłość.

Na koszuli z grubego płótna nosi góralka *kabotek*, czyli bluzkę o bufiastych rękawach z płótna cieńszego. Kabotek nazywa się także *szutką*. Góralki zamożniejsze ozdabiają swe kabotki *taclami* czyli haftami koło rękawów, sięgających do łokcia, a taki ozdobniejszy kabotek nazywa się *koszułką* (nie koszulką). Do spinania kabotka pod szyją służy spinka ze srebra albo innego niedrogiego metalu. Nosiły góralki spodnice z płótna domowego i fałdziste sukienki z szeroką galonką u dołu, zazwyczaj niebieską, ale sukienki góralek nie mają żywotków ozdobnych. Jako obuwie i im służą *kyrpce* ze skóry świńskiej, tylko, oczywiście, mniejsze i zwane *kurpieczkami*. Jeśli góralkę stać było na to, nosiła czepiec z koronkami, a na nim chustkę, nazywaną na całym Śląsku Cieszyńskim *szatką*. Dziewczęta czesały się gładko, dbając, aby w samym środku głowy był *rozdziol;* włosy zaplatały w warkocze. Dla osłonięcia się przed niepogodą lub chłodem służyły chusty zwane *kockami* lub *chackami*, albo kolorowe *łoktusze*. Nazwa łoktuszy ma etymologię niejasną, chociaż mocno przypomina słowo niemieckie *Lochtuch* czyli chustkę z otworami na ramiona, rodzajem rękawów, które rękawami nie były.

Gdzieś w Gutach bodaj, niedaleko góry, która zmusza do zastanowienia się nad jej przedziwnie pięknym imieniem *Godula*, widziałem w słońcu białą prościutką kapliczkę cmentarną. Widziana z pewnej odległości zdawała się stać na krawędzi świata, za którą nie ma już nic, tylko wielka jakaś przepaść, w którą opadają zwały obłoków. Co za wzruszające z dzieciństwa przechowane wyobrażenie niebezpiecznej krawędzi świata, która powinna być zabezpieczona deskami, żeby ze świata nikt nie spadł! Ta kapliczka w Gutach stoi mi w oczach jako ostatni na świecie dom, ostatnia strażnica czuwającego człowieka. Ale gdy oczy się podnoszą, aby ujrzeć dalszy ciąg świata, gdy odrywają się od swej złudy stojącej na spadzistej krawędzi ziemi, wtedy zza niewidzialnej doliny wyłania się wizja niespodziewanie piękna. Jakiś cudownie zwiewny rysunek kolorowany przez Dulaca i ilustrujący jedną z baśni tysiąca i jednej nocy, albo z tysiąca i jednego dnia na Śląsku. Polaryzacja światła, ciężar łamiących się promieni słonecznych, czy co? Jakieś napomknienie konturów ziemi i budowli ludzkich, zieleni lasów i pól, szarej przemglonej dali, a jednak dziwnie dosiężnej dla serca. Może to Trza-

nowice, a może Wielopole, czy Żuków. Niech będzie co chce, niech się nazywa jak chce; to na co patrzę, wzrusza do głębi. To jest piękno Domasłowic, Ropicy i Trzyńca, a gdy się odwrócę, spotkam się z Karpętną i Wędrynią i z tyloma jeszcze miejscowościami, których nie podobna nie kochać, takie są piękne w blaskach słońca. Jakby dla pewności serce przepowiada sobie: to jest Śląsk Cieszyński, niewielki kraik pełen niepojętych sekretów, które się odgaduje, ale którym chciałoby się dać imię tak wieloznaczne, jak jest imię Godula.

Czemu Godula? Mogłaby mieć takie imię stara babka o mądrej twarzy, jakby z kamienia wyciosanej, pełnej dobroci i wyrozumiałości. Twarzy, w której odbija się myśl o losie wnuków, o oczach, które wspominają. Widywałem takie twarze na Śląsku: dobroć i mądrość powściągliwa, dyskretna, nie dziwująca się niczemu. Godula... Ale imię takie mogłaby nosić także jedna z tych pięknych księżniczek, dla których rycerze wspinali się na szklaną górę. Osnuty legendą piękna i smutku, miłości i śmierci, stoi pomnik tej Goduli w postaci szczytu górskiego i każe sercu przepowiadać sobie przepiękne i smutne dzieje Goduli. Była sobie niegdyś księżniczka Godula... Dalej już wiemy. Dalej to już jest pieśń nucona półgłosem bez słów, zgoła niepotrzebnych. I to jest znowu Śląsk Cieszyński. część tego samego Śląska, który wydał zamyślonego Böhmego i ekstatycznego Anioła Ślązaka i wsłuchanego w odgłosy śląskiej ziemi Gerharta Hauptmanna. Z beskidzkiego krajobrazu wyszedł też niespokojny duch Zegadłowicza w równej mierze rozmiłowany w pięknie wizji poetyckiej, jak i w wyrazie prawdy.

Ale ten Śląsk, taki prosty i taki bezpośrednio zrozumiały dla każdego wędrowca, choćby przybywającego z okolic najdalszych. bywa też trudny, proteuszowo nieuchwytny, wielokształtny, najeżony przeciwieństwami, podobnymi do jego gór, śród których trzeba niekiedy długo szukać ścieżki prowadzącej ku dolinom i ku zrozumiałym sprawom ludzkim. Lecz w chwilach wybranych można ten kraj odgadnąć dziwnie szybko i wyrazić go niewielu słowy. Bywa to wtedy, gdy wędrowiec wdaje się w rozmowę z rzeczami, które nie odpowiadają i pytań ludzkich nie słuchają, ale pozwalają patrzeć na siebie tak długo, aż ciemna ich tajemnica rozpłynie się w słońcu i przemieni się w jasność rozumienia najgłębszego. Trzeba

tylko umieć stanąć w odpowiednim miejscu wobec c h a t y g ó r a l s k i e j, czy choćby owczarni na poły z kamienia i na poły z drzewa zbudowanej, i przyznać się sobie w pokorze, że nie wiemy, co znaczy na przykład olbrzymi trójkąt ściany szczytowej, szarymi deskami wbudowany w jasny błękit nieba. Podstawę tego trójkąta tworzy linia łączna przydaszka, który jest przedłużeniem strzechy w ścianie szczytowej i bywa schronem przed deszczem i przed spiekotą słoneczną. Odgadujemy łatwo, że ten przydaszek był niegdyś duży, wsparty zapewne na słupach, czy nawet na ścianie ogrodzenia i że tworząc przybudówkę chaty był schronem dla bydła czy też spichlerzem dla rzeczy potrzebnych w gospodarstwie. Gdy później powstawały specjalne budynki gospodarcze i przybudówka stawała się zbędną, pozostał przydaszek jako ozdoba architektoniczna i stając się coraz węższym, przemienił się wreszcie w linię, łączącą końce boków szczytowych trójkąta strzechy.

Ten przydaszek szczytowej ściany musiał się swoim twórcom już od dawna podobać tak samo, jak dzisiaj podoba się nam. Budowano więc nad tym głównym przydaszkiem jeszcze jeden, znacznie węższy, a w miejscu, gdzie wierzchołek strzechy wybiega w ostrze litery A, stworzono malutki, w tył cofnięty przydaszek trzeci, a mianowicie tak, jakby właśnie ostrze litery A złamano i przechylono w tył. Ten prosty pierwotny motyw architektoniczny ma w sobie tyle dziwnego uroku, że nie podobna się nań napatrzeć. Zrodzony ze względów praktycznych, przemienił się z biegiem czasu w motyw artystyczny, w jedną z zagadek wzruszeń, jakich doznajemy przy poddawaniu się tajemnemu urokowi linii i barwy. Czasem zamiast tego najwyższego przydaszka spotykamy na wierzchołku szczytowej ściany chaty śląskiej coś w rodzaju głębokiego kosza o zwężonym dnie i odwróconego dnem do góry. Nazywa się to *kozubkiem* i pociąga ku sobie pięknem iście schopenhauerowskiej bezinteresowności artystycznej. A może było to niegdyś gniazdo, które człowiek dawny, obcujący z bliska z przyrodą, budował dla ptaków, przyjaciół swoich?

Zdaje się, że te chaty góralskie pociągają nas ku sobie bodaj przede wszystkim rysunkiem swoich strzech, układanych bardzo ładnie z *szyndziołów*, czyli gontów. Gdy się na te strzechy spogląda z właściwej perspektywy, linie szyndziołów podobne są do kresek

skośnych, jakimi artysta-rysownik cieniuje swoje szkice. Aż żal się robi, że te improwizacje architektoniczne nie są wykonane w kamieniu, jak prastare budowle miceńskie, ale w nietrwałym drzewie. Od tych chat jako dzieł pierwotnej sztuki budowniczej nie trudno przeprowadzić linie łączne ku wielkim pałacom i świątyniom. Gdybyśmy mieli wykładać dzieje powstania wielkich katedr w Rouen, Reims, Mediolanie czy Kolonii, stylem ewangelisty Jana, to musielibyśmy powiedzieć: na początku były chata, dom człowieka, który walczył, błądził, zwyciężał i bywał zwyciężany, aż wreszcie doszedł do tego, że jako budowca domu człowieczego stał się budowcą świątyni, czyli domu bożego. Na początku były taka właśnie chata, pramacierz najczcigodniejsza piramid egipskich, świątyń babilońskich w Persepolis i Niniwie, Partenonów i Akropolów.

Niedość na tym: ta chata ma wnętrze, a to wnętrze jest bogatym muzeum ludzkich rękodzieł i tworów sztuki. I nie wiem, co trzeba naprzód zobaczyć, czy piękny *powoł* w izbie góralskiej, aby zrozumieć wspaniałość stropów kasetonowych w starożytnych pałacach rzymskich, francuskich i włoskich, czy też trzeba było naprzód widzieć tamte bogate stropy, aby odgadnąć wzruszającą tajemnicę powały w chacie góralskiej. Motywy zdobnicze na belkach sufitowych i układ desek tworzących powałę z ich listwami, przedzielającymi deski, należą w swojej prostocie do najładniejszych pomysłów architektonicznych.

Dopiero w chatach góralskich widzi się na stołach na przykład, jak poprzeczki, łączące dwa krzyżulce, czyli *stołygi*, będące podstawą płyty stołowej, umocowano z gotycką prostotą zwyczajnym klinem. Ten klin staje się z czasem ozdobą, podobnie jak poprzeczka i sameż krzyżulce, które od pierwotnego skrzyżowania dwóch słupków przechodzą ewolucję, zbliżającą je ku linii barokowej. Tak samo jest ze stołkami góralskimi, przypominającymi krzesła; ich *uopiyroki*, czyli oparcia są niewyczerpanym źródłem pomysłów zdobniczych. Łyżniki i solniczki, naczynia drewniane i gliniane to także wytwory niekiedy wysokiej sztuki ludowej, ale najwymowniejszym świadectwem potrzeb estetycznych ludu śląskiego są jego trówły, od najprostszych skrzyń z górnym wiekiem i z prostymi malowaniami frontowymi, aż po wspaniałe komody z drzwiczkami frontowymi i szufladami, i *olmarię* — biorące nazwę od fran-

cuskiego „*armoire*", przy czym jedne i drugie zdobione są zazwyczaj pomysłowymi listwami, malowaniami o motywach roślinnych i bajeczną wprost ornamentyką kantów, przypominającą najładniejsze wytwory meblarstwa rokokowego. Ta kultura materialna ludu śląskiego jest naprawdę wyjątkowo bogata. Człowiek jest tu samowystarczalny pod każdym względem. Sam buduje sobie chatę według własnego planu i potrzeby, wyrabia sprzęty domowe, naczynia kuchenne i co jeszcze ważniejsze, narzędzia potrzebne w gospodarstwie rolnym czy pasterskim. Od prostego szałasu górskiego aż po okazałą chałupę ze wszystkim w niej, co jest potrzebne w życiu powszednim, jest dziełem myśli i rąk tego gazdy, który umie wziąć się do rzeczy zarówno przy majstrowaniu ładnych odrzwi u swej chaty, czy praktycznej *nolepy* kuchennej, czy wreszcie przy rzezaniu misternego czerpaka. Zaś kobiety nie pozostają za gazdami i obok codziennej troski o pożywienie dla rodziny znajdują czas na przędzenie i tkanie, na szycie i plecenie ciepłych rękawic, a wreszcie na robienie pięknych szydełkowych koronek. Tu jest wszystko, co człowiek wytworzyć zdoła w zakresie potrzeb praktycznych i artystycznych, i to nie w postaci pierwotnej, ale w stopniu dużego rozwoju. Aby zmierzyć choć w przybliżeniu pewne odległości rozwojowe w tej dziedzinie, możemy śmiało powiedzieć, że od chaty górala cieszyńskiego do katedry upsalskiej jest nieskończenie bliżej, niż od jaskini do chałupy beskidzkiej.



Fragment wystawy kulturalno-oświatowej z r. 1927 w Cz. Cieszynie. Sprzęty, stroje i naczynia. Na ścianie malowania z trówel śląskich

GWARA ŚLĄSKA I OBYCZAJ LUDOWY

Gwara śląska, czyli to z wielu narzeczy polskich, jakim lud polski mówi na Śląsku, to język polski, różniący się od języka literackiego pewnymi właściwościami regionalnymi, zarówno fonetycznymi, jak składniowymi. Czasem chodzi jedynie o odmienne wymawianie danego wyrazu, jego wokalizację i konsonizację: *a* wymawia się czasem jak *o; e* jak *i; o* jak *ou*, np. w zaimku: ja. Zamiast więc: „Ja tego nie chcę" — słyszymy w ustach Górnoślązaka: *„Jou tygo nie chca"*. Na Śląsku Cieszyńskim bardzo często słyszy się końcówkę *i*, w wyrazach, które w języku literackim i w innych narzeczach mają końcówkę *e*. Np. chodzeni, pocieszeni, stworzeni, sumieni, wiesieli. W oderwaniu od całości zdania każdy z tych wyrazów mógłby być rozumiany jako imiesłów, niektóre, jak sumieni i wiesieli, mógłby nastręczać pewne trudności przy odgadywaniu ich znaczenia, ale gdy słyszymy całe zdanie, że *„Jónek już mo dziouche namówionóm, a po godach bydzie wiesieli"*, to wiemy doskonale o co tu chodzi.

Tak samo jest z upraszczaniem wymowy pewnych skupień zgłoskowych, przede wszystkim zaś z opuszczaniem *g* w takich wyrazach, jak: gdyby. Ślązak mówi: *Dybych jo wiedzioł*... W oderwaniu wyraz *dyby* mógłby być łatwo rozumiany jako pęta czy kajdany, ale w kontekście jest zawsze całkiem jasny i nie wymagający komentarzy. U Ernesta Farnika w „Istych rokach" (Zaręczynach) mamy typową gwarę cieszyńską, której realizm nie omija nawet jawnych czechizmów. Lecz i te czechizmy są dla czytelnika zrozumiałe w kontekście, a przynajmniej pozwalają się domyślać ich znaczenia. Gdy np. Mynarzyk z Jędrkiem we wspomnianych „Istych rokach" wypatrują powrotu Zuzanki, której długo nie widać, Mynarzyk wyraża przypuszczenie: *„Musiała se kansi siednóć; toż bedzie dzieucha unawióno od tego wszyckigo."* Dla polszczyzny potocznej wyraz „unawić się" jest niezrozumiały, ale pomimo jego pozornej obcości całkowitej jest on zanotowany zarówno w ośmiotomowym „Słowniku języka polskiego" jak i w obszernym „Słowniku gwar polskich" Jana Karłowicza, przy czym ten ostatni zazna-

cza, że wyraz ten pochodzi z czeskiego. W „Istych rokach“ jest istna kopalnia dialektyzmów śląskich, jak np.: *żenich* — narzeczony; *ponuknąć* — tknąć, pobudzić; *giczale* — nogi, kulasy; *hyrtoń* — gardziel: złapać kogo za hyrtoń; *rzaznąć* — grzmotnąć (np. czym o ziemię); *sumeryja* — awantura, gwałt, zamęt; *cesta* — droga; *za moc* — za dużo; *dawać pozór* — dobrze uważać; *gańba* — wstyd; *umienić sobie* — postanowić, zadecydować; *styrkać się w co* — wtrącać się do czego itd.

Dawniej, zanim jeszcze szkoła polska zdołała oddziałać polszczyzną literacką na pokolenie młodsze, mówiono za Olzą takimi właśnie dialektyzmami, ale dzisiaj dialektyzmy te zanikają i ustępują czystej polszczyźnie. Gdy np. ktoś przysiadał się na wóz, czy też skorzystał z okazji, żeby się gdzie podwieźć, to taka okazja nazywała się *przyleżytość*, odwiedzić kogo nazywało się *naszczywić*, kochać kogo określało się jako *mieć kogo rod.* Dziewczyna mówiła o chłopcu: „*Mam go rada*“. Zuzanka w „Istych rokach“ mówi np.: „*Ku stołu nie mogę iść w jedwabnym fartuchu, boby mnie mamulka gnali... Inszo by myślała, że już dwiyrze za nią zapadły* (t. zn., że już wszystko załatwione pomyślnie). *Ale jo se dziepro* (dopiero) *teraz bedem na niego dawać pozór* (zwracać uwagę, baczyć). *Bo sie mi to jakosi nie widzi. On sie jeny umi zdaleka kłaniać, ale żeby też przliszeł bliży i chociaż sie podziwoł pieknie na jednego* (żeby choć ładnie spojrzał na człeka). *Buła! Uwidzimy też to, kogo więcej miłuje: czy mie, czy tatową kapse*“ (ojcowa kieszeń, kapsa — kabza). Jędrek w tej samej scenie wywodzi: „*Wiem tylko, że on jest z miasta, a ty z dziedziny* (wsi), *że je przyzwyczajony do frelek* (panien, z niemieckiego: Fräulein), *a nie do wiejskich dzieuch*“.

W „Istych rokach“ Zuzanka i Jędrek to przedstawiciele młodzieży śląskiej, która już sięga po książki polskie i mówi językiem poprawnym, ale mimowoli i z nałogu popada w gwarę. Czasem mówią np. „jest“, a czasem znowu *je*, inaczej rozmawia Jędrek z Zuzanką, gdy są sami, a inaczej przy osobach należących do starszego pokolenia, które jeszcze po uszy tkwi w gwarze i poprawny język polski uważa za nowinkę, czy za wyraz pychy tych młodych, którzy już nie chcą mówić wyłącznie i zawsze tak, jak mówili i mówią ojcowie. Dialektyzmy i konwencjonalizmy śląskie należą do gwary, podobnie jak pewne postacie przysłówków przymiotnikowych. Śląa-



Kozubowa
Na szałasie

zak nie mówi: lepiej, ale mówi: *lepszy*. Np. *„lepszy mieć, niż darmo chcieć“* (lepiej mieć, niż na próżno chcieć).

Mamy też w gwarze śląskiej swoiste stopniowanie, godne zanotowania: *miły, rozmiły, roztomiły.* Albo: Boże, prze-Boże! Ach Boże, prze-Boże! Czasem nawet: rozto-Boże! Nieporozumienia powstają na tle pewnych wyrazów o dużym zróżnicowaniu semazjologicznym. *Szydzić* znaczy drwić, na Śląsku *szydzić*, znaczy oszukiwać, oszydzić kogo, oszukać. *„Na kopieczku drobno reż, pod kopieczkiem bioły bez, nie myśl se ty, mój syneczku, że mnie może okłamiesz. Na to jo sie uczyła i do szkoły chodziła, na to jo mom czorne oczka, żebym chłapców szydziła“*. Tak samo *rzondzić* znaczy rozprawiać z kim, gawędzić. *Statek* — gospodarka, *targać* — rwać. Można „targać“ kwiaty, czyli rwać je, można też pójść z chorym zębem do dentysty, który zęby „targa“. Na Śląsku takich różnic semazjologicznych między różnymi wyrazami spotyka się sporo. U nas np. zawiera się jeszcze umowy, kontrakty, na Śląsku nie zamyka się drzwi, ale się je *zawiera*, jak w najstarszej polszczyźnie. Przepis śląski na chrust kończy się przypomnieniem kucharce, że usmażone faworki należy dobrze *obsuć* cukrem. To wszystko, co się u nas sypie, tam się „suje“.

Ale te i tym podobne właściwości gwarowe nie są bynajmniej z ujmą dla języka. Raczej przeciwnie, dialektyzmy podobne i ogromnie czcigodne archaizmy, jakie poza Śląskiem spotykamy już tylko w pismach wieku XVI, osobliwie u Reja, wzbogacają język, nada-

ją mu ładny kształt hieratyczny. Śląsk Cieszyński, który jeszcze w wieku XVI i XVII utrzymywał z Polską łączność kulturalną, biorąc udział w jej życiu duchowym, skutkiem przemian w życiu gospodarczym, politycznym i kulturalnym Europy, pozostaje od wieku XVII w pewnym odosobnieniu i dlatego gwara śląska zachowała wiele archaizmów, wypartych już z języka współczesnego, a także wyrazów, które z biegiem czasu uległy pejoryzacji.

Inaczej będzie, gdy ktoś zechce włączać do gwary śląskiej takie np. ledwo sfonetyzowane po polsku pieśni czeskie: „*Wykwitła mi biła róże, ja ji trhać nie budu, miłowałach si jedneho, wic miłować nie budu. Miłowałam si ho wiernie, w sercu sem ho nosiła, teho sem se nie nadała, że je łaska fałeszna*". To znaczy: „Zakwitła mi biała róża, ale rwać jej nie będę, kochałam chłopca, już go kochać nie będę. Kochałam go wiernie, w sercu go nosiłam, tego się nie spodziewałam, że miłość jest fałszywa, zdradliwa". Cała masa tych pieśni, które z Czech i Moraw przyszły na Śląsk, już nawet nie w tłumaczeniu, ale w najbardziej powierzchownej fonetyzacji polskiej, to nie gwara śląska, ale raczej czeszczyzna, wymawiana z polska. Pieśni te, jakich sporo znajdujemy w zbiorze Andrzeja Cinciały pod nagłówkiem „Pieśni w dialekcie morawskim", mają tylko jedną dobrą stronę, a mianowicie są najwymowniejszym świadectwem polskości ludu śląskiego. Gdyby było inaczej, lud śląski śpiewałby te pieśni w ich brzmieniu oryginalnym, a zbieracz nie byłby potrzebował zaznaczać, że są one w dialekcie morawskim i podawać ich w transkrypcji polskiej. Takim samym świadectwem polskości ludu śląskiego są liczne czechizmy w gwarze śląskiej. Czechizmy nie mogą przenikać do narzecza czeskiego, a tym mniej do języka czeskiego.

Interesuje nas, rzecz prosta, nie tylko to, jak śląski lud mówi, lecz przede wszystkim to, co swoim narzeczem wyraża. I nie to interesuje nas specjalnie, co ten lud przyswoił sobie ostatnimi czasy i co przyszło do niego z zewnątrz niejako, ale to, co sam wytworzył i co niegdyś było jego wiedzą o świecie i życiu, a dzisiaj stanowi skarbiec p o d a ń, l e g e n d i b a j e k, chętnie opowiadanych i jeszcze chętniej słuchanych przez młode pokolenie, które już się od świata wyobrażeń swoich dziadów i ojców znacznie oddaliło.

Śląsk dzieli się na dwa różne światy: przemysłowy i rolniczy. Gdy chodzi o Śląsk zaolzański, to na jego północy panuje przemysł

górniczy z mrocznymi tajemnicami podziemi, które lud śląski zaludnił postaciami ze świata swoich wyobrażeń: duchami dobrymi i złymi, jak to czyniły ludy starożytne, Babilończycy, Grecy. Świat przemysłowy, urbanizując się i nasycając pierwiastkami współczesnej kultury technicznej i umysłowej, nie wytwarza już baśni i bajek o podziemnym świecie górnika, ale to uczucie zgrozy, które czai się niekiedy w mrokach podziemi, znajduje doskonały wyraz w dawnych gadkach ludowych i dlatego te gadki nie straciły na aktualności nawet w naszych czasach, tak wszechstronnie zracjonalizowanych.



Dziewczyna śląska w stroju wałaskim

Wprawdzie koniec wieku XVIII, kiedy na Śląsku zaolzańskim powstawało górnictwo, nie sprzyjał już tworzeniu romantycznych legend i baśni, gdyż był to wiek oświecenia i rewolucji francuskiej, przekreślającej wieki minionej tradycji i na bagnetach wojsk Napoleona roznoszącej po całym świecie zasady racjonalizmu, z którego sama się była zrodziła, ale ten lud, co tworzył pierwsze kadry górników śląskich, miał swoje legendy i lubił objaśniać sobie tajemnice świata przy pomocy tych zasobów wiedzy pierwotnej, jakimi rozporządzał. Do podtrzymywania legend górniczych przyczyniły się niewątpliwie opowieści górników, przybywających do nowego rewiru węglowego z okolic o starej i bogatej tradycji górniczej.

Górnik pracował zawsze pod wysokim ciśnieniem nastroju zgoła osobliwego. W głębokich podziemiach panował mrok naładowany ciemnymi tajemniczymi niebezpieczeństwami. Tego mroku nie można było rozświetlać dostatecznie, bo nawet światło, takie gdzie indziej dobroczynne, tu bywało niebezpieczeństwem. Proste notatki kronikarskie notują w zagłębiu karwińskim kilkadziesiąt ka-

tastrof górniczych, w których na przestrzeni 52 lat, od roku 1854 do roku 1906 zginęło przeszło 1000 ludzi, czyli mniej więcej po 20 górników rocznie. Do katastrof największych dochodziło w kopalniach karwińskich skutkiem wybuchu gazów kopalnianych. W r. 1885 zginęło w Karwinie 108 górników skutkiem takiego właśnie wybuchu, a w dziewięć lat później w tej samej Karwinie straszliwa eksplozja gazów uśmierciła 240 górników. Tylko zwłoki 112 górników zdołano wtedy wydobyć, reszta została zamurowana w płonącej sztolni. Już w następnym roku, 1895, zginęło w Karwinie znowu 52 górników. Kronikarze notują tylko wypadki bezpośredniej śmierci, nie notują natomiast dziesiątków górników, którzy przy takich katastrofach odnosili ciężkie rany i stawali się kalekami na całe życie.

„Wybuch gazów kopalnianych" mówił dawnemu górnikowi akurat tyle, ile rolnikowi sprzed lat stu mówiło „wyładowanie elektryczne", gdy piorun spalał jego spichlerze i stogi, niszcząc trud całoroczny w ciągu niewielu minut. To też w tym, co się działo w głębiach ziemi, górnik widział nie tylko dzieło duchów złych, ale niekiedy dostrzegał w tym wszystkim walkę duchów dobrych z duchami złymi. Duchy złe, zazdrosne o swoje podziemia, pełne tajemnic i ukrytych skarbów, walczyły z człowiekiem, który wdzierał się w ich świat, duchy dobre przestrzegały górników, gdy groziło im niebezpieczeństwo i ratowały ich w nieszczęściu. Śród mnóstwa gadek górniczych, nie brak i takich, w których górnicy zwabieni np. kwileniem dziecka, dostrzegają wodę podziemną, zalewającą kopalnię, albo też hukami podziemnymi zostają odciągnięci od miej-



Taniec ludowy „Zagrodnik"

ść, na które za chwilę zwalić się mają masy węgla. Istnieją nawet opowieści o takich duchach, które troszczą się o moralność górnika i umieją wyrwać go z pęt nałogowego pijaństwa.

Mieszkańcy gór zaludniają cieniste wąwozy, mroczne szczeliny górskie, stawy i rzeki, a przede wszystkim puszcze leśne, innego rodzaju duchami. Na pierwszy plan wysuwa się *utopiec* z topielicą, ale nie brak też panien leśnych, soton, hel, nocnic. Wszystkie te duchy kobiece są uosobieniem zwodniczych wdzięków niewieścich, przed którymi trzeba mieć się na baczności. *Panny leśne*, czyli rusałki, były władczyniami gąszczów leśnych i tam czyhały na zbłąkanych młodzieńców, aby ich zwodzić widokiem pięknych dróg i sprowadzać na bezdroża bez wyjścia, a następnie ze zmęczonych śmiertelnie, wypijać krew do ostatniej kropli. Wyobraźnia ludu śląskiego widywała takie panny leśne, wyprawiające dzikie zmysłowe tańce na polanach pustkowi leśnych.

Sotony śląskie, to zmory innych okolic. Duszą one drzewa i ludzi. Są to dziewczęta, skazane przez los na okrutne dusicielstwo za winy rodziców. Jeśli w niemowlęctwie karmione były piersią matczyną, to duszą ludzi, jeśli karmiono je *waczkiem* (smoczek, czyli kawałek szmatki, w którą zawijano pożuty chleb i maczano w mleku cukrzonym), to duszą drzewa. Sotona wyskakuje ze śpiącej dziewczyny w postaci np. kotki, a gdy grozi jej schwytanie, może zamienić się w żabę, nitkę, igłę, źdźbło siana, w ogóle w rzeczy drobne, nie łatwe do dostrzeżenia i odnalezienia. Dusi śpiących, przede wszystkim młodzieńców, bo mają dobrą krew. Pije ich krew, siadając im na piersiach lub nogach, i nabawia swoje ofiary chorób z wyczerpania. Do ciała swego, które opuściła w postaci kotki, musi powrócić przed wschodem słońca, bo jeśli jej się to nie uda, ciało umiera. Parobcy, mający podejrzenie na pewną dziewczynę, że jest sotoną, czyli zmorą, pilnowali nieraz taką zmorę, a gdy kotka z niej wyszła, odwracali ją twarzą na dół, aby duch nie mógł znaleźć drogi do opuszczonego ciała. Ale powracająca kotka miauczała tak straszliwie, że parobków zdejmowała zgroza, więc odwracali ciało dziewczyny, aby kotka-duch mogła wrócić, skąd była wyszła. Inne sotony tak samo dusiły drzewa, które od tego duszenia schły.

Nocnice to dziewczyny, które umarły w czasie ogłoszek, czyli zapowiedzi, a więc bezpośrednio przed ślubem. Widywali je owcza-

rze jako krzepkie niewiasty na chudych nogach. Długie swoje włosy czesywały szyszkami. Te nocnice, jako istoty, które nie spełniły swego powołania życiowego i umarły niesyte życia, czyhają na górali, porywają ich w taniec i tak długo *smykają* swoimi tancerzami, aż zdzierają im nogi po kolana i taki biedak musi umrzeć. Dlaczego dziewczynę zmarłą w czasie zapowiedzi czekał za grobem los tak okrutny, tego opowiadania o nocnicach nie mówią. Zdaje się, że do nas dotarły tylko fenomenologiczne fragmenty tych opowiadań, bez odpowiedniej etiologii ludowej.

Hele to w gruncie rzeczy pokutnice. Posiadamy liczne odmiany *helokania*, czyli zwoływania się pasterzy z pasterkami. Z pastwisk na groniach leciały te „helokania" w postaci pytań i odpowiedzi. „*Helo — helo — helo! Jak ci się pasie? Mnie się dobrze pasie, a tobie jak zasie?*" — wołała dziewczyna, a chłopak jej odpowiadał: „*Helo — helo! Marynko, ku mnie helo! Pożeń że tu ku mnie, je tu trawka u mnie, w stodole na gumnie...*" Że między młodymi, spędzającymi całe tygodnie na pustkowiu leśnym, dochodziło łatwo do miłości i jej skutków przy łatwym zbliżeniu, o tym mówić nie trzeba. Gdy dziewczyna zachodziła w ciążę ze swoim kochankiem pasterzem, a potem go rzucała i wychodziła za innego, to po śmierci za pokutę tułała się po groniach i śpiewała, ale żadnej pieśni nigdy nie dokończyła. Taka hela mogła szkodzić ludziom, ale jedynie tym, których twarz ujrzała. Gdy drwale, pracujący w lesie, słyszeli śpiewanie heli, to spieszyli zakryć twarz, aby szkodnica nie mogła mieć żadnego prawa do nich. Owczarze, usłyszawszy niebezpieczny śpiew heli, zabezpieczali się przed nią, zrzucając odzież i wdziewając ją szybko „na ręby", czyli szwami na wierzch.

O ile w opowieściach o tych duchach kobiecych tkwi pewien pierwiastek moralny (wina, kara, fatalizm), o tyle w opowieściach



Łyżbice. Czteroklasowa szkoła polska, zredukowana na dwuklasową przez władze czeskie

o *utopcach mamy* do czynienia z fantastyką zgoła bezinteresowną, rozmiłowaną w rzeczach i sprawach tajemniczych, urozmaicających nudę dnia powszedniego. Na całym Śląsku Cieszyńskim nie ma chyba człowieka, który nie umiałby opowiedzieć kilku przynajmniej gadek o utopcach. W „Pamiętniku starego nauczyciela" Jana Kubisza, utopcy mają z 10 stronic tekstu a nawet ilustracje. Opowiada on m. i. o niejakim Kubku, który żył w wielkiej poufałości z lasami i wodami. Gdy się zgadało pewnego razu o poświacie księżycowej nad Olzą, rzekł on z tajemniczą miną: „To utopcy bielili bieliznę. Wczoraj była pełnia i oni to w taką noc robią. Schodzić wtenczas do wody jest bardzo niebezpiecznie..." Gdy młodziutki Kubisz pyta, czy to aby prawda, Kubek odpowiada: „Prawda, widziałem to już nieraz, a o północy zwijają tę bieliznę i chowają do swoich skrzynek podwodnych".

W wyobraźni ludu utopcy żyli pod wodą tak samo, jak żyją ludzie na ziemi. Mieli swoje rodziny, żony i dzieci, mieszkanie, odzież. Lubili wódkę i umieli postarać się o nią. Musieli też odżywiać się, jak ludzie i nawet kupowali mleko od gospodarzy, mieszkających blisko wody. „Na Macuchowice — czytamy w „Pamiętniku" Kubisza — chodził utopiec każdy dzień w południe po mleko. Pewnego razu podczas wielkiej powodzi utopiły się Macuchowskiemu konie wraz z pachołkiem. Macuchowski wyrzucał utopcowi jego niecny uczynek, na co mu tenże odpowiedział: — Cóż miałem robić? W niedzielę w południe, kąpiąc konie, wjechał parobek z nimi na stół, kiedyśmy obiad jedli i zabił mi dziecko". — Ludzie miewali nieraz zatargi z utopcami, ale jednali się z nimi łatwo, udzielali im pomocy, np. podczas przeprowadzki z rzeki do rzeki, i sami korzystali przygodnie z ich pomocy. Ojciec pamiętnikarza nie wierzył w istnienie utopców, ale matka była o ich istnieniu święcie przekonana. „Raz przybiega pasterz przestraszony i mówi: — Pójdźcie, gaździnko, przy cielęciu w sigoci leży wielki czarny pies. — No-no, zostaw go — odpowiedziała matka — ja wiem, co to jest." Przechodnie spotykali czasem utopca w postaci czarnego *panoczka* i jedynie po tym go poznawali, że mu z *szostu* (poły) woda kapała.

Nagłe i niespodziewane powodzie były sprawką utopców, ich po prostu zabawą. Taka powódź była dla nich czymś w rodzaju

wycieczki z dużymi uciechami. „Radują się na tę powódź starzy i młodzi utopcy i przygotowują się do niej. Niekiedy przychodzi powódź nagle, niespodzianie, w jasny dzień. Raz, pamiętam, zaskoczyła nas przy łowieniu ryb w rzece. Bawiliśmy się, schyleni ku wodzie, a tu ktoś krzyczy: — Chłopcy, uciekajcie! Woda idzie! — I wskazał ręką w górę rzeki. Zwróciliśmy się za wskazaniem ręki i zobaczyliśmy ogromną falę mętnej wody, podobną do grubej beczki, toczącej się o kilka kroków przed nami. Mieliśmy zaledwo czas wyskoczyć...“ Tacy Kubkowie twierdzili, że przy podobnych sposobnościach widywali do trzynastu utopców, płynących na desce i skaczących z wielkiej uciechy.

Nie należy jednak przypuszczać, że ludzie rozmiłowani w takich baśniach, byli fantastami i niepraktycznymi marzycielami. Przeciwnie, Ślązak był i jest człowiekiem wybitnie praktycznym, trzeźwym, roztropnym. Między powszedniością życia a odświętnością fantazji przeprowadził on już dawno ostrą linię demarkacyjną i dlatego spraw życia nie mieszał nigdy ze sprawami fantazji tworzącej miłe baśnie. Dla ludzi pracy dzień powszedni na Śląsku nie był nigdy porą marzeń i bajań. Przy ostrym klimacie, długiej zimie, licznych opadach i niezbyt urodzajnej glebie, trzeba było zawsze wytężać wszystkie siły, aby utrzymać rodzinę. A Ślązakowi nigdy nie chodziło jedynie o utrzymanie rodziny, lecz o coś więcej, o jej zabezpieczenie na dalszą przyszłość, a przede wszystkim o zapewnienie dzieciom warunków, umożliwiających awans społeczny. To też Ślązak jest pracowity i zapobiegliwy na wszelki sposób, a jego wielka oszczędność wywiera niekiedy wrażenie skąpstwa. Działają tu najboleśniejsze doświadczenia całych pokoleń. Za pańszczyzny był Ślązak niewolnikiem, zmuszonym podporządkowywać się cudzej woli, po zniesieniu pańszczyzny wkraczał on w życie jako nędzarz, który musi zaczynać wszystko od początku. I za pańszczyzny i po jej zniesieniu lud śląski przeżył niejedną klęskę głodową. Klęski te kosztowały życie tysiące ludzi i nie pozwalają zapomnieć o sobie. Piękna baśń sobie, a życie ze swoimi twardymi prawami sobie.

Lecz i w r e w i r z e w ę g l o w y m, gdzie niepodzielnie panuje trzeźwa technika, racjonalizacja i maszynizm, utrzymały się w polskiej masie robotniczej liczne zwyczaje i obyczaje, które po-

wstały i rozwinęły się na gruncie zgoła innych warunków gospodarczych i kulturalnych. Wytwarzają się tu pewne anachronizmy, gdy np. brać górnicza, bezrolna i bezdomna urządza „dożynki“ gwoli tej radości, jaka tkwi w tym niegdysiejszym obrzędzie, przemienionym obecnie w zabawę czyli w okazję do uciechy. W pielęgnowaniu obyczaju ludowego ożywa tradycja czasów, które można by nazwać oryginalnymi pod niejednym względem. Były to czasy, gdy człowiek miał wszystko własne: kawałek ziemi, chatę zbudowaną własnymi rękami, własny strój, obyczaje, tańce i pieśni.

Życie było ujęte w pewne kształty, które towarzyszyły dniom i pracom ludzkim od kolebki do mogiły. Gry dziecięce, zabawy młodzieży, zabiegi miłosne, swatanie, narzeczeństwo, wesele, chrzciny, wywody, imieniny, urodziny, jubileusze, abrahamowiny (50 urodziny), doroczne święta kościelne i obchody obyczajowe i narodowe są na Śląsku wyrazem tradycji daleko żywszej, niż gdzie indziej. Niektóre z tych zwyczajów i obyczajów są przejawem wysokiego uspołecznienia, inne znowu wyrażają szczątki dawnych wierzeń i obrzędów, których pierwotna symbolika już dawno popadła w zapomnienie. Do pięknych przeżytków obyczajowych należą *wianki, sobótki,* a przede wszystkim *goiczek,* nazywany także moiczkiem. Dziewczęta stroją niewielką choinkę kolorowymi wstążkami, malowanymi jajkami, dzwoneczkami i chodzą z nią w poniedziałek wielkanocny po domach, odśpiewując pieśń, która kończy się słowami: „Goiczku zielony, pięknie ustrojony“.

Już sama nazwa zastępcza *moiczek,* albo łączna *goiczek — moiczek* mówi, że zwyczaj ten łączy się w jakiś sposób z miesiącem majem. W Grecji nowoczesnej i w krajach bałkańskich w czasie posuchy oprowadza się młodą dziewczynę, przystrojoną zielonymi liśćmi i kwiatami, i polewa się ją wodą przy odśpiewywaniu pieśni, przywołującej deszcz. Obrzęd ten w rozumieniu profilaktycznym przeniesiono tu i owdzie na dzień pierwszy maja, czyli miesiąca, otoczonego uczuciami osobliwymi u wszystkich ludów. Pierwotnie stroiło się nie „goiczek“, ale dziewczynę i polewało się ją wodą albo w posuchę, gdy trzeba było sprowadzić deszcz, albo w pierwszy dzień maja. Polewanie dziewcząt w poniedziałek wielkanocny, w „lany poniedziałek“, jest zwyczajem rozpowszechnionym w całej Europie. Na Śląsku moiczek oddzielił się od *śmiergusta,* czyli po-

lewania dziewcząt wodą i oba zwyczaje mają charakter pogodnie żartobliwy, nie pozbawiony jednak utajonej świadomości, że chodziło tu niegdyś o obrzęd zgoła poważny. Po odśpiewaniu wesołego i żartobliwego „moiczka", śpiewa się jaką pieśń religijną, związaną ze świętami wielkanocnymi.

I w tekście „moiczka" znajdujemy jeszcze akcenty, świadczące o tym, że dziewczęta, obnoszące „goiczek", były polewane wodą. Oto drobny dowód, że tak było istotnie, zaczerpnięty z tekstu pieśni goiczkowej: „Ciecze nam wodziczka po prawym ramieniu".

Ta wodziczka, ciekąca po prawym ramieniu, to coś realnego, co się do piosenki przedostało prosto z życia.

W tekście tej piosenki jest wiele aluzji do gazdoszków, którym się właśnie śpiewa, osobliwie zaś do młodzieży, jej narzeczeństwa i bliskiego małżeństwa. „Na tym tu placu studnia cymbrowana, stoi tu dzieuszka bardzo upłakana. Płacze ona płacze, już wiemy dlaczego, chciałaby pachołka bardzo bogatego. A przy tym tu domie cztery róże stoją, mają tu młodzieńca ożenić go stroją." Jest też w pieśni moiczkowej, podobnie jak w kolędach śląskich, pochwała domu, koni, krów, gazdów, a wreszcie jest wezwanie do obdarowania śpiewaków.

„Kulej se ty kulej, malowany gnocie,
Dziewki i pachołcy, dejcie po dukocie.
Nie dawejcie nam też dukota jednego,
Bo byśmy się biły w polu kole niego.
Ale nam też dejcie cztery albo pięci,
By się nam dostało po jednakiej części.
Dejcie wy nam, dejcie, co nam macie daci,
Bo się nam zaś trzeba dalej pobieraci.
Pan Bóg wam też zapłać za te wasze dary,
Cobyście się za rok śmiergusta doczkali.
Moiczek zielony pieknie przystrojony!"

Dodajmy jeszcze, że lud szerokich podwarszawskich okolic jeszcze niedawno choinkę wigilijną nazywał „gaikiem".

O ile goiczek jest wymownym dowodem zachowawczego tradycjonalizmu ludu śląskiego, o tyle znowu *pobaby* śląskie są przykładem wysokiego uspołecznienia kół ludowych. Słowo „pobaba" albo „powaba", Jan Karłowicz w „Słowniku gwar polskich" objaśnia tak: „Chłopi w epoce pańszczyzny, prócz zwykłych jej dni, odrabiali nadto w czasie żniw i parę dodatkowych dni jeszcze, które

zwano powabą. Chodzili więc na powaby, powab, czyli pobab albo powab, do pszenicy i żyta.“ Pańszczyzny już nie ma, ale „pobaba“ została jako postać zbiorowej pomocy przy wykonywaniu pewnych robót. Pomoc jest bezinteresowna, a niekiedy, jak np. przy rwaniu lnu, połączona z poczęstunkiem, śpiewami i zabawą. Drobnym, ale charakterystycznym przykładem „pobaby“, są tak zwane *szkubaczki*. Posiadanie pięknych pierzyn i poduszek z niefałszowanego pierza jest przedmiotem troski i dumy każdej śląskiej gospodyni. Gdy się pierza uzbierało tyle, ile trzeba, gospodyni sprasza znajome dziewczęta na „szkubaczki“, czyli darcie pierza. Dziewczętom towarzyszą ich narzeczeni albo konkurenci. Przy darciu pierza opowiada się różne gadki. śpiewa się pieśni i czas upływa bardzo mile. Czasem sprowadza się na takie szkubaczki nawet muzykantów. Niejedno małżeństwo kojarzy się podczas takich właśnie „szkubaczek“.

Ale pobaba nabiera osobliwego znaczenia, gdy pomoc zbiorowa musi być wydatniejsza, np. po klęsce żywiołowej, która dotknęła sąsiadów, albo przy wysiłku zbiorowym, gdy chodzi o cele społeczne. Ślązacy zaolzańscy z dumą mówią o tej pobabie, podobnej do pospolitego ruszenia najlepszej woli i życzliwości sąsiedzkiej. Najgłośniejszym na Śląsku zaolzańskim przykładem pobaby jest budowa szkoły polskiej wydziałowej przez Macierz Szkolną w Bystrzycy. Cała ludność tej gminy pośpieszyła z niebywałą ochotą pomagać przy budowie tej szkoły. Pobaba więc, która w nazwie swojej ma coś, co mogłoby przypominać jakieś zlekceważone sprawy babie, otrzymuje niekiedy znamię pięknej zbiorowej akcji społecznej o wysokim znaczeniu wychowawczym z doraźnym i pożądanym skutkiem gospodarczym. Ludzie, których nie zawsze bywa stać na większą składkę pieniężną, niosą w ofierze własną pracę i budują gmachy, które służyć mają wszystkim. Na tym przykładzie widzimy, że indywidualizm śląski potrafi być wysoce społecznym.

Ten indywidualizm ludu śląskiego wyraża się m. in. także tańcami ludowymi i nazwami tych tańców. Dzisiaj i młodzież śląska tańczy oczywiście, jak cały świat, tańce międzynarodowe, ale w chwilach uroczystych obchodów chętnie przywdziewa strój ludowy i tańczy *zagrodnika, kowola, żebroka, kozoka,* nie mówiąc o różnych znanych *kaczokach, krzyżokach, kocurkach, szła-*

pokach, grożonych, kołomyjkach itd. Nazwy „zagrodnika“, „kowola“ itd. świadczą o tym, że dawniej istniało mniemanie, iż każdy zawód posiadać powinien własny taniec. Jeszcze dziś podczas zabaw ludowych podochoceni biesiadnicy lubią czasem pokazywać, jak tańczą szewcy, chłopi, panowie, krawcy itd.

Tańce śląskie charakteryzuje z jednej strony dostojeństwo stroju, osobliwie kobiecego wałaskiego, i rytmu poważnego, z drugiej szalone tempo wirujących par, gdy się poważny korowód rozbija na pary. Taniec jest przywilejem młodzieży nieżonatej i niezamężnej, chociaż oczywiście i młodzi małżonkowie od tańca nie stronią. Przekonanie, że taniec jako przejaw radości młodzieńczej przystoi tylko kawalerom i pannom, znajduje wyraz w jednym z licznych przyśpiewów tanecznych:

Jyny se dzieucho, jyny se wiesioło,
pokiel ci nie dadzą koronki na czoło.
Bo jak ci ją dają, włosy poswijają,
już ci tak nie będzie, chociaż ci zagrają.

W e s e l e ś l ą s k i e jest sprawą wysoce obrzędową, składającą się z całego szeregu obrzędów pomniejszych. „Iste roki“ Farnika to pierwszy z brzega przykład, jak poważnie i uroczyście traktowane są na Śląsku zaręczyny i jaką znaczną rolę odgrywa w nich nie tyle wola czy upór rodziców, ile doświadczenie życiowe. Ślązak dba o awans społeczny swoich dzieci i dlatego nie znosi związków, które pod względem gospodarczym i społecznym oznaczaćby mogły kierunek wsteczny. Stosunki przyjacielskie między młodzieżą różnej płci są uważnie śledzone i kontrolowane przez rodziców. Słowom *klaskanego* (Jeśli ty mnie chcesz, to ja ciebie też; pani mama pozwolili i pan tata też), odpowiada ścisła rzeczywistość życiowa.

Gdy narzeczeni porozumieli się z sobą i mają zgodę rodziców na małżeństwo, zaręczyny stają się aktem publicznym niemal, wiążącym obie strony. Występuje swat, znający się na rzeczy i umiejący odpowiednio przemówić do rodziców i do młodych, a także do szczupłego grona zebranych gości zaręczynowych. Wesele jest, oczywiście, jeszcze uroczystsze, a starosta weselny to postać bardzo ważna. On czuwa nad kolejnością aktów weselnych, a przede wszystkim wygłasza przemówienia, które mają utkwić w pamięci nie tylko nowożeńców, lecz i zebranych gości. Mówi się na weselach ślą-

skich dużo, a cechą wspólną tych przemówień jest ich ton religijny i powoływanie się na Pismo św.

Nie brak, oczywiście, i momentów żartobliwych na weselu. które jest przecie od tego weselem, żeby weseliło. Konserwatyzm śląski nie omija i takich bardzo dawnych zwyczajów, jak np. podstawianie panu młodemu starej babki, zamiast panny młodej. Dopiero po targach i żartobliwych przekomarzaniach dostaje pan młody własną żonę. Śmiechu bywa przy tym bardzo dużo. Najpiękniejszym zwyczajem weselnym są tak zwane oczepiny, połączone z mnóstwem śpiewek, tańców, przemówień. Tu już tryska dobry humor, przejawia się wielka ochota i wesołość biesiadników, chociaż uprzedni wyjazd do kościoła jest zawsze stylizowany bardzo rzewnie i w formach obowiązujących i w śpiewach. Śląsk ma śpiewy weselne takie same, jak cała Polska, a do najbardziej popularnych należy wezwanie do panny młodej:

Siadej na wóz, kochanie moje,
nie pomoże płakanie twoje,
nie pomoże miły Boże
już koniki są we wozie
pozaprzągane.

Panna młoda odpowiada:

Jużbym ci ja na wóz siadała,
jeszczem matce nie podziękowała.
Dziękuję wam, droga matko,
wychowaliście mnie gladko,
już nie będziecie itd.

Piękny i wnikliwy opis uroczystości weselnych na Śląsku dał Kubisz w swoim „Pamiętniku“. Z opisu tego wynika, że strój wówczas jeszcze powszechnie ludowy, bywał na wesele odpowiednio uzupełniany. „Żenich i drużba mieli za czopkami wielkie chochołki, jak miotły, a na piersiach szerokie woniączki (bukieciki). Inni goście byli również przybrani w chochołki i woniączki, ale znacznie mniejsze. Młoducha i drużka były pięknie zagładzone w wielkie wieńce. Kobiety starsze wyróżniały się przede wszystkim ubiorem głowy. Nosiły tak zwane szatki sprawione. Był to rodzaj białego wielkiego obrusa w kwiaty, w jednym rogu czarnym wyszyciem znaczonego. Składano go tak, jak się chustkę składa, nakładano przy pomocy innej niewiasty i wiązano. Wiązanie to było sztuczne

i wymagało niemałej wprawy, pracy i czasu. Zbierało się obrus w fałdy koło uszu, nareszcie wiązano tak, że od węzła spadał na ramię jeden koniec, jak długie ucho. Kobiety w tym stroju ubrane — prawdziwe białogłowy — wnosiły pewną jasność w zgromadzenie, bo widno było w izbie od szatek i kabotków."

Wesele bywało okazją do weselenia się i śpiewania, a śpiewać lud śląski lubi. Jedną z najładniejszych pieśni weselnych jest pieśń oczepinowa, zapisana przez Lucjana Malinowskiego, który pieśni i gadki ludu śląskiego zbierał bezpośrednio u źródła i zapisywał je tak, jak lud śląski mówi. Z tych względów warto przytoczyć tę pieśń oczepinową w transkrypcji Malinowskiego.

Zaszumiawa zielona dąbrowa,
Zaszumiaw też gaj;
o cóż pwaczesz, nadobna dzieweczko,
czy ci wionka żal?
— Żal mi wionka, strzybnego pierścionka,
a jeny mi go żal.
— Czemu żeś go wtedy nie żalawa,
kiedych ci go braw?
— Mawach bywa, mawych rozum miawa,
teraz mi go żal.
— Uwij se go z czerwionej różyczki
nie bedzie ci go żal.
— Uwiwach go z czerwionej różyczki
chyciwach go do prawej rączyczki,
a jeny mi go żal.
Powiedz-że mi, mój syneczku,
co wolisz, a zaś co wolisz,
czy tę piekną żonkę,
czy gorzowki szklonkę,
a zaś, co wolisz, co wolisz?
— Wolę piekną żonkę
niż gorzowki szklonkę.
Nie bój-że się, moja najmilejsza,
zaś nie bój.
Dam ja tobie pierszą nockę pokój,
a na drugą, mój Boże jedziny,
będą wiedzieć te szumne pierzyny;
a na trzecią, mój Boże niebieski,
nie dodzierżą tu w tem wózeczku deski,
a na sztwartą, miwy mocny Boże,
nie dodzierży calusienkie woże.

Jak widać z tego przykładu, lud śląski niektórych okolic nie wymawia *ł* ale *w*. Np. młody brzmi w jego ustach „mwody". W transkrypcji tej nie należy głoski *w* wymawiać zbyt twardo. Gdzie indziej np. zamiast klasycznego polskiego *ł* słyszymy *eu:* muody, buogosuawiony, wuościanin. W tej wymowie, której przykład tu podajemy, *ł* brzmi jak dźwięk pośredni między samogłoską *u* a zgłoską *w*.



Haczki do żywotków śląskich. Muzeum Śląskie w Katowicach

PIEŚNI I PRZYŚPIEWKI

Tak samo jak narzędzia, naczynia, sprzęty i budowle. stroje i ozdoby, ujęte zostały w pewne określone kształty i linie o dużej precyzji, tak i całe życie dni powszednich i świątecznych otrzymało swój kształt obyczajowy, zawsze mniej lub więcej hierarchiczny w odcieniach najróżniejszych. niekiedy hieratyczny w wielkiej po-

wadze obrzędowej. Tu jest wszystko dokładnie wymierzone, co się godzi i co się nie godzi, co jest nakazane i co jest zakazane. Wyrażając się słowy mędrca biblijnego, można rzec, że tu, jak mało gdzie na świecie, jest czas rodzenia i czas umierania, czas siewu i czas zbierania plonów, czas radowania się i czas smucenia. Doświadczenie życiowe wytworzyło tu prostą mądrość, a ta mądrość znalazła proste słowa, w których niby w trwałej cennej formie przekazuje ją pokolenie pokoleniu. Radość ma tu swoją pieśń, swój gest i rytm taneczny, początek i koniec pracy ma obrzęd już to pełen powagi, już to pogodny, wesoły, radosny.

Mamy tu rytm życia, ład, porządek, to właśnie, co nawet w stroju ludowym wzbudza wrażenie obrzędowości i szacunku dla przemian zachodzących w dniach i pracach po Hezjodowsku pojmowanych. Dzień powszedni ze swymi troskami, trudami i zgryzotami, ma inny strój, inny gest, inne słowa, dzień świąteczny musi mieć strój uroczysty, poważniejszy gest, niedzielne słowa. Dzieciństwo ma swoje zabawy i piosenki, młodość z przyjaźnią i miłością ma także swoje gry i pieśni, a stan małżeński ma wprawdzie przywileje, ale i obowiązki niemałe, aż wreszcie nadchodzi zrezygnowana starość, wspominająca i obliczająca zyski i straty całego życia. Wszystkie te sprawy ludzkie znalazły na Śląsku bogaty tradycyjny wyraz w pieśniach ludowych, w przysłowiach i sentencjach.

Gdy chodzi o śląskie pieśni ludowe, to podzielić je możemy na trzy kategorie, a mianowicie pieśni ludowe polskie, będące własnością całego polskiego obszaru narodowego, z regionalnymi co najwyżej odchyleniami tekstowymi; następnie idą pieśni śląskie, tutaj powstałe i nigdzie indziej nie spotykane, a wreszcie pieśni, które przyszły na Śląsk z pobliskich Moraw, czy nawet z odległych Czech. Na dalszym planie byłyby wreszcie pieśni, które stanowią własność całej ludzkości.

Przy zbieraniu pieśni ludowych należałoby uwzględnić nie tylko okolice, z których dane pieśni pochodzą, ale także wiek, dla którego są one przeznaczone, albo jeszcze lepiej, który je sobie stworzył. Śpiewa dziecko, śpiewa wyrostek, śpiewa wreszcie młodzież, gdy ją budzi miłość. Człowiek żonaty z rzadka tylko bywa śpiewakiem-solistą i jeśli uprawia śpiew, to chóralny, w towarzystwach



Moiczek-Goiczek

i stowarzyszeniach śpiewaczych. Starość także śpiewa, ale jej śpiew jest znowu solowy jak śpiew zakochanych, tylko że ma już inną treść, inną melodię, i drżący głos. Dzieci śpiewają i w pojedynkę i chóralnie przy zabawach, a piosenki ich są niewinne, jak całe dzieciństwo. Wyrostek lubi piosenki swawolne, wesołe, odpowiadające nadmiarowi młodej energii i skłonnościom do figlów i psot. Dziewczęta śpiewają inne piosenki i inaczej. Zanim przychodzi kolej na pieśń miłosną, lubią śpiewywać balladyczne piosenki o sierotach, o smutnych zdarzeniach, o nieszczęśliwych kochankach.

Byłoby ogromnie ciekawe ustalić linię rozwojową śpiewu od dzieciństwa aż do starości. Z jednej strony korowód dzieci, klaszczących w dłonie i śpiewających proste słowa, z drugiej samotna starość, pochylona nad książką do nabożeństwa, czy kancjonałem, z okularami na zmęczonych oczach, które dużo widziały, płakiwały niekiedy z żalu i radości, a teraz spoglądają wstecz i starają się zrozumieć istotę życia, które miało zrazu tylko radości i smutki, a teraz ma mnóstwo zagadek, nie dających się rozwiązać. Między tymi dwoma biegunami rozbrzmiewałaby wesoła zawadiacka piosenka wyrostka i sentymentalna pieśń dziewczyny, drgałaby nuta

pieśni miłosnej i pieśni żołnierskiej, i odezwałaby się przygodnie jurna piosenka pijacka.

W takiej klasyfikacji znalazłyby miejsce także piosenki zawodowe, jak np. żołnierskie, łowieckie, pasterskie, przyśpiewki taneczne i wreszcie kolędy, zasługujące na specjalne zbadanie jako pieśni z pogranicza obyczaju i obrzędu. Pieśni pochodzenia obcego, w naszym wypadku morawsko-czeskiego, zdradzają się od razu zarówno swoją niepolską treścią, jak i nieudolnym zazwyczaj tłumaczeniem. Nawet nie tłumaczeniem, ale prawie wyłącznie fonetyzacją polską, przy czym zdarzają się grube i śmieszne nieporozumienia. W piosence czeskiej o pierścionku i róży, ogromnie zresztą nieludowej, ale raczej przedmiejskiej w najgorszym znaczeniu słowa, chłopiec ofiarowuje dziewczynie różę „na důkaz lásky své", czyli w dowód swej miłości. Tłumacz śląski transponuje ten tekst niewolniczo: „A ja ji za to różę dał na dowód łaski mej". Łaska w języku polskim ma znaczenie bardzo określone: łaska królewska, łaska pańska, która według przysłowia na pstrym koniu jeździ, czyli bywa zmienna, ułaskawienie skazańca, łaska boska itp. To pojęcie łaski, które rozszerza się jeszcze pojęciem katechizmowym o stanie łaski duszy ludzkiej. nie ma z miłością nic wspólnego. W języku czeskim pojęcie „milost" znaczy akurat to, co u nas łaska. Przykład ten jest klasyczny, bo podobne „pieśni ludu śląskiego" ukazywały się dawniej w specjalnych zbiorkach, wydawanych jako odbitki z „Zarania Śląskiego", którego redaktorem był zasłużony znawca i badacz folkloru śląskiego, Dr Ernest Farnik, autor bardzo popularnej sztuki ludowej „Iste roki", będącej jednym z najcenniejszych źródeł do poznawania śląskiego obyczaju ludowego i jego narzecza.

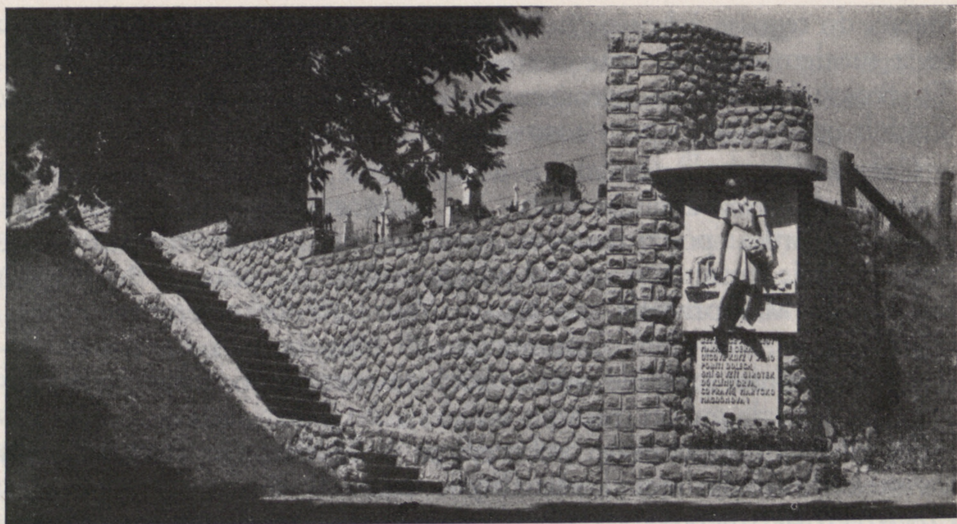
Co do mnóstwa innych pieśni niby to polskich, ale w gruncie rzeczy bardzo powierzchownie sfonetyzowanych według głosowni polskiej, to dość zajrzeć każdorazowo do zbioru pieśni czeskich i morawskich Jaromira Erbena, aby się przekonać, że mamy do czynienia z pieśnią czeską, nie zaś z pieśnią ludu śląskiego. Imigracja pieśni czeskich w Cieszyńskie jest tym zbędniejsza, że lud śląski ma dużo pieśni własnych, wspólnych całemu obszarowi języka polskiego. W pieśni polskiej przeważa element epicki. zarówno w treści jak i w kadencjach melodii; pieśń czeska, osobliwie miłosna, od-



Wyrób szyndziołów na Śląsku. Muzeum Śląskie w Katowicach

znacza się w melodii i w treści wybujałościami wielkiego liryzmu, sentymentalnego.

Badacza śląskiej pieśni ludowej uderzą i zainteresują niewątpliwie zmiany lokalne w tekstach pieśni, znanych w całej Polsce. Przykładem najdostępniejszym, a zarazem najwymowniejszym jest pieśń o ojcu, który wydając za mąż trzy swoje córki, wyposażył je nierówno, a przez te córki został później potraktowany zgoła inaczej, niż kazałaby przypuszczać wysokość posagu danego każdej z nich. W wersjach tej pieśni o „polskim Lirze“ znajdujemy znaczne odmiany regionalne. Najstarsza córka otrzymuje w posagu trzysta talarów z warunkiem, że będzie ojca żywić na starość. Druga dostaje talarów dwieście z tym samym warunkiem. Trzeciej nie dostaje się nic i, oczywiście, ojciec nie odważa się stawiać jej warunków. Pieśń mówi czasem, że „gdy tę pierwszą wydawał, wszystkie jej srebra z domu dał“, a „gdy tę drugą wydawał, wszystkie jej meble z domu dał“. Srebra i meble to już nie chata wiejska, czy dom mieszczański, ale dwór szlachecki.



Stare Hamry. Pomnik Maryčki Magdonowej

W pieśni tej ojciec mówi za każdym razem: „A na masz, córko, daję ci i masz mnie żywić do śmierci". Epicka poglądowość powtarza za każdym razem, że „wziął laseczkę, szedł po wsi i zaszedł do tej najstarszej (weśredniej, najmłodszej). Tu mnie masz, córko, tu mnie masz, miałaś mnie żywić na starość". Niedobre starsze córki dają ojcu kamień albo postronek i radzą: „a na masz ojcze utop się (powieś się), kiedyś nie umiał rządzić się". W każdej zwrotce powtarza się: „A on se biedny zapłakał, czego na starość doczekał". Sytuację ratuje nieoczekiwanie córka najmłodsza, która nic nie otrzymawszy, z miłości dziecięcej przygarnia starego ojca.

Otóż na Śląsku pieśń ta nie ma ani sreber domowych, ani mebli w posagu, bo dwór szlachecki nie wchodzi tu w rachubę. Bezpośredniość epiki śląskiej powiada w pierwszej zwrotce, że „siedlaczek miał trzy cery, wszystkie mu się wydały. Jak tę pierwszą wydawał, to ji trzysta wianował, jak tę drugą wydawał, to ji dwiesta wianował, jak tę trzecią wydawał, to ji nic nie wianował". Tu jest sumaryczność w exposé pierwszej zwrotki, a bohaterem głównym jest „siedlaczek", rolnik, gospodarz wiejski. „Siedlaczek się zestarzał, wziął loseczkę, zapłakał, do tej pierwszej pobieżał, co ji trzysta wianował. Dziecio moje, dziecio me, nielza robić chowaj mnie." Wyrodna córka „do kumorki bieżała, powroza mu podała: oto macie, to macie, to się na tem obieście". Druga podała mu torbę: „Oto macie, to

macie, do tego se żebrejcie". Najmłodsza „do kumorki bieżała, chleba z masłem podała: oto macie, to macie, a dziecio mi kolybcie". To regionalne śląskie uproszczenie pieśni ludowej jest wzruszające. Takich uproszczeń i przystosowań jest zresztą więcej.

Cała Polska zna piosenkę o Małgorzatce, która „za borami, za lasami tańcowała z huzarami". Za Małgorzatką „przyszedł ojciec, przyszła matka: pódzi do dóm, pódzi do dóm, Małgorzatka! Ja nie pójdę, idźcie sami, wolę sobie potańcować z huzarami." Na Śląsku tańczy nie Małgorzatka, ale Maryjanka. „Woła ociec, woła maci, a pódź że ty, Maryjanko, domu spaci!" Maryjanka odpowiada bardzo regionalnie: „Ja nie pójdę, boch nie wasza, boć-ech ja je Maryjanka ze sałasza". I raptem refleksja: „Pod jaworem biały korzeń, gdo miłuje po dwie, po trzy, to je błozen. Na jaworze biały kwiatek, kolebała Maryjanka dwoje dziatek. Kolebała a płakała: czegożech się, niebożątko, doczekała."

W pieśni „Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna..." — na Śląsku nie śpiewa się „Ja pójdę górą, a ty doliną", lecz „Ja pójdę wyrchem..." Po całej Polsce znana jest piosenka o wybrednej pannie, po kolei odrzucającej mężów, których „jej dają..." W zielonym gaju liście padają, ej matko, matko, pierwszego mi dają..." Po kolei odrzuca wszystkich z motywacją podyktowaną głównie elementarnymi przepisami wersyfikacji, aż zatrzymuje się na ósmym. „A ten ósmy bardzo słuszny, już wyjdę za niego". Na Śląsku kandydaci na mężów wymieniani są według zawodów i nie w gaju liście padają, ale „w moim ogródeczku liście padają. ej juścić mi juści, szewczyka dają. Szewiec ma szydełko, to jego bydełko, jo nie pójdę zań..." Dalej: „garncarz babrze w glinie jako świnia w g..." Albo: „masarz bodzie nożem, przydzierża powrozem", „kuśnierz smerdzi czasem" itd. Dopiero krawiec znajdzie łaskę w jej oczach. „Krawiec szyje igłą, a ja rada igrom, to ja pójdę zań".

Znane są też na Śląsku różne polskie piosenki żartobliwe. jak np. ta o „kusym Janku, co chodził z toporkiem, kijaszkiem się opasywał, podpierał się workiem", o Magoli z krzywymi nogami, której radzono: „każ je sobie wyprostować, nie będzie cię nic kosztować". Są też liczne piosenki o miłości nieszczęśliwej, jak owo narzekanie dziewczyny: „Nieszczęśliwy ten domeczek, gdziem straciła swój wianeczek". Że niektóre pieśni ludowe śpiewane tu są

z pewnymi odmianami gwarowymi i wariantami tekstu, to zjawisko powszechnie znane, którego tłumaczyć i objaśniać nie trzeba. W piosence o dziewczynie i panu, co jej potłukł dzban, tekst śląski brzmi: „Potkał się z nią pan, pan, pan, co ji rozbił żban, żban, żban...“ Śród piosenek łowieckich nie brak na Śląsku Cieszyńskim odmiany piosnki o „zajączku, co siedzi pod miedzą, a myśliwi o nim nie wiedzą“. Tu, oczywiście, „myśliwcy“, nie myśliwi. Inna piosenka łowiecka, w której dochodzi do podziału „tobie zając i sarna, a mnie soból i panna“, brzmi na Śląsku nieco odmiennie. „Pojademy na gon, na gon, towaryszu mój...“ Żołnierskie pieśni na Śląsku są niemal wyłącznie świeższej daty. Odgrywa w nich dużą rolę cesarz, kabat żołnierski, dziewczyna, z którą trzeba się rozstać, koniczek, szabelka i w ogóle rekwizyty mocno zużyte. Najpiękniejsze piosnki żołnierskie, śpiewane u nas od bardzo dawna i odrodzone przez Legiony, jakoś nie dostały się do zbiorów, które wyszły pod koniec wieku zeszłego.

Śród piosenek i przyśpiewek pasterskich zwraca na siebie uwagę przede wszystkim tak zwane „*helokanie*“, czyli śpiewne nawoływanie się przez pasterzy i pasterki, pasących bydło niedaleko siebie. „Helo, helo, maliczko: daleko tam pasiesz, Haniczko? Oto niedaleczko, jeno przez poleczko, o góry o dwoje, przez zielone goje...“ Albo: „Helo, helo, Janiczku nadobny, jako ci się pasie?“ Odpowiedź brzmi: „Helo, helo, Haniczko nadobna, dobrze mi się pasie, a tobie jak zasie?“ Takie „helokanie“ jest także wymianą wiadomości, rzucaniem pytań i otrzymywaniem na nie odpowiedzi, albo wabieniem dziewczyny: „Helo, helo, Marynko, ku mnie helo! Pożeń że tu ku mnie, je tu trawka u mnie...“ Niektóre teksty „helokania“ są rodzajem zaklinania czy czarowania: „Helo, helo, Haniczko, ku mnie helo! Helokám, helokám, dawam chleb żebrákom, a twaruszki żydom, ać się za rok wydom...“ Ten ostatni tekst żywo przypomina wołanie dziewcząt francuskich w sierpniowe noce: „*Août, août, doux mois, dis moi quand me marierai-je? Dis moi doux mois!*“

Wysoce charakterystyczne dla duszy ludu śląskiego są pieśni rozpamiętujące życie, melancholijne i posępne. Zbieracze zamieszczają je w zbiorkach pieśni ludowych śród pieśni miłosnych i łowieckich, żołnierskich i pasterskich, ale pieśni te mogłyby

znaleźć odpowiednie dla siebie miejsce także w starych śląskich kancjonałach. „O spomnij człowiecze, że żyjesz na świecie. Nie bydź tak zuchwałym, pysznym i wspaniałym na świecie. Obróć twoje oczy, co się hań to toczy; na mizernym świecie prędko śmierć zagniecie człowieka. Nie trwa papieżowi ani też księdzowi: biere i panięta, biskupy, książęta do ziemie...“ Już sama forma tej pieśni i język świadczą, że mamy tu do czynienia z utworem, bliskim duchowi baroku literackiego, czyli wieku siedemnastego. Jej tonem zasadniczym jest Salomonowskie *vanitas vanitatum*. Nawet hetmańska zbroja i ta idzie do gnoja, konie i stroje wspaniałe — wszystko przepada. „Nie pomoże doktór ani pieniędzy wór, ani lisza szuba: pódź do fojta, Kuba, bo już czas.“ Inny śpiewak śląski pociesza się, że choć ludzie miejsca dla niego nie mają, on sam je sobie znajdzie. „Ej na pierścieckim kierchowie (cmentarz z niem. Kirchhof, z czeska krchov), ej to tam je miejsca dlo mnie. Ej na pierścieckiej zwonicy to tam są moi muzycy. Ej, jak mi oni zaczną grać, to ja będę twardo spać. Ej choćby grali sto godzin, to ja się już nie obudzim. Choćby grali bai dwiesta, już daleka moja cesta.“ Liryzm tej ostatniej pieśni jest mocny, rzetelny i prawdziwy. Nie ma tu ckliwości, ale jest pogodzenie się z losem człowieczym i z tym, że gdy „muzycy pierścieckiej dzwonnicy“ zaczną grać, to śpiewak będzie twardo spać i już się nie zbudzi, choćby dzwony grały sto godzin. Radości życia dobiegły końca, swawola młodości dojrzała w mądrość, która patrzy na znikomość wszystkich rzeczy tego świata i jedna się z nią.

W zbiorach pieśni ludu śląskiego spotykamy także liczne k o l ę d y; formalnie i treściowo są one czymś z pogranicza między śpiewem o określonej melodii a recytacją, która się o melodię i rytm nie troszczy. Kolęda łączy się z kolędowaniem i ma podwójne znaczenie: śpiewu, połączonego z życzeniami dla adresatów, i ofiar, które kolędnicy otrzymują za swoje śpiewanie. Charakter kolędy wyrazi może najdokładniej fakt, że po kolędzie chodzili tylko ludzie ubodzy i wybierali dla swego kolędowania domy gospodarzy zamożniejszych, gdzie za kolędę czekała obfita „kolęda“. Kolędnicy śpiewali gospodarzom rzeczy dla nich miłe, wplatając w swój śpiew życzenia i starając się o to, aby kolędowanie było dowcipne, a w każdym razie wesołe, iżby się ludzie śmiali, a tym samym nabierali

ochoty i skłonności do obdarowania kolędników. Celem kolędowania było otrzymanie jak największej kolędy, czyli ofiar, przeważnie w naturze dawanych, chociaż nie były wyłączone i datki pieniężne.

Temu na wskroś praktycznemu, doraźnemu celowi podporządkowywano teksty kolęd, w których trudno znaleźć ślad piękna pieśni ludowej, a jeszcze trudniej dowcip i nieraz zdrowy sens. Śpiewacy kolęd wędrowali z tekstami odziedziczonymi po swoich dawnych poprzednikach, a ponieważ cel uświęcał tu środki, mogły sobie te środki być jakie takie, byle tylko kolęda była obfita. W kolędzie mieszczą się elementy najróżniejsze. Jest to bardzo powierzchowna kompilacja, ułożona z kantyczek, liryki, pieśni miłosnych, epiki, improwizowanych madrygałów na cześć gospodarzy i Bóg wie czego tam jeszcze. Zawsze troszczono się jedynie o to, aby kolędowanie było możliwie wesołe, bo ludzie smutni i nadąsani nie bywają dobrymi ofiarodawcami. Gospodarza wychwalają kolędnicy, że pracowity, dzielny, mądry, że ma w gospodarstwie wielki porządek, a przy tym życzą mu żniw bogatych, dobrego zięcia, długiego życia, zdrowia, majątku. Pannie na wydaniu, oczywiście córce gospodarskiej, śpiewają komplementy niby to w imieniu jakiegoś jej wielbiciela, o którym wiadomo, że byłby gotów starać się o rękę owej panny.

Zastanawiają się śpiewacy, ciągle w imieniu nieobecnego wielbiciela, czym by tak uradować serce pięknej panny i pozyskać je dla siebie. „Kupię ja ji przepiękną sukienkę na jeji ramionka. Spomnij na nas kolędą!“ Szydło celu wyłazi tu od razu z worka kolędowania. „Kupię ja ji przepiękny fartuszek na ten jeji brzuszek. Spomnij na nas kolędą!“ Obiecują pończoszki i trzewiczki, w ogóle wszystko, co zdaniem kolędników może uradować serce słuchaczki. Kolędę taką kończą zgoła niedwuznacznie: „A ona już stawa, kolędę nam dawa, a ona już stąpa, kluczykami brząka. Szwarnaś, pięknaś, dzieweczko nadobna. Spomnij na nas kolędą!“

Cel jest tu mniej więcej taki sam, jak przy niedawnym jeszcze chodzeniu *po dyngusie*. Dzieci, a nawet dorośli ubodzy, chodzili w poniedziałek wielkanocny po domach zamożniejszych sąsiadów i za śpiewanie otrzymywali jajka malowane, ciasto, a nawet grosze.

W Czechach i na Morawach to chodzenie po dyngusie, połączone ze smaganiem gospodarzy, osobliwie zaś panien, młodymi pędami wierzbowymi, które uważano za „pomładzające“ (pomlázka), jeszcze dzisiaj nazywa się kolędowaniem (koleda). Śpiewanie dyngusowe, podobnie jak kolędowe, było jasne i niedwuznaczne: „Przyszliśmy tu po dyngusie, zaśpiewamy o Jezusie, a ten Jezus, bardzo mały, da nam ciasta dwa kawały.“ Jeśli po dyngusie chodzili starsi chłopcy, a ochota była duża, to odważano się na śpiewanie tekstów równie wymownych, ale nieraz bardzo familiarnych. „Chrystus zmartwych wstaje, dawaj, babo, jaje, a ty, dziadu, kiełbasę, bo cię kijem wystrasę, Alleluja!“ Troska o treść i formę prawie żadna, podobnie jak w wielu kolędach śląskich, gdzie nie brak takich bezprzedmiotowych, powiedzmy, benedykcji: „Chłop w stodole, wygląda na pole. Kolęda hej. Boże to dej!“ Co tu ma Bóg dać, nie wiadomo. Niegdyś zapewne było w kolędzie coś obrzędowego, pochodzącego z czasów może przedchrześcijańskich. Kolędnicy przychodzili z realnym błogosławieństwem obrzędowym, które miało niewątpliwie pewną uznawaną wartość i otrzymywali w zamian równowartość w naturaliach. Obecna kolęda i kolędowanie to przeżytki podtrzymywane jedynie przez względy natury praktycznej. Teksty niektórych kolęd, a przynajmniej pewne w nich wyrazy, stały się niezrozumiałymi. Podczas gdy klasyczna pieśń ludowa zawsze o czymś mówi i coś odsłania, kolęda raczej maskuje istotny cel kolędowania, przynajmniej w dzisiejszej swej postaci. Kolędnik chce otrzymać kolędę, nie jałmużnę, zgadza się uchodzić za kolędnika, nie zgodziłby się na to, aby go uważano za żebraka.

Jest jeden jeszcze rodzaj pieśni, a raczej piosnki stosowanej, bardzo obfity na Śląsku, a mianowicie tak zwany przyśpiewek taneczny. Już sama nazwa mówi, że go się nie śpiewa jako pieśni będącej celem samej sobie, ale że się go do czegoś przydaje, przyśpiewuje. Dzisiaj tańczy się zawsze przy dźwiękach muzyki, a tancerze tańczą parami. Dawniej grupa tańcząca była i chórem i korowodem równocześnie. Taniec bywał obrzędem nie tylko w Grecji starożytnej, ale także w innych krajach i śród innych ludów. Wyrażał przede wszystkim pewne uczucia radosne, i przyśpiewy miały na celu podnoszenie ochoty tańczących albo wytworzenie nastroju pożądanego. Tak samo zresztą jak dzisiaj, gdy ta-

niec obrzędowy już dawno zniknął i gdy tańczenie jest wyłącznie wyrazem radości życia, wyładowaniem nadmiaru energii. Typowym przykładem przyśpiewu tanecznego jest tak zwany *klaskany*. Tańczące pary klaszczą w dłonie, uderzają się dłońmi po bokach, potem uderzają się wzajem dłońmi w dłonie i śpiewają rytmicznie w takt tych klaskań: „Jeśli ty mnie chcesz, to ja ciebie też; pani mama pozwolili i pan tata też". W tańcach grupowych w miarę, jak się sprawa taneczna rozwija w różne figury, posuwiste, wirujące, czy skakane, przyśpiew bywa przystosowany do ruchu i rytmu, a także do nastroju, jaki taniec wyraża. W przyśpiewki te włącza się nieraz docinki życzliwe lub krytyczne o stosunku dwojga młodych do siebie, o przyszłym ich narzeczeństwie czy bliskim małżeństwie, a często-gęsto dostaje się temu i owemu z uczestników zabawy życzliwie uszczypliwe słówko prawdy o jego charakterze, zwyczajach, opieszałości czy lenistwie, wszystko, oczywiście, w tonie żartobliwym i na wskroś przyjaznym. Chodzi o to, aby było wesoło, aby wzrastała ochota.

Przyśpiewy te są zazwyczaj krótkie, dobrze skandowane, jak np.: „Siedzi dudek na kościele, warzy piwo na niedzielę; co nawarzy, to przepije, przyjdzie do dom żonę bije. Żona płacze, lamentuje, a ten gałgan podskakuje." W kołomyjce np. śpiewa się często: „Ożenił się szwiec, żonka poszła precz, dogonił ją pod jabłonią, wysmagał jej d... dłonią: to masz na czepiec". Albo aluzja do jednego z obecnych dziewcząt: „Kołomyjka mik, mik, mik, ożenił się sukiennik (tu wstawia się czasem imię chłopca). A cóż se wzion za żonę? Pindorową (nazwisko zmienia się odpowiednio) Marynę", albo Haniczkę, Zuzankę, Dorotkę... Skandowanie jest tu rzeczą tak ważną, że śpiewa się cokolwiek, byle był dobry rytm taneczny. „To je kółko, to je wodne, a to małe, a to godne, to kółeczko, a to pół, to je kółko, a to kół. To je kurka, to je grzęda, to kokotek na ni śpiewa, to są gęśle a to bas, to je cymbał, a tu zaś" (a tu znowu, czyli jeszcze jeden). W miarę jak się ochota taneczna podnosi, przyśpiewki bywają coraz weselsze, swawolniejsze, niekiedy nawet bardzo swawolne, bo do tekstu przemycają się słowa, jakich się zazwyczaj w towarzystwie nie używa. Jest tu, oczywiście, i przyśpiew o klasycznym „chmielu" z pewną odmianą lokalną: „Dybyś ty, chmielu, po tyczkach nie loz, nie robiłbyś ty z panienek niewiost.

Ale ty, chmielu, po tyczkach leziesz, niejedną panienkę z wianka wywiedziesz."

W zbiorach pieśni ludu śląskiego wszystkie teksty są zrozumiałe dla mieszkańców polskiego obszaru językowego. Śród przyśpiewek tanecznych do kołomyjki mamy np. takie: „Hopa, ciupa, kole Jewy, nalała mi do cholewy, a cóż jest komu potym, że chodzę z mokrym butem? Kołomyjki tańcujcie, jeny pieca szanujcie, trzeba pieca na zimę, nie każdy ma pierzynę". Ale tuż obok takich tekstów rdzennie polskich, mamy teksty mniej zrozumiałe, albo zgoła niezrozumiałe, które do zbiorów pieśni śląskich dostają się chyba przypadkowo i przez nieporozumienie. Do takich obcych naleciałości należy taka np. przyśpiewka:

Siedlak rano wstanie, idzie na masztale,
Krzyczy na pachołka jesli je rzezanka.
Rzezanka pro konie, rzezanka pro konie.
Dyś ty siedlak pan, rzezaj se rzezanke sam,
Ja sie bede dziwać, jak ci bedzie litać
Rzezanka od stolice, ja pójde k swej panience.

To jest przyśpiewka czeska, ledwo jako-tako sfonetyzowana po polsku. Dla Polaka jest tu szereg wyrazów zgoła niezrozumiałych, jak: masztale — stajnia, pachołek — parobek; rzezanka — sieczka; rzezać — ciąć, siec; dziwać się — patrzeć. Wiele z takich piosenek czeskich przywędrowało na Śląsk Cieszyński drogą bardzo okólną przez młodzież służącą w wojsku razem z Czechami. Młodzieńcy tacy przyswoili sobie język swych kolegów czeskich i ponauczali się od nich wielu piosnek. Ale rzecz charakterystyczna, że te czeskie piosenki, śpiewane na Śląsku, mają fonetykę polską. Powtarza się tu to samo, co z kancjonałami czeskimi: lud polski korzystał z nich, bo innych nie miał, ale śpiewając czeskie pieśni kościelne, słowa czeskie wymawiał po polsku. Natomiast te pieśni i piosnki polskie, które lud śląski dzielił z całym obszarem mowy polskiej, mają na Śląsku fonetykę polską zgoła poprawną.

Kiedym zbierał piosnki ludu śląskiego, pomagała mi wydatnie młodzież szkolna, spisując piosnki, śpiewane w różnych okolicach Cieszyńskiego. Śród tych piosnek poznajdowałem wiele odmian lokalnych tej samej treści, a także piosnki, których nie ma w zbiorze Cinciały. Zapisuję tu niektóre z nich, żeby je uchronić przed zapomnieniem.

Nad Dunajem stoi bronny*) kóń,
kolaseczka malowano,
osiodłany kóń.
Pod tym kóniem strzybno podkowa,
powiydz mi ty, ma dzieuszko,
będziesz-li moja?
A jo ciebie, synku, nie chcym,
bo ty w karty grosz.
A jo ciebie, dzieucho, nie chcym,
czorne nogi mosz.
A jo pójdym do Dunaja,
umyjym nogi,
a ty przegrosz sto talarów,
bydziesz ubogi.
A cóż to je sto talarów, —
to je nie wiela.
Panna głowy nie czesała
siódmo niedziela.
A cóż ci je, mój syneczku,
do moji głowy,
osiodłej swojego kónia
a jedź do wojny!
Jak jo na wojne pojadym,
kożdy cie minie,
i pastucha na pastwisku,
co pasie świnie.
A czy to też nie sóm ludzie,
co pasóm świnie?
Co mi Pan Bóg zaobiecoł,
to mnie nie minie.

* * *

Choinko jodłowa,
nie opuszczaj goja,
jako mnie opuściła
galaneczka moja.
Jedna mnie opuściła,
druga mi skazuje**),
abych jo do ni przyszoł,
to mnie przenocuje.
Lepszy sie je wyspać
pod lipkom zielonom,
niż w ładnym łóżeczku
ale z brzydkom żonom.

*) Wrony — czarny. **) Każe powiedzieć.

Bo pod lipkom zielonom
ptaszkowie śpiewajom,
a gdy śpiym z brzydkom żonom
to mnie pchły szczypajom.

* * *

Mamuliczko moja, galani*) jadóm.
Ej, moja córeczko, na czem się wiezóm?
Szajarek na wozie, Durczoczek na kozie,
a mój najmilejszy w pieknym powozie.
Mamuliczko moja, galani jadóm.
Ej, moja córeczko, cóż im jeść damy?
Szajarkowi zimioczki, Durczoczkowi szupoczki**),
a najmilejszemu kawę z kołaczami.
Mamuliczko moja, galani jadóm.
Ej, gdzie ich przenocować, moja córeczko?
Szajarka za piecym, Durczoczka pod piecym,
a mego najmilejszygo sy mnóm w łóżeczku.

* * *

Trómby grajóm, bymbny bijóm,
wojoczkowie maszyrujóm.
Jo bych też tak maszyrowoł,
dyby mi kto kónia siodłoł.
Starszo siostra usłyszała,
wnet kóniczka osiodłała,
druga pieknóm szable dała,
a ta trzecio zapłakała.
Nie płaczcie, siostry, o brata,
przyjedzie on za trzy lata.
Trzy lata już przemijajom,
siostry brata wyglądajom,
a on leży w szczyrym polu,
mo głowiczkem na kamiyniu.
A kóń jego koło niego
grzebie nóżkom, żałuje go.
Stowej panie, stowej, nie leż,
dowołeś mi siano, owies,
teroz nie dosz ani sieczki,
stojem we krwi po kosteczki.
Teroz nie dosz ani słómy,
rozdziobiom cie kruki, wróny.

Śród tych piosenek, jakie otrzymałem od różnych przyjaciół, znalazło się kilka weselnych, a właściwie i przedweselnych. Na Śląsku śpiewało się dawniej dużo i dlatego nie brakło tam śpiewaków.

*) Konkurenci. **) Fasola z krupami.

którzy umieli piosenki „składać" przy każdej sposobności. Śpiewano nie tylko na weselu, ale już przy swataniu.

Kaj idziesz tak wygolóny?
Do Szónowa chledać*) żóny.
Poco masz iść tak daleko,
idź do Czyża pod okiynko,
je tam dźiywka do wydaju,
jeszcze ji też coś przydaju.
I porzóndek tam niemały,
kury w izbie gniozdo miały,
miski stojóm pod stolicóm,
sóm przykryte zapaśnicóm**),
garce leżóm pod ławami,
przysute sóm oszkwarami***),
a dzioucha je zamazano,
trzy lata już nieczesano.

Przy zapowiedziach śpiewano narzeczonym przy nadarzonej sposobności taką przekorną piosenkę:

Do stanu małżeńskiego
umienili wstómpić:
Jan Bojda z Rychwołda,
a biere se za żóne
pannę Zuzankę z Pietwołda.
Ona mo wiana
dwie ociepki*) siana
i dwie sta złotych
z biołej rzepy nakrotych**).
Oba sum poczciwego stanu,
wczoraj wyszli z kryminału,
ón bierze, óna kradnie,
żyjóm w kupie przykładnie.
Ogłoszo sie po pierwszy roz.

Dzień weselny zaczynał się już rano. Goście zaproszeni przez pannę młodą, zbierali się u niej, goście pana młodego — u niego. Po śniadaniu pan młody ze swoimi gośćmi, wystrojonymi odpowiednio, udawał się do domu panny młodej, ale drzwi zastawał zamknięte. Gdy wychodził przed dom gospodarz, starosta weselny, zazwyczaj człowiek wygadany, zabierał głos i wywodził w kwiecistym przemówieniu, iż słyszeli, że gospodarz przechowuje w domu

*) Szukać. **) Zapaska, fartuch. ***) Skwarkami.
*) Wiązeczki. **) Nakrajanych.

wielki skarb. Chcieliby go nabyć, ale nie przynoszą z sobą ani złota, ani srebra, lecz prowadzą młodziana zacnego. Druhna panny młodej domagała się od pana młodego okupu; na to starosta, że naprzód chcieliby zobaczyć pannę młodą. Wtedy przyprowadzano starą jaką babinę. Pan młody jej nie chciał. Po chwili przyprowadzano małą dziewczynkę, na co swat mówił, że ta jużby się prędzej podobała, tylko że trzeba poczekać.

Słysząc to, występowała druhna panny młodej w jej niejako imieniu i nuż karcić pana młodego:

Ty żenichu, fałeszniku, ślubowałeś, że se mnie weźmiesz,
jak to jare żytko zeżniesz.
Jare żytko jużeś zżął, pokludził*), a mnieś oszydził**).
Czy ty nie wisz, jak my siodywali po tum dziurawóm gruszkóm,
na tej złumany ławce,
jak nas tóm słómiannóm wodom polywali,
a teroz mnie nie chcesz?
Wodziłeś mnie od budy do budy
a kupowołeś mi wszelakie paskudy.
Ślubowołeś mi złote góry, żebym cie chciała,
a teroz mnie nie chcesz?

Pan młody tłumaczył się:

Tyś nima ta samo, bo mosz wiónek czerwiony.

A na to druhna:

Tyn zielóny mi koza zeżrała,
to jo se tyn czerwiony na głowe dała,
abych ci sie podobała.
Jak ty mnie już nie chcesz,
to se weźnij co chcesz.
A jak bydzie w Mistku sztwortek***)
to se kupiym chłopa i troje portek.
Ty mosz ynym jedne,
a jeszcze na zadku potargane.

Kończyły się wreszcie te przekomarzania, pan młody wchodził do panny młodej, którą tymczasem ubierano do ślubu, młodzi otrzymywali błogosławieństwo rodziców i wszyscy weselnicy w ustalonym porządku udawali się do kościoła. Po powrocie z kościoła zaczynała się właściwa zabawa weselna z bogatą ucztą, tańcami, śpie-

*) Sprzątnął. **) Oszukał. ***) Czwartek, dzień targowy.

wami, przemówieniami. Tych przemówień było sporo. Starosta weselny pouczał młodych jak mają z sobą żyć, jak dbać o siebie, jak wychowywać dzieci Bogu na chwałę, ludziom na pożytek. W te kazania starosty druhny i drużbowie wpadali coraz częściej żartobliwymi docinkami i uwagami, starosta przygotowany na nie, odcinał się z miejsca i ochota rosła, chociaż weselnicy na wszystkich weselach słyszeli te same przemówienia i te same pieśni.

Wesele śląskie było tak dalece stereotypowe, że niektórzy wydawcy, aby przyjść z pomocą zawodowym starostom weselnym. wydawali dokładne przepisy, jak mają być urządzane te wesela, jakie pieśni należy śpiewać, jakie mowy wygłaszać. Zdaje się jednak, że te stare zwyczaje zanikają powoli. Gdy się jest na Śląsku, widuje się niekiedy wozy z muzykantami i weselnikami, zajeżdżające do panny młodej. Panny są ładnie postrojone na takim weselu, kawalerowie mają u kapeluszy duże chochołki z czerwonymi i niebieskimi wstążkami, przy surdutach „woniączki", czyli niewielkie bukieciki kwiatów. Taki wyjazd do ślubu bywa bardzo malowniczy, ale już i w te dziedziny życia wtargnęła współczesna rzeczowość i nawet uciecha weselna musi się streszczać w swoich zwyczajach i pieśniach.

W zagłębiu karwińskim natknąłem się na starą pieśń górniczą, wartą poznania:

Gdy codziyń się na szychcie w cechhauzie zgrómadzamy,
w tym czasie, Boże nasz, do Ciebie uciekamy.
Nasz chleb powszedni w ziymi w ciymności tam kopiymy,
serce nasze bije, górniczy stan niech żyje:
Glück auf! Glück auf!

Gdy szychta nasza skóńczóno, jasnota promienisto,
blask słóńco, świyże powietrze jest dlo nas radość czysto.
Trud każdy zapominamy, o rodzice, żóny, dziatki,
Bóg daj szczyńśliwy powrót i dostatki:
Glück auf! Glück auf!

Jest to niezawodnie utwór prostego górnika, ale tradycja przypisuje tę pieśń polskiemu inżynierowi Nawrotowi, który przed laty pracował w Karwinie. Czy pieśń ta została wiernie przepisana, nie umiem powiedzieć.



Orłowa. Tablica pamiątkowa w Gimnazjum polskim

Jak cały Śląsk i jego dzieje, tak i jego bibliografia jest przy wielkim bogactwie swoim ogromnie zróżnicowana. O Cieszyńskiem pisali dużo nie tylko Polacy i Czesi, ale także Niemcy i Francuzi. Całą tę bogatą literaturę, dotyczącą Cieszyńskiego, można podzielić na czysto naukową i stosowaną, a raczej przystosowaną do pewnych celów, na bezinteresowną i interesowną. Cytowałem niejednokrotnie tych historyków, etnografów i publicystów czeskich, którzy bez zastrzeżeń przyznawali prymat polskości w Cieszyńskiem. Takie bezinteresowne, obiektywne twierdzenia, jak głosy historyków Praska i Adamusa, językoznawców Šembery, Pastrnka, Polivki, Niederlego, literata Slámy, należą dziś do przeszłości.

Śród współczesnych zainteresowanych pisarzy czeskich są tacy, którzy wręcz twierdzą, że Cieszyńskie zawsze było czeskie i uległo polonizacji, inni starają się przynajmniej utrzymać pozory, że lud śląski nie jest ani polski, ani czeski, ale że przez współżycie kulturalne z Czechami w ciągu paru stuleci, uległ naturalnej asymilacji i stał się czeskim. Gdy język współczesny tego ludu przeczy wyraźnie asymilacji i okazuje się wyraźnie polskim, pisarze tego typu przechodzą wreszcie do twierdzenia, że narodowość to nie tylko język, ale całokształt życia kulturalnego, nawet wbrew językowi, i że pod tym względem Śląsk jest czeski.

W tej literaturze publicystycznej i par excellence stosowanej, znowu mamy do czynienia z pisarzami, którzy usiłują zachować pewien umiar w swoich twierdzeniach i spokój w swej postawie polemicznej wobec Polaków, ale nie brak też i takich, najczęściej przygodnych pisarzy, co o Polakach piszą napastliwie, wzgardliwie i z nienawiścią. Gdy się z obowiązku odczytuje takie rzeczy, opadają po prostu ręce i znika wszelka nadzieja, aby z podobnymi ludźmi można było dogadać się kiedykolwiek. Nawet w takiej księdze pamiątkowej, jak „Památnik“, wydany na pamiątkę uroczyste-

go odsłonięcia pomnika orłowskiego, nie brak stronic napastliwych, poniżających przeciwnika. Do takich przyczynków należy wiersz niejakiego J. Ożany, napisany dla uczczenia pamięci poległych Czechów. W wierszu tym jakoś ogromnie nie w porę autor wyzywa Polaków od „andrusów" i Bóg wie od czego tam jeszcze. Z żalem trzeba dodać, że i po naszej stronie nie brak takich publikacji, chociaż ton napastliwy jeszcze nigdy i nigdzie nie przyczynił się do rozwiązania jakiejkolwiek sprawy powikłanej.

Następnie mamy wiele publikacji, które od początku do końca pisane są w tonie mocno poirytowanym i które nie dopuszczają nawet, aby Polacy mogli mieć słuszność w jakiejkolwiek części sporu cieszyńskiego. To samo można powiedzieć o licznych artykułach prasowych, jakie wciąż pojawiają się w dziennikach prowincjonalnych. Panuje w nich na ogół zjadliwa drwina i jakaś dziecinna pewność siebie. Niepodpisani zazwyczaj autorowie aż do znudzenia powtarzają stare zużyte argumenty o historycznej przynależności Śląska do Czech, o czeskim języku urzędowym, o czeskiej szkole w Cieszyńskiem itd.

Bardzo ciekawa pod niejednym względem jest literatura regionalna. Przy zwiedzaniu okolic Polskiej Ostrawy: Rychwałdu, Michałkowic, Pietwałdu, Szonowa, Szumbarku, zapoznałem się z szeregiem publikacji czeskich, wydawanych przez różnych działaczy czeskich dla uczczenia pewnych rocznic, dla zwrócenia uwagi na istnienie pewnej instytucji i jej działalności w danych okolicach. Do takich prac regionalnych należą między wielu innymi wydane w r. 1901 „Dějiny Polské Ostravy" (Dzieje Polskiej Ostrawy), których autorem jest Karel Jar. Bukovanský; „Obec a panstvi Šenov" (Gmina i państwo Szonów) Hanuša Lankočiego, wyd. 1913 r.; „Vlastivědná topografie obce Petřvaldu" (Krajoznawcza topografia gminy Pietwałd) Jindřicha Karkoški, wyd. r. 1931; „Sbornik 30-leté české kulturní a hospodářské práce v Rychvaldě" (Praca zbiorowa 30-letniej czeskiej pracy kulturalnej i gospodarczej w Rychwałdzie), redagowanej przez Karola Nováka i wyd. r. 1925; „Obec a panstvi Šumbark" (Gmina i dominium Szumbark) Adolfa Sobka, wyd. r. 1925 itp.

Są to książki niewielkie, niekiedy bardzo małe rozmiarami, jak np. prace Adamusa w rodzaju znanych jego rozpraw o szkolnic-

twie cieszyńskim w ogóle, a o szkole niemiecko-lutyńskiej „przy kościele“ w szczególności, ale zawsze jest w nich sporo materiału, dotyczącego stosunków lokalnych i ilustrującego wspaniale wielkie historyczne dzieła w ich ujęciu syntetycznym. W wielkich dziełach niema miejsca na szczegóły i drobiazgi kronikarskie, a bez tych szczegółów nie może być należytego rozumienia treści danej historii. Niektóre z tych dzieł, jak praca Karkoški o Pietwałdzie, są bardzo bogate i cenne.

W takiej np. książce Lankočiego można się doczytać rzeczy ciekawych. Szonów miał już w r. 1900 niewielką mniejszość polską, gdyż położony w pobliżu Morawskiej Ostrawy ulegał potężnym wpływom przede wszystkim czeskiej przewagi gospodarczej, a następnie kultury. Pomimo to nawet w czasach względnie dawnych, gdy w całym Cieszyńskiem obowiązywał język czeski jako urzędowy, przebija się tu stale język polski. Działo się właśnie to, co tyle razy stwierdził Adamus, mówiąc o Ślązakach: „Nie mogli oni wyprzeć się swej natury; starali się pisać po czesku, lecz widzimy, że właściwie byli to Polacy“.

W Szonowie nie pisano czeskich „účtów“, ale pisano polskie „rachunki“. I nie tylko w Szonowie, ale w całej rozległej okolicy. W r. 1831 gmina Racimów zestawia swoje „rachunki“, a w nich umieszcza takie pozycje: „Posłowi, co kuryndy roznosi, rocznie.... Kominiarzowi, czasem kuminiarzowi... Rekrutom się wydało... Na światło przy wizytyrowaniu gminy... Za truhłę wojokowi, co się zastrzelił...“ itp. Wszystkie te zwroty są zdecydowanie nieczeskie i jawnie polskie. Kominiarz nazywa się po czesku „kominik“, rachunek „účet“ itd. W spisach podanych w tej książce, połowa nazwisk jest wyraźnie polska, a śród nich są takie: Młotek, Kania, Zegzulka, Buroń, Jarosz, Urbaniec, Bernacik, Kiszka, Folwarczny, Wałowy, Gajowski, Pieronek, Ożana, Wieczorek, Guńka, Zając, Strumiński... Jednakże tutaj spotykamy już bardzo wiele nazwisk czysto czeskich, niezawodnie imigrantów z Czech lub z Moraw.

Z książki Sobka o Szumbarku dowiadujemy się, że już od roku 1848 zaczyna się tu walka o język polski w szkole i kościele. Uświadomienie narodowe torowało sobie drogę wolno, ale nieustępliwie. W r. 1880 było w Szumbarku 744 mieszkańców, w czym

tylko 17 Polaków i 23 Niemców. Wszyscy inni uważani byli za Czechów. W dziesięć lat później na 897 mieszkańców, Polaków jest 887, Czechów 3, Niemców 7. W r. 1900 Polaków jest 1060, Czechów 27, Niemców 10. Po latach dziesięciu, czyli w czasie ostatniego spisu austriackiego, naliczono Polaków 1235, Czechów 64. Niemców 19. Pierwszy spis czeski w roku 1921 zmienił sytuację gruntownie, pozostawiając Polaków tylko 502, a liczbę Czechów podnosząc przeszło dziesięciokrotnie.

Rzecz prosta, że nie są to Czesi rodowici, ale konwencjonalni. W spisie właścicieli nieruchomości tej gminy na 181 numerów jest zaledwie 28 nazwisk o brzmieniu niepolskim. Obok nazwisk, jakie już spotykałem w innych gminach śląskich, tutaj są nazwiska nowe: Dzik, Chrobok, Latocha, Kwapuliński, Fukała, Chodura, Chmiel, Szybka, Kocur, Dóniczka... Przed rokiem 1844 nikt tu nie myślał o swojej przynależności narodowej i dopiero od tego roku zaczyna się budzić świadomość narodowa, przy czym zrazu niemal wszyscy mieszkańcy, ulegając zapewne sugestii postronnej, uważają się za Czechów.

Daleko bogatszą treść ma „Vlastivědná topografie obce Petřvaldu" Karkoški. W starych spisach mieszkańców gminy Pietwałdu z r. 1787—89 mamy prawie wyłącznie nazwiska polskie, ale śród 163 poległych w wojnie światowej a pochodzących z Pietwałdu i okolicy mamy już dużo nazwisk czeskich i niemieckich. Oczywiście, autor piszący po czesku, jest święcie przekonany, że opisuje czeską gminę i czeski lud, ale przytoczone przez niego przykłady tej czeskości w postaci pieśni ludowych, gadek, a nawet mętowania przy zabawach dziecięcych, mówią co innego.

Oto jak dzieci pietwałdzkie mętują przy swoich zabawach:

Cebulka z czoskiem
siedziała pod mostkiem.
Czosneczek się opiuł
cebulkę utopiuł.

* * *

Zgadu, zgadu, zgadula,
gdzie moja złota kula?
Pod pasym harasym*),
Dowej mi jum z ocasym**).

---

*) Haras — tkanina. **) Ocas — ogon, z czeskiego.

Joch je Rusek a móm brusek*)
za pół piynta dolara.
Kto chce brusić, musi prosić
od wieczora do rana.

* * *

Koci, koci, kociany
pojadymy do mamy,
a od mamy do taty
po ty stare galaty.**)

Jest tu inna wymowa, ale treść ta sama, jak w całej Polsce. W okolicach Warszawy dzieci mętują np.: Koci-koci, łapki, pojedziem do babki, a od babki do taty, jest tam piesek kudłaty. Karkoška podaje sporo pieśni ludowych, których nie ma np. w zbiorze Cinciały. Do takich należy m. i. regionalna odmiana pieśni myśliwskiej, dobrze znanej po całej Polsce.

Niekiery myśliwiec po polu poluje,
a jak nic nie nojdzie, mocno sie frasuje.
Aj-aj-aj co za przyczyna,
że w tym naszym lesie zwierzyny nima
 Rozpuściułech swe psy na wsze strόny lasa,
 w tym widze dziewczyne śpiuncόm w postrzόd lasa.
 Aj-aj-aj co za przyczyna,
 jo myśloł, że to zajόnc, a to dziewczyna.
Ach mόj myśliweczku, jakech sie cie zlynkła
aż mi jedna wstόnżka u fartuszka pynkła.
Aj-aj-aj co sie mnie boisz?
Dyć jo jest myśliwiec, przy mnie ostoisz.
 Mόm jo złoty piyrściń, ten darujym tobie,
 ynym mnie, dziewczyno, puść bliżej ku sobie.
 Aj-aj-aj nie stoje o to,
 lepszy je mόj wiόnek, niż twoje złoto.
Mam jo drogi mantel, ten darujym tobie,
ynym mnie, dziewczyno, puść bliżej ku sobie.
Aj-aj-aj sarna w dolinie,
bier sie za sarnami, nie ku dziewczynie.

Albo druga piosenka:

Listeczku dymbowy, nie padej do wody,
nie bedym sie wydawała, aż bedum jagody.
Aż jagody bydόm, to jo sie też wydόm,
aby mi chłop nie wyczytoł, że jo też nic ni mόm.

---

*) Brusek — osełka. **) Galaty — spodnie.

Chwoliłeś sie, że mosz mury,
mosz drzewianke same dziury,
a jo móm jagody, coch naszła u wody.
Chwoliłeś sie, że mosz krowy,
mosz cielinta jako szwoby*),
a jo móm jagody, coch naszła u wody.

Chwoliłeś sie, że mosz świnie,
ale ni mosz szpyrki w zimie,
a jo móm jagody, coch naszła u wody.
Chwoliłeś sie, że mosz szaty,
mosz galoty**) same łaty,
a jo móm jagody, coch naszła u wody.

Takich piosenek można tu nazbierać jeszcze dużo, osobliwie weselnych, które na weselach przeplatane bywają mowami już to poważnymi, niemal kazaniami, już to wesołymi i żartobliwymi. Oczywiście. w okolicach takich, jak Rychwałd i Pietwałd, gdzie panuje przemysł z całym swoim realizmem i racjonalizmem, pieśni i zwyczaje regionalne skazane są na zniknięcie, ale rzecz osobliwa. że pomimo, iż przemysł tych okolic ma już z górą sto lat, pieśni i zwyczaje, które powstały w warunkach gospodarczych zgoła innych, niż obecne, istnieją dotychczas i nie dają się wyprzeć piosnkom kabaretowym, docierającym tutaj tak samo, jak wszędzie.

Nawet krajobraz Pietwałdu ze swą szeroką okolicą jest dziwnie konserwatywny. Lud tu jest pobożny, w olbrzymiej większości katolicki. Kościół parafialny ma zaledwie sto lat, ale całe jego otoczenie ze starą aleją kasztanową i z dwoma rzędami kapliczek pasyjnych wygląda na bardzo stare, obce jakieś tym miejscom i czasom. Może wrażenie takie powstaje dlatego, że wszędzie widać tu wieże szybów kopalnianych, kominy, hałdy, jednym słowem cały ten nieromantyczny i, rzec można, niereligijny przemysł.

Przy drogach spotyka się tu wszędzie małe kapliczki śląskie. w których mogłoby się zmieścić co najwyżej parę osób, jedna przy drugiej. Ołtarzyk z obrazem, kilka obrazków mniejszych na ścianach, lichtarze i wazoniki do kwiatów — oto i wszystko. Strzecha kapliczki miewa zazwyczaj tylko mały krzyżyk u szczytu, ale niektóre z tych kapliczek mają wieżyczkę. O kapliczkach tych wiadomo, kto je budował i dlaczego. Można powiedzieć, że istnieje tu na-

---

*) Prusaki. **) Spodnie.

wet pewna rywalizacja na punkcie budowania takich kapliczek albo figur i krzyży związanych z imieniem rodowym. Tu kapliczka Wicherków, owdzie Pawełków, gdzie indziej figura św. Józefa Szczyrbów albo Pan Jezus upadający pod krzyżem, Bernacików. W mowie potocznej ta figura Jezusa upadającego pod krzyżem, zbudowana w r. 1870, nazywa się po prostu „Upadkiem" Bernacików.

U tych kapliczek przystaje się, jak u tajemnicy. Co one znaczą? Z czym się wiążą? Żarliwa religia jest zawsze związana z niedolą i cierpieniem, ze śmiercią i z walką o życie. I w tych kapliczkach, niekiedy bardzo ubogich, jest to samo, co w starożytnych świątyniach, budowanych bogom w podzięce za zwycięstwo, za wyratowanie z niebezpieczeństwa. Wilgoć kruszy tynk zewnętrzny tych ubogich kapliczek, ale tu jest coś więcej, niż kamienie i tynk, tu jest zamurowane serce ludzkie z jego cierpieniami, nadziejami, smutkami. Dlatego nie podobna przejść koło takiej kapliczki, aby nie pomyśleć o jej założycielu. Czasem jak na Nowej Dziedzinie w Pietwałdzie, widuje się obok takiej kapliczki tablicę z napisem, który jest od niej odległy o całe stulecia. Tu pobożna kapliczka, czyściutka i średniowieczna, a tuż koło niej słupek z tablicą i napisem: „Auto 15 km!"

Pietwałd miał szkołę polska o trzech klasach i jednej paralelce, do której w roku 1920 chodziło 218 dzieci. Szkołę tę pomimo tak dużej liczby uczni zamknięto po rozdzieleniu Cieszyńskiego. Ostatecznie została ona skasowana w roku 1926 rozporządzeniem urzędowym, które brzmi: „Wysłuchawszy zdania krajowej komisji administracyjnej dla Śląska, krajowa rada szkolna rozporządzeniem z dnia 24 stycznia 1926 roku Nr IIb-82 zgodnie z § 9 ustawy z 3 marca 1919 r. Nr 189, skasowała trzyklasową publiczną szkołę polską w Pietwałdzie, ponieważ szkoła ta już od roku 1920 dla braku uczniów była nieczynna. W konsekwencji tego rozporządzenia kasuje się także miejsca nauczycieli przy tej szkole, a mianowicie jedno miejsce kierownika szkoły i dwa miejsca nauczycieli." Teraz istnieją w Pietwałdzie tylko trzy szkoły czeskie — dwie powszechne na Nowej Dziedzinie i na Brzezinach i jedna wydziałowa — oraz prywatna szkoła ludowa niemiecka, utrzymywana przez „Kulturverband". Według spisów urzędowych r. 1900 było w Pietwałdzie 3955 Polaków i 1226 Czechów. Obecnie statystyka urzę-

dowa wymienia 9398 Czechów, a Polaków 124, zaś Niemców — 268. Śród budowli tej miejscowości wyróżniają się: ładny dom Towarzystwa oszczędności, obszerny gmach Sokoła, Dom robotniczy, dwie wielkie szkoły czeskie, kino „Praha“ — oczywiście, wszystko czeskie, — ale najładniejszy jest krajobraz szeroki z widokiem szybów i kominów, z chatami i dworami wiejskimi, a przede wszystkim takie przepiękne szczątki alei topolowej, jakie pokazują tu na Zaryjach.

Równie ciekawa jest książka poświęcona Rychwałdowi, czyli wspomniany wyżej „Sbornik“ na pamiątkę trzydziestolecia czeskiej pracy wydany. Książka ta wyszła w r. 1925, zawiera trochę wspomnień i nieco materiału, ilustrującego życie kulturalne Rychwałdu. Miejscowość ta jest ciekawa z tego względu, że w r. 1900 było tu obok 4458 Polaków tylko 11 Czechów. Dzisiaj statystyka urzędowa liczy w Rychwałdzie 5335 Czechów i 363 Polaków. Rzecz prosta, że nie może tu chodzić o rdzennych Czechów, bo ich tu jest mało, a dawniej wcale ich tu nie było. Nigdy i nigdzie nie było przykładu, aby parę tysięcy Czechów mogło istnieć niedostrzeżonych przez nikogo i nic nie robiących. Już kilkudziesięciu Czechów wystarcza z reguły, aby stworzyli sobie środowisko towarzyskie i ośrodek pracy. To też w Rychwałdzie nie było ich w roku 1900 ani w roku 1910 na pewno. Jeśli statystyka czechosłowacka może dziś operować tysiącami Czechów rychwałdzkich, to jedynie dlatego, że Polaków zapisuje się tu jako Czechów. I dzisiaj, jak dawniej, spotykamy tu typowe nazwiska śląskie, czyli polskie: Niebora, Kempny, Ożana, Szkuta, Zając, Czułek, Brzuska, Jendrulek, Węglarz, Krupa, Krzystek, Nieborak, Pastucha, Kania, Harok itp. Te nazwiska nie są czeskie, ale obok nich jest tu już dużo nazwisk czeskich: Pieniczka, Herzmanek, Škramlik, Sedlaczek, Vodička, Brož, Korzinek itp. To są Czesi rdzenni, pochodzący z Czech albo z Moraw.

Ale co najważniejsze, to fakt, że ludzie wbrew statystyce urzędowej mówią tu sobie najspokojniej narzeczem śląsko-polskim. W Rychwałdzie widziałem dość duży kościół czesko-słowacki. Jest to kościół, który powstał wnet po upadku monarchii habsburskiej. W książce „Dowody polskości Śląska Cieszyńskiego“ Wiesław Wojnar pisze o ks. Vodičce, który z Czech przybył do „Cze-

chów" rychwałdzkich jako duchowny tego kościoła narodowego. Otóż ten ksiądz pisał w piśmie czeskim „Palcat" (Nr 27 z r. 1925), że z Czechami rychwałdzkimi nie mógł się porozumieć.

„Drugiego dnia szliśmy od Rychwałdu — wspomina ks. Vodička... — W restauracji Śliwy czekaliśmy na komisarza rządowego, br. Henryka Šmuka, który pono prowadzi całą tę rebelię przeciwko Polakom i całe to kacerstwo czechosłowackie... Br. Śliwa żartował, wszyscy się śmiali. Abym nie psuł nastroju, śmiałem się również, jakkolwiek nie wiedziałem dlaczego, ponieważ rozumiałem tylko piąte przez dziesiąte z tego, co mówił. W duchu sobie powiedziałem: — No, jeżeli wszyscy tutaj tak mówią, to zanim się tego narzecza poduczę, będę musiał z początku porozumiewać się z nimi na migi". — Innymi słowy, że Czech przybywający z miejscowości rdzennie czeskiej nie rozumie „Czecha" rychwałdzkiego, podczas gdy dla Polaka z którejkolwiek okolicy Polski ta mowa nie przedstawia żadnego sekretu.

Do najmniejszych rozmiarami, ale najcenniejszych dla czytelnika, należą wspominane już nieraz prace prof. A d a m u s a, tworzące wspaniałą ilustrację do wielkich prac syntetycznych o Śląsku. Adamus zna doskonale szkolnictwo śląskie i jego dzieje i dlatego jest on we wszystkich pracach swoich klasycznym świadkiem polskości Cieszyńskiego. Co najważniejsze, ma on olbrzymią zaletę, że w wykładzie swoim nie omija szczegółów, które mają znaczenie nie tylko jako świetne charakterystyki, ale jako zdarzenia decydujące. Gdy czytamy o walkach narodowościowych na Śląsku Cieszyńskim w dawnych czasach, to mamy o nich zazwyczaj wyobrażenie dość mgliste, ale gdy się przeczyta taką broszurę Adamusa o dziejach szkoły niemiecko-lutyńskiej „przy kościele", otrzymujemy obraz bardzo poglądowy tego, co się działo po całym Cieszyńskiem.

Czasami trzeba konfrontować szereg świadectw o tej samej sprawie, aby mieć o niej jakie takie wyobrażenie własne. Na przykład zaprowadzenie kancjonału ewangelicko-polskiego w opracowaniu ks. Jerzego Heczki, pastora ligockiego, Vochala przedstawia jako katastrofę, która spadła niespodzianie na ewangelicki lud śląski. Vochala pisze dosłownie: „Gdy w owych czasach — po roku 1860 — po raz pierwszy zaśpiewano z tego kancjonału w Ligotce Kameralnej, gdzie działał ks. Jerzy Heczko, lud zapłakał i wy-

szedł z kościoła". Jasno i dobitnie: lud zapłakał i wyszedł z kościoła. A więc najostrzejszy protest, na jaki w takich warunkach zdobyć się w ogóle można. Natomiast „Gwiazdka Cieszyńska" z 20 lipca 1861 r. pisze o tej samej sprawie zgoła inaczej:

„Ten ruch, który za ogłoszeniem kancjonału powstał między ludem naszym, nie jest do opisania. Starzy nawet ludzie uczyli się od dzieci, do szkoły chodzących, po polsku czytać, aby się mogli z księgi tej modlić, znaleźli bowiem w niej mowę serca swego. Widzisz ją teraz we wszystkich zgoła chatach parafii byłego obwodu cieszyńskiego, wyjąwszy archiprezbiteriaty frydecki, w którym się mowa już do morawszczyzny skłania, i karwiński, w którym chociaż tak dobrze, jak gdzie indziej w polskim narzeczu mówią, z pewnej strony najniegodziwszych środków użyto, aby jej drogę zagrodzić. Oto zasługa o ojczyznę niemała: wzbudził lud nasz katolicki, od dawna nieprzyjaźnią czasów dla ducha uśpiony" (Wojnar, Dowody polskości Śląska).

Duże prace syntetyczne o Śląsku pozwalają zorientować się w splocie całego szeregu zjawisk na przestrzeni tysiącletnich dziejów, ale gdy chodzi o Śląsk dzisiejszy, osobliwie o Cieszyńskie, to nic nie zastąpi małej rozprawy o dziejach pewnej miejscowości, kroniki, pamiętnika. Dzisiejszy Śląsk to lud, a literatura o Śląsku tym jest cenniejsza, im bliższa tego ludu. Wantuła przed dwoma przeszło laty przypomniał ogółowi naszemu postać doktora Pawła Oszeldy, gorliwego przyjaciela ludu śląskiego, z którego sam wyszedł i świadomego Polaka. Książeczka Wantuły liczy zaledwie trzy arkusze druku, ale jest jedną z tych ścieżek, bez których dotarcie do duszy ludu śląskiego byłoby niemożliwe. Jego matka pochodziła z Liszków, jego ciotka, z którą korespondował w serdecznym tonie gdy był studentem w Wiedniu, nosiła piękne nazwisko śląskich Zabystrzanów. Doktor Oszelda nazywa się w listach swoich żartobliwie „manglerzem" czyli maglarzem, bo jego ojciec miał w Nieborach magiel do maglowania płótna. Karkoška, pisząc w swej pracy o Pietwałdzie o płóciennictwie śląskim, powiada, że każdy płóciennik miewał swoje bielniki jakie takie, naturalne i chemiczne, czy raczej ługowe i chlorkowe, ale nie każdy mógł mieć magiel, potrzebujący napędu wodnego jak młyn. W Trzycieżu miał taki magiel Józef Kocjan, w Nieborach rolnik Oszelda.

Śląsk jest dziwnie żywy i można by powiedzieć czujny. Ludzie wiedzą tu o sobie wszystko. Na przykład na pograniczu Pietwałdu i Rychwałdu stoi samotny krzyż marmurowy z napisem: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?“ W tym wersecie ewangelicznym czuje się krzyk rozpaczy ludzkiego serca. Co się tu stało? Chłopcy paśli bydło na jesieni 1889 roku, a że było zimno, rozpalili ogień i bawili się przy nim, a wreszcie zaczęli skakać przez ogień, strzelający w górę wysokim płomieniem. Młoda dziewczynka, Maria Bernacikówna, idąc za przykładem chłopców, skoczyła także i w tejże chwili zajęła się na niej sukienka i nim wystraszeni chłopcy sprowadzili pomoc, spaliła się. Na pamiątkę tego tragicznego wypadku karczmarz Bernacik postawił ów krzyż z bolesnym wersetem ewangelicznym. Wszyscy tu wiedzą: to jest krzyż Bernacików. I każdy tu ma jakiś swój krzyż, jakąś kapliczkę.

Do bardzo pouczającej lektury, dotyczącej Cieszyńskiego, należy urzędowy „Mistopis Čech, Moravy a Slezska“ (Topografia Czech, Moraw i Śląska). Przy badaniu nazw miejscowości śląskich jest to podręcznik nieoszacowany, bo pozwala stwierdzić, które z miejscowości śląskich mają imienniczki w Czechach i na Morawach. Nie trzeba dodawać, że nazwy czeskie świadczą o pochodzeniu czeskim, nazwy polskie — o polskim. Otóż w Cieszyńskiem niewiele jest miejscowości, których nazwy byłyby podobne do nazw miejscowości czeskich i morawskich.

Śród literatury dotyczącej Śląska Cieszyńskiego nie należy lekceważyć nawet takich np. urzędowych sprawozdań komory cieszyńskiej, które są doskonałym źródłem do poznania gospodarki dóbr arcyksiążęcych. Arcyksiążę gospodarował na 640 km kw., prowadził racjonalną gospodarkę leśną, hodował ryby, prowadził mleczarstwo na wielką skalę, imał się przemysłu, prowadził wielkie browary i gorzelnie. Na przeciwnym biegunie tego posiadacza 640 km kw. ziemi stał posiadacz jednego hektara z domkiem. Ale arcyksiążę był jeden i bardzo nieciekawy, podczas gdy tych innych mieszkańców Cieszyńskiego było parę set tysięcy. Gdy dawniej decydowały o losach kraju jednostki takich arcyksiążąt, później przyszła kolej na ten lud, który zaczął tworzyć dzieje Śląska. Przy studiowaniu dziejów Cieszyńskiego takich rzeczy pomijać nie można.

Śląsk ma i swoją poezję i sztukę. Na losach Cieszyńskiego mocno zaważyła poezja Bezruča. Można powiedzieć, że to on zmobilizował agresywny patriotyzm czeski do walki o Cieszyńskie. Jego „Slezské Pisně" zostały przez nas niezauważone a nawet zlekceważone. Skonfrontował je z dziejami Cieszyńskiego historyk czeski, Adamus, oczywiście, w duchu czeskim, chociaż uczynił to ogromnie uczciwie, respektując prawdę dziejową w sposób godny podziwu i szacunku.

Dzisiaj życia śląskiego nie moglibyśmy poznać wszechstronnie, gdyby nam nie pomogła książka i to każda książka, dotycząca tego kraiku: wielka historia i drobna rozprawa, pamiętnik i kronika, książka do nabożeństwa i sprawozdanie z życia gospodarczego, podręcznik szkolny i list prywatny, artykuł dziennikarski i piosnka ludowa. Dopiero przy zestawieniu troskliwym tych wszystkich źródeł i przy skonfrontowaniu ich z życiem dzisiejszym zaczynamy rozumieć, czym ten kraik był w przeszłości, czym jest dzisiaj i czym stać się może w bliższej i dalszej przyszłości.



Koronki cieszyńskie. Muzeum śląskie w Katowicach

POŻEGNANIE Z ZAOLZIEM

Zbliżał się dzień, który był ostatnim ważności mego paszportu zagranicznego. Myślałem ze smutkiem, że od tego dnia most na Olzie będzie dla mnie znowu zamknięty z tym wszystkim, co jest za nim. Ludzie, których pokochałem i miejscowości, które stały mi się drogimi, zostaną odgrodzone ode mnie gestem strażnika granicznego. Nie popatrzę na piękny kościołekguciański, gdy tego zapragnę, nie będę mógł wzruszać się widokiem przedziwnie ładnej drogi z Błędowic Dolnych do Szumbarku, nie będę wiedział, czy płonie jeszcze „wieczny ogień" w Orłowej.

Dziwny jest ten wieczny ogień! Gdym go widział po raz pierwszy na rynku orłowskim, myślałem, że płomień dobywa się z wylotu komina, ogrzewającego wnętrze kiosku handlowego. Może palą akurat coś bardzo łatwopalnego i stąd ten płomień. Po paru miesiącach, wiosną, gdy już było bardzo ciepło, znowu ten płomień! Co to jest? To gaz kopalniany, metan, zręcznie zbierany i spalany na powierzchni. Gdy gaz ten łączy się w kopalni z powietrzem, następuje wybuch, częstokroć katastrofalny. Encyklopedia

powiada, że ten sam gaz znajduje się w kiszkach ludzi i zwierząt jako produkt fermentacji i ze tworzy on do 50% gazów kiszkowych. Przypomniała mi się ciekawa książka Helana Jaworskiego, „Le Géon, ou la terre vivante“ (Geon, czyli ziemia żywa). Jaworski wywodzi, że ziemia jest organizmem. „Wieczny ogień“ orłowski jest tego żywym dowodem. Płonie już od lat niby w kulcie Gwebrów starożytnych i płonąć będzie jeszcze długo, bo ziemia tu fermentuje tak samo jak fermentują umysły ludzkie.

Tak dużo ładnego i miłego widziałem za Olzą! Bywałem gościem zamożnych rolników i domkarzy, robotników kopalnianych i działaczy społecznych, a wszędzie spotykałem tyle serca i takie pogotowie przyjaźni, iż trudno pogodzić mi się z myślą, że tamten świat zostanie dla mnie znowu zamknięty i daleki. Dlaczego tak jest? Przed wojną można było przechodzić z kraju do kraju i nikt o paszport nie pytał. Teraz narody i państwa poodgradzały się od siebie nieufnością, podejrzliwością, miejscami nawet nienawiścią.

Na przedwiośniu 1936 roku byłem w Orłowej i wtedy było mi danym poznać państwa Feliksów. Dyrektor Feliks z miłością i dumą pokazywał mi wtedy polskie gimnazjum, którego jest kierownikiem. Po skończonych lekcjach chodziliśmy od klasy do klasy, od gabinetu do gabinetu. Wszędzie było czysto, jasno. Widziałem celowo urządzoną salę do nauki rysunków, ładną aulę do uroczystości szkolnych, gabinety do doświadczeń i zajęć praktycznych. Tu i owdzie spotykało się nauczyciela, który przygotowywał materiał do wykładów jutrzejszych.

W końcu zeszliśmy na dół do westybulu obszernego i tu ujrzałem dwie tablice marmurowe z napisami. Na jednej z nich, pod medalionem Słowackiego, przeczytałem: „W setną rocznicę urodzin wieszcza narodowego Juliusza Słowackiego Macierz Szkolna w Ks. Ciesz. w Cieszynie i Towarzystwo Szkoły Ludowej w Krakowie założyły w roku 1909 pol. pryw. Gimnazjum realne w Orłowej.“ A pod tym tekstem mniejszymi literami: „W dowód wdzięczności dla zasłużonych instytucji tablicę wmurowali wychowankowie gimnazjum w dniu 28 września 1934 w 25 rocznicę jego powstania“.

Na drugiej takiej samej tablicy pod gałązkami lauru owijającego wieńcem lata 1914—1920 tekst: „W wielkiej wojnie światowej polegli za wolność na polu chwały“. Następują nazwiska profesora

i 11 uczniów gimnazjum orłowskiego: Maluty Stanisław, Cyrzyk Henryk, Gren Jan, Kaleta Emil, Kempny Franciszek, Kirkor Jan, Möhwald Karol, Pieczka Józef, Ryba Karol, Śliwka Alojzy, Wolf Józef, Zajic Adolf. „Dla pamięci potomnych tablicę wmurowali uczniowie i uczennice, koledzy i koleżanki w d. 23 września 1934 w czasie swego zjazdu z okazji 25-lecia Zakładu..."

W gabinecie dyrektora Feliksa widziałem duży portret prezydenta Masaryka, zdaje się Maxa Švabinskiego, i przypomniałem sobie, że gdy w roku 1906 w Królestwie Polskim szaleli rusyfikatorzy i gdy w dalekim Heidelbergu nie umiałem się uporać z uczuciami bezsilnej wobec nich nienawiści, napisałem do ówczesnego profesora uniwersytetu praskiego T. G. Masaryka, aby mi dopomógł rozwikłać trudne zagadnienia związane ze sprawami narodowościowymi.

Fotografia listu Prof. T. G. Masaryka z d. 16 XII 1906

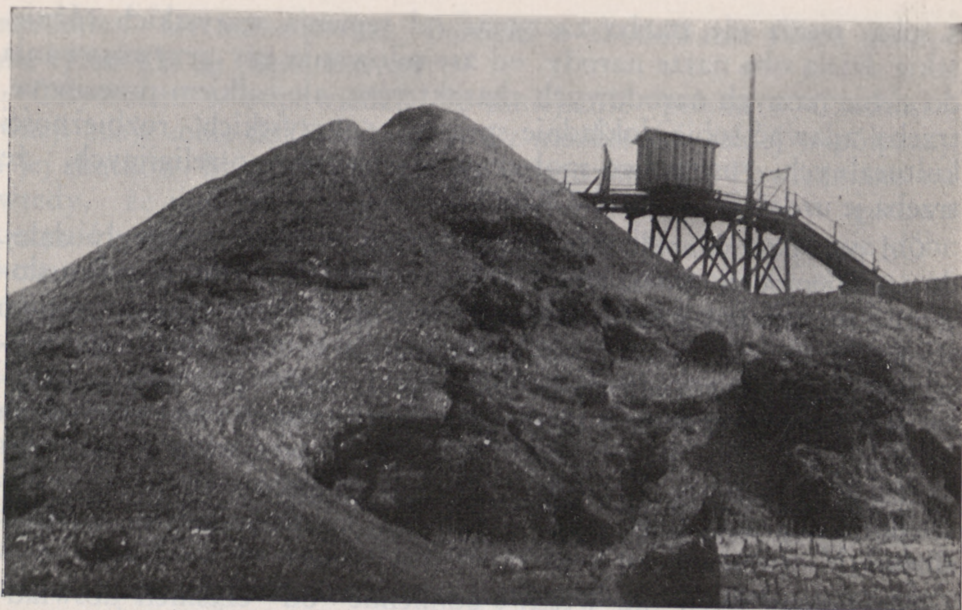
Chciałem zrozumieć, dlaczego człowieka tak nieludzko boli ucisk. Było to zresztą w związku z moimi studiami filozoficznymi i z wiarą, że wiedza ma na wszystko gotową odpowiedź. Reagowałem umysłem, bo choroba serca nie pozwalała reagować czynnie. Wtedy otrzymałem od prof. Masaryka uprzejmą odpowiedź:

„Szanowny Panie, byłem chory i dlatego odpowiadam z opóźnieniem. Niech Pan przeczyta: Masaryk, Ideale der Humanität (Wien, Conegen). Lagarde, Deutsche Schriften, dadzą Panu dużo materiału do przemyślenia. Czy Pan czytał Herzena? Wszystko to jest tylko materiałem do rozmyślań. Ostatecznie narodowość oparta jest na moralnym przekonaniu i dlatego bronimy jej przeciwko tym, co ją gnębią. Chodzi jednak nie tylko o obronę: należy dążyć ku wyższym ideałom. Najlepszymi patriotami bywali częstokroć prorocy, wiodący swoje narody ku wyższym ideałom moralnym.

„W sporze rosyjsko-polskim Polacy mają wszelką słuszność w walce przeciwko przemocy, ale sami też nie powinni uciskać Rusinów (w Galicji), bo to znaczy stawanie na gruncie ciemiężycieli, a tym samym walka ulega osłabieniu, a nawet zostaje przegrana. Wasz T. G. Masaryk."

Czytałem rzeczy polecone, trafiłem do wielu innych i wreszcie zrozumiałem w całej pełni, jak słusznym jest powiedzenie Masaryka, że narodowość oparta jest na przekonaniu moralnym. Teraz, gdy stałem w westybulu gimnazjum orłowskiego i gdy po wędrówkach swoich po Zaolziu wspominałem tych ludzi, spotykanych tam, którzy ze łzami w oczach opowiadali mi o swoich niedolach w związku z akcją czechizacyjną, pomyślałem, że chyba nic prostszego, jak zwrócić się do tego czcigodnego męża, rozporządzającego wielkim autorytetem, aby uczynił koniec walkom tak smutnym i zbędnym zarazem. Wydawało mi się niesłychanie prostym, że tam, gdzie dwa pokrewne narody muszą sąsiadować z sobą tak blisko i mieszkać w ramach tej samej państwowości, porozumienie przy odrobinie dobrej woli musi być rzeczą bardzo łatwą.

Przed tablicą marmurową z nazwiskami tych młodych, którzy oddali życie za wolność, nastrój był uroczysty. Po głowie tłukły się różne myśli, co zrobić, aby zakończyć tę walkę, która kosztuje tyle pieniędzy ze strony jednej, a tyle łez i cierpień ze strony dru-



Stare hałdy Karwina.

giej. Co zrobić, aby oba narody poznały się bliżej i aby skończyło się raz na zawsze to wszystko, co jest przekleństwem dla obu i fatalną przepowiednią na dalszą przyszłość? Oczywiście, Czesi mają prawo żądać od swoich polskich obywateli, aby w szkole poznawali język czeski, literaturę i kulturę czeską. Ale czy nie leży w ich własnym interesie pewna w tym zakresie wzajemność słowiańska, czyli poznawanie kultury polskiej? Czy nie byłoby pięknie, gdyby do szkoły czeskiej chodzili niektórzy młodzi Polacy bez przymusu, z własnej woli, dla poznania kultury czeskiej? A znowu młodzi Czesi uczęszczaliby do szkoły polskiej, aby zapoznać się z kulturą polską. Nie przymus, ale dobra wola, przy zasadniczym istnieniu polskiej szkoły dla polskich dzieci, czeskiej dla czeskich.

W znanym numerze „Pologne Littéraire", poświęconym pamięci Marszałka Piłsudskiego, jest artykuł czeskiego generała, Sylwestra Bláhy, uznawany przez niektórych czytelników tego numeru za najładniejszy i najgłębszy ze wszystkich artykułów, zamieszczonych w tym pamiątkowym numerze miesięcznika. W artykule tym generał Bláha stwierdza, że Polacy i Czesi różnią się między sobą, ale te różnice nie mogą i nie powinny przeszkadzać współpracy i w gruncie rzeczy dawniej nie przeszkadzały nigdy. W artykule tym znalazły się m. i. słowa: „Zrozumieliśmy, że aby zbliżyć się

z sobą, wcale nie trzeba zaczynać od tępienia wszystkich różnic, jakie dzielą oba nasze narody, od asymilowania czy przystosowania do siebie naszych narodowych charakterów, ale całkiem przeciwnie, trzeba zdawać sobie dokładnie sprawę ze wszystkich rozbieżności kulturalnych, ustrojowo-społecznych i tradycyjno-religijnych, że trzeba je uznać i szanować." Ależ tak!

Od przypomnianych słów generała Bláhy myśli pobiegły dalej, do „wzajemności słowiańskiej", która była zbyt długo tylko słowem i nie miała nigdy sposobności stać się ciałem. Czesi mieli o tej wzajemności wyobrażenie zgoła osobliwe, odpowiadające wyłącznie ich własnym interesom. W walce z napierającą falą niemiecką czuli słabość własną i marzyli o ścisłej współpracy wszystkich Słowian. Ponieważ na początku wieku XIX wszystkie narody słowiańskie były mniej lub więcej ujarzmione prócz rosyjskiego, słowianofilstwo w sposób zgoła naturalny przemieniało się w rusofilstwo.

Ale Polacy mieli już wtedy odmienne od czeskich doświadczenia, nabyte w stosunkach z Rosjanami i nie chcieli zrzekać się swej indywidualności narodowej. Walczyli z Rosjanami o swą niepodległość, czego Czesi zrozumieć nie mogli, bo z oddalenia i z perspektywy niebezpieczeństwa niemieckiego widzieli w Rosjanach tylko siłę dobroczynną i opiekuńczą. Była to teoria, pozbawiona wszelkich doświadczeń praktycznych, chociaż dla Czechów cenna, bo dawała im siłę wytrwania w czasach najgorszych. Zamiast „*Bůh je s námi*", śpiewali z zapałem: „*Rus je s námi, kdo proti nám, toho Moskva smete*" (Rus jest z nami, kto przeciw nam, tego Moskwa zmiecie). Zakorzeniło się śród Czechów rusofilstwo sentymentalne i ono spowodowało pewne zastrzeżenia przeciwko Polakom, którzy rusofilami w czeskim rozumieniu słowa w żaden sposób być nie mogli. Na tym gruncie powstało, niestety, bardzo wiele uprzedzeń wzajemnych.

To wszystko pomyślało się ogromnie szybko. Popatrzyłem na tych przyjaciół, z którymi staliśmy wtedy przed tablicą pamiątkową i zacząłem mówić o tym, co tu czułem. Czy ci Polacy, których losy związały z państwem czechosłowackim, nie mogliby stać się pomostem do trwałego porozumienia polsko-czeskiego i do współpracy obu narodów? Chodzi tu przecie nie tylko o spotęgowanie sił obu

narodów, ale może jeszcze bardziej o zbudowanie filaru pokoju nie tylko dla tej części Europy.

Usłyszałem w odpowiedzi, że mniejszość polska w Czechosłowacji zdaje sobie dokładnie sprawę z możliwości takiej współpracy i jej skutków. błogosławionych dla całego świata. Powiedziano mi wtedy, że mniejszość polska w Czechosłowacji byłaby gotowa uczynić wszystko, aby pośredniczyć rzetelnie w wymianie dóbr kulturalnych polsko-czeskich. Po bliższym poznaniu się obu narodów przyszłaby kolej na przyjaźń. Perspektywy takiej współpracy są już dzisiaj olbrzymie, bo serdeczne zbliżenie polsko-czeskie byłoby jedną z najpotężniejszych podwalin pokoju światowego. Ale warunkiem tej pracy byłoby przede wszystkim, aby ta polska mniejszość mogła żyć i rozwijać się, spokojna o swoje jutro i o przyszłość własnych dzieci. Zaoszczędzonoby dużo środków i energii, które przepadają w walce zbędnej i niszczycielskiej. Widziałem dużo dobrej woli i gotowości do współpracy, ale tylko z jednej strony. Myślałem o tym, w jaki sposób zbudzić taką gotowość i z drugiej strony. Byłem wtedy przekonany, że o porozumienie polsko-czeskie nie powinno być trudno.

Tak było zimą. Tymczasem poznałem stosunki zaolzańskie znacznie bliżej, wszechstronniej i mój optymizm nie znikł wprawdzie, ale zmniejszył się znacznie. Pewnego dnia czerwcowego spotkałem na ulicy w Cieszynie dyrektora Popiołka. historyka śląskiego. i zaproponowałem mu wycieczkę do Orłowej. Chciałem pójść na cmentarz orłowski i postarać się o fotografię wspaniałego pomnika 56 Czechów poległych w walkach o Cieszyńskie. Dyrektor zgodził się bardzo chętnie. Wyznaczyliśmy dzień, spotkaliśmy się na dworcu

Stare Hamry
Górna część wsi



cieszyńskim i pojechaliśmy do Orłowej. Dzień był upalny, w wagonie było gorąco. Niedaleko za Ligotką Alodialną (teraz Zpupná Lhota) dyrektor Popiołek wychylił się z okna wagonu i pokazywał nam zbadane przez siebie stare grodzisko w Podoborze, zwane Cieszynem Starym albo Cieszyniskiem. Był to niegdyś gród potężny, ale dzisiaj wały jego, porosłe lasem, nie zwracają na siebie żadnej uwagi, bo w krainie pagórkowatej pagórek nie jest żadną osobliwością.

Pociąg przystawał co chwila, ktoś wsiadał, ktoś wysiadał. Łąki, Darków, ciemny i ponury dworzec karwiński... Karwina nazywa się teraz Karvinná, chociaż jeszcze w przemówieniach ministra spraw zagranicznych Benesza nazywała się Karvin. Orłowa niedaleko. Przy zbliżaniu się do miasta widać kolonie robotnicze, usypiska żużli, białe domki, a nad tym wszystkim wysokie wieże ładnego kościoła orłowskiego. Stacyjka orłowska jest zaciszna i sielankowa, gdy pomyśleć, jaki rwetes panuje tu wszędzie śród kopalń, hut i koksowni. Wysiadło kilka osób i rozbiegło się na wszystkie strony. Koło małego okienka kasy biletowej stoi gospodarz wiejski i kupuje bilet. Obok niego mała dziewczynka i to już wszystko. Poczekalnie niewielkie jak izdebki i nikt w nich nie czeka.

Przed dworczykiem człowiek ze skórzaną torbą proponuje nam gazety. Czy ma polskie? Nie, niestety, polskich nie ma, ale zaraz... W oczach mu jaśnieje. Torbę oparł o kolano i grzebie w niej gorliwie. Jest! Podaje mi „Izwiestia“ moskiewskie sprzed trzech dni. W jego geście i skwapliwości było coś symbolicznego, co mnie zastanowiło. Chcesz gazetę polską? Nie ma jej, ale służę ci rosyjskimi „Izwiestiami“. Wydawało mu się zapewne, że to mniej więcej to samo. Pytam go, czy dużo sprzedaje tego pisma rosyjskiego. No, jak czasem. Dwa, trzy egzemplarze sprzeda. Czy tu umieją tak dobrze po rosyjsku? Uczą się może tego języka? A tak, uczą się, ale najwięcej kupują ci, co byli w Rosji podczas wojny i nauczyli się po rosyjsku. O polskie pisma bardzo tu trudno, rosyjskie są nawet po prowincjonalnych miasteczkach.

Zawiadomiony o naszym przyjeździe dyrektor Feliks czeka na nas i zaraz udajemy się na cmentarz katolicki, gdzie jest bratnia mogiła górników łaziańskich, poległych w katastrofie kopalnianej w r. 1919 i pomnik czeskich legionarzy z czasów, które się tu sumarycz-



Szkoła ludowa w Bukowcu

nie nazywa „plebiscytowymi". Droga na nowy cmentarz katolicki prowadzi przez tor kolejowy. Biegnie tędy linia koszycko-bogumińska i koło przejazdu tworzą się istne zatory, gdy jest zamknięty przez chwilę. Dawniej kolej nie przeszkadzała ruchowi pieszemu i kołowemu, ale gdy Orłowa się rozrosła, tor kolejowy znalazł się w miejscu bardzo nieodpowiednim.

Tuż za przejazdem kolejowym typowy pomnik ofiar wojny światowej. Gmina Orłowa już od roku 1900 opanowana jest przez Czechów i miasto uchodzi za wybitnie czeskie, ale na pomniku poległych żołnierzy same niemal nazwiska polskie: Bonczek, Bojda, Barber, Bystroń, Bernacik, Ciosk, Grzegorz, Franek, Pawłowski, Gargulek, Kozik, Kantek, Kotas, Lazar, Sosna, Sadowski, Twardowski, Tkocz, Woźnica, Sarganek... Na cmentarzu te same mniej więcej nazwiska, ale cmentarz zewnętrznie jest już całkiem czeski: na mogiłach obok nazwisk polskich dużo czeskich, na wielu nazwisko jest polskie, napis czeski. Na cokole wielkiego krzyża cmentarnego biblijny cytat czeski. Znalazłem tu dużo typowych nazwisk śląskich: Obracaj, Biołek, Durczok, Gałuszka, Kempny, Wiochna, Gołąbek, Szlachta, Kania, Orlik, Szeliga, Matula, Moroń, Wicherek, Cibień, Stołek, Warchała, Chrobak, Szczyrba, Galocz... Prócz tego mnóstwo nazwisk polskich, spotykanych często i poza Śląskiem.

Uderza różnica w pisowni tych samych nazwisk, np. Ligocki, Ligocký, Lihocký, Ligotzki; Szczyrba, Ščerba, Štěrba.

Czeski pomnik orłowski jest jednocześnie wielkim grobowcem, ujętym w szerokie ramy betonowe, wystylizowane na nowoczesną rzeczowość. Z lewej strony u wezgłowia grobowca wznosi się ściana. a na niej widnieją słowa Bezruča: „*Zhasnuvše dále žiji padli bojovnici v paměti národa*". Zgasłszy, dalej żyją polegli bojownicy w pamięci narodu. I data: 2 IX 1928. Tutaj nazwiska są naprawdę czeskie z wyjątkiem pięciu polskich: Kula, Wójcik, Krupa, Wicherek, Kempny. W głowach grobowca ze skośnej ściany, na której wypisane są imiona poległych, wznosi się wielki orzeł śląski z rozchylonymi skrzydłami. Pod orłem, trzymającym w szponach rozwiany sztandar, grupa pomnikowa przedstawia tłum ludu śląskiego. Z przodu widać trzy postacie: żołnierza z karabinem i górnika z lampą i kilofem na ramieniu. zaś między nimi młodzieńca, obnażonego do pasa i bez broni. Od strony lewej widać za górnikiem jeszcze jednego robotnika i kobietę z dzieckiem. Od strony prawej podobnież: robotnik i kobieta. Pod tablicą z imionami pogrzebanych napis wielkimi literami: „*Rozděleni Těšinska*".

Ten pomnik wywiera wrażenie mocne. Bezpośrednio po powrocie z cmentarza orłowskiego zapisałem w notatniku m. i.: Po środku grupy młodzieniec obnażony do pasa, bez broni i bez narzędzi pracy, z lewą ręką podniesioną wysoko, z prawicą zaciśniętą przy piersi. Jego lewica podniesiona jest wysoko, jak gdyby wołał! Stój! Jego twarz jest jasna. Wieloznaczny symbol! Co znaczy ta nagość młodzieńca, jego podniesiona ręka i spojrzenie skierowane prosto na widza?

Przez długą chwilę staliśmy przed tym czeskim pomnikiem z obnażonymi głowami: historyk śląski, Popiołek, dyrektor Feliks, prezes Macierzy Szkolnej i ja. Myśleliśmy zapewne i czuliśmy wszyscy trzej to samo. Postawę żołnierza i jej wymowę znamy: stoi z bronią w ręku i czeka na komendę. Nie trzeba nam też mówić, co znaczy smutek w oczach starego górnika, dźwigającego kilof i niosącego lampkę, ani gest matki, tulącej do piersi małe dziecko, gdy wokoło toczy się walka...

Ale co mówisz ty, młodzieńcze obnażony do pasa, idący przed towarzyszami swoimi, bez broni, z ręką podniesioną? Ta ręka nie



Mosty k. Jabłonkowa. Szkoła polska

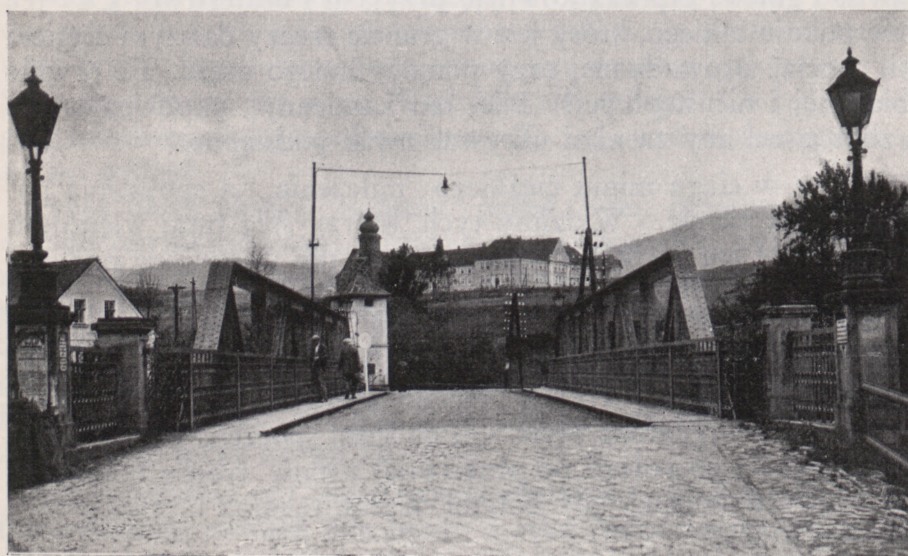
grozi nikomu, nie jest zaciśnięta w pięść, ale przeciwnie jest rozwarta jako odwieczny, dla wszystkich zrozumiały gest pokoju. Jakiego pokoju? Czy takiego, który kończy walkę raz na zawsze, usuwa nienawiść i gniew, zapoczątkowując przyjaźń i braterstwo? Czy też jedynie pokoju takiego, który jest w gruncie rzeczy dalszym ciągiem walki, chociaż prowadzonej przy pomocy innego oręża, ale równie nieubłaganej i nieustępliwej? Nie, ten kamienny młodzieniec ma rysy zbyt jasne, aby za nimi ukrywać myśli podstępne.

Stoimy tu w ciągu minut ciężkiego milczenia, a spojrzenia nasze przenikają ziemię. Widzimy tych, którzy śpią tutaj wiecznym snem, widzimy ich wyraźnie i jasno, bo są tak straszliwie podobni do tych braci naszych, którzy ginęli na tej śląskiej ziemi za prawo do tej swojej ziemi rodzinnej, w obronie niepodzielności Śląska. Walczyli w warunkach ciężkich, jeden przeciw pięciu, nie mając broni pod dostatkiem. Trzeba mocno wierzyć w prawość swojej sprawy, aby za nią oddać życie. Ci, co tutaj spoczęli, wierzyli niezawodnie, ale ci, co polegli po przeciwnej stronie frontu bojowego, wierzyli jeszcze mocniej, gdy gołymi nieraz rękoma bronili przedmiotu swej wiary.

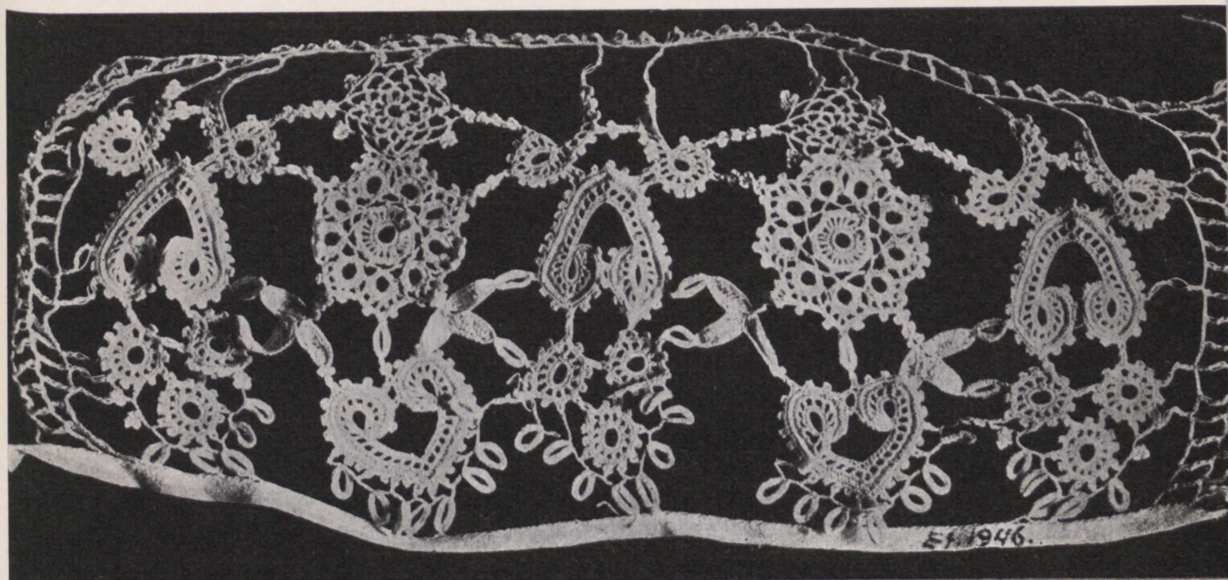
Od tego wspaniałego grobowca oczy odwracają się bezwiednie, aby poszukać pomnika poległych Polaków. Pytam, czy istnieje podobny pomnik tych, co walcząc po naszej stronie, polegli w tych samych walkach? W odpowiedzi słyszę, że nie ma go dotychczas, że bojownicy nasi zostali pogrzebani po różnych cmentarzach i że najwięcej spoczywa ich na cmentarzu w Stonawie i w Olbrachcicach. W Stonawie jest mogiła większa, w Olbrachcicach mniejsza.

Znam je. Stonawa i Olbrachcice leżą na drodze z Karwiny do Cierlicka. Tam na linii Karwiny, Stonawy i Olbrachcic, toczyły się w styczniu r. 1919 krwawe tragiczne walki. W Olbrachcicach pochowano sześciu zabitych 28 stycznia, zaś w Stonawie dwudziestu czterech — nie w jednej mogile — 29 stycznia. Stonawa należy do wspomnień najboleśniejszych. Walki tu były okrutne przy wielkiej nierówności sił, a ofiary były ciężkie.

Stonawski grób polskich żołnierzy jest bardzo prosty i z góry niejako skazany na zapomnienie. Szeroki na wzrost dorosłego człowieka, ma długość dwudziestu trumien jedna przy drugiej. Ten równoległobok ujęty jest w cementowe obrzeże, na którym stoi mały krzyż żelazny. Nie ma tu płyty z nazwiskami zabitych, tylko jakaś, niewprawna widać, ręka wyryła na kamieniu sumaryczne słowa: „Dwudziestu poległych". I data ich bojów śmiertelnych. Na mogile



Jabłonków
Most na Olzie



Koronki cieszyńskie. Muzeum Śląskie w Katowicach

widać kwiaty, jako milczący znak tych, co o tym grobie pamiętają, choć ma on zostać zapomniany.

Kiedym pierwszy raz przybył do Stonawy i rozpytywałem spotykanych o drogę na cmentarz, otrzymywałem wszędzie odpowiedzi czysto polskie. Te okolice należą do ogromnie ciekawych pod względem przemian, zachodzących w Zaolziu w uświadomieniu narodowym. Olbrachcice miały w r. 1880 ludność prawie wyłącznie polską, a mianowicie 1029 Polaków i 33 Czechów. W dwóch następnych dziesięcioleciach Polaków przybywa: 1122 i 1316. Ale po pierwszym czeskim spisie urzędowym w r. 1921 liczba ta od razu zmniejsza się do 786, aby po dalszym dziesięcioleciu podnieść się do 1051. W Stonawie sześć spisów kolejnych od r. 1880 do 1930 wykazują Polaków: 1833, 2294, 3084, 3876 (spisy austriackie), 2026, 3138 (spisy czeskie). W tych samych latach liczono tu Czechów: 158, 7, 4, 18, 1474, 1420. To znaczy, że w r. 1910 było tu Czechów 18, zaś w r. 1921 liczba ich podniosła się 80-krotnie. Kiedy na mogile stonawskiej powstanie taki pomnik, jak ten w Orłowej?

Idziemy do gościnnego domu państwa Feliksów, naprzeciwko polskiego gimnazjum. Wspominam pewien jasny i ciepły dzień

przedwiośnia, w którym zwiedzałem tę szkołę polską i bursę dla uczni niezamożnych albo mieszkających zbyt daleko. Widziałem wtedy i szkołę gospodarstwa domowego dla młodych dziewcząt i zaczątki muzeum orłowskiego, mieszczącego się w ładnym domku opodal za gimnazjum. Wywiozłem z Orłowej tyle entuzjazmu i wiary w możliwość rychłego pojednania zwaśnionych sąsiadów! Byłem zapewne zarozumiały albo niedość zorientowany w sytuacji, bo później przyszło coś bardzo podobnego do upokorzenia. Spostrzegłem, że o porozumienie trudno.

Gawędzimy przy podwieczorku, wspominamy, zdobywamy się nawet na optymizm. Nienawiść nie może trwać wiecznie. I może by nawet tak długo nie trwała, ale jest tu coś takiego, co ją konserwuje i podtrzymuje. W przemówieniu swoim z d. 4 sierpnia 1920 roku w stałej komisji Zgromadzenia narodowego, minister Benesz powiedział, że w Czechach istnieje skłonność nie tylko do niedoceniania Polski, ale do odmawiania jej wszelkiego znaczenia. Tak jest istotnie: psychika czeska jest zgoła inna, niż polska. W prasie czeskiej znajdowałem dowody tego lekceważenia Polski niejednokrotnie. Powiem, że sympatyczniejsze były mi wybuchy jawnej nienawiści, niż to lekceważenie, ugruntowane na zupełnej ignorancji, odrzucającej wszelkie próby wzajemnego poznania się i zbliżenia.

Nieznajomość jest, niestety, obustronna. Należałoby się poznać wzajemnie, ale jak się poznawać przy takiej masie wzajemnych uprzedzeń, gdy każda z obu stron jest głęboko i uczciwie przekonana, że już wszystko wie i że już nie ma nic do dodania? Jak zdobyć się na potrzebny spokój, aby powiedzieć sobie wszystko i próbować zrozumieć się wzajemnie? Rzeczy wielkie są zazwyczaj ogromnie proste. Może dlatego bywa tak trudno o rozwiązanie pewnych zagadnień, że nie dostrzegamy rozwiązań najprostszych i najbliższych zarazem.

Czechosłowacja ma własny ton kultury, gospodarki, polityki. Jej dzieje płynęły inaczej, niż dzieje Polski. I dodajmy, że stosunek człowieka czeskiego do dziejów był zawsze inny, niż stosunek człowieka polskiego. Nie poznali Czesi rozdarcia narodu między trzech zaborców, które było tragicznym udziałem Polski, nie poznali też nigdy straszliwych, bezpośrednich i niszczycielskich skutków wojny światowej. Podczas tej wojny Polska była od początku do końca

jednym z jej pobojowisk, a na tym pobojowisku zniszczone zostały fabryki, popalone dworce kolejowe, powysadzane mosty, porekwirowane wszystkie rzeczy, które posiadały jaką taką wartość. Gdy się w r. 1920 przejeżdżało z Polski do Czechosłowacji, to każda najmniejsza chata po tamtej stronie granicy świadczyła wymownie, że tam wojny nie było. Nie znali też Czesi powstań i walk tragicznych, poczynając od początku wieku XVII. Odrodzenie narodu czeskiego dokonywało się bardziej organicznie niż u nas, bo wolność duchowa krzewiona w szerokich masach ludowych, wyprzedziła wolność polityczną. Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że wzajemne oddziaływanie na siebie obu kultur, polskiej i czeskiej, musiałoby wydać owoce jak najlepsze. Ale od czego ma się zacząć to oddziaływanie i jak usunąć z drogi to wszystko, co oba narody oddziela od siebie tak tragicznie?

Nie rozstrzygnęliśmy tego zagadnienia. Po upalnym dniu przyszedł ciężki chłód miejscowy i trzeba było pożegnać się z drogimi ludźmi. Księżyc wypłynął nad Orłową i wysrebrzył jej ciemne strzechy, gdyśmy z dyrektorem Popiołkiem zdążali ku dworcowi. Było jasno i czerstwo. Na pociąg wypadło czekać kilkanaście minut. Po peronie spacerowało kilka par młodzieży, w restauracyjce siedzieli przy piwie robotnicy, kontury zabudowań naprzeciwko dworca po tamtej stronie toru były ciemne i tajemnicze. Jakiś starszy pan z żoną rozmawiał głośno po czesku i od tej czeszczyzny skojarzonej z księżycem, przypomniała mi się wesoła i sentymentalna piosenka czeska: „*Já tu stál a ona taky, koukali jsme spolu na oblaky, vzdychali jsme oba dva*“...

Tymczasem nadszedł pociąg, idący do Cieszyna, króciutki, ale pustawy. Usadowiliśmy się przy oknie i w półmroku słabo oświetlonego wagonu oddawaliśmy się rozkoszom kontemplacji. Po prawej stronie toru widać było tysiące ogni, jaśniejących amfiteatralnie jedne nad drugimi, jak wszędzie w okolicach kopalń. Gdy znikały ognie, w blaskach księżyca ukazywały się ciemne iglice kominów i szkielety wieżyc szybowych. Migały światła stacji i światła kopalń. Stanąłem przy oknie i patrzyłem na ten świat śląski, taki zgoła inny w blaskach księżyca, niż w trzeźwym świetle słonecznym. Minęliśmy Karwinę, światła kopalniane przerzedziły się i poznikały wreszcie. Białe domki śląskie wyglądały cudownie w blaskach pełni

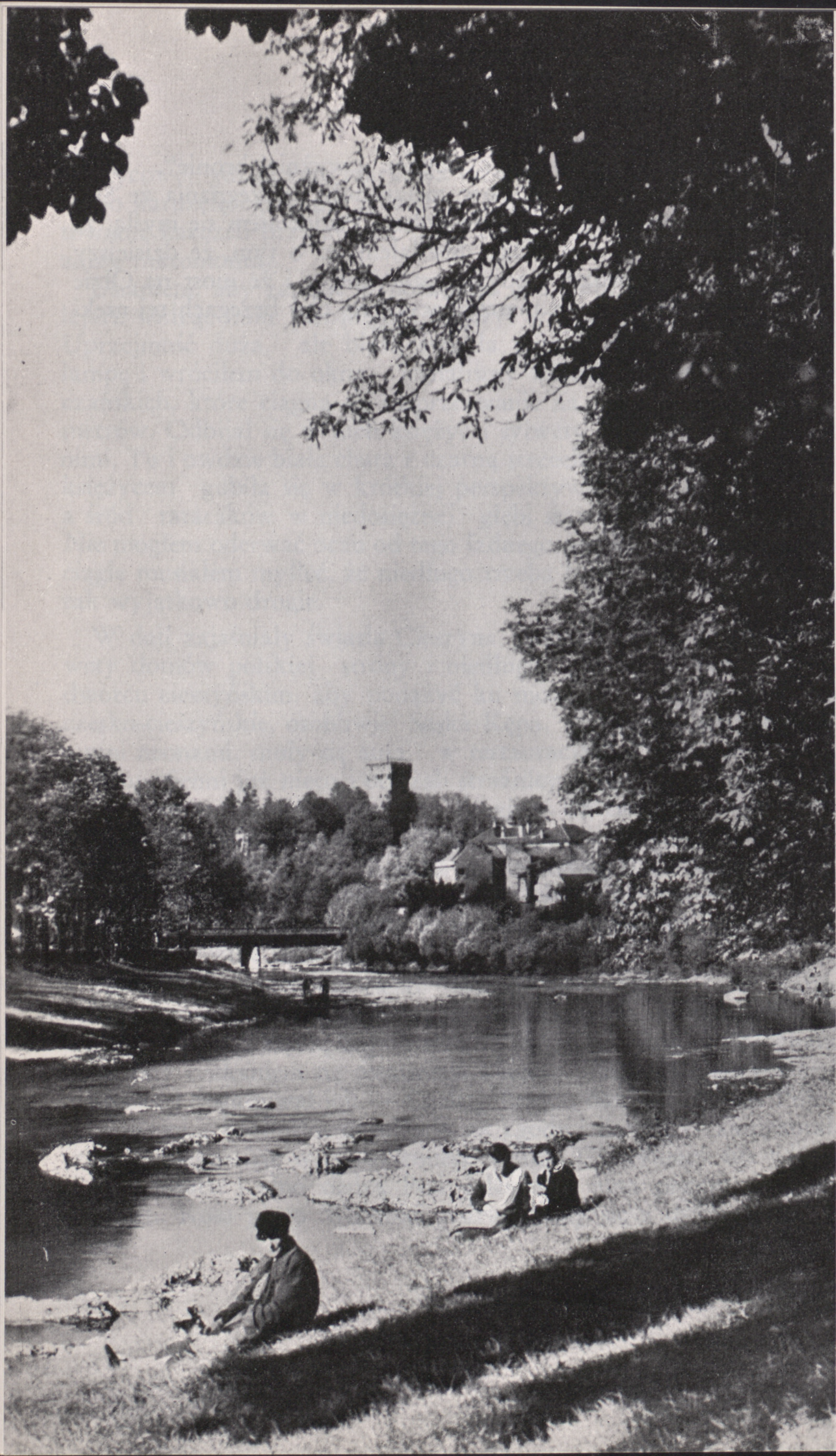
księżycowej; gdzieś koło Darkowa tuż przy torze kolejowym montowano karuzelę ogromnie kolorową. Księżyc, cisza nocna i to montowanie karuzeli przy świetle lamp elektrycznych tworzyło dziwny zaiste faktomontaż.

Usiadłem, aby zapisać w notatniku to i owo. Przechodzący kolejarz widząc mnie piszącego, włączył większą lampę elektryczną. Uprzejmość duża, ale blask światła popsuł nastrój. Wyłączyłem lampę i wróciłem do okna. Jechaliśmy właśnie wzdłuż stawów łączańskich, które ciągną się nieprzerwanie na przestrzeni paru kilometrów. Odbijał się w nich księżyc i sylwety drzew rosnących nad nimi. Tu i owdzie biała chata z czarną strzechą z papy wysrebrzonej księżycem gubiła się w krótkiej perspektywie delikatnej mgiełki, a śród tataraków w niedosiężnej głębi stawów błyszczał księżyc. Nie mogłem oderwać oczu od tego ładnego widoku, tym bardziej, iż ciągle musiałem myśleć, że niedługo trzeba będzie opuścić te strony, tak wyjątkowo drogie.

W dali zajaśniały światła Cieszyna, ukazały się w księżycu sylwety domów polskiej strony i niedługo potem wysiadaliśmy na dworcu cieszyńskim, aby podążyć ku mostowi granicznemu. Ulice czesko-cieszyńskie, osobliwie Saska Kępa, krzyczały różnokolorowymi neonami, snuły się auta, w restauracjach i kawiarniach było gwarno. Senni już nieco i ociężali strażnicy graniczni spełnili wobec nas swoją powinność u jednego i drugiego końca mostu i po chwili szliśmy po naszej już stronie ulicą Legionów. Ulica jest głęboka i wąska, jak wąwóz. Tu i owdzie w otwartym oknie wyższych pięter siedziała kobieta w negliżu, używając świeżego powietrza, ale jej oczy uderzały o bliskie domy przeciwległe i spotykały okna zasłonięte albo ciemne już i śpiące.

Na rynku cieszyńskim cicho. Wieża ratuszowa stała w białym obłoku i w blaskach księżycowych, a jej czarny niewidzialny reflektor rzucał na tarczę zegara światło magiczne. Jedyny dorożkarz, znudzony czekaniem na ostatniego klienta, zabierał klaczy worek z sieczką i dogadywał jej: — Czekaj, Łucka, dość już bydzie. Pojesz se w stajni... — Łucka prychnęła na zgodę i dorożka zaturkotała jakoś niesamowicie w ciszy sennego rynku. Cieszyniacy nie włóczą się po nocach i albo siedzą Pod Jeleniem, albo przykładnie śpią w domu. Koło placu Wolności pożegnaliśmy się z dyrektorem Po-

piołkiem, aby iść dalej ku niegdysiejszej „wyżniej bronie". Ulice były tu puste i ciche. Brnąłem w melancholii pożegnania ze Śląskiem, jakbym szedł piaszczystym polem. Pocieszałem się myślą, że jednak wrócę tu może niedługo. Myślałem też o tym, że dzisiejszy spór polsko-czeski będzie kiedyś rozstrzygnięty i że most na Olzie nie będzie rozdzielał braci mieszkających na obu brzegach tej rzeki granicznej.



Cieszyn
Rzeka Olza
i widok na wieżę
zamku Piastów

DODATEK

Dz. U. R. P. Nr 89, poz. 629

UMOWA
POMIĘDZY RZECZĄPOSPOLITĄ POLSKĄ A REPUBLIKĄ CZECHOSŁOWACKĄ W SPRAWACH PRAWNYCH I FINANSOWYCH, PODPISANA W WARSZAWIE DNIA 23 KWIETNIA 1925 R.

(Ratyfikowana zgodnie z ustawą dnia 30 lipca 1925)

Część III

OCHRONA MNIEJSZOŚCI

Artykuł 11

Obywatele Republiki Czechosłowackiej narodowości polskiej korzystać będą w Czechosłowacji z wszelkich praw przysługiwać im mogących według ich stosunku liczebnego na podstawie przepisów Konstytucji, ustaw i rozporządzeń czechosłowackich tyczących się mniejszości oraz postanowień niniejszej Umowy. Tak samo obywatele Rzeczypospolitej Polskiej narodowości czechosłowackiej korzystać będą w Polsce z wszelkich praw przysługiwać im mogących według ich stosunku liczebnego na podstawie przepisów Konstytucji, ustaw i rozporządzeń polskich tyczących się mniejszości oraz postanowień niniejszej Umowy.

Tyczy się to ludności osiadłej na byłym terytorium plebiscytowym Śląska Cieszyńskiego, Orawy i Spisza, podzielonym decyzją Konferencji Ambasadorów z dnia 28 lipca 1920 r. między Polskę i Czechosłowację, i ludności osiadłej na pozostałym terytorium Rzeczypospolitej Polskiej względnie Republiki Czechosłowackiej.

O ile w niniejszej Umowie mówi się o kwalifikowanej mniejszości w Czechosłowacji albo w Polsce, należy przez to rozumieć mniejszość, której są przyznawane prawa mniejszości na zasadzie obowiązujących ustaw czechosłowackich względnie polskich.

Artykuł 12

Obie umawiające się Strony zgodnie oświadczają, że są zdecydowane traktować życzliwie: Rzeczpospolita Polska mniejszość czechosłowacką, Republika Czechosłowacka mniejszość polską.

Obie umawiające się Strony uznają obowiązek lojalności ze strony mniejszości w stosunku do Państwa, w którym przebywają. Przy tym nie będzie za nielojalność poczytywana obrona praw mniejszościowych.

Artykuł 13

Dla określenia narodowości lub języka ojczystego jest miarodajne oświadczenie interesowanej osoby albo jej przez prawo powołanego zastępcy, a to w ramach ustaw państwowych.

Jakikolwiek sposób przyniewalającego wynaradawiania jest niedozwolony.

W szczególności oświadczają obie umawiające się Strony, że uważają za sprzeczne z prawami wszelkie wywieranie nacisku na rodziców, aby posyłali dzieci do szkół z innym językiem nauczania, niż ich język ojczysty.

Artykuł 14

Sądowe i administracyjne rozprawy i protokółowanie ze stronami, doręczanie zawiadomień, aktów oskarżenia, wyroków i uchwał, jako też przyjmowanie i załatwianie podań, wpisy do ksiąg gruntowych, zewnętrzne oznaczanie urzędowych budynków, wydawanie ogłoszeń i enuncjacji publicznych w okręgach wykazujących kwalifikowaną mniejszość narodową, odbywać się będzie dla mniejszości czechosłowackiej względnie polskiej także w języku czechosłowackim względnie polskim.

W gminach i osadach z ludnością narodowości czechosłowackiej, gdzie mniejszość czechosłowacka na podstawie swej liczebności nie korzysta z praw językowych, tj. na Wołyniu, dozwoli Rząd Polski na używanie języka czechosłowackiego w urzędowaniu gmin i gromad, o ile to nie sprzeciwia się obowiązującym przepisom ustawowym.

Artykuł 15

Celem umożliwienia ludności polskiej względnie czechosłowackiej faktycznego korzystania z uprawnień językowych w sądach, urzędach i organach państwowych, obie umawiające się Strony wydadzą zarządzenia, aby w sądach, urzędach i organach państwowych, rozciągających swą działalność na okręgi z kwalifikowaną mniejszością polską, względnie czechosłowacką, były w tych okręgach, a nadto również wedle możności w innych sądach i urzędach administracyjnych, które stanowią dla wspomnianych okręgów pierwszą instancję, z wyłączeniem władz centralnych, wśród personelu urzędowego w dostatecznej ilości osoby, które obok języka państwowego władają językiem polskim względnie czechosłowackim.

Artykuł 16

Przy nadawaniu koncesji, uprawnień, urzędowych zezwoleń itp. oraz przy udzielaniu subwencji, przydziałów rządowych i jakichkolwiek uprawnień zarobkowych w Republice Czechosłowackiej względnie Rzeczypospolitej Polskiej obywatele czechosłowaccy narodowości polskiej, względnie obywatele polscy narodowości czechosłowackiej, jak również krajowe osoby prawne będą stawiane w granicach ustaw na równi z takimi osobami narodowości czechosłowackiej względnie polskiej.

Artykuł 17

Obie umawiające się Strony zobowiązują się także w okręgach, gdzie na zasadzie obowiązujących przepisów mniejszość nie ma prawa do założenia samodzielnych publicznych szkół powszechnych (ludowych i wydziałowych), zezwolić na założenie szkół prywatnych z językiem nauczania odnośnej mniejszości z prawem publiczności, o ile będą spełnione ustawowe warunki, i udzielić im wedle możności także poparcia; w szczególności Rząd Polski zapewni wszelkie możliwe ułatwienia przy zakładaniu samodzielnych prywatnych szkół z czechosłowackim językiem nauczania na Wołyniu.

Artykuł 18

Osoby zatrudnione przy nauczaniu, wliczając w to także kierowników szkół, w czechosłowackich szkołach Rzeczypospolitej Polskiej, względnie w polskich szkołach Republiki Czechosłowackiej, jak również przy bezpośrednim nadzorze takich szkół powszechnych, mają być narodowości czechosłowackiej względnie polskiej i mają posiadać przepisaną językową i zawodową kwalifikację. Przy tym należy oczywiście stosować się do ustaw obowiązujących w danym Państwie.

Artykuł 19

Kandydaci nauczycielscy, obywatele czechosłowaccy narodowości polskiej względnie obywatele polscy narodowości czechosłowackiej, którzy uzyskali kwalifikacje nauczycielskie w Polsce, względnie w Czechosłowacji, będą według potrzeby przyjmowani do służby nauczycielskiej w szkołach polskich w Republice Czechosłowackiej względnie w czechosłowackich w Rzeczypospolitej Polskiej z warunkiem, że złożą egzamin uzupełniający według przepisów obowiązujących w Czechosłowacji względnie w Polsce. Nauczyciele ci będą po złożeniu egzaminu traktowani na równi z nauczycielami, którzy uzyskali kwalifikacje nauczycielskie w danym Państwie.

Artykuł 20

Dla czechosłowackich szkół powszechnych w Rzeczypospolitej Polskiej i dla polskich szkół powszechnych w Republice Czechosłowackiej będą ustanowione w najszerszych granicach, na jakie pozwalają obowiązujące przepisy (ustawy i rozporządzenia), specjalne bezpośrednie organa administracyjne.

Artykuł 21

O zapewnienie dla szkół publicznych potrzebnych i odpowiednich czytanek, podręczników i pomocy naukowych stara się każde Państwo. Żadna szkoła publiczna nie może być pozostawiona bez czytanek, podręczników i pomocy naukowych, które są przepisane i konieczne dla prawidłowego prowadzenia nauki. We wszystkich tych książkach i pomocach używać należy zawsze języka literackiego.

Artykuł 22

Umowa w odniesieniu do niniejszej części pozostaje w mocy, jak długo nie zostanie wypowiedziana. Nie może ona być wypowiedziana przed upływem dwunastu lat; o ile zostanie wypowiedziana, traci moc prawną w sześć miesięcy po wypowiedzeniu.

Część IX

POSTĘPOWANIE W SPRAWACH SPORNYCH

Artykuł 73

Do usuwania nieporozumień i rozsądzania sporów, mogących powstać na tle niniejszej Umowy, o ile nie chodzi o sporne kwestie, wypływające z części V niniejszej Umowy, oraz do interpretowania postanowień Umowy co do wszystkich jej części ustanawia się:

1. Komisję Mieszaną,
2. Sąd Rozjemczy.

Artykuł 74

Komisja Mieszana składa się z sześciu członków; trzech mianuje Rząd Polski, a trzech Rząd Czechosłowacki.

Delegacja polska urzęduje w Warszawie, Delegacja Czechosłowacka w Pradze.

Artykuł 75

Komisja bierze pod obrady te tylko sprawy, które jej będą przekazane przez jedną z Delegacji.

Delegacje porozumiewają się z sobą na piśmie.

W razie jeżeli tą drogą nie dojdzie do porozumienia, Delegacje zgromadzają się na posiedzenie wspólne, przy czym przewodnictwo sprawuje na przemian przewodniczący Delegacji Czechosłowackiej i Polskiej.

Posiedzenia będą się odbywały na przemian w Warszawie i Pradze. Pierwsze posiedzenie wspólne odbędzie się w Warszawie.

Artykuł 76

W razie jeżeli Komisja Mieszana nie rozstrzygnie danego sporu, winna przekazać go Sądowi Rozjemczemu.

Artykuł 77

Sąd Rozjemczy składa się z dwóch członków, mianowanych przez Rząd Polski, z dwóch mianowanych przez Rząd Czechosłowacki oraz z przewodniczącego, wybranego przez tych czterech członków.

W razie niemożności dojścia w tym względzie do porozumienia, przewodniczącego zamianuje Prezydent Prawa Międzynarodowego (Institut de droit International) w Brukseli.

Artykuł 78

Skład Sądu Rozjemczego jest stały.

Sąd obraduje na przemian w Pradze i w Warszawie, zmieniając co pół roku swoją siedzibę.

Pierwsza sesja odbędzie się w Pradze.

Artykuł 79

Oba Państwa zobowiązują się udzielać Komisji Mieszanej i Sądowi Rozjemczemu wszelkiej możliwej pomocy i poparcia przy wykonywaniu ich czynności; sądy

i urzędy administracyjne winny pod każdym względem okazywać im współdziałanie, zwłaszcza w zakresie zbierania dowodów i materiałów pomocniczych.

Artykuł 80

Procedurę i regulamin wewnętrzny ustala dla siebie sam Sąd Rozjemczy.

Decyzje zapadają większością głosów, przy czym przewodniczący oddaje swój głos na końcu. W razie równości głosów decyduje głos przewodniczącego.

Artykuł 81

Każdy Rząd pokrywa koszta wynagrodzenia swoich członków Komisji i Sądu oraz połowę innych kosztów.

RUCH LUDNOŚCI W POLSKICH POWIATACH CIESZYŃSKIEGO WZGLĘDNIE W POWIATACH, KTÓRE MIAŁY WIĘKSZOŚĆ POLSKĄ, W LATACH OD 1880 DO 1930

Pow. Sądowy Frysztat i Bogumin

GMINA	Narodowość	Spisy austriackie				Spisy czechosł.	
		1880	1890	1900	1910	1921	1930
	Polacy	886	1.122	1.622	2.072	413	446
Bogumin miasto	Czesi	105	132	207	396	938	1.758
	Niemcy	530	479	2.057	2.959	2.732	721
		656	835	1.634	2.132	958	725
Bogumin Nowy		121	78	684	573	2.479	4.868
		554	844	1.957	4.397	3.713	3.898
		1.858	2.412	2.920	3.483	703	666
Lutynia Niemiecka		243	16	111	46	3.060	3.833
		51	36	149	359	69	51
		997	1.157	1.688	2.015	612	561
Lutynia Polska		17	14	17	79	1.425	2.020
		26	11	14	17	11	18
		2.467	3.462	3.955	1.355	293	124
Pietwałd		245	269	1.226	5.303	7.827	9.598
		190	211	338	628	466	268
						390	183
Pudłów						1.087	1.955
						1.823	1.887
		2.426	3.018	4.458	3.001	363	516
Rychwałd		29	6	11	2.907	5.335	6.289
		33	4	23	158	60	45
		751	1.001	1.807	2.411	857	953
Skrzeczoń		22	—	106	353	1.517	2.265
		15	6	188	454	401	382
		310	359	509	626	206	329
Wierzniowice		—	—	1	1	408	377
				3	—	2	3
		105	87	206	234	53	56
Wierzbica		228	278	363	173	1.006	1.315
		45	35	179	673	208	106

Pow. Sądowy Frysztat i Bogumin

GMINA	Narodowość	Spisy austriackie				Spisy czechosł.	
		1880	1890	1900	1910	1921	1930
	Polacy	31	5	383	789	129	197
Zabłocie	Czesi	505	589	616	524	1.209	1.463
	Niemcy	12	9	35	163	178	133
		598	1.008	1.357	2.181	1.454	1.216
Darków		5	6	18	7	745	1.255
				55	73	123	79
		286	893	3.258	3.453	715	510
Dąbrowa		2.004	1.987	823	1.911	3.530	4.177
		48	120	112	138	104	47
		242	730	2.368	740	381	209
Dziećmorowice		1.471	1.353	343	2.616	2.886	3.821
		20	30	23	37	4	8
		1.566	2.369	2.356	2.878	1.844	2.385
Frysztat		546	46	108	253	2.197	2.686
		796	666	1.103	1.704	1.451	1.353
		3.770	6.235	12.052	13.546	8.903	9.796
Karwina		858	394	559	860	4.951	9.501
		551	718	1.113	1.980	1.849	1.417
		577	1.507	4.660	3.804	2.042	1.754
Łazy		893	622	921	3.829	4.882	5.742
		21	15	123	181	91	69
		893	1.081	1.328	1.749	1.236	1.168
Łąki				3	17	529	939
				16	20	49	30
		715	736	748	932	618	656
Marklowice Dolne		2	7	—	7	300	870
						18	71
		2.287	984	3.919	2.805	1.255	1.357
Orłowa		424	2.199	2.233	4.799	7.109	7.909
		153	157	343	603	242	234

Pow. Sądowy Frysztat i Bogumin

GMINA	Narodowość	Spisy austriackie				Spisy czechosł.	
		1880	1890	1900	1910	1921	1930
Olbrachcice	Polacy	1.029	1.079	1.122	1.316	786	1.051
	Czesi	33	—	20	—	445	493
	Niemcy		23	—	6	18	14
Piersna		394	432	451	614	429	284
				2	5	160	210
				3	12	11	4
Piotrowice		774	886	1.139	1.257	896	554
		21	5	22	36	322	850
		140	134	84	115	51	46
Poręba		781	945	1.502	1.617	246	319
		10	43	67	1.058	2.719	3.726
		10	3	28	45	51	47
Raj		721	809	810	1.003	803	734
		3	1	3	5	196	628
				11	23	28	47
Stare Miasto		1.019	2.072	2.270	2.631	1.341	457
		34	44	56	77	1.166	1.169
		41	138	89	107	88	15
Stonawa		1.833	2.294	3.084	3.876	2.026	3.138
		158	7	4	18	1.474	1.420
		43	27	29	22	52	43
Sucha Dolna		27	486	811	1.295	550	499
		883	617	610	837	1.839	2.118
		26	—	10	57	11	12
Sucha Górna		1.467	1.623	1.900	2.625	1.893	2.214
		—	2	4	66	890	1.226
		42	33	50	42	47	65
Sucha Średnia		574	623	840	1.666	1.240	1.279
		272	377	609	1.289	2.302	3.274
		1	1	9	55	65	35
Zawada		405	421	462	519	382	179
		1	—	4	5	65	452
				14	21	20	—

Pow. Sądowy Czeski Cieszyn

GMINA	Narodowość	Spisy austriackie				Spisy czechosł.	
		1880	1890	1900	1910	1921	1930
Błędowice Dolne	Polacy	1.816	1.919	2.133	2.459	1.877	1.621
	Czesi	102	3	22	33	536	1.102
	Niemcy	49	39	36	45	39	14
Cierlicko Dolne		444	382	433	611	219	379
		—	1	—	—	415	305
		—	—	4	6	—	—
Cierlicko Górne		1.434	1.441	1.371	1.368	581	833
		5	—	3	9	760	627
		—	—	1	10	7	12
Cieszyn Czeski		1.121	1.368	1.587	2.195	526	1.466
		135	166	134	160	2.427	4.420
		—	—	2.952	4.167	3.406	3.269
Datynie Dolne		89	488	508	568	333	290
		373	23	34	18	180	193
		—	1	2	—	2	—
Gnojnik		579	529	491	512	153	257
		—	8	17	34	332	499
		18	18	18	20	14	17
Guty		811	828	799	824	440	603
		1	—	1	7	379	209
				7	1	1	—
Grodziszcz		839	752	724	735	339	416
		1	1	—	8	349	384
				7	13	10	11
Kocobędz		937	985	976	1.102	618	820
		3	4	10	17	403	526
				24	39	79	110
Kojkowice		243	247	281	274	184	232
				2	—	53	13
				—	—	3	2
Końska		1.505	1.670	1.868	1.960	804	1.661
		38	72	49	26	549	1.050
		26	42	140	321	21	202

Pow. Sądowy Czeski Cieszyn

GMINA	Narodowość	Spisy austriackie				Spisy czechosł.	
		1880	1890	1900	1910	1921	1930
Leszna Dolna	Polacy	980	1.275	1.572	1.556	923	1.793
	Czesi	32	11	21	15	365	698
	Niemcy	1	15	40	28	31	103
Leszna Górna		738	735	799	862	—	142
		1	—	1	—	—	103
				6	5	—	—
Ligotka Kameralna		1.130	1.088	980	979	755	605
		—	12	5	28	175	370
		34	28	32	29	58	31
Mistrzowice		671	645	632	651	181	412
		—	5	7	8	317	210
				1	5	10	11
Mosty (Ciesz.)		734	763	918	1.112	262	434
		1	1	2	14	576	659
		—	—	26	43	71	73
Niebory		769	816	831	960	413	967
			1	14	—	449	221
		—	—	13	2	15	24
Ropica		1.120	1.167	1.199	1.233	714	1.000
			11	7	19	305	516
				27	39	33	26
Rzeka		522	448	466	503	352	216
		1	2	7	10	76	220
				15	2	—	1
Śmiłowice		674	625	615	625	601	575
		3	—	2	15	41	176
		—	—	6	11	6	9
Stanisłowice		462	442	373	416	134	199
		1	1	3	1	289	276
		—	—	5	3	1	—
Sibica		658	862	1.244	1.345	402	1.033
		11	9	48	35	720	732
		212	296	414	617	545	537

Pow. Sądowy Czeski Cieszyn

GMINA	Narodowość	Spisy austriackie 1880	1890	1900	1910	Spisy czechosł. 1921	1930
Szumbark	Polacy	17	887	1.060	1.235	502	434
	Czesi	697	3	27	64	697	855
	Niemcy	23	7	10	19	11	19
Trzycież		561	568	550	585	177	282
		—	7	3	—	311	312
				39	22	23	10
Toszonowice Dolne		118	270	252	297	26	74
		708	469	466	497	669	600
		21	13	11	—	2	—
Toszonowice Górne		237	352	278	423	128	126
		209	23	30	44	249	302
		8	3	8	5	3	—
Trzanowice		863	858	816	856	292	510
		—	4	4	12	441	301
		—	—	29	6	11	4
Trzyniec		829	1.234	2.036	2.485	1.766	2.109
		259	359	269	243	1.370	2.593
		524	474	621	876	784	930
Wielopole		327	306	293	305	181	221
		—	—	—	—	126	87
		—	—	—	—	1	—
Żuków Dolny		672	798	925	1.135	442	749
		1	—	—	9	585	430
		—	—	5	14	34	28
Żuków Górny		855	829	804	846	162	471
		4	10	8	—	555	306
		—	—	20	10	25	20
Żywocice		368	383	452	602	323	425
		6	1	—	—	186	193
		—	—	12	4	3	4

Pow. Sądowy Jabłonków

GMINA	Narodowość	Spisy austriackie 1880	1890	1900	1910	Spisy czechosł. 1921	1930
Boconowice	Polacy	269	280	343	320	330	302
	Czesi	1	1	2	—	7	31
	Niemcy			5	3	4	2
Bukowiec		782	917	1.002	1.041	960	880
			3	—	2	52	176
				1	—	—	—
Bystrzyca		1.900	1.976	2.201	2.382	1.893	2.357
				1	13	563	1.037
				37	31	46	16
Gródek		793	791	875	854	708	877
			—		6	192	275
				—	5	—	2
Jabłonków		2.941	2.921	2.800	3.221	2.278	2.431
		46	28	37	57	883	1.430
		302	371	488	538	412	297
Karpętna		466	512	497	521	383	226
		—	—	—	—	102	321
						1	—
Koszarzyska		459	487	468	466	430	367
					1	11	115
					4	—	—
Łomna Dolna				844	866	817	673
				2	1	35	319
				6	32	12	6
		1.268	1.345				
Łomna Górna				593	602	476	463
				8	11	120	144
				17	2	1	—
Łyżbice		976	1.092	1.342	1.241	758	1.044
		23	3		3	422	369
					6	27	69
Milików		666	722	780	766	757	906
		—	—	—	—	67	98

Pow. Sądowy Jabłonków

GMINA	Narodowość	Spisy austriackie				Spisy czechosł.	
		1880	1890	1900	1910	1921	1930
Mosty (Jabłonk.)	Polacy	1.828	1.829	2.080	2.198	2.151	1.582
	Czesi	—	2	7	6	317	1.405
	Niemcy			27	23	47	17
Nawsie		1.343	1.498	1.732	2.114	1.311	2.092
		7	10	17	12	955	881
				74	62	136	62
Nydek		1.551	1.618	1.692	1.730	1.481	1.154
			6	—	—	174	615
				7	17	7	5
Oldrzychowice		1.548	1.690	1.836	1.924	1.483	1.408
		—	—	1	21	360	641
				20	57	9	10
Piosek		874	972	964	1.010	682	797
				—	—	359	370
				9	26	7	—
Tyra		495	492	490	463	401	326
				—	2	4	130
		—	1	21	27	4	17
Wędrynia		1.935	2.076	2.322	2.491	1.651	2.371
				1	6	821	844
				34	[illegible]2	56	18

GMINA	Narodowość	Spisy austriackie 1880	Spisy austriackie 1890	Spisy austriackie 1900	Spisy austriackie 1910	Spisy czechosł. 1921	Spisy czechosł. 1930
Na terytorium Zaolzia mieszkało ogółem							
Polaków				129.731	138.317	69.360	76.230
Czechów				84.127	113.308	177.626	237.886
Niemców				20.812	34.352	23.005	17.182
Poszczególne powiaty miały ludności							
Śląska Ostrawa . .					55.752	54.043	55.101
Frydek					53.784	52.396	60.511
Bogumin					39.944	46.185	51.038
Frysztat					82.086	85.200	90.923
Cieszyn . . .					rozdziel. 1920	46.015	54.014
Jabłonków					30.743	26.878	31.370
W poszczególnych powiatach Polaków było							
Śląska Ostrawa . .					12.998	877	326 (Śląska Ostrawa i Frydek łącznie)
Frydek					2.095	449	
Bogumin					18.118	4.997	4.750
Frysztat					57.344	29.130	29.543
Cieszyn*)					47.982	14.977	21.355
Jabłonków					29.165	18.860	20.256

*) Uwaga: Liczby dotyczące powiatu cieszyńskiego należy rozumieć tak, że w roku 1910 obejmują one cały powiat, zaś w latach 1921 i 1930 tylko tę część pow. cieszyńskiego, która przypadła Czechosłowacji.

LITERATURA

Historia Śląska od najdawniejszych czasów do roku 1400. Tom I opracowali: Wł. Semkowicz, W. Taszycki, J. Kostrzewski, Z. Wojciechowski, R. Grodecki, J. Dąbrowski. Pod redakcją Stanisława Kutrzeby. Kraków. Polska Akademia Umiejętności. 1933.

Franciszek Popiołek, Dzieje Śląska austriackiego. Cieszyn 1913.

Mieczysław Jarosz, Śląsk Cieszyński. Kraków 1909.

Ks. Karol Michejda, Dzieje kościoła ewangelickiego w Księstwie Cieszyńskiem. Cieszyn 1909.

Piastun, Spór polsko-czeski na Śląsku Cieszyńskim. Frysztat 1901.

Kazimierz Piątkowski, Stosunki narodowościowe w Księstwie Cieszyńskiem. Cieszyn 1918.

Popiołek-Golachowski, Mapa rozsiedlenia ludności polskiej w Księstwie Cieszyńskiem. Rok 1910.

Roman Dmowski, Polityka polska i odbudowanie państwa. Warszawa 1926.

Feliks Koneczny, Czeskie a polskie prawa historyczne do Cieszyńskiego. Cieszyn 1920.

Dr Włodzimierz Dąbrowski, Kwestia Cieszyńska. Zbiór dokumentów z okresu walki o Śląsk Cieszyński 1918—1920. Katowice 1923.

Dr Włodzimierz Dąbrowski, Rok walki o rządy na Śląsku Cieszyńskim. Cieszyn 1919.

Ks. Józef Berger, Ewangelicki zbór cieszyński po podziale w roku 1920. Cz. Cieszyn 1930.

Ks. Józef Londzin, Polskość Śląska Cieszyńskiego. Cieszyn 1924.

Franciszek Kulisiewicz, Polacy w Czechosłowacji. Frysztat 1929.

Wiesław Wojnar, Dowody polskości Śląska Cieszyńskiego. Cz. Cieszyn 1930.

Wiesław Wojnar, Prawda o Cierlicku. Cz. Cieszyn 1934.

Polacy w Czechosłowacji w świetle faktów i liczb. Memoriał Komisji studiów nad stosunkami polsko-czeskimi przy Polskim Instytucie współpracy z zagranicą. Warszawa 1935.

Jakub Glass, Ewangelicy Polacy w świetle dokumentów urzędowych. Warszawa 1919.

Ks. Józef Londzin, Przyczynek do historii początków ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim. Cieszyn 1926.

Umowa pomiędzy Rzecząpospolitą Polską a Republiką Czechosłowacką w sprawach prawnych i finansowych, podpisana w Warszawie dnia 23 kwietnia 1925. Część III. Ochrona mniejszości. Warszawa. Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej Nr 89, poz. 629, Nr 41 z 1 maja 1926.

Zaranie Śląskie, kwartalnik regionalny, Katowice. Wszystkie roczniki od 1 do 12.

Kpt. rez. Jerzy Szczurek, Z wielkich dni Śląska Cieszyńskiego. Cieszyn 1928.

Klemens Matusiak, Walka o ziemię Cieszyńską w latach 1914—1920. Pamiętniki 1930 (bez miejsca wydania).

Vincenc Prasek, Dějiny knížetství Těšinského až do roku 1433. Opawa 1894.

Alois Adamus, Jazyková otázka ve školství na Těšínsku. Mor. Ostrawa 1930.

Alois Adamus, Naše Slezsko. Praga 1924.

Alois Adamus, Z dějin Orlové. Kroměříž-Orłowa 1926.

Alois Adamus, Dějiny školy u kostela w Německé Lutyni. 1927.

Alois Adamus, Po stopách Slezských Písní Petra Bezruče. Brno 1927.

Alois Adamus, Věstnik archiva a musea Ostravského kraje. Ročnik I. Morawska Ostrawa 1926.

Tomáš G. Masaryk, Nová Evropa. Praga 1920.

Tomáš G. Masaryk, Světová revoluce 1914—1918. Praga 1925.

Eduard Beneš, Problémy nové Evropy a zahraniční politika československá 1919—1924. Praga 1924.

Jan Kapras, Z dějin českého Slezska. Opawa 1922.

Jan Hejret, Těšínsko. Praga 1919.

František Sláma, Vlastenecké putováni po Slezsku. Praga 1885 (?).

Ignát Hořica, Obrázky ze Slezska. Opawa 1896.

Lubor Niederle, Slovanský Svět. Praga 1910.

Dr Ferdinand Pelc, „O Těšínsko". Śląska Ostrawa 1928.

Jóža Vochala, Vývoj národnostní a jazykové otázky na Těšínsku. Frydek 1921—1924.

Evarist Pit'ha, Jazykový a národnostní spor v těrlické farnosti v letech 1862—1864. Mistek 1934.

Karel Jar. Bukovanský, Dějiny Polské Ostravy. Polska Ostrawa 1901.

Hanuš Lankoči, Obec a panství Šenov. Polska Ostrawa 1913.

Adolf Sobek, Obec a panství Šumbark. Morawska Ostrawa 1925.

Jindřich Karkoška, Vlastivědná topografie obce Petřvaldu. Opawa 1931.

Karel Novák, Sbornik 30-leté české kulturní a hospodářské práce v Rychvaldě. Rychwałd 1925.

Památnik vydaný ku slavnosti odhalení pomniku postaveného na hřbitově v Orlové padlým při obsazováni Těšínska a za plebiscitu. Orlová 1928.

Podrobný a úplný abecední místopis Čech, Moravy a Slezska. Praga 1895.

Józef Chmelář, Polska mniejszość narodowa w Czechosłowacji. Praga 1935.

Ervin Tengler, Těšínsko v historii a pověstech. Vydáno k 600 výročí připojení Těšínska k zemím koruny české. Śląska Ostrawa 1935.

O Slezsku. Cyklus přednášek „Moravské Besedy" v Praze, pořádaný r. 1901. Brno 1901.

Petr Bezruč, Slezské Pisně. 1930 (bez miejsca wydania).

G. Biermann, Geschichte des Herzogtums Teschen. Cieszyn 1894.

Dr Andrzej Cinciała, Pamiętnik. Wyd. J. St. Bystroń. Katowice, Muzeum Śląskie. 1931.

E. Grim, Paweł Stalmach, jego życie i działalność w świetle prawdy. Cieszyn 1910.

Jan Kubisz, Pamiętnik starego nauczyciela. Cieszyn 1928.

Dr Jan Galicz, Ks. Ignacy Świeży, jego życie i działalność. Cieszyn 1933.

Ks. Karol Kotula, Jan Śliwka, pionier polskiego szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim. Warszawa 1933.

Ks. Józef Londzin, Początki szkolnictwa w Księstwie Cieszyńskiem. Cieszyn 1924.

Ks. Józef Londzin, Stan szkół ludowych w Księstwie Cieszyńskiem na początku XIX stulecia. Warszawa-Cieszyn 1902.

Franciszek Popiołek, Przedwojenny stan polskiego szkolnictwa ludowego w Księstwie Cieszyńskiem. Cieszyn 1917.

Księga Pamiątkowa polskiego gimnazjum realnego im. Juliusza Słowackiego w Orłowej. Z okazji 25-lecia istnienia Zakładu. Orłowa 1934.

Jubileuszowe sprawozdanie Macierzy Szkolnej na Śląsku Cieszyńskim. 1885—1935. Cz. Cieszyn 1935.

Dr Andrzej Cinciała, Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna. Kraków 1885.

Pieśni ludowe z polskiego Śląska. J. St. Bystroń. Zeszyt I. Pieśni balladowe. Kraków. Polska Akademia Umiejętności. 1927. Zeszyt II. Pieśni o zalotach i miłości. Tamże 1934.

Ks. Józef Londzin, Kościoły drewniane na Śląsku Cieszyńskim. Cieszyn 1932.

Agnieszka Dobrowolska, Żywotek Cieszyński. Ze studiów nad strojem i haftem ludowym. Katowice, Muzeum Śląskie. 1930.

Longin Malicki, Zarys kultury materialnej górali śląskich. Katowice. Muzeum Śląskie. 1936.

Ernest Farnik, Iste roki. Cieszyn (bez daty).

Lucjan Malinowski, Powieści ludu śląskiego z ust ludu zebrane. Księstwo Cieszyńskie. — Materiały antropologiczno-archeologiczne. Tom IV. Kraków, nakładem Akademii Umiejętności. 1900.

Jan Wantuła, Paweł Oszelda, bojownik o wolność ludu 1848. Cieszyn 1935.

Ks. Andrzej Wantuła, Z przeszłości ewangelickiej szkoły w Wiśle. Cieszyn 1935.

Ks. Andrzej Wantuła, Początki osadnictwa na Wiśle. Cieszyn 1934.

Ks. Dr Andrzej Wantuła, Porządek kościelny Wacława Adama. Początki organizacji kościoła ewangelickiego na Śląsku Cieszyńskim. Warszawa 1937.

Emanuel Chobot i Dr Jan Buzek, Memoriał dotyczący skargi mniejszości narodowej polskiej w Czechosłowacji z powodu pokrzywdzenia jej przy spisie ludności, przeprowadzonym w grudniu 1930. Cz. Cieszyn 1931.

S. E., Sytuacja ludności polskiej w Czechosłowacji. (Polityka Narodów, zeszyt 2, tom V.) Warszawa 1935, luty.

Śląski Związek ludowy. Śląski wiec ludowy w Cieszynie dnia 26 maja 1918 r. Sprawozdanie, przemówienia i rezolucje. Cieszyn 1918. (Ślązakowcy.)

Paweł Konieczny, Śląsk Cieszyński pod władzą czeską. Poznań 1924.
Kurt Witt, Die Teschener Frage. Berlin 1935.
Anton Peter, Burgen und Schlösser in Herzogtum Schlesien. Cieszyn 1879 i 1894.
Franz Waschek, Teschen Ostschlesiens Hauptstadt einst und jetzt. 1848—1901. Cieszyn 1901.
Dr Julius Bayer, Denkwürdigkeiten der Stadt Freistadt. Wiedeń 1879.
Ludwig Patryn, Die Ergebnisse der Volkszählung vom 31. Dezember 1910 in Schlesien. Opawa 1912.
Eduard August Schroeder, Denkschrift zum Selbstbestimmungsrecht des Teschner Landes. Cieszyn 1919.
Domänen Sr. Kaiserl. und Königl. Hoheit des Herrn Erzherzogs Friedrich Verwaltungs-Gebiet der Kammer Teschen. Cieszyn 1911. (To samo z roku 1881.)
Henri Grappin, La question de la Silesie de Teschen. Paryż 1919.
Óndra Łysohorsky, Spiwajuco piaść. Poezje laskie. Praga 1934.
Óndra Łysohorsky, Hłos hrudy. Poezje laskie. Praga 1935.

SKOROWIDZ

SPIS ILUSTRACJI

Str.

SPIS TREŚCI

Układ graficzny i okładka Czesława Rzepińskiego



Wydawnictwa Instytutu Śląskiego

SERIA: PAMIĘTNIK INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

T. I. **STAN I POTRZEBY NAUKI POLSKIEJ O ŚLĄSKU.** — Praca zbiorowa pod redakcją Romana Lutmana. 1936. Stron XX + 525. Cena: brosz. zł 15,—, opr. płót. zł 18,— (na wyczerpaniu).

Treść: Roman Lutman, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku; — Marian Książkiewicz, Stan i potrzeby geologii Śląska Cieszyńskiego; — Edward Passendorfer, Stan i potrzeby geologii Śląska Górnego; — Tadeusz Bocheński, Badania geologiczne węgla w polskim zagłębiu węglowym; — Aniela Kozłowska, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie botaniki; — Andrzej Czudek, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie zoologii; — Antoni Wrzosek, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie geografii; — Bolesław Olszewicz, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie kartografii; — Kazimierz Stołyhwo i Ludwik Sedlaczek-Komorowski, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie antropologii; — Mieczysław Gładysz, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie etnografii; — Kazimierz Nitsch, Stan i potrzeby językoznawstwa polsk. na Śląsku; — Wincenty Ogrodziński, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie piśmiennictwa śląskiego; — Józef Kostrzewski, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie prehistorii; — Karol Piotrowicz, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie historii; — Mieczysław Gębarowicz, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie historii sztuki; — Wacław Olszewicz, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie stosunków gospodarczych i społecznych; — Edward Kostka, Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie stosunków prawnych; — Edward Kostka, Uwagi o stanie i potrzebie opracowań demograficznych na Śląsku; — Skorowidze; — Errata i uzupełnienia.

Tom II — **Materiały do dziejów Wielkich Katowic** (1299—1799), z 5 planami i 13 rycinami. Zebrał i opracował Ludwik Musioł. 1936. Stron 219. Cena brosz. zł 6,—, opr. zł 8,— (na wyczerpaniu).

Tom III — **Stanisław Wasylewski,** Na Śląsku Opolskim. Z 354 ilustracjami. 1937. Stron XV + 286. Cena brosz. zł 17,—, opr. zł 20,—.

Tom IV — **Józef Feldman,** Bismarck a Polska. 1938. Stron 451. Cena: brosz. zł 10,—, opr. zł 12,—.

Tom V — **Józef Gołąbek,** Literatura serbsko-łużycka. 1938. Stron 269. Cena: brosz. zł 6,—, opr. zł 8,—.

Tom VI — **Paweł Hulka-Laskowski,** Śląsk za Olzą. Z 274 ilustracjami i 2 mapami. 1938. Stron 494. Cena brosz. zł 12,—, opr. zł 15,—.

SERIA: ŚLĄSK, ZIEMIA I LUDZIE

Tom I — **Marian Książkiewicz,** Zarys geologii Śląska. Z 16 rycinami. Katowice 1936. Stron 65. Cena zł 1,20.

Tom II — **Władysław Marchacz,** Krajobraz Śląska Polskiego (z uwzględnieniem przyległych krain). Z 2 mapkami, 2 planami syntetycznymi i 16 rycinami. Katowice 1936. Stron 111. Cena zł 1,50.

Tom III — **Jan Moniak i Edward Stenz,** Zarys klimatologii Śląska. Z 6 rycinami. Katowice 1936. Stron 57. Cena zł 1,—.

Tom IV — **Andrzej Battaglia,** Górnictwo śląskie. Z 32 rycinami. Katowice 1936. Stron 77. Cena zł 1,20.

Tom V — **Aniela Kozłowska,** Szata roślinna województwa śląskiego. Z 28 rycinami. Katowice 1936. Stron 53. Cena zł 1,20.

Tom VI — **Stefan Kaufman i Roman Maryniarczyk,** Roboty publiczne w województwie śląskim. Z 24 rycinami i 2 mapami. Katowice 1937. Stron 70. Cena zł 1,50.

SERIA: BIBLIOTEKA PISARZY ŚLĄSKICH

Tom I-III Norbert Bonczyk. Pisma poetyckie. Opracował Wincenty Ogrodziński. Tom I. Stary Kościół Miechowski. Wydanie IV krytyczne. Katowice 1936. Stron LXXX + 266. Cena brosz. zł 4,—, opr. zł 5,50. — Tom II. Góra Chełmska. Wydanie II krytyczne (w druku).

Tom IV Walenty Roździeński, Officina Ferraria seu Huta i Warstat z Kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego. Z unikatu Biblioteki Kapitulnej w Gnieźnie wydał, wstępem i przypisami zaopatrzył Roman Pollak. Katowice 1936. Z 9 tablicami. Stron XXV + 113. Cena brosz. zł 3.50, opr. zł 5,—.

Tom V Jerzy Bock, Nauka domowa i wyjątki z Agendy. Opracował Wincenty Ogrodziński. Katowice 1936. Stron XLI + 54. Cena brosz. zł 2,50, opr. zł 4,—.

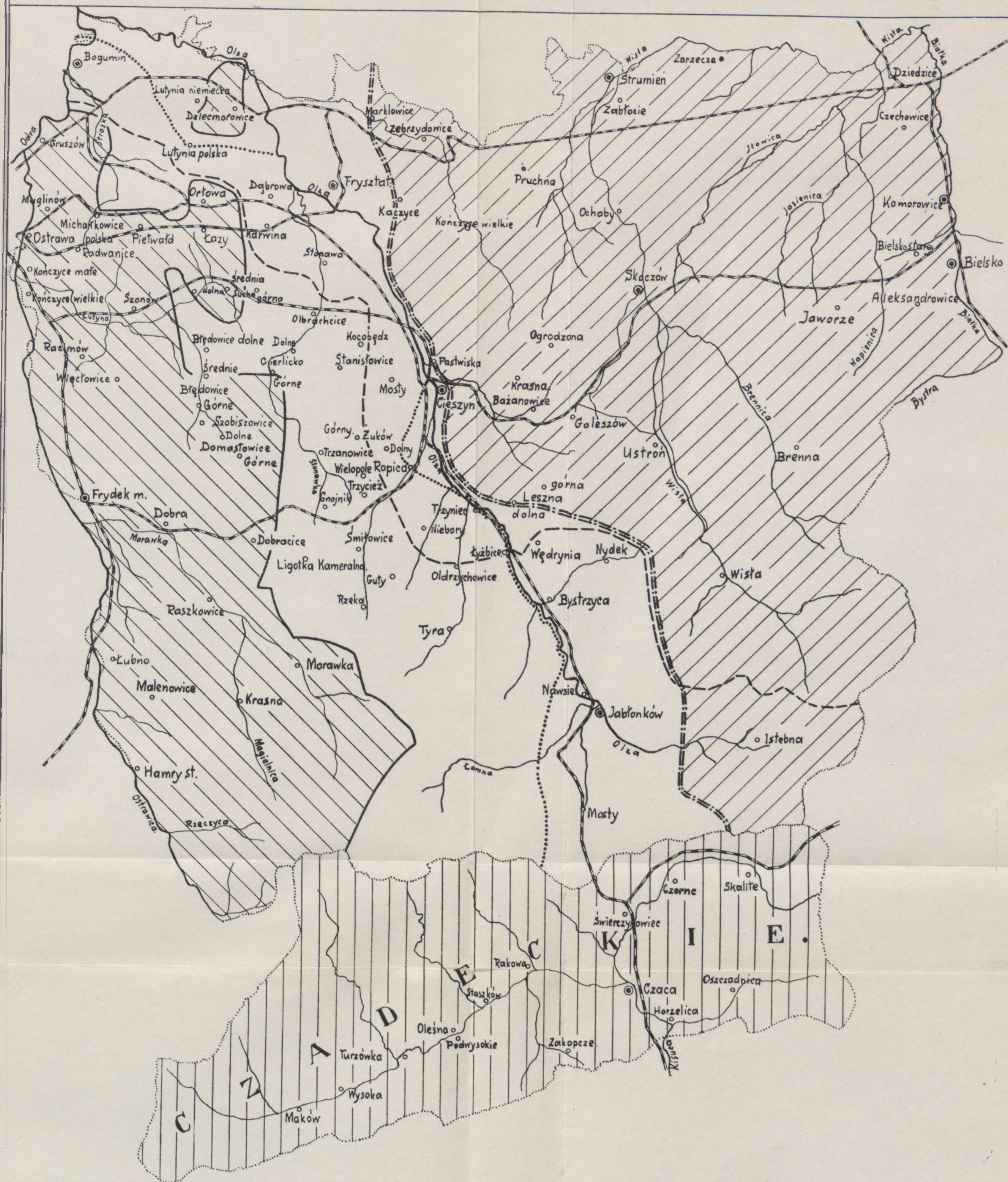
Tom VI Krzysztof Winter, Kuźnic śląskich i kopalń opis i oznaczenie krótkie, oraz Melchior Sewerus, Wiersz pochwalny (tekst łaciński) wraz z przekładem polskim Alfreda Kowalkowskiego, wydał krytycznie i opracował Wincenty Ogrodziński. Katowice 1937. Stron XXXII + 47. Cena brosz. zł 2,50, opr. zł 4,—.

SERIA: ZAGADNIENIA GOSPODARCZE ŚLĄSKA

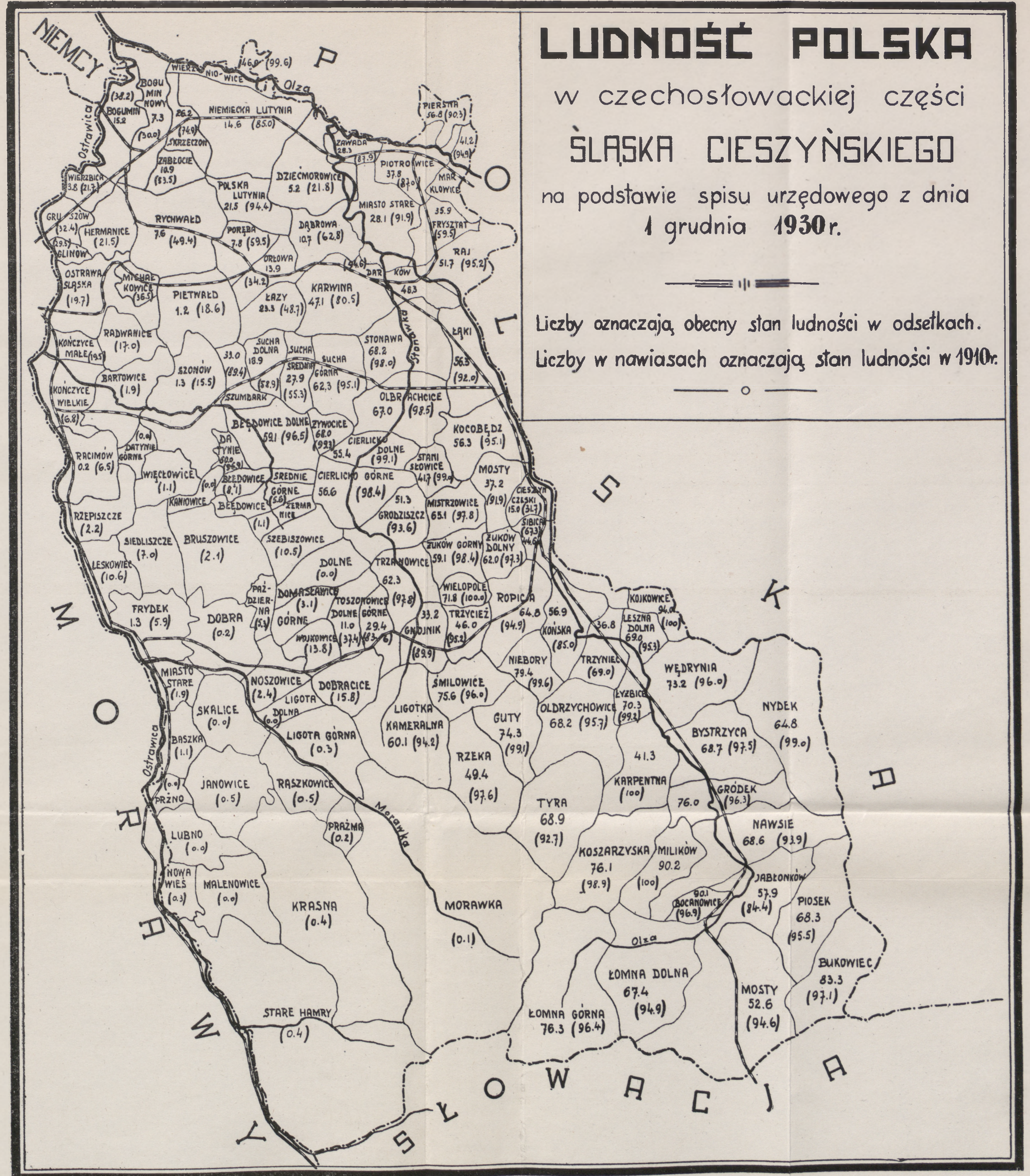
1. **Eugeniusz Górkiewicz**, Postępy górnictwa węglowego na Śląsku za czasów polskich. Z 3 rycinami. Katowice 1935. Stron 20. Cena zł 1,20.
2. **Władysław Kuczewski**, Postępy hutnictwa żelaznego na Śląsku za czasów polskich. Katowice 1935. Stron 20. Cena zł 1,20.
3. **Michał Alberg**, Cynk, ołów i materiały pochodne. Monografia gospodarcza. Katowice 1936. Stron 86. Cena zł 2,—.
4. **Stanisław Piasecki**. Postępy przemysłu cynkowego na Śląsku za czasów polskich Z 19 rycinami i mapką. Katowice 1936. Stron 56. Cena zł 2,50.
5. **Zbigniew Wasilewski**, Znaczenie dróg wodnych dla przemysłu śląskiego. Z 3 mapami. Z przedmową prof. Mieczysława Rybczyńskiego. Katowice 1936. Stron 36. Cena zł 1,80.
6. **Bronisław Giziński**, Postępy przemysłu chemicznego na Śląsku za czasów polskich. Katowice 1937. Stron 31. Cena zł 1,20.
7. **Aleksander Szczepański**, Kierunki eksportu wytworów przemysłu górnośląskiego. Katowice 1937. Stron 27. Cena zł 1,20.
8. **Paweł Musioł**, Ochotnicze Drużyny Robocze. Z 15 rycinami. Katowice 1937 Stron 61. Cena zł 2,50.
9. **Andrzej Jałowiecki**, Rozwój zbytu węgla z kopalń zagłębia polskiego w dziesięcioleciu 1925—1935. Katowice 1937. Stron 37. Cena zł 1.20.
10. **Stanisław Leszczycki**, Znaczenie gospodarcze ruchu uzdrowiskowo-turystycznego na Śląsku. Z 13 mapkami. Stron 81. Katowice 1937. Cena zł 2,50.
11. **Aleksander Groza**, Zagadnienie elektryfikacji na Śląsku. Z 21 rycinami. Katowice 1937. Stron 66. Cena zł 2,50.
12. **Zbigniew Miłobędzki**, Przemysł w województwie śląskim. Katowice 1938. Stron 95. Cena zł 2,50.

Zagadnienia gospodarcze Śląska I. Nr 1—10 — w ozdobnej teczce płóciennej. Cena zł 15,—.

MAPA CIESZYŃSKIEGO i OKRĘGU CZADECKIEGO



Linia demarkacyjna z dnia 5 września 1918 roku.
Linia demarkacyjna z dnia 3 lutego 1919 roku.
Linia demarkacyjna z lipca 1919 roku.
Linia demarkacyjna z dnia 28 lipca 1920 roku.


LUDNOŚĆ POLSKA
w czechosłowackiej części
ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO
na podstawie spisu urzędowego z dnia
1 grudnia 1930 r.
Liczby oznaczają obecny stan ludności w odsetkach.
Liczby w nawiasach oznaczają stan ludności w 1910 r.
NIEMCY
P O L S K A
M O R A W Y
S Ł O W A C J A
Olza
Ostrawica
Stonawka
Morawka
BOGUMIN
NIEMIECKA LUTYNIA 14.6 (85.0)
SKRZECZOŃ
ZABŁOCIE
PIERSTNA
ZAWADA
PIOTROWICE
MARKLOWICE
MIASTO STARE 28.1 (91.9)
DZIEĆMOROWICE 5.2 (21.8)
POLSKA LUTYNIA 21.5 (94.4)
WIERZBICA
GRUSZÓW
HERMANICE (21.5)
RYCHWAŁD 7.6 (49.4)
PORĘBA 7.8 (59.5)
DĄBROWA 10.7 (62.8)
FRYSZTAT
RAJ 51.7 (95.2)
ORŁOWA 13.9
DARKÓW
OSTRAWA ŚLĄSKA (19.7)
MICHAŁKOWICE
PIETWAŁD 1.2 (18.6)
ŁAZY
KARWINA 47.1 (80.5)
RADWANICE (17.0)
KOŃCZYCE MAŁE
SUCHA DOLNA
SUCHA ŚREDNIA
SUCHA GÓRNA
STONAWA 68.2 (98.0)
ŁĄKI
SZONÓW 1.3 (15.5)
BARTOWICE (1.9)
KOŃCZYCE WIELKIE
SZUMBARK
OLBRACHCICE 67.0 (98.5)
BŁĘDOWICE DOLNE 59.1 (96.5)
ŻYWOCICE
KOCOBĘDZ 56.3 (95.1)
RACIMÓW 0.2 (6.5)
DATYNIE GÓRNE
DATYNIE
CIERLICKO DOLNE
STANISŁOWICE
MOSTY 37.2
WIĘCŁOWICE (1.1)
BŁĘDOWICE
ŚREDNIE GÓRNE
CIERLICKO GÓRNE
KANIOWICE
ŻERMANICE
GRODZISZCZ (93.6)
MISTRZOWICE 65.1 (97.8)
CIESZYN CZESKI
SIBICA
RZEPISZCZE (2.2)
SIEDLISZCZE (7.0)
BRUSZOWICE (2.1)
SZEBISZOWICE (10.5)
DOLNE (0.0)
TRZANOWICE 62.3
ŻUKÓW GÓRNY 59.1 (98.4)
ŻUKÓW DOLNY 62.0 (97.3)
LESKOWIEC (10.6)
PAŹDZIERNA
DOMASŁAWICE
TOSZONOWICE DOLNE
TOSZONOWICE GÓRNE
WIELOPOLE 71.8 (100.0)
ROPICA 64.8 (94.9)
FRYDEK 1.3 (5.9)
DOBRA (0.2)
GÓRNE
WOJKOWICE (13.8)
GNOJNIK
TRZYCIEŻ 46.0
KOŃSKA (85.0)
KOJKOWICE
LESZNA DOLNA
MIASTO STARE (1.9)
NOSZOWICE (2.4)
LIGOTA DOLNA
DOBRACICE (15.8)
ŚMILOWICE 75.6 (96.0)
NIEBORY 79.4 (99.6)
TRZYNIEC (69.0)
WĘDRYNIA 73.2 (96.0)
SKALICE (0.0)
LIGOTKA KAMERALNA 60.1 (94.2)
GUTY 74.3
OLDRZYCHOWICE 68.2 (95.7)
ŁYŻBICE
NYDEK 64.8 (99.0)
BASZKA (1.1)
LIGOTA GÓRNA (0.3)
RZEKA 49.4 (97.6)
BYSTRZYCA 68.7 (97.5)
JANOWICE (0.5)
RASZKOWICE (0.5)
KARPENTNA (100)
GRÓDEK
PRŻNO
TYRA 68.9 (92.7)
NAWSIE 68.6 (93.9)
LUBNO (0.0)
PRAŻMA (0.2)
KOSZARZYSKA 76.1 (98.9)
MILIKÓW 90.2 (100)
NOWA WIEŚ
MALENOWICE (0.0)
KRASNA (0.4)
MORAWKA (0.1)
BOCANOWICE
JABŁONKÓW
PIOSEK 68.3 (95.5)
ŁOMNA DOLNA 67.4 (94.9)
BUKOWIEC 83.3 (97.1)
MOSTY 52.6 (94.6)
STARE HAMRY (0.4)
ŁOMNA GÓRNA 76.3 (96.4)

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego

SERIA: POLSKI ŚLĄSK

1. **Zygmunt Wojciechowski,** Udział Śląska w dawnym zjednoczeniu ziem polskich. 1935. Stron 29. Cena zł 1,20.
2. **Wincenty Ogrodziński,** Związki duchowe Śląska z Krakowem na przełomie wieków XVIII i XIX. 1935. Stron 49. Cena zł 2,—.
3. **Adam Bar,** Karol Miarka jako redaktor „Katolika". Fragment z dziejów prasy polskiej na Górnym Śląsku. Katowice 1935. Stron 29. Cena zł 1,20.
4. **Kazimierz Stołyhwo,** Zagadnienie składu rasowego ludności Śląska. Katowice 1935. Stron 24. Cena zł 1,20.
5. **Tadeusz Silnicki,** Rola dziejowa kościoła na Śląsku w wiekach XI—XIII. Katowice 1935. Stron 46. Cena zł 2,—.
6. **Józef Reiss,** Socjologiczne podłoże śląskiej pieśni ludowej. Katowice 1935. Stron 31. Cena zł 1,50.
7. **Wiktor Nechay,** Śląsk jako region geograficzny. Z 7 rycinami. Katowice 1935. Stron 51. Cena zł 2,50.
8. **Witold Taszycki,** Śląskie nazwy miejscowe. Z mapą. Katowice 1935. Stron 36. Cena zł 1,80.
9. **Mieczysław Gębarowicz,** Stosunki artystyczne Śląska z innymi dzielnicami polskimi. 1935. Stron 25. Cena zł 1,20.
10. **Henryk Barycz,** Ślązacy na Uniwersytecie Jagiellońskim od XV—XVIII wieku 1935. Stron 27. Cena zł 1,20.
11. **Kazimierz Smogorzewski,** Sprawa Śląska na konferencji pokojowej 1919 r. Z mapą. 1935. Stron 40. Cena zł 1,80.
12. **Józef Feldman,** Polska i Polacy w sądach pruskich polityków w epoce porozbiorowej. 1935. Stron 43. Cena zł 1,80.
13. **Józef Kostrzewski,** Przedhistoryczne związki Śląska z resztą ziem polskich. Z 8 mapami i 18 rycinami w tekście. 1936. Stron 38. Cena zł 1 80.
14. **Janusz Staszewski,** Wojsko polskie na Śląsku w dobie napoleońskiej. Z mapką. Stron 36. 1936. Cena zł 1,50.
15. **Józef Reiss,** Ślązak Józef Elsner, nauczyciel Chopina. Z portretem i 2 rycinami. 1936. Stron 58. Cena zł 2,—.
16. **Aleksander Birkenmajer,** Witelo, najdawniejszy śląski uczony. Katowice 1936. Stron 32. Cena zł 1,20.
17. **Ludwik Musioł,** Zniemczone nazwy miejscowe na Śląsku. Katowice 1936. Stron 43. Cena zł 1,50.
18. **Leon Koczy,** Związki handlowe Wrocławia z Polską do końca XVI wieku. 1936. Stron 34. Cena zł 1,20.
19. **Ludwik Chmaj,** Górnoślązacy wśród Braci Polskich. Katowice 1936. Stron 50. Cena zł 1,50.
20. **Roman Jakimowicz,** Kultura Śląska w zaraniu dziejów w świetle wykopalisk. Z 13 rycinami w tekście. 1936. Stron 35. Cena zł 1,80.
21. **Henryk Barycz,** J. S. Bandtkie a Śląsk. Z dziejów pierwszych zainteresowań się nauki polskiej Śląskiem. Z portretem. 1936. Stron 54. Cena zł 1,80.
22. **Władysław Dzięgiel,** Król polski Zygmunt I na Śląsku. Szkic historyczny, Katowice. 1936. Stron 22. Cena zł 1,—.
23. **Karol Piotrowicz,** Plany rewindykacji Śląska przez Polskę pod koniec średniowiecza. 1936. Stron 59. Cena zł 1,80.
24. **Bolesław Olszewicz,** Najdawniejsze opisy Śląska z XV i XVI w. Katowice 1936. Stron 65. Cena zł 2,—.
25. **Jan Czekanowski,** Struktura rasowa Śląska w świetle badań polskich i niemieckich. 1936. Stron 34. Cena zł 1,50.
26. **Kazimierz Tymieniecki,** Kolonizacja a germanizacja Śląska w wiekach średnich. 1937. Stron 41. Cena zł 1,80.
27. **Józef Skoczek,** Stosunki kulturalne Śląska ze Lwowem w wiekach średnich. 1937. Stron 40. Cena zł 1,80.
28. **Karol Stojanowski,** Z badań nad antropologią Śląska. Skład rasowy katowickiej młodzieży poborowej. 1937. Stron 30. Cena zł 1,20.

15

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego

29. **Karol Buczek**, Ślązacy w kartografii polskiej XVI wieku. Z 2 mapami. Katowice 1937. Stron 42. Cena zł 2.—.
30. **Kazimierz Popiołek**, Śląsk i Polska w okresie wojen husyckich. Katowice 1937. Stron 50. Cena zł 1.50.
31. **Stanisław Bąk**, O zbieraniu materiałów gwarowych na Śląsku. Z przedmową prof. dra Kazimierza Nitscha. 1937. Stron 36. Cena zł 1,20.
32. **Stanisław Komar**, Górnośląska Konwencja Genewska pomiędzy Polską i Niemcami 1922—1937. 1937. Stron 24. Cena zł 1,—.
33. **Aleksander Birkenmajer**, Astronomowie i astrologowie śląscy w wiekach średnich. 1937. Stron 40. Cena zł 1,20.
34. **Emil Kuroński**, Położenie prawne ludności polskiej w Trzeciej Rzeszy. Katowice 1938. Stron 63. Cena zł 2,—.
35. **Janusz Staszewski**, Przeszłość wojenna Śląska. Z 4 mapami. 1938. Stron 46. Cena zł 2,—.
36. **Julian Krzyżanowski**, Podania i baśni śląskie. 1938. Stron 28. Cena zł 1,20.

Polski Śląsk I. Nr 1—10 — w ozdobnej teczce płóciennej. Cena zł 14.—.
Polski Śląsk II. Nr 11—20 — w ozdobnej teczce płóciennej. Cena zł 14.—.
Polski Śląsk III. Nr 21—30 — w ozdobnej teczce płóciennej. Cena zł 14.—.

SERIA: KOMUNIKATY INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

Seria I. Nr 1—50 (1934—1935) (wyczerpane). Seria II. Nr 1—50 (1936—1937) (wyczerpane). Seria III w druku.

WYKAZ LITERATURY BIEŻĄCEJ O ŚLĄSKU — pod redakcją Jacka Koraszewskiego. Rocznik I, 1935. Nr 1—4 wraz ze Skorowidzami systematycznym i alfabetycznym. 1936. Stron 90. Cena zł 3,20. Rocznik II, 1936. Nr 1—4 wraz ze Skorowidzami systematycznym i alfabetycznym. Cena zł 3,20. Rocznik III w druku.

WZORY HAFCIARSTWA LUDOWEGO NA GÓRNYM ŚLĄSKU wydała Agnieszka Dobrowolska. 1936. Stron 9 i 21 tablic. Cena zł 1,50.

TAŃCE ŚLĄSKIE. Zeszyt 1. Tańce z powiatu rybnickiego. Opracowali Augustyn Musioł i Feliks Sachse. Z rysunkami Pawła Stellera. Z przedmową prof. dra Józefa Reissa. 1937. Stron 70. Cena zł 1,80.

Stanisław Berezowski, Turystyczno-krajoznawczy **PRZEWODNIK PO WOJEWÓDZTWIE ŚLĄSKIM.** Z 144 ilustracjami i 29 mapami i planami miast oraz z mapą podręczną województwa śląskiego i ziem sąsiednich. 1937. Stron 447. Cena opr. zł 6,—.

MAPA WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO I ZIEM SĄSIEDNICH w podziałce 1 : 100.000 i Skorowidz miejscowości, w opracowaniu Franciszka Popiołka. 1937. Cena niepodklej. (w 4 arkuszach) zł 25,—, podklej. na płótnie zł 45.—.

MAPA PODRĘCZNA WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO I ZIEM SĄSIEDNICH w podziałce 1 : 400.000 i Skorowidz miejscowości, w opracowaniu Franciszka Popiołka. 1937. Cena zł 2,—.

„ZARANIE ŚLĄSKIE". Kwartalnik regionalny. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego i Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie pod redakcją Romana Lutmana i Franciszka Popiołka. Prenumerata roczna zł 8.—. Cena numeru zł 2.—

SILESIAN AFFAIRS. No I. Edited by Roman Lutman. Contents: Władysław Semkowicz, Silesia, Its Name, Territory and Boundaries; — William J. Rose, Upper Silesia: A Glance down the Years; — Jan Czekanowski, The Racial Structure of Silesia; — Ludwik Musioł, Official Alteration of the Place-Names in German Upper Silesia; — Antoni Wrzosek, A Geographical and Statistical Survey of the Silesian Voivodship; — Wacław Olszewicz, The Economic Structure of Polish Upper Silesia and Localisation of Polish Upper Silesian Industry; — Aleksander Szczepański, The Export Trade of Upper Silesia; — Józef Piernikarczyk, England's Part in the Creation of Upper Silesian Industry; — Stanisław Komar, The Polish-German Upper Silesian Convention 1922—1937. — Reviews. — 1937. Stron 76 folio. Cena zł 5,—.

Drukarnia „Dziedzictwa" w Cieszynie